

BUNSCH KAROL

WYWOŁAŃCY

Powieści piastowskie 13

Uśmierzenie krakowskiego buntu, który wstrząsnął; podwalinami odbudowującego się państwa, przyniosło Łokietkowi jedynie chwilową ulgę. Jakby jeden kamień usunął z wyboistej drogi, po której z uporem zmierza! do swego celu. Tyle że spokojniej rozważyć mógł położenie, nim do nowych działań przystąpi.

Po klęsce poniesionej od Mateusza Csaka na Morawach Jan Luksemburski zdołał uładzić się z Habsburgami, Leopoldem i Fryderykiem, a nawet uzyskać obietnicę pocztu dwustu rycerzy na wyprawę do Polski. Ale rozniecony jego niepowodzeniem na Morawach bunt rozszerzał się na Czechy, gdzie wielmoże i rycerstwo podnieśli się przeciw królowi, gniewni o obsadzenie Niemcami świeckich i duchownych godności. Wszędzie gotowa! się opór przeciw niemieckiemu najazdowi. Poparcia *swego* cesarskiego rodzica Jan nie mógł się spodziewać w czasie, gdy Henryk podjął wysiłek koronacyjnej wyprawy do Italii, pozostawiając w Niemczech wichrzących Wittelsbachów. Nadzieje niemieckiego mieszczaństwa na włączenie Polski do państwa Luksemburgów zbladły.

Nie tylko z nienawiści zrodził się bunt. Łokietek rozumiał wzrastającą rolę miast i istotne ich potrzeby. Wiedział, że musi zapewnić spokój i bezpieczeństwo na drogach, zakłócone przez ustawiczne wojny wewnętrzne, znieść gnębiące handel przeszkody i ciężary nakładane przez dzielnicowych książąt, a nawet

możnowładców. Mieszczanstwo pragnie wielkiego, silnego i zjednoczonego państwa, zdolnego zapewnić ład i prawo. Gdy uwierzy, że Łokietek zbudować je potrafi, stanie się jego sprzymierzeńcem.

Dzieło zjednoczenia było jednak dopiero w zaczątkach i książę nie mógł jeszcze zaufać wymuszonemu posłuszeństwu, by wszystkie siły i myśli poświęcić wygnaniu z Wielkopolski sprzymierzonych z Luksemburczykiem synów Henryka głogowskiego. Pozbawieni poparcia Jana, obłożeni klątwą nie tylko przez arcybiskupa Jakuba, ale i przez dawnego Łokietkowego przeciwnika, biskupa Andrzeja poznańskiego, Henrykowie mieli stronników już tylko w swym niemieckim mieszczanstwie, dla którego przestrożę stanowić winno poskromienie krakowskiego buntu.

Omawiając przeto z kasztelanem Jaśkiem Leliwą sposoby uporządkowania spraw w Krakowie, by stłumić tlejące jeszcze pod pozorami spokoju zarzewie oporu, książę polecił wydać rodzinom ciała straconych i zawiadomić o tym rozkazie Ostróżkę, który wykonania wyroku miał pilnować. Kasztelan odparł:

— Zlećcie to komu innemu, be Ostróżka zbiegł.

Łokietek spojrział na Jaśka ze zdziwieniem:

— Zbiegł? Przed czym? Przed nagrodą? Co znowu zaszło?

— Pogrzeb! ciało wójta sądowego, Hanusa, i zniknęło, widno lękając się waszego gniewu o nieposłuszeństwo.

Książę plasnął w dłonie w zaskoczeniu:

— Komuż, do biesa, mogę zaufać!

Chciał mieć w mieście pewnych ludzi i na jednego z pierwszych upatrył sobie Ostróżkę. Jego obrotność, znajomość miasta i nienawiść do głównego wroga, /biskupa Muskaty, zdały się poręką, że wiernie i czujnie baczyć będzie na sprawy i wykonywać zleceń Zawód rozdrażnił Łokietka. Kasztelan Jaśko Leliwa widząc, że książę wziął sprawę do serca, dorzucił:

— Zawszy sobiepan to był i swoje jakoweś mi*J sprawy,.. .

Łokietek w porywie niezwykłego zniecierpliwienia zerwał pątlík z głowy i cisnął nim o ziemię:

— Wszyscy wy tu macie i woje sprawy, jeno mnie ich mieć nie wolno! I ty, Piętrze, mnie się zaprzesz.

— Przecz mnie na równi z tym obwiesiem stawiacie — zachnął się kasztelan.

Książę pohamował się widząc, że niesłusznie dotknął wypróbowanego przyjaciela:

— Nie tak myślałem — rzekł — jeno że każdy, choćby najlepszy, własne jakoweś życie ma, ku któremu choć myśli może odwrócić; że za trud swój nagrody czeka, a wyrozumiałości dla uchybień. Jeno mnie jnrzmo głowy odwrócić nie pozwoli, by się za siebie obejrzeć, i nic nie zostało mi darowane. Oto, gdy zmarł mój maleńki Włodzisław, nawet na boleść czasu nie stało...

Jaśko zrozumiał, że w sercu księcia nagromadziło się niemało żalu i goryczy, którym choć w słowach folgę dać musi. A wiedział, że i teraz nie pora Łokietkowi o własnych myśleć sprawach. By odwrócić gorzkie myśli księcia, kasztelan wtrącił:

— W arcybiskupie macie sprzymierzeńca, który się od wspólnego z wami jarzma nie uchyli, niczego w zamian nie czekając.

— Obu nam społem nieraz nad siły trud, a on już wyprzęga.

— Bóg mu tetócze zwoli włożyć koronę na waszą głowę.

— Nie pora myśleć o tym, gdym pod kłatwą, x><ł której skutków chroni mnie jeno słaba już dłoń arcy-pasterza, co ekskomuniki ogłaszać zabronił...

Myśl Łokietka zwróciła się do innych spraw, ale i te nie były miłe. Chodzić jął po komnacie. Po chwili, opanowawszy się, usiadł:

— Rwie się, gdzie pociągnąć — zwrócił się do kasztelana. — Gdy Jakub sufragana chciał sobie wyświęcić, brakło mu do ceremonii drugiego biskupa, skoro Muskata z posłuszeństwa wyszedł i zbiegł. Wezwany zaś chełmiński biskup zaświadczyć sobie kazał, jako

ieno z dobrej woli udział bierze w ceremonii. I Jakub
nusił mu zaświadczyć, że chełmińska diecezja do
Gniezna nie należy, jeno do ryskiej metropolii. Tak
ito pękła jeszcze jedna nić, która Pomorze łączyła
; Polską. A wszystko to przez onego łotra w infule...
Dwakroć miałem Muskatę w rękę, trzeba mi było ko-
niec z nim zrobić...

Książę zerwał się znowu. By go uspokoić, Jaśko
rzekł:

— Na głowę jedno brać, gdy na wszystko naraz sił
nie starczy. Ninie z Wielką Polską uładzić trzeba,
a wοντας będziecie mieli drugiego biskupa, poznań-
skiego. I do koronacji więcej nie trzeba.

— Prawda! Jeno Pomorza nijak mi poniechać, by
się Zakon nie świadczył, jako je spokojnie posiadał.
Zaś o Muskacie myśli wyzbyć się nie mogę, nawet we
śnie.

— Ma on sam o sobie dość do myślenia. Jeśli zaś
chodzi o Pomorze, to starczy kilku śmiałych ludzi na
granicy posadzić, by Zakon spokoju nie zasnął, a przez
Kujawy i Wielką Polskę z wrogami się nie znosił.

— Tak i uczynię. Brataniec twój, Krzych, do tego
by się zdał, bo pogranicze już zna i pokazał, że
z Krzyżaki radzić sobie wydoił. Niechże dalej na mą
ufność i łaskę zasługuje, a za wyrozumiałość odpłaci.

Gdy Jaśko zachmurzył się i nic nie odrzekł, książę
sądząc, iż niemiłe kasztelanowi wspomnienia Krzy-
chowego przeniewierstwa w sprawie Muskaty, cią-
nął:

— Myślę, że mu już kiecki ze łba wywietrzały, gdy
się przekonał, że na hak mogą przywieść człeka. Co
o tym mniemasz?

— Żenić się zamierzał — odparł kasztelan, ale
umknął z oczyma.

Łokietek pokiwał głową:

— Szkoda, bo sprawa krzyżacka pilna, a priez kra-
kowski bunt zaniedbana, gdy wszystkie siły tu ściąg-
nąć musiałem.

Gdy Jaśko milczał zasepiony, książę nie chcąc. bv

kasztelan sądził, że wypomina dawne sprawy, lub może pragnąc wyrządzoną przykrość nagrodzić, dodał z życzliwym uśmiechem:

— Juści, nijak młodą żonę na krzyżacką granicę,; brać. Wyśle się kogo innego. A Leliwy niech się mnożą. Wiernych sług i przyjaciół i syn mój bodzie potrzebował. A kogóżes Krzychowi zaswatał?

— Sam się wyswatał. Mieszczka — odparł kasztelan. Zmieszany się zdał.

Łokietek myśląc, że Jaśko niechętny jest związkowi, dorzucił:

— Pono Leliwy nie pierwszy raz z mieszczany się krewnią. Pieniądz przyda się rycerstwu, a dla mnie związki z możniejszym mieszczaństwem poręką będą wierności.

— Sierotę bierze, bez krewnych i wiana.

Książę zmarszczył się lekko:

— Niedobrze. Nazbyt na kiecki łasy. Nie mógłzes zakazać?

Gdy Jaśko pominął pytanie milczeniem, Łokietek patrzył na niego przenikliwie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, rzekł cokolwiek oschle:

— Nie pytam przez ciekawość. Nieobojętny mi los Spytkowego syna. Ale nie po sercu ci gadać — ni\$-gadaj.

— Nie to — odparł Jaśko z przymusem. — Jenó się waguję, zali wolno mi odkryć nie swoją tajemnicę.

— Nie przymuszam. Ale coś nad miarę tajemnic dokoła tego otroka. Mniejsza z tym. Onże Radocha, co •społem z Krzychem zwodził się z Krzyżaki, i sam to czynić wydoli. Ziemię mu się nada na pograniczu pomorskim. Mało chętnych krzyżackiego sąsiedztwa, ale on go zwyczajny i osadników najdzie sobie podobnych.

Nawykły do ruchu i przestrzeni Radocha przykrzy! już sobie w mieście, gdy nowość przestała go bawić. Siedział osowiały na gospodzie u koniuszego Budziwo-

ja. Nawet do karczmy na piwo trudno go było wyciągnąć. W domu pił, ale napitek nie rozwiązywał mu ruchliwego zazwyczaj języka. Coś gryzło go widocznie.

Doświadczony Budziwoj wraz pomiarkował, że swaty Radochy z Kundzią wziął zbyt lekko. Żał mu było człowieka, którego zdążył polubić, a nawet do herbu przypuścił. Trochę winny się czuł, że wydrwił jego dziewczostęby. By wybadać, czy się nie myli. zagadnął:

— Rycerz Krzych, jako słyszę, wesele szykuje i dworzec przysposobić pojechał. Iście po odpowiedź do Kundzi szkoda ci zachodzić, ale odwiedzić by ją przystało, niechaj dziewczyna nie myśli, że urazę do niej chowasz.

— Bym wiedział, że ona stoi o to! — szorstko, odparł Radocha. — O Krzychu pójdę jej prawić jak łoni? Już ta on sam rzecze, co dziewczucha słyszeć rada.

— Tyleście z Krzychem przeszli społem, wždy nie rozejdziecie się o dziewczkę. Nie jedna ona, a jemu przychylność winieneś okazać.

— Niechaj im szczęści, ale ja do tego niepotrzebny. Żyli beze mnie, to i będą. Na mnie nie czekają, jako i nikt...

Nie było co odrzec. Radocha widno układał sobie nowe życie z Kundzią i chybiło mu ono zaraz u progu. Toteż koniuszy rad był widząc, jak go ożywiło wezwanie do księcia. Bez wątpienia Łokietek, któremu wciąż ludzi brakło, zamierza Radosze jakąś sprawę czy urząd powierzyć. Nie będzie miał czasu rozmyślać o Kundzi, a potem zapomni.

Radocha zaraz jął się przybierać. Po namyśle posłał pacholka po starego towarzysza Pizłę. Zbój był kosi, ryży i dziobaty, z nagła go spotkawszy przestraszyć się było można, ale wyboru Radocha nie miał, a chciał się okazać u dworu przedstawić, jak rycerzowi przystało, z giermkim, który by za nim miecz i tarczę aą świeżo wymalowanym Ciołkiem poniósł. Pizło zjaw\$>;

się zaraz, ale gdy posłyszał, czego chce Radocha, odparł, zacinając się jak zwykle:

— Anim ja twoim chwostem, ani ci szłom i szczyt u książęcia potrzebne. A potrzebne ci, to se sam nieś. Spaniałeś!

— Widziałeś to rycerza, by się bez giermka obywat?

— Ciebie widziałem, jakoś się bez cizem obywat.

Koniuszy uśmiechnął się pod wąsem: skoro Radocha znowu puszyć się zaczyna, nie jest z nim tak źle. Wyjaśnił, że książę nie na uroczyste posłuchanie go wzywa, jeno rozkazy wydać zamierza, więc okazałość zbędna, Pizły zaś nie wołał, tedy go komornik do księcia nie wpuści.

Radocha poszedł sam i wkrótce wrócił, wielce podniecony, w ręku niosąc zwitek pergaminu z pieczęcią. Przeczytać dokumentu żaden nie wydolił, zwłaszcza że po łacinie był pisany, ale Radocha powtórzył, co notariusz książęcy objaśnił: nadał mu Łokietek dwie wsie i kawał pustych ziem między Brdą a Notecią, z prawem osadnictwa i budowy gródka.

— Tedyś omal że kasztelanem ostał — zadworował koniuszy przyjaźnie. — Jeno kasztelu nie ma, a uposażenie nie tyle skąpe, co niepewne. Gródek iście wybudować jest z czego, bo lasów tam nie brak, jeno kim go utrzymać, skoro do krzyżackiego somsziedztwa nikt się nie kwapi i osadników niełacno znajdziesz. Chłopów zasię niewielu masz, choćbyś wziął z każdego dymu miecz, a gdybyś i miał, to do walki z Krzyżakiem nie nawykli. Świecie i Tzew murowane były i załogę miały liczną, a Krzyżacy je dobyli.

— Nie trapie się wy, skoro ja się nie trapię — odparł Radocha. — Na wielką wojnę samego książęcia nie stać, dlatego małą mnie zlecili, a do niej nawykłem, choć jeno kawał żelaza miałem w garzci i kasztelanowie przeszkadzali. A ninie mam to — uderzył się pergaminem po szerokiej dłoni — i pomagać mi winni albo radziej ja im, bo widno sami nie wydolą upilnować granicy, skoro książę mnie to zawierzyli.

Podkreślił węża, dumny z otrzymanego zlecenia, i ciągnął:

— A ludzi skąd wezmę? Skądem raniej brał. Niech się jeno zwiedzą zbóje po kępach, ostrowach i leśnych osadach, że wolno łupić krzyżackie i kupieckie poczty, to się ich tyle nalezie, że jeno się opędzaj. A chłopów to brak. co przed uciskiem na Litwę i Ruś uchodzą? Każden będzie wolał u mnie między swojakami ostać. Pójdzie gospodarka, nie bójcie się.

— Takie to sobie umyśliłeś osadnictwo — rzekł koniuszy z powątpiewaniem. — Spory będziesz miał z rycerstwem i duchowieństwem o zbiegów, a kłopoty z kasztelanami, którzy ich łowić winni.

— Nic do mnie kasztelanom, skoro na rycerskim prawie siedząc, książęciu jeno podlegam. Jakoże to się zwie?

— Immunitet — odpowiedział Budzi woj.

— Prawiście. Munitet. Tedy skoro go mam, a ziemia moja, niechże mnie ostawia w spokoju, pókim dobry. Ci, co wojują, trawy zreć nie będą, ktoś ci na nich wyrobić musi. Wždy we dwóch z Pizłą granicy nie upilnujem — zakończył ostro.

— Mniejsza z tym — rzekł Budziwoj zadowolony, że Radoeha zapomniał o swych strapieniach. — Kiedy zamýślasz wyjechać?

— Niczego tu już nie wysiedzę. Jutro zakupię, co ta jeszcze trzeba, i na noc pociągniem, bo upały i gzy dniem dokuczają.

— A Krzychowego wesela nie poczekasz?

— Jemu wesele, nie mnie — burknął, zachmurzwszy się znowu Radocha. Zadra widocznie została.

II

Nakielski kasztelan Świętosław Pałuk przyjął Radochę dość życzliwie, a odebrawszy okazany dokument, przywołał kapelana, by odczytał go i objaśnił. Kapelan czytał wolno i długo, zacinając się na tyłach¹, i zdanie za zdaniem tłumacząc na język polski. Radocha nie starał się nawet uważać. Wiedział, że ziemię dostał i jak na niej będzie gospodarzyć, a o resztę nie troszczył się.

— „W imię Świętej i Niepodzielnej Trójcy, amen. Ponieważ w zmienności czasów zdarza się, że sprawy, dokonane między ludźmi stworzonymi z kruchej materii, popadają w zapomnienie z powodu ułomnej pamięci oraz gdy z ogólnej konieczności świadkowie ludzkich działań i ich sprawcy wpadają w czeluść śmierci — rozum dawnych wieków to wymyślił, iż rzeczy godne pamięci winny być utrwalone z pomocą zawsze żywego pisma, by, skoro nic pewniejszego niż śmierć, a nic mniej pewnego niż jej godzina, nie zabrakło zarazem wiernych świadectw wraz ze śmiercią świadków.

Przeto my, Włodzisław, z Bożej Laski dziedzic Królestwa Polskiego, książę Krakowa, Wielkiej Polski, Pomorza i Kujaw, pragniemy, by było wiadome wszystkim, do których dojdzie to pismo, że za naszą dobrą wolą nadaliśmy panu Radosze wieś, która się zowie

¹ skrót

Łazisko, w naszej kasztelanii nakielskiej, w ilości ła-
nów wielkich dziesięć, oraz w kasztelanii bydgoskiej
wieś zwaną Trzebież, w takiejże ilości łańców..."

Radocha tłumił ziewanie, gdy kapelan wymieniać
jął przynależności i warunki, zastrzeżenia, uprawnie-
nia i obwarowania. Ziemia jest jego, nikomu do niej
nie, i sam jej bronić potrafi. Zgoła o czym innym
myślał, gdy kapelan ciągnął:

— „Z mającego powstać siodła, które zezwalamy
obxvarować oraz wystawić samborze, pomieniony wi-
nien będzie służbę dwu wierzchowców z tytułu nasze-
go władztwa, by jak my czujnie zważamy na jego
korzyść, tak i on okazywał się czujny w pomnażaniu
naszej”.

Kasztelan słuchał uważnie i uderzył go końcowy
ustęp nadania:

— „Że zaś pomienione włości i wiele innych szczę-
snej pamięci rodzic nas?; ze zwykłej łaski nadał ko-
mesowi Piotrowi Święcy z Nowego, który wzmian-kowane
wsi osadził, wyjaśniamy, że za jednomyślną
radą baronów naszych, za zdradę i przeniwierstwo
wraz z całym swym rodem został wieczyście odsądzo-
ny od ich posiadania, wszystkie przeto pisma i doku-
menty od owego czasu wydane, a dotyczące pomie-
nionych włości, unieważniamy i całkowicie kasujemy,
by nigdy ani on, ani nikt z jego potomków nie miał do-
- nich nijakiego prawa ani nie mógł ich wykupić. Gdy-
by zaś nabył je kto inny na mocy dokonanych z nim
czynności, tego skazujemy na wieczyste milczenie, tak
by pan Radocha posiadał je w spokoju wraz z przy-
należnościami w łąkach, gajach, pastwiskach i innych
rzeczach w oznaczonych granicach...

Aby zaś nikt lekkomyślnie nie ośmielił się sprzeci-
wiać, aby to nadanie pozostało silne i trwałe, postano-
wiliśmy niniejszą kartę umocnić zawieszeniem naszej
pieczęci w obecności komesów: Pakosława z Mstyczow-
wa, Jaśka Leliwy, Adama, sędziego ziemskiego, Woj-
ciecha Rozdracha, strażnika, i wielu innych.

Działo się roku Wcielenia Pańskiego tysiąc trzeeh-setnego dwunastego, dnia trzydziestego czerwca".

Kasztelan Świętosław kiwał głową i oddając pergamin Radosze powiedział:

— Nieczęsto się trafi i nie lada komu, by księżę kasztel stawiać zwoilił. Ale prawdę rzec, przejścia między Brdą a Notecią bór jeno i bagna bronią i rad jestem, że wam, nie mnie, po boru przyjdzie się smykać. Młodszy mój syn, Henryk, to lubi, ale jam już za stary i ludzi mi brak, a bydgoskiemu kasztelanowi takoz. Czy i on rad wam będzie, nie wiem, bo bydgoski powiat w dzielnicy Ziomomysłowców i oni Trzebież Leszczycom przedali, tak mniemając, że co Świecom u nich przepadło, to ich jest, pieniędzy zasię zawsze potrzebują. Leszczyce ze swego z dobrej woli nie ustąpią, tedy prawem będziecie musieli swego dochodzić. Ja wam nijakich przeszkód stawiać nie będę. Ujazd¹ i powzdanie - uczynim, kiedy wam dogodnie. Nie wiem jeno, czy na pustkowie najdziecie osadzcę i osadników. Ziemia płocha i somszedztwo płochę, nie jeden stąd się zabiera. Osadnicy zresztą na niemieckim prawie kasztelu budować nie obowiązani, jeno czynsz płacić.

— Ja się ta na prawie ni pergaminach nie wyznawani — odparł Radocha. — Jedno wiem, że co moje, to moje i że księżę Włodzisław wiedzą, co czynią. Im rozkazać, innym zasię słuchać. Tedy nie zechce bydgoski kasztelan powzdania uczynić, sam je sobie uczynię, a Leszczyce niechaj prawem swego dochodzą, bo po to księżę tu mi ziemię nadali, bym ja Krzyżakom był pod bokiem. Mnie nie wadzi to somszedztwo i osadników takich najdę, co zbierać nawykli tam, gdzie nie siali.

— Juści, prawem nieprędko swego dojdzie, zwłaszcza na pograniczu — zauważył Świętosław. — Jeno

* objazd granic

* oddanie ziemi w posiadanie

miast z Krzyżaki, z Leszczycami będziecie się zwo-
dzić.

Radocha wzruszył ramionami, a kasztelan pomy-
ślał, że nie jego to sprawa. Może i rad był, że tak
się obraca, nie jadał bowiem z jednej misy z Leszczy-
cami.

— Szczęście to — ciągnął — że Krzyżaki ninie
przycichły i jeno na Pomorzu się umacniają, zamki
ceglane murują. Radzi strawić, co już połknęli, a nie-
radzi, by o nich zbyt głośno mówiono, bo sobór
w Wiedniu pono nawet nad kasatą Zakonu uradzał.
Ciężkie są przeciw nim zarzuty, nie nasze jeno, ale
i ryskiego arcybiskupa. Ojciec Święty sędziów usta-
nowił, którzy na miejscu badać je mają.

— Już ta przeciw psu bratom wskóra co czym in-
nym niż pięścią — mruknął Radocha. — Wždy ich
znam.

— Prawda — przytaknął kasztelan — że choćby
ich i o znowie z biesem przekonano, nie ma takiego,
co by ich zawiódł na stos.

— Ja ta i bez sądu jednemu już spalił wonczas,
gdy pod Swiecu-m stali — odparł Radocha, podkreca-
jąc wąsa. Opowiedział obszernie, jak znanego z okru-
cieństwa komtura Zygryda pojmał i w ogień cisnął,
nie ukrywając i innych zasług, za które do rycerskie-
go stanu był podniesiony. Kasztelan nieco ochłódł,
dowiedziawszy się, że Radochowy Ciołek świeżo malo-
wany. Słuchał jednak z zaciekawieniem i zakończył
życzliwie, zapraszając Radochę do Nakła, zanim się
nie pobuduje.

Radosze jednak pilno było osiąść na swoim, umó-
wił się tedy jeno o powzdanie i ujazd, po czym, zo-
stawiwszy wozy, samowtór z Pizłą udał się do Byd-
goszczy. Samego kasztelana Macieja nie zastał, zaś
podsędek Rozdrzał Leszczyc, który go pod nieobecność
zastępował, sam "był posiadaczem Trzebieży, przeto
Radocha źle trafił. Rozdrzał przyjął go wyniosłe, pa-
wet siadać nie prosząc, a gdy wysłuchał, o co sprawa,
odparł opryskliwie:

— Tu nie Łokietkowa dzielnica i nic tu on nie ma do nadania.

— Nie moja ni wasza sprawa rozsądzać między książętami. Nie wydacie po dobremu, co mi się należy, to sam sobie wezmę.

— Wraz poznać nieobytego człeka. Tu nie las, tu prawo rządzi — uciał Rozdrzał pogardliwie.

— Kieby tu las był, nie pergamin bym okazywał, ino to — odpalił Radocha, kościstą pięść podsuwając pod nos podsędkowi. Obrócił się na pięcie i trzasnąwszy drzwiami, aż pogłos poszedł po dworcu, wrócił, do Pizły, który czekał przy koniach. Wysłuchawszy, co zaszło, Pizło mruknął:

— Tyle ci po pergaminach. Zbierzem **ludzi, to** weźmiem swoje czy nie swoje.

— Prawyś. Ninie zagospodarzyć się trzeba, bo ludzie ni konie strużyn żreć nie będą. A pójdzie na siłę, nie będziem sobie odmierzać, oni zasię niechże się prawują, skoro się na tym wyznawają.

Skoczyli w siodła i ruszyli z powrotem do Nakła, by sprawę odbioru Łaziska załadzić.

Gdy włodarz kasztelana oddał wieś w ręce nieznanego rycerza, przysiadła w niepokoju. Książęcemu chłopu wiadomo, na czym stoi: trzy dni w roku robocizna na folwarku, trzy korce zboża z łąnu, trochę srebra uścibanego za sprzedane pożytki oddasz, jeszcze dziesięcinę Kościołowi Świętemu, i resztę pożywać* można w spokoju. Skrzywdzić chce włodarz, do kasztelana odwołać się można, a w ostatku bodaj do samego księcia. Rycerskiemu chłopu zasię różnie bywa, a odwołanie chyba tylko do Boga.

Niepokój przeszedł w strach, gdy rycerz Radocha wykupił sołtysa Jeszkę i sam gospodarzyć zaczął, wtrącając się zarazem chłopom w gospodarkę. Ani chybi, folwark założyć zamierza i rugować ich będzie z ziemi. Jaka tam jest, ale nawykli już do niej, wia-

domo, czego od niej czekać. Chałupy choć kurne. «le pełne dziecisków. Jakoż na łąkę iść z gołymi rękoma na niepewny los? Uradzali po kątach, ale co uradzi; rycerz prawo ma.

Milczeli, gdy miast do polnych robót jął ich gnać do karczunku i na podwody. Nie liczył dniówek i nie żałował głosu. Co prawda, nie żałował też i własnego grzbietu, i rąk, a twarde miał i lubił chełpić się siłą.

Próżniak i lekkoduch Janik, zwany Kózką od beklivego głosu, najbliżej mieszkający tymczasowej siedziby rycerza, najczęściej też ciągnany był do posług i pierwszy przejrzał nowego pana. Umiał też wykorzystać słabostkę rycerza, podziwiając jego siłę, by się nim wyręczyć, gdy cięższy od innych pniak z ziemi wyszarpnąć przyszło albo grubszy pień na półwozie załadować, by go odwieźć w głąb lasu. Tam na wzgórkach, wśród bagien, pod nadzorem Pizły dźwigał się gródek. Marnowali się ludzie i sprzężaj, gdy po piachu, krzaczach i wykrotach tramy wlec przychodziło, ale Pizło ni drogi wytyczyć nie pozwolił, ni lasu ciąć na miejscu. Radocha zrazu piekł się, że mu Pizło ludzi od gospodarki odciąga, których rękoma rad by co najwięcej ziemi wydrzeć lasowi pod uprawę. Małomówny Pizło milczał, r¹ na swoim postawił i gródek rósł, otwartym moczarem chroniony od północy, ze sterczącą nad nim basztą z potężnych bali dębowych na podmurowaniu z kamienia, w którym mieścił się wilgotny i ciemny loch. Z moczaru łukiem wybiegała bagnista fosa, odcinając wzgórek od lasu. Usypany z wybranej ziemi wał jeżył się ostrokołem, do którego kręgiem przylegały niskie budynki z surowych bali, mieszkalne i gospodarcze, stajnie, lamusy i spichrze. Pułap z nie ociosanych dranic zdał się przygniatać ciemne nawet za dnia komory, małymi okienkami spoglądające na wszystkie strony. Płaskie dachy kazał Pizło pokryć darnią, dla ochrony od pożaru. Krąg budynków przerywała tylko potężna brama z broną i zwodzonym mostem przez fosę. Dla zemsty budował zaczajone jak zbój w lesie, ponure gniazdo.

Radocha natomiast zdał się zapominać, po co tu osiadł. Użerał się z Pizłą o każdego niemal człeka czy bydlę zajęte przy budowie, a jeżeli zajrzał na nią, to jedynie po to, by się o zatrzymane upomnieć. Dworzec chciał mieć przestronny i jasny, jakie u innych rycerzy widywał. Tu nic nie było dla wygody, a mniej jeszcze dla ozdoby. Gdy po dłuższej nieobecności ujrzął dzieło Pizły, wpadł w gniew:

— Cóżżeś mi tu lisią jamę wystawił miast dworca! — wrzasnął.

Groził, że spali budynek, zdało się, że weźmie się do bicia. Pizło słuchał milcząc, a gdy Radocha wreszcie wypienił się, odburknął:

— Nie trza twojej Boguszcze malowanego dworca, kiej się byle gdzie parzyć nawykła.

Widno zły był, bo zacinał się bardziej niż zazwyczaj. Radocha, znając go, powściągnął się. Nie lubił jednak, by mu Pizło wypominał te sprawy, i warknął:

— Zasię ci do tego, dla kogo dworzec stawię.

— Zasię — nie zasię, a głupis, choieś stary. Mało ci grochowego wianka, coś go od Kundzi dostał, i po nowy się wybierasz?

— Starym? Na czterdziesty mi idzie — mruknął Radocha, zły, że mu wypomniano nieudane swaty, a bardziej jeszcze, że trzeźwy Pizło oblał zimną wodą jego zamierzenia. Nielitościwy jednak Pizło poprawił jękając się:

— Czterdzieści i jeden. A obmierzła ci wojaczka, oraj se i siej. Jeno ja u ciebie za rataja nie ostanę.

Radocha wiedział, że Pizło darmo słów nie rzuca, bo mu ciężko przychodzą. Nie odrzekł nic, kopnął z wściekłością kupę wiórów, zakławszy pod nosem, doskoczył konia i odjechał. Z zawziętością jednak jął się gospodarki. Gdy Pizło zaprzestał żądania ludzi i podwód, wieś odetchnęła nieco, ale niepokój pozostał. Na św. Marcin zebrali się dziedzice, ilu ich było: Mikuszka, zwany Rzeźnik, Sianko, Smok, Gniewko, Żeruch, Cieszybor, Więclaw, Raszko i Janik Kózka, z najstarszym, sędziwym już Dzierżkiem na czele

załadowali na dwie podwoły należną w zbożu daninę, wysupłali grosze i całą gromadą udali się do Radochy.

Wieś zbudowana była w ulicówkę, obejście przy obejściu, przedzielone wiklinowymi opłotkami, z ogrodami przy chatach, a sadami na tyłach, za którymi długie i wąskie ciągnęły się chłopskie łany, uprawne w trój połówkę. Na stojących w ścierni rżyskach pasły się gęsi, na ugorach bydło, podorywki pod jare lśniły w jesiennym słońcu rosą, osiadłą na babim lecie, ozi-me już zieleniło się.

Spokój panował na polach, ale nie było go w chłopskich piersiach, gdy ciągnęli do stojącego nieco za wsią, większego od innych domu kowala Kiliana, z otwartą kuźnią na słupkach, teraz zamienioną na wozownię Radochy, bo Kilian gdzieś przepadł. Żałowano biegłego rzemieślnika, ninie bowiem z byle drobiazgiem do Szubina jeździć trzeba było, bardziej jednak żałowano, że nie zabrał z sobą baby swojej, Boguszki. Od niej zapewne uciekł, choć urodna była i zaradna. Najłacniej zaś z mężem sobie radziła, że choć osiłek był pierwszy we wsi, wyrostki śmiały się z niego.

Boguszka radziła sobie i bez niego. Chadzała we wdowim czepcu, zapewne wydać się zamierzając, a tymczasem zęby szczyrzyła do parobków, by sobie rączek pracą nie utrudzić. Jak im płaciła, nietrudno się było domyślić babom i starczyło chłopu spojrzeć W stronę jej domu, by po łbie od gospodyni dostał.

Nie utrzymałaby się we wsi, gdyby nie to, że zjawił się Radocha i zamieszkał w Kilianowym dworku. Wiadomo, chłop jak tur, z mieczem w łożu nie leguje ni z Boguszka pacierzy nie odmawia, tym pewniej, że nawet w wielkie święta, gdy cała wieś waliła na nabożeństwo do Nakła, w kościele nie poświecił, co mu nawet tamtejszy pleban Dobrosław wypomniał. Boguszka zaś, która przedtem nie pokazywała się we wsi bez koniecznej potrzeby, teraz chadzała sobie przjbrana jak w niedzielę, kłując w oczy baby, mozólące się sierpem lub przy międlicy; jej pola obrabiali Ra-r dochowi rataje, nie potrzebuje przyginać grzbietu.

który potem trudno wyprostować. Z góry patrzyła na zajęte pracą niewiasty, one zaś udawały, że jej nie widzą; ale widziały wszystko: nowe kolce, bursztyny, szaty, haftowane czepce, kolorowe obuwie. Żółć wylewały na mężów.

Teraz chcąc nie chcąc chłopci musieli iść do domu Boguszki, co więcej — udobruchać niewiastę, by choć nie judziła rycerza przeciw wsi, gdy szkoda było czekać, by dobre słowo za nią przemówiła. Załadowali tedy i dla niej podarki, mimo sprzeciwów niewiast: płótno cienkie, drób, sery i miód, i zjechali z wozami przed kuźnię.

Na obejściu nie było nikogo. Dzierzek tedy wszedł przez furkę, odłożył zaworę i wozy przez bramę wjechały w podwórzec.

Z sieni wyszła Boguszka i stanawszy na schodach, wsparła się pod boki, drwiąco patrząc na gromadę. Strojna była jak na wesele, spod haftowanego perłami czepca, jakie widywano tylko u bogatych mieszczek, wymykały się obfite, jasne włosy, które zapuściła jak dziewoja. Na gładkiej, białej szyi lśnił potrójny sznur ciemnych bursztynów, w uszach złote kolce, pierścienie na rękach nie spękanych od znoju. Stali patrząc na nią w milczeniu, które przerwała Boguszka:

— Nie strach wam waszych bab, żeście do mnie; przyśli?

Stary Dzierzek wystąpił:

— Przyśliśmy z danią dla ślachtetnego **rycerfca, jak** należy, ale i do ciebie z dobrym słowem i gościńcem,

— Nie w gościńce przyśliście, tedy i gościńce niepotrzebne — odparła wzgardliwie. — Caemuż to nie zwiecie mnie Ścierką jak raniej? Z danią zaczekajcie na drodze, aż włodarz wróci i zakarbuje. Nic tu **więcej** nie macie do szukania.

Stary Dzierzek pogładził siwą brodę:

— Ty, Boguszka — rzekł — żyj se, jak chcesz, **skoro** o to nie stoisz, co ludzie gadają. Ale gromadzie **nie** szkodź, bo sama wiesz, że różnie bywa: dziś ty nani, jutro my lobie.

— Co jutro będzie, nie dbam, jako i o wasze odkazywanie.

— Wždy nie grozirm — wtrącił się Kózka. — Żyłaś jakoś przy nas, zwólże i nam żyć, Lubiałaś mnie ongi — bezczelnie przymrużył oko — ninie lubisz innego. Niechaj ci płuży, gdzie mi się ta równać. Ale żeby nie my, dawno by cię baby ze wsi wyświeciły i szczęśna dola by cię ominęła.

— Ninie ja was ze wsi wyświecę — rzuciła ze złością.

Stali w milczeniu, spozierając na nią ponuro. Niepróżne były ich obawy. Stary Dzierzek, który, litując się nad nią, nie pozwolił wietrznicy ze wsi wygnać, gdy inni lękali się przemówić za nią, by nie popaść w podejrzenie, teraz myślał, że wyrozumiałość jego gorzki wyda owoc. Wahali się, co począć, gdy z domu ozwał się niski głos Radochy:

— Boguszka, znowu wdzięczysz się do źradła? Żreć dawaj!

Zmieszała się nieco, a bystry Kózka odkrzyknął:

— Nie do źradła, ślachetny panie, jeno do nas! Z danią przyśliśmy.

— Właźcie! — zawołał Radocha. — Co będziecie uradzać na chłodzie.

Boguszka patrzyła złymi oczyma, jak hurmą przeszli przez sień do świetlicy. Łagodne światło jesiennego słońca, przesączając się przez błony w oknach, grało wszystkimi barwami na flamandzkich kobiercach, okrywających długi stół, ławy, stołki i ściany, a nawet polepę. Radocha siedział na łożu rozczochrany, z rozchełstanego parcianego giezła wyzierała jego szeroka pierś, okryta czarnymi kudłami. Wskazał chłopom stojącą pod ścianą ławę:

— Siadajcie!

Stali jednak, mnąc czapy v* rękach, nie ważąc się deptać po tych wspaniałościach. Tręcali jeno Dzierzka, by przemówił, gdy niecierpliwy Radocha huknął popędliwie:

— Siadajcie, do **biesa!**

Usiedli rzędkiem pod ścianą, trzymając czapy na kolanach, jeno Dzierzek przystąpił do pana i podejmując go pod nogi, rozpoczął:

— Dań my przywieźli, jak należy, a rozmówić my się chcieli z waszą miłością.

— Siadaj! — Huknął Radocha. — Dań nie uciecze, a gadać nie będę, pókim głodny. Śniadanie, Boguszka! — wrzasnął, aż za wierciło w uszach.

Weszła z zaciśniętymi ustami, nie patrząc na chłopów, postawiła na końcu stołu misę i kubek, położyła łyżkę i chciała wyjść, gdy Radocha rozkazał:

— Dla gości zastaw.

— Smerdy, nie goście — odparła gniewnie.

— Tyś gospodza? A nie jeno jadam z tobą.

Hamując śmiech, odetchnęli, tylko najśmielszy Kózka parsknął głośno. Spojrzała na niego nienawistnie i wyszła prędko, by nie pokazać łez gniewu i upokorzenia. Pomsta nad wsią wydała się jej tera? mniej pewna.

Chłopi jednak nie byli jeszcze spokojni. Rycerz gwałtowny jest i niczyjego sprzeciwu nie znosi. Jedłt nieśmiało i powściągliwie polewkę z piwa i sera, przegryzając białym kołaczem i wędzonym mięsiwem. Tylko Kózka łapczywie korzystał z gościnności, a Radocha pożywiał się jak po wielkim poście. Gdy skończył, rozparł się wygodnie, patrząc z dumą i zadowoleniem, jak chłopi nieznacznie, ale z podziwem oglądają wymyślnie zdobione cynowe i srebrne, naczynia i zastawę. Podkrecając wąsa, powiedział:

— Dziwujecie się? W błocie tego leżało, ile zdzielży, kieżni Kraków brali. Mieczem więcej wyorze rijż, pługiem.

— Tedy i po co wam orać, ślachetny panie — podchwycił Kózka. — Wždy my wyrobim i na Kościół Święty, i na was, choćbyście i co dnia tak żarli jako ninie, aczkolwiek na przednówku nieraz i dzieciskom od gęby odjąć przyjdzie.

— Ty wyrobisz i swoim dzieciskom od gęby odejmiesz? — drwiąco zapytał Radocha. — Jeno ogier do

bitki wyżarty musi być i po pęciny w owsie stoi, dc orki zasię nie, boby uprzężę pozrywał.

Teraz inni zaśmiali się, a Kózka poczerwieniał, bo gospodarz był żaden, a i dbać nie miał o kogo. Choć bowiem łeb leniał mu już, baby nawet nie pojął i ze wszystkim chłop był lekki. Jenó Dziei'zek zmarszczył się i rozpoczął:

— Kto wyrobi, to wyrobi, i rozumiemy, że inny pański żywót, a inny chłopski. Wasze prawo dań brać i wasza wola choćby i konie obroczyć chlebem, który dzieciskom od gęby odejmim. Jenó pokornie was prosim, byście nas ponad prawo i miarę nie uciążali, bo nie wydolim.

— Co ponad prawo! — huknął Radocha. — Za-wždy chłopi grody budowali.

Skulili się. Trudno gadać z gwałtownikiem. Ale Dziei'zek, choć broda trzęsła mu się nieco, ciągnął śmiało:

— Trzy dni robocizny dłużniśmy w roku, bez sprzężaju, i w roli, nie przy kaiczunku, któren siły wysysa z czleka czy bydlęcia. A mało trzydzieści my odrobili. Bóg widzi, krzywda nam.

Radocha zachmurzył się, ale nie wybuchnął. Spoglądali na niego z niepokojem. Chytry Kózka wtrą-
<f:

— Już się nie sumujcie, ślachtetny panie, bo nija-fciej złości o to do was nie żywim. Co było, to było, gródek już stoi, mało cztery łany nowizny wy karczowane. Łazęgów se zmówicie i jeno żyć. A nas zgoła na niemieckie prawo przenieślibyście, jako i inni ry-cerze czynią, a i samo książę, którzy rozum mają i wiedzą, że za gotowy pieniądz wszystkiego na targu kupi. Nie jeno chleba, ale i kolce dla dziewczek, i ko-rzenie, by jadło wymyślniejsze było, gdy prostego już przez gardło nie przepchacie. My zasię pergamin ma-jąc, spokojnie spać będziem, Boga chwalaćy i waszą miłość. Słychać, pruscy panowie nawet Kościółowi Świętemu dziesięcinę w pieniądzu płacić każą, nie

snopową w gonitwę ¹. Pono i wy sami na niemieckim prawie osadników nadawać macie. Cóż my gorsi? Zamyślony Radocha odparł:

— Ej, żebyś ty, Kózka, pod pruskimi panami siedział, tobyś poznał, co krzywda jest. Dziesięcinę, prawisz, w pieniądzu chłopci płacą? Juści, bo zboże do zakonnego spichrza odstawić trzeba. Ostawi ci wójt, ile mu wola. A spróbowałbyś pysk ozewrzeć, że cię pracą uciążą, a nie takie zasię grody budują! Proś ty Boga i mnie, byś ich nie poznał.

Radocha z dumą podkreślił wąsa.

— Osadzać będę albo nie — ciągnął — ale kupę mi zebrać takich, co się i szubienicy nie ułęką. Żreć zasię muszą, choć nie robocą. Tedy siedźcie, i.ikeście siedzieli, a com was uciążył — zapłacę.

— My by, panie, i siedzieli — wtrącił Dzierzek. — Gdy człeku siedemdziesiąt godów z okładem, każdej-odmiany się boi, bo ile ich było, zawsze na gorsze; Jeno pewność mieć musimy, że nas z ziemi zganiaj nie będziecie. Wždy i pszczoła, choć prawią, że najr robotniejsze bydłatko jest, nie nosiłaby pożytku, gdyby wiedziała, że ją z barci wykurzą. Niechże będzie,, jak bywało, bo znój nam niedziwny, a i z głodem my-znajomki.

— A kćoże was z ziemi ruguje? — zapytał Radocha ze złością.

— Bywa tak — odrzekł Dzierzek wymijająco. — I książęta, i rycerstwo, a nawet wielebne duchowieńr. stwo z ziemi chłopca zgania, gdy ją swym potem **zna**-wozi. A widzim, że sami gospodarzyć zamyślacie.

— Nie łza mi, kiedy mi się zechce?! —przerwał Radocha.

— Juści, wasza wola, a nam strach, że na naszym - odparł Dzierzek.

--Ojczy Dzierzku — wtrącił znowu Kózka — już też rycerzowi całą prawdę rzec należy, jako na świętej spowiedzi. Boguszka nam, panie, odkazuje, iż nas ze wsi wyświeci, bo ia baby Ścierka przezwaly. A kćo-
* z oasiawą

że babie pysk zawrzeć wydoli? Łacniej wodę zastawić, by nie ciekła. Za to nam na przepadle iść?

— Ja ta wydolę — odparł Radocha. — Bogucha! — huknął, aż podskoczyli.

Weszła z twarzą zaciętą, bo widocznie podsłuchiwała, i nienawistne spojrzenie skierowała na Kózkę, który udawał, że tego nie dostrzega. Ni słowem nie odezwała się, gdy Radocha nakazał ostro:

— Kuśtyki podaj i miód. Litkup pić będziem na znowę, jako nikogo z ziemi nie zegnam, co i rycerskim słowem poręczam, zasię za wyrobek i sprzężaj zapłacę.

Hamował się widocznie, ale zły był, bo szarpał wąs, i rąbnał wprost:

— Ty zasię nikomu nie odkazuj, boś tu nie gospo-dza i nie będziesz. Ruszże się!

— Ktom jest, popamiętacie — syknęła przez zęby.

Ze złością podała poczęstunek i wyszła. Radocha sam nalał w kubki i przypił do chłopów:

— Nie będziecie ze mną mieli źle, ino mi się nie przeciwcie. A trzeba wam będzie dla dziecisków, jeszcze ze swego dołożyć. Stać mnie.

— Dziękujemy pokornie waszej miłości — odparli gromadnie.

Gdy wkrótce, zachwalając Radochę, wracali do wsi \ wraz z daniną, którą im za wyrobek odpuścił, stary Dzierzek powiedział:

— Dziękować Bogu za to, co jest. Ale na cudzej woli zawsze dola niepewna.

— Mnie zasię dziękować, iżem Boguszkę odsądził — wtrącił Kózka. — Nie będzie go na nas napuszczać.

— Ta nie będzie, to najdzie się druga — odparł markotnie Dzierzek. — Rycerz pochutliwy jest, choć niemłody. A najgorzej, gdyby rycerską córę pojął. Tej nie odsądzisz, a swojaki już go nauczą, jako i wołu wydoić.

— Wy bo zawsze na zapas się trapicie — **zauważ** żył Kózka lekko.

— Bo jeszcze pomnę, jako jeno niewolni na pana robić musieli. Najgorzej, że gdy się pany między sobą wadzą, na chłopskiej skórze się krupi.

— Gadali w Nakle, jako Radocha sam z chłopą rycerzem ostał — odezwał się Mikuszka.

— I bez gadania go przejrzałem jako oną gomółkę szklaną w kościele. Jeno gębę rozewrze lubo rękę do czego przyłoży, wraz poznać, że chłop — przychwalił Kózka sam siebie. Dzierzek odparł:

— Po tobie zasię nie poznać. Gadasz, jakobyś z księgi czytał, a do roboty, żal się, Boże. Tobie by się udało srebro w błocie zbierać, jako prawil rycerz Radocha. Jeno że co lekko przyszło, lekko pójdzie.

— Juści, żeby mi się udało. Gorzej, gdy lekko pójdzie, co ciężko przyszło.

Gwarząc rozchodzili się już do zajęć i chałup. Kózka stał przed swoją, zadumany. Wraz by Ją cisnął i ze wszystkim do Radochy przystał. Lekkie życie, a prawdę mówił Dzierzek, że Kózka na chłopą się nie nadał i rad by srebro w błocie zbierał, miast ręce urabiać.

Z niechęcią patrzył na potarganą strzechę i nie ogacone ściany swej chaty. Sloty się zaczną lada dzień, deszcz będzie zacinał do wnętrza, a wiatr gwizdał w szparach. Mimo pracy przy karczunku inni dawno już posiali, a on jeszcze orać nie skończył. Drewna i suszu trzeba by zwieźć na zimę, siana dla wolu i krowy, póki nie zamoknie, a na wszystko jedna para rąk własnych, niezbyt robotnych.

Namyślał się właśnie, do czego je najpierw przyłożyć, gdy ryk krowy przypomniał mu, że nie wydojona w południe.

— Bodaj cię wilki stargały — zaklął, .

Najbardziej obmierzała mu babska robota. — Zrobisz — nie widać, a nie zrobisz — wyłazi wszystkimi bokami.

Narzucił bydłu resztkę siana za drabinę, byle jak popłukał skopek i na trójnogim stołku zasiadł do dojenia. Doił i klął, jakby litanię odmawiał, od czasu do czasu jeno głośniejszym wyzwiskiem darząc kro-

wę, gdy go chwosteni smagneła po karku. Torba na: sieczkę! Co dzień mleka ujmuje, na zimę o jałowej kaszy ostać przyjdzie. A Radocha zre jak w święto. Póki żyła macierz, jej to była robota i Kózka nie czuł braku niewieściej ręki. Ba, nieraz czuł ją aż nadto. Nie zenił się, bo która by tam chciała lekkiego chłopca, a ciężką świekrę. Teraz zdałoby się babę wziąć, ale oznaczałoby to przypiecztowanie losu. Chłopskiej doli nie odmieni, ale swoją mógłby. Nieraz już dumał nad tym, by przenieść się do miasta, jak kowal Kilian. Ale ten i pieniądz miał, i znał dobi-ze swoje rzemiosło. Kózka znał zaś z każdego po trosze, ale żadnego jak należy, a pieniądz się go nie trzymał. Ale choćby się i poduczył, mierziła go myśl, by do końca żywota robić co dzień to samo. Nie ma to jak wojakom! Choćby i srebra w błocie nie zbierali, wszystko gotowe im przychodzi i o nic troskać się nie potrzebują. Najmniej zaś o to, że się panowie między sobą wadzą i jeden drugiemu chłopów wybija i niszczy. W Nakle gadali, że ani chybi wojna będzie między pruskimi panami a księciem Wodzisławem o Pomorze. Znowu zaczną wieś palić, bydło zabierać, ludzi wycinać lub brać w niewolę. Szkoda /ręki do czegoś przykładać.

Kózka krzątał się jeszcze przy gospodarce, ale już byle jak. Radocha mówił, że kupę zbiera, będą palić i łupić innych, miast cudzym łupem być. Od powzięcia postanowienia wstrzymywała Kózkę tylko myśl o Boguszcze. Baba mściwa, otruć jeszcze gotowa. Ale nie siedzi ona zbyt mocno, gdyby Radocha żonę pojął, przegnać musi miłośnicę. Jeno czy i on wówczas nie wrośnie w ziemię? Kózka nie mógł zrozumieć rycerza, który sam się do roli przykłada, skoro ma rat a i i chłopów. Może iście folwark założyć przedsięwziął, by zboże wywozić do Prus i na Litwę jak wielu innych rycerstwa, duchowieństwa, a nawet samych książąt. Choć na cudzym nie utrudzi się nad miarę, na rataja przystać Kózka nie miał ochoty; ale mniej jeszcze uśmiechała mu się dola chłopca, który tkwi

w ziemi jak drzewo, samo ruszyć się niezdolne, a wykarczuje je, kto jeno topór ma w rękę.

Kózka wziął się do gotowania wieczery, ale myślał o tym, jak by to pięknie było jeno wrzasnąć, niczym Radocha, i zasiąść do stołu, zastawionego jak na Wielkanoc, że jeno przebrzydzać. Jadł źle oczyszczoną i byle jak ugotowaną kaszę, piasek zgrzytał mu w zębach. Spluwał i kłął, a zarazem troskał się, że na przednówku i tego braknie. Nie umywszy nawet statków, położył się i usiłował zasnąć. Ogień na palenisku wygasł, w ciemności majaczyły jeno jaśniejszą plamą otwory okiennic, przepuszczając niepewny poblask gwiazd, a zarazem chłód jesiennej nocy. Ani chybi, na rano będzie siwy przymrozek. Nie jeno na siew, ale i na orkę za późno.

Kózka odwrócił się na drugi bok i owinąwszy się szczelnie, darmo czekał na sen, który jednak nie nadchodził. Po dłuższej chwili rozwarł znowu powieki i zdało mu się, że otwory w okiennicach poróżwiała. Zamrugał oczyma, niepewny, czy go wzrok nie zawodzi, i zerwał się z legowiska. Kopnąwszy drzwi, wypadł na obejście i, nie bacząc na ksząjący chłód, pędem puścił się do pożaru. Płonął dom Boguszki. Jęzor ognia wysunął się przez okno i lizał już dach; chwając się w lekkim powiewie, piął się ku kalenicy i nasycił bezkسیężycową noc czerwonym światłem.

Kózka migiem dopadł miejsca, ale i rataje byli już na nogach, wyprowadzając ze stajni bydło i konie. Radochy jeno ni Boguszki widać nie było. Kózka skoczył do izby.

Pełna była gęsiego dymu, przez który z kąta, gdzie stało łoże, przeświecał płomień, rozszerzając się z każdą chwilą i obejmując już cały narożnik domu. Krztusząc się i dławiąc Kózka na oślep wyrzucać jął przez drzwi, co mu wpadło pod rękę. Ale nie wytrzymał i musiał wyskoczyć do sieni. I tu jednak gryzący dym nie pozwalał zaczerpnąć oddechu. Kózka, zataczając się, ostatkiem tchu wypadł na pole.

Gdy przetał załzawione oczy, pomiarkował, ię do-

mu uratować się nie da, choć ze wsi jeden za drugim nadbiegali już chłopci i parobcy z toporami i wiadrami. Ratunek szedł składnie. Ale ratowali już jeno gospodarcze budynki, zlewając je wodą i okładając mokrymi szmatami. Kózka chwycił jedną i owinąwszy nią głowę, skoczył jeszcze do sieni, by ocalić choć to, co wyrzucił z izby. Nie mógł przenieść myśli, że marnuje się tyle dobra, i gdy udało mu się wywlec parę kobierców i trochę statków, usiadł zadyszany. Ręce poparzył, ale rad był z siebie i patrzył już beczynn timer, jak topory i bosaki wałą dom w jeden stos, w którym ogień szybko trawił suche bierwiona. Teraz wiadra poszły w ruch, kłęby pary jęły mieszać się z dymem, płomień zaczął przygasać i koło północy ciemność ogarnęła pogorzeliisko.

Nie było już obawy, by ogień się rozszerzył. Bydło i konie wprowadzono do stajni, znużeni rataje uklądli się przy nich, a chłopci szybko wracali do domów, bo rozgrzane ciała przenikał dotkliwy chłód. Gadali, jednak w podnieceniu, jeden przez drugiego, i Kózka dowiedział się, że po odejściu Dzierzka i gromady Boguszka piekliła się w izbie, lecz Radocha widno zadość miał swarów i dosiadłszy konia, wyjechał. Baba nie pokazywała się do wieczora, a gdy rataje zauważyli ogień, nie było jej nigdzie. Ona to bez wątpienia podłożyła ogień i poszła szukać szczęścia gdzie indziej. Zawzięta jędza! Żalowano zmarnionego dobra, niemniej chłopci radzi byli, że Boguszka zabrała się ze wsi i już nie wróci.

Kózka w milczeniu zacierał poparzone dłonie. Mieszając najbliżej, pierwszy odłączył się od gromady. W pozostawionej otworem chacie ziań kasał, ale teraz nie trzeba już szczędzić opału. Zawarł drzwi, rozniecił ogień i palił, ile wlażło. W kociołku nastawił wędzone mięsiwo, chowane od święta, i czekając, aż się uwarzy, dał folgę myślom o lekkim życiu u boku Radoehy.

III

Radocha wracał do Łaziska o szarym świetle. Wstając z wilgotnej ziemi mgielka osiadała rześistą rosą na gałęziach łysych już drzew, z cichym szelestem skapując na zalegający leśne podłoże gruby kobierzec listowia, który głużył tupot końskich kopyt. Czasem tylko ciszę przerywał szmer lekkich kroków pierzchającego drobnego zwierza, nie mącąc jednak sennego spokoju.

Radocha wzburzony był widocznie, bo od czasu do czasu targał wąs i klął pod nosem. Zawikłał się z Boguszką, choć wiedział, że wyrachowana jest i chciwa, a nie z jednej studni wodę pijała. Takich jak ona miał już na kopy i zadość mu ich było, jak i życia z dnia na dzień. Gdy gniazdo sobie założyć umyślił, nie takiej mu niewiasty trzeba. Z uporem i żalem myśl jego wracała do Kundzi. Juści, nie jedna ona i wkrótce Krzychowe dzieci wodzić będzie. Ale gdzie szukać drugiej, co by nie jeno urodna była, ale wierna, łagodna i wyrozumiała. A cóż po majątności i herbie, gdy nie ma ich komu ostawić i nie ma na świecie miejsca, dokąd by się wracać chciało.

Poganiał jednak konia, zacinając się w postanowieniu. Słabość miał do niewiast, ale z Boguszką skończyć trzeba. Żadnej za niego nie dadzą, gdy siedzieć będzie z miłośnicą. Co gorsze, trzeba się wynieść ze wsi i poczekać, aż ludzie gadać przestaną. Radocha nie umiał swych uczuć i myśli ubierać w słowa, ale

zajście z Boguszką i rozmowa z Pizłą uświadomiły mu, choć niejasno, że chciał wrócić do ziemi jako do kraju swej młodości, osiąść ją nie na pergaminie, lecz własnymi rękoma. Chciał jej mieć dużo, nie jak chciwiec pieniądź, dla użycia czy znaczenia, ale by wyrosło na niej i rozparło się jego pokolenie. A na to należą trzeba niewiastę, która tylko jego własna będzie. Jak ta ziemia jemu tylko będzie rodziła, czekała na nieobecnego, pielęgnowała w słabości, a kiedy umrzeć przyjdzie, lekką dłonią zamknie mu powieki i zapłaczę na grobie.

Kundzia wciąż jeszcze wierciła mu w sercu, dziwne, że im dłużej, tym dotkliwiej, jak zadra, której człek zrazu nie czuje, a potem jątrzy się zaczyna. Ale wiedział, że już nic z dawnych zamiarów, i zamysłał uderzyć o rękę córy pana z Szubina. Toporczycy możni są, dziewczucha pono niczego sobie, a ziemię graniczą. Radocha chce mieć dom i rodzinę jak drudzy, skoro się rycerskiego pasa i majątności dorobił.

Miał tego zostać sam. Nigdy nie myślał, czym jest dla niego Pizło. Z dawnego nawyku chciał się przed nim wygadać, choć ten boczył się ostatnio; nie pierwszy raz, a niemal zawsze wtedy, gdy się Radocha z białogłowami zadawał. Tedy rad być winien, że się z Boguszką skończyło, a Radocha przeniesie się do gródka.

Sam jednak niezbyt chętnie o tym myślał. Przyzwyczaił się już do wygod i dobrego jadła. Jaka tam była Boguszką, o to dbała, może i po to właśnie, by go usidlać. Gdy dotarł do gródka, ogarnęła go złość. Bramę zastał otwartą, na dziedzińcu pełno wiórów i śmieci, nie uprzątniętych po zakończeniu budowy. Na strażnicy przy bramie dwaj parobcy grali w kości, poza tym nie było widać nikogo, nawet Pizły. Pustka i zaniedbanie wiało zewsząd.

Radocha sklął parobka, a gdy po południu Pizło wrócił i na niego rozwarł gębę. Ale Pizło jeno ramionami wzruszył:

— Jam tu gospodarz, zali ty? Budę wystroitem, jeno psa nie masz, bo za sukami cieka.

— Cóżeś taki pyskаты? Właśniem się tu przenieść umyślił, jeno od czego poczynać? Wždy tu ani strawy nie ma kto uwarzyć.

— Nie w smak ci to już Boguszka warzy?

— Odczep się! Jeno bez baby nijaka gospodarka. Taka jak macierz moja tu by się zdała. Do czego przyłożyła ręki, darzyło się. Pomnisz ją?

— Juści, ja pomnę. Jeno tyś zabaczył, że ją Krzyżaki przyorali i nie gospodarzyć masz, jeno wojować.

Pizły nie urzekła ziemia. Nigdy na swojej nie pracował, rodziciele nie pamiętał, domu nie miał. Od niemowlęcia żył na opiece gromady, ale każdemu swoje dzieciska bliższe były niż ryży, kosy, nieurodny i zająkliwy znajdek. Nie lgnął też do nikogo, tylko z Radochą zżył się przez macierz jego, która nie zrażona wyglądem ni mrukliwością ponurego wyrostka zawsze znalazła dla niego dobre słowo, gdy był smutny, a smaczny kasek, gdy był głodny. Gdy Krzyżacy spalili i zaorali wieś, z pogorzelska wyniósł Pizło tylko wspomnienie dobrej, wesołej niewiasty, które skrycie przechowywał jak skarb, a z uczuć została mu tylko nienawiść. Z Radochą nie mówili o tym, bo bez gadania od ćwierci wieka już płacili Krzyżakom ogniem i krwią i Pizle nigdy na myśl nie przyszło, by się coś mogło odmienić.

Radochą zasepił się. Po chwili milczenia odrzekł:

— Nie zahaczyłem. Inni to nie wojują? A gospodarzą i dzieci płodzą. Tak ino dla samej pomsty bez całej żywot wojować? Ni się gdzie przytulić, ni komu ostawić, com się krwawicą dorobił?

Szare, z lekka kosę oczy Pizły spod nastroszonych, jasnych brwi świdrowały Radochę. Powiedział zjadliwie:

— Piawyś! Tańsza pomsta od majątności. Mało to rycerstwa na Pomorzu ostało f hołd złożyli nowym panom, choć im swojaków w Gdańsku i indziej wy-

cieli? Nie mówięcy o wielmożach, co sprowadzili psu-
bratów, gdy im książę nie na rękę byli.

— Lekko ci gadać, kiedy nic nie masz — ze złością
przerwał Radocha.

— Juści, nic, nawet pomsta nie moja, bom nikogo
we wsi nie miał. Lekką by psubraty mieli robotę,
gdyby się każdy jeno za swoje ujmował.

. Pod spojrzeniem Pizły Radocha wiercił się. Nijak
się przed nim wygadać. Warknął zmieszany:

— Cóż się tak na mnie gapisz, jakobyś mnie po
pierwsze widział? Nie Iza mi żyć, jak mi się zachce?

— Nie moja sprawa, po co cię tu książę osadzili.
Myszę, nie po to jeno, byś gniazdo uwił z Boguszką.
Cości się w tobie odmienilo...

— Do biesa z Boguszką! — przerwał Radocha. —
Swego ona patrzy, za głupiego mnie mając, bez tó,
żem miętki. Nie to co Kundzia — wyrwało mu się
mimowolnie i umilkł.

Pizło popatrzył na niego badawczo:

— To cię gryzie?

— To iście. Gdybym rzekł, co wiem, toby ml
Krzych Kundzi nie wziął...

Pizło obojętnie ramionami wzruszył, ale Radochę
widno istotnie gryzła ta sprawa, bo ciągnął jak do
Siebie:

— On wielkolud, co go Krzych usiekł, nie Niemiec
był. Po naszymu z tą jędzą Terką gadali, nim zdechł.
Mścigniew mu było i nałęczkę miał na szczycie.
A z Krzychem podobni jako ojciec ze synem...

Gdy Pizło i teraz nie odezwał się, Radocha ciągnął
z wzrastającą gwałtownością:

— Zaufaj jeno komu, na zdradzie ci stanie. Budzł-
woj niby życzliwy i pił ze mną, i do rodu przyjął,
A tak ci mnie z Kundzią swatał, jakoby na wodę pluł.
Już sobie umyślił z Krzychem ją sprząc, by się pray
nich przytulić, bo cni mu się na starość samemu!,
A mnie to nie? Jeszcze za głupiego mnie mający, gą*
dał z Kundzią, jakoby mnie nie było. A złożywszy
jedno z drugim, wiem, co to za tajemnica: Krzych

jest Mścigniewów, tedy nijaki Łeliwów krewni3k-
Gdyby o tym wiedział, toby się od kasztelanki Jaś-
kówny nie odczepił.

— Cóż ci do tego — obojętnie wtrącił Pizło. —
Budziwoj mądrze to pomyślał — takowa by z was pa-
ra była, jako młoda klaczka ze starym wołem. Dobrze,
że ci Krzych Kundzię zabrał, bobyś przy młodej d^ie-
wusze zbabiał do reszty. Ty bacz, coś księżęciu wi-
nien, skoro ci się pasa zachciało, zasię białki z głupie-
go lba se wybij, bo ino trzosa twojego patrz...

Urwał widząc, że Radosze włos się zjeżył i w&sy
nastroszyły. Oczy mu latały nieprzytomnie, gdy wrza-
snął:

— I ty mi na zdradzie stoisz! Boisz się, byś sam nie
ostał, gdybym się wydał. Tyżeś mi odradził, bym
Krzychowi nie rzekł, com u Terki słyszał. Ale ja poj-
mę dziewczę, jaka mi się uwidzi. Chcę mieć dom, dzie-
ci, gospodarkę... a ty idź do biesa!...

Pizło wstał, prostując swą zazwyczaj przygarbioną
postać. W kosych jego oczach świecił gniew i żal. Na-
wet się nie zacinał, gdy odparł:

— Głupiś. Mnie łącno samemu ostać, bo nawykłem,
Nawet rodziciele nie pomnę. I to wiem, żem stary,
żem zbój i... że taka dola. Niechaj się tobie odmieni...
jakoś i ty się odmienił, kiejś rycerzem ostał...

— Zawidzisz mi? Idź do biesa — powtórzył Radocha.
Słyszał, jak trzasnęły jedne i drugie dźwierzę. pod-
rywało go, by skoczyć za Pizłą i powstrzymać druha
ale złość go jeszcze nie odeszła. Mruknął jeno do
siebie:

— Is go! Rządzić by mną chciał jak wyrostkiem
Wrócisz ty, bo co byś ta sam robił!

On nie wyobrażał sobie życia bez Pizły. Od ćwierci
wieka z górą dzielili ze sobą wszystko, bardziej niż
bracia. I teraz Radosze nawet w myśli nie powstało, by
Pizło odejść miał na zawsze. Nie pierwszy raz się po-
zarli.

Uspokoiwszy się Radocha obszedł gródek. Obmy-

siał, co i jak trzeba urządzić i zarządzić, a do wszystkiego Pizło był potrzebny. Znowu złość zaczynała w nim wzbierać na towarzysza, że nie wraca, gdy jemu pilno. Ale cierpliwa¹ się do wieczery, którą kazał łązgom na dwóch zgotować, i obficie, bo Pizło wróci zgłodniały.

Jadł ją jednak sam i niesporo, bo wciąż nasłuchiwał, czy Pizło nie wraca. Późno ułożył się na spoczynek, ale nie mógł usnąć. Noc była cicha, jeno sowy, które zdążyły się zagnieździć na pustej wieży, krzyczały żałośnie. Zresztą żadnego odgłosu, jakby wymarł cały świat.

Po raz pierwszy Radocha czuł się już nie samotny, ale jakby nagle zabrakło mu części samego siebie. Ogarnęły go wspomnienia, a co przeszedł i czego doznał, wszystkiego świadkiem lub uczestnikiem był Pizło; zgryźliwym, mrukliwym, ale niezawodnym. Jego życie z Radochowym jedno było. Dlatego Radocha wciąż jeszcze nie wierzył, by Pizło miał nie wrócić. Żle by mu to było na stare lata Radochowe dzieci piastować?

— Jak se chcesz — mruknął i odwrócił się, jakby plecyma do Pizły, na drugi bok. Ale i tak nie mógł usnąć.

Noc jeszcze była, gdy zerwał się. odszukał parobków zaszytych w jakiś ką. zwymyślał ich i dosiadłszy konia, na odjezdnym rzucił:

— Gdy Pizło wróca, rzeknijcie im, że **się** tu zwlokę ze wszystkim przed wieczorem. Bym tu **ład** zastał, nie jako w świńskim chlewie!

Na widok zgliszcz Kilianowego dworku Radocha jeno splunął:

— Ścierwo! — mruknął, ale w duszy rad był, że się bez wyrzutów i łez pozbył miłośnicy. Znowu Kundzia przyszła mu na myśl i osowiał. Straconego mienia, którym ozdobić zamierzał nową siedzibę, także **żał**

mu było. Coś tam jeszcze zostało w jukach, trochę ocalił Kózka. Uchowal się także pergamin. Na jego widok Radocha zamyslił się. Będzie wkrótce potrzebny. Wywiedziawszy się o przebiegu wypadków, Radocha posłał po Kózkę, który sam jednak wypatrywał powrotu rycerza i zjawił się zaraz, jeszcze osmolony, •i opalonymi brwiami i zarostem, ale rad z siebie. Pokazując pęcherze na rękach powiedział:

— Widzicie, ślachtetny panie, zem i skóry własnej nie pożałował, by wasze mienie ocalić. Żebyście mnie wcześniej zapytali, co za jedna ta Boguszka, nie byłoby tego wszystkiego, bo juści znalazłem jędzę dobrze i mnie także co nie bądź kosztowała. Ale nijak mi było rzec, kieście z nią siedzieli.

Przymrużył poufale oczy, jakby chciał podkreślić ., łączące ich przez nią powinowactwo, a gdy Radocha się nie odezwał, ciągnął:

— Wolej by moje spaliła niż wasze. Ani sami o nie tak nie dbacie, jako ja bym dbał, gdybym całkiem przystał do was. Byście mi jeno gospodarkę przedać zwołili

Radocha, który i tak zamierzał ludzi ściągnąć do gródka, odburknął:

— A sprzedajże, jeśli kto kupi dziurawą chałupę i zapuszczone pole. Jakbyś o moje tak dbał, tobym ci gnaty poprzetręał. Nie boisz się, to się zbieraj, bo jak stoję, jadę do gródka.

Odwrócił się, by ratajom wydać rozkazy. Resztę kobierców i naczyń oraz trochę spyży kazał załadować na dwa juczne konie, pergamin starannie owinięty w płótno schował w zanadrze, by go znowu na utratę nie narazić, po czym, pożywiwszy się, czekał na Kózkę.

Kózka niewiele czasu potrzebował, by swoje mienie spakować i pożegnać się z gospodarką. Przyodziewę związał w węzelek, trochę narzędzi i drobiazgów zgarnął do torby, bydłátkom nałożył siana, ile wlażło za drabinę, i poklepawszy je, powiedział;

— Wspominajcie mnie mile, choć; ja **rad** Q Was

zapomnę. Będzie wam lepiej z nowym gospodzinem, jako i mnie.

Obejrzał się, splunął, przeżegnał się i pobiegł do Dzierzka, który właśnie najmłodszą córę wianował, a swojej gospodarki wolał nie dzielić i ziemi chciał dokupić. Choć Kózka nie bardzo się drożył i godził się czekać na zapłatę, wzięwszy jeno zadatek, przecie potargować się należało, a potem po obyczaju litkup wypić.

Krótki dzień miał się ku schyłkowi, gdy Kózka z tobołkiem, srebrem w trzosie pobrzękując, zjawił się znowu u Radochy. Podniecona miodem wyobraźnia nasuwała mu obrazy beztroskiego, swobodnego życia. Wojaczki lękał się nieco, bo tyle w życiu bijał się, co podpiszwszy w karczmie za młodu. Ale nie będzie się przecie zrazu na pierwszego pchał. A gdy nawyknie, może mu się poszczęści, jak samemu Radosze, i na starość na majątności będzie siedział, drugich do pracy poganiał, a w wymyślnym jadłe przebierał.

Radocha przyhamował nieco rozkołysane marzenia Kózki. Siedział już na koniu, a parobcy trzymali dwa juczne i zapasowego podjezdka. Gdy Kózka zbliżył się beztrosko, Radocha warknął:

— Kędy się wałęsasz? Chcesz do mnie przystać, słuchać masz jako pies, jeno ręką skinę. Bym ci tegt wtóry raz gadać nie potrzebował. Siadaj i jadziem.

Trącił konia ostrogą i ruszył z miejsca. Kózka, który wyrostkiem będąc czasem dosiadł na oklep żróbka na pastwisku, a od tego czasu nie miał z końmi do czynienia, z trudem wgramolił się na podjezdka i ująwszy juczne za wodze, chcąc nie chcąc pokłusował za Radocha, konie bowiem, nawykłe chodzić razem, rwały, by dognać idącego w przedzie. Kózka zaraz pogubił strzemiona i rozpaczliwie usiłował powstrzymać konie w obawie, że juczne wyciągną go z siodła i powłoką. Puścił je wreszcie, widząc, że nic utrzyma, i usiłował już tylko opanować swojego podjezdka. Koń jednak, gdy juczne odbiegły, zbiesił się

czując, jakiego jeźdźca dźwiga na sobie. Gdy Kózka co sił ściągnął wodze, koń stanął dęba, tak że Kózka, by nie zjechać po grzbiecie, uchwycił go za szyję. Teraz koń, schowawszy głowę między nogi, wyciął zadem, a Kózka przeleciał mu przez łeb i legł na ziemi, aż mu oddech zatkało. Pozbierał się jednak zaraz, ale koń już gnał za innymi i zniknął za chwilę w lesie. Co sił pomknął za nim. Dopadłszy jednak lasu, ujrzał, że Radocha pochwytał konie i czeka na niego. Podchodził nieśmiało, ale rycerz zadrwił jeno:

— Udanyś ty, Kózka. Taki z ciebie wojak będzie, jaki i chłop. Juści i takich trzeba... na ubój. Nie poradzisz z siodła, bier juczne i piechty ciągnij za mną. Ja z luźnym skoczę przodem, bo bez twoje targi z Dzierżkiem i z końmi noc za pasem.

Zabolało Radochę, gdy gródek zasiał tak, jak go opuścił, z otwartą bramą, z kupami wiórów i śmieci na dziedzińcu, Pizły nigdzie ani śladu. Ale i Radocha zawzięty był. Jeno zęby zaciał, a złość swą wywarł na parobkach, którzy nikogo nad sobą nie czując po* niechali wszelkiej pracy. Zbudził ich kopniakami I sprął, gdzie popadło. Potem konie umieścił w stajni i położył się koło nich na sianie, usiłując zasnąć. Słuchał jednostajnego chrobotu końskich szczęk, żujących obrok, i myślał wciąż, jak poskładać żywot w nowym położeniu, gdy wszystko spadło na niego. Trudności wzmagały tylko jego zawziętość.

— Obaczysz, czy nie uradzę — mruknął i zaklął spostrzegłszy się, że mimo wszystko wciąż j«szcze wierzy w powrót Pizły. Owinął się kozuchem i wreszcie zasnął.

Koło północy zbudził go jakiś ruch na dziedzińcu, ale niepewne odgłosy ucichły zaraz. Może któryś z parobków wychodził w pole. Potem znów długo leżał bezsennie, aż usiadł jak żgnięty. Przypomnił sobie o Kózce; choćby najwolniej ciągnął, winien już być oa gródku. Zaniepokojony Radocha wstał, by wysłać parobków na poszukiwania. Nie było **ich**, legowiska już wystygły. Uciekli!

Me krzesząc nawet ognia, co prędzej okulbaczył konie i ruszył z powrotem na wieś. Na nic samemu siedzieć na gródku.

W lesie zapadał już zmrok. Półświatło szarego nieba z trudem przesiewało się przez powikłaną sieć bezlistnych gałęzi, nie docierając już do ciemnego podłoża, i Kózka co chwila potykał się o korzenie i wyboje. Gdy ucichł tętent oddalających się koni Radochy, w lesie zapanowała cisza, przerywana tylko szelstem kroków po listowiu. Czasem głośniejsz stuknęło o korzeń końskie kopyto, budząc pogłos, od którego Kózce mrówki chodziły po krzyżach. W ciemności las stawał się obcy i wrogi. Teraz wyobraźnia przedstawiała jęła Kózce czekające go niebezpieczeństwa. Słyszał, że u księcia Włodzisława każdemu droga do rycerskiego stanu otwarta. Jen o takich nie mówiono, co na tej drodze zdobyli aż trzy łokcie ziemi, którą gryzą miast omaszczanego chleba. A Radocha rzekł, iż tacy jak Kózka na ubój potrzebni. Po to jest plewa, by ochraniała ziarno.

Kózkę ogarnęło przygnębienie. Byłby zawrócił, gdyby było do czego. Ale ciągnął dalej, a raczej ciągnęły go konie, które tylko węchem utrzymywały kierunek, bo ledwo przetarta drożyna dawno już była niewidoczna. Czasem sna"dz musiały czuć i zwierza, boczyły się bowiem, chrapiąc niespokojnie.

Kózce zaciężała samotność. Żeby choć głos ludzki posłyszeć! Mimo chłodu zrobiło mu się gorąco i przystanął, by pot obetrzeć z caoła. W ciszy, jaka zapanowała, doszły go jakieś glosy. Odetchnął i ruszył napraciw, myśląc, że to Radocha wysłał ludzi, by odprowadzili zbłąkanego do gródka.

Nadchodzący kleli głośno. Juści nie w smak nikomu szukać zaginonego w lesie i w ciemności. Kózka rad, że skończy się samotność, odezwał się i po chwili 'dwie postacie zatrzymały się przed nim.

— Ty dokąd? — zapytał jeden z nadchodzących.

Pytanie to zmieszało Kózkę. Widocznie nie po niego byli wysłani. Niezbyt więc pewnym głosem odpowiedział :

— Panu Radosze juczne wiodę do gródka.

— Panu Radosze? — pytający zaśmiał się. — To się dobrze składa. Sami sobie myto i nawiązkę wypłacim.

W ciemności Kózka niespodziewanie dostał pięścią między oczy, aż go zamroczyło, i usiadł. Gdy orzeźwiał, słyszał już tylko oddalający się śmiech. Został całkiem sam, nie było nawet koni.

Jak długo siedział, nie zdawał sobie sprawy. Może i zadrzemał, ale przenikliwy chłód nie pozwolił mu zasnąć na dobre. Trzęsąc się rozmyślał, jak miło siedzieć przy palenisku we własnej chacie, i wojacki chleb nie. zdał mu się już lżejszy od chłopskiego. Skoro jedni łup biorą, inni muszą go tracić. Trochę cieplej mu się zrobiło, gdy pomyślał, co rzeknie Radocha, gdy się dowie, jak Kózka jego mienia upilnował.

Szarzało już i siwy przymrozek białą pleśnią osiadał na listowiu i gałęziach, gdy Kózkę doszedł odgłos kopyt. Kłusem w dwa konie nadjeżdżał Radocha. Kózka z trudem powstał na zdrętwiałych nogach, trzęsąc się z zimna i strachu. Radocha jednak na jego wk: dok zatrzymał konia i spokojnie zagadnął:

— Gdzie juczne, niedojdo?

— Jakowys ludzie zabrali. Anim się spodziewał, jak mnie bez łeb podzielili, że mnie zamroczyło...

— Tak i myślałem — mruknął Radocha. — Siadaj na luznego, a trzymaj się, bo zbierać cię już nie będę. Po takiego i schylić się szkoda.

Ruszył w kierunku wsi, a Kózka, z trudem wdrapawszy się na podjezdka, podążył za nim. Szczęściem, po krętej wyboistej drożynie Radocha musiał jechać stępa i Kózka trzymał się go jak rzep psiego ogona, a ruch i ciepło konia rozgrzewały go. Nim wyjechali z lasu, wzeszło pogodne słońce, a wywijające się z chłup dymy wabiły obietnicą ciepłej strawy. Kózka zno-

wu był dobrej myśli. Własnego trzosu na szczęście nie stracił, za gotowy pieniądz dostanie, co jeno umyśli. Zadumał się, od czego zacząć.

Radocha też był zadumany, ale mniej pogodnie. Szczęście zdało się od niego odwracać właśnie wtedy, gdy myślał, że stanął u jego progu. Cóż mu zostało ze starego życia, by rozpocząć nowe? Trochę srebra, broni i pergamin. A z ludzi — Kózka. Starał się zapomnieć o Piźle, Kundzi, Budziwoju, Krzychu; nie stali o niego, niech ta! Ale trudno zdziczałe serce znowu gdzieś zaszcześcić, by przyrosło.

Najdotkliwiej gryzło go odejście Piźły. Ani starego, ani nowego życia nie mógł sobie bez niego wyobrazić. W myśli jemu wyznaczył starania o ludzi, przygotowanie ich do wojaczki i wszystkie troski z tym związane, sobie pozostawiając gospodarkę i ustanie gniazda przyszłego rodu. Gdy poprzedniego dnia jechał do gródka, mimo wszystko pewny był, że Piźłę tam zastanie. Nie zwykł się z nim liczyć i prędzej by konia swojego przepraszał, gdy go sprzał w zhtëci, niż Piźłę, gdy się poswarzyli. Samo się zawsze układało i Radocha pewny był, że i nadal tak będzie. Nie mogą się rozejść, jak nie rozejdą się dwie ręce, choćby jedna drugą skaleczyła.

Zaciął się, tak że nawet wiadomość o stracie koni i reszty łupów nie wprawiła go w gniew. Żeby się niebo waliło, postawi na swoim. Potrzeba mu ludzi zaraz, weźmie ich z Trzebieży.

Przybywszy na wieś, Radocha wysłał Kózkę z rozkazem, by kto jeno zdalny do broni — stawił się z siekierą, półkoskiem, nożem lub choćby sękatym kijem. Pozostali wozy zaprząć mają, czym się da, choćby i w krowy, i zjechać nie mieszkając ku karczmie.

Kózka, choć przez całą noc niemal nie zmrużył oka, podniecony pobiegł na wieś. Coś się zaczyna — te wozy to pewnikiem po łup. W poczuciu swej ważności biegał od chałupy do chałupy, nagłąc do pośpiechu i dając pozór, jakby wiedział, po co to wszystko, a związany jest tajemnicą. Mimo że zwijał się, jak

mógł, powróciwszy zastał już rycerza przybranego jak do boju, czterej rataje, również zbrojni w miecze i tarcze, czekali przy koniach, a i chłopci gromadzili się już, dokoła nich zaś ciekawe jak zawsze wyrostki. Nadchodziły i zaniepokojone niewiasty, stając nieśmiało opodal i nie waząc się przystąpić do rycerza, który na pozór czekał spokojnie, jeno wąż szarpał chwilami.

Gdy zebrała się cała gromada, chłopci, szepcząc coś między sobą, wypchnęli naprzód starego Dzierzka, który podjął Radochę pod nogi i zaczął:

— Widzimy, ślachtetny rycerzu, że bitkę jakowąś szykujecie. Ani wiemy z kim i o co rzecz, jeno wiemy, że i prawem łacniej chłopa poścignąć niżli rycerza, i do gołej skóry łacniej się dobrać niż przez blachy. A najłacniej sprzężaj utracić, gdyby — Boże, uchowaj — chybiło wam, coście wzięli przedsię, bo w bitce różnie bywa. A wonzas jeno ty, człeku, pazdurami orz! Tedy pokornie was prosim, bierzcie otroków, kiedy taka wasza wola, bo młody bójkę lubi i zdatniejszy do niej, a gospodarzy ze sprzężajem ostawcie, na co i słowo wasze mamy, że nas nad powinność uciążać nie będziecie.

Radocha zmarszczył się, lecz słuchał cierpliwie. Gdy Dzierzek skończył, nie do niego zwrócił się, lecz do gromady:

— Nie bójcie się niczego, bo jeno trzebieskich przesiedlić umyśliłem, tedy po somsiedzku winniście im pomoc dobytek przewieźć.

Wyjmując z zanadru pergamin, ciągnął:

— Prawo mam, które mi sam książę pieczęcią poręczyli. A że mi go bydgoski podsędek zaprzeczył, tedy jako spokojny człek prawować się nie będę. Ziemię ostawię, niechaj im na moglię starczy! Chłopów zaś zabiorę, bo moi są i tu mi potrzebni. Co się w karczmi i młynie najdzie, za pomoc wam zabrać zwolę, zaś gdyby któren sprzężaju zbył — zapłacę.

Dzierzek jednak nie pozbył się widno wątpliwości, gdyż kręcąc brodę, ozwał się nieśmiało:

— Juści, jestli Trzebież wasza, wasze rycerskie pr->wo chłopów z ziemi zegnać, ich zasię pieskie na łążę-:gę iść, choćbyście ich na nowiznach czy na sołekini osiedlić umyślili, bo wolni są, nie przypisańce. Ale nie po prawie to i obyczaju przed zimą chłopą z za- grody wyganiać, jeno na święty Marcin wypowiedź dać przystało i wtedy każdy pójdzie, gdzie jego wola. Juści przed przemocą niejeden ustąpi, ale softys tam jest rycerskiego stanu, pociotek jakowyś bydgoskiego podsędka, a człek zuchwały i bitny, tedy sio bez bójki nie obędzie. Lepiej przeto, byście swego prawa zwy- czajnym porządkiem dochodzi! i, nie na siłę. Chocia prawo chromaj może i wolno postępuje, jednak wiadomo, dokąd zmierza. A na siłę jedno pewne, że wy- gra nie ten, kto praw, jeno kto ją ma.

Radocha słuchał nad podziw cierpliwie, ale gdy Dzierzek skończył, odparł:

— Żyłem ci ja od wyrostka bez nijakiego prawa i, jako widzicie, nie jenom się uchował, ale i dorobił. A czemu — bom oręza z garzci nie popuścił. Wy za- się, co za prawem obstajecie, samiście gadali, że co zmiana, to na gorsze. A czemu — bo broni nie macie. Tedy radzi być winniście, że was do niej przyuczę. Jadziem! — krzyknął.

Skoczywszy w siodło, skierował konia na drogę wiodącą do bydgoskiego gościńca, a za nim gromada; młodzi ochoczo, starsi z ociąganiem.

IV

Sołtys Trzebieży, Jan Pobóg z Myślecina, był dziewierzem podsędka Rozdrzała Leszczyca i wiedział już o nadaniu Radochy. Wiedział też, że książe Leszek, choć z braćmi dziedziną nie podzielony, sprzedawał swoje i nie swoje, ilekroć pieniędzy potrzebował, a potrzebował ich zawsze, gdy jeno w kraju bawił. Teraz jednak nie było go, a on jeden ważył się zadrzeć ze stryjem, jako już raz zadarł o pomorskie dziedzictwo po Samborze. Bracia jego, Przemko i Kazimierz, choć i oni, gdy pieniędzy potrzebowali, z prawem i słusnością liczyć się nie zwykli, ze stryjem nieradzi byli zadzierać, zwłaszcza gdy im nic z tego nie przyszło. Niemniej gdyby Radocha zwyczajnym postępkim chciał swego dochodzić, sprawa przed ich sąd należała. Tam i wpływami krewniaków, i pieniędzmi można było przynajmniej proces wlec w nieskończoność. By zaś 40 tym bardziej zagmatwać, Rozdrzał postanowił chłopów ze wsi wyżenąć i folwark założyć, na co już od księcia Kazimierza uzyskał zgodę. Folwark, położony *nie opodal gościńca i Wisły, obiecywał nic gorsze* zyski niż z dziesięcin.

Na św. Marcin wypowiedział tedy Rozdrzał ziemię chłopom i we wsi powstał zamęt. Mniej poradni czy bardziej do ziemi przywiązani woleliby zostać, choćby za ratai na folwarku, młodzi, którym uśmiechała się odmiana, choćby i na gorsze, do miast się wybierali. Zasobniejsi jednak i stateczniejsi gospodarze, by pew-

ność uzyskać, że **ich nikt** już z ziemi zganiać **nie** będzie, rozglądali się za osadźcą, który by pomógł im na niemieckim prawie gdzieś osiąść, uwalniając zarazem od uciążliwej dziesięciny snopowej i innych świadczeń ; prawa polskiego. Ile głów, tyle rad było. Póki siedzieli razem, stanowili gromadę, dzielili los jak liście Z jednego drzewa soki czerpiące. Gdy odejść przyszło, jawne już było, że ich wiatr rozgoni po świecie. Nie było nikogo, kto by się losem wszystkich zajął. Najstarszy wiekiem Gąska, który wedle obyczaju za gromadę gadał, gdy z sołtysiem lub panem była sprawa, nie mógł za wszystkich powziąć postanowienia, gdy powagi już nie miał, bo w nowym położeniu na nic było jego doświadczenie. Ręce od roboty odpadły, czasu na naradzanie było aż nadto wiele. Uradzali tedy, chłopci w karczmie, baby po opłotkach, ale więcej było wyrzekania niż rady. Gdy wartość zboża rośnie i zbyć je łatwiej, coraz więcej ziemi zajmują folwarki, dotychczas przeważnie klasztorne i książeńce. Teraz zaczyna je zakładać rycerstwo. Co mają poczynać chłopci? Gdy człek nawykł na swoim siedzieć, nie w smak na cudzym pracować jak wół, który nie wie nawet, po co pług wlecze za sobą. A do miasta iść? Juści, życie tam lżejsze, jeno takiemu, który ma za co prawo miejskie kupić. A nie, to też jeno na drugiego pracować,

Swarzyć się zaczynali, życie biegło niemrawo, jakby leżący już rankiem szron zwarzył nie tylko liście, ale i ludzi. Jak one bezwolnie gotowali się do odlotu, kędy wiatr poniesie.

Nie ma jak sołtysowi. Wiadomo już było, że zostaje. Za psi pieniądz wykupi pogłowie od tych, co do miasta pójda, za psi pieniądz wynajmie na ratai tych, co nie będą mieli dokąd odejść. Karczmarz też pozostawał i innych namawiał do pozostania. Na cudzym praca lżejsza, a gdy się nic nie ma, i trapić nie ma się o co. Ten i ów już się nakłaniał, ale czas jeszcze powziąć postanowienie. Myśleć przestawał o przyszłości, nuż się coś samo odmieni. A ninie spokojnie

odespać należy roDoczy czas, gdy przed świtem zrywać się trzeba.

Spała też wieś, gdy o szarym brzasku jednego ranka rozszczewały się psy i aż się zanosząc ujadały jeden przez drugiego. W sołtysim dworku odezwały się ostatnie, bo stał nieco na uboczu w głębi rozległego sadu, oddzielonego od drogi rybną sadzawką, naprzeciw karczmy.

Sołtys, który wieczorem wrócił z Bydgoszczy i układał się późno, psim jazgotem obudzony, obrócił się jeno na drugi bok i nakrywszy głowę usiłował spać dalej, ale psy ujadały zawzięcie, jakby napaść była. Usiadł tedy na posłaniu i krzyknął na parobka:

— Zadzik! A obdziel juchy węgorzem, bo spać nie dają! Gdy jednak parobek nie zjawił się, a psy **szeze-**, kały dalej, zeżłony włożył ciżmy i zarzuciwszy szubę, wyszedł na obejście. Psy ujadały w całej wsi, widać -i>,' coś niezwykłego zaszło. Na obejściu nie było nikogo.*., zapewne parobcy pobiegli obaczyć, co się dzieje. Sołtys Jan wrócił do izby i zbierał się co prędzej, g<|y wpadł Zadzik z krzykiem:

— Jakowys rycerz wieś naszedł z kupą luda i nagród z chałup wygania!

Sołtys wpadł do domu po miecz i każąc parobkowi uzbroić się także, co duchu skoczył ku wsi. Z dala już widać było na drodze wozy, na które ładowani dobytek. Jak na rabunek jednak odbywało się to **zbyt** spokojnie. Nie słyhać było krzyków, prócz hałasuj jaki czyniły wyrostki łapiąc drób po opłotkach. Z chłopów nie widać tu było nikogo.

Sołtys spostrzegł ich, gdy wyszedł na drogę. Zgromadzeni byli na dziedzińcu za karczmą i stali spokojnie, widno kogoś słuchając, bo sołtysa doszedł niszfi i donośny głos. Gdy wypadł z za węgła, ujrzał na podcieniu barczystego męża w futrzanej czapie i łosiowym kubraku, na którym świecił rycerski pas.

Sołtys prawie pewny był, kogo ma przed sobą, ale podszedłszy do nieznanego, który na jego widok

umilkł i patrzył na sołtysa Dystro jasnymi oczyma zagadnął szorstko:

— Coście za jedni i co tu macie do szukania?

-- A wyście co za jedni i co macie do gadania?

— Sołtysom jestem j moja rzecz baczyć, by we gwaltów nijakich nit było

— Ja zasię pnnem tu lestem z książećcia Włodzisławowego nadania. Wam jako sołtysowi rzekę, byście wiedzieli, czego się trzymać: gwałtu nijakiego nie ma Komu woia, ostanie we wsi, jeno dań winien mi wyplacić, jak należy. A kto by ich z ziemie wyganiać chciał, ze mną będzie mu sprawa.

Tu uderzył się po mieczu i podkręciwszy sumiastego-wąsa, ciągnął:

'—" Zechceli który na służbę do gródka iść albo na nowiznie osiąść, tego zabieram, a kto by go przemocą zatrzymać chciał, na tego także radę tu mam.

Znowu uderzył się po mieczu, mierząc sołtysa wzrokiem przenikliwym a drwiącym.

Sołtys upewnił się już, z kim rzecz. Choć sam niecherlawy a porywczy, wolałby ją bez użycia siły załatwić, zwłaszcza że nie był pewny, co uczynią chłopci. Ate spojrzawszy po nich poznał, że jeno z niespokojnym zaciekawieniem czekają na obrót sprawy Odezwał się tedv:

— Chłopi prawo mają iść, kędy zechcą, gdy im zrok * wyjdzie, ale nie wcześniej. Czynszu wam płacić nie obowiązani, bo już go jako i ubiegłych lat prawemu panu uiścili i onże im ziemię na święty Marcin wypowiedział. Zechciejcie tedy odstąpić, bo prawo karze i zbrojne najście na cudzą własność. jako i odmawianie cudzych chłopów, których — jeśli złej rady posłuchną — każdy kasztelan jako zbiegów ści-gać i wydać prawemu panu jest obowiązany.

— Jeno że włość moja jest i moi są chłopci odparł Radocha, wyciągając z zanadrsa pergamin jako tu stoi, pieczęcią pana Łokietkową umocnione.

¹ termin

— Nie moja i nie wasza rzecz rozsądzać, zali ma książę Włodzisław prawo nadania czynić w nie swojej dzielnicy. Jedno pewne, że powzdania wedle prawa i obyczaju na waszą rzecz nie było. Tedy chcecie prawem swego dochodzić — wolna wam droga. Na siłę zasię znajdzie się siła.

Tu i on po mieczu uderzył. Zanim Radocha zebrał się do odpowiedzi, wystąpił stary Gaska i pokłoniwszy się w pas obu rycerzom, zaczął:

— Nie nam się wyznać, czyje prawo lepsze. Jedno prawda, żeśmy już daninę, jak należy, wypłacili do rąk pana sołtysa. Pokornie was tedy prosim — znowu skłonił się obu rycerzom — byście się między sobą utadzili, nas nie mieszając do sprawy.

Radocha, podkreślając wąsa, odparł:

— Nie bójcie się niczego. Oddaliście dziesięcinę sołtysowi, od niego sobie odbiorę. A mnie się przódzi pytać, zali chłopów wydam, choćby i chwycić ich chciał nakielski kasztelan, bo on kujawskim pankom nie powinien, jeno książęciu Łokietkowi. Zaś że com rzekł, to i zdzierzę, i że nie strach mi ni bydgoskiego kasztelana, ni nawet jego książątka, wraz pomiarkujecie. Kózka! — krzyknął — wozami przed dworzec pana sołtysa zajeżdżaj! Skoro się z daniną obliczym.

— Stać! — huknął sołtys. — Kto mojego tknie, żelaza pokosztuje!

Zwracając się zaś do Radochy, dodał groźnie:

— I bez nakielskiego kasztelana pomocy pan nasz potrafi o cześć i gwałt się upomnieć.

— Widziałem ci, jaki potężny wasz pan i jak o cześć swoją stoi, gdy się przed byle komturem na kolanach jako pies od bicia wypraszał. Kózka, czyń, com nakazu!!

Jan Pobóg, nie panując już nad sobą, ku Radosze z mieczem skoczył, ale Radocha szybszy był. Grzmotnął pięścią w pierś przeciwnika, aż ten na ziemię się pokocił, a miecz wypadł mu z ręki. Radocha podniósł upuszczony oręż i przez gościnniec cisnął do sadzawki. Potem, nie zważając już na dźwigającego się

z ziemi sołtysa, zwrócił się do chłopów. Mówił spokojnie, ale wąsy drgały mu ze złości:

— Widzicie, że przelewek ze mną nie ma. Że się zaś na mojej ziemi z mieczem na mnie porwał, sam sprawiedliwość uczynię, miast nawiązki * możecie u niego brać, co się ino najdzie.

Łaziscy chłopci pierwsi rzucili się z pozwolenia skorzystać. Trzebiescy wahali się jeszcze, coś uradzając między sobą, ale co chwila któryś wymykał się, by swój udział wziąć, gdy trafia się sposobność. Przydzielili odpowiadać, niechaj choć będzie za co, i tak nie wiada, co i kto wziął. Widząc to stary Gaska zbliżył się do, Radochy.

— To i nie ostać nikomu we wsi — powiedział — boby się na nim skrupiło. Jeno jakoże pod zimę z babami i dzieciakami się przenosić, i tak bez nijakiej znowy, na waszą wolę?

— W gródku miejsca starczy dla wszystkich, a beie zimę się pobudujecie. Krzywdy wam nie będzie. Ino ¹ mi się nie przeciwic, a do rany mnie przyłoż, zagoi się. Po sprawiedliwości się ułożym.

Zwracając się zaś do sołtysa, który ponurym wzrokiem patrzył już bez słowa, jak grabią jego mienie, dodał z kpina:

— Jako słyszę, folwark umyśliście wraz ze swym dziewierzem zakładać. Nie przeszkadzam, jeno pomnijcie, że czynsz mi się patrzy z łąnów. Byście jeno nie zabyli co roku wiernie mi odwieźć, bo przyjadę sam, odbiorę z nawiązką.

To rzekłszy, ruszył do konia. Wkrótce wozy ustawiły się znowu na drodze, załadowane wszelkim dobytkiem. Baby ze zwyczaju popłakiwały, trochę z żalu, trochę z obawy przed trudem gospodarowania na nowym miejscu. Wyrostki wraz z psami, rade wszelkiej nowości, oganiały pochód, który z hałasem i śpiewem ruszył z powrotem. Dobrze podpici chłopci dobrej byli myśli. Mało który obejrzał się za wsią, ona zaś

¹ kara pieniężna

stała cicha i opuszczona, zanim zniknęła im z czu, gdy droga zanurzyła się w las.

Pusty gródek leśny zaroił się ludźmi, ale nie takich było Radosze potrzeba. Pachółków zdatnych i chętnych do bitki znalazło się wprawdzie kilkunastu, ale surowe to było, do broni nienawykłe, nie z nimi przeciw Krzyżakom poczynać. Przyuczyć ich dopiero należało, a nie było komu. Eadocha coraz to Pizłę wspominał i kłął: ani się przed kim wygadać, ani kogo poradzić, ani kim wyręczyć. Pelen bab i dzieci gródek ani do obrony nie był sposobny, ani się w nim urządzić. Pierwsze — to pozbyć się niezdatnych do broni. Radocha jął walić budulec na nową wieś i naglił do roboty, ile było sprzężaju i rąk, własnych także nie żałując, byle choć z wiosną czas już mieć na zaprawę zaciągniętych pachółków, a zwłaszcza by obejrzeć się za starymi zabijakami, jakich z dawnych czasów znał na krzyżackim pograniczu. Gdy o tym myślał, kłął znowu. Ani chybi, podbierze mu ich Pizło, nie wątpił bowiem, że on na własną rękę kupę zbiera, bo o to przecie był cięty, że Radocha gospodarką się zajął, miał sposobić się przeciw Krzyżakom. Póki razem wojowali, nie przeciwiał się Pizło, że Radocha rej wodził. Teraz pewnikiem zdało mu się, że druh przewodzić chce, bo pas dostał. Dlatego odszedł.

Radocha rozmyślał o tym w samotne zimowe wieczory, gdy wracał zziębnięty z pracy i gęby nie miał do kogo otworzyć. Wspomnienia i myśli chodziły mu po głowie, ale jedno pomieścić się w niej nie mogło: by druh go na zawsze opuścił. Radocha zawziął się jednak: może żyć Pizło bez Radochy, może Radocha bez Pizły. Jenemu nie mógł zaprzeczyć sam sobie, że wyrzekłby się nawet marzeń o gospodarce i żeniactwie, byle Pizło wrócił. I Kundzia mu przychodziła znowu na myśl. Ona by i Pizłę ugłaskała, żyliby razem, byłoby się komu o nich zatroszczyć. Ale o tym i myśleć szkoda. Krzychowa jest, wołała młodzika, niechaj jej się szczęści!

Został całkiem osamotniony, bo nawet z niewiasta-

mi się nie zadawał. Praw był Pizło, że jeno trzosa jego patrzą, a serca do niego żadna nie ma. Dość na nic zmamił zasobów, które teraz bardzo by się zdały na zakupno koni i uzbrojenia. Głowił się, skąd wziąć środki na nowe. Stawał się ponury i opryskliwy.

Jednego wieczoru siedział i przypijał sam do siebie, z troską myśląc, że i miód już się kończy, a świeżego nasycić nie było komu i z czego, gdy wpadł Kózka z oznajmieniem:

— Rycerz jakowyś przyjechali z pocztem i idą ku wam.

Radocha zerwał się zaskoczony. Pierwsze to odwiedziny na gródku i nic tu nie było przygotowane na przyjęcie gości. On sam siedział w starym wytartym kozuchu, jak od roboty wrócił, po całej izbie wałały się części przyodziewy, resztki jedzenia i brudne statki. Ogarniał się co prędzej, kopniakami spychając do kątów stare obuwie i odzież, resztki jedzeniu zgarbiał i ciskał w ogień płonący na kominie. Nie skończył jeszcze, gdy rozległo się ostre pukanie i bez prośzenia wszedł młody człowiek, od progu przedstawiając się:

— Jam jest Henryk Świątosławie Pałuk. Na widok przygotowań, czynionych na jego przyjęcie, zaśmiał się:

— U mnie w Rynarzewie też nie lepiej. Mnie to nie wadzi, a komu wadzi, niechaj nie przyjeżdża.

Wesołymi, zuchwałymi oczyma łypnął na Radochę, który rozchmurzył się nieco, obawiał się bowiem, że kasztelański syn z możnego rodu za nic go będzie miał, widząc niedostatek i zaniedbanie. Uspokojony zrzucił z ławy kozuch i wskazując gościowi miejsce, odezwał się:

— Mile was widzę, jeno ugościć nie ma czym. Jeszcze się nie zagospodarzył, ani na łowy nawet czasu nie starczy.

Patrzył z zaciekawieniem na młodego wielmożę, który zachowywał się beztrosko, jakby był u siebie. Zdjął kuni kozuch i czapę, a nie widząc, gdzie by je

powiesić, cisnął niedbale na podłogę i bystrych oczyma rozglądał się swobodnie. Lat niewiele chyba ponad dwadzieścia liczył, ale była od niego pewność siebie bez wyniosłości jednak, która by urazić mogła drażliwego Radochę. Gość podobał mu się od pierwszego wejrzenia zarówno z; obejścia, jak i z urody. Śmigły i barczysty, twarz miał pociągłą, z wydatnym, lekko orlim, suchym nosem. Wąskie, różowe wargi przysłaniać już zaczynał młody wąs. Ubrany był- zasobnie, choć widać było, że nie stoi o wygląd. Zdało się Radosze, że znają się od dawna i rad był z *rozrywki* w nudzie samotności, choć domyślał się, że kasztelanie nie po próżnicy przyjechał. Pytać nie uchodziło gościa, tedy zaklaskał na Kózkę i polecił mu skoczyć do bab, by koguta lub prosiaka przyrządziły na Wieraseirą. Henryk odezwał się:

— Nie na ucztę przybyłem. Żarcia dosyć mam doma.

Sam sięgnął po kubek, nalał, wypił, a na pytające spojrzenie Radochy rzucił:

— Po pierwsze przyjechałem was uprzedzić, że nieproszonych gości możecie się spodziewać.

Wypił znowu, zaśmiał się i ciągnął:

— Był u mego rodzica podsędek Rozdrzał od kasztelana Macieja o chłopów się upomnieć, którzyśście z Trzebieży zabrali.

— Niechaj sam po nich przyjdzie — mruknął Radocha.

— Mniemam, że przyjdzie, jeno nie sam. Roodsie mu odrzekł, że nadanie macie i radził, by prawem swego dochodził. A że takie ci u nas prawo, iż każdy rad dochodzenie go drugiemu odrzucić, a tyle jego ile sam w garść uchwyci, tedy zda mi się, że tu mu droga krótsza niżli do sądu.

Zaśmiał się znowu i opowiadał:

— Rozdrzał się pieklił i srodze wam odkazywał, żeście pono i książęcia Kazka zelżyli, i gwałt zadali sołtysowi Pobogowi na mieniu i licu. W ostatku jednak pozew chciał przeciw wam wnieść. Tedy mu ro-

to

dzic rzekł, że immunitet mając, kasztelańskiemu sądowi nie podlegacie, i książęciu Włodzisławowi poskarżyć się zlecił. Wtedy Rozdrzał się wściekł i zagroził, że sam sobie sprawiedliwość domierzy. Rodzic jest ciepłe piwo, ale zeźlił się i rzekł mu, że ani on, ani sam książę Kazko w nakielskiej kasztelanii niczego zdziałać nie władni. Rozdrzał wypomniał, że jeszcze Waclaw starerru książęciu nakielską kasztelanię oddał, rodzic zaś mu odrzekł, że Waclaw tym sposobem poróżnić chciał jeno Zieroomysła z Włodzisławem, ale nawet za Waclawa Pałuki go panem nie uznawali i stryk Trojan Nakło Łokietkowi wydał. Żarli się, a jam się jeno śmiał, bo pies się u nas wyzna, kto i jakie prawo ma. Jedno pewne, że Rozdrzał z niczym wyjechał, jeśli złości nie liczyć, tedy pewnikiem sam spróbuje swego dochodzić.

— Niech próbuje — mruknął Radocha.

— Gródek wasz niczego, jeno — jak pomiarkowałem — na straże ludzi nie macie. Przywiodłem kilku zabijaków, to ich wam ostawię.

— Dzięki wam — odrzekł Radocha. — Ale u mnie już skąpo, a darmo nie ostaną i żreć muszą. Com miał z krakowskich łupów, już się rozlało. Tedy sam flauszę radzić.

Henryk parsknął śmiechem:

— Wiem, słyszałem. Trzeba się za nowym łupem obejrzeć. Ninie Poznań się kroi. Wójt Przemko, co zrazu uznał Łokietkowe władanie, rozmyślił się. Widno czuje za sobą Luksemburczyków, którzy się umocnili, gdy Henryk cesarską koronę włożył. Tedy będzie wojna w Wielkiej Polsce.

— Kiedy to tam będzie — zasumował się Radocha. — Książę Włodzisław sił nie mają, a ja czekać nie mogę, bo mi Krzyżaków łaskotać zlecili, ale pieniędzy ni ludzi nie dali. Nie wiem, zali mi starczy tych, co mam, uzbroić, o koniach nie mówięcy.

— Już tam Włodzisław swego nie poniecha. Wy czeka sposobnej pory i uderzy. A wam wraz powiem, gdzie pieniądz naleźć można, bo i po to przyjechałem.

Radocha zaciekał się, ale zapytał z powątpieniem:

— A wam to pieniądź niepotrzebny, że mnie go raicie?

— Ba! Jeszcze jak potrzebny — zaśmiał się Pałuk.

Niespodzianie zapytał:

— Ponoście dawniej na gościńcach zbijali?

Radocha zasepił się znowu:

— Zbijałem; to zbijałem — odparł niechętnie.

Ninie pas noszę. Ani mi takowej rady słuchać, skoikom książęciu powinien, któren zbójców tępić każe.

Myślał, że Henryk się obruszy, ale on uśmiechał się nadal:

— Gościniec a gościńiec. Choć u Niemców ka[^]dy rycerz u kupców pieniądza szuka, bo i gdzie mu szukać. Gdzie indziej nie poświęci. Jadą kupce przez jego ziemie, opłacać się muszą. Zawždy się to jakoś zwie: jestli most — mostowe, choćby konie na nim nogi łamały. Nie ma mostu — to przewoźne, choć strumyk taki, ile kot napłakał. Nie ma strumyka — drogowe, choć na drodze utonąć można. Zaś granica zawždy jest, tedy cło. A *nie chce* kupiec płacić, to siłą biorą jak zwał — tak zwał.

Radocha zamyślił się głęboko. Po chwili rzekli

— Nijakie poczty bez moje ziemie nie idą,

— Ale przez nasze. I nie jeno do nitki je obierzem, ale zasługę będziem mieć u książęcia.

Radocha cały w słuch się zamienił, gdy Henryk rozstrzuwał swój zamiar:

— Krzyżacy naszych kupców, co Wista towar do Flandrii, Nowogrodu i indziej wozic zwykli, poza Toruń nie puszczają, na czym wielce handel cierpi i nie-mała to była przyczyna krakowskiego buntu. Tedy i książę Włodzisław zabronili krzyżackim kupcom innych dróg, jeno przez Konin do Kalisza i nie dalej. I im odpady zyski, jakie ciągnęli z handlu z Wielką Polską i Śląskiem, tedy zakaz obchodzą. Towar Wjsłą pod Chełmno spławiają i stamtąd lasami na Koronowo, gdzie ściagać ich trudno, bo od komturów ochronę

mają zapewnioną i kto ich wie, kędy ciągną. Potem jeno bród przejdą na Noteci pod Wyrzyskiem i już są w Wielkiej Polsce, gdzie niemieckie mieszczaństwo bezpieczeństwa na gościńcach strzeże i pomoc im da, na zakaz księżęcia nie zważając, bo i jemu z handlu zysk.

Radosze twarz rozjaśniła się, ale snadź nie pozbył isię wątpliwości, bo napomknął:

— Takich, co wbrew zakazowi jeżdżą, obrać należy i robota łatwa, jeno czemu mnie ją raicie? Darmo nie daje nikt, zasię chętnie bierze.

— Nie tak znowu łatwa, bo na baczości się mają i poczty idą zbrojne. Tedy nie darmo. Ale uradziłbym i sam, bo co nieco się na tych łowach wyznawam, jeno cierpliwości brak. Nie chce się parę niedziel albo i więcej na mrozie u brodu warować. Wasza rzecz będzie ludzi naleźć, którzy znać dadzą, kiedy i jaki poczet pójdzie, by w samą porę zaskoczyć. Sprawa pilna, bo gdy zimą Noteć stanie, nie będą brodem przechodzić, tedy w trop za nimi ktoś by isć musiał i zmiąć się łatwo. Stoi zmowa?

Henryk rękę wyciągnął. Radocha swoją przejechał po czuprynie:

— Rad bym. Jeno jakoż mi ninie wyjeżdzać, gdy napaść od podsędka grozi? Ej! Żebym to Pizłę miał, ani dnia bym nie czekał. Nie było nad niego do takowej roboty, i o to się jucha zbiesił, żem się do niej nie brał. Ani się kogo poradzić...

— Poradzić, to ja wam poradzę — wtrącił Henryk. — Gdy książęta Przemku i Kazko biskupowi Gerwardowi cła za pięćset grzywien zastawili, ani płacić, ani żyć nie mieli z czego. Tedy go pojmali i na kłatwę nie bacząc ani nawet na gniew stryjca, choć przed nim zazwyczaj łydkami trzęsą, tak długo trzymali, póki im dokumentu nie wystawił, jako nic nie dłużni, a zastawionych Gniewkowa i Słońska nie zwrócił.

— Cóż się to ma do mnie? — zapytał Radocha.

— Nic. Jeno tyle, że człek w lochu siedząc zazna,

o co go poprosić. Tedy miast czekać, co podsędek pocznie, schwytać go i do wieży wsadzić. Posiedzi, póki nie wrócim, a potem chętnie zaświadczy, jako z Trzebieży z dobrej woli ustąpił i że otrzymał nawiązki za szkody i straty.

— Nie wiem, zali to po rycersku będzie — wyraził wątpliwość Radocha, ale Henryk zaśmiał się drwiąco.

•— Z kogóż rycerstwu przykład brać, jeśli nie z książąt? Łokieć nawet przysięgę złamał, by zwabić Muskatę i do lochu zasadziwszy, ugodę na nim wmusił.

— Ale mu i biskup jej nie strzymał.

— Strzymał — nie strzymał, a pergamin ostał, którym się ninie książę w Kurii zaślaniają. Gadać można, co się chce, a co napisane, zawždy za świadectwo stanie.

Wywody Henryka nie wzmocniły zaufania Haćło*. ?' chy do siły dokumentów. Mruknał:

— Wychodzi, że lepiej siłę mieć niż prawo.

Kasztelanie zaśmiał się:

— Lepiej i siłę, i prawo. Najlepiej zasię jeszcze i pieniądz w kabzie, i rozum w głowie. Wonczas i pM-wo można mieć gdzieś.

Radocha spojrział spode łba na gościa. Nic był pewny, czy Pałuk nie pokpiwa z niego, wiedząc, jak zmarcił się pieniądz Radochy. Bystry był, obyty i wszystkiego ciekawy. Dzięki niemu Radocha wiedział przynajmniej, jak ruszyć z miejsca.

Henryk pokpiwał zresztą ze wszystkiego i Radocha wkrótce położył włos po sobie i rad był gościowi, który i pić mógł gęsto, i gadać o wszystkim. Przegadali też niemal pół nocy i Radocha wiele spraw teraz lepiej rozumiał. Gdy rankiem pożegnali się, omówiwszy wspólną wyprawę, Radocha w dalszym ciągu dumiał nad tym, co słyszał, choć łeb ciężył mu trochę. Wiedział teraz, że Łokietek nie jeno Krzyżaków ma na głowie. Siły nie ma, pieniędzy takoz. Prawo? Kto mu go nie zaprzecza? Jeno rozum ma, wie, do czego zmierza, a zawzięty jako kleszcz. Żeby mu łeb urwać,

od swego się nie odczepi. Takemu warto pomagać, choćby przyszło wodę pić.

Skrobał się po łbie. Juści, wodę trzeba będzie pić, bo z Henrykiem wydoili resztę miodu do dna. Ale rnie żałował. Za to przybyło mu rozumu.

Mimo to jednego nie mógł pojąć: dlaczego najważniejsze sprawy polskie rozstrzygać się mają w jakimś Awinionie, o którym pierwszy raz słyszał. Mogą Krzyżaki, od kogo chcą, kupować Pomorze, a i tfrk w spokoju posiadać go nie będą. Może kto chce zwolic biskupowi Muskacie wracać do Krakowa na swą diecezję, a Łokieć i tak go nie wpuści. Może i przedwiośnie jest w tym jakimś Awinionie; ale tutaj mr^óz ściska i kozuch trzeba nosić.

Radocha włożył go teraz, gdy wyszedł na dziedzińiec, by wydać zarządzenia. Póki baby z dzieciakami są na gródku, niczego poczynać nie można. Jak księżę Włodzisław, Radocha postanowił uładzić sprawy po kolei, gdy go naraz nie stać na wszystko. Westchnął: gospodarka i żeniaczka odsunęły się gdzieś w daleką przyszłość. A lat przybywa. Gdy szedł ku stajnio^, gromadka swawolnych dzieci, które były się śnieżkami, zapetała mu się pod nogi. a śnieżny pocisk rozprysnął się na kozuchu.

— Idźta do biesa! — huknął.

Rozbiegły się, ale ze śmiechem. Wiedziały, że choć głośno łaje, śmieje się nieraz, patrząc na ich igraszki. Ale ni sam nie tknie żadnego, ni rodzicielom tknąć nie da, choćby nie wiadomo co napsociły. Dziwić \$iC» że ładu utrzymać nie można!

V

W dalekiej Prowansji istotnie wiosna już szła. Pierwsze fiołki wychynęły z młodej zieleni traw, słoneczne zbocza różowiły się kwieciami migdałów i brzoskwiń, jak od wieczornych zórz śniegi na szczytach Alp, których północnym podnóżem w surowym chłódzie posuwał się szczupły orszak biskupa Muskaty.

Nie zastawszy legata Gentyliisa w Preszburgu, biskup ruszył za nim do Awinionu, choć droga była daleka, mozolna i kosztowna, a zasoby Muskaty na wyczerpaniu. Ale nie miał wyboru Legata zdołał sobie pozyskać, jego wyrok na swoją korzyść ma w zana-dru, jego poparcia w Kurii był pewny. Na kupowanie przychylności innych kardynałów zabrakło już środków. W Awinionie zresztą bawi przyjaciel Muskaty, a wróg Łokietka, biskup wrocławski, Henryk z Wierzbna. Raz już Kuria wyznaczyła go sędzią w procesie wytoczonym przez metropolitę Jakubij Świnkę przeciw krakowskiemu biskupowi. Choć obec*nie sam w niełasce i zawieszony w urzędzie, Henryk obrotny jest, zna sprawę i wagi swego wpływu nie omieszka rzucić na szalę druha. Ponadto przy nim ze swym niewielkim poczem Muskata przytulić się może, nie zdradzając swego ubóstwa. Znał świat i Kurię,! nie łudził się. Nikt nie liczy się z ludźmi pozbawionymi środków, wpływów i znaczenia. Walki swej z Lc*-kietkiem Muskata nie uważał wprawdzie za przegraną ostatecznie, ale już nie wierzył, by wprowadzić

zdołał Jana Luksemburskiego do Krakowa, Nato-
amiast Luksemburczyk może wprowadzić jego. Sam
'w Polsce siedział nie będzie, potrzebny mu namiest-
nik znający kraj, ludzi i stosunki. Zostanie nim Mu-
skała, a wówczas...

Co wówczas? Prześladować będzie swych wrogów,
dochodzić strat. Oto i cel na resztę życia, jaka mu
'jeszcze pozostała. Nie taki był ongiś, gdy rozdawał
korony, kierował poczynaniami potężnych władców,
wobec których niczym zdał się Łokietek. Gdy imie-
niem Waclawa czeskiego wypłacał Włodzisławowi
pięć tysięcy grzywien za wyrzeczenie się zamierzeń
i złożenie hołdu, uważał, że płaci zbyt suto. A dzi-
siał? Włodzisław opanował już Kraków, sięga po Wiel-
ką Polskę, a poprzez nią po koronę. Muskała zaś
dobija się o powrót na beneficja, których tamten po-
zbawił go wbrew wyrokowi papieskiego legata, o ode-
branie kilku tysięcy grzywien za poniesione straty
i pomstę nad wrogami tak małymi, że ongiś nie do-
strzegali ich niemal, gdy deptał po nich. Dla niena-
wiści starczy pokarmu do końca żywota, dla pychy
brakło go już. Sumienie milczało, ale rozum mówił
mu, że jedzie kłaniać się, przymilać, składać się, pro-
sić, czaić się, by w porę pochwycić nitkę, wiodącą do
jego małych już celów.

Wiózł ze sobą przedsmak upokorzeń, ale każde
■z nich wolał niż ugięcie się przed Łokietkiem. Nie po
to miesiące spędził w lochu, a lata już na wygnaniu.
Krzepiła go nienawiść większa nawet do sędziwego
'arcybiskupa gnieźnieńskiego niż do samego Łokietka.
Książę odwzajemniał ją, walczyli podobną bronią.
"o podobny cel. Muskata nie chciał widzieć, że cele Ło-
kietka wzrosły o tyle, o ile jego własne zmały. Nie
mógł zaś przed sobą zaprzeczyć, że arcybiskup Jakub
zawsze wyższy był ponad własne korzyści, nienawiści
nie odwzajemniał. W zawziętości gnieźnieńskiego me-
tropolity była jasna świadomość celu, do którego
zmierzał nieodmiennie, choć zmieniał drogi, jakimi
kroczył. Jak Łokietkowi wybaczył jego przewiny, tak

i Muskacie potrafiłby wybaczyć, gdyby przekonał się dowodnie, że biskup szczerze poniechał zamiaru, którym ongiś głośno się chępił: wytopienia narodu polskiego. Teraz Muskata już sam wiedział, że tego nie dokona ani on, ani nikt inny. Rozbudzona przez Jakuba świadomość wspólnej doli i wspólnego niebezpieczeństwa stworzyła w narodzie polskim opór, którego wyrazicielem i przywódcą stał się Łokietek. Opór tężał wraz z nim, a raz rozbudzony nie zgaśnie już, nawet gdy zgaśnie schorzały staruch, o własnych siłach ruszać się niezdolny. Dzieło Jakuba przetrwa jego żywot. A co zostanie po żywocie Muskaty? Chcąc się pojednać z arcybiskupem, musiałby potępić samego siebie. Od tego był jeszcze daleki, nie poniecha wałki, póki starczy sił.

Ale czuł, że i jego siły nie te co dawniej. Trudy podróży znosił źle, wraz ze zmęczeniem ogarniało go przygnębienie. Nie podnosiły w nim ducha wiadomości, jakie zbierał po drodze, by na miejscu wiedzieć, z kim i jak zagrać. Rachuby na Luksemburczyka zdały się niezbyt pewne. Muskata jechał przybity tam, kędy ongiś na skrzydłach byłby leciał, gdzie młody wówczas i bystry umysł urzekła wiekami nawarstwiona kultura, olśnił przepych dzieł sztuki, oczarował ogrom wspaniałych budowli, zasobność starych narodów. Tam nauczył się lekceważyć własną, słabą i zacofaną ojczyznę, o której mało kto tutaj słyszał, a nie liczył się z nią nikt. Nauczył się gardzić własnym, zubożałym i skłóconym narodem. Nie owieczki to były dla niego, ale bydło, które i skórę oddać wino, gdy jemu jest potrzebna. Nie jego szerokiemu umysłowi zagrzebać się w nędzy i ciemnocie, nie jego rzeczą ratować naród, gdy wyrzekają się go własni książęta z Piastowego rodu, który przez wieki rządził Polską, z niebytu doprowadził ją do potęgi, zdolnej przeciwstawić się cesarstwu, a teraz skarleli potomkowie, poszarpawszy dziedzictwo przodków, zagubili ich wielką myśl, raczej obcym pokłonić się głowi, niż dopuścić, by podjął ją ten z nich, który ją rozumiał.

Muskata nie wierzył w możliwość ratunku, gdy w pełni sił kreślił szerokie plany swego życia. Nie może wierzyć teraz, gdy wkrótce kończyć je przyjdzie, bo musiałby wierzyć, że je przegrał.

Myśli te niósł w sobie, jak brzemie, przez zasypane śniegiem przełęcz i górskie przesmyki grożące lawinami, wąwozy zionące surowym chłodem. Gdy jednak droga skręciła wreszcie na południe w dolinę Rodanu, wezbranego już wiosennymi wodami, sączącymi się tysiącem strumyków z lodowców i śniegowych pól, brzemie to jakby zelżało. Muskata, który zawsze drwił z prawa i sprawiedliwości, teraz liczył na nie, gdy zawiodło go wszystko inne. Łagodny powiew z południa, pieszczotą przenikając członki stężałe od górskich wichrów, zdał się nieść jaśniejsze myśli. Stoki schodzących do rzeki wzgórz w oczach okuwały się zielenią świeżą i soczystą, barwiły kwieciami wiosennym. Konie na świeżej paszy podebrały się i ochotczo stapały gościńcem, spływającym w żyzną nizinę Prowansji wraz z wodami Rodanu, to zbiegając się z nim, to rozchodząc. Muskata pospieszał teraz, nie aatrzyraując się.

W miarę jak droga zbliżała się do celu, stawała się coraz ruchliwsza. Mijały Muskatę świetne poczty świeckich i kościelnych dostojników, lśniące w pogodnym słońcu złotem i klejnotami. Kazał swoim ustępować z drogi, by nie zdradzać własnej godności, jakiej nie odpowiadał jego skromny orszak, wmieszany w barwny, różnorodny tłum, ciągnący do niewielkiej mieściny, która przed dziesięciu laty stała się niespodzianie stolicą świata, nie przygotowana do objęcia tej roli. W pośpiechu wznoszono nowe pałace, rosły baszty i mury, ściągając nie tylko artystów i rzemieślników ze wszystkich stron chrześcijańskich, ale także saraceńskich i mauretańskich niewolników. Gościńcami i rzeką spływało tu wszystko, co służyć mogło ozdobie i zbytkowi: obrazy, stroje, sukna i klejnoty z Flandrii, płótno z Burgundii, kobierce i emalie z Paryża. Z południa zaś drogą morską na-

plywały zbroje i broń z Mediolanu, brokаты z Lukki, jedwabie, szkła z Wenecji, korzenie, kurdybany i mauretańskie dywany z Hiszpanii. Za pracowitym i zabiegliwym narodem rzemieślników i kupców, niojących swe towary i usługi, ciągnęły rzesze darmozjadów i wykpigroszy: żaków, pątników, pokutników, żebraków, astrologów, alchemików, zaklinaczy, czarowników, igrców, trubadurów, kurtyzan, od lśniących urodą i klejnotami miłośnic wielkich dostojników do ludzkich łachmanów, którym jeno mrok nocy i zaćmienie winem pozwalały spodziewać się zysków z wszetecznego rzemiosła.

Z gęstniejącym tłumem nie zauważony przez nikogo Muskata wtoczył się wreszcie przez Lyońską Bramę w mury Awinionu, konie zostawiwszy na przedmieściu. Sterczące z budynków balkony i ganki, z których sypały się śmieci i łały nieczystości, okradały ze światła wąskie i brudne uliczki, którymi przewalały się tłumy wśród śmiechów, krzyków, śpiewów, swarów, a nawet bójek. Muskata przepycha! się wśród ciżby, potrącany i popychany. Nie nawykł być jednym z tłumu. Nikt nie ustępował mu z drogi i tylko potężne łokcie pozwalały mu posuwać się naprzód, a w ślad za nim leciały kłątwy i wyzwiska. Udawał, że ich nie słyszy lub nie rozumie, ale twarz biskupa pobladła z hamowanego gniewu. Parł ku placowi giełdowemu, gdzie u bankierów z Florencji i Sieny, którzy tu założyli swe filie, spodziewał się dopytać o znajomych z czasu, gdy był kolektorem świętopietrza w Polsce z ramienia Kurii. A może i zaopatrzyć się spodziewał w zasoby u ludzi, którzy wiedzieli, kim jest. Ale dzień był świąteczny, banki zamknięte, agenci zaś gospody swe mieli poza miastem, w grodzie bowiem tylko dla najdostojniejszych starczyło miejsca. Otwarte natomiast były oberże, których nazwy oznajmiały godła zawieszane nad wejściem, ale zatłoczone tak, że szkoda było próbować odnaleźć kogoś znajomego.

Biskup przeto wraz z kapelanem skierował się ku

sterczącemu jak skała nad miastem zamkowi papieskiemu, od czasu do czasu spychany wraz z tłumem w boczne uliczki przez oddziały trabantów, torujące drogę orszakom kościelnych dostojników, których srebrny dzwon wzywał na konsystorz. Muskata bacznie wypatrywał, czy nie dostrzeże kardynała Gentyliisa, i z wolna posuwał się ku zamkowi, bodącemu błękitne niebo spiczastymi hełmami dwóch przybramnych wież.

Na obszernym placu przed zamkiem ciżba była mniejsza, tłoczyły się jeno tłumy gapiów koło wysokiego, dwustronnego podjazdu pod główną bramą, gdzie stała straż papieska, pilnując porządku i oddając honory nadjeżdżającym kardynałom. Wkrótce jednak pochód ich skończył się, bramę zamknięto, tłum zaczął się rozpraszać i straż gotowała się do odejścia, a legat Gentylis nie nadjechał. Wówczas Muskata kazał kapelanowi zapytać o kardynała. Młody, świetnie przybrany dowódca straży, który wzgardliwym spojrzeniem czarnych jak węgiel oczu obrzucał stojących, na zapytanie odparł:

— Jego dostojność kardynał Gentylis de Montcflo- rum jest u Świętego Jana Ewangelisty.

— Nabożeństwo odprawia? ■— zapytał kapelan.

Młokos zaśmiał się drwiąco:

— Pod posadzką tam leży od jesieni.

Muskata pobladł. Wraz z legatem pogrzebana została znajomość spraw odległej diecezji, o której mało kto w Kurii słyszał. Ważniejszych spraw było wiele. Już bez pośrednictwa kapelana zapytał:

— A wrocławskiego biskupa Henryka gdzie najdę?

— Nie wiem. Biskupów tu jest jak psów, nie mogę wiedzieć o każdym. Może gospodę znalazł w Roquemare, koło papieskiego zamku, może w Carpentras lub innej wsi. W mieście byle kto gospody nie znajdzie.

Muskata zagryzł wąskie wargi. Inna rzecz spodziewać się upokorzeń, inna je znosić. Rozumiał, co tu

znaczy biskup z pergaminem miast diecezji. Tera;; t₀ odczuł.

Przez kilka dni Muskata przytulił się w dominikańskim klasztorze, gdzie mnisi, utrzymujący łączność między sobą, znali go jako dobrodzieja krakowskiego konwentu. Klasztor jednak zapchany był aż po Poddasze i biskup sypiać musiał we wspólnym dormitorium. Potem udało mu się odnaleźć Henryk z Wierzbna. Przyjął druha na swą gospodę, choć sam mieszkał w ciasnocie i niewygodzie od dwóch lat już z górą, czekając na uchylene kłatwy i interdyktu których się dorobił walcząc z legatem i własną kapitułą. Na prośby Muskaty o poparcie ofuknął go niecierpliwie, a obolałej dumie biskupa Jana zdało się, że i ten stary przyjaciel go lekceważy. Nie nalegał tedy o pośrednictwo i sam zaczął wystawać w przedśionkach pałaców wpływowych kardynałów i dostojników Kurii, zbierając drobne upokorzenia od ich sług, bo do nich samych dotrzeć nie zdołał. Rosła w nim gorycz i rozdrażnienie, którym wreszcie dał folgę wobec Henryka, mówiąc mu, że nie stać go, by siedzieć tu latami. Henryk, sam rozdrażniony,, odparł szorstko:

*Quam ad papam veneris, habe pro constanti,
Non est locum pauperi, solo jaret danti **

Kogo nie stać, szkoda, by tu przyjeżdżał. Nim Kuria jakowyś krok postawi, maca dokoła, jak ślepiec na prostej drodze, by kogoś nie potraćić N|komu tu nie spieszno, a czas się nie dłuży, skoro zjechały kurtyzany z całej Italii i Francji.

Muskata nic nie odpowiedział. „On nie miał prawa potępiać innych, sam nie był lepszy. Zaczynał jednak rozumieć budzący się gdzieś nisko bunt i nawoływanie do ewangelicznego życia, które stłumić usiłowano

¹ Przybędą i es? do papieża, miej to na uwadze:
Tu nie miejsce ubogich, sprzyja tym, co dadzą.

okrucieństwem. Uchwały soboru w Wiedniu ścigać nakazywały raz w raz powstające sekty, które odmawiały prawa rządu dusz takim jak on kapłanom. Słabym okazywano siłę, a uległość potężnym. Jaskrawym przykładem była sprawa dawno zwyrodniałych zakonów rycerskich, które, sprzeniewierzywszy się swym zadaniom i regułom, dbały już jeno o doczesne korzyści. Trzydziestu siedmiu templariuszy z Wielkim Mistrzem Jakubem de Molay na czele spłonęło na stosie pod zarzutem, że utrzymywali stosunki z diabłem, zmuszali nowicjuszy, by pluli na krzyż i znieważali imię Chrystusa. Ale Muskata zbyt światły był, by w to uwierzyć, wiedział, że to jeno pozór, bo tak wyglądała próba stałości w wierze, której poddawani byli nowicjusze, gdy zakon walczył w Ziemi Świętej, a teraz bezmyślnie stosowano ją nadal. Bracia poszli na stos, a zakon rozwiązano, bo zadarł o złoto z potężnym Filipem Pięknym. Krzyżacy natomiast ostali się, mimo że zarzuty przeciw nim trzymały się ziemi: okrucieństwa, świętokradztwa, zabór cudzych ziem i beneficjów, rozpusta, zabobony, ucisk duchownych i świeckich. Kołatał o sprawiedliwość Łokietek, kołatał arcybiskup ryski, Fryderyk. Wyznaczono wprawdzie sędziów, ale Muskata wiedział, że tego wroga Włodzisław nie pozbędzie się pergaminem. Zakon był potężny i drwić mógł z wyroków, jak sam Łokietek drwił z wyroku legata Gentyliisa. Biskupowi przyszło jaa myśl, że jednak lepszy byłby świat, gdyby na nim zapanowały prawo i sprawiedliwość.

Na bezskutecznych zabiegach i poszukiwaniach, koniu może być przydatny wróg Łokietka, by wzajem uzyskać przeciw niemu poparcie, przeminęła wiosna i lato. Jesienią nowy wstrząs usunął w kąć wszystkie inne sprawy. Z Italii przyszła wieść, której zrazu nie dano wiary: cesarz Henryk VII w Boncovento otruty został hostią, przyjmując Sakrament Ołtarza, zwłoki pochował syn w pizańskiej katedrze. Nawet twardymi sumieniami, nawykłymi sakramenta za towar uważać, wstrząsnęło świętokradztwo. Głębia upadku

sięga już piekielnej otchłani. Dokąd zajdzie Kościół gdy poświęcone ręce truciznę będą rozdawać u Stołu Pańskiego? Kacerskie sekty podniosły głowę. *Magna meretrix*.

Muskatą wstrząsnęła wieść z innego powodu: po zbawiony poparcia ojca-cesarza Jan Luksemburgi przestał się liczyć jako sprzymierzeniec przeciw Łokietkowi. Był wprawdzie wikariuszem cesarstwa mianowanym przez ojca i zamyślał o niemieckiej koronie dla siebie, ale papież godność wikariusza nadał Robertowi, królowi Neapolu. Zarysowujący się opór mógł wyjść tylko na korzyść Łokietkowi. W Muskacie kiełkować zaczęła przesadna wiara, że śmierć sprzymierzyła się z Włodzisławem. Ona w najgroźniejszych dla niego chwilach usunęła z drogi Wacławów, niedawno przysły wieści o zgonie najstarszego z jego wrogów — Bolka opolskiego i zaprzyjaźnionego z Krzyżakami biskupa płockiego — Jana.

Muskała wiedział, że niczego już w Awinionie przeciw Łokietkowi nie wskóra. Nie próbował nawet do cisnąć się do papieża, zajętego sprawą następstwa tronu w Niemczech, a coraz to zapadającego na zdrowiu.

Muskała wciąż jeszcze siedział w gospodzie Henryka z Wierzbna, czując, że ciąży mu swą obecnością. A nie mógł wyjechać, bo zasoby nie starczały już na powrotną drogę. Czekał jeszcze na nadejście piehjędzy z niewielkich posiadłości, jakie mu pozostały na Śląsku, poza granicami Łokietkowego państwa, lub, na wyjazd Henryka, który załatwił już swoje sprawy i zawarłszy ugodę z Bibersteinem, uzyskał ^{^dj^cic} klątwy. Na bezpłodnym oczekiwaniu minęła ^{zi}ma a z nią rok pobytu w Awinionie. Z nastaniem cieplej pory Klemens V wyjechał do swej posiadłości w Roquemare, położonej wśród kwitnących już ^{saqow} nad rzeką, by odetchnąć wonią kwiecica od zaduchów zatłoczonego miasta i nabrać sił do zajęcia się oczekującymi go sprawami. Zapowiedział już swój powrót

¹ wielka nierządnicą

z końcem kwietnia. Wcześniej przysła wieść o jego śmierci. Teraz i papieska tiara stała się celem rozgrywek. Biskup Henryk wiedział, że na wybór następcy szkoda czekać. Zamęt może trwać lata, burzliwe żywioły wykorzystać go nie omieszkają. Trzeba się zatroszczyć o ład we własnej diecezji, od pięciu lat pozostawionej pasterza, gdzie zakorzeniło się przesiąkające z Niemiec sekciarstwo, pogodzić z własną kapitułą, by przeciw wspólnym wrogom wystąpić, odzyskać łaskę Kurii, zaufanie i znaczenie. Walka z nią skończyła się jego klęską.

Henryk z Wierzbna wyjechał z pustoszejącego z dnia na dzień Awinionu, a wraz z nim Muskata, pozostawiając za sobą rok cennego czasu, który wróg jego umiał spożytkować, a wbrew rozsądkowi wioząc nadzieję, że jeszcze tu wróci, by z nim się rozprawić. Ale ronił ją po drodze, jak pieniądz ic dziurawego trzosa, w miarę jak dochodziły go wieści. Czesi wygnali Luksemburczyka, Łokietek umacnia się w Wielkopolsce. Muskata wiele rozmyślał. Ale wciąż jeszcze zawziętość i nienawiść przeważały w nim nad rozumem, który mówił mu, że trzeba się poddać lub na wygnaniu dokonać żywota.

Podróż wlokła się miesiącami, choć lżejsza była ciepłą porą i w licznym orszaku. Liście już żółkły na drzewach, gdy z dala ujrzeli mury i wieżę Wrocławia.

W

Piękne miasto!

Obdarty wagant odrzucił czarne kudły, opadające mu na wylupiaсте oczy, którymi -z zachwytem spozięrał na wylaniające się z porannej mgiełki pogodnego kwietniowego dnia strzeliste wieże kościołów. Potem spojrział na siedzącego na ziemi towarzysza, przybranego zasobnie w jakę z kapturem z ciemnego, ale cienkiego sukna. Ten nawet nie podniósł oczu od tobołu. Wydobył chleb i wędzone mięso i zaczął się pożywiać. Po chwili dopiero, z pełną już gębą, bąknął przez ramię:

— Zaś mu tam do Krakowa! Nie gap się, Bracisz-ku, jeno bierz się do żarcia. W brzuchu lżej nieś niż na plecach, a we Wrocławiu dostaniem świeże.

— Można jeść i patrzeć. I ty, Ostróżka, choć spojrzalbyś. Po to się człek włóczy po świecie, by ujrzeć coś nowego. A ty jedno masz wciąż przed oczyma. Żebym arcybiskupowi Jakubowi nie przyrzekł, iż w kraju ostaną, wraz byśmy do Ziemi Świętej powędrowali. Miasta byś ujrział całe z kamienia, kościoły jak gójcy, zamki, że Wawel niczym przy nich...

— Ale ty byś gadać nie miał o czym, gdybym sam ujrział te twoje cuda. Drugi oto rok się włóczęm, gdzie zajdziem — wszędy ci się podoba. Tedy i po co się wałęsasz? A we Wrocławiu jużes apostołował i ledwo gnaty całe wyniósł. Tobie nie nazbyt bezpiecznie, a i mnie pewnikiem biskup Henryk dobi"ze

sobie zakarbował u predykantów w Krakowie, gdym to Muskatę pojmał. Mojego łba trudno nie zapamiętać.

Istotnie, niełatwo było zapomnieć: złotorude włosy ha jego głowie jakby płomieniem okalały białą twarz o wyrazistych rysach. Młody, jasnozłoty wąs zakrywać zaczynał wąskie, czerwone usta o zaciętym i drwiącym wyrazie. Tylko brwi były ciemne nad bystrymi, jasnymi oczyma, teraz jednak zasnutymi jakby cieniem smutku czy zniechęcenia, gdy ciągnął:

— Mam zaś głowę stracić, wolej mi było w Krakowie. Tam się rodziłem i tam chciałb5'm zdychać. Tak się za tobą włokę, jako za krową cielę. Ani rąk, ani myśli o co zaczepić.

Braciszek poczuł jakby wyrzut w słowach Ostróżki. Westchnął:

— Samżeś mówił, iż ci ulżyło, gdyśmy Hanusa pogrzebli. A ostać było nijak, bo ksiązę Włodzisław nie lubi, gdy mu się przeciwic. Zasię włóczęga ma leniwe ręce, ale pracowite nogi. Dobrze jest sucho mieć chociaż w jednej cizmie.

Ostróżka nie odezwał się, jeno ległszy na plecach, otepiate spojrzenie utkwil w błękie porannego nieba, po którym sunąć zaczynały z rzadka białe obłoczki. Widno nie chciał myśla wracać do przeszłości. Braciszek ciągnął:

— A myśleć po co? Wždy i drzewo cieszy się słońcu i pnie się ku światłu. Choć ze śmiercią nikt nie y/ygrał, nic, co żywię, nie kwapi się umierać. I ty takoz. Inaczej anibyś o to dbał, pozna cię biskup lubo nie. Ale Henryk z Wierzbna w Awinionie jeszcze siedzi, a Muskata za nim pojechał, jako prawili kupcy w Brzegu. Tedy skoro zecniło ci się wędrowanie, ostać mozem we Wrocławiu, znajomków tu mam wśród Wallońskich tkaczy, to się u nich przytulimy. Pójdźmy, bo jarmark dzisiaj i odpust u premonstrantów w kościele Świętego Wincentego. Będzie na co popatrzeć.

— Niepotrzebna mi niemiecka gościna — mruknął

Ostróżka, wstając jednak i zbierając się do drogi.

— Walłończycy nie Niemce są, a od Krzywoustego tu siedzą i naszą mowę takóŜ znają.

Idąc juŜ, Braciszek gadał dalej:

— Gdy człek niejeden naród pozna, wie, że wszędy mądrzy są i głupi, źli i dobrzy, możni i biedota. W kaŜdej mowie Boga i chwalić można, i bluźnić.

— Nic by mi było do tego, jacy są, gdyby nie pchali się do nas — burknął Ostróżka.

— Chciałby Bóg, by ludzie na miejscu siedzieli, korzenie by im dał miast nóg albo i przepaściami narody pooddzielał. KaŜdy naród coś pożytecznego ma, czego drugiemu brak. Wždy i w lesie róŜne drzewa rosną wedle siebie, a nie gryzą się. Nie to złe, że Niemce tu idą, jeno że się nad innych wynoszą i albo pieniędzem ludzi gnębią, albo zgoła mieczem, jako bracia teutońscy. Niemniej miasta piękne budo- wać nas nauczyli, jakich przedtem nie było, choćby Kraków czy Wrocław. Ludzie odchodzą, kamienie ostają.

Ostróżka nic nie odrzekł i dłuŜszy czas szli w mil- czeniu. Na gościńcu ruch juŜ panował, a przy Bramie Oławskiej niemal ciżba, wraz z którą weszli w obręb rozbudowującego się na lewym brzegu Odry miasta. Praca wrzała na murach, które dźwigano wzwyż, na miejscu pogorzeliisk niedawno widocznie spalonych dworków dźwigały się murowane budynki, wszędzie leżały sterty kamienia i cegły.

Na Oławskiej ulicy tłum zgęstniał jeszcze. Przepy- chając się przezeń dotarli na Rynek i przystanęli. Wskazując nań, Braciszek powiedział:

— Większy niż w Krakowie, ale zgoła podobny. Oto masz i sukiennice, i ratusz, i kościół. Jak tam Ru- dawa, tak tu Oława dostępu do murów broni i miesz- czańskie młyny kręci...

— Kościół drewniany, a reszta doniero Sie buduje — mruknął Ostróżka.

— Do czego człek serca nie ma, zawždy hajdzie co przyganić. Pójdźmy do moich tkaczy, bo tu W su-

kiennicach jeno szlachetni panowie mieszczanie suk-
nem handlować mogą na kawałki, za przywilejem
książęcym. Inni zasię na jarmark czekać muszą lubo
dalej niż w mili od miasta towar przedawae, by ceny
nie psuć. Ani chybi najdziem ich dzisiaj u Świętego
Wincentego.

— Ja już bym tu ceny popsuł panom mieszcz-
nom — zauważył Ostróżka. Braciszek zaśmiał się:

— A mówiłeś, że myśli nie ma o co zaczepić, Za-
wždy się coś najdzie, co człeka poruszy. Nie serce, to
żółć. Ale siedź cicho, jeśli ci się zecniło wędrowanie,
bo znowu byśmy uchodzić musieli. Tu miastem kilka
rodzin trzęsie jako to: Bancze, Szerzelany, Herdegeny
i inni, którzy przywileje od książąt wykupili i bardzo
o nie dbają. Zaś moi tkacze jakoś ta żywią, pracę nie
za przekleństwo grzechu pierworodnego mając, ale
zgoła za błogosławieństwo Boże. Nawet i biedocie po-
magają, bo mówią, że kto się nie dzieli z głodnymi,
niegodzien jest jeść. Pójdziem, zagładniem po drodze
do znajomków, bo zjadłbym coś.

— Wždyś dopiero co żarł.

— Prawda, że brzuch mam najpracowitszy. Nie
mogę pomyśleć o jedzeniu, by się zaraz nie przypo-
mniał.

Ruszyli wzdłuż murów na północ, kierując się ku
Odrze. Braciszek zauważył:

— Często człeku słowo za rzecz starczy. Owo masz,
jak w Krakowie, szpital Świętego Ducha. One baszty
na prawo to nowy zamek, zasię na wyspie przed
nami kościół Najświętszej Marii Panny i takóž, jak,
w Krakowie, szkoła przy nim jest, o której nawet
w obcych krajach głośno.

— A o krakowskiej to nie?

— Takóž, a inak — zaśmiał się Braciszek. — A że
do papieża doszło, co krakowscy scholarze wypra-
wiają.

— Tak ci temu zamkowi do Wawelu, jak gę-
siemu j gniazdu do orlego — pogardliwie rzek/
Ostróżka.

Przez bramę NMPanny wyszli nad rzekę, opłacili mostowe na moście Piaskowym i skręcili na Tumski. Tu znowu się trzeba było opłacić. Ostróżka mruknął:

— Żeby nie ja, tobyś stał nad wodą jak kura, co ni pływać nie wydoli, ni pieniędzy nie ma. Umieją tu skórę z człeka drzeć.

— Ale budować jest za co — odparł Eraciszek.

Weszli w obręb najstarszego miasta na Tumskim Ostrowie, obok kościółka Świętych Piotra i Pawła. O kilkadziesiąt sążni ku północy wznosił się Święty Marcin, a na wprost przed nimi okazały Święty Krzyż. Braciszek z zapalem objaśniał, który kościół kiedy i przez kogo budowany, ale Ostróżka ramionami wzruszył obojętnie. Szli teraz koło zasobnych dworców kanoniczych tworzących ulicę, u której wylotu widniały mury wznoszonej katedry. Braciszek, wskazując na nią, rzekł:

— Jak w Krakowie, w pierw tu stała draWpniana katedra Bolesławowa. Po niej tam Hermanowa, tu zasię Waltera i Żyrośława. Ninie w Krakowie wciąż jeszcze okopcone mury stoją, tu zasię trzecia się; **bu-**duje.

Mijając mury, dodał przekornie:

— Już by i ślepy uznał, że takowego kościołfi iliftr wet krakowskie mieszczañstwo nie wznosi, óo i ni^>, dziwota. Biskup Henryk książęciem ci jest udzielnym na Nysie i Otmuchowie. Sam się nim uczynił, gdy opiekę nad nieletnimi książętami sprawował, Niby Bogu na chwałę, ale iście na własną katedrę .sobie wznosi za to, co z biedoty i polskiego kleru wyciśnie. Pod jego zaś nieobecność mieszczanie i diecezją trze-; są, bo Paweł Bancz sufraganem jest, a Mikołaj zarządcą majątności.

— Skąd też ty: wiesz to wszystko?

— Bo gadam, gdy słuchają, a słucham, gdy **gada-**ją.

Minęli most na odnodze Odry i koło wielkiego młyna przeszli przez młynówkę w opłotki obejścia li^ród sadu. Po gwarze rojnych ulic uderzał tu Śffeo*

kój, podkreślany jeszcze odległym dudnieniem kół i szumem pasieki w gałęziach rozkwitłych grusz. Od strony widocznego przez nawisłe gałęzie dworku, o poczerniałych ścianach, słychać było śpiew.

Na podcieniu pod gankiem od poddasza siedziała dziewczynka, tak pochłonięta nuceniem kołysanki, że odwróciła oczy dopiero, gdy z łopotem skrzydeł zerwały się spłoszone przez nadchodzących gołębie. Palec przyłożyła do ust, ale na widok Braciszka w siwych jej oczach zaświeciła radość. I on uśmiechnął się do niej, mówiąc:

— Urosłaś, Margaretko, że wnet bym cię nie poznał, chyba po kukielce, choć jeszcze brudniejsza, niż była. Wraz inną ukrećimy.

— Nie chcę innej.

Zapominając widocznie o kołysanej lalce, chwyciła Braciszka za rękę i pociągnęła w głąb domu, skąd rozległ się jej wysoki głos:

— Matus! Braciszek powrócił!

Ostróżka tymczasem usiadł na podcieniu i zapatrzył się w sad. Zdało mu się, że mógłby tak siedzieć bez końca. Niechętnie dźwignął się, posłyszawszy kroki nadchodzących. We drzwiach ukazała się zażywna, nie pierwszej już młodości niewiasta, jeno oczy jej o poważnym i dobrotliwym wyrazie młode były. Patrzyły na Ostróżkę życzliwie spod obszernego czepeca. Podając mu przez zapaskę uwalaną widocznie przy gospodarstwie rękę, odezwała się jak do znajomego:

— Tu ci dziecko wadzić będzie. Pozwól na wyżkę, tam spocznieś i rozgościsz się.

— Nie wiem jeszcze, zali ostanę — niepewnie jakoś bąknął Ostróżka.

— Ostaniesz, póki wola — przerwała mu niewiasta. — A dachu z sobą nikt nie nosi, chyba ślimak. Zechcesz pożywać z nami, pięknie prosim, nie, to ci się na górkę zanieś strawę. Będziesz *jak* u siebie, spokój tam, tyle że gołębie gruchają od świtu.

„Lubię gołębie i nie wadzą mi — mimo woli,

iffEtor przyjmując zaproszenie, odparł Ostróżka, ale iłagieżył się znowu i dodał:

— Mam ostać, za gospodę musimy się ugodzić.

— Wždy tu nie oberża. Izdebka pusta stoi, a nas nie ogłodzisz gościneę przyjmując. Ktai ma nad miarę, ma cudze.

— I ja mam nad miarę, ale darmo nie daję nikomu, a każdemu płacę, co należy.

Nie bacząc na odpowiedź, niewiasta macierzyńskim, ale stanowczym ruchem pchnęła Ostróżkę ku schodom. Jeszcze kolców nie chciał po sobie położyć, choć wabiło go to miejsce, w niczym niepodobne, a jednak przypominające dom Kundzi na Rybakach, jedyny, gdzie czuł się jak u swojaków. Drgnęła w nim tęsknota, ale nie przełamała zapieczzonego oporu przeciw wiązaniu się z kimkolwiek.

Braciszek mrugnął na gospodynie porozminiewawczo. Nie zrażona, rzekła pogodnie*:

— Wszyscy my tu społem pracujem, bo czeladzi nijakiej nie trzymamy, tedy i ty możesz pomagać, jeśli wola. Nikt drugiemu nic nie dłużeń, kromie miłości bliźniego., jaka należy każdemu, a szacunku starszym i doswiadczeńszym. A nie po myśli ci bidzie, przymusu nie ma. Wszak i gołębie karmimy, niczego w zamiarni od nich nie oczekując. Lataja kędy chcą.

— Od małościm nawykł sam jeno dbać o siebie.

— Widać to po tobie — przerwała. — Nic dziecku braku matczynego mitew-ańte ni oj«aw*j< troskliwości nie odpłaci. Ale tymi baedoląt rada bspm, byś się jako między swoimi czuł.

— Kołyskę zrobić możecie dla mojej kukielki — wtrąciła dziewczynka, która, trzymając się matczynej zapaski, ciekawie przyglądała się Ostróžee. Niewia* sta zaśmiała się, dodając:

— Nieraz i my o pomoc cię poprosim, bo mąż i synowie często poza domem. Na jarmarkach i po wsiach sukno, które wyrobimy, przedawać muszą, a i to cechowi dokuczają, że ceny im psujem i czeladź.

Bo i prawda, że każdy woli taniej kupić niż drożej, a na siebie pracować miast na drugiego, jako wół z zawiązanym pyskiem. Lękam się nawet o swoich dzisiaj, bo choć na jarmarku każdemu przedawać wolno, ale straż zawsze się czepia, choć i bez prawa* a sprawiedliwości nie najdzie. Gorzej, bo raz już panowie rajcy motłoch na nas napuścili, bezkarność; mu zapewniwszy.

— Pójdziem na jarmark od wypadku — zakon* czył sprawę Braciszek, biorąc Ostróżkę pod ramię. — A dużo nagoiujcie na wieczrę, skoro nam obiad przepadnie.

Szli rozglądając się ku klasztorowi premonstran-¹tów, znacznemu z dala wyniosłą wieżą od strony zachodniego wejścia. Otoczony murem, z basztami na narożnikach, klasztor stanowił jakby odrębną osadę, złożoną z kilkudziesięciu drewnianych budynków mieszkalnych i gospodarczych. Nad nimi zaś, jak zamek, górowały kamienne kościoły: patrona klasztoru — świętego Wincentego i mniejszy —• świętego Michała.

Przechodząc tędy Braciszek przystanął i wskazując Ostrowce tympanon nad okazałym wejściem; objaśnił go:

— Obacz! Ci ludkowie, co klęczą przed Bożym Majestatem, to Jaksza z Kopanicy i małżonka jego, Agafia, córka Piotra Włostowica, który ten klasztor ufundował.

— Można musiał to być człek.

— Można, bo siedemdziesiąt siedem kościołów i klasztorów wystawił. Sprawiedliwie się z Bogiem, podzielił tym, co u ruskiego księcia zrabował, a jeszcze mu tyle zostało, że się nad własnego wynosił. Marnie też skończył, ale wszędy msze wieczyste za niego śpie-¹wają. Juści, że trudno z worem złota wspiąć się aż do niebieskich bram, tedy i popychać go trzeba.

— Ruski książę też się pewnikiem nie pracą do* robił — mruknał rzeczowo Ostróżka — a kościół pięk-
ny jesk

— Przecie coś ci się tu spodobało — odparł Braciszek.

Ostróżkę jednak ubodła widocznie uwaga, bo odwrócił się i jał przepychać przez tłum, zalegający wszystkie przejścia między budynkami i szczerlnie wypełniający sześć podwórców, na których ustawione były jatki klasztorne dla znaczniejszych kupców. Inni handlowali w tymczasowo skleconych budach z desek, na ławach pod gołym niebem, albo i bez nich.

Nabożeństwa jednak już się skończyły. Jarmark miał się też ku końcowi. Prąd ludzki płynął do wyjścia, a mnisi znosili do kościoła plon, wypełniając, towarem wszystkie trzy nawy, przedzielone osiemnastu kolumnami z litego kamienia, na ołtarzach Staśr. składając gotowy pieniądz, skąd po przeliczeniu i s&*V ładowaniu w miechy przenoszono go do skarbcu w przyziemiu wieży.

— Jeno Chrystusa z powrotem tu brak — m»lić-
nął Braciszek, rozglądając się w ciżbie za znajomkami. "."

Zdało się niepodobieństwem odnaleźć kogokolwi^
ale tłum już rzednąć zaczynał. Kupujących ubywaj
kupcy tu i ówdzie ładowali nabyty czy nie sprze-
dany towar w skrzynie i kosze lub wiązali w tobp->
ły. Łucznicy z miejskiej straży, którzy w czasie jajy,
marku i odpustu pilnowali porządku,, skwapliwie
Ściągając grzywny za nieprzestrzeganie przepisów
targowych, teraz baczyli przy wyjściu, by nie sprze-
dany towar dostarczony był do smartuza. Miastu bo-
wiem służyło prawo składu, jedno z główiryeh źródeł
zysku. Strażnicy i własne trzosa 'mieli nieźle wy-
pchane, bo nieraz się przydarzyło, że grzywnę ścia-
gali do własnej kieszeni, miast opilców wszczynają-
cych burdy odstawić do dinghusa. Gdy kończyło sję
zniwo, zbierali resztki jego pokłosa, przymykając
oczy, gdy ilość wynoszonego towaru nie była zbyt
wielka, a do ręki .Coś kapnęło. Ale kapało Już coi-az

rzadziej; odchodzili więc, by pokrzepić po znojnym dniu nadwątlone siły.

Braciszek odnalazł wreszcie znajomych tkaczy przy opustoszałych już kramach sukienniczych. Ojciec, poważny mąż, z krótką szpakowatą brodą, odliczał utargowany pieniąż do kiesy, starszy syn, tęgi i rosły, pod wąsem już, dźwigał właśnie toból z sukmem, który mu młodszy brat, wyrostek, zadawał na bary. Gdy Braciszek stanął przed nimi, stary przerwał liczenie i patrząc życzliwie łagodnymi, ciemnymi oczyma, powitał go:

— Oto się znowu zeszły nasze ścieżki. Tym milej cię widzę, żeśmy się won czas bez pożegnania rozstali. Niespokojny nawet byłem, czy cię nie schwyтали i nie pokarali za twoje apostołstwo, bo szukali i u mnie, i u innych braci. Zagościsz u nas?

— Czy wam aby będzie bezpiecznie?

— Byłeś znowu po mieście kazać nie zaczął. Spokój teraz, biskupa nie ma i lata już minęły, choć nie znać ich po tobie. A do Wrocławia na długo?

— Nie wiem. Z tym oto towarzyszem jestem, który sam siebie po świecie szuka — odrzekł Braciszek wskazując na Ostrózkę. — Ja zaś mu pomagam, bo nie ma nikogo bliższego. W kabatach my się poznajomili w Krakowie, społem siedząc za to, żeśmy panom mieszczanom porządek psuli, w którym się wygodnie ułożyli jako wieprz w gnoju. Potem druh mój przeciw miastu pomagał księżęciu Włodzisławowi, ale w końcu uchodzić trzeba było, jemu nieposłuszeństwem się naraziwszy. Ostróżka mu jest, i kromie Krakowa nic mu się na świecie nie podoba*, tedy nie wiem, czy ostanie, czy dalej szukać będzie, gdzie by serce zaczepił.

— A i ty dalej, po dawnemu, z całym światem w niezgodzie? — zaśmiał się stary tkacz.

— Gdzie zaś — odparł Braciszek. — Wszędy i **ludzi** dobrych najdzie, i coś pięknego obaczy. Jeno że wszędy prawa z Ewangelią w niezgodzie, tedy usiedzieć trudno, by 8>ę im nie narazić,¹ I wszędy je mo-

zni dla maluczkich stanowią, sami zasię żadnym, nawet boskim, podlegać nie chcą.

— Bezpieczniej w domu o tym mówić, nie na jarmarku — przerwał stary tkacz. — Srogie klementyny¹ sobór w Wiennie uchwalił przeciw naon.

— Tedy pójdźmy — zwrócił się do Ostrózki, podając mu rękę — radzi wam będziem.

— To jest ojciec Adam — wskazując na tkacza, powiedział Braciszek — jakoby biskup tutejszych Wallończyków. Jemu podlegają gminy braci w Świdnicy, Nysie i indziej.

— Co zaś prawisz — przerwał atary. — Nikt z nas drugiemu nie podlega, wszyscyśmy równi.

— Równi. Aleć wždy i dzieci rodzicielom winne szacunek i posłuszeństwo, i małżonki mężom. Święty Paweł, gdy biskupów ustanawiał, zgołą nie mówił, a% księżętami mają być, trzódkę sobie zawierzoną doić*, strzye i zarzynać, jeno rzekł: „Ma być biskup menami ganny, mąż jednej żony, roztropny, poważny, wstydlivi, wy, gościnni, zdolny do nauczania, a nieskłonny do* pijaństwa lub bicia, a w domu rządny i mający tizieci, karne i czyste...”

— Już też przestałbyś — pnse[^]wał Adam BrasjsSz* kowi — bo towarzysz twój ponayśli, że żarty sobi* stroisz ze starego.

— Gdzie zaś. Zawždy mówię, jak myślę, bo ItfSjip*¹. stko, co nie z przekonania płynie, grzechem jest.

— Pójdźmy, bo w domu czekają i pożywić si[^]tjrpW ba — rzekł stary i ruszył ku wyjściu.

Byli niemal ostatni. Klasztorne obejście pustoegsało, już, tylko przed bramą jeszcze kłębił się tłum. OstertBf ka chciał pomóc dźwignąć brzemię, ale pacholek* Ilio- sący je, roześmiał się:

— Jeszcze i ciebie mógłbym ponieść, *ho* ni«wiek«- jest. Ale i tego szkoda do smartuza nosić za psi ple-

¹ uchwały soboru w Wiennie — pod prafcwodniCW/emi papieża Klemensa — przeciw heretykom, zwane &jtńiei}n." tynami

niądź, choć bez prawa, bo towar na miejscu zrobiony i składowi nie podlega. Jak mogą — dokuczają, bo taniej sprzedaję i lepsze. Radziej strażnika zabaw.

Ruszył za ojcem i bratem, Ostróżka i Braciszek na końcu. Przy bramie stał już tylko jeden łucznik. Na jego widok stary zatrzymał się:

— Temu się będzie trzeba opłacić, bo bez zadry nikogo nie puści. Wolej by ubogim dać niż takiemu — na pijaństwo i rozpustę.

Sięgnął do trzosa, ale Braciszek powstrzymał so:

— Ostawcie, już ja z nim załadzę.

— Albo ja — wtrącił Ostróżka.

Spojrzenie jego zdradzało, jak uczynić zamyśla. Braciszek, znając go, przestrzegł:

— Nijakich tu zwad ze strażą nie wszczynaj, skoro ostać mamy.

— Ostaniem albo nie. A ty nie czyń cudów.

— Taki cud uczynię, że się nim nie pochwali — odparł Braciszek odsuwając Ostróżkę.

Strażnik stał w przejściu, rozkraczony, podpierając się halabardą, bo chwiał się nieco na nogach od napitku. Gdy się zbliżyli, zastawił drzewcem przejście i łypiąc zaczerwienionymi z pijaństwa oczkami na niesiony towar, odezwał się surowo:

— Widzę, że i dla miasta coś ostało. Pójdziem do smartuza.

— Mistrz nie ma czasu, bo w gości do niego zjechaliśmy — powiedział wysuwając się naprzód Braciszek.

— Kto nie ma czasu, musi mieć pieniądze — zaśmiał się strażnik złośliwie.

— Czas od Boga człeku dany, by sobie na niebo zasługiwał, pieniądze zasię od szatana, by mu w tym przeszkadzać — odparł Braciszek.

— Tedy radzi być winniście, że wam ulżę.

— Ile?

— Tak na oko pół grzywny wagi kolońskiej.

— Na tyle mnie jeszcze stać — mruknął **Braciszek**, ręką pokazując towarzyszom, by przeszli.

Strażnik spojrzął na niego podejrzliwie:

— Płaszcz byś sobie kupił — rzekł, wskazując na suknię Braciszka, w której przez dziury przeświecała goła skóra.

— Gdybym płaszcz kupił, może by mi dla ciebie nie stało. Diabeł zawždy na jedną kupę garnie.

— Nie gadaj, ino płąć.

— Nastaw rękę.

Strażnik, oparłszy drzewce o ramię, wyciągnął dłoń i mrugając oczyma z rosnącym zdumieniem patrzył, jak Braciszek bez pośpiechu, nie wiadomo skąd wyjmowane, wyliczać jął mu dwadzieścia cztery grosze. Gdy skończył, wyspał na wierzch zbieraninę różnych monet, tak że wypełnił obie garście strażnika i zostawiwszy go z otwartą gębą, oddalił się szybko, i zniknął w tłumie.

Strażnik stał nie wiedząc, co począć z niespodziewanym zarobkiem. Po chwili ruchem głowy strząsnął na ziemię kapelusz i wysypawszy doń pieniądze, sięgnął po trzos.

— Kata! — wrzasnął nie znalazłszy na miejscu sakiewki, która dobrze zdążyła, się wypełnić od rana.

Byłby, jak stał, pobiegł za tkaczami, ale musiałby w rękę trzymać kapelusz, a w szamotaniu między ludźmi gotów stracić resztę. Obejrzał się bezradnie. Sakiewka jego leżała koło bramy — pusta.

— Obrzydłe heretyki, jeno patrzą okpić uściwego człeka — mruknął. — Jeszcze mi zapłacicie! — rzucił za nimi mściwie. Rzezimieszka znalazłby u Wałłończyków i doprowadzić mógłby na ratusz, jeno trzeba by rzec, jak było. Machnął ręką. Niech jeno biskup wróci, weźmie się za heretyków. Wtedy odbije stratę %nawiązką.

Mróz złamał się nagle. Na przemianę to śniegi par dajły obfite, to dogrzewało słońce niosąc złudny przedsmak dalekiej jeszcze wiosny.

W słoneczne niedzielne popołudnie siedziała Margaretka pod daszkiem podcienia dworku i trzymając lalkę na kolanach, patrzyła z zaciekawieniem i uwaga, jak w zręcznych rękach Ostróżki z kilku desec^afc powstaje kołyska.

Spokojny pobyt u dobrych i życzliwych ludzi oswoił Ostróżkę z nimi, ale nie zbliżył. Oni wszyscy należą wzajem do siebie, zżyci i przywiązani. On zawsze pozostanie obcy.

Nie umiał jedynie odepchnąć małej Margaretki, która z dziecinną otwartością dawała mu poznać, jak go rada widzi, a z niewieścią już chytrą wciągała do swoich zajęć i zabaw. Sam sobie zdał się wówczas dzieckiem, ale nie lubił, by go na tym przychwytowano. Do pracy nie dał się wciągnąć i wałęsał się po mieście bez celu, byстрыm OKiem i chwytlwym umysłem rozeznając, co się dzieje dokoła. Poznał już miasto i jego mieszkańców, ale nie obchodzili go nic. Tylko dla Margaretki był inny, choć bronił się przed przywiązaniem do niej. Po co? Gdy biskup wróci, odejść przyjdzie.

Uległ wreszcie nagabywaniom dziewczuszki o kołyskę dla lalki i wziął się do roboty przy pomocy jedynie noża, który od czasu do czasu brusił na osel-

ce. Tylko ten odgłos niekiedy mącił ciszę. Nie słyhać nawet było zwyczajnego dudnienia młyna na niedalekiej młynówce ni gruchania gołębi, które ciesząc się słońcem, całym stadkiem wzbijały się i krążyły wysoko nad domem, świecąc pierzem jak iskry.

Dom zdał się opustoszały, ale po chwili w jego wnętrzu rozległy się kroki i na ganku ukazała się gospodyni, Berta, niosąc na tacy chleb, ser i suszone owoce. Postawiła tacę na ławie obok córeczki, a sama przysiadłszy, zwróciła się do Ostróżki:

— Pożyw się, bo do wieczery daleko. Moi poszli słyhać owego proroka i nie wiada, kiedy wrócą. Mógłbyś nie pracować w Dzień Pański — dodała z przyganą — skoro nigdy czasu ci nie brak.

Podniósł na nią swe jasne oczy i odparł:

— U mnie post — odrzekł — gdy nie ma co jeść, a święto, gdy nie ma co robić. Nie praca to zresztą, jeno zabawa.

— Może dla ciebie. Ale dziecko nawyknąć winno, że w dzień święty rękom należy dać wypoczynek a o Bogu pomyśleć. Do kościoła nie chodzisz?

— Nie było mnie komu prowadzić, gdym dzieckiem był, tedy i nie nawykiem. Później bywałem, jeno zgoła nie po to, by się modlić. W ścisku najłacniej psotę wyrządzić lub szkodę nadętym panom, co też nie z nabożności przed główny ołtarz się cisną* jeno by bogactwem biedotę w oczy kłuć i okazać, ie oni i przed Bogiem pierwsi.

Berta wolała, by dziewczynka nie słyhała 'tych zwierzeń Ostróżki, przerwała tedy:

— Czemuś tedy nie poszedł wraz z Braciszkiem słyhać onego kaznodziei, który pono wyzwolenie biedoty głosi[?]

— Nie ciekawym mruknął Ostróżka. — PORUSZENIE jest w mieście i bez niego, a on też pewnikiem szalbierz jakowyś. Nasłychałem się ja kazań, jeno nie widziałem, by ci, co każą, sami tak żyli, jak innym głoszą.

— Ty nikomu i w nic nie wierzysz?

— W Boga wierzę — odparł wymijająco. — Jeno skoro człeku wolną wolę dał, to nie po to, by się do jego spraw mieszać.

— To i nie modlisz się?

— Modlitwa nie Bogu potrzebna, jeno człeku, jako prawi Braciszek. Mnie zaśię niepotrzebna, bo ni dziękować nie mam za co, ni o co prosić.

— A choćby dziękować za on chleb powszedni, a prosić o win odpuszczenie.

— Żyłem i bez chleba, niedziwne mi. A o win odpuszczenie niechaj się modlą ci, co mnie zawinili.

Nie chciał widocznie mówić o tym, bo wstał i odwróciwszy się bez słowa, szedł przez sad ku drodze. Berta westchnęła spoglądając za nim. Margaretka przytuliła się do matki, nie bardzo rozumiejąc, o co się zbiesił i odszedł, nie dokończywszy kołyski. Łzy rozżalenia stały jej w oczach, gdy spojrzała na matkę. Zdziwiła się widząc także łzy w jej oczach, gdy rzekła:

— Ty się za niego pomódl, skoro dla siebie prosić nie masz o co. On nie miał takiego jak ty dzieciństwa. Niechby choć teraz cel jakowyś znalazł w życiu, bo źle człeku, gdy żyje nie wiedząc, dla kogo i po co.

Ostróżka istotnie nie wiedział. Wiedział jedynie, że dla pomsty żyć nie warto i że złoto, którego wyniósł pod dostatkiem z Krakowa, nic nie daje. Nie miał o czym myśleć. Teraz przez kładkę na młynówce wyszedł na podmiejską ulicę, na którą słoneczne popołudnie wywabило mieszkańców. Odświętnie strojne dziewczęta przechadzały się gromadkami, szepcząc między sobą, chichocząc i rzucając wabne spojrzenia na młodzież. Niejedno padło i na Osłórkę, którego świecąca w słońcu czupryna ściągała zalotne spojrzenia, a więziła je urodziwa twarz. Ale nie zwracał na nie uwagi i szedł praed siebie, bez celu, zadumany. Myślał o tym, kiedy i dokąd znowu wędrować przyjdzie. Spodziewano się już powrotu biskupa, który ład zaprowadzi w mieście, a zwłaszcza poskro-mi panoszące się herezje. Słaby i wie&mie potrzebu-

jacy pieniędzy, wrocławski książę Henryk zgoła się nimi nie zajmował, a władze miejskie nie umiały już sobie z nimi poradzić i wyrastać zaczynały ponad głowę.

Prorok jakiś się zjawił ostatnio, chytrzejszy widocznie od innych, wywołał poruszenie zwłaszcza wśród gnieźdzącej się pod murami i na przedmieściach biedoty, pozbawionej wszelkich praw, a ściganej przez każde, żyjącej z dnia na dzień w oczekiwaniu takiego, który bezkarnie pozwoli napchać cudzym puste brzuchy. Może by przecie posłuchać kaznodziei? Ostróżka wzruszył ramionami: co go to obchodzi? Zmierzał jednak w kierunku osady szczytników, gdzie dzisiaj kazać miał prorok. Może spotka Braciszka, który poszedł tam z mistrzem Adamem. On zawsze zajmuje się wszystkim i wszystkimi i zawsze ma o czym gadać.

Zebranie, widać, już się skończyło, gdyż gromadki ludzi ciągnęły ku staremu miastu, rozmawiając w niezwykłym podnieceniu. Przeważały wśród nich niewiasty, zwłaszcza beginki, które poznać można było po sukniach barwą i krojem zbliżonych do zakonnych.

Ostróżka przypuszczał już, że zminął się w Jtlumie z Braciszkiem, gdy wreszcie ujrzał go z dala, jak wymachując wedle zwyczaju rękami, o czymś rozcpr[^]-wiał z tkaczem Adamem, coraz to przystając, ©stróżka zbliżył \$|ę i zapytał:

— Nie szkoda ci czasu słuchać jakowegoś wólczeği?,

. Nie'szkoda; sam żałuj, żeś go nie widniał. Słuchać nie ma czego, bo co gadał, słyszałem już, jeno mądrzej i e&l&druiej podane, a głupstwa to są nijakiej wiary niegodne, Ałs zrozumiałem, czym on ludzi jak za włosy trzyma, że oczu oderwać nie mogą, bo i aaiti siebie szczypać musiałem, aby riie zapomnieć, że kujtarz to i szalbierz.

--- Mnie by ta nie ogłupił - mruknął Ostróżka.
A ty wytrzymałeś, by nie gadać?

— Nie było jak, bo ani się dopchać do niego, ani ku sobie uwagi odwrócić. A rzekłbyś co przeciwko niemu, toby cię baby pazurami rozdarły. W końcu ci cud uczynił, bo gołębicę białą wypuścił, jako czasu chrztu Pana naszego. Juści, że z rękawa, nie z nieba, bo sam nie takie cuda czyniłem, jeno za rękę by go złapać trzeba. Gębę ma opoja i kostery, ale głos jak trąby Archanioła, brodę jak prorok, a te oczyska jak wąż. Nimi to ogłupia ludzi, że widzą jeno to, co on chce.

■— Mnie też nie ogłupił — wtrącił mistrz Adam — ale pewne, że w niedowarzonych głowach zamęt sprawia. Każdy rad słucha takowej ewangelii, co młodzieź do niekarność i próżniactwa zachęca, niewiasty do rozwiążności, a biedotę do nieposzanowania wszelkiego porządku, za cnoty jeszcze głosząc to, co wszelkim boskim i ludzkim prawom przeciwne.

— Co wam o to — wtrącił Ostróżka. — Niech się wielebni prałaci i ślachtetni rajcy trapią, że w ich studni ktoś wodę mąci.

— Tak ci się zda, ale on zamąci i pójdzie, a my ostaniem i narn się winę przypisze zamętu. Wszystko, czego Kościół rzymski nie posadził w swoim ogródku, chwastem dla nich, który wyplenić trzeba. A biedota juści rada słucha wszystkiego, co przeciw temu porządkowi, jaki jest, bo i pochwalić go trudno. A jaki ma być ten, co przyjdzie, o to sobie głowy nie łamie, skwapliwie zaś korzysta, gdy żadnego nie ma. Tak ci się i poprzednim razem zaczęło: kto inny kamień poruszy, komu innemu na głowę spadnie.

Umilkli i szli ku miastu. Ostróżka zamyślił się, aż zmarszczka przecięła jego gładkie czoło. Braciszko wi kudły opadły na oczy. Snadź myśleli o tym samym, bo rzekli jednocześnie:

— Coś trzeba zaradzić.

— Tędy woda odejdzie, kędy się wcześniej rowek¹ wygrzebie — dodał Braciszek. — Wszelako lepiej —

zwrócił się do tkacza — byście ni wy, ni wasi bracia na te kazania nie chodzili. Znają was tu.

— Znają nas i bez tego — odparł markotnie tkacz. — Choć nikomu zła nie czynim, a niejednemu dobro, niech się jeno rozruch jakowyś zacznie, na nas się krupi alibo na Żydach, bo wiadomo, że nikt się za nami nie ujmie. Mówią, że biskup wraca. Starczy mu byle pozór, by na nas złość się JORO wywarła.

— Gdy wróci, nam pierwszym uchodzić trzeba — odparł Ostróżka. — Tedy i skoro zaradzić należy.

Jakoż radzili z Braciszkiem w izdebce na poddaszu do późnej nocy. Pierwszy ruch dopiero był w domu, gdy wypuścili się na miasto.

VIII

— Muszę mieć pieniądze!

Książę Henryk siedział na łożu, popijając polewkę. Młode jego, lecz już nieco nalane oblicze zdradzało zniecierpliwienie. Stojący przed nim w pokornej postawie kuchmistrz Salomon odparł:

— Kto nie musi? Ino dawać nikt nie chce.

— Twoi nie dadzą?

Miał odpowiedzieć wprost, Salomon skręcał się niechętnie:

■ — Pieniądz jest jak ślimak. Tylko czuje, że coś podchodzi, chowa się.

— Co nadchodzi?

— Kto może wiedzieć? Jak nie wiadomo, co 'będzie, to nie wiadomo, co robić. A jak nie wiadomo, co robić, to najlepiej nic nie robić. Czekać.

Książę ze złością prasnął pustym już kubkiem o podłogę:

— Ale mnie nijak dłużej czekać. Bez pieniędzy nie mogę wyruszyć, a pomoc przyrzekłem książęciu Fryderykowi. Nie strzymam, to za nic mnie będzie mął i on, i wszyscy.

Salomon nieznacznie wzruszył ramionami, ale Henryk zauważył widocznie, bo krzyknął:

— Ciebie to nie obchodzi?! Nie po tom Żydowina zrobił dworskim urzędnikiem, by mieć zadrę z kapitułą, jeno byś wiedział, skąd pieniądz brać! Polewkę taniej byle baba mi uwarzy.

Salomon skrobał się po brodzie:

— Skąd, to ja wiem. Tylko żebym wiedział jak, tobym sam wziął. Książę Bolko legnicki to on nawet z kościoła bierze.

— Głupiś — fuknął Henryk. — To wiem bez ciebie, ale nie mogę.

— Czemu głupi? Jak mnie się pytają, gdzie pieniądze są, to mówię, gdzie są. U panów mieszczan także są. To i co, że są, kiedy oni nie dadzą.

— Dlaczego nie dadzą?

— Wasza Miłość sam sobie psuje, a potem ty," Salomon, naprawiaj. Każdy już wie, że Wasza Miłość pilnie pieniędzy potrzebuje. A jak pilnie pieniędzy potrzebuje, to sprzedaje, co się da i za ile się da. Oni wolą za byle co kupić, niż pożyczyć na przepadłe.

— Dlaczego na przepadłe? — gniewnie zapytał Henryk.

— Przecie Wasza Miłość jeszcze nikomu pożyczonych pieniędzy nie oddał.

— Naprzód braci spłacić muszę. Jeszcze nie umieram — burknął książę ze złością.

¹ Zamyślił się chmurnie. Po chwili zapytał:

— A miasto nie da?

— Nie da. Po co panowie rajcy mają sami sobie psuć interes?

— To im coś sprzedać.

Salomon cmoknął i .odparł:

— Widzi Wasza Miłość, że oni dobrze liczą. Sam bym kupił, żebym miał za co. Ale że nie mam, to Wasza Miłość mi uwierzy, że ućciwie radzę: już nie-jeden taki, co jest cierpliwy i oszczędny, Hożę kupił za to, co z drugiej wydoił. Ale nikt jeszcze kozy nie kupił za mięso z tej, co ją zarznął i zjadł.

— Gadaj bez przypowieści — sarknął książę.

— Przecie jasne. Jak Waszej Miłości nie może wystarczyć dochodu z tego, co ma, to jak starczy z tego, co już nie będzie miał? Jak nasi mówią: *Wo nix ist, dort hat der Kaiser sein Recht verlvren*. Żyd bez majątku to jest Żyd. Nie ma, to może będzie mii\$. Ale

książę bez majątku to jest nic. Nie ma, to na pewno nie będzie miał.

Henryk wyskoczył z łoża i pięścią wyrznął w stół:

— Za to ci płacę, ty niewierny psie, byś radził, a nie kpiał sobie!

— Zaraz pies. I to niewierny. Przecie jeszcze nie skończyłem. Mam radzić, to muszę myśleć. A mam myśleć, to muszę gadać, tak jak mi idzie. Jak sobie nie powiem, tak jak myślę, to jak powiem Waszej Miłości?

Henryk opanował się, leżał z powrotem i nakrył się derą, bo chłód panował w komnacie. Mruknął:

— Gadaj!

— Najlepiej sprzedać, co się nie ma.

Henryk poderwał się znowu. Salomon niecierpliwił go, ale znał go już i wiedział, że lubi dużo gadać, zawsze jednak w końcu coś wymyśli. Postanowił mu nie przerywać, a Salomon ciągnął:

— Starsi cechów też lubią pieniądze, bo kto by nie lubił? A jak oni mogą mieć, kiedy Rada im stasiowi, co wolno robić, ile wolno robić, a na końcu jeszcze: za ile i gdzie można sprzedać. To oni sami chcą mieć do gadania. Im się opłaci opłacić z cudzego. Oni by uchwalili kolektę po dwieście marek srebra od główki, co wejdzie do Rady

— Skąd wiesz?

— Bo gadałem z nimi.

— Ba! Jeno że się panowie konsulowie nie zgoelzą.

— Niech się cechowi o to martwią. Oni by się nie zgodzili, żeby był spokój. Ale że im się pali nad głową, to oni nie będą się drożyć. Najtaniej można dom kupić, kiedy się pali. Każdy woli pół stracić niż całe,

— Ale kto będzie gasił? Ja muszę wyjechać i wojsko zabrać ze sobą.

— Wasza Miłość bez pieniędzy nie wyjedzie. Zresztą tu trzeba z głową, nie z rękami. Jak panowie starsi cechów będą mieli swój interes, to oni swoich ludzi uspokoją. A gołota uspokoi się sama, jak się

zbędziemy tego proroka, co jemu Najwyższy powiedział, że wszystko wolno, co się chce. A co się chce — wiadomo: chce się nic nie robić i mieć pieniądze.

— Zamknąć go do wieży! Łeb uciąć! — rzucił pośpiesznie Henryk, ale Salomon cmoknął lekceważąco :

— Jakby jemu nie wierzyli, to nie trzeba łeb uciąć. A jak jemu wierzą, to nie pomoże. Ja mówię, że tu trzeba z głową.

— Gadajże wreszcie — niecierpliwie rzucił Henryk. — Ja nie mam głowy do tego.

— Wasza Miłość ma moją i ona już wymyśliła. Jest tu drugi kaznodzieja. On tu już raz był, wtedy co to Wallończyków rabowali i naszym się też dostało, bo zawsze się tacy pobożni znajdują, co się mszczą za Chrystusa. On też umie cuda robić, a coś ma z WaUończykami, bo nie chce, żeby ich znowu rabowali. To my się zgodali. Z nim jest drugi taki, co: , uciekł z Krakowa. Bardzo tam panom mieszczanom' podokuczał. Nawet nasi pisali, żeby jemu pomóc, jakby potrzebował, bo on też pomagał i nie pytał się, do kogo się kto modli. Ale on nie potrzebuje, bo łebek to on ma. Może nawet ma coś z Żydów, bo ryży i za mądry na goja...

Urwał i spojrzał niepewnie na księcia, który jednak jakby nie słyszał odezwania, bo rzekł jeno:

■— Rób, co chcesz, byłem ja miał pieniądze. A ja co mam robić?

— Wziąć pieniądze. Dziesięć od sta dla mnie, **bo** ja mam koszty, a Wasza Miłość za to będzie **mieć** pewność, że wytarguję, ile się da.

— Dobrze, byle prędko, bo mi pilno. Wróci biskup, to wszystko to na wodzie będzie pisane. On już **zrobi** porządek. Z tobą też. I będzie spokój.

— Największy spokój to jest na cmentarzu, a komu tam pilno? Chwała Najwyższemu i za tych parę lat, co Jego Przewielebności w mieście nie było.

Henryk zaśmiał się i łaskawie odprawił Salomona. Też nie tęsknił za dawnym opiekunem i wiedział, że

gdy wróci, znowu rządzić będzie **gromada jego** pociotków. Wzruszył ramionami. Tymczasem ma wolną rękę, a wolną ręką łatwiej brać pieniądze.

W gospodzie za Mikołajską Bramą, przy drodze wiodącej do Muchoboru, siedział za stołem Ostróżka z kilku obdartymi włóczęgami i częstując ich, szepciem z nimi nad czymś uradzał. Karczmarz stał za ladą i patrzył podejrzliwie na pijących, usiłując odgadnąć, co ma wspólnego zasobnie ubrany mieszczanin z rzezimieszkami, za których z góry dukata cechy zapłacił.

Widocznie czekali na kogoś, bo po chwili umilkli, a Ostróżka od czasu do czasu wychodził przed karczmę, by spojrzeć na drogę. Ciągnęło nią sporo gwarzących zżywieniem, wszyscy w kierunku Muchoboru, przeważnie biedota i niewiasty.

Gdy Ostróżka wywołał swych towarzyszy i wyszli, karczmarz po namyśle zamknął gospodę i drzwi założył kłodą. Coś się popsulo w mieście: nikt nie był pewny bezpieczeństwa swego mienia. Rada i Ława szukały sposobu, jak opanować wrzenie. Po raz pierwszy dopuszczono do władz miejskich przedstawicieli rzemiosła: słodownika Merbota, rzeźnika Hiltwina, piekarza Heynemana, kramarza Konrada, Wilhelma szewca i tkacza Jana Alberta. Rzemiosłu nie mniej zagrażał wzrastający nieład niż kupiectwu. Sturarze psuli ceny, urządzając nieustanny jarmark, odmawiali opłat targowych i stawiali czynny opór straży usiłującej przywrócić porządek.; Nierzadko też zdarzały się wprost rabunki, nawet w biały dzień, nie mówiąc o tym, że nocą niebezpiecznie było wyjść na miasto. Złotnicy pozamykali już ławy. Zamykano też karczmy, gdyż nazbyt często trafiało się, że męty jakoweś, opiwszy się i obzarłszy, odmawiały zapłaty, mówiąc, że teraz, w epoce Duchy Świętego, pieniądz nic nie znaczy. Na dobitek wszczykali burdy, kończące się

niszczeniem sprzętów i naczyń. Ani chybi, skutki to kazań proroka głoszącego wyzwolenie. Karczmarz splunął ze złością, niemniej sam ciekaw był kaznodziei, o którym opowiadano cuda. Włożył ciepłą szubę i ruszył w kierunku znacznej z dala wysokimi polami chmielami ze stojącą obok szopą do suszenia chmielu, ku której zmierzały gromady. Ciekawych więcej być musiało, nierzadko bowiem wśród tłumu widać było kapoty zasobniejszych mieszczan. Ale przeważali ludzie w łachmanach, jakich zazwyczaj ujrzyć można było tylko pod przegierzem, naprzeciw ratusza, lub zgoła na szubienicy. W tłumie, zagapionym na proroka, nietrudno o zysk.

Ostróżka z Braciszkiem szli rozmawiając półgłosem urywanymi słowami. Przyspieszyli kroku, wyprzedzając idących, a Ostróżka chwilami obzierał się czy jego ludzie nadążają.

W otwartej z trzech stron, obszernej skopie luźno jeszcze było, gdy dotarli na miejsce. Tyłko koto) ustawionego pod jedyną ścianą podwyższenia z desek, służących zazwyczaj za póły, cisnęło się już kilkunastu tęgich drabów i gromada niewiast, przeważnie beginek. Gdy Braciszek jął się przez ciżbę przepychać ku podwyższeniu, jeden z drabów ofuknął go:

— Dokąd się pchasz? Tu miejsce dla uczniów mistrza.

— Nie będzie miał gorliwszego **ode** mnie, niech mnie jeno uzdrowi.

— A co ci jest?

— Nie wiem. Parchy zali trąd... Ale niech jeno dotknę jego szaty, a będę uzdrowiony.

Odsunęli się od Braciszka nieufnie, coś między sobą uradzając, a Braciszek przemknął się **między** nimi i usiadł na skraju podwyższenia przy ścianie. Ręce złożył za pazuchę i przybrawszy rozmodlony wyraz twarzy, czekał.

Ostróżka ze swoimi też przecisnął się pod ścianę, a zajął tam miejsce w samą porę, bo stłoczony już tłum rozstał się i zza węgła ukazał się prorok, poprzedza-

ny przez dwóch ludzi ze smolnymi pochodniami. Na polu dzień był jeszcze, ale mroczniało i śnieg zaczął padać. W szopie panował cień. Migotliwy blask pochodni oświetlał jeno postać proroka, odzianego w długą szatę z obszernymi rękawami. Kroczył z wolna z namaszczeniem ku podwyższeniu, błogosławiąc niewiasty, które klękały z wyrazem nieprzytomnego zachwytu w pobladłych twarzach, gdy koło nich przechodził. Gdy mijał Braciszka, wstępując na podwyższenie, ten przytrzymał go za rękaw i żarliwie całował. Ostróżce zdało się, że w wielkich i wypukłych oczach proroka, zapatrzonych a zarazem bystrych, mignął cień podejrzenia. Ale uspokoił go widocznie głupawy wyraz twarzy Braciszka, a gdy jeden z uczniów szepnął coś do niego, wstąpił na podwyższenie i wzniosłszy oczy, modlił się. Potem opuścił je, ogarniając wszystkich zebranych jednocześnie wzrokiem przenikliwym i palącym. Spojrzenie to niełatwo było wytrzymać, a trudno się od niego oderwać.

Ostróżka zaczął pojmować wpływ, jaki ten człowiek wywierał, zwłaszcza na niewiasty przesądne i *latwowieczne*, a od młodości wszelkiej swobody pozbawione.

Lepiej jeszcze zrozumiał, gdy prorok zaczął mówić i naszyły go wątpliwości, czy Braciszek nie nazbyt trudne wziął na siebie zadanie. Spojrzał na niego. Siedział nadal na skraju podwyższenia, otoczony przez przybocznych proroka, jak cały tłum zagapiony nieprzytomnie i w słuch zamieniony. Cisza panowała taka, że gdy chwilami kaznodzieja przerywał, słychać było szelest płatków śnieżnych padających na dach szopy.

Prorok mówił po niemiecku, ale ważniejsze zdania powtarzał jakimś z czeska polskim narzeczem, niezadko wtrącając i łacińskie wyrazy. Ale rozumieli go wszyscy, a może zdało im się tylko, że rozumieją, bo od pierwszego słowa ujął i trzymał w napięciu cały tłum. Ostróżka spojrział po ludziach. Rodziła się w nim wątpliwość, czy ważą się wykonać to, co *im*

zlecił, a nawet gdyby się wazyli, czy zechcą. Gęby mieli otwarte, oczy utkwione w proroka, którego niski, dźwięczny głos, to miękki jak śpiew, to twardy jak spiz, wypełniać zdał się własną pierś każdego,, budząc w niej drzenie. Ostróżka zaniepokoił się, czy i Braciszek, który oczy miał przymknięte i zdał się słuchać w skupieniu, nie uległ powszechnej ekstazie.

Ale Braciszek w wędrówkach swych słuchał naj-słynniejszych kaznodziejów, nie było dlań tajemnie; czym i jak porywa się tłum. Choć młodszy wówczas i mniej doświadczony, słuchał Segarellego i Dolcina potrafił się jednak wyzwolić spod ich uroku, mimo że głoszone prawdy poświadczyli śmiercią. Bo niczego nie dodali do Chrystusowej mądrości, którą rozumie jeno niewielu. A zmartwychwstanie rozumie każdy,; dlatego Chrystus czynił cuda.

Ten prorok czyni „cuda” znane Braciszкови zbyt dobrze, a czyni je po to, aby uwodzić niewiasty, wyciągać wdowie grosze z łatwowiernych, z których w duchu się śmieje. Jego uroczone, na pozór uduchowionę oczy rzucały od czasu do czasu badawcze i chytre spojrzenia. Mimo rzekomego uniesienia badał wrażenie, jakie czyni. Ręce, które nie miały rolę odgrywały w przemówieniu, o długich nie spracowanych palcach, to zjawiały się, to niknęły w fałdach rękawów ciemnej sukni — ręce kuglarza. On sam zaś oszust lub półmędrak, zbiegły mnich lub duchowny wygnany za występki i rozpustę, której ślady widniały na jego pięknej twarzy. Nauka jego ni własna była, ni nowa; doktryna Joachima de Fioris. za jego czasów — przed wiekiem z górą, dawała nadzieję na poprawę świata, gdy zawodziły nawoływania do nawrotu *dna* Ewangelii, która w rękach hierarchii stała się zasłona oddzielającą jeno lud od ołtarza. Wieczysta Ewangelia Ducha Świętego pozwoli każdemu zrozumieć Boga bez pomocy Pisma, a więc bez dogmatów, bez niczyjego pośrednictwa, a więc bez hierarchii i sakramentów, bez posłuszeństwa innym nakazom poza *we-*

wnętrznymi. *Littera enim occidit, Spiritus autem vivificat* *. A gdzie Duch Pański, tam jest wolność.

Prorok głosił tę przebrzmiałą a uproszczoną przez siebie doktrynę maluczkiem uciśnionym, którzy żadnego nie mieli udziału w korzyściach istniejącego porządku. Odrzucaj małżeństwo, posłuszeństwo wszelkim nakazom, nawet panowanie nad sobą. „Wolność” to wyuzdynie, swawola i posłuch głosowi namiętności, bo każdy głos wewnętrzny jest głosem Ducha Światłości. Kto postępuje zgodnie z nim, staje się członkiem Zakonu Wybranych, który zgrzeszyć nie może, doskonalszym od Chrystusa. A głową Zakonu jest on, prorok, w którym zagnieździł się Duch Święty-

Braciszek wiedział, że teraz kazanie musi się skończyć, gdy mówca wziął najwyższy ton. A on wiedział, kiedy go wziąć, bo niebo przetarło się ku zachodowi, promień słońca zajrzał do szopy, gasząc blaski trzymanych koło proroka pochodni, a niecąc je w zachwyconych oczach tłumu, porwanego objawieniem tak prostych i wygodnych prawd. Zresztą „duch święty” musi wyfrunąć, nim słońce zajdzie, bo inaczej gotów nie ulecieć z wewnętrznej kieszeni rękawa szalbierza, zwolniony błogosławiącym ruchem ręki.

Ostróżka czek sił w napięciu, patrząc na Braciszka, niepewny, co poczynać. Braciszek w pewnej chwili mrugnął na niego oorozumiewawczo i Ostróżka uspokoił się.

Prorok istotnie skończył i wezwawszy wielkim głosem Ducha Świętego, wznosił rękę. Obecni poklękali oczekując cudu i trwała chwila napiętej ciszy. W miarę, jak się przedłużała, powstał niepokój, a zmieszanie zjawilo się na twarzy proroka. Wszystkie oczy skupiała na sobie jego biała dłoń wzniesiona w górę. Nagle miast spodziewanej białej gołębicy ukazał się spiczasty, wąsaty pyszczek. Zaskoczony kaznodzieja

¹ Pismo bowiem zabija, Duch zaś ożywia.

strzepnął dłonią, a spłoszony szczur wpadł między tłum.

— Diabeł! — wrzasnął Braciszek przeraźliwym głosem. Nie trzeba było nawet przypomnienia, że z powodu podziemnego, nocnego życia powszechny przesąd uważa to zniechędzone stworzenie za diabelskiego sługę. Tłumem targnął jeden wielki wrzask, wśród którego wybijał się spazmatyczny pisk niewiast. Niektóre usiłowały wspiąć się na plecy sąsiadów, inne zdzierały szaty, gdyż zdało im się, że w fałdach ukrył się obrzydły i przeklęty stwór. Dalej stojący nie wiedzieli nawet, o co chodzi, ale wszystkim udzielił się popłoch. Obalano się wzajem, depcząc po sobie, krzyki bólu i przerażenia biegły wraz z tłumem, który gnał teraz ku miastu. W opustoszałej szopie pozostało jeno kilku ciężiej uszkodzonych oraz Braciszek z Ostróżką i jego rzeźmieszkami, trzymającymi ciskającego się z niebywałą siłą proroka. Braciszek zbliżył się do niego i pokazując mu białą gołębicę, powiedział:

— Szkoda niewinnego stworzenia. Razem z tobą. uwiązane będzie u prąga albo zgoła zawiśnie na szu* bienicy.

Prorok spojrzął na Braciszka z bezdenną *tibat&Wi* ścią, wymowniejszą niż słowa. Ale Braciszek jeno ramionami wzruszył i dodał: /

— Pójdźmy i my, bo bramy zamkną.

Ruszyli wi »dąc pojmanego. Na klepisku leżał rozdeptany szczur. Braciszek-pochylił się nad nim.

— Szkoda i jego. Nieprawda, że diabelski to stwór* Boży, jako i każdy, jeno co mu czynić, gdy nienawiść go ściga, gdzie się ukaże. Chowa się przed nią pod ziemię i w mroku. Ludzie własną złością zarażają każde stworzenie, a potem sami się go lękają. I między sobą takż.

— Co się będziesz nad szczurem użalał --- rzekł. Ostróżką. - Pójdźmy.

IX

Śmierć **nie** wybierała samych tylko wrogich Łokietkowi ludzi, jak w rozdrażnieniu zdawać się mogło Muskacie. Wiosną, właśnie gdy biskup był w drodze do Awinianu, zmarł Bolko mazowiecki, który wraz z Łokietkiem jeszcze przeciw Przemysłidom walczył, a w czasie zdradzieckiej napaści Krzyżaków on tylko jedyny użył mu zbrojnej pomocy. Dzielnica mazowiecka, wzmacniająca ochronę granic Łokietkowego państwa od strony Litwy i Zakonu, rozpadła się tedy między trzech synów zmarłego, z których najmłodszy, Wańko, po matce Czesze spowinowaconej z Luksemburgami, pozostawał pod wpływem biskupa Floriana, zaprzysiężonego przyjaciela Krzyżaków. Nie tylko więc sprawa Wielkopolski pilnie wymagała obecności Łokietka na północy kraju. Nie bacząc przeto na spóźnioną porę jesienną książę zwołał zjazd rycerstwa do Brześcia, a sam z dworem i rodziną wyruszył z Krakowa, kierując się wzdłuż Pilicy i Warty, by po drodze odwiedzić w Uniejowie sędziwego arcybiskupa Jakuba, który od roku blisko stamtąd się nie ruszał. Mimo że księstwo przybyli u schyłku zapłakanego dnia jesiennego, spędzonego w podróży po rozkisztych drogach, Łokietek, zatrzymawszy się na plebanii, wysłał zaraz komornika do metropolity z zawiadomieniem o przyjeździe i zapytaniem, kiedy go odwiedzić można. Komornik wrócił wkrótce oznajmiając, że arcybiskup prosi bez zwłoki, bo silniejszy się czuje, a nieczęsto już zdolny jest opuścić łóżko.

Widok starca wstrząsnął nie tylko Jadwigą, ale i twardym Włodzisławem. Jakub siedział na wyściełanym zydłu z oparciem, okryty futrami, choć od wielkiego komina żar bił na izbę. Trudno było pojąć, jak można być słabszym. Nic żywego nie było już w jego postaci, nie poruszył się nawet, gdy księstwo weszli. Jenó głos jego był pewny, gdy odpowiedział na pozdrowienie i kazał zapalić stojące na stole przed krucyfiksem świeczniki. W blasku świec ujrzeli jego oczy zapadłe w głąb czaszki, pokrytej wyschlą jak pergamin skórą. Ale patrzyły bystro, a twarz jego poruszył jakby cień uśmiechu, gdy księżna pochyliła głowę, by ucałować pokręconą jak korzeń dłoń. SDO-czywającą bezwładnie na kolanach.

— Poniechaj, moja córko — odezwał się. — Te ręce tyle jeno moje, że ból mi sprawiają. A jak niemowlę ani pokarmu nimi do ust nie doniosę. A śmiałem się spodziewać, że nimi wydolę jeszcze koronę uwieć* czyć wasze skronie.

Widząc łzy w oczach Jadwigi, z wysiłkiem dźwignął rękę i kładąc ją na głowie księżny, powiedział:

— Nie lituj się nade mną, wkrótce cierpieć przestanę. Oto widzę i twój włos już srebrem przetykany, a dziewczuszką byłaś, gdym ja obejmował urząd swój. Czas mi go złożyć. Przyjdź jeszcze jutro synacka swego mi okazać. W nim nasza przyszłość i nadzieja. A ninie ostaw nas samych, bo choć silne serce twoje, ale niewieście, my tu zasię mówić będziem jak : mężowie, którzy własną czy cudzą śmierć w zimną rachubę brać winni.

Gdy drzwi zamknęły się za księżną, milczący dotąd. Lokietek odezwał się:

— Spieszyłem ku wam, choć pora niesposobna, bo' , wieści o zdrowiu waszym miałem niepomyślne.

— Tak — przerwał arcybiskup. — Nie wiem, zali mi jeszcze parę miesięcy, zali parę niedziel żywota ostało. Prawie już nic nie jem i nie sypiam. Ale ni* , o mnie chodzi, jeno by śmierć moja nie opóźniła waszej koronacji.

— Może Bóg wam jeszcze pozwoli — próbował wtrącić Łokietek. Ale Jakub przerwał szorstko:

— Nie pozwoli. Ostatni chyba raz mówimy z sobą. Zaliśmy niewiasty, by czas tracić na jałowe pociechy? Mówmy o tym, co będzie, gdy spocznę w Gnieźnie u Świętego Jerzego, gdzie pusty grób czeka już na moje zwłoki. Ważniejsze, by metropolitalny stolec nie stał po mnie próżny jak ongiś, gdy ja na nim zasiada, lem. Niegodna chciwość władzy i majątności przez dwanaście lat nie dopuszczały do obsadzenia stolicy,. Omal nie zerwała ostatniej nici, co wiązała dziedzictwo waszych przodków, nie pozwalając zapomnieć, że jedność to jest.

Ksiązę, który słuchał w chmurnym skupieniu, zapytał:

— Cóż tedy należy uczynić, by chciwość władzy i bogactw znowu nie rozpętała burzy dokoła tej sprawy? Z biskupów chyba jeno Muskała nie spodziewa się po was objąć stolca, bo wie, że noga jego w moim państwie nie postoi... choćby mnie w nie poświęconej ziemi pogrześć mieli — wtrącił zawzięcie. — Z pozostałych Florian płocki ni Henryk wrocławski nie po sercu mi i oparcia nie znajdą w kraju, bo z Niemcami trzymają i im powolni. Tedy Gerward wrocławski lub Andrzej poznański. Wolałbym Gerwarda, bo od lat mi przychylny, zaś Andrzej dawny mój wróg, świeżo się dopiero ku mnie nawrócił, przeto niepewny. A poprę Gerwarda, znowu wroga sobie w Andrzeju uczynię teraz, gdy walka tam się zaczęła i wszystkie siły skupić należy. Zarembów, których jest głową, pierwszych muszę mieć za sobą, by sprawę doprowadzić do pomyślnego końca.

— Potrzebny wam Andrzej, kupcie go czym innym. A nie ostanie Gerward metropolitą, nie będzie zawiści. On zaś bardziej was potrzebuje niż wy jego. Jego to diecezja najbardziej zagrożona przez Krzyżaków, bo pomorski archidiakoniat do jego należy diecezji. Nie ma niewoli biskupa metropolitą oierać. Ja nawet kapłańskich święceń nie miałem, gdem obrftny

został/Kanonika Borzysława na następcę sobie upatrzyłem.

— Mało znany człek, nie wiem, zali powagę mieć będzie — zauważył Łokietek.

— Znany — nieznanymi. Archidiakon poznański, kanclerzem był Bolka mazowieckiego. Przeciwników nie ma, co by powagę jego obniżali, którą sam urzędowi da, a ten do koronacji potrzebny. Zali wy nie obsadzacie świeckich godności nieznanymi ludźmi? I rycerz z chłopą najdzielniejszy, gdy nie w rodzie, ale w dzielności własnej zawołania szuka. Co małe, ku wzrostowi pięć się musi. Wierście mi, że sprawę przemyślałem i że kromie pospólnego dobra niczego nie mam na oku.

Łokietek milcząc skinął głową, a Jakub ciągnął;

— Jeny nie czekajcie od niego zrazu, by na kar-} ność kościelną ni hałas niemieckich prałatów nie zważając, przed cenzurami papieskiego legata was osłaniał, gdy w Awinionie o paliusz dla siebie będzie nabiegał, a o koronę dla was, co pod klątwą pozosta- jecie. Sprawę z Muskatą skończyć należy.

Łokietek zachnął się, ale Jakub mówił dalej:

— Rozumiem ja waszą przeciw niemu zajadłość; Nie zapomniałem, że naród nasz ma w nienawiści i wytępić go ślubował ni że diecezję swą oderwać, chciał od naszej stolicy, zerwać, co Bóg złączył. Bog- r daj i słusznie jego winicie, że przez to, iż wam ięc#• związał ku obronie potrzebne, Pomorze obsiadły beze- cne mnichy, co postępkami bluźnią imieniu swej Pa*- tronki. i

— Nie wieczny on — wymijająco wtrącił Łokietek. — A głupi ten, co wilka wpuszcza do owczarni

— Nikt nie wieczny — odparł Jakub surowo. — Anim ja jego orędownikiem. Ale jako metropolita wiem, że ninie spokój i ład potrzebniejszy niż kiedy; A jako kapłanowi nie wolno mi wątpić, że największy grzesznik za winy swe pokajając się może i zmacać je

— Zali mam go prosić o to? — zapytał **ksiązę** szorstko.

— Nie. Jenó nie odmawiajcie, gdy on poprosi. A nawet wiary mu nie odmawiajcie, gdy powie: „żal ci mi”. Wiem, co rzec chcecie — dorzucił widząc, że książę zbiera się do gwałtownej odpowiedzi — że nie-raz już wiarę złamał. A wy? Czasem i konieczność zmusza sięgnąć po skalaną broń. Bądźcie pewni, że i jemu nie oszczędzę słowa prawdy. Ale dziś, gdy rachunek czynię z całego żywota, Bogu wdzięczny jestem, że wam dałem wiarę, gdyście nic prócz słów nie mieli za sobą. Wam zaśię podziękować chciałem, żeście mej wiary nie zawiedli i spokojny zamknąć będę mógł oczy, pewny, że wy czuwacie.

Na surowej twarzy Łokietka zjawił się wyraz wzruszenia, gdy powstał i pochylił się do ręki Jakuba ze słowami:

— Jako wy, do ostatniego tchu. Tak mi dopomóż Bóg.

Jakub z trudem dźwignął wyschłą dłoń, mówiąc:

— Niechże was wspomaga. Duchem będę z wami, gdy ciału żegnać się już trzełja.

X

Podsędek Rozdrzał szczękał zębami w lochu gródka Radochy, bliski już rozpaczy. Nie mógł się spodziewać, by kasztelan lub książę upomnieli się o niego. Zły los sprawił, że ciągnąc chyłkiem, by niespodzianie ubiec Radochę w jego gródku, natknął się w lesie na niego, gdy z podobnym zamiarem wyruszył przeciw podsędkowi. Biegły w takich sprawach Radocha pierwszy pomiarkował spotkanie, przyczał się w dogodnym dla siebie miejscu i zniecka naskó* czywszy, rozproszył poczet Rozdrzala, jego samego zaś wraz z kilku pachółkami przyparł do bagna i pojmał. Pachółków obdarł i wysmagawszy puścił, podsędkę zaś na gródek przywiódł i do lochu wtrącił. Gdy podsędek usiłował mówić o wykupie, Radocha odburknął;

— Pogadamy, jak odmiękniecie.

W Radochowym lochu można było nie tylko odmięknąć, ale i zgoła zgnić, bo lało się ze ścian. Podsędek wrychle gotów był nie tylko wyrzec się Trzebieży, ale i nawiązkę za gwałt i szkody zapłacić, w duchu nie wyrzekając się sposobną porą obrachunku. Ale pachółek, który żywność mu przynosił, na żądanie, by go do pana prowadził, odpowiadał nieodmiennie, „&& pana nie ma na gródku, a kiedy wróci, nie wiada.

Rozdrzał tęsknił za Radochą bardziej niż za własną małżonką, choć lęk go już nachodził, że zostanie Wdową. Aż jednego wieczoru hałas na dziedzińcu, szczekanie psów i rzenie koni pozwoliły mu domyślić się

powrotu Radochy, zanim jeszcze to potwierdził pacholek, który przyniósł wieczerzę. Podsędek domagał się natychmiast rozmowy z Radochą, ale czekać jeszcze musiał do drugiego wieczora, nim pacholek przyszedł z oznajmieniem, że pan, kazał go stawić przed sobą.

Radocha siedział w obszernej, ale ciemnej izbie z niskim stropem, przy stole z dębowych tarcic, na którym stał dzban i kubki. Naprzeciw rozparł się młody rycerz, zasobnie odziany. Widocznie popijali dość dawno, bo oczy obydwóch świeciły, a czupryny mieli zwichrzone. Gdy brudny i zarośnięty Rozdfżai stanął przed nimi, Radocha nastroszył wąs, ale zaraz roześmiał się mówiąc:

— Oto i ów dostojnik, co mnie nawet siadać nie prosił, gdym się o swoje upominał. Dobrzeście radzili, by od lochu rozpoczynać — zwrócił się do towarzysza. — Musiał już odmieknąć, bo nawet nieco przypleśniał.

Podsędkowi krew uderzyła do twarzy, ale powściągnawszy się odparł:

— Od początku nie od zgody byłem, tedy niepotrzebnieście mnie gnoili. Ale co było, to było, o pozbawienie rycerza wolności bez sądu, gwałt i napaść upominać się nie będę. Zasię sprawę o Trzebież pod sąd oddamy, choćby i polubowny, który wedle prawa rozstrzygnie. Świadkiem zasię naszej zgody może być ten rycerz, chociaż go nie znam.

— Co mi o sędzie prawicie — fuknął RadódtLa. — Gdym pergamin wam okazował, aniście gadać ze 0iną nie chcieli. Ninie zasię chcecie, kieście pomiarkował^ że sam sobie prawo domierzyć wydolę.

— Pewnikiem wiedzieć chcecie, ktom jest <=- wtrącił z kpina młody rycerz — skoro mnie za świadka wołacie. Zda mi się, że i nie będzie trzeba, ale nie ukrywam: Henryk Świętosławie Pałuk z Rynarzewa. Jam to panu Radosze doradził, jak najłacniej do zgody dojść, tedy ją i do skutku doprowadzę. Po co czas i pieniądź tracić na sądy? Napaść ła napaść, a lipie-

racie się przy Trzebieży, to ją od pana Radochy kupcie i możecie po somszedzku żyć.

Podsędkowi aż żyły nabrzmiały iąa .skroniach; odparł zgryźliwie:

— Panu Radosze się nie dziwić, któren jest *milas de cmethone*¹, że o czym innym nie wspomnę. Ale wam, co ze ślachtetnego rodu pochodzicie, wiedzieć by przystało i za tym obstawać, że pogłównie za napaść na rycerskiego człeka i na urzędzie grzywien wynosi trzydzieści, za takowego zaś jak on — jeno sześć. Tedy nie štoj łeb za łeb, o tym nie mówiąc, że nijakiej napaści z mej strony nie było, bo zbiegłych chłopów rycerz prawo ma chwycić, gdzie ich najdzie, kasztelan zaś, rodzic wasz, pomóc mi winien. Miast tego nie wstyd wam przeciw prawu, a za gwałtem (obstawać! \ ' ')

— O, do biesa! — mruknął Radocha na pozór spOs kojnie. — Anim wiedział, zem taki tani, ani że Cb" wy robicie, po prawie jest, gdy zaś ja to samo czynię — bezprawie. Tedy każdy przy swoim ostanie; ja przy chłopach, wy w lochu. Kózka! — krzykną^.

Zawołany wpadł do izby, ale rycerz Henryk, którego widocznie bawiła złość Rozdrząła, powstrzymał go skinieniem ręki.

— Juści, co nieco na prawie się wyznawałh"— rzekł. — Choć nie tak jak wy, coście nim kręcić: nawykli. Skoro wasza głowa grzywien trzydzieści Btói, jego zaś jeno sześć, tedy mu dwadzieścia i cztery grzywien dopłaćcie za to, że swoją wyniesiecie ciało. Trzebież zaś i bez chłopów trzydzieści grzywien między braćmi warta, a zgoda też co nieco. Tedy -radzę litkup wypić zaraz, póki miodu starczy, a jutro w grodzie zmowę spisać i po sprawie.

— Swoje mam kupować! — zachnął się podsędek wzburzony, widząc, że nic nie utargu je, *za żadną zaś cenę nie chciał wracać do lochu.

¹ rycerz z chłopą

— Swoje, nie swoje. Z księciem Włodzisławem możecie się prawować, jako że was na straty naraził.

Rozdrzał widząc, że Henryk kpi w żywe oczy, mruknął bezradnie:

— Bezecna to przemoc, ale co mi czynić! Zapłacę.

— Jaka zaś przemoc — warknął znowu zeźłony Radocha. — Ja z wami gadać chciałem lub wy ze mną? A nim was w gości prosił, ani na gościńcu pojął, jeno na swoim.

— Co się będziecie sprawiać panu podsędkowi — wtrącił Henryk. — Tak ono już jest, że każdy od drugiego dbałości o własną cześć domaga się, sam zaś się dba o pieniądź. Jagnię, gdy je strzygą, a wilk, gdy na cudze zęby szczyrzy. Pijem litkup, zali nie? — zwrócił się do Rozdrzała. — Miód godny, w smaku nie pozna, że zdobyczny, uda wam się po długim poście.

Nalał w kubki, a widząc, że podsędek waha się jeszcze, dodał z lekceważącą dobroduszością:

— Może nie radziście pić z panem Radochą, że wam urodzeniem nierówny? Mogę ja z nim pić, możecie i wy, co podskoczyć musicie, by się ze mną trącić.

• Rozdrzał, który już sięgał do kubka, poczerwieniał, bo się Leszczyce za równych Pałukom mieli. Cofnął dłoń, ale Radocha wrzasnął:

— Pijecie? A nie, to wam przez nos wlewać każę! Rycerz jestem jako drudzy, co i na pergaminie mam zaświadczone pod książecą pieczęcią. Jeno nie próbujcie ze mną do drugiego razu, bym nie zabaczył!

Podsędek, rozlewając miód, wychylił kubek drżącą ręką, a Henryk rzekł:

— Gładko poszło. Mniemam, że i dalej tak pójdzie. Każcie ninie w izbie na wieży posiać panu podsędkowi — zwrócił się do Radochy — by wiedział, że zgoda prawdziwa, a i nam pora spać, skoro jutro do Nakła mamy jechać sprawę zakończyć.

Po wyjściu Rozdrzała rozdzielając się rozmawiali jeszcze o udanej wyprawie na kupiecki poczet i omawiali przyszłe poczynania. Radocha, czując znowu pje-

niądż w kiesie, łupy w komorze, a miód w głowie, znaczną wyprawę w głąb krzyżackich ziem rozważał i znowu na myśl przyszedł mu Pizło:

— Nie głupi chłop? — mrucał. — Ninie gdy Krzyżaki w wojnie z Litwą i załogi z zamków pościągali, można by wójtostwa przepłukać alibo zgoła zamek jakowy ubiec. Na gościńcu sławy nie najdzie.

— Co tam o sławę — ziewnął Henryk układając się już. — Dobra była zabawa i nie darmo. Z takowymi pacholkami, jakich macie, nic wielkiego nie działa, ja zasię wolę, że łupu na troje dzielić nie trzeba.

— Już bym ja Pizłę na swoją dolę wziął — odparł Radocha. — Zresztą chłop łupu niechciwy, jeno krwie jako łasica. Gdyby on był z nami, aniby żywej nogi nie puścił.

— Tedy szkoda go — szepnął sennie już Henryk. — Ale może się jeszcze najdzie, gdy krew poczuje. W Nakle koni i rynsztunku przykupić mozem, a co dalej, obaczym.

Radocha gadałby jeszcze, ale głęboki oddech śpiącego już Henryka oznajmił mu, że nie ma do kogo. Poczul się znowu samotny i długo jeszcze mrucał coś do siebie, nim usnął.

W Nakle zabawiał Radocha dłużej, niż zamierzał, bo minęło kilka dni, nim podsędek ugodzoną sumę uiścił i z pergaminem w zanadrzu, a złością w sercu odjechał. Potem Radocha na jarmark koński czekał, wążając się wraz z Henrykiem po grodzie, wstępując do płatnerzy, siodlarzy i innych rzemieślników i kupców, karczem też nie omijając.

Stary kasztelan nierad był, że się syn w sprawę Rozdrzala wmieszał i że się z człkiem niskiego pochodzenia zadaje. Ale że leciwy już był, a syn dojrzały i na swoim w Rynarzewie siedział, tedy nie gadał nic, jeno wzdychał. Takie czasy! I kasztelańska, i ojcow-

ska władza już nie ta, co dawniej. Coraz częściej wśród rycerstwa, a nawet dostojników spotkać można nowych ludzi nie związanych ze starymi rodami, jeno z księciem. Może tak musi być. Syn zresztą od młodości z ręki mu się wymykał, zuchwały, kpiarz i niekarny. Chciałby w nim stary wyрекę znaleźć w urzędzie, który już ciążyć mu zaczynał, oraz by się zaprawił, nim go po ojcu obejmie. Lekkoduch jednak przykrzył sobie sądy i urządzanie z włodarzami. Dobrze, że choć do wojaczki ma serce i głowę, choć i to nie w smak było staremu, że po gościach wojuje.

Jak ulgę przyjął przeto kasztelan wici poznańskiego wojewody. Dobrogost Nałęcz z Dzwonowa wzywał rycerstwo do Gniezna. Nie na zjazd widocznie, bo Stawić się kazał z pocztami i spyżą na trzydzieści dni. Jednocześnie i kaliski wojewoda gromadził swoje rycerstwo, ani chybi wyprawa. Sam kasztelan z powodu Wieku już się na nią nie wybierał. Synowi zlecić postanowił, by powiódł wojsko z nakielskiego powiatu, i teraz rad był nawet, że doświadczony Radocha będzie mu towarzyszyć. Gdy tedy rycerz przyszedł się pożegnać przed wyjazdem, kasztelan powiedział:

— Ujrzym się wkrótce znowu, bo i wam do Gniezna jechać, skoroście książęciu służbę we dwa konie winni, jako w dokumencie stoi. Pewnikiem Głogowczyki próbować będą siłą przy Wielkiej Polsce się utrzymać. Starostę ich, psubrata Guntera, wyżenąć trzeba, by wszem wobec wiadomo było, że ten panem w Wielkiej Polsce, kogo rycerstwo sobie obierze.

Radocha, który wolał na własną rękę wojować, skrzywił się nieco. Książę granicy mu kazał od Krzyżaków pilnować, a i nad gródkiem nie ma komu pieczy ostawić. Ale Henryk wtrącił się mówiąc:

— Wźdyście nie pies, by budy strzec. Od Krzyżaków nie ma i czego, skoro z Litwą są w wojnie. Tam zasię, kędy pociągniem, i zabawa może być, i zysk, bo juści Henrykowi ce Guntera bez pomocy nie ostawia. W Poznaniu ich załoga jeszcze stoi, tedy może

i dobywać go przyjdzie, jeśli ją niemieckie mieszczaństwo podeprze.

Radocha pomyślał, że istotnie w gródku nie ma co robić, a bez Henryka niewiele zdziała nawet przeciw kupcom, którzy zresztą jeździć przestaną, gdy w Wielkiej Polsce zacznie się wojna. Jeśli Poznania iście dobywać przyjdzie, łupu tam nie mniej najdzie niż w Krakowie. Do wiosny zasię, ani chybi, wyprawa się skończy, chłopci tymczasem wyniosą się z gródka, będzie można ściągnąć ludzi zdatnych do wojny, będzie ich za co uzbroić, gródek w maszyny i sprzęt zaopatrzyć i dopiero wtedy zabrać się do Krzyżaków jak należy.

Tymczasem jednak kłopotał się, skąd drugiego pancernego wziąć. Blachy zakupił, konia też, poczet będzie wcale okazały. Na krajową potrzebę chłopci stawić winni z dymu jeden miecz, łazęgów też miał kilku, ale wszystko to, jeśli i do bitki nawykłe, to jeno z włócznią i tarczą. Skąd konnego wziąć? W zwykłym czasie dość się włóczyło zubożalego rycerstwa, które ziemię tak lub inak utraciwszy, przez krzyżacki najazd czy za długi, szukało służby w książęcych drużynach lub w pocztach świeckich i duchownych możnowładców. Ale gdy wrzenie powstało w Wielkiej Polsce, znaleźli już służbę i Radocha darmo się za jakinal po Nakle oglądał. Pizły brakło na każdym kroku.

Wysławszy pachółków z jucznymi końmi wprost (łp gródka, sam wstąpił po drodze do Łaziska i Nowej Trzebieży, którą chłopci już niemal stawiać kończyli. Zapowiedział im wyprawę i późnym dopiero wieczór rem dotarł do swego Radoszyna, gdzie z zadowoleniem stwierdził, że Kózka już rozpoczął przygotowania. Mając zaś za sobą kilka nie przespanych nocy, Radocha zaraz po przybyciu udał się na spoczynek, by wywczasować się przed wyprawą.

Zaspał i zbudził się o dobrym już dniu, a raczej zbudziły go dochodzące z dziedzińca hałasy. Poznał beklawy głos Kózki, zerwał się zły i otworzył jakienicę.

Kózka nie zauważył go, bo stał odwrócony plecami. I Radocha nie byłby go poznał, gdyby nie głos. Kózka, przybrany w kolczugę z naramiennikami, w hełmie na głowie, z mieczem przy boku i długimi na stopę ostrogami u cizem, ćwiczył pachołków, we wszystkim naśladowując Radochę. Kłął i wyzywał jego słowami, a nawet wąs podkręcał jak on, choć jeno trochę wątych kłaczków zdołało jego górną wargę.

Radocha, trochę zeźlony, a trochę ubawiony, potężnym głosem krzyknął:

— Kózka!

Zaskoczony chłop odwrócił się z nagłą, miecz zaplątał mu się między kolana, a na dobitek ostrogą kolnął się w łydkę i z chrzęstem legł jak długi, aż zadźwięczały blachy. Parobcy dotychczas podśmiechowali się jeno, wykonując jego rozkazy, teraz jak jeden ryknęli śmiechem, który udzielił się i Radosze. Kózka jednak pozbierał się co prędzej, skłął parobków, aż umilkli, i z powagą skierował się do dworca. Na progu potknął się, ale powagę zachował, mimo że Radocha znowu parsknął śmiechem:

— Cóż ty za igrzy wyprawiasz, przybrany jak na zapusty? Do wyjazdu gotować się trzeba.

— Gotowe wszystko, a nie igrzy to żadne ni zapusty, jeno pachołków do karności wdroyć chciałem, ; a sam wypróbować, jako się w żelaznej bieliźnie obrócić.

— Źle się obracać, skoroś się od samego głosu przewrócił — zadrwił Radocha, ale Kózka nie zrażony odparł: „

— Wždy i w nowych cizmach człek się nieraz potknie, nim je zachodzi. I nie od głosu się przewróciłem, ino że miecz wisiał nadto z przodu, a jeszcze ostroga, jucha, w łydkę mnie ubodła, aże mi świeczki stanęły w oczach.

— Boć to błazeństwo, żeś je przypiął. Po jedno, iż nie pasowanemu ostróg nosić nie Iza, po wtóre — do konia potrzebne, nie na piechotę. Ty bacz, byś na własnych nogach mocno stał, do konia ci zasię.

— Wždy bojowych szkap mamy cztery i siodeł dwoje. Któż na nich jeździł będzie? Odwykną nosić kogo na grzbiecie, biesić się będą.

— Pod takowym jeźdźcem, jak ty, takoz. Juści kłopot to, że mi drugiego jeźdnego brak.

— Moiściewy! — Kózka ułapił Radochę za kolana. — Zwólcie mi konno i w blachach na wyprawę iść. Ktoś ci was przedsię zastępować musi, gdy się spijecie alibo zaśpicie, boby pocztowi zgoła z karności wyśli, ręki nie czując nad sobą. Jeno gdy wy się ze mnie śmiać będziecie, jakoże mi u nich utrzymać powaga? — dodał z wyrzutem.

— Mało to, że ja ci jeździć zwolę, kiej ci koń nie zwoli i praśnie tobą, kędy zechce.

— Pozwólcie jeno wy, z koniem już się dogactemy. Wolej mi sto razy z końskiego grzbietu spaść, niżli do końca żywoia za jego ogonem chodzić i bździna-
mi oddychać.

— Wierzę, że ci pachnie srebro w błocie zbierać¹, i mniemasz, że zawždy tak łatwo jak z onymi kupcami, co się od samego strachu zwywracali; Ale przyjdzie z rycerstwem, a już z Krzyżaki czyni ci nie usiedzisz na koniu, ciebie pozbierają. Nie strach ci?

— Może i strach — odrzekł Kózka. — Alom sobie pomyślał: nie spróbuję ninie, to i przepadło. Gdy człek barć najdzie w lesie i miód lezie wybierać, ta-
koż strach mu, że go pszczoły poządła, a idzie.

Radocha zaśmiał się z porównania, ale cifuł, gnął:

— Po wtóre: wojaczka — rzemiosło ci to jest, którego uczyć się trzeba. Sama chęć nie starczy.

— Orać też trzeba się uczyć — upierał się Kózka..

— Jeśli taki z ciebie wojak będzie jak oracz, to Cię i przyorzą. Ale jako chcesz. Raz Kózce śmierć!

— A raz. Baby nie mam, dziecisków też, sam po sobie płakać nie będę.

Radocha spochmurniał:

— Po mnie takoz lutać nie będzie komu. A milej byłoby człeku żyć, gdyby wiedział, że ktoś po nita zapłacze.

Machnął ręką i zakończył:

— Każdy kędyś kości posieje, nie prędzej, to później. Tedy zbieraj się i pachółków dopilnuj. Jeno byś mnie nie kłął, jak cię ubiją — zaśmiał się znowu.

— Was ja proszę, ślachtetny panie: zechcecie wy mnie kłąć, wasza wola. Już nawykłem i o to nie stoję. Byle nie przy prostych pachółkach.

— Is, jak go duje! — Radocha pokiwał głową. — Ty bacz, byś mi konia nie odparzył, bo prostyś czy krzywy, prędzej się koniowi odparzenie wygoi niżli tobie bicie. Chocies sam Kózka, lepiej ty sobie od razu siedzenie kozim łojem wysmaruj. No! Zbieraj się. I ja skoro gotów będę.

Wyruszyli jednak dopiero koło południa, przencowali w Łazisku i zabrawszy resztę poczty, w rzeź" wy, zimowy poranek pociągnęli do Nakła. Od Gromnicznej mróz chwycił, ale niezbyt dokuczliwy, tyle że drogi stwardniały. Posuwali się tedy raźnie, niemniej do grodu dotarli już po przeglądzie rycerstwa, z czego Kózka rad był, bo nie trzeba było popisywać się. Rad był również, że zaraz dalej nie ruszyli, bo nie byli ostatni i kasztelanie czekał jeszcze na opóźnionych. Kózka pobiegł do miasta, coś pilnego widno mając do załatwienia, może w rynsztunku eonie bądź poprawić, bo tarczę i hełm zabrał z sobą. Nazajutrz wyruszyli na Szubin, Żnin i Rogowo sporą gromadą, która coraz się powiększała, ciągnęły bowiem wojska i z innych , powiatów, poczty wielmożów, załogi z gródków i mniejszych miast, które się po stronie Łokietka opowiedziały, mimo że i w nich nie zabrakło nie* mieckiego żywiołu.

XI

W Poznaniu Niemcy "usunęli Polaków z Bady i Ławy, a wójt Przemko, który zrazu usnął &>kietka, te^raz stanął na czele buntu i — jak wieść niosła -^jiiie jeno miasto, ale i katedrę na Tumskim Ostrowie umacnia. Zawiść była przyczyną tego, że inne miasta nie szczędziły kosztów, wysyłając przeciw zbuntowanym dobrze okryte oddziały łuczników i pachółkó* miejskich, czasami nawet ze sprzętem ©błęźniejszym, byle pognać uprzywilejowanego współzawodnika, a samym od zwycięskiego księcia przywileje za pomoc uzyskać. Starszyzna^ przypuszczała, że Przemko musiał dostać od pługowczyków zapewnienie poparcia, bez którego nie mógł liczyć na trwałe ttfrayroą•nie się w stolicy; rycerstwo, nawykłe walczyć z konia, wolałoby sprawę w 'otwartym polu rozstrzygnąć. Gdy miasto straci nadzieję pomocy, podda się bez opotł. Chłopom zajędnio było, gdzie im walczyć przyjdzie. Wiedzieli jeno, że niemieccy starostowie i dostojnicy z ziemi ich rugują, na ich miejsca lokując na niemieckim prawie niemieckich osadników, którzy zna^cznie mniej obciążeni mieli co sprzedawać ptr miastach, kłując w oczy miejscową ludność zasobnością' i butą. Każdy stan \ó sobie myślał, ale wszystkim wraz dojadły już rządy zniemezałych Ślązaków i ich starostów. Ciągnęli tedy ochotnie i wieczorem titóele^o dnia w błaskąęh^ pogodnego zachodu ujrzeni z dala* wieże gnieźniefiaszej katedry na/wyniosłym #zgórzcu Ljcha.

Nim dotarli na miejsce, zapadł już zmrok i niebo barwić zaczynała łuna setek ognisk, roznieconych na łąkach nad Bielidłem i na Żuławach, bo szczupły gród i zabudowania kapituły jeno starszyzną i co dostojniejszych zdołały pomieścić. Wyszukawszy tedy miejsce pod obóz dla swych ludzi, Henryk Pałuk zbierał się właśnie iść do wojewody, gdy gońcy zwoływać jęli kasztelanów na naradę w dworcu arcybiskupim. Po drodze dotarła do nich wiadomość, że kaliński wojewoda Mikołaj z Krosna doniósł, iż wojska Głogowczyków wkroczyły do Wielkiej Folski, pod Januszem z Bibersteinu, i palą a łupią włości stronników Łokietka. Sam tedy opór na miejscu gotuje i na zjazd nie przybędzie, a wysyła jeno syna Alberta z poczem jazdy.

Niepokojące było także, że z rodu Zarembów nikt znaczniejszy na zjazd nie stanął, a głowa jego — biskup Andrzej siedzi spokojnie w Poznaniu, gdzie niedawno nawet poświęcał w katedrze ołtarz świętego Tomasza, ufundowany przez rodziców i braci zbuntowanego Przemka. Nie był to zgoła dowód zdrady, niemniej pozór dla Nałęczów, by nieufność siać przeciw Zarembom, choć wiadomo było, że zawiść przez nich mówi i im samym niezbyt ufano, bo też jeno własne wyniesienie i korzyści mieli na oku. Tu i ówdzie słychać było sarkanie nawet na księcia Włodzisława, że żadnej pomocy nie nadesłał, choć bawił niedawno w Słupcy, gdzie poczynił jeno nadania dla swych stronników, potem jednak wrócił do Brześcia, zostawiając ciężar walki wielkopolskiemu rycerstwu.

Wielki refektarz arcybiskupiego dworca pełny już był i szumiał od podnieconych rozmów. Rzucano wzajemnie podejrzenia i wyrzuty, nawet obelgi, bo Zarembom nie brakło wśród rycerstwa swojaków i stronników. Hałas jednak ucichły jak uciął, gdy wszedł wojewoda poznański, Dobrogost Tomisławic Nałęcz z Dzwonowa, i zajął miejsce na podwyższeniu u szczytu ustawionych w podkowę stołów. Zasiadano przy

nich, a dla kogo miejsca nie starczyło, stawał pod ścianami.

Wojewoda ostrym spojrzeniem stalowych oczu wodził po zgromadzonych, gdzie jeno szelest czy szept posłyszał. Człek był w sile wieku, szpakowaty, o surowej twarzy. Mimo że wzrostu niewielkiego, od którego Małym go zwano, samym wyglądem budził szacunek. Barki miał szerokie, pierś wypukłą, a głos potężny. Zaczął:

— Słyszę, że sarkają poniektórzy, iż księżę Włodzisław posiłków nam nie przysłał. Samiśmy tu, w Gnieźnie, wprowadzić go na wielkopolski stolec uchwalili i sami to uczynim, na pomoc niczyją się nie oglądając. — Spojrzał surowo po obecnych i ciągnął: — Słyszę też, że się tu Zarembom odstępstwo, jeśli nie zdradę zarzuca. Wojna jest — twardą pięścią wyciął w stół — kto w wojsku ducha osłabiać będzie, koniowi za ogonem pojedzie, choćby kasztelanem był. Na potem porachunki i sądy. Wiadomo, żeśmy z biskupem Andrzejem nie przyjaciół, ale i ja o pomoc nie proszę przeciw niemu. Głupiemu to rzec, by po myśli było biskupa, że Niemce w jego katedrze opór nam dawać zamyślają, bo wygnamy ich, choćbyśmy kościół z ziemią zrównać mieli. A kogo między wrogami najdziem, choćby i własnych rodowych, tego bić będziem. Wiadomo też, że Łokieć Andrzejowi nadaniem menniczego prawa za uznanie i wierność zapłacił, tedy i biskup wiary dochowa, bo pieniądz **sobie** ceni.

Tu i ówdzie ktoś parsknął śmiechem, ale wojewoda ręką strzepnął niecierpliwie i mówił dalej:

■— Czy w Wielkiej Polsce Nałęczce, czy Zaremby **rej** wodzić będą, to się okaże. Ale nie Pannewitze, Unrugi, Nostitze i Bibersteiny, którzy zniemczalymi szczepiakami po głogowskim Henryku rządzą. Oni to Wielką Polskę, z którą zaszczyt korony jest związany, jak swoją włość dzielić umyślili, przeciw nam, jej...dzie-dzicom, wojska wysiali, by wbrew naszej **woli** siła się przy niej utrzymać.

Potakiwania i głosy oburzenia przerwały wojewodzie, który przeczekał, aż się uciszą, po czym ciągnął:

— Widzę, żeśmy zgodni w tym, iż my nie owce, które pastuch psami w posłuszeństwie trzyma. Tedy radzić nam jedno — zali przódzi śląskich najeźdźców z kraju wyznać lubo butnych przybłędów ze stolicy?

Wstał kasztelan poznański, Przedpełk, i zabrał głosi

— Gdy, jako rzekliście, nasza sprawa wybrańca swego na stolec wprowadzić, stolicę mus im mieć w rękę, bo kto w niej panem, ten i panem w kraju. Niech tedy kaliskie rycerstwo opór daje Bibersteinowi, jako wydoli, a my stolicę uchwycim, póki on buntowników nie podeprze. Tedy moja rada — ni dnia nie zwlekać i na Poznań uderzyć.

— Zimowa pora do oblężeń niesposobna — wtrącił ktoś. Ale Przedpełk rzucił gniewnie:

— I mnie za przypiekiem milej niż pod namiotem, bom też niemłody. Ale nie nad tym radzić mamy, czy do dom się rozjechać cieplej pory czekając, czy zrazu na nieprzyjaciela ciągnąć, jeno na kogo: na Bibersteina czy na Przemka.

— Może się i bez oblegania obejdzie, jeśli z nagłą naskoczym, tedy naprzód na Poznań nam ciągnąć — rzekł Michał z Koszanowa, koniński i kwieciszowski kasztelan.

— Jeno Tumskiego Ostrowu nie weźmiem bez machin, bo wodą zewsząd oblany, a lód jeszcze wojsk nie utrzyma — wtrącił stary i otyły Sobiezir z Ziemięcina.

— Na mrez idzie, a nie wszyscyśmy jako wy spaśni — zakpił Henryk Pałuk. — Ale weźmy jeno miasto, to Ostrów mozem brać i do wiosny. Po mieszczańskich domach niczego nam nie zbraknie, ni przypiecków dla starych, ni dziewczek dla młodych.

Rozległy się śmiechy, ale wojewoda ręką w stół uderzył:

— Czas będzie śmiać się w Poznaniu. Zali ma kto jeszcze co rozsądnego rzec?

Gdy nikt się nie odezwał, Eobrogost wstał:

— Tedy ciągnieni na Poznań takim porządkiem: wy — zwrócił się do Henryka, patrząc na niego surowymi oczyma — ruszycie zaraz w stu jezdnych. Dobierzecie sobie co młodszych, którym dziewczki i Krotochwile we łbie, niech się przewietrzą na mrozie, a dla dorady kogoś doświadczonego, co mu wojna, jako wam, nie nowina. Ostrożnie iść, ale szybko, wypatrzeć, jako jest z przeprawą przez Wartę, drogi na prawym brzegu rzeki obsadzić, by się wieść nie rozniosła, zanim nadciągniem, i na nas czekać.

Henryk skłonił się dwornie, wojewoda zaś zwrócił się z kolei do kasztelana Przedpełka:

— Wy ruszycie świtanem z jazdą, bez wozów i jucznych. Spyży brać na dwa dni. Miasto otoczywszy spróbować, zaliby się niespodzianym uderzeniem wziąć nie dało. Nie pójdzie zrazu, ludzi nie marnie, miasto zamknąć i czekać na pieszych z machinami. Sprzęt, jaki jest lub w Gnieźnie się najdzie, załadować na wozy i pod strażą wysłać. Do Trzemeszna, Rogowa i Kiecka pchnąć, niech użyczą machin, usługa nie ostanie bez nagrody. Na resztę wozów zaraz spyżę załadować, by zwłoki nie było, gdy ja z pieszymi wyruszę. Topory i drabiny zbierze się w osadach, faszyny, ile się da, naciąć po drodze. A ninie wieczera i spać.

Gwarząc rozchodzili się wszyscy, by się pożywia, i wywczasować przed pochodem i walką. Na mrozie warzono już strawę przy ogniskach. I Kózka przygotował wieczerzę i ciepłe legowiska pod namiotem, ale gdy dłużyło mu się czekanie na Radochę, który miał gród poszedł z Henrykiem, powieczerał sam i do snu. się zbierał, gdy nadeszli. Radocha polecił Kózce osiodłać dwa konie pod wierzch, a na jucznego załadować zbroję i spyżę i w gotowości czekać.

Przeciągnęła się twarz Kózce, bo czuł jeszcze w korściach jazdę z Nakła i nęciło go ciepłe postanie. O te^J porze nawykł spać, zwłaszcza zimą. Zły był też jak osaj kłął pachółków i usiadłszy przy ognisku, rozmyślał, że wojacki chleb, choć lżejszy, także ości miewa.

Obóz uspokajał się i ogniska przygasały, a Kózka zadzremywał już, gdy wreszcie Radocha wrócił i sprawdzwszy przygotowania, rozkazał krótko:

— Jadziem!

Kózka nie śmiał zapytać dokąd, wygramolił się z westchnieniem na konia i ruszyli, a za nimi pacholek Rzepka wiódł dwa podwodne i jucznego. Przejściem między namiotami dotarli na gościniec, gdzie ustawiał się już długi szereg jazdy. Kasztelanie sprawił oddział, po czym wraz z Radochą wyjechał na czoło i dał rozkaz pochodu. Noc była bezksiężycowa, ale gwieździsta, mróz przybierał, ruszyli tedy zrazu wyciągniętym klusem, a zmarznięty gościniec dźwiękliwie oddawał odgłos setek kopyt. Zresztą panowała cisza.

Jadący na czele Henryk z Radochą milczeli. Dopiero gdy minęli znaczące się w mroku ciemniejszym pasmem suchych trzciny i szuwaru Lednickie Jezioro, Henryk, powściągnąwszy rumaka, odezwał się:

— Pierwsze kury pieją. Dalej tak jadąc, przed drugimi będziemy w Poznaniu. Ba! żeby w Poznaniu — zaśmiał się. — Do wieczora nam jako wilkom po chaszczach i łożach zębami szczekać, bo mróz kąsa.

— Mróz się złamie — mruknął Radocha — bo tu man wstaje.

— To od bielideł — odparł Henryk. — Ale choćby i na pluchę szło lubo śnieg — zajędo pod dachem milej, a choćby i pod namiotem, niżli w chruśniakach. Tak lubię, jak było z onymi kupcami: naskoczyć, wziąć, co się da, i do dom.

— Myśmy pod Krakowem pół roku bez mała stali — odparł Radocha. — Prawda, że pora była ciepła, a książęciu nie spieszo ludzi marnie, tedy naprzód głodem miasto przycisnął, że psy już zeżarli. Jenośmy bramę przełamali, wraz się biedota ku nam przesypała, rada obaczyć, zali panowie rajcy takoz psy jedzą.

— Ale nam spieszo — sarknął Henryk. — W Poznaniu panowie mieszczanie psów nie jedzą. A rad

bym obaczył — co, bom też wieczerzać zapomniał. Zasię wojewoda, choć o zaskoczeniu prawil, tak się zbiera, jakoby też do ciepłej pory pod miastem stać zamysłał, bo po machiny śle, Jeno Łokieć mógł pod Krakowem stać, bo wiedział, że odsiecz znikąd nie nadciągnie. A tu jeśli kaliszanie śląskich wojsk powstrzymać nie wydolą, to może i odstąpić przyjdzie. Zaklął szpetnie, ale Radocha milczał zamysłony.

— Nad czym dumacie? — zapytał Henryk.

— Rad bym wiedział, zali i tu gołota obaczyć ze chce, co panowie jadają.

— Zaśby nie — zaśmiał się Henryk. — A już Żydzi jeno się modlą do swego Boga, by Łokieć przyszedł, bo im mieszczański dokuczają, tedy ochrony spodziewają się od pana, jaką u Pobożnego mieli. Oni¹ też najlepiej wiedzą, czego i u kogo szukać.

— Jeno czy przystoi rycerstwu do spółki z niewiernymi krześcijański naród łupić — wyraził Radocha wątpliwość, ale Henryk odparł lekko:

— Nie stoję o to. Ale Żydzi — naród przezorny, łupić nie pójdzie, bo i po łbie przy tym można oberwać, i na potem mogliby im zakarbować. Powiedzieć — powiedzą, a do łupienia najdzie się chętnych. Jeno tak gadamy, jakbyśmy już w mieście byli, a gdzie nam do tego! Póki zasię tam nie jesteśmy i gołota przeciw nam, choćby pod przymusem luba ze strachu.

— Bym tak miasto znał, tobym wiedział, co²działać — mruknął Radocha.

— A cóże nam działać, jak nie to, co wojewoda kazali: w chaszczach stać i baczyć, by się mysz do miasta nie przemknęła. Miasto ja znam, bo krewniak mój, Jan, prepozytem jest przy kapitule i nieraz bywałem u niego.

Radocha jednak widocznie szedł za swoją myślą, be zapytał:

A mają tu

Żydzi swój firtel, jako w Krakowie':

— Juści, że nie Iza niewiernym społein z krześci-

jany żyć. Od północnej strony przy murze domy swoje mają, między predykantami a Świętą Katarzyną.

— A brama lubo furta która najbliżej?

— Wrońska Brama naprzeciw Świętej Katarzyny. skąd drogi wiodą na Oborniki i Jerzyce. Czemu pytacie?

— Wždy wojewoda chce miasto z nagłą zaskoczyć, tyle że nie nam to zlecił. Kto zasię śmietanę chce z mleka spić, winien nie czekać, aż je rozchełbają.

-*— Nie o śmietanie mi prawcie, jeno coście umyślili —■ niecierpliwie przerwał Henryk.

' — Z nagłą, to z nagłą. Lepiej z rana małą kupą niż, z wieczora dużą, bo i nie wierę, by w mieście niczego nie pomiarkowali, choćbyśmy jak się strzegli. Radziej nam się uda niż Przedpełkowi. A nie uda się, to kości ostawim, tedy i przyganić nie będzie komu.

• — O kości nie stoję, byle mięsu było lubo — zaśmiał się Henryk. — Tedy pochwaćmy się, bo jeszcze opętane cztery mile do Poznania. Kostrzyn przed nami

Ledwie widoczne w białawym mroku zjawiły -się zarysy grodu, od północy zaś ciemniejszą smugą znaczył się las. Kasztelanie skręcił ku niemu z gościńca, zwalniając znowu, bo na grudzie ornych pól łatwo było wycieczyc konia. W milczeniu dotarli do lasu, zaczekali, aż dociągnął cały oddział, po czym Henryk kazał przetrzeć i naobroczyć konie, a zgromadziwszy rycerstwo, przemówił:

■ — Nie będziem, szczękając zębami, patrzeć, jako Stę w Poznaniu z kominów kurzy. Bez zwłoki ude*tssjfta* o Świtaniu od Wrońskie-j Bramy. Uda się, to budy przy murze podpalimy, niech się mieszczany pożarem zabawiają, a my. Świętą Katarzynę obsadziwszy, przez żydowski firtel ku klasztorowi predykantów. W kościołach nie tykać niczego, takóž łupieniem się nie parać, póki opór w mieście. Klasztor zasię przepłuczem, bo psu braty książęciu nieprzychylnie, tedy ukarać ich należy. Takóž i mieszczan zbuntowanych

pofcarzem na mieniu, gardła ich wojewodzie; ostawiając. Albo swoje damy, jak się nie uda. Zrozumiano? Wszyscy rozumieli, a i każdemu milsza była walka niż jałowe niezkanie na mrozie. A najmilsza nadzieja zysku i pomsty na obcych, którzy porósłszy w pierzo rycerstwu chcieli wolę swą narzucać i takiego pana. co by im nowymi korzyściami zapłacił. Niedoczek; - nie!

Poznań spał spokojnie w poczuciu bezpieczeństwa., jakie dawały potężne obwarowania. Budowę ich rozi poczęto już za Pobożnego, zaraz po lokacji. I*rzemysł umocnił je gródkiem na wyniosłości, u ujścia^Bogdanki. Za Waclawowych zaś czasów mury najeżyły się basztami, nad bramami wzniosły się nadbudowy z hurdycjami, od północy zaś i zachodu, gdzie dostępu do obwarowań nie broniły wody Warty, dopływów jej i rozlewisk, przekopano szeroką fosę. Przez nią dostęp wiódł jeno zwodzonymi mostami. P4ie było w mieście tajemnicą, że wojewoda Dobrogost Nałęcz gromadzi rycerstwo w Gnieźnie, ale ni pora do napaści odpowiednia, ni konne przeważnie wojska zdadne do oblężenia. Niemniej strażę zdwojono na murach i przy bramach, ale kogo obowiązek nie trzymał na nogach, mógł spać.

Na szczycie wieży murowanego ratusza, Wzniesionego za Waclawowego panowania, także straż czu*wała. Pod okapem spiczastego hełmu z ośmioma wie*życzkami, z ganku Obiegającego izbę strażniczą bystre oczy ogarnąć mogły ogromny szmat kraju

Najbystrzejsze jednak oko nie zdołałoby prStónić tumanu, jaki po mroźnym wieczorze wstawać jął koło północy z nie skutych jeszcze lodem bystrzyn Warty i Cybiny oraz oparzelisk, w jakie od północnej strony pod murami rozlewała się Bogdanka. Z bezkresnego jeziora oparów jak skaliste ostrowy sterczały jeno dachy i wieże kościołów; Świętej Katarzyny

i Dominikanów od północnej strony, farnego Marii Magdaleny oraz baszty nad Bramą Wrocławską i fur-
tą Na Piasek od południa. Na zachodzie majaczyła
ciemniejsza masa wzgórza z zameczkiem Przemysła,
od wschodu natomiast dwie wieże katedry na Tum-
skim Ostrowie ledwo już były widoczne i zacieraly
się z każdą chwilą. Mgła gęstniała i zapewne pod-
chodziła w górę, gdyż ciemniejsze zarysy mętniały
i wkrótce zamazał się ostatni ich ślad w szarawobia-
łym mroku, a strażnikowi na ganku ratuszowej wieży
zdało się, iż zawisł w próżni. Szkoda wyteżać oczy.
Nie byle pożar musiałby wybuchnąć, aby blask jego
zdołał przebić grubą oponę tumanu, niczym pierzyna
tłumiącego wszelkie odgłosy.

Strażnik otulił się kozuchem, bo choć mróz zelzał,
nasycone wilgocią powietrze przenikało do skóry. Do
świt u było niedaleko, mgła jakby już białała. Nie by-
ło słuchu ni wzroku o co zaczepić i strażnika ogarnęła
senność. Po chwili wszedł do izby, gdzie towarzysze
z trzeciej zmiany grą w kości opędzali się przed
snem, to kłócąc się, to śmiejąc. Pozostałe dwie zmia-
ny-chrapały w najlepsze na ławach. Y¹* Dowodzący strażą dziesiątnik także drzemał sie-
dząc, ale widocznie orzeźwił go chłodny powiew, któ-
ry wtargnął do izby przez otwarte drzwi, gdyż roz-
warłszy oczy, zapytał:

— Co tam, Peter?

■— Nic. Szkoda marznąć, a wy śpijcie, bo zamknię-
tymi oczyma tyle uwidzi, co i z ganku. Ani własnego
nosa.

r— Nie uwidzi, to usłyszy — odparł dziesiątnik su-
rowo. <— A niech tu hutman wpadnie, to wszystkie
gwiazdy ujrzysz, choć mgła. Baczyć zasię kazali pil-
nie jako nigdy, bo się pono zbuntowane rycerstwo na
Poznań zbiera.

— Tedy hutman mury obchodzić musi, bo tam
ważniejsze — odparł Peter. Dziesiątnik wszelako ze-
złił się:

— Nie mędrkuj, ino wyjdź, bp i ja ci gwiazdy po-

kazać wydołę. Tu nie usłyszysz nic, bo juchy taki gwar czynią, że oka zmrużyć niepodobna.

— Widziałem ci, żeście je zmrużyli — odparł Peter zuchwale. — Co by za chęlst być musiał, by go choć i z ganku usłyszeć.

Istotnie też nie lada hałas musiał to być, skoro mimo gwaru w izbie z nagłą usłyszeli go wszyscy. Peter wyskoczył jak oparzony, gracze rzucili kości i jeden za drugim wypadali na ganek, śpiący pobudzili się chwytając za broń, nieświadomi, co się si&ło: wielka bijatyka czy pożar w samym Rynku?

Hałas jednak szedł skądś od północnej strony, a mgła rozpraszala głosy. Po chwili zrazu ledwo widoczny różowy poblask jął się cedzić przez mgłę. Dzieśiętnik wrzasnął:

— Gore kolo Świątej Katarzyny! Ty dmij na trwoę, a wy za mną!

Zsypywali się po schodach jeden przez drugiego, a przeraźliwy głos rogu wypełnił Rynek. Z okien domów wyskakiwały żółte smugi światła, gubiąc się we mgle, drewniane ganki na wspornikach pod okapami *dschów zadudnSy od kroków wyrwanych ze ^nu* mieszczan, tupot ludzkich i końskich nóg po br\jfey zdradzał, że rurmistrze i woziwody pędzą już do pożaru, przez rosnący jednak gwar wciąż jeszcze słychać było wrzawę idącą od murów. Już zapanował jednak nad nimi dźwięk dzwonów i sygnaturek. Po kolei włączały się naprzód miejskie — Świątej Magdaleny, Predykantów i Gertrudy, potem z osad i starego niia, sta — Wojciecha, Gotarda i Marcina, na końcu z Tjm^skiego Ostrowu — Świątej Marii, Wawrzyńca, Baic-bB_ry i Mikołaja zawtórowały poważnym dźwiękom katedry Sw. Piotra i Pawła. Dziwne jeno, że milczała Świąta Katarzyna, gdzie najpierw musieli ogień zauważyć. Jeden za drugim wpadali na ratusz rajcy i ławnicy, nawet usunięci od władzy Polacy, przeważnie w Rynku zamieszkali, wypytując się wzajemnie. Żaden jednak nie wiedział nic. Wyrzekano wą nieobecność wójta, który ostatnio przeniósł się nk

Ostrów, obwarowując go i spierając się o to z kapitułą, i pilnował robót w obawie, że pod jego nieobecność wygnać mogą robotników i załogę łuczników miejskich.

Prypadkiem jednak Przemko tym razem nocował w mieście u rodziców i teraz zjawił się uzbrojony, w garnkowym hełmie na głowie i z mieczem u boku. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, a gwar ucichł, gdy zaczął spokojnie:

— Proszę ichmościów popłochu nie czynić. Garść jakowychś łotrzyków, korzystając z mgły i ciemności, zaskoczyła straż przy Wrońskiej Bramie. Budy podpalili przy murach koło Świętej Katarzyny i kościół zarjeli i teraz biją się na murach koło żydowskiego firtla. Pożar miastu już nie grozi, a ich wybijem lub wyzfrniem, byle jeno do bezładu nie dopuścić, bo pospółstwo takowe okazje do rabunku i rozruchów wyzyskiwać zwykło.

Wszyscy odetchnęli. Przemko zaś ciągnął:

'-w Niemniej najwyższą ostrożność zachować nalepy, bo przekłeta mgła nic widzieć nie pozwala, wiadomo *tai*, że się rycerstwo w Gnieźnie przeciw nam gromadzi.

Rozejrzał się po obecnych, jakby wybierał. Bunt podniósł na własną rękę i wiedział, że nie brak mu przeciwników, nawet wśród niemieckich członków miejskich magistratur. Powziął postanowienie i ciągnął.'

— Przezorność nie zawadzi. Tedy ichmoście Falkenheim i Czump nadzór obejmą nad Bramą Tamską i Wodną. Choćby nas wróg siłą czy zdradą z miasta wyparł — spojrzal spod oka na polskich rajców, którzy umknęli z oczyma — na Ostrowie utrzymamy się, póki pomoc nie nadejdzie, jeno dostęp musi być swobodny. Panowie Czepel i Feierabend pozór dadzą na Bramę Wrocławską i furkę Świętej Magdaleny. Wy zasię — zwrócił się do ławników: Klizy, Gotza i Rossmana — cechmistrzów dozorować, by ze swym ludem swoich miejsc pilnowali na murach, nie bacząc, co się

w mieście dzieje. Porządku dopilnują imćpanowie Kristek i Bederman. Napastnikami ja się zajmę. Po zostali tu zaczekają na rozkazy.

Odetchnęli widząc, że Przemko z głową i sercem bierze się do sprawy, i wychodzili za nim, pośpiesznie zmierzając na wyznaczone stanowiska. Pozostali, nieco Uspokojeni, posiadali na ławach, widoczny jednak był podział między nimi. Były ławnik Czarnymaćko wstał po chwili:

— Nic tu po nas — powiedział — i nie nasza sprawa. Pan wójt na swoją głowę wziął i sam wszystkiemu zaradzi. Tedy pośniadać możem, bo dzień już o swoje się zatroskać.

Ruszył ku drzwiom, a za nim panowie Gracz, Ii-geza, Staszfczo i Rogacz. Gdy się drzwi za nimi zamknęły, stary Rejnhold von Guben, syn Tomasza, pierwszego wójta i osadźcy, odezwał się:.

— Praw jest Przemko, że im nie ufa. Ja bym łeb" zgoła-w kabatac" zawarł. Juści, o swoje jeno się troszczą.

— Przemko zasię o swoje — sapnął zgryźliwie staruch Storch. — Nikogo nie pytał, zali nam po myśli z Łokietkiem zadzierać, jakoby miasto jeno wójtowe było

— Bardziej jego niż wasze — odparł Rejnhold — ba wójtom jest dziedzicznym.

— Skoro nie moje, tedy i ja idę pośniadać. Za starym do bitki lubo by za końskim ogonem na szubienicę jechać, jako w Krakowie było. Wyrostkiem tu przyszedłem, gdy Pobożny miasto lokował, pomiję i Przemysła, i Włodzisława, i Waclawa. Nie nasza rasecz, kto na książęcym stolcu ma siedzieć, jeno by miastu przywileje i wolność zatwierdził, a ład i prawo utrzymał. Rycerstwo niechaj się bije, bo od tego: jest, a wolę, gdy do mnie rycerz z czapą w ręku po kredyt przyjdzie niż z mieczem po gardło i mienie.

Trzasnął drzwiami i wyszedł. Milczeli, bo przypomnienie krakowskich wydarzeń nie było miłe. Po chwili stary Rejnhold rzekł z westchnieniem;

— Jenó że właśnie za Łokcia prawa i ładu nie było, tyle że nam zwolił społem z Kaliszem i Pyzdrami na gardle karać zbójów na gościńcu pojmanyh, choćby i rycerskiego stanu.

— Nie myśmy go przecie ze stolca zegnali — mruknął Bertold Lindner — jeno wielmoże. Nas w Kościannie nie było, gdy rokosz uchwalili. Tenże biskup Andrzej go wyklął, co dziś Henrykowiców wyklina.

— Prawdę mam rzec — wtrącił Gerlin — wolę ja Łokcia, który zmańdrzał pono, niżli owych śląskich panków, co ich bez mała dwudziestu już i każdy z ceł, drogowego i mostowego żyć chciałby, prawa książęce i włości wyprzedawszy.

— Widzę ci, że już o poddaniu zamyślacie, choć jeno kupa swawolników miasto napastuje — zjadliwie wtcał Sebald Scl;utze.

— Juści, że się nie obronim, tej jedności nie będzie. Ja zasię wiem, że Przemko na Jana Luksemburskiego rachuje, który Niemcom przychylny i na nich opiera się w Czechach.

". *— Jenó kuleje, choć się opiera, a w Krakowie takóž na niego liczyli i wiadomo, jak im wyszło —' odpalił Gerlin.

Umilkli. Nikt nie był dobrej myśli, choć nie wiadomo było nawet, czy już się na dobre zaczęło. Gwar dochodzący z miasta przycichł, światła kaganków pożółkły, a przez szklane gomółki w oknach sączyło się szare światło. Ten i ów wychodził przed ratusz zobaczyć, co się dzieje. W mieście widoczne było poruszenie. Zaniepokojone niewiasty stały przed bramami domów; sklepów, ław ni warsztatów nikt nie otwierał. Wszyscy czekali na wieści od wójta, który na czele łuczników i pachotków ze straży miejskiej ulicą Zamkową pobiegł w kierunku Gródka, by dowiedzieć się o sile napastników i dobrawszy w miarę potrzeby ludzi z załogi zamkowej, pozbyć się z miasta nieproszonych gości. Mimo pozorów spokoju nie był *xa&r-*

kiem pewny, czy chodzi tylko o napaść swawolników dla łupu.

Załoga zameczku pierwsza zauważyła rozruch, ale dowódca jej, Bertrand Helt, wysłał jeno dziesiętnika z kilkoma ludźmi po wieści, nie wiedząc, czy z kolei uderzenie nie przyjdzie z innych stron. Podniósł tylko ludzi na nogi i czekał w pogotowiu. Wkrótce od zbiegów ze straży przy Bramie Wrońskiej doszła wiadomość, że napastników niezbyt wielu, choć w mroku i zamieszaniu trudno ich było policzyć. Ninie biją się w żydowskiej dzielnicy, a zwłaszcza na murach, w pobliżu, gdzie łucznicy miejscy opór dają. Widno jedynak spychano obronę w kierunku klasztoru predykantów, bo hałas się oddalał. Część napastników zajęła kościół Świętej Katarzyny i sprzętami zawałiła wejście. Helt przeto, widząc, że zamkowi nic na razie nie grozi, zabrał ludzi, zostawiwszy jeno straż, i pojechał do pożaru, by zapobiec rozszerzeniu się ognia. Tam zastał go Przemko.

Budy płonące zawałiły się już i dogaszano właśnie zgliszcza. Helt doradzał, by się zamkniętymi w kościele zająć, ale Przemko, zachmurzony, odparł:

— Ci nam ninie niegroźni, a jeśli nic nie zajdzie, za dzień lub dwa sami się poddadzą, gdy im jadła, i napoju braknie. Tamtych z murów zepchnąć należy, bo tędy dalsi przyjść mogą. Póki ich niewielu i jeszcze w bitce, przyprzem ich do klasztoru predykantów i tam ich wytracim.

Naradzali się właśnie, jak to uczynić, gdy z przecznicy wybiegł młody mniszek i widząc wójta, krzyknął:

— Klasztor zajęli i grabią!

Przemko nie pokazał po sobie zmieszania i rzeki/

— Tedy mamy ich w saku. Uderzyć należy od strony miasta. Byle prędko.

Klasztor stał nad rozlewiskiem Warty jeszcze przed:
lokacją i sam wówczas dbać musiał o **swoją obron-**

no.śc. Gdy włączono go w obręb nowego Poznania, tylne ściany jego zabudowań stały się częścią murów miejskich. Od miasta odcięty był wysokim murem z potężną bramą, stanowiącą jedyny wjazd na dziedziniec klasztorny. Do konwentu wejście wiodło przez, kościół, od chodnika murów obronnych odcinała klasztorne obejście potężna baszta. Przy jakiej takiej obronie niełatwy był do zdobycia. Wiadomość o zajęciu klasztoru zła była podwójnie: odbicie wymagało znaczniejszych sił, a obsadzenie wskazywało, że napastnicy umacniają się w mieście, by trzymać otwarty dostęp dla posiłków, których oczekują. Stamtąd nie wygna ich głód ni pragnienie, bo mnisi piwnice mają dobrze zaopatrzone. Przemko zachodził w głowę, jak się to stać mogło — chyba nie zdradą, bo niemieckim klasztorom panowanie Łokietka mniej jeszcze niż mieszczaństwu obiecywało korzyści. Wiadomo było, że niedawno, czyniąc nadania braciom gwiazdowym w Brześciu, księżę otwarcie zastrzegł, że pod utratą dobrodziejstw nie wolno im przyjąć ni jednego Niemca. Wójt stał zadumany, gdy Helt zapytał:

x — Co uczynim?

— Bez zwłoki wyprzec ich należy, wszystkie siły ściągnąwszy. Wy uderzycie od Wrońskiej Bramy wzdłuż murów na żydowski firtel i basztę, ja na klasztor od miasta.

— A jeśli gdzie indziej nastąpią, gdy my się tu będziemy zabawiać?

— Na Tumski Ostrów się wycofać. Tam się utrzymamy, choćby w samej katedrze, póki odsiecz nie przyjdzie.

— Miasto wydamy na łup — napomknął Helt niechętnie. V

— Mniej ucierpi, gdy je wydamy bez walki — odparł Przemko. — A takim ludziom, jakich mamy, nie potykać się wręcz z rycerstwem.

— Wcześniej o tym pomyśleć należało — rzucił Helt gniewnie. — Skoro zaś tak mniemacie, lepiej zaraz Tumski Ostrów obsadzić, a nie dopiero w za-

m

mieszaniu, by się zaś i tam to samo co u predykantów nie przygodziło.

— Wždy nie poddam miasta tej garstce — odparł wójt wyniośle — gdy do tysiąca zbrojnych mamy. Ostrów zasię i tak wszystkich nie pomieści i jeno by nas prędzej ogłodzili.

— Tedy wytracić mamy ludzi bez potrzeby! — rzucił się Helt, ale Przemko uciał:

— Ja tu rządę. Czynić, co każę.¹ Rad bym jeno wiedział, co zaszło u predykantów.

Ielt pomyślał, że lepiej byłoby wiedzieć, czy nie nadciągają nowe siły nieprzyjacielskie, ale już się nie odezwał. Posłał ludzi z rozkazem, by się łucznicy i cechowi zgromadzili w Rynku, sam zaś wrócił¹ do zameczku po sprzęt potrzebny do odbicia klasztoru. Ale w powodzenie nie wierzył. Przemko samowoli pokrywa brak stanowczości, a wyniosłością niezdatność. Nie takiemu wodzowi mierzyć się z Dobrogp*

Przeor dominikanów wraz z braćmi był na komplecie w kościele, gdy się zaczęło. Hałas od bramy śliff ehać było poprzez pobożne—śpiewy, ale przeor nie przerywał nabożeństwa, sądząc, że to pożar lub burdą, które dość często niepokoiły miasto. Nawet gdy wpadł włodarz klasztorny, Uto, i nie bacząc ną nabożeństwo i powagę miejsca, zakrzyknął, że gore koło Wrońskiej Bramy, przez którą wtargnęli jakowis ludzie, przeor odprawił go! gniewnie.

Uto na własną rękę pobudził służbę klasztoru i zleciwszy uzbroić się na wypadek napaści, a wod; naciągnąć do kadzi dla obrony przed ogniem, obsadził okna gospodarczego budynku od strony basztj sam zaś z kilku ludźmi przy bramie od strony miast nasłuchiwał, co się dzieje.

Pożar wkrótce przestał ^przeświecać przez mgłę, m tomiast gwar od strony żydowskiej dzielnicy i mu

rów zdał się przybliżyć i nawet można było rozeznąć szczęk broni.

Po chwili donośna i całkiem już bliska wrzawa rozległa się z murów, po czym nagle umilkła. Ani chybi napastnicy wzięli basztę, skąd razić można było pociskami ludzi na klasztornym dziedzińcu i między budynkami. Uto raz jeszcze skoczył do kościoła, ale nim dobiegł, krzyki doszły go od bramy. NieMał wpadł na wychodzącego właśnie przeora i krzyknął:

— Basztę wzięli i są pod bramą!

Jakoż brama huczała już pod ciosami topofów, a klasztorni ludzie na wyżce i chodniku nad nią, rriiasz bronić, wrzask jeno czynili i zamieszanie.

Przeor tak jak stał, w kapie, co tchu wspiał się na chodnik i spojrział: gromada zbrojnych tkwiła pod murem. Gdy jedni rąbali wzmocnioną żelaznymi pukciami furkę z dębowych bierwion, inni, nałożywszy strzały na ciężki łuk i kusz, stali w pogotowiu, wywiskami i drwinami tymczasem obrzucając kiasztornych ludzi. Przeor zdjął krzyż z piersi i wyciągając go ku napastnikom, zawołał ponad gwar:

■— Precz, w imię Boga!

•■ Młody rycerz, który zdał się przewodzić gromadzie, skinieniem ręki powstrzymał rąbiących i odparł z kpiną:

— Gdy wam trzeba, umiecie po polsku. Ostawcie Boga i schowajcie krzyż, a bramę każcie otworzyć. Nie, to sami otworzym.

— Klasztor służbie Bożej poświęcony i nijakich swawolników tu nie wpuszczę, choćbyśmy gardła dać mieli — odparł przeor dostojnie. — Odstąpcie!

— Imieniem pana Wielkiej Polski, księcia Włfdzi-sława, otwórzcie!

' — Kie znam takowego pana.

~ Wždy wasz biskup go uznał.

— Klasztor egzemowany jest. Nic biskupowi do nas.

Widząc, ie rosły mąż Z zawiesistyift ^ąsem bierze topór do ręki, krzyknął:

— Kto ruszy toporem, tego wyklinę!

— O, do biesa — zaśmiał się Radocha. — Kłąc to ja lepiej od was wydolę. Pewnikiem za to krakowski biskup wasz znajomek, boście z jednej sfory kundle.

Podniósł topór, pokazując go przeorowi, i ciągnął:

— Onże zwykł mawiać, że to jest klucz do otwierania kościołów. Zasię nam od krzyżackiej granicy mnichów bić nie dziwno. Tedy puszczaj, golona pało — wrzasnął z nagłą złością — bo nie pora nam się tarzyć!

Znów zahuczały topory i wszczął się hałas. Przeor jeszcze coś krzyczeć usiłował, gdy kolo głowy jego gwizdnęła strzała i jakby go wiatr zdmuchnął, Rozległy się i u i ówdzie śmiechy, ale strzały leciały iuż z obu stron i walka wszczęła się. Zagwizdały pociski i od strony baszty, rażąc z góry klasztornych ludzi. Chronić się jęli do budynków, a na dachy zeskakiwali napastnicy i zrywając gonty, • przedostawali aię do wnętrza. Nadwerezona brama ustąpiła i gromada zbrojnych wpadła na dziedziniec, rozbiegając się za uchodzącymi.

Henryk jednak, skrzyknąwszy kilku wojów, wpadł na ich czele do kościoła, by wejście od strony iniastr zatarasować. Potem bramę z powrotem polecivszy umocnić i zawalić belkami i gruzem, skierował się do budynku przylegającego do baszty. Stamtąd dochc* dził największy wrzask i przekleństw. Mnichowi ludzi klasztornych kazał zegnać do piwnicy, by nić przeszkadzali, i zajął się przygotowaniem obrony,

Radocha, ustawivszy straż kolo jeńców, rozglądał się jeszcze, czy się kto w ciemnych zakamarkach nie przytaił, gdy uwagę jego zwróciło światelko przejaorające spod jakichś drzwi. Otworzył ję ostrożnie i ujrzał Kózkę, którego stracił z oczu w czasie walki. Kózka, odwrócony plecami, tak zajęty był spuszczeniem do konwi wina z beczki, że nie zauważył Radochy. Dopiero gdy ten krzyknął, odskoczył przestraszony, ale poznawszy Radochę, zawołał:

— Pokosztujcie! Jeszczeście takiego nie pili. Warto mnich era ostać.

Sam widocznie dobrze pokosztował. bo oczy mu lśniły przy świetle kaganka.

— Pić bedziem po bitce, a ino patrzeć, jak się znowu zacznie. Bież na górę!

— A jak się skończy, to nam inni wypiją!— żałośnie rzekł Kózka.

— Kto ostanie, ten wypije. Pódzi!

Kózka ruszył niechętnie, a Radocha, wskazując na tarczę i miecz oparty o ścianę, zapytał:

— To zasię ci niepotrzebne? Takowy rycerz z ciebie, co beczkom jeno rad krwie upuszczać.

Kózka zabrał miecz i tarczę i wyszli. Gdy przy dziennym świetle Radocha spojrział na nią, zaśmiał się!

— A skądże się ta stwora wzięła na twoim szczycie?

— U mistrza w Nakle wymalować kazałem. Wždy "Kłaždy rycerz jakowys znak ma.

— Po jedno, że nie każdy. Taki, któremu go ksiązę ż" a zasługi nadali lube rodowy, a nie ścierciałki. Po wtóre, co ci po tym, i cöße to jest?

— Kózka, by każdy wiedział, com za jeden.

~r Tedy kuşkę bys dał wymalować — zadrwił Radocha. — Jakiś był chłop, taki i rycerz. Po wierzchu orać, a do żniwa pierwszy. To zasię bydlę na twoim szczycie radziej do starego capa podobne.

— A wasz ciołek do wytrzebionego wołu — ^odgryzł się Kózka.

Byłby jednak pożałował swego zuchwalstwa, bo Radosze \aż wås się zjeżył ze złości i zamachnął się, by mu dać po łbie, ale nagle wrzask podniósł się w podwórcach. Radocha co tchu skoczył ku bramie. Garść Henrykowych ludzi na murze pracowała już ciężko, szyjąc z łuków i kusz w ciżbę lub miotając belki i głązy na mieszczan prących na bramę. Z żydowskiej dzielnicy także dochodziły odgłosy w^Uci, widiK) i stamtąd usiłowano wyprzeć rycerstwo.

Radocha jeno okiem rzucił na plac przed klasztor, wraz pomiarkował, że mieszczanie rzucili wszystkie siły, by nie bacząc na straty pozbyć się napastników. U wylotów uliczek stały już olbrzymie kusze do miotania belek i głazów, wleczono tarany do kruszenia murów i bramy. Zeskoczył z muru i odszukawszy Henryka, zawołał:

— Budynki nam obsadzić i tam opór dać, a baczyć, by odwrotu nie odcięli!

— Tedy wy baczcie od murów miejSKien, a ja tu się będę oganiał, póki Przedpełk nie nadciągnie. Żeby rozum miał, już tu być winien. Południe niedaleko, bo jeść mi się chce.

— Zjeść to i ja bym zjadł — mruknął Radocha.

Zebrał kilkunastu ludzi i przez strychy budynków dostał się na obsadzony przez kilku rycerstwa i pachoków mur koło baszty, która zabezpieczała klasztor od strony miasta, a zarazem dostęp wojskom Przedpełka, jeśli nadejdzie. Radocha trochę się winny czuł, że Jlenryka do swawolnego uderzenia nakłonił. Musi utrzymać basztę, choćby mu lec przyszło. A kasztelan Przedpełk winien sam pomiarkować, co się dzieje, i wykorzystać położenie, jeśli rozum ma.

Przedpełk rozum miał, ale ostrożny był i rozważny.

Nie zastawszy podjazdu Henryka na wyznaczonym miejscu, zatrzymał pochód i zwiady wysłał, by zasięgnąć języka, co zaszło. Ślady wskazywały, że Henryk przeszedł Wartę, i kasztelan domyślał się, że bez rozkazu uderzyć musiał na miasto. Zuchwalstwo to było i niekarność, ale jeśli się powiodło, korzyści z niego wyciągnąć należało, póki Henryk trzyma się ze swą garstką w mieście. Skrywanie nadciągających; wojsk nie miało już celu, niemniej wiedzieć trzeba, jakie jest położenie, by rozstrzygnąć, czy natychmiast uderzać, czy czekać na nadejście pieszych oddziałów,, poczynić przygotowania i przystąpić do oblężenia.

Przedpełk, jako i ogół rycerstwa, nie lubił walki pod murami i kłął w duchu samowolne poczynanie Henryka, które jeśli się nie powiedzie, na wyniku wojny zaważyć może. Przestrzeżone bowiem miasto nie pozwoli się zaskoczyć, a gdyby oblężenie się przeciągnęło, odstąpić przyjdzie, jeśli kaliski wojewoda śląskich wojsk nie zdoła powstrzymać. Wówczas wojna się zawlecze i trzeba będzie czekać na posiłki Łokietka z Małej Polski i Kujaw. Choć Przedpełk na równi z dojrzałą częścią możnowładców i rycerstwa rozumiał, że władza księcia musi być wzmocniona, jeśli poddać ma zewnętrznym napaściom i wewnętrznemu bezrządowi, nie po myśli było kasztelanowi, by Łokietek sobie, a nie wyłącznie wielkopolskiemu rycerstwu objęcie dzielnicy zawdzięczał.

O tym rozmyślał, gdy jechał na czele swych hufców, i nie tracąc już czasu na omijanie osad, szybko zbliżał się do Poznania. Popołudnie było dopiero, gdy w przecierającej się mgłę ukazały się z dala wieże poznańskiego ratusza i kościołów. Kasztelan właśnie zamierzał wstrzymać pochód, gdy na drodze za tętniły kopyta. Domarafc Grzymała z Potulie, dowódca wysłanego podjazdu, zdał konia przed kasztelanem i nie czekając na zapytanie, zdawał sprawę-

Jak się okazało, konie Henrykowego oddziału odnalazł w małej osadzie, opodal kościółka Świętego Wojciecha, a od koniuchów dowiedział się, że Henryk przed świtaniem uderzył na Wrońska Bramę i do tej chwili nie wrócił. Do miasta musiał się dostać, bo widziano pożar koło Świętej Katarzyny, a pewni* kiem jeszcze się tam trzyma, bo nawet gdyby został zniesiony, jacyś przecie zbiegowie dotarliby do koni.

Gdy skończył, kasztelan przez chwilę stał zasumowany, rozważając, co mu przedsięwziąć wypada, nie zwykł bowiem nic czynić bez zastanowienia. Młody Domarat zaś niecierpliwie to żgał, to powściągał konia. Wreszcie krzyknął:

— Każda chwila droga! Zwólcie nri ze stu wojów

to i ja spróbuję dostać się do, miasta i podeprzeć Pałuka.

— Ty pojedziesz do wojewody — odparł kasztelan. — Rzekniesz mu, jako jest i że ja nie mieszkając na' miasto uderzę. Jeśli Henryk Świętosławie choć krztynę rozumu ma, dostęp nam winien zabezpieczyć. A znieśli go już, to miasto obstawię i na wojewodę czekać będę. Niechaj pospiesza.

Gdy Domarat jeszcze nalegać usiłował, kasztelan krzyknął:

—• Czynić, co każe! Dość jednego zielonego lba w mieście. Pustą głowę stawić najłacniej, bo niewiele warta. A pospieszać i ja wydołę, gdy iście każda chwila droga.

I wójt Przemko rozumiał, że każda chwila droga. Choć z wojną nie obyty, wiedział, że gdyby napastnikom tkwiącym w mieście przyszły posiłki, nie zdoła JUŻ opanować położenia. Tym bardziej że nie tylko biedocie miejskiej nie ufał, ale i patrycjatu nife był pewien. Ściągnął tedy wszystkie siły i sam na czele' jednego oddziału uderzył na klasztor i kościół, gdy Helt na czele drugiego oczyszczać jął żydowską dzielnicę, by opanować mury wraz z górującą nad klasztor^{em} basztą. Odbicie baszty nie było łatwym zadaniem i Helt wolał mieć zabezpieczone tyły, gdy przyjdzie na nią uderzyć. Zajął się przeto naprzód pierwszą częścią zadania, a dzięki temu Radocha, który bronić miał klasztoru od tej strony, mógł pozwolić spojrzeć ludziom znużonym już całonocnym marszeniem i walką od świtu.

Pozostałym jednak nie dano spoczynku i Radocha z górnego piętra baszty patrzył, jak z wylotów ulic, wychodzących na plac przed klasztorem, łucznicy i cechowi, fala za falą, przypadali pod mur i bramę, po czym cofali się zostawiając czerniejące na śniegu ciała. Radocha wiedział jednak, że i od strony

dziedzińca niejeden już wypuścił broń z ręki. Wejście do kościoła nie było z baszty widoczne, ale i tam zapewne szło natarcie, i Radocha pomiarkował, że jeżeli zawziętość uderzenia nie zmaleje wkrótce, Henryk nie wytrzyma nacisku, a wówczas jedyna droga odwrotu wiodła przez mur koło baszty.

Radocha spoglądał na słońce, przeświecające chwilami przez opar, który wznosił się w górę, gęstniał jednak zaciągając niebo jednolitą burą zasłoną. Południe dopiero minęło, ale dzień szarzał już i miało się na śnieg. Jeszcze parę godzin pozostawało do zapadnięcia ciemności, która może przynieść odprężenie, jeśliby nawet Przedpełk nie nadciągnął wcześniej. Winien wykorzystać położenie i uderzyć nie czekając zmierzchu. Bo i Henryk ze swymi tnoże zmierzchu nie doczekać, jeśli napór nie sfolguje.

Nie zanosilo się jednak na zelźenie. Przeciwnie, napór zdał się wzmacniać. Wrzaski i odgłosy walki w dzielnicy żydowskiej zbliżały się i nagle pod murem ukazało się kilku rycerstwa. Uciekali w stronę baszty, a za nimi waliła gromada i leciały strzały.

Radocha w jednej chwili poderwał swoich ludzi i gdy uciekający wspinali się na miejski mur, ściągających przywitały pociski. Uskakiwać jęli za węgły uliczek, ale Radocha wiedział już, że zaraz nastąpi uderzenie.

Nagle uwagę jego odwrócił wrzask od strony dziedzińca. Z kościoła wysypali się ludzie Henryka i biegli z krzykiem do budynków, co widząc walczący na murze klasztornym jęli również zeskakiwać na dziedziniec, szukając schronienia. W tej chwili brama pękła i tłum miejskich i cechowych wlewać się jął w podwórze.

Z baszty posypały się na nich pociski, a leciały już także z okien budynków, pod ścianami których nacierający zaczęli szukać osłony. Zamęt na podwórcach przygasł, ale w tej chwili wszczął się koło baszty. Helt, uładziwszy swój oddział, uderzył i mur koło klasztoru zaroił się zbrojnymi, którzy z drabina-

mi przypadli pod ściany, podczas gdy stojący z tyłu kusznicy strzałami przeszkadzali obronie.

Radocha zasumował się. Ze swymi kilkunastoma ludźmi długo nie zdoła się utrzymać. A jeśli i tu obrona pęknie, sak, w jakim się znaleźli, zostanie zamknięty. Radocha nie zwykł się troszczyć o życie, ale gryzło go, że lekkomyślnego i niedoświadczonego Henryka namówił na sprawę, z której nikt głowy nie wyniesie. Pędem zbiegł na dół i krzyknął do Kózki:

— Bieź do rycerza Henryka, niech dziurę W murzie wybije, bo jeśli my się tu nie utrzymamy, w matni się najdziem!

— A gdzież go szukać?

— Głupiś! Nie najdziesz, to sam dziurę wywał, choćby łbem. Nie żałuj go, bo nie, to go tu ostawiaj.

Kózka, nie przynosząc ujmę swemu imieniu, poskoczył z ganeczku na dach sąsiedniego budynku, mi-giem zerwał gonty i przez dziurę zniknął - w. podstryszu, Radocha zaś zajął się obroną.

Dotychczas skuteczna była. Helt sądził, że przewagą liczby zgniecie opór niewielkiej garstki. Gdy pomiarkował jednak, że pchający się tłum straty ponosi duże, a opór nie maleje, cofnąć się kazał i posłał po maszyny, celem wybicia furt lub zrobienia wylomu. Przez chwilę przy baszcie uspokoiło się, ale tym wyraźniej dochodziły odgłosy walki z klasztor-nego obejścia. Przemko wprowadził maszyny i tłukł po furtach i ścianach, które tu i ówdzie zaczęły się już rysować. Właśnie gdy Helt cofnął się, runęła część ściany spichrza i jeszcze nie opadła kurzawa, a już do „otwartego wnętrza wdzierać się/jęły gro* mady, mimo że opór napotkały zawzięty i twarde. W wąskich i ciemnych przejściach i zakamarkach, gdzie przeważnie jeden na jednego mógł tylko ude-rzać, lepiej zbrojne i wprawniejsze rycerstwo zadawało napastnikom wielkie straty. Ale z tyłu part tłum, nie pozwalając wycofać się walczącym w prze-dzie, i mimo strat posuwał się. Henryk pomiarkował.

że się nie utrzyma, i zganiał kogo mógł do gospodarczego budynku, leżącego koło baszty, by się przez strychy wycofać na mur. Gdy wpadł do dolnej izby, zauważył kilku ludzi mozolących się nad rozwaleniem grubej kamiennej ściany. Na widok kasztelanika Kózka spocony i zziębnięty krzyknął:

— Pan Radocha niechał wam rzec, jako się nie utrzyma i tędy uchodzić zamyśla!

— O, psia jucha! Nie wiem, zali wydzierzym, póki wy dziury nie wybijecie — mruknął Henryk patrząc na stertę kamieni leżących pod ścianą, która nie zapowiadała jednak niczym, by miała puścić. Mur musiał mieć ze dwa łokcie grubości, a zaprawę twardszą niż kamień.

Nienawykły do trwałych wysiłków Kózka ledwo już się trzymał na nogach, a pot zalewał mu oczy. Ale uwaga kasztelanica tchnęła w niego nowe siły i walić jął łomem, za każdym wybijanym kamieniem spodziewając się ujrzeć zbawcze światło. Gdy spotykał go zawód, zgrzytając zębami brał się znowu do pracy, czując jednak, że nawet strach niedługo już za siłę starczy.

I walczącym opadały już ręce. Henryk doSkoczył po chwili sprawdzić, czy droga otwarta. Widząc, że tylko kupa gruzu urosła, powiedział:

— Tu szkoda się już mozolić. Spróbuję się przebić na miasto. A nie wydolim, to na Bożą rolę pod kościołem niedaleko.

Pod Kózka zatrzęśły się nogi. Do walki z murem jeszcze by znalazł trochę sił, ale nie z przeważającym i rozjuszonym przez opór i straty tłumem. Mimo że wilgotne od potu, włosy podniosły mu się na głowie. Krzyknął:

— Jeszcze ten ino głaz! Giba się już!

Siłą rozpaczy grzmotnął łomem w kamień i aż słabo mu się uczyniło, gdy ukazała się szpara, przez którą przesączało się światło.

Kto żył, rzucił się teraz rozszerzać otwór, a Heił ryk skoczył po ludzi, by ich ściągnąć do wylomu.

Kózka pierwszy skorzystał chciał z otwartej drogi odwrotu, póki się inni pchać nie zaczęą, ale odskokzył przerażony, gdy w otworze ukazała się wąsata twarz pod okapem hełmu. Wojak wepchnął się do wnętrza i ozwał się zdyszczanym głosem:

— W porę, widzę, przybyliśmy i mądry, kto dziurę wybić kazał, bo indziej miejskie pachołki już dostępu bronią.

— To ja — odparł dumnie Kózka, ochłonawszy.

Chciał dalej głosić swą zasługę, by nie przepadła w zamęcie. Ale już jeden przez drugiego pchali się zbrojni przez otwór, wypełniając izbę. Usunął się przeto skromnie na bok, nie chcąc się już nad innych wynosić w walce, której odgłosy znów się przybliżyły, tak się nasilając w zamkniętej przestrzeni, że nawet sam własnych słów by nie usłyszał.

Przemko, by skończyć jak najprędzej, parł swoich ludzi i siebie nie oszczędzał. Gdy kościół został zdobyty, a na murach koło baszty ukazał się oddział lielta, na czele cechowych rzucił się oczyszczać z napastników budynki. Wkrótce bronili się oni tylko w przyległym do muru budynku gospodarczym, gdzie jednak opór był najtęższy, bo zgromadziło się tu wszystko, co jeszcze nie odpadło od walki.

Teraz wójt pewny był już swego. Gdy wyłamano wejście, stanął przy nim, na siłę pchając czeladź cechową i miejskich pachołków do wnętrza, zatłoczonego już tak, że — zda się — palca by nie wciśnął. Przemko znał miejsce i wiedział, że walczyć; może jeno niewielu w ciasnocie, a mieszczanie ustępują wprawą i uzbrojeniem rycerstwu, broniącemu się zapamiętałe ze świadomością, że nie ma już stąd wyjścia. Wiedział, że jego ludzie cofnęliby się, gdyby nie to, że parł ich ciężar masy depczącej po ciałach poległych i rannych towarzyszy. Liczył na to, a e spycha także przeciwników, których w końcu wtło-

czyć zdoła do wielkiej izby od strony muru, gdzie przewaga liczby powinna sprawę dokończyć.

Jakoż dochodzące z wnętrza odgłosy zdały się potwierdzać przewidywania wójta. Nagle wzmożyły się do ogłuszającego wrzasku, w którym brzmiało przerażenie, i prący naprzód potok ludzi stanął, po czym zawrócił jak fala, która rozpędem wyszła na pochyły brzeg. Tłum zakotłował się i przeciął z powrotem, a wójt bezskutecznie usiłował go powstrzymać krzykiem i płazowaniem. Teraz napór szedł od wnętrza i nie było siły zdolnej go opanować. Cb gorzej, kto jeno wypadł z budynku, w popłochu uciekał ku bramie. Wójt poskoczył przeto ku niej i tam udało mu się zgromadzić nieco ludzi. Tu dopadł go strażnik Hanzlik i krzyknął:

— Pan Helt kazał wam rzec, iż cofa się ku mostom !

— Co się stało? — zapytał Przemko pobladłszy.

— Nowi nadeszli! Mur wyłamany!

Wójt chciał wypytywać, ale strażnik nie czekał i kopnął się ku miastu, dokąd w bezładzie pierzchały już resztki miejskich sił.

Przemko pognał za nimi. Wieść o nowym uderzeniu już się widocznie rozeszła, bo w całym mieście zapanował popłoch. Dzwony znów były na trwozę, ła ulicach szerzył się zamęt, gdy jedni zamykali bramy, zawałając je sprzętami i czym się dało, inni porwawszy co cenniejsze mienie, biegli ku mostom na Tumski Ostrów. Było to groźne, bo jeśli popłoch przeniesie się i tam, także Ostrów może być zdobyty od jednego zamachu, ostatnie, najbardziej umocnione schronienie, gdzie Przemko miał nadzieję doczekać odsieczy. Wyprzedzając przeto tłum, bocznymi uliczkami pognał ku Tumskiej Bramie, przyznając w duchu słusność Heltowi, który radził na Ostrów się wycofać zawczasu. Teraz trzeba będzie walczyć z tłumem, by nie zatarasował mostów, przeprawa bowiem po słabym jeszcze lodzie nie była możliwa.

Doświadczony Helt Jednak i o tyra wcześniej po-

myślał, pierwszy też zresztą zauważył nadejście wojsk kasztelana Przedpelka. Przez krótki czas stawiał im opór, poniechawszy baszty, w której wyparł już obrońców na górne piętro. Gdy jeno spostrzegł, że przez wybity otwór nowi napastnicy wciskają się do miasta, a nie mógł temu przeszkodzić, pchnął posłańca do Przemka i ścigać się jął wzdłuż murów ku kościołowi Świętej Katarzyny. W porę pomiarkował, że zamknięte tam rycerstwo wypadło już, uderzając z tyłu na obrońców Wrońskiej Bramy, zaniechał tedy obsadzenia Gródka i co sił zmierzał ku Bramie Wodnej i Tumskiej, w obawie, że rajcy Falksąhein i Czump nie poradzą sobie z naporem tłumu.

Przy Wodnej tłum był mniejszy. Helt bez wysiłku rozpędził go, nie bacząc na krzyki i przekleństwa[^] Zawiadomiwszy Czumpa o położeniu, kazał Spałi4 most i pospieszył na Tumską. Tutaj tłok był taki, że do bramy docisnąć się nie było sposobu. Straż z trudem odpierała nacisk, a Falkenhein z wyżki darmo usiłował przekrzywić lamenty niewiast, pisk dzieci i pogrożki mężów, by skłonić tłum do rozejścia się. Helt nie bawił się w wyjaśnienia, łucznikom polecił, rozegnać ciżbę, choćby broni użyć przyszło, i dotarł pod bramę. W samą porę to uczynił, bo w tejże chwili nadbiegł chyłkiem Przemko ukrywając twarz, by nie dać się poznać wzburzonej tłuszczy, Zdyszany rozkazał:

— Bez chwili zwłoki na Ostrów! Skoro patrzeć[^] jak tu będą!

Poznano wójta jednak i groźne okrzyki posypały się, a w, ślad za nim leciały kamienie. Tłum nacisnął znowu i nie wiadomo, jak by się skończyło, gdyby nie to że Falkenhein 2 wyżki krzyknął przeraźliwie;

~~ Są już przy Wodnej! Most płonie! Ratujsię, kto może!

Tłum w popłochu rozsypał się na wszystkie stroiny, a Falkenhein zbiegł z wyżki, trzęsącymi rękoma otwierał furte, i most zadudnił pod nogami biegnących.

Helt uchodził ostatni, zdejmując za sobą dylowa-[^]nia. Nie zdjął jeszcze ni połowy, gdy od bramy grad powicków zasypał jego ludzi. Podpalili tedy resztę i wycofał się na Ostrów.

Miasto było wzięte, gwar wojenny zgasł, w zapadającym mroku nasilał się natomiast blask płomieni, a rozlewające się tu i ówdzie krzyki wskazywały, że zwycięzcy zaczynają brać odwet za bunt, a zapewne i rzezimieszki korzystają z zamętu. Kilku pozostałych w izbie radnej na ratuszu dostojników miejskich czekało w struchlałym milczeniu, by zjawił się ktoś z rycerskiej starszyny, któremu mogliby przekazać władzę dla powściągnięcia swawoli. Zapalili świece, by nikt nie pomyślał, że się ukrywają w ciemności, i patrzyli otępiałymi oczyma, jak skapuje wosk na stół sądowy, za którym na podwyższeniu stało puste krzesło wójtowskie.

Wreszcie w sieni rozległy się kroki na kamiennej posadzce i do izby wszedł kasztelan Przedpełk w towarzystwie kilku rycerstwa. Obecni zerwali się jak na rozkaz, a on zasiadł za stołem i przez chwilę wodził surowymi oczyma po ich pochylonych pokornie głowach, nim zaczął:

„ — Imieniem Pana Wielkiej Polski, księcia Włodzisława, ja tu ninie rozkazuję. Wszelki opór mieczem będzie karany, winni pójdą pod sąd.

Z gromadki wysunął się Czarnymačko i skłoniwszy się przed kasztelanem, podjął:

— Ci, co buntu byli przyczyną, uszli na Ostrów. Niechaj za siebie odpowiadają, ale niewinnych oszczędzać zechciejcie. Nikt tu wam oporu stawiać nie będzie, chyba przed wojacką swawolą, o której ukrócenie pokornie was prosim.

— Juści, najłacniej na nieobecnych zganiać — odparł kasztelan — ale nie pora teraz dochodzić, kto winien. Bez sądu nikt karany nie będzie, a swawolę powściągnę, gdy miasto dziesięć tysięcy grzywien złoży.

v— Co każecie, uczynim, choć; kara winnych **i nie-**

winnych poścignie — rzeki Czarnymaćko. — Jeno⁸ jako że pieniądz zebrać mamy, gdy na ulicach żywota*[†] nikt nie pewien.

— Nie kara to, jeno okup, a dla rycerstwa nagro-; da za męstwo, by samo jej sobie brać nie potrzebo- r wało — odparł kasztelan. — Wam handel zysk, a nam wojna. Nie trzeba było jej wszczynać. Nadtoście w pierze porośli, podskubać was nie zawadzi. Ludzi wam dam do ochrony, im prędzej pieniądz zbierzecie, tym dla miasta lepiej.

Jakoż noc jeszcze nie zapadła, gdy miasto uspokoiło się. Rycerstwo zresztą, zmęczone pochodem j wal- ką, radę zagospodarowywało się po mieszczańskich domach, nie żalując sobie niczego, a mieszczenie zaś, im który czuł się winniejszy, tym gorliwiej usługi- wał, by zjednać sobie zwycięzców.

Radocha, który pierwszy dotarł do Tumskiej Bra- my, skoro tylko pomiarkował, że Ostrowa od jednego zamachu wziąć się nie da, zebrał swoich ludzi, dar- mo wypatrując między nimi Kózki. Tumską ulicą puścił się ku Rynkowi, po drodze rozwalając ławy z towarem. Jak spod ziemi zjawiała się zaraz gromada biedoty, przeważnie wyrostków i niewiast, ochotnie wskazując, gdzie jaki towar można dostać i które- sklepy należą do zbuntowanych. Radocha, nauczony[^] krakowskim doświadczeniem, wybierał co cenniejsze, . każąc pachołkowi Rzepce ładować zdobycz w toboły, a resztę pozostawiał na łup metłochu, którego groma- dziło się coraz więcej. Na własną już rękę zaczynał rabować, wdzierając się nawet do domów, skąd raz po raz rozlegały się krzyki. Gdy jednak ulice prze- biegać zaczęli gońce od kasztelana z oznajmieniem, że miasto zapłaci ciężę, a samowolne łupienie srogo będzie karane, Radocha kazał rozpędzić hołotę i wy- waliwszy bramę okazalszego od innych domu, z go- dłem bociana nad wejściem, przez beczkowatą sień krętymi schodami ruszył wraz, z Rzepką na piętro. Przebijający odbłask światła zdradzał tu ludzi,

W obszernej, bogato ozdobionej świetlicy z bgrom-

nym kominem, zajmującym całą niemal ścianę, kulila się gromada niewiast i wyrostków, z przerażeniem patrząc na rycerza, który wszedłszy zdjął hełm, z hałasem cisnął go na stół, i podkreślając węża, ozwał się:

— Z babami ni dziećmi nie wojuję, nie bójcie się. Wieczereżę dawać, a tłusto, posłanie nam zgotować, a miękkie. Same spać, choć bez chłopów, skoro im się wojować z nami zachciało.

Niewiasty, pochlipując jeszcze, zajęły się przygotowaniem, a Radocha zwrócił się do Rzepki:

— Ciśnij toboły w kął i siadaj. Utrudziłeś się też. Ninie obaczysz, jak sobie mieszczany żywią nie siejąc i nie orząc.

Sam spoglądał z podziwem na bogate sprzęty, barwne kobierce, srebrne i cynowe ozdobne misy i stągwie, rzeźbione skrzynie, safianowe i" atlasowe poduszki, trochę w duszy żałując, że tego wszystkiego nie zabierze do swego gródka. Zobaczywszy jednak, jak Rzepka, któremu aż oczy świeciły na widok skarbów, ściągać jął z póły srebrne naczynia, rzucił:

— Ostaw. Kasztelan zakazał, a nie przystoi mnie jako rycerzowi, skórom babom rzekł, by się nie bały. Choć po prawdzie zdałoby się ich obłupić, bo ich aż rozpiera i słuchać nie chcą.

Odłożył miecz, zdjął przy pomocy pacholka blachy i gdy niewiasty, zasławszy stół białym ręcznikiem, wnosić jeły potrawy, rozsiadł się wygodnie, zdjął pas i wziął się z namaszczeniem do jadła, mówiąc do Rzepki:

— Pożywaj i ty. Tak ono na wojnie:, raz ci brzuch do pleców przyrasta, raz mało nie pęknie. Raz siodło pod głową, a gwiazdy ci świecą, "raz puchowy zagłówek i woskowe świece jako w kościele. Zaś prawdę rzec, pora by się wywczasować, bo już kości nie czuję, a jeszcze Ostrów nas czeka. Ale tak myślę, że jutro spokój będzie, póki wojewodą nie dociągnie, tedy i miasto sobie obejrzysz, i tego ciemięgi Kózki poszukasz.

Radocha chętnie jadłby jeszcze, ale walczył juj

ze snem, a napitek rozkleił go do reszty. Gdy niewiasty posiały legowiska, ledwie cięży zdjęć zdołał, uwalił się i nie wiedział nawet, kiedy usnął. Wszędzie już zresztą zapanował spokój, tylko odgłos kroków straży po Opustoszałych ulicach niacił chwilami nocną ciszę.

Na Tumskim Ostrowie panował natomiast zamęt i gwar, a blaski ognisk i pochodni, przy których świetle mieszczanie czynili ostatnie przygotowania do obrony, łuną stały nad wyspą. Niebo, które zraaęc prószyc zaczynało śniegiem, wyczyściło się i mróz przybierał. Helt kazał przeto rąbać lód przy brzegach* by dostęp na Ostrów utrudnić, Przemko pilnował robót na murach i wałach, ale mimo że zatrudniali przy tym znaczną liczbę ludzi, nawet dla reszty nie stało miejsca w kapitulnych zabudowaniach. Kazał przeto otworzyć kościoły, katedry nie wyłączając," i spierał się właśnie o to z prepozytem Janem, gdy nadbiegł kleryk, wzywając wójta do biskupa.

Przemko wiedział, po co wzywa go Andrzej Zaremba: będzie żądał opuszczenia kapitulnego obejścia. Ale mury i grube ściany budynków, Zdolne opierać, się nawet machinom, były ostatnią nadzieją wójta, że tu doczeka się odsieczy. Nawet nie myślał, by uczynić zadość żądaniu biskupa, a jedynie — jak wyzyskać nieprzyjaźń Andrzeja Zaremby z, wpjcwodą Dobrpgostem. Toteż gdy zgryźliwy i rozdrażniony starzec obsypał go wyrzutami i zarzutami, Przemko słuchaj w milczeniu, z pokornie pochyloną głową. Gdy biskup, zasapany, skończył, wójt odezwał *sią* układnie:

— Anibym śmiał woli Waszej Przewielebności się. przeciwie, gdybym znalazł inne wyjście. Ale Choćbym i swoją głowę chciał dać, nie posłuchną inni^ co się tu przed pogańską srogością uroszczyciela schronili, nadzieję żywiąc, że wojewoda Dpbrogost, choć bez-

bożny i wam nieprzychylny, świętość miejsca i egzempcję kościelnych zabudowań uszanuje.

— Dobrogost jeno rad będzie pozór naleźć, by mi szkodę bezkarnie wyrządzić — odpowiedział biskup — skoro ksiązę Włodzisław nijak za uroszcycielą uchodzić nie może, gdy go rycerstwo panem obrało i jam go uznał, a nawet i wy sami...

~ — — Co mi było czynić, gdy prawowici panowie pomocy nijakiej nie dawali. Ale ninie, gdy jeno patrzeć, jak ich wojska tu będą, im powinienem zaprzysiężoną wierność.

• — Nikt im wierności riie powinien, skoro pod moją, i arcybiskupa klątwą pozostają — rzucił Andrzej gniewnie.

Wójt nie dał za wygraną: 1 — Wybaczcie, przewielebny panie — ciągnął — ale sam pomnę, jak Łokieć był tu już panem. To samo rycerstwo, co go dziś siłą wprowadza, ze stolca go zegnało, a wyście klątwą obłożyli, o której nie słyshałem, by zdjęta została.

Biskup, zmieszany, chciał przerwać, ale Przemko Ciągnął:

— Żaden to pan, co nim kręcić można jak kurkiem na wieży. Nam potrzeba ładu i bezpieczeństwa, a zapewnić je może silny jeno, którego samowola rycerstwa wynosić i strącać nie wydoli...

— To juści nie głógowscy książeta — wtrącił biskup, ale wójt trwał przy swoim:

— Za nimi Jan Luksemburski stoi, który do tego królestwa prawo ma, uznane przez cesarza. Ale nie pora o tym mówić, gdy nam nóż do gardła lubo powróż db szyi przykładają. Gdy nawet łotrykowi w kościele azylum służy, nam, dobrodziejom waszym, go odmawiacie? Dawnoż samiście w tejże katedrze ołtarz świętego Tomasza, Szymona i Judy przez rodzicieli moich i braci fundowany poświęcili? A ninie schronienia nam w niej odmawiacie?

Biskup stropił się, a Przemko widząc, że utrafił, ciągnął:

— Ostrów wasza stolica, nie książęca, i nie Dobrogostowi do niego.

— Ninie tak gadacie — wtrącił biskup gniewnie — a wyście to słuchali, gdym się przeciwiał, by tu do obrony robić przygotowania?

— Gdybym tego nie uczynił, jeno dla zuchwalców zachęta byłaby do zajęcia, przez co i miastu by zagrozili. Kto *mógł* jednak przewidzieć, że tak sprawy pójdą, i ninie ostatnie to dla nas schronienie. Na wasz rozum i sumienie zdaję, co nam poczynać. * .>

Gdy biskup kręcił się nie wiedząc, co rzec, **Wójt** podjął:

— Ślijcie do wojewody, niech porękę da, jako kościelną własność uszanuje. Nie będzie walki, nie **bęJ** dzie szkody. Nie nadejdzie odsiecz, wola Boża. A nadejdzie, wojewoda i z Poznania ustąpić będzie zmuszony, a i wam łącniej się będzie uładzić z książętami...

— Poręki wojewoda nie **da**, póki **wy tu siedzi-** cie — odrzekł biskup niepewnie. *

Wójt ręce rozłożył:

— Tedy jedno ostało — powiedział — **niechaj nanj** bezpieczne wyjście ze wszystkim, co **mamy**, poręczy. Nie zgodzi się i na to, jawne już będzie, że jeno pozor mu trzeba, by swej nienawiści ku **wam** dał **fol-**

— Tak uczynię — rzekł biskup z nagłą stanowczością. — Klątwą zagrozę i odpowiedzialnym, **uczynię** za wszystkie szkody, jakie by w kościelnym mieniu powstały.

Przemko rzucił się rękę biskupa całować, **mówiAć:**

— Tegom się po waszej wspaniałomyślności **spal-** dziewał i gdyby się odmieniło, dobrodziejstwa **hie** zapomnę.

Odszedł zadowolony z siebie, a biskup, choć **rtoc** była późna, wołać kazał magistra Piotra, by pisjho wygotował do wojewody, które kanonicy Jaško i 'To* misław bez zwłoki mieli powieźć.

XII

Posłańcy biskupa, wyruszywszy przed świtem, zastali wojewodę w Swarzędzu. Mając już wiadomości O wypadkach w Poznaniu, ciągnął pospiesznie, chcąc sprawy dokończyć, i zatrzymał się po drodze, by wojskom dać spocząć i pożywić się przed walką. Gdy kanonicy oznajmili się, z czym przybywają, pergaminiem sobie odczytać kazał. Twarz mu poczerwieniała, a żyły wystąpiły na czoło. Zrazu nie rzekł nic, tylko wzięwszy pismo z rąk Tomisława, długo miał je w szerokiej dłoni. Opanowawszy gniew, powiedział: — Starczyłoby to za odpowiedź, gdy pisać nie pora. Ale rzeknijcie biskupowi, niech sam zdrajców z kościelnej ziemi wyściga, to i palca na nią nie zakrzywię. A nie wydoli czy nie zechce on, to wydolę ja, a wtedy moja sprawa, jako tę wojnę prowadzić.

— Wždy pasterz pisze, że nijakiego oporu nie będzie, jeśli wyjdzie Przemkowi i jego ludziom poręczycie — odparł Tomisław.

— Jaką karę buntownicy ponieść mają, o tym pan Sianowie będzie, któremu ich odeślę — odparł wojewoda. — Gdybym zaś ich wypuścił, słusznie mógłby mniemać, że jak czcigodny biskup na dwóch stołkach siedzę. Niechże baczy, by między oba nie usiadł, a o klątwę zasie, którą jeno z nienawiści ku mnie grozi, tyle ja dbam, co on o moją.

— Zważcie, dostojny wojewodo — wtrącił kanonik Jaśko — że wójt wbrew woli kapituły Ostrów zajął, tedy niesłuszne są wasze zarzuty.

•— Wolno było jemu, wolno i mnie — odpalił Dobrogost gniewnie. — Szukajcie głupich między sobą. Jeno przestrzegam: wojna nie przebiera. Kto żywota chce być pewien, niechaj z Ostrowu uchodzi, a skoro, bo jeno wojska pożywią, ruszamy. Choćbym tam rodzzonego zastał, nie oszczędzę. Dość gadania — uciał. — Tu nie jarmark, by się tarzyć.

Dobrogost wiedział, że mieszczanie liczą na odsiecz, dlatego czasu nie tracił. Jeszcze tegoż wieczora, przrzucając kładki po wątlym lodzie, pchnął piesze wojska, które po krótkiej walce zajęły najsłabiej obwarowaną południową część Ostrowu. Nocą przeprowił machiny i od rana tłuc począł mury i ściany kapitulnego obejścia, gdy jednocześnie Przedpełk ha opalonych kikutach tumskiego mostu położył dranicę i uderzył od strony miasta.

Przemko bronił się rozpaczliwie, już bez nadziei doczekania posiłków. Jakoż wieczorem drugiego dnia wojska wielkopolskie złamały opór i wtargnęły w obejście przy znacznych stratach po obu stronach, a nawet wśród członków kapituły, **których** przywaliły gruzy budynku, między nimi archidiacona Mikołaja Nałęcza z Szamotuł. Przemko z niedobitkami schronił się w katedrze, którą dotychczas **oszczędziła** walka. Zatarasował bramę sprzętem **kościelnym i Ju***. dził się nadzieją, że biskup zdoła jednak **wymóc na** wojewodzie, by świątyni oszczędził. "....! -/...

Jakoż Andrzej Zaremba własną osobą **udał się do**, Dobrogosta, domagając się groźnie, by katedry poniechał. Ale jeno rozjuszył wojewodę, który **zaklął &lc>** że nie odstąpi, póki bodaj jeden człowiek **opór stawi*** choćby z katedry jeno sterta gruzów miała **pozostać**.

Zdało się, że na tym się skończy, bo katedra **fur<lo->**wana na podmokłym i ze wszystkich stron podmywanym gruncie i bez tego często wymagała poprawek i umocnień. Teraz tłuczone zewsząd mury rysować się począły, grożąc zawaleniem, a od wstępującej wewnątrz kurzawy oddychać nie było można w jej wnętrzu.

Przemko, pomny straszliwej kary, jaka spotkała buntowników w Krakowie, dałby się raczej w gruzach pogrzebać, niż pojmać. Ale nie słuchał go już nikt. Reszta obrońców co rychlej odwaliła zatarasowane wejście, przez które tłum rycerstwa i pachołków wtargnął do świątyni.

Kasztelan Przedpełk zdołał zapobiec rzezi w Domu Bożym, związanych jeńców odesłał do lochów miejskich, po czym szybko kazał świątynię opróżnić, bo wciąż jeszcze sypał się tynk i gruz, tak że wątpliwe było, czy budowla da się ocalić.

Biskup jednak tak się zawziął, że nie bacząc nawet na niebezpieczeństwo, ledwo uprzątnięty, znieważony kościół na nowo poświęcił i pierwsze, co w nim uczynił, to klątwę ogłosił nie jeno na Dobrogosta, ale i jego syna oraz syna kaliskiego wojewody, Alberta •■ Krosna, póki by szkód i strat nie wynagrodzili. Wojewoda zaś zaklął się, że choćby go w nie poświęconej ziemi pochować mieli, ni jednego grosza nie zapłaci. Wzajemna zaciętość na nowo rozplomieniła starą nienawiść między rodami Zarembów i Nałęczów, powodując rozdzielenie wśród wielkopolskiego rycerstwa, a nawet w samej kapitule. Miast dziękczynnych nabożeństw po kościołach ogłaszano klątwę, a zwycięskie wojska miast radości opanowały spory i niechęci.

Dobrogost wołał, by kto niepewny, odszedł. Wiedział zaś, że jeno na rozdanie nagród i podział łupów czekają, zasięgnąwszy tedy wiadomości o tych, co się w walce odznaczyli lub inne zasługi oddali, zwołał zebranie w Rynku. Tam na podwyższeniu, przy wejściu do ratusza czekał, aż się zgromadzą i gwar się uspokoi.

Kasztelanie Henryk z Radoehą stali na przedzie, pewni, że wojewoda ich pierwszych wywoła, skoro nikomu nie było tajne, że oni pierwsi wtargnęli do miasta, które dzięki nim bez wielkich strat w jednym dniu zostało zajęte.

Zdziwili się nieco, gdy wojewoda rozpoczął od

pochwały łądzkiego kasztelana, który nadszedłszy z Przedpełkiem, na czele swych ludzi wdarł się do klasztoru, zabezpieczając dostęp do miasta. Sądźli zrazu, że wojewoda pierwszego wymienił kasztelana, jako wyższego od nich dostojęństwem. Gdy jednak mówił dalej, o nich nie wspominając, Henrykowi broda drgać zaczęła od hamowanego śmiechu. Radosze zaś oczy uczyniły się okrągłe ze zdumienia. Gębę mi-, mo woli rozdziawił, aż wąsy opadły, gdy słuchał:

— Zasługę zasię kasztelana Łaszczą -y,ciągnął w©* jewocla — dzieli ścierciałka Kózka. Onże przemysłnie i w porę mur wylał, dzięki czemu bez straty posiłki wejść mogły, nie jeno zdobywając miasto, ale Oćf zguby ratując ludzi kasztelanic Henryka Pałuka, na jaką ich niepotrzebnie przez niekarnóć i swawolę naraził. " -'■■■■'

Henryk nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem, który — nie wiadomo czemu — udzielił się podpitemu przeważnie rycerstwu. Wojewoda spojrział gniewnie na Henryka, ale nie mógł mówić/ bo gwar się wszczął. Dalej stojący dopytywali się o przyczynę śmiechu, radzi wziąć udział w weselości. Radocha zamknął wreszcie gębę, podkreślił wąsa i wysunął się z szeregu przed wojewodę. Stojący w przedzie zaczęli innych uciszać, zaciekawieni, co powie, Niski głos jego docierał do każdego zakątka:

— Anibym się trudził gęby rozewrzeć, gdybyście rycerza Henryka przychwalili, że miast jak głupi w łożach stać, z garścią ludzi naskoczył i rękę na mieście położył. Kto sam nie wie, co działać, jeno rozkazu się trzymie, choćby i głupiego, niech się do wojny nie bierze...

Wojewoda chciał przerwać, ale Radocha ciągnął:

— Kie go za to ganicie, -muszę wszelako rzec, zem ja winowaty, bom mu doradził uderzać, póki nikt nie pomiarkuje, żeśmy nadešli. Jeno się nie dziwujcie jego śmiechowi, bo on wie, jako Kózka z mojegorożkazania, a swojego strachu mur wybijał. Oslawię go wam, kie się nadał, bom go jeno bez to na wyprawę

wziął, zem księżęciu z nadania służbę dwóch jezdnych w blachy powinien, a nie było ich na kim powiesić. Słowom Radochy zawtórował śmiech, ale wojewoda przerwał oschle donośnym głosem:

— Juści widne, że zawiść przez was mówi. Kto rycerza Henryka podmówił, by rozkazu nie słuchał, wiem. Ale on ze szlchetnego rodu pochodząc, pamiętać winien, że słuchać ma swojego wojewody, nie zaś zbójcekiej dorady człeka, na którego szczycie farba jeszcze nie obeschła, tedy nie dziw, że nie wie, jako się rycerskim obyczajem wojuje.

Radocha sięgnął do miecza, ale Henryk uchwycił go za rękę, a skłoniwszy się drwiąco przed Dobrogostem, wygarnął:

— Zaszczyt to dla mnie, że o mnie gadać raczycie, chociaż i źle, a szczęście, że na moim Toporze taka sucha farba, jako na waszej Nałęczee, jeśli nie suchsza. Jeno że u mnie na szczycie czerwone pole od wrażej krwi, u was zasię od królewskiej, coście ją za brandenburskie pieniądze z pana swego wytoczyli.

Czerwona z gniewu twarz wojewody uczyniła się szara, a w tłumie rozległy się głośnie pomruki, ale Henryk stał z drwiącym uśmiechem i ciągnął, coraz podnosząc głos:

— Kto chce kłam zadać temu, co rzekłem, na sąd boży go pozywam. A jeśli strach was oblatuje i przemocą mi gębę zamknąć zamysłacie, baczcie, że i moich swojaków i pociotków tu nie brak. Wyrznijmyż się wzajem, niechaj i mieszczański mają uciechę.

To rzekłszy, dobył miecza, a Radocha uczynił to samo i patrzyli na miotających się, Radocha groźnie, a Henryk ze zjadliwą drwiną. Ale widać już było, że nie mówił na wiatr i jeden cios rozpętać może bijatykę, która nie wiadomo na czym się skończy. Starsi i rozsądniejsi skoczyli tedy uspokajając rwących się już do siebie przeciwników. Henryk przeczekał chwilę, po czym schował miecz do pochwy, skłonił się z przesadną uniżonością wojewodzie i ujawszy Radochę pod rękę, odszedł.

Świt następnego dnia zastał ich już na drodze powrotnej ku Gnieznu. Nie oni jedni wracali, niemal połowa wojska rozlazła się. Spory i zawiści między rodami zaogniły się na nowo, gdy jeno skończyła się walka, wojewoda zaś nie wstrzymywał odchodzących, bo wolał, by pozostali jeno ci, których był pewny. Mróz się zresztą wziął dokuczliwy, obozem stać nie było można, a trzymanie niesfornych gromad po gospodach w mieście ciągłych skarg było przyczyną. Zostawiwszy tedy silną załogę pod Przedpołkiem, wojewoda zabrał resztę wojsk i pociągnął do Wągrowca.

Henryk jechał rad z siebie jak zawsze, Radocha natomiast wbrew zwyczajowi małomówny był i chmurny, choć wóz jego aż się ugiął pod bogatym łupem. Kasztelanie zagadnął raz i drugi, a doczekawszy się jeno mruknięcia w odpowiedzi, zapytał:

— Modlitwy odmawiacie zali żywot was boH z przeżarcia? A może serce o te parę grzywieia, cio wam je wojewoda dać omieszkał z tego, co Z miasta wycisnęli? Wżdy i bez nich opłaciła się wam wyprawa.

Radocha ręką machnął i odparł:

— Niechaj się Kózka nimi wzbogaci. Ale w pysku mi cierpko, jakbym się nieżrzałych jagód obżarł ipo wąpiach mi kreci.

Henryk sam był dosyć bystry, by pomiarkować, co ubodło Radochę. Chcąc go rozruszać, powiedział:

— Tak ono już jest, że się każdy rad nad drugiego wynosi: chłop nad niewolnego, rycerz nad chłopą, wielmoże nad rycerstwo. By choć między sobą za równych się mieli, i to nie. Baczyliście, jako Zaremby rade były, zem sobie Nałęczką gębę wytarł? Mniemają może, że ich czarnego lewka, co do kundla radziej podobny, albo ów murek z trzema kamieniami, co <go noszą na szczycie, w większym mam poważaniu! Może i farba na nim obeschła, ale suchy to on nie jest, bo po co by kundel pod nim stał?

Radocha mimo woli roześmiał się, a Henryk ciągnął:

— Rodzic mój mniema, jako największe rody są tój które Topór noszą na szczycie, czyli Pałuki a Starze. Oni rzekomo książętami mieli być u Wiślan, my zasię w Krainie. Jak po prawdzie było. nikt nie wie, tedy i gadać można, co się uwidzi. Tyle pewne, żeśmy jakoby dziedzicznymi kasztelanami w Nakle, ale co to dziś kasztelan! Byle rycerz immunitet ma i nic kasztelanowi do niego, albo i mieszczuch, co się wzbogaci na handlu i rycerską włość kupi. Alem ja rad, że równych nam rodzic nie widzi.

— Czemu zaś? — zapytał Radocha, ale spochmurniał znowu.

— Bo mi żony naleźć nie może — zaśmiał się Henryk — a chciałby, bo brat Maciej na biskupa się kieruje, tedy potomstwa nie ostawi, chyba z lewej ręki. Jest dziewczka u Toporczyków w Szubinie, prawie się rodzicowi zdała, bo i ziemie graniczą. Wykręcą się, jak mogę, nawet kopce w moim Rynarzewie poprzesypywałem, by się spór wszczął, ale oni **nic**. Widno też by radzi. — Henryk westchnął ciężko.

— O nią to ja uderzyć zamyślałem — rzekł Radocha w-zad umie.

Henryk aż wstał w siodło: . i-r Doskonale! Ja wam będę swatem. Ani chybi pozremy się z nimi wtedy, bo za obelgę mieć będą, że miast sam o nią uderzyć, nieznanego człeka im swatam. I na was też cięci będą. Macie wy do wielmożów szczęśliwą rękę.

Zaśmiał się, ale Radocha aż skreślił się ze **złości**:

— Cóż do biesa! Zalim ja swego ciołka kupił, **lubo** za zasługi dostał własne, nie jakowychś przodków, co **ich** każdy ma, bo juści na drzewie nie urósł.

— Prawiście — odparł Henryk widząc, że dotknął Radochę. — Ja **też** zgoła **nie** baczę, co kto ma na szczycie, jeno co mąż ma w rękę a we **łbie**, zasię dziewczka pod kiecką.

Nijak się było gniewać na lekkoducha, **ale** Badocha osowił. Znowu go na **kpiny** swatać chcą **jak** Buzdiwoj z Kundzią. A wracać się nie chce do gródka,

gazie go nikt nie czeka. Żeby choć Pizło! Na myśl
o nim Radocha zaklął szpetnie. Henryk popatrzył
zdziwiony i zapytał:

— Nie lubują wam już dziewczki? Wždy jary z was
jeszcze chłop.

— Juści, krzepy mi nie brak, jeno chęci..

— Mnie zasię radziej krzepy niż chęci. Prawdę
rzec, żal nawet było z Poznania wyjeżdzać. Ale może
i lepiej, zem się z wojewodą pociął, bobym skoro
resztę krzepy stracił. Ani się wyspać było kiedy.

— Bo ustatkowalibyście się — odparł Radocha. —
Człek nie kur, jedną chciałby mieć...

— Właśnie. Jeno coraz inną. A w Poznaniu na go-
spodzie cztery miałem naraz. Słusznie prawicie^ Że
trzeba by się ustatkować. Niech ino dojdę do waszych
lat, pewnikiem się ożenię. A tymczasem rodzic dziew-
kę najdzie, co by w sam raz dla mnie była.

Radocha nie mógł się powstrzymać od śmiechu, ale
na duszy nie było mu wesoło. Gdy pora była, żenić
się nie mógł. A teraz, gdy się ustalił i chciałby ustatk-
kować, ludzie jeno sobie z niego dworują. Zasepił, się
znowu i jechali przez jakiś czas w milczeniu. Wi-
chciał wyznać Henrykowi, co go boli. Jeno kpiłby
sobie z tego, jako to on ze wszystkiego. Henryk je-
dnak pomiarkował, że Radosze nie w smak ta rozmowa,
i zaczął z innej beczki:

— Może wy się o to markocicie, że nas Dobrbgost
przed książęciem oczerni? Wiecie co, jedźmy do Brze*
ścia. W Nakle, ni u was i tak nie ma co działać, bó
juści kupcy nie jeżdżą, skoro Poznań zajęty, a w Wiel-
kiej Polsce wojna. Dołożyliśmy ręki, dołożmy i gęby.
Niechaj książę wiedzą, że bez nas Dobrogost stałby
pod murami, zęby szczerząc albo i szczękając ninjd,
l bez tego dobrze się książęciu. przypomnieć,, z ludź-
mi obaczyć, a nawet niezbyt to nam z drogi.

— Czy aby książę są w Brześciu⁷ — wyraził Rado-
cha wątpliwość, ale widocznie się Ożywił.

— A gdzie by mógł być — odparł Henryki
Z całym dworem tam ściągnął, tedy nie jeno na zjrizd,

a to wiem, że ze Słupcy do Brześcia wrócił. Stamtąd mu do Poznania bliżej niż z Krakowa, a i 2 Litwy o wieści łatwiej, gdzie pono Krzyżakom niesporo idzie. Bez ochyby też cosi przeciw Brandenburczykom zamysła. Pewnikiem odebrać będzie chciał, co z Wielkiej Polski urwali.

— Niechby krzyżackim psubratom Pomorze raniej odebrał — mruknął Radocha, a Henryk zakrzyknął:

— Doradźcie książęciu! Tedy jedziem do niego?

— Jaclziem. Może też jakowychś znajomków spotkam, jeśli z dworem ściągnął.

— I dworki są przy księżnej — dorzucił Henryk, ale Radocha zbył go milczeniem. Kpi znowu — dziewczki z najpierwszych rodów! Krzych się w takowej właśnie rozmiłował i jeno zamieszanie z tego wyszło i zgryzota. Żeby kasztelan Jaśko miał dochodzić, co za jeden i kto go rodził, córę mu dał, i młodym lepiej by było, i Krzych Kundzi by Radosze nie zabrał.

Radoche złość zdjęła na siebie i na Pizłę. Sam nigdy nie zwykł trzymać języka za ogrodzeniem zębów i trzebaż mu wówczas było go powściągnąć po to, by wszystkim na zle wyszło. A Pizło mu doradził i nawet skłąć go nie można, bo odszedł. Może choć Kundzi wyszło na dobre? Niechaj jej szczęści!

Radocha westchnął ciężko.

Łokietek istotnie siedział w Brześciu, gdzie doszły go już wieści o zajęciu Poznania, nie tylko od wojewody, ale i od biskupa. Choć zgodnie z prawdą, ale nieprzychylnie dla Henryka przedstawił Dobrogost przebieg wypadków, Pałuka mieniąc sprawcą zamętu i rozdwojenia, które zmusiły go do poniechania dalszych wojennych poczynań. Książę wiedział, że ostra zima w drugiej połowie lutego i tak by je wstrzymała, a przyczyną zamętu są ustawiczne spory i zawiści między najmocniejszymi rodami, zasiedzającymi na swych włościach i dostojenstwach, które za

dziedziczne zwykły uważać. Że zaś Włodzisław zamierzał obsadzić urzędy nowymi, od niego jeno zależnymi ludźmi, na rękę mu nawet było, że nie ma zgody między rodami, która by się przeciw niemu obrócić mogła.

Nie większy skutek odniosła skarga Rozdrzała LeszGzyca wniesiona przez księcia Kazimierza gniewkowskiego, który zjechał do Brześcia wraz z braćmi, by sprawę podziału rządów na Kujawach ze stryjem uładzić. Łokietek nie miłował Leszczyców z Kościelca, których głowa, Florian, biskup płocki, jawnie sprzyjał Krzyżakom, a księcia Wańka judził przeciw niemu: Gdy tedy Kazimierz żalił się na zuchwalstwo i bezprawie, Łokietek odparł szorstko, że dobra po Święcach, gdziekolwiek by leżały, za swoje uważa i rozporządzać nimi będzie wedle własnej woli, zaś sprawę o gwałt rozstrzygnie, gdy sposobną porą Henryka i Radochę wysłucha. Toteż gdy dowiedział się, że obydwaj przybyli do Brześcia, kazał im stawić się bezzwłocznie.

Domyślali się, o co sprawa, i Radocha zbierał się niesporo, skrobiąc się po głowie. Henryk, któreinu spieszno było rozejrzeć się po mieście, ponagłał go wszakże:

— Skrobać się będziecie później, gdy was księżę pogłaszce. Jeno języka w gębie nie zapominać, wszystko będzie dobrze.

— Ba! Gadaliście kie z księżęciem?

— Gadać nie gadałem, ale go pomnę, gdy był u nas w Nakle. Człek jako drudzy. A po sprawiedliwości nagroda nam się należy, tedy pospieszajmy, by zaś księżę nie myśleli, że nie stoim o nią.

Szli ku Rynkowi nowego miasta, rozglądając się ciekawie. Pierwsza Łokietkowa stolica, z czasów **gdy** był małym dzielnicowym księżątkiem, dochowała mu Wiary we wszystkich przeciwnościach-i wzajem'd©-szyła się szczególną jego łaskawością, jak i **wójt brza-ski, Tyło* eb.ctó** Niemiec, ale jeden z najzaufalszych ludzi księcia. |»okietek polegał na jego, wypróbowanej

wierności i obrotności i rad się nim posługiwał, a zaszczycał dom wójta swym pobytem, ilekroć mu w Brześciu bawić przyszło. I miasto, i wójt, wzrastając w bogactwach i znaczeniu, żalić się nie mogli, by źle na wierności wyszli. Książę pamiętliwy był zarówno zła, jak i dobra.

Przed okazałym murowanym domem wójtowskim kręciło się mnóstwo ludzi, stały kolasy duchownych, pachołkowie trzymali konie rycerstwa. W obszernej, choć mrocznej sieni na wyżce też niemal tłoczno było i Henryk z Radochą, wszedłszy tam z jaskrawego światła wyiskrzonego słońcem dnia zimowego, zrazu nie rozeznawali się w tłumie. Oznajmiwszy się przy wejściu służbowemu komornikowi, rozglądali się, gdzie usiąść, w przekonaniu, że długo im czekać przyjdzie, gdy przystąpił do nich sędziwy człek i wyciągając rękę do Radochy, ozwał się:

— Urazę życie do mnie lubo nie poznajecie starych znajomków?

— Jakżeby nie — odparł Radochą. — Wždy pan koniuszy Budziwoj. Jeno że mroczno, a ujrzeć was tu nie spodziewałem się.

W sercu poczuł zamęt: lubił zyczliwego człeka, urazę iście żywił do niego, a jednocześnie wstała w nim nieprzeparta chęć, by się dowiedzieć o Kundzi. Ale zaciął się i postanowił słowem nie napomknąć. Budziwoj odparł:

— Ja zasię wiedziałem, żeście zjechali, a nawet po Có was książę wzywają.

Radochą zamierzał **zapytać**, ale w **tej chwili komornik** wywołał go wraz z kasztelanicerb **do księcia**. Budziwoj rzekł:

— Poczekam tu na was.

Radosze trochę serce trzepotało się, gdy weszli do bocznej izby i zatrzymali się przy drzwiach. Książę kończył rozmowę z kapłanem Stanisławem. Po chwili odprawił go i spojrzał na przybyłych, którzy skłonili się, czekali na jego odezwanie. Patrząc na nich przenikliwie, rzekł:

— Jako slysze, mielibyście się z czego sprawiac.

— Pozwólcie, miłościwy panie, że ja to uczynię, skoro ja dowodziłem nakielskim hufcem, a rycerz Radocha jeno mi doradzał. Tedy czy karać zechcecie, czy — jak mniemam — nagradzac, to mnie.

Książę trzepnął ręką i rzekł:

— Rzymianie mawiali, że zwycięzców się nie karze — powiedział. — Nagrodę zaś pewnikiem samfście sobie wzięli i nie o to sprawa, jeno jak owo było z Rozd rzałem?

Radocha już gębę otwierał, ale Henryk nie dał mu przyjść do słowa:

— Tu zasię ja doradziłem i takoz mniemam, że do-brze. Po co się mieli po sądach ciągnąć?

— Widzę ci, że Radocha własnej gęby nie ma — odparł książę. — A ty jakiś był niesforny i pyskаты, takiś pozostał.

Widząc zaskoczenie w spojrzeniu Henryka, książę dodał:

— Dziwujesz się, że pamiętam wyrostka, com go przed ośmiu laty raz widział? Pomniesz, wtedy, gdy stryk twój, Trojan, Nakło mi wydał, kiedym to jecz-» cze z Waclawem był w walce. A jakoże rodzic twój? Pewnikiem osiwił do reszty z takowym synem? Mię*tki jest, bo jeno płakać umiał na ciebie, miast- różgą nauczyć posłuchu.

— Bóg mu za to Maciejem nagroził, którego gdzie posadzić, tam siedzi — odparł Henryk.

Księciu wąsy zadrzały, ale zwrócił się do Radochy:

— Przedaliście Trzebiez, wasza rzecz, nie będę wglądał, jak było. Jeno nie chcę więcej slyszeć, zc rycerskich ludzi w lochu trzymacie. Wždy nie z nimi mieliście wojnę zwodzić, jeno z Krzyżaki.

Radocha chciał się odezwać, ale książę, ciągnął:

— Ninie i z nimi pokój ma być, gdy mi gdziein-dziej sił potrzeba, a groził komtur toruńskie że jeśli ja nie powściągnę ustawicznych napaści, on to uczyni.

Radocha znowu chciał coś wtrącić, ale książę mó-wił dalej:

— Pisał też komtur, że nie po chrześcijańsku zakonnych ludzi morzycie. Gdy w Kurii przeciw nim sprawa o gwałty i okrucieństwa, nie chcę im dawać dowodu do ręki, że i my nie owieczki.

Teraz Radocha osłupiał zdumiony, a księżę, widno niezbyt gniewny o krzyżackie żale, rękę mu podał łaskawie do ucałowania, biorąc zaś Henryka za ucho, rzekł:

— Widzę, żeście się dobrali jako para koni, choć nie jednej maści i wieku. Doradzajcież sŕbie jedy wzajem, jeno choć trochę statku zdałoby ci się, bo jakoże mi będzie urwipolcia kasztelanem uczynić? No, idźcie już, bo inni czekają.

Gdy wyszli, Radocha jeszcze wciąż ochłonać nie mógł ze zdziwienia, a kasztelanie zaśmiał się:

— Aleście się nagadali! Choć z tego należało się sprawić, jako was toruński komtur niewinnie oczercił, boście i nic przeciw niemu nie zdziałali. Gdy raz człeka smolą osmarują, wszystko lepi się do niego. ,'

,— Ani chybi Pizło w bebechach im paprze. Trzeba mi go odszukać, by rzec, że księżę zakazali — • mrukną! Radocha.

W duszy cieszył się, że znalazł pozór, by to uczynić, nie przyznając nawet przed sobą, że mu Pizły brak jak ręki. Tak miał tym myśl zaprzątniętą, że byłby zapomniiał o czekającym Budziwoju, gdyby ort sam przy wyjściu nie ujął go pod ramię:

— Długo nie trwało.- Księżę bardzo zajęty i dużo gadać nie lubi. Jenom się lękał, że wyście mowni.

— Gdzie zaś. Anim pary z gęby nie puścił. Rycerz Henryk za mnie gadał — odparł Radocha* wskazując na kasztelanica. — A żeby nie on, tobym zgoła gadać zahaczył, bo i nie ma do kogo.

— Rad się z wami poznaj omie — rzekł koniuszy ściskając prawicę Henryka. — Tedy pójǳcie do mnie, to sobie przy miodzie gadać przypomnicie.

Henryk jednak układnie wykręcił się mówiąc, że czekają go pilne sprawy. Stary, przymrużywszy oko, zaśmiał się:

— Juści, jeszcze pomnę, jakie to sprawy w \va_ szych lecjach najpilniejsze.

Gdy Henryk oddalił się, Radocha powiedział:

— Ale się na ludziach znacie! Jam też nie był o_j tego, ale ani pojąć, jakowy z niego podwikarz.

— Mnie się też zdało, że ludzi znam — odparł ^ui dziwoj, ale jakoś markotnie. — Pójdźcie, to i o tynj, pogadamy.

Nie było daleko, bo dworzanie i urzędnicy stali „o, spodą w sąsiednich budynkach. Gdy usiedli i pac^g. łek, postawiwszy poczęstunek, wyszedł, Budziwoj przypił do Radochy:

— Prawcie o sobie. Blisko dwa gody ni wieści o_j was. Mniemałem, że na weselisko poprosicie.

Radocha dał upust goryczy:

— Jaceście mnie swatali, takem się i **obabil**.

Budziwoj nic nie odrzekł i oczy wbił w podłogę

Radocha pożałował szorstkiej odpowiedzi, widząc wyraz zafrasowania na postarzałej twarzy koniuszego ongiś tchnącej beztroską pogodą. By załagodzić odezwanie, dorzucił:

- Co tam! Napijmy się. Niełacno człeku żywot odmienić, kiedy mu czterdzieści godów minęło.

— A trudniej jeszcze, gdy siedemdziesiąt - rzekł Budziwoj.

Wypili i siedzieli w milczeniu, Budziwoj zatroska. ny, Radocha zły na samego siebie, że wbrew postanowieniu od pierwszego słowa rozmowę skierował na Kundzię. Teraz już trudno było mówić o czymś innym. Zresztą Budziwoj sam nawiązał do odezwania Radochy:

— Nie wiem, załiby wiele pomogło, gdybym was iście swatał, bo Kundzia z takich, co raz jeno miłują Ale prawiście, żem i nie chciał. Mniemałem, że wam na samym ożenku zależy...

— I ja tak mniemałem — mruknął **Radocha**.

— Widzicie! A Kundzia od dziecka **Krzycha umi-**

Koniuszy przerwał i zadumał się, po czym **podjął**

— Cały żywot samotny byłem i jakoś się żyło, póki się było czym z innymi dzielić. Ale starość braci potrzebuje, a dać nie ma co. Tedy sobie umyślił odmienić i przy nich dokonać żywota. Starość zawady smutna jest, a już samotna... — machnął ręką,

— A przy mnie tobyście nie mogli?

Ale Budziwoj szedł za swoją myślą, ciągnąc:

— Z górą pół wieku, a dobrze pomnę, jako człeku na sercu jest, gdy nie dostanie tego, co umiłuje. A lubo choć patrzeć na cudze szczęście, gdy się własnego nie ma.

— Tedy czemuż nie siedzicie z nimi? Dłużni wam ebsz oboje. Żebyście mnie z Kundzią zaswatali, tobym wedle was jak wedle rodzica chodził. Oni też nie mają o kogo zadbać i Kundzia was lubiła.

Koniuszy nie patrzył na Radochę, zadumany. Po chwili rzekł jak do siebie:

— Lubiła. Więcej — ufała, bom stary i doświadczony. I mnie się zdało, że iście ludzi znam i życie. Siebie człek nie zna, cóż dopiero drugiego — urwał z goryczą i zamilkł.

; Gdy wychylili kubki, zapytał:

•— O Krzychu mówicie?

— O nim. Zdało mi się, że już co było - zabaczył. Widno i jemu się zdało, a źle człeku, gdy jako liść na wietrze miejsca swego nigdzie nie ma. Do Kundzi zwykł wracać, gdy go życie przycisnęło, myślał widno, jże się zaczepi...

Radocha słuchał, chmurny i zamyślony, a Budziwoj ciągnął:

— Ale to jeno jak na pajęczej nitce. Jej życie związał, a sobie... Pijmy!

— Tak prawicie, że nic nie pojmuję — wtrącił Radocha.

Ale Budziwoj, miast wyjaśnić, oiftnął:

— Kundzia, choć dziecko prawie, siebie przynajmniej znała. Wiedziała, że przejrzysta jest jak ona gomółka, szklana w kościele, *tite* wydoli żyć w *M&*-

szczerości. Jeno on siebie nie znał. Gdy zmarła owa Terka, co go chowała, rzekł mi, że nie chce wiedzieć nic. A nieprawda była...

Teraz Radocha pojał, o czym mówi koniuszy. Żal mu się uczyniło i starego, i Krzycha, i siebie; a najbardziej Kundzi! Ale co pomoże gadać, skoro już za późno. By coś rzec, zapytał:

— Cóżé ninie Krzych działa?

— Nic. I to najgorsze. Chłopu dopiero trzeci dziesiątek lat idzie, życie w nim jeno kipi. Nie takiemu siedzieć beczynnje i dumać. A ksiązę ni urzędú mii nie dali, ni nawet na wyprawy nie wołają. Łokiet ■pamiętny jest i nieufny. Może mu pomni ono przenieś wierstwo, gdy to Muskatę chciał z lochu wydriseć. Gadałem o tym z kasztelanem Jaśkiem Leliwą, zbył mnie. Też widno Krzychowi nie ufa. PrąWda, że Krzych milczek jest a wicher, a taki nie wiada nigdy, co uczyni. I chłop z takową ręką, a nawet doświadczeniem, miast się zasługiwać — duma albo włóczy się po lesie, nawet bez psa, najczęściej z pachółkiem Unikiem, co to z wami w onej bitwie był z -Krzyżaki. Jeśli gada, to o tym. Nie młodości wspomnieniami żyć. Wy byście go do swojej roboty wciągnęli. Czas swoje robi, na wojnie dumać nie pora, a człek zawždy, chce tego, czego nie ma. Zateśkni, to i rad do Kundzi wróci, jako i raniej wracał.

Radocha ze złością pomyślał, że nie jego. sprana Krzycha do Kundzi popychać, ale zawstydził się i odparł jeno:

— Ninie ksiązę dzieło z Krzyżaki wstrzymał* kazali, a i wyjechać nie mogę, bo mi raniej Pizłę; odszukać trzeba.

~-Właśnie o niego pytać chciałem. Gdaiee się obraca?

— Sam nie wiem. Zbiesił się biedroń I na swoją rękę póno/z Krzyżaki po swojemu sobie poczyfta jako łasica w kurniku.

— Dobrze jest wiedzieć, czego się chce —i wes-tchnął Budziwoj. — Zbiesił się, powiadacie, o co?

— Żem sobie żywot chciał odmienić, skórom się pasa i majątności dorobił. Głupi chłop! Cóż, żem chciał, kie nie mogę.

— Jeszcze się ożenicie — wtrącił koniuszy. Ale Radocha odpalił:

— Nie ożenię się. Prawda, że nieraz, gdy widzę, jak dzieciśka psocą, chciałoby się swoje mieć. Własne się dzieciństwo przypomni. Ale kiedym niedawno napomknął kasztelanowi Pałukowi, że bym rad uderzyć o rękę córę panów z Szubina, też mnie na drzwi swatać chciał, by Toporczyków pozłościć. Po co sobie mają ludzie dworować ze mnie?

Budziwoj wiedział, że Toporczycy nie dlatego córę by Radosze nie dali, że już niemłody, jeno że stare rody gardzą nowymi ludźmi i jeśli się nawet z nimi łączą, to z bogatym mieszczaństwem dla pieniędzy. Odparł tedy:

— Co się zarzekacie? Trafi się białka, co wam po sercu będzie, to się ożenicie, a inaczej nie warto.

— Taka mi się jedna tylko trafiła — mruknął Radocha.

Widząc, że Radocha znowu wraca do swego, Budziwoj przeciął:

— Ninie spokój będzie do wiosny. Odszukajcież tedy druha i razem zjeżdżajcie ku nam. Kundzia też **radń** was ujrzy, bo lubiła was i nieraz wspomina.

■ ' • ■ — Ona i kota lubiła — odparł Radocha szorstko, **fey** nie okazać wzruszenia. — Może i przyjadę, jeno |*izłę.odszukam, bo ktoś ci na gródku ostać musi. Rad bym i was u siebie ugościł, choć nie bardzo jest czym, bo **taka** to i u mnie gospodarka zbójecka.

— Ja tam do wygód nienawykły, bo nie ma komu dbać o mnie. Może i Krzycha wyciągnąć się uda.

w Rad bym z nim społem jeszcze powojował. Dobrze nam szło. Tedy żegnajcie. Myślę, że nie na **dhico**.

Radocha wracał do swego gródka z postanowieniem odszukania Pizły, by zleciwszy mu pieczę nad Racloszynem, co rychlej ruszyć do Krakowa, póki ni wojaczka, ni gospodarka nie wymagają jego ręki, a drogi nie rozmiękną. W Łabiszynie pożegnali się z Henrykiem, obiecując sobie stosowną porą zająć się znów Krzyżakami.

Tymczasem trzeba było poniechać nie tylko tych zamierzeń. Zima, miast ustępować w miarę jak dni stawały się dłuższe, teraz dopiero zaczęła się srożyć. Wichry z północy niosły zawieje, w których światła widać nie było, zasy zaległy wszystkie drogi i ścieżki, wszelki ruch ustał. Gdy chwilami niebo przecierało się światłem błękitnym, na której oko nie znajdowało spoczynku. Mróz skuł wszystkie wody, riał wietrzyki oparzelisk zniknęły pod zwałami śniegu. Oblodzone drzewa łamały się pod okiścią, pękały z hukami od przeraźliwego mrozu, płuca kłuły lodowe igielki, nie pozwalając zaczerpnąć oddechu. Ptactwo garnęło się do ludzkich siedzib, ginąc tysiącami, wilki zbijały się w stada, które z zuchwałstwem rozpaczy w biały dzień nieraz wdzierały się do Wsi. Nie sposób było się ruszyć, bodaj na łowy czy do pracy.

Na gródku umilkł gwar gwarzących się niewiast, i swawołących dzieci. Chłopi z rodzinami przenieśli się już do Nowej Trzebieży, pozostały dwie stare baby, wynajęte do gospodarki, przy której niewiele było roboty. Kilkunastu pacholców, obrządziwszy kowale, też zabijało czas spaniem lub grą w kości. Nawet psy nie wyłaziły ze swoich bud, chyba do żarcia. Grodek ogarniała nuda bezczynności.

Radocha po powrocie zajął się zrazu ozdabianiem swej siedziby poznańskimi łupami. Porozwieszał i porozkładał kobierce, tkaniny i poduszki, porozstawiał naczynia i sprzęty i samotnie siedział wśród tych wszystkich świetności, wpatrzony w płomień na kominie, podtrzymując go prawie ustawicznie, Nigdy nie miał tyle czasu, co ninie, na wspominki i rozmy-

wa -

siania, dziwiąc się, jak mu zobojeźniały wszystkie za*
mierzenia, którymi żył dotąd. Gdyby miał dom, roi;
dzinę, warto by było zabiegać o każdy kołek w pło*
cie, o powróżek czy rzemień, warto by się przyprzeć¹
do ziemi, która — wdzięczniejsza niż ludzie — za wło-
żony trud płaci sytością i ciepłem. Teraz Radocha
uświadamiał sobie, że tęsknił za ziemią, bo z nią w pa-
mięci jego wiązało się wszystko, do czego przylgnęło
jego serce, zanim stwardniało w życiu, którego każdy
d2leń grozą okrutnej śmierci wypierał wszelką myśl
ó przeszłości i nie pozwalał jej wracać do tego, co
minęło: do rodzica, który został w pamięci jako mo-
carz z bajki, do malej siostrzyczki, której wyglądu
już nie mógł sobie Radocha przypomnieć, bo w ko-
lebecie była, gdy ją ubili Krzyżacy, do pochylonej nad
dzieckiem macierzy, hożej i rostej, pogodnej jak, słoń-
ko niewiasty, jako ono roztaczającej wokoło ciepło,
dbałej o wszystko, co żyje.

Teraz Radocha uprzytomnił sobie, co go ciągnęło
do Kundzi: przypominała mu macierz, nie z urody,
jeno że i przy niej ogrzać się mógł każdy, komu zi-
mny był świat. Głupi Krzych, czego mu trzeba więcej
niż domu własnego, którego nigdy nie miał przed-
tem, i niewiasty, do której łąnie każdy, ona zaś do
niego jedynie, mimo wszystko, co przeciw niej za-
winił.

W Radosze zarazem podnosiła się złość prze-
ciw Krzychowi i żal mu go było. Nie on winien, że
omotały go sprawy mętne jak fala powodzi, niosąc
go gdzieś bez woli. Ale miał rękoma i zębami czepić
się choćby wierzby przybrzeżnej, kołysze się na pa-
jęcej nitce, jak prawil Budziwoj.

Ale Budziwoj prawil też, że księżę nie ufa Krzy-
chowi. Może i księciu wiadomo, że Krzych jest z Na-
lęczów, a nie brak w tym rodzie przeniwierców.
I Krzych sprzeniewierzył się, ale cóż, że niedoświad-
czony młodzik uległ chytrej niewieście? Przecież po;-
tem w⁷ walce z Krzyżakami okazał, że liczyć można
na niego. A może jeszcze coś jest w jego sprawie, co

i Radosze nie znane? Takie zdatne ręce, jak Krzycho-
we, odstawić, kiedy ich brak!

Radocha patrzył na własne, szerokie i sękaty dło-
nie. Mocne były, niejedno życie wygnały z ciała. Ale
Krzychowemu rodzicowi nie mogły sprostać. A Krzych
ubił go. Może byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby
był Mścigniew ubił Krzycha? Nikt by nie wiedział,
że to rodzic syna ubił. To by na zawsze zostało tajem-
nicą, a zniknęłyby wszystkie inne.

Radocha wzdrygnął się. Nie życzył Krzychowi zła,
nawet przywiązał się do niego. Wszystko by, zresztą
inak poszło, gdyby mu rzekł w^oim czasie, co wie-
dział. Sam był winien. Cóż że Mścigniew był Krzy-
chowi rodzicem? Służył psu brat, zasłużył na swój
los.

Radocha pomyślał, że może i on gdzieś ma syna,
o którym nie wie. Niemało niewiast przewinęło się
przez jego twarde ręce. Może kiedyś on własnego sy-
na ubije, może zginie z synowskiej ręki. Co mu ta!
Śmierć jest jedna i czeka na każdego. Ale pomyślała
że gdyby syna miał z umiłowaną niewiastą, wolałby;
też, by ten nie wiedział," że ubił rodzica.

Radocha nie nawykł do rozważania takich spjcaw'
i męczyły go. Toteż gdy pod koniec marca, choć mróz
trzymał nad podziw, ustały zawieje i szlaki się prze-
tarły, jakby ożył zbierając .się do drogi. Słońce, przy-
piekając południową porą, topiło powierzchnię, śnie-
gów, osiadających pod ciężarem wilgoci, nocami Zaś
ściskał ją mróz, tworząc grubą skorupę, po której
i koń przeszedłby, tak że nawet bezdrożami poruszać
się było można.

Poniechał rozmyślań, które do niczego nie wiodły,
a myśleć zaczął o Piźle. Był całkiem pewny, że niech
go jeno odnajdzie, druh bez gadania wróci. Zresztą
powie mu, iż żenić się już nie, zamierza ni odmieniać
żywota. Po namyśle spakował nawet kobierce i Umf'
ozdoby. Piźło stawiał gródek z myślą o pomście; niech-
że, go takim najdzie, jakim porzucił. ;

Teraz Radocha spieszył się, póki ,raróz trzema.

Gdyby puścił, drogi staną się przepadliste, a gdy podeschną, trudniej będzie Pizłę odnaleźć, bo zacznie się ruszać. Teraz pewnikiem ulgnął gdzieś w borach nad Wisłą, gdzie z dawna nie brakło im znajomków wśród bartników, Smolarzy i rybitwów. Z nimi to, ani chybi, zalewał sadła za skórę toruńskiemu komtur-owi, i któryś z nich wskaże, gdzie Pizły szukać.

Radocha zabrał ze sobą jedynie pachołka Rzepkę, który się zdatny i obrotny okazał w poznańskiej wyprawie. Większej kupie trudniej się przemykać niepostrzeżenie, na granicy zaś kujawsko-pomorskiej spokój jeszcze panować winien. Kujawscy zresztą księżęta baczą, by nie zadzierać z Krzyżakami, tyle że i przed nimi strzec się trzeba, skoro się im Radocha naraził, a i Leszczyce radzi by go dostali w swoje ręce. Trzeba unikać ludzi, póki się do znajomków nie przebierze, choć mroźne noce nie zachęcały do noclegów w lesie pod zbitym naprędce szałasem.

Wyruszywszy o pogodnym świcie z Rzepką, koło południa ominąwszy Bydgoszcz, ciągnęli w kierunku Solca. Za dnia w kozuchach zgrzali się nawet, ale pod wieczór wiatr ruszył ze wschodu, przenikliwy i mroźny, wcześniej więc stanęli na nocleg, wyszukawszy głęboki wykrot, który i koniom dawał schronienie. Spędziwszy byle jak noc, gdy jeno wczesny świt zabarwił niebo, radzi znaleźli się w siodłach, bo szybki ruch rozgrzewał zdrętwiałe członki. Radocha zmierzał do dawnej Krzychowej siedziby, nad Tonczyną. Jeśli nie spalili jej Krzyżacy, zapewne stoi pusta i tam najlepiej byłoby się zatrzymać, po kolei Objężdżając znajomych w okolicy osadników, póki na ślad Pizły nie trafi. Konie się nie zmarnują w ciepłej stajni, on zaś z pachołkiem nie będzie czasu tracił na ■: przygotowanie noclegów.

Słońce już zaszło i mróz przybierał, ale Radocha nie zatrzymywał się w znanej już okolicy, ciągnął dalej lasem. Pełny księżyc stał na niebie, gąsząc światło gwiazd, a siejąc własne przez bezlistne sklepienie gałęzi, tak że jechać można było jak w dzień.

Dotarli na wysokość gródka, skęcili na południe i wynurzyli się z boru tuż naprzeciw niego.

Gródek stał na miejscu i lśnił w księżycowym świetle śnieżnymi czapami, okrywającymi dachy budynków i Samborzy. Ostrokół nad rzeczką pochylił się gdzieś tam lub nawet zwałił, widocznie podmyty wiosennymi wodami. Zresztą nie zmieniło się nic, je- no głucha cisza panowała w gwarnej ongiś siedzibie.

Radocha rozglądał się i nachodziły go wspomnie- nia. Pod wałem, ledwo widoczne spod śniegu, leża- •kopczyki mogił towarzyszy, poległych w walce u prze- prawy pod Grabiami, a wśród nich Krzychowego ro- dzica. Niejeden legł z jego ręki, a mało brakło — sam Radocha znalazłby tu swoją mogiłę. Człek nigdy nie wie, gdzie miejsce na nią przeznaczone. Ale cóż,, gdyby i wiedział? Uniknąć go nie potrafi.

Zadumę Radochy przerwał Rzepka, który zsiadł- szy z konia, ruszył ku odległemu o kilkadziesiąt kroków przejazdowi przez rzeczkę. Ledwo widoczni była spod nawianego śniegu, znacząc swój bieg ma- *łym zagłębieniem, którego można by nawet nie Za- uważać, gdyby nie pasy zarośli po obu brzegach* W jednym miejscu była w nich przerwa, zjeżdżone brzegi rozchodziły się i tam stanął pacholek patrząc w dół, Radocha podjechał ku niemu, a Rzepka, wska- zując na bród, powiedział:

— Ktoś ci tu jechał.

Radocha zeskoczył z konia, by obejrzeć ślady.

— Stare — mruknął.'

Ująwszy konie za uzdy, przeszli zamarzniętą rzeczkę i przez otwartą na ścieżaj bramę, której opadnię- te i śniegiem na łokieć przysypane skrzydła wskazy- wały, że długo nie była zamykana, weszli w dziedzi- niec. Radocha oddał Rzepce konia, każąc mu czekać, a sam ruszył do budynków, rzucających długi cie# na lśniącą i gładką płaszczyznę podwórca. Potknął się o kopczyk, którego tu nie pamiętał. Zapewne mo- *gila Terki, bo zmarła, gdy on z Krzychem już' ptąd odjechali. Zaklął i splunął od uroku. Jeszcze po

śmierci jędrza przeszkadza. Z niemiłym uczuciem wszedł do pustego i ciemnego wnętrza. Otworzył okiennice i blask księżyca rozjaśnił obszerną izbę.

I tu pełno było śladów ludzkiego pobytu. Pod ścianami leżała ściółka, na kominie zwęglone resztki dREW i popiół, na stole zmarznięte odpadki jadła. Musiała tu bywać większa gromada ludzi.

Radocha obszedł cały dom. Wszędzie to samo. Zajął do stajni. Snuła się tu jeszcze w powietrzu nikła woń koni, na podstryszu rozsypane było siano.

Wszedłszy na dziedziniec, Radocha zamyślił się. Gródek ani chybi służył za czasowe schronienie zbójcom. Zapewne znalazłby znajomków, ale wolałby spotkać się z nimi w jasny dzień, nie zaś z nienacka w nocy. Jakiś niepokój w nim wstawał i Radocha rozważał, czy nie lepiej byłoby poszukać noclegu gdzie indziej, choćby we wsi, która też pewnie pusta, jeżeli nie spalona. Ale konie były zdrożone, pacholek niemal zasypiał, a i sam Radocha czuł się utrudzony. Kazał przeto konie zawieść do stajni i naobroczyć, pojenie odkładając do rana, bo żuraw studzienny pozbawiony był wiadra, a w rzece lód trzeba by rąbać.

Gdy pacholek zajął się końmi, Radocha skrzesał ogień i jął przygotowywać wieczerzę. Po chwili wszedł Rzepka z naręczą bierwion, które znalazł w szopie. Dorzucali je do ogniska, by nagrzać wymrożone wnętrze, i pożywiali się w milczeniu. Radocha zadumany był, wciąż nachodziły go wspomnienia związane z tym miejscem. Opuszczona siedziba, skąd los wywiął ludzi, a pozostawił jeno mogiły, zda się zawsze grozić tym, co wazą się zakłócić jej spokój. Może i dlatego Radocha postanawiał mieć się na baczności. Pacholek podrzemywał już, jedząc, Radocha, mimo że sam znudzony i senny, kazał mu iść spać, a sam kiwał się przed ogniem, słuchając sennego pojękiwania Rzepki. Widno coś mu się złego śniło.

Przesiedziawszy kilka godzin bez innego ruchu jak „dorzucanie suszu do ognia, wstał, by przeciągnąć zdrewniałe członki, i skierował się ku stajni. Księżyc za-

szedł, gwiazdy wskazywały, że północ już minęła, głucha cisza panowała dokoła. Zajrzał do koni. Niepokoiły się, snadź dręczyło je pragnienie. Zal mu było bydła, ale zbyt już był senny, by je napoić. Obudził Rzepkę, każąc mu czuwać do rana i o pierwszym świcie wyrąbać poidło, a sam ułożył się do snu.

Zasnął zaraz, ale jak na jawie wiedział, gdzie jest, tylko czas jakby się cofnął. Czekał na Krzycha, by wraz z nim ruszyć przeciw nadciągającym Krzyżakom i ogarniał go niepokój. Krzych już powinien się zjawić lub będzie za późno. Wreszcie usłyszał skrzyp kroków na śniegu i zgrzyt wrzeczędzy, z ciemności wyskoczył jasny prostokąt otwartych drzwi, a w nim oświetlona księżycowym światłem stała Terka. Jak na jawie dostrzegł najmniejszą zmarszczkę na jej starczej twarzy wykrzywionej złym uśmiechem.

Zerwał się, oblany zimnym potem, i otworzył oczy. Drzwi istotnie były otwarte, przez nie widniało zienieniejące już niebo. Zapewne pacholek wyskoczył po coś i drzwi za sobą nie zawarł. Ciągnęło od nich kąśli-, we zimno.

Radocha zerwał się -roztrzęsiony i zły. Szybko wkladał cizmy, by wyjść i skląć pacholka, gdy nagle ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk Rzepki i urwał się zaraz.

W półświatle wstającego dnia Radocha latającymi rękoma macał dokoła, szukając miecza, gdy otwór drzwi pociemniał. Radocha skoczył odtrącając stojącego w nich człowieka, ale w tej chwili uchwyciły go liczne dłonie, obaliły na ziemię i wykręciwszy mu do tyłu ręce, wiązały je na plecach.

Radocha poniechał oporu. Spokojny już był. Koniec! Przy jasnym świetle wstającej zorzy poznał zakonnych knechtów. Od brodu szedł rycerz w białym płaszczu z czarnym krzyżem, obok niego brat służebny w płaszczu szarym. Zbliżali się bez pośpiechu. Gdy stanęli przed Radocha, rycerz coś rzekł do służebnego brata po niemiecku, a ten przełożył:

— Gdzie reszta zbójów?

— Jam jest pasowany rycerz — odparł Rado-

cha — a zbójów tu nijakich nie ma." Chyba wy, C-os*
cie mnie po zbójceku śpiącego napadli.

. Rycerz zakonny widno rozumiał po polsku, do o"-""
tą w żelazo pięścią wyciął Radochę w twarz, aż ^en
się zatoczył i pociemniało mu w oczach. Krzyck
wrzasnął łamaną polszczyzną:

— Gadać! Inaczej wisieć będziesz przed słońc^m-
Zbliżył wykrzywioną gniewem twarz do twi^{izy}
Radochy, który patrzył w nią, jakby zapamif^{ta^}
chciał wroga, jego jasnorudawy zarost i małe, ph^{vne}
oczy, błyskające złością i okrucieństwem spod ok,^{pu}
helmu. Miał jasną świadomość, że na nic to, wsz^{st~}
ko zdało mu się już nieważne, byle jeno jess^{Cl,e}
pomścić zniewagę. Zebrał w ustach ślinę z kr^{wi3}
z rozbitych warg i splunął w wytrzeszczone op^{2^}-
Zdał się nie czuć kopnięć i razów, gdy go wlec^{ono}
pod studzienny żuraw. Rycerz zakonny chrapli^{W^111}
głosem wydał jakiś rozkaz. Knechci wśród prze^{śrt}
chów ściągnęli ramię żurawia w dół, zdjęli żerdź, a^{na}
jej miejsce wiazali powróż z pętlą.

Radocha patrzył na przygotowania. Wiedział że
śmierć od; powieszenia jest krótka. Ale wolałby naj-
cięższą, byle z bronią w ręku. Na rozważania jednak
nie stało czasu. Uczuł pętlę na szyi i ostatnie, co wi-
dział, to knechtów ujmujących powróż przywiązany
do drugiego końca żurawia. Potem coś poderwało go
w górę i skończyły się rozmyślenia.

Radocha, łapiąc oddech, leżał na plecach i przez
czerwoną mgłę wytrzeszczał przekrwione oczy. Usi-
łował sobie przypomnieć, gdzie jest. Z wolna niebo
błękitniało, a głosy dochodzące jakby z wielkiej oddali
nasilały się. Wreszcie dosłyszał słowa:

— Dycha już?

Głos zdał mu się znajomy. Zebrał siły i usiadł. Zno-
wu pociemniało mu w oczach, ale jeno na chwilę
Gdy przejrzał, poznał pochyloną nad sobą twarz Pizły
i jego szorstki, zająkliwy głos;

ira

— Jakoże ci?

— Nijako — odparł ochryple. — To ciebie tu. jucho, szukali?

— A mnie. Podesłałem im wieść, jako tu będę. bo komtur cenę na moją głowę naznaczył.

— Ciekawość, zaliby i za moją zapłacił — mruknął Radocha.

— Zaśby płacili, kie im nie wadzisz. Mnieś się przydał, bo gdy się wiszaniem zabawiali, naskocsyliśwa, że ni jeden nie uszedł. A jakoże wiszanie?

— Nijako. Anim wiedział, kiem nic nie wiedział.,

— Tedy ich wiseał nie będę. Niech wiedzą, że umierają.

Radocha powstał, choć chwiał się jeszcze nógach. Stęknął, bo teraz dopiero poczuł, że bołą go wszystkie kości. Przez zaciśnięte zęby zapytał

— Gdzie zaś oni są?

Obejrzał się i ruszył ku bramie, nad rzeczką, koło której stała gromada ludzi, otaczając powiązanych jeńców. Za bramą leżało kilka zwłok, w dole koło przerębli, wybitej w lodzie, jeszcze jedne. Radocha poznał w nich Rzepkę. Leżał na wznak z rozkrzyżowanymi rękoma, szklistymi już oczyma patrząc w pogodne niebo. Radocha stanął nad nim i mruknął;

— Aleś się, biedoto, na wojacze dorobił!

Zawrócił i usiadł na kłodzie do zawierania Tbtamy, patrząc, jak na rozkaz Pizły, wśród wrzasków, błagań i lamentów, obdzierano jeńców do naga. Tylko rycerz zakonny stał w milczeniu, ponurym, pełnym nienawiści spojrzeniem mierząc Radochę. Gdy dwóch ludzi pochwyliło go, by z kolei z niego zdjąć zbroja i seaty, krzyknął do Radochy:

— Zełgaliście, że nic nie wiecie o zbójach! Czy t&~ka i tó prawda, żeście pasowany rycerz?!

— Nic ci do mego pasa, skoroś mnie jak psa spowiewierał i obiesił — odparł obojętnie Radocha.

— Tyle mi, że na was spadnie hańba za zbójckie obdarcie sługi Bożego.

— Bym nie był pasowan, ze skóry bym cię obdarł — syknął Radocha.

Wstał i odwrócił się plecami na znak, że nic go **nie** obchodzi, co się z jeńcem wyrabia.

Krzyżacy, choć przerażała ich myśl pozostania **bez** odzieży na mrozie, przecie wolni byli od bezpośredniej obawy o życie. Południową porą słońce dogrzewa już, może uda im się dotrzeć do jakiejś osady i zaopatrzyć w odzienie. Tego, co nastąpiło, nie przeczuwali. Gdy obdarło ostatniego, Pizło rozkazał:

— Pod łód!

Wskazał na przerebłę. Silne ręce porwały pierwszego z krają i, mimo że rzucał się jak oszalały, łbem naprzód wepchnęły w wodę. Wśród przekleństw i próśb o zmiłowanie chwymano jednego po drugim i zanurzano w przerebli. Rycerz zakonny stał blady, drżąc na całym ciele z zimna i strachu. Gdy przyszła na niego kolej, rzucił się przed Pizłą na kolana:

— Oszczędźcie mnie. Dam okup — wyjąkał.

— Ile? — zapytał Pizło.

Radocha zdziwiony odwrócił się i patrzył. Czyżby Pizło za pieniądze wyrzec się miał pomsty? Taką nadzieję powziął i zakonnik. Z wahaniem, patrząc niespokojnie, rzucił:

— Sto grzywien.

— Na tyle komtur mnie ocenił, choć jeno zbój — odparł Pizło.

— Trzysta — poprawił Krzyżak szybko, widząc, że Pizło skinął na ludzi, by go zabrali. Twarz Pizły wykrzywił uśmiech./

— Skąd ubogiemu zakonnikowi taki pieniądz?

— Komtur zapłaci — wyjąkał Krzyżak, pomiarkowawszy, że Pizło drwi z niego.

— Za mnie by zapłacił i pięćset. A ciebie mu darmo odeślę. Tonczyna do Wisły płynie, zasię Wisłą ani się obejrzysz, jak będziesz w Toruniu.

Gdy wleczono Krzyżaka, osłabłego z przerażenia, do przerebli, Pizło zawołał za nim:

— A pokłoń się komturowi od Pizły!

Krzyk przerażenia arwał się bulgotem wody.

Pizło kazał także trupy wepchnąć pod lód, wrąbaną taflą lodu założyć przeręblę i nagarnąć śniegu. Za chwilę żaden ślad rde zdradzał jego okrucieństwa. Jedyne Rzepkę uparł się Radocha pochować, mimo TM dużo czasu zbawiło wygrzebanie mogiły w ziemi, zmarzniętej na głębokość dwóch łokci. Koło południa już było, gdy wreszcie wyruszyli. Radocha, postępując, wgramolił się na koma. Gdy opuszczali gródek, obejrzał się i splunął:

— Przekłete miejsce, ino mogli przybywa. V«©y moje były, spaliłbym *te* budy,

— Zdadzą się jeszcze — odparł Pizło. — MP§M wszędy przybywa, a już najłacniej w krzyża¹⁰ somsiedztwie.

— Po wtóry raz orflał i mojej tu nie przybyło -- mruknał Radocha. — Do trzeciego próbował nie będąc A i tobie po co ten gródek, kie mamy swój, i lepszy?

Patrzył badawczo *pa* Pizłę. Gdy ten nic od-rzekł, Radocha jął opowiadać, co się przydarzyło pod jego nieobecność. Mówił, jak się stowarzyszył z Henrykiem, a z wojewodą Dobrogostem pociął

Jechali wolno, by piesi mogli nadążyć, a Radocha po długim poście nie tfoł się nagadać, choć spuchnięte wargi mu przeszkadzały.

Gdy wreszcie skończy- zapytał:

— A ty cóżeś działo bez ten czas?

— A co by?.Jo, co zawždy.

Gdy jednak Radocha zaczął rozpytywać,, okazało się, że nie tylko toruński komtur miał powód żalić się na Pizłę, Grasował po Wiśle, od Torunia po Świecie, wylapując statki zakonne i kupieckie, zapuszczał się i w ziemie krzyżackie aż no litewską granicę W miarę jak go przyciskano w jednym miejscu, przenosił się gdzie indziej. Szczególną jednak opieką darzył gościniec między Toruniem a Inowrocławiem, którego niemieckie mieszczaństwo sprzyjało Krzyżakom, Gdy komtur nałożył nagrodę na jego głowę, w Inowrocławiu też puścił Pizło wiadomość, że zimuje w Krzy-

chowym gródku nad Tonczyną, wiedząc, że mieszczanie o tym doniosą. Niedługo nawet się czaił i przyszedł w ślad za krzyżackim oddziałem w samą porę, by Radochę odciąć z powroza.

Miał też już Pizło wieści z Litwy, nad którymi Radocha zamyślił się mniemając, że zdałoby się donieść je księciu Włodzisławowi. Henryk von Plotzke spalił zbudowany przez Witetiesa kościół misyjny w Nowogródku, nie oszczędzając i duchowieństwa, które miało wiarę chrześcijańską szerzyć na Litwie; dowód dla Kurii na stawiane Krzyżakom zarzuty, że przeszkadzają nawracaniu pogan, by nie stracić pozoru do zagarniania cudzych ziem. Nie szczęściło im się zresztą w tej wyprawie i von Plotzke na czele kilkunastu jedynie ludzi wrócił do Malborka, bo rozbitych w powrotnej drodze wyniszczyła sroga zima i głód. Pizło sądził, że teraz pora najlepsza, by Krzyżakom dopiekać, nim się pozbierają po klęsce.

Radocha strzepnął palcami :

— Widno bez to witanie zabyłem ci rzec, że książkę kazali ninie Krzyżaków poniechać, by się wzajem przed papieżem skarżyć nie mogli, że i my nie po rycersku i nie po krześcij&ńsku wojujem.

— Tedy szkoda, zem cię odciął. Mieliby książkę jeszcze jeden dowód przeciwko nim.

— Idź do biesa! J(>no by na mnie nie **było**, coś uczynił. Zawzdym pasowany rycerz i książęciu posłuch winienem.

— Tego, córa ninie uczynił, ni pies nie wywęszy. A jam książęciu nic nie powinien.

Radocha kręcił się w siodle, nie wiedząc, jak podejść do Pizły, by znowu się nie zbicsił. Zaczął:

— *Skon? 2 książęcego nadania sidzim na gródku, posłuch winniśmy, jake, w pergaminie stoi, a juści że na mnie pójdzie to, co ijczynim.*

— Któże ci rzekł, że razem siedzieć będziemy?

Radocha wstał w strzemionach i z sykiem wciągnął powietrze:

— Cóże do biesa! Boguszki nie ma, baby nie wez-

mę, gródek jest, jakiegoś chciał. I czegoż ci jeszcze, stary capie? Mam cię po rękach całować? Mało ci, że mnie obwiesili bez to, zem ciebie szukał?

— Szukałeś? Mniemałem, że nie stoisz o mnie, kiejś ninie pasowany rycerz.

— Głupiś. Tak mi bez ciebie, jako tobie beze mnie. Cóż się każesz prosić?

Przygarnął Pizło, że mało go nie wyciągnął z siodła, i pocałował w dziobatą twarz. Pizło spuścił kosę oczy. Po chwili rzekł nieswoim głosem:

— Jak długo żywię, jeszcze mnie nikt W gębę **nie** pocałował.

— Bo paskudną masr.. Ale ja nawykłem.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, Radocha pierwszy wrócił do poprzednich spraw:

— Pomsta pomstą, ale cóż my czynień? Po łydkach gryziem psubratów. Od tego nie zdechną.

— Łacniej od tego niżli od lizania — mruknął: Pizło.

— Chytrością ich Włodzisław chycić zamysłają za grdykę, skoro siły brak. A gdzie jej książęciu szukać? Mieszczany się buntują, dzielnicowe książątka; podeszwy liżą Krzyżakom, nie z życzliwości — to ze strachu albo i dla pieniądza. Wielmoża każdy sweg© patrzy, jako Nałęczce, co zabór Pomorza uznali, ma»i< jętności, jakie tam mieli, pozbywszy.

— A rycerstwo to lepsze? — wtrącił Pizło. To, *co* na Pomorzu ostało, by się przy majątnościach utrzymać, słucha jako pies rogu. Ani mu we **lbie nie** postoi, by się przeciwic, że tam każdy komtur **sądzi** i rządzi, gospodarzy, a podatki ciągnie.

— Widzis! Kto ci z książęciem trzymać musi, na wierzchu jest, zali na dole, bo nas inak psubraty ogryzą ze szczętem. Książątka, wielmoże a rycerstwo jakoś ta się z nimi ułożą zawždy. A prosty naród cierpi, gdy go jako bydło wraz z ziemią przedają i kupują.

— Wždyś pasowany rycerz — wtrącił Pizło. — Ułożysz się, i ty.

Ale Radocha zeżlił się:

— Chłop jestem! — krzyknął. — I bez to za nic: mnie mają. A pas mi jeno po to, by mnie nie kupowali ni przedawali.

— Mnie po to ni pas niepotrzebny, ni pergamin, jeno żelazo w garzci—warknął Pizło.

Radocha, korzystając, że ma komu pieczę nad gródkiem zostawić, wybierał się z wieściami do księcia, a po trosze rozmyślał także, czyby korzystając ze spokojnego czasu nie udać się wraz z księciem do Krakowa, by znajomków odwiedzić. Pizło o tym nie wspominał, bo i sam wahał się jeszcze, a miarkował już, że Pizło zawistny jest o wszystko, co ich dzielić mogło. Dobrze się stało, że nie wyjechał, nagle bowiem odwilże przy niezwyklej obfitości śniegu zamieniły cały kraj w bagna i jeziora, wezbrane wody pozrywały mosty, brody stały się nieprzebyte, a drogi przepadłiste. Gdy wody wreszcie spłynęły i ruszyć się było można, przyszła wiadomość, że Łokietek dawno z Brześcia wyjechał. Z początkiem marca zmarł arcybiskup Jakub i ksiązę jeździł na pogrzeb do Gniezna, gdzie parę dni zabawił, by sprawę wyboru Borzysława przygotować i przyspieszyć, po czym w powrotnej drodze jeno zawadził o Brześć, ciągnąc rzemiennym dyszlem kędyś w Sandomierskie, tak że nie wiedziako, gdzie przebywa obecnie.

Śmierć arcybiskupa, choć dawno spdziewana, nowych trosk przysporzyła księciu. Choćby nie przewlekał się wybór następcy, przecie elekt do Awinionu jechać musi po palusz, a tam spotkać się" może z Muskata. Wprawdzie krakowski biskup po śmierci legata Gtmtyiisa nie mógł znaleźć poparcia w Kurii dla siebie, ale szkodzić potrafi, powodując i dodatkową zwłokę w załatwieniu polskich spraw, i dalsze rozprężenie Kościoła w Polsce, a zwłaszcza stołecznej diecezji, od lat już pozbawionej ordynariusza. Wszyst-

ko to zaś wiązało się ze sprawą zamierzonej koronacji, której Łokietek nie spuszczał z oka, mimo że i wielu innych ważnych spraw nie brakło.

Ciągnąc pomału do stolicy, książę często rozmyślał nad tym, co mówił zmarły arcybiskup. Jeny czy pyszny a zawzięty Muskata uczyni pierwszy krok? Bez tego sprawa z nim jątrzyć się będzie nadal, powodując dla obu stron nieodwracalne szkody.

Ta sama troska nie opuściła arcybiskupa niemal do ostatniego tchnienia. Gdy wieczorem przed śmiercią po raz ostatni przystąpił do Stołu Pańskiego i pożegnał podwładnych i domowników, kazał jeszcze pozostać notariuszowi. Słaby był tak, że nawet już cierpień nie czuł, ale myśl miał jasną i trzeźwą. Gdy notariusz usiłował go nakłonić, by starał się zasnąć, odparł szeptem:

— Zaraz zasnę. Teraz pisz!

Ledwo dosłyszalnie, jakby mocując się z każdym słowem, zaczął dyktować:

— „Drogi Synu! Zanim zaśmiejesz się, że Cię tak zowie, jakoś zwykł czynić słuchając moich słów, p0» myśl, że mówię do Ciebie po raz ostatni, i już z?a grobu. Prędzej bowiem dusza moja dojdzie przed Boży Tron niż to pismo do rąk Twoich. Z życia nie zostało mi już nic, nawet cierpienie”.

Jakub umilkł i długo zbierał siły, nim podjął;

— „Wiem, że od chwili, gdy objąłeś krakowską stolicę, nigdy nie chciałeś uznać we mnie swego pastora. Gdy to czytasz, już nim nje jestem. Jerio zwykłym grzesznikiem, który stoi przed Bożym Sądem. Nie m&wię tedy do Ciebie jako Twój metropolita, nic ziemskiego nie maći już mojej myśli, nawet gniew na Ciebie. Jako mówi święty Paweł: «Niech słońce nie zachodzi nad gniewem waszym». A tym bardziej słońce żywota”

Jakub znowu przerwał i milczał tak długo, że notariusz zważył, czy jeszcze się odezwie. Ale głos arcybiskupa nawet silniejszy był:

— „Pojednałem się już z Bogiem i ludźmi, prosząc

o wybaczenie, jeśli w czym zawinił. Ale Ciebie nie proszę o wybaczenie, iżem jako tram leżał na drogach Twoich. Na nich bowiem jeno spustoszenie i zagłada., A Ty pomnij, że Dzień Pański zwykł przychodzić jako złodziej zniecka, i Bóg może nie da Ci tej łaski, jaką dał mnie, pozwalając wiedzieć, że jutrzejszego słońca już nie obaczę. A straszna to rzecz bez przygotowania wpaść w ręce Boga żywego. «Jako was zastanę, tak i sądzić będę» — rzekł Chrystus. I Twój wiek dobiega już końca, wkrótce sam zrozumiesz, równie jasno jak ja, że prawdą jest, iż niceśmy na ten świat nie przynieśli i nic też wynieść nie możemy. A jedno, co po nas zostaje, to garść prochu i skutki czynów. Ty cóż wysłużył służąc sobie? Hańbę i wygnanie. Pomyśl, czy gdy przyjdzie Twoja godzina, będziesz mógł rzec z Ewangelistą: «Gdzież jest, śmierci, ościę twój?» Ale gdy zniknie grzech, zniknie i kara. By jednak powstać, każdy tam podeprzeć się musi, gdzie upadł. Nikt nie stanie się takim, jakim być winien, jeśli nie znieawidzi siebie takiego, jakim jest".

Głos Jakuba przeszedł znowu w szept, chwyciła go zadyszka, ale ciągnął wiedząc widocznie, że to już ostatnie jego słowa:

— „Ty jednak nienawidzisz tego, co zdeptał pychę Twoją — księżęcia Włodzisława. Zbyt rozumny jesteś, byś nie pojmował, że już przegrałeś. Nie przeszkodzisz mu w drodze do jego celu, który i moim był za żywota. Ale jak swąd piekielnego ogniska za zdeptaną pychą wlecze się zawiść, że on rośnie, gdyś Ty zmałał. Bo choć i jego dzieło poczęło się w Żądzy i pysze, oczyściło się w mądrości i miłości do kraju, który i Twoim był, zanim się go odrzekłeś. Kto zaś umiłował to, czego mu odebrać nie można, niezwyknięty jest. Dlatego umieram spokojny, że nikt, a najmniej Ty, nie zdoła Włodzisławowi przeszkodzić, by dokończył, co rozpoczął. A jak jego pokory nauczyło wygnanie, tak wierzę, że nauczyło i Ciebie. Pomnij, że upadł i Piotr, by zbyt wiele nie mniemał o sobie, spoliczko-

wany był Paweł, by się nie wynosił. Przed Bożym Tronem modłę się o łaskę pokory dla Ciebie, a gdy wysłuchany zostanę, pomódl się i Ty, Synu, za moją duszę".

Ostatnie słowa były już niemal niedosłyszalne. Jakub umilkł i ciszę przerywał tylko jego płytki i przyspieszony oddech. Notariusz sam już zakończył:

„Dan w Uniejowie Roku Pańskiego 1314 dnia trzeciego marca". — Może już czwartego, bo drugie kury pieją. Potem kanonik rozgrzał wosk nad świecą i zawiesił go u spodu pisma, słuchając coraz cichszego, zamierającego oddechu Jakuba. Sięgnął po pieczęć, ale naszła go wątpliwość, czy ma jeszcze prawo ją przyłożyć. Wyjąwszy świecę ze świecznika, zbliżył ją do twarzy arcybiskupa. Nie było w niej już życia, ale jeszcze słaby oddech zachybotał płomieniem. Notariusz wycisnął pieczęć, po czym ukląkszy przywozu, włożył świecę w zimną już, pokrzywioną dłoń i podtrzymując ją, rozpoczął modlitwy za konających.

Świeca dopalała się niemal, gdy wstał, zdmuchnął ją i, przeciągnąwszy się, wyszedł zawołać domowników, by po raz ostatni przybrali arcybiskupa w szaty liturgiczne. Niebo już jaśniało na wschodzie.

Wieść o śmierci arcybiskupa Jakuba doszła Henryka z Wierzbna w drodze powrotnej z Awinionu, gdy pod koniec sierpnia zatrzymał się w Hildesheimie. Niedawno przejeżdżał tędy nowo obrany metropolita Borzysław, który nie wiedząc o śmierci Klemensa V udawał się do Awinionu po palusz. Henryk, zaniósłszy nowinę Muskacie, dorzucił:

— Nie będzie nam przeszkadzał, a Łokcia przed kościelnymi cenzurami osłaniał. Niech jedzie, nieprędko wróci. Nie bez tego, by Włodzisław przez niego o koronę nie zabiegał, nie wydoli więcej wyroku legata i ekskomuniki lekce sobie ważyć. A ty możesz wracać do Krakowa.

Muskata nic nie odrzekł. Przeżyte upokorzenia

wzmogły w nim drażliwość. Zdało mu się, że Henryk pozbyć się go chce. Wie, że Łokietek jest równie obrotny jak zacięty. Jeśli wpuści biskupa do Krakowa, to jeno za cenę całkowitego poddania. Póki wakuje stolica Piotrowa i tak Borzysław sprawy koronacji nie załatwi, księżę może czekać. A Muskata musi. Henryk jego do nieustępliwości nakłania, a sam ukorzył się nie tylko przed Kurią, ale przed własnym kanonikiem — Guenterem z Bibersteinu. Przywrócił mu beneficja i urzędy, szkody wynagrodził, ustępując klucz Wiązów. Gdyby Henryk parł do ugody, też by go podejrzewał, że pozbyć się chce druha. Muskata stawał się nieufny. Rad nierad jechał jednak do Wrocławia, bo Henryk stanowił jego ostatnie oparcie. Gdyby wyjechał do swych niewielkich śląskich posiadłości, Henryk z Wierzbna przestanie się jego sprawą zajmować.

Śmierć arcybiskupa wywołała w Muskacie zamęt. Miał radości, że usunął się nieugięty przeciwnik, odczuł jakby zawód. Gdyby teraz udało mu się nawet wprowadzić na polski tron obcego księcia, Jakub już tego nie ujrzy ni dowie się, że trud jego życia był daremny.

Nie dożył jednak także triumfu Łokietka. Ciężko musi być umierać, porzucając nie dokończone dzieło. Ale ciężej chyba na jego gruzach. Myśl o śmierci znowu nasza Muskatę. Jeśli ma jeszcze czegoś dokończyć, musi się spieszyć, a przed nim znowu jeno bezczynne czekanie. Łokietek zaś działa: zajął Poznań. We Wrocławiu powitała biskupa wieść, że wojewoda Dobrogost Nałęcz rozbił pod Kłeckiem śląskie wojska Janusza z Bibersteinu, cała Wielkopolska znalazła się w ręku Włodzisława, który wyruszył już tam, by najgrażać i karać. Pызdry i Kalisz otrzymały nowe przywileje i potwierdzenie starych, Poznań stracił samorząd, Łokietek skonfiskował wójtostwo i majątki zbuntowanych, ich samych wyгнаł. Nie było jak w Krakowie okrutnych kar, widocznie księżę dość silny się czuje, by nie nadrabiać srogością. Umiarko-

wanie sprawiło, że niemieckie mieszczaństwo na równi z polskim przeszło na jego stronę. Muskata czuł, jak usuwa mu się jeszcze jedna podstawa, na której budował. A jednocześnie Jan Luksemburski, wygnany z Czech, poniechał starań o niemiecką koronę dla siebie i popierać ją Wittelsbacha. Na wzajemne jego poparcie czekać jednak musi, aż rozstrzygnie się walka o tron niemiecki między nim a wybranym przez mniejszość elektorów Fryderykiem austriackim. Łokietek zaś nie omieszka wykorzystać rozdziwienia w Niemczech. Grać umiał zawsze, nawet gdy nie miał czym.

Gdy Ust zmarłego metropolity doszedł do rąk Muffkaty, biskup nie śmiał się. Czytał go w zmieszaniu; które przeszło w gniew: Jakub troszczy się o zbawienie jego duszy?! Złamać go nie zdołali przemocą hi podstępem — Jakub straszyć go umyślił z za grobu;,. Czemuż to nie troszczy się o duszę Włodzisława, krzywoprzysięzcy i przeklętnika, a choćby i o krewniaka swego, Henryka z Wierzbna? Czy jest lepszy od Mu? skaty? Też nie brak krwi na jego rękach, cel mają ta* ki sam: własne wyniesienie przez związek z obcym./

Biskup zmiął pergamin i cisnął. Potem podniósł go. Długo siedział, usiłując uspokoić wzburzenie. Berce podchodziło mu do gardła, chwytająca go duszność! przed oczyma tańczyły ognistoczerwone płaty, a myśli kotłowały się bezwolnie, jak liście wichrem jesiennym pędzone.

Upokorzyć się ma! Aż do bólu dręczyło go samo wspomnienie tego uczucia, które po faz pierwszy w życiu poznał w lochu wawelskiego zaniku. Nie nędza i poniewierka, ale poczucie bezsiły i strachy wobec nienawiści rudowłosego pacholka, której przyczyny nawet uprzytomnić sobie nie mógł. Na granicy świadomości, wśród błahych wspomnień kołatało się jedt no, niejasne.. Darmo silił się wydobyć je na powieraldhf nię pamięci. Widział tę płomienistą czuprynę gdzieś nisko. Dalby kilka lat życia,, których już mu niewiele pozostało, by raz jeszcze ujrzeć tę głowę u swoich

stóp. Pewny był, że widział znowu tego pacholka, gdyl wraz z Henrykiem wjeżdżali do Wrocławia. W tysięcznym tłumie poznał go od jednego rzutu oka. Nie mógł się pomylić, skoro zauważył go i biskup Henryk, który raz jeno widział Ostrózkę u dominikanów w Krakowie, gdy ten wtargnął, by porwać Muskata. Zgadali się o tym i Henryk kazał szukać w mieście Ostróżki.

Muskata beczynnje patrzył, jak druh jął wprowadzać ład. Cały Śląsk poczuł twardą i bezwzględną rękę biskupa, który rządzić tu nawykł jak we własnym państwie, naprzód jako starosta Waclawa, potem jako opiekun małoletnich książąt. Poczulo ją nawet cieszące się dotąd jego poparciem niemieckie mieszczaństwo i koloniści, od których ściagać jął pogłówny denar św. Piotra, by się przypodobać Kurii. Nie nawykli do tego we własnej ojczyźnie, powstały niechęci i próby oporu, nawet ze strony duchowieństwa, rozpasanego długoletnią nieobecnością ordynariusza. Ujął je w ryzy karami i grzywami, zmuszając do sz'bkiego i gorliwego wykonywania wyroków, ukrócił zbytek w strojach i życiu, szumne zabawy, rozwiązłość i noszenie broni, które często wiodło do rozlewu krwi. Wpływające grzywny i konfiskaty szły na budowę katedry, która szybko dźwigać się zaczęła. Rozdrapany pod nieobecność biskupa majątek kościelny wracał do jego rąk. Kto nie przedłożył prawnego tytułu, tracił beneficjum. Przeciw rozbójniczemu rycerstwu gotował się Henryk do wystąpienia zbrojną ręką. Bolko legnicki pod klątwą wezwany został do wynagrodzenia szkód za zrabowanie kościołów i zagrabienie dziesięcin. Henryka wrocławskiego zmusił biskup do oddalenia Salomona, przez którego Żydzi nacisk wywierali na księcia, by mogli nabywać rycerskie clobra, trzymać chrześcijańską służbę czy nawet bić bydło wedle swych obyczajów. Przywrócona została Rada do dawnego składu, zależnego jeno od biskupa. Szybko wprowadzał własny porządek, nadrabiając stracony czas.

Muskata zaś siedział w dworcu biskupim, co dzień 2 okien swej komnaty przyglądając się rosnącym w oczach murom katedry. Myślał o własnej, której grzy od lat już wiatr roznosi po świecie, w opuszczonej diecezji rządzi się kto chce, a on zmuszony jest korzystać z łaski i gościny Henryka z Wierzbna. Zdało mu się, że druh go lekceważy. Rzadko teraz rozmawiał z Muskata. a zagadnięty raz i drugi o rudowłosego pacholka, odparł wreszcie niecierpliwie, że ma ważniejsze sprawy. On ma, ale nie Muskata. Całymi dniami przemyślał lub odczytywał list arcybiskupa, choć znał go niemal na pamięć. Nie budził już w nim gniewu. Raczej żał, że odszedł jedyny człowiek, przez którego, jak ongi, mógłby próbować ugodzić się z Łokietkiem. Z poręczeniem Jakuba zjechałby do Krakowa na układy; bez niego chyba po to, by znowu gnić w lochu, wyzbyty nadziei na uwolnienie, wydany na zniewagi, których wspomnienie nie opuści go lw godzinę śmierci, nawet gdyby udało mu się Wywrzeć pomstę, o jakiej nikt nie słyszał. Ale i ta nadzieja zgasła. Biskup Henryk, uporządkowawszy diecezję, przystąpił do wykonywania uchwał soboru w Vienne przeciw kacerzom. Znowu motłoch, pewny bezkarności, niszczyć jął i rabować mienie wyjętych spod prawa, a lochy zapełniły się uwięzionymi, którzy w porę ujść nie zdolali lub nie mieli dokąd. Sprzyjało herezji i rycerstwo, dla którego odstąpienie od Kościoła stanowiło najczęściej dogodny pozór dla rabowania jego dóbr, bez oszczędzenia nawet świątyń i cmentarzy otii" życia sług kościelnych. W samym nysko-otmuchoWskim księstwie biskupa Henryka panowie Jan i Henryk Wuesthube wielkie i liczne popełnili zbrodnię i świętokradztwa. Srogie kary wytepić miały herezję z korzeniami i nasieniem. W Nysie i Świdnicy zapierały już stosy, we Wrocławiu śledztwo dobiegało kresu. Na wzgórkach koło wałów, za kościołem Sw. Wojciecha, zwożono już sterty bierwion. Schły tymczasem w lipcowym upale, by tym chciwiej pochłaniać ofiary.

Pierwszy spłonąć miał wraz z całą rodziną tkacz Adam Wallończyk. W śledztwie wyszło na jaw, że to on w swym domu przechowywał poszukiwanego przez obu biskupów przestępcę wraz z czarownikiem i here-s tykiem, który już raz przed laty szerzył kacerskie, błędy we Wrocławiu i uszedł wówczas sprawiedli-wości. Muskata domyślił się, że to ten sam, którego w Krakowie arcybiskup Jakub odjął jego sądowi i wypuścił. Teraz uszedł znowu wraz ze swym towa*. rzyszem. Mimo wymyślnych badań tkacz Adam ni je-go rodzina nie umieli czy nie chcieli wyjawić, dokąd. Schronić się zresztą mogli bez. trudu choćby w Wiel-kiej Polsce, dokąd nie sięgało już ramię Henryka. Nieznośne poczucie bezsiły jak rdza przeżerało Mu-skate. Żadnych celów już nie osiągnie, ani wielkich, ani małych. Znowu przyszły wieści o -poczynaniach Łokietka. Umocniwszy się w Wielkiej Polsce, zmie-rza do odebrania ziem oderwanych od niej przez Brandenburczyków. Zawarł przymierze z królami skandynawskimi, z książętami Meklemburga, Rugii i Wołoszczy, a nawet śląskimi — ze Świdnicy, Raciborza i Oświęcimia. Wpływ swój rozciągać zaczyna i na Śląsk. Gdyby tu zapanował, Muskacie braknie ziemi pod nogami. Wiedział, że Śląsk nie ostoi się sam. Jeżeli nie do państwa Luksemburgów, należeć musi do Łokietkowego. A Włodzisław zareczył syna swego z córką Jana, Judytą. Dzieci to jeszcze, zwią-zek rozchwiać się może. Muskata uśmiechnął się gorz-ko. Liczył już tylko na przypadki. Jeśli go zawiodą, co mu pozostanie? Hańba i wygnanie — odpowiadały słowa listu Jakuba. A co mu czynić? Czekać.

Salomon, otrzymawszy od biskupa pismo wzywające do złożenia w wyznaczonym terminie urzędu, bo jako Żyd nie może wykonywać żadnej władzy nad chrześcijanami, sądził zrazu, że przy poparciu księcia zdoła się utrzymać. Pożałował, że nie posłuchał prze-^ strogi. Biskup pod groźbą ekskomuniki zakazał

wszystkim wiernym wszelkiej styczości z Salomonem i nie tylko księżę zwolnił go z urzędu, ale nawet handlować nie mógł. Nie było zapewne przypadkiem, że jednocześnie otrzymał wezwanie od inkwizytora. by się stawił. Gdy zatrzasnęła się za nim furta dominikańskiego klasztoru, zdało mu się, że to wieko trumny zapadło. Po kilkugodzinnym czekaniu w zamkniętej celi, gdzie chwilami dochodziły skądś nieludzkie krzyki, stawiono Salomona przed magistrem Koldą, który łagodnie upomniął go, by mówił prawdę, w przeciwnym razie zmuszony byłby stosować wobec niego ostrzejsze sposoby. Tym samym łagodnym i cichym głosem magister zadawać jął mnóstwo pytań, w których Salomon nie mógł się połapać, do czego zmierzają. Nieraz powracał do tych samych spraw, jakby zapomniał, że już o- to pytał, mimo że skryba pilnie notował wszystkie odpowiedzi Salomora. Pytania dotyczyły różnych ludzi, ich stosunków wzajemnych i z Salomonem, wreszcie od niechcienia, jakby rzecz była błaża, inkwizytor przeszedł rja sprawę zmian w Radzie. Salomon z najwyższym Wysiłkiem, czujności odpowiadał ostrożnie, przyznał, że z polecenia księcia pośredniczył w tej sprawie, przyznał, że pobrał prowizję od uzyskanej pożyczki i,"odetchnąwszy, otarł pot z czoła, gdy inkwizytor **składać zaczął** akta rozłożone na stole. Nagle podniósł **od** nich oczy} których dotychczas łagodny i jakby znudzony Wyraz zmienił się w palący i okrutny. Salomonowi **zdało się;** że nagle stanął przed nim ktoś inny. **I głos zdał się** głosem innego człowieka, gdy zapytał:

— Co cię łączyło z kacerzem i czarownikiem, zwanym Braciszkiem, i towarzyszem jego, Ostróżką?

Teraz Salomon zrozumiał, po co go wezwano. Wiedział, że musi odpowiedzieć natychmiast, by nie narażać się na podejrzenie, iż coś chce ukryć, i na badanie sposobami, o których wspominał na wstępie inkwizytor. Myśl Salomona pracowała szybko, z najwyższym wysiłkiem. O jego konszachtach wie tylko księżę, **którego** badać nie będą; odparł:

— Co mnie do takich ludzi? Wiem, że byli, i wiem, że ich nie ma.

— Skąd wiesz?

— Przecie ludzie mówią. Wasza Wielbność nie mnie pierwszego o nich pyta.

— Kto ci mówił, że pytałem?

Salomonowi zdało się, że ziemia ugina się pod nim. Me mówił mu nikt, zaplątał się niepotrzebnie, wiedział tylko, że ich szukano. Ani jednego słowa więcej ponad konieczne. Tylko teraz wywinąć się! Odparł."

— Miłościwie książę.

Inkwizytor długo wpatrywał się w Salomona przenikliwym wzrokiem. Zapytał:

— Możesz zaprzysiąc na Torę, że nie wiesz, kim byli, nie wiesz, gdzie są, i nic cię nie łączyło z nimi?

— Mogę — odparł Salomon.

Jeśli inkwizytor istotnie zażąda przysięgi, to zgiął. Ale magister Kolda wstał i poprzednim łagodnym i cichym głosem powiedział:

— Tymczasem jesteś wolny. Ale nie wyjeżdżaj nigdzie. Możesz być jeszcze potrzebny.

Salomon nie wiedział, kiedy i jak znalazł się znowu na ulicy. Dziwił się, że słońce jeszcze świeci, że ludzie chodzą, jakby się nic nie zmieniło, że on sam żyje jeszcze. Zdało mu się jeno, że się postarzał. Nogi nie chciały mu służyć, plecy zgarbiły się i włókł się jak starzec. Wiedział, że jeśli go wezwą jeszcze raz, tego już nie przeżyje, choćby go nikt nie tknął. Dowłókłszy się do domu, Salomon odsunął witające go z płaczem dzieci i żonę i nie odpowiadając na żadne pytania udał się do małej izdebki na podstryszu, zamknął okiennice i śmiertelnie znużony usnął kamieniem.

W następne dni niemal nie ruszył się z podstrysza, zawołany schodził na dół, by się pożywić, bez słowa słuchał gadaniny żony, która znosiła wieści z miasta, Starając się męża czymś rozerwać, i wracał na górkę, przez dzień usiłując spać przy zamkniętych okiennicach, mimo skwaru i zaduchu. W nocy siedział przy świetle kaganka i modlił się. Nawet myśleć się nie

ważył o ucieczce. Ani chybi, śledzą go. Gdy w głęboką noc ośmielał się otworzyć okiennice, by odetchnąć świeżym powietrzem od ogrodów na tyłach domów, zamieniał się w słuch. Ścigane zwierzę ma przed sobą przestrzeń i nadzieję, on czuł się jak mysz w pułapce: jeszcze żyje, ale odgłos zbliżających się kroków oznacza koniec.

Jednej nocy zdało mu się, że je usłyszał; lekkie, ostrożne, skradające się. Krew zaszumiała mu w uszach i czuł tylko jej dudnienie. Gdy po długiej chwili uspokoiło się, sądził już, że złudził go zbyt wy-, tężony słuch, gdy wyraźnie zaskrzypiały deski zewnętrznych schodów. Ktoś szedł. Salomon cofnął się w głąb izby, posiniałymi wargami szepecąc modlitwy, a rozszerzone oczy utkwiał w czarnym otworze okna: Zaskoczenie jego było większe niż strach, gdy W świetle kaganka ujrzał jasną twarz i lśniące włosy Ostróżki. Salomon przymknął oczy, pewny, że wzrok go myli. Usłyszał zgrzyt zamykanej okiennicy. Gdy znowu podniósł powieki, Ostróżka stał prze\$ń. Njfi było żadnej wątpliwości, że to on. Salomon" WJfceSSMłitr dobył głosu:

— Ty oszalałeś!... Czego tu chcesz? Zgubić Słnie i moje dzieci?! I siebie?!

— Inni leż mają dzieci — odparł Ostróżka spokojnie. — A ja nie mam.

— Czego chcesz? — powtórzył Salomon roztrzęsionym głosem. — Mów prędko i odejdz. Mnie pilnują* Może już za późno — dodał niemal z płaczem.

Ale Ostróżka odparł:

— Jeżeli za późno, to nie ma pośpiechu. Ale Wł« bój się. Braciszek czuwa na dole. Możemy gadać apO»; koj nie.

— I on tu jest! — Salomon chwycił się za głowę. Złapią was i wy powiecie wszystko. Ja już zginą-, łem. Czego chcecie? Pieniędzy? To ja tobie dam i idź już.

— Chcę wiedzieć, co jest z tkaczem Adamem i jego dziećmi.

— Co ma być? Wszystkich zabrała święta inJtwij zycja.

— To ja wiem — odparł Ostróżka niecierpliw^{±%} i dlatego wrócił. Chcę wiedzieć, gdzie siedzi i jag ich pilnują.

— Skąd ja mam wiedzieć? I po 00 to tobie? ja myślałem, że ty mądry człowiek, a ty jesteś głupi. Ty chcesz Lewiatanowi z pyska wydrzeć, co oą *ju±* W zębach trzyma.

Ostróżka usiadł za stołem i rzekł:

— Nie ruszę się stąd, póki nie będę wiedziała .

Salomon, który trząśł się cały, opanował się Wreszcie z wysiłkiem. Zaczął:

— Ty jesteś rozsądny człowiek. Pomyśl, za *C>Q* ty mnie i siebie chcesz zgubić? Mnie już pytali o was. Powiedziałem, że was nie znam. Ty dobry członek, ty pomagasz ludziom i ja bym tobie pomógł. I mnie żal tych, co ich palić będą. Straszna śmierć — *wzc*),y_g nał się. — W Świdnicy i dzieci palili. Tfu! Ty widziałeś kiedy, jak palą ludzi? Ciebie nie strach?

■ — Widziałem, jak palili moją matkę — odparł Ostróżka z pobladłą twarzą.

Salomon zrozumiał, że Ostróżka nie odwiedzi_e *bd* zamiaru. Z rozpaczą rzekł:

— Dobrae! Ja pójdę się dowiedzieć. Ale jak hinie złapią, to ja powiem, że tu jesteś. Ja już nie hiam sił.

— Pójdziemy razem — rzekł wstając Ostróżka, _____
Będzie-el bezpieczniej. Od wypadku weź *nćzze &>ba>*

— Ja nie umiem zabijać — odparł Salomon Płaczliwie.

OstróżM mruknął:

— Można się nauczyć. Dokąd idziemy?

— Do rebe Moszego. On wszystko wie. Co oq każe, to ja zrobię. Może on coś poradzi, bo ja *n%* *j^* już nie żyję.

— Jeszcze żyjesz,— odparł Ostróżka. — Tedy pójdźmy.

Ostróżka zdmuchnął kaganek, zamknął drzwi i wy.

szli. Na podwórku czekał Braciszek. Bez słowa ruszyli za Salomonem, który skierował się w opłotki na tyłach domów. Omackiem przelazili przez ogrodzenia lub przeciskali się przez dziury w parkanach, niezmiernie wolno i ostrożnie, choć położone od ulicy domy spały w ciemności. Tylko w jednym z nich, widno przez szpary w okiennicy, przeziarał się ledwo widoczny odblask, ku któremu skierował się Salomon. Przedarli się przez jakieś krzei i znaleźli się na podwórku większego od imiych domu. Salomon zatrzymał się i szepnął:

— Tu zaczekajcie. Nie wiem, czy rebe zechce /WM widzieć, bo i jemu niebezpieczno.

Odszedł i długo czekali, nim bezszelestnie zj#WJB się i kładąc palec na ustach, szepnął:

— Pójdźmy!

W zupełnych ciemnościach słuchem kierowali sjuę za Salomonem. Potem przez otwarte drzwi wpadł do sieni blask światła i weszli do niewielkiej izby, po której Braciszek rozglądał się ciekawie. Naprzeciw drzwi stała szafa z wnęką zasłoniętą haftWar*ym złotymi - literami hebrajskimi kobierczykiem, pfzeti nią siedmioramienny świecznik. Zresztą nie Byłe żadnych sprzętów prócz zawalonego księgami stoły. Ściany i podłoga zawieszono i zasłane były ■ kobiercami głuszącymi głos. Za stołem siedział stary, sf wobrody Żyd w jarmułce wyszywanej perłami, a pjo* mień świecy oświetlał sieć zmarszczek na jego twarzy. Zmęczonymi aesiemi spojrzeń na., wchodzących Salomon, wskakując na Ostróźl^ę, powiedział:

— To ten.

Zaczerwienione oczy starca patrzyły na -piĘz,yb5^{sza} badawczo i przenikliwie/

— Kto pomaga drugim, pomaga sobie —powie-» dział cicho starzec.

— Tylko on chce, żebym Ja pomógł heretyków* C» ich palić mają -^ .wtrącił Salomon znękanym głosem. — T?y, rebe, wiesz, czy ja mogę, kiedy pan biskup wziął, się na mnie. I na nich też.

Wskazując na Braciszka, ciągnął:

— On jest *kohelet*¹. Jego już raz tu szukali. Teraz znowu. Miast dziękować Najwyższemu, że Uszedł z ich rąk, on tu wrócił na moje utrapienie...

Braciszek wtrącił z uśmiechem:

— Bezbożny ucieka, choć go nikt nie goni. Ale sprawiedliwy jest jako lew śmiały.

Rabin podniósł brwi:

— Kto za często nos wyciera, ten wycisnie krew — powiedział.

— Wybawiaj te, które na śmierć wiedą — odparł Braciszek. — Kto zatula uszy swe na wołanie, będzie i sam wołał, a nie wysłuchają go. A kto się nie wazy szkody dla przyjaciela, nie jest sprawiedliwy.

— Ty skąd znasz *mi s z l e*⁸? — zapytał rabin zdziwiony.

— Szukam mądrości, gdzie ją znaleźć można. Za młodu szukałem jej w księgach. Ale do ciebie, rebe, nie po mądrość przychodzim, jeno po pomoc.

•— Salomon mówił, że ty wiesz wszystko — wtrącił Ostróżka, ale rabin przerwał:

— Wszystko *wie Najwyższy. A mądry tai* umiejętności swoje. Tobie pomogę. Dam ci pismo do kanału w Opolu. Tam spokój jest, możesz siedzieć bezpiecznie.

— Ja nie proszę o pomoc dla siebie. Sam sobie zwykłem pomagać, ani się o moje bezpieczeństwo nie troskajcie...

— Ja rozumiem — przerwał rabin. — Ty żądasz, abym ja pomógł heretykom. A oni czy nam pomagali? Czy naród mój od nich prześladowań nie znał? Ty wiesz, że zgubić możesz siebie i nas. **Jeno** ty pomyśl, za co? Im nie pomożesz. Bóg pomsty **wolno** poczyna, odda im nieprawość ich...

— Czyją nieprawość? Dziecka? — Ostróżka **zaczął**

¹ kaznodzieja

^E przypowieści

gwałtownie, ale Braciszek rękę mu położył na ramieniu i zwrócił się do rabina:

: — Zali człowiek może ukryć ogień w zanadrzu swoim, aby nie gorzały szaty jego? Ty, rebe, nie widzisz, że on tam przywiązał serce swoje, które dotąd biegało jak bejszajski pies? I ty się nie dziw, że prosić nie umie o to, co Miłuje. Raz prosił i kopnięto go.

Ostróżka rękę podniósł do twarzy, jakby osłonić ją chciał przed wspomnieniem lub wstydił się. Wyjawionej słabości, a Braciszek ciągnął:

— Na lichwę daje Panu, kto ma litość. Jeżeli możesz, pomóż, rebe. Ty nie lękaj się o swoich. Jak woda jesteśmy, któż ją zawiązał w szacie swojej? Ale choćby i zginąć przyszło, was nie wydamy. A ktp się na wiatr ogląda, nigdy siał nie będzie.

Rabin siedział zadumany, z opuszczonymi **oczyjtaa**. Zaczął jak do siebie: »-

— Gdy Jego głos usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych. Ja wierzę, że wy nas nie zdradzicie. Gdybym nie wierzył, już by tu były pacholki inkwizytora po was, a my bylibyśmy bezpieczni. Jeżeli nie chcę rzec, co wiem — zwrócił się surowo do Ostrówki — to jeno dlatego, że gorzki jako piołun bywa owoc z drzewa wiadomości. Tych, których seukasz, jutro wydać mają miejskim na spalenie. Choćbyś ich wydostał, żadne na swoich nogach nie pójdzie. Dziecie; wieczka chora jest i o świecie nie wie. To lepiej dla niej. Okrutna je śmierć od płomienia, ale okrutniejszy od niej strach. Gdyby czas był, ją można by wydrzeć, bo niewierni chciwi są złota. **Ale** czy słu? rocy los — to dobry los? Ty go znasz, rolzważ sam.

Ostróżka stał blady, z opuszczonymi oczyma. #ira-» ciszek patrzył na niego ze współczuciem. **Zwolnił** go od odpowiedzi, pytając:

— Ile czasu potrzeba, aby ją Wydostać?

— Albo starczy dzień, albo nie starczy rok. Złotó mamy, jeno skąd wziąć czas?

— Idę poszukać go i jeszcze ty wróć, — odparł

Braciszek z uśmiechem, a zwracając się do Ostróżki, dodał:

— Zmówcie się, a potem czekaj na mnie w domu mistrza Adama. Tam nas nikt szukać nie będzie. Człowiek miłosierny dobrze czyni duszy swojej — zwrócił się do rabina. — Ale i ja ci dziękuję.

Ostróżka wkrótce opłotkami skradał się ku Odrze. Szukając w ciemnościach łodzi, zaniepokoił się ujrzawszy różowy poblask na leniwej fali. Czyżby już brzask? Ale odetchnął usłyszawszy, jak ciszę nocną zburzył odgłos rogu z ratusza, a zaraz po nim odezwały się dzwony. Łuna rozświetliła ciemne jeszcze, wschodnie niebo. Na jej tle widniały wieże Sw. Wojciecha, ale pożar niewielki był. Ostróżka domyślił się, że to spłonęły drwa przygotowane na stos dla heretyków. DREW nie braknie, ale by je zwieźć, trzeba czasu. Odetchnął lżej. Prawdziwy świt zaczynał już rumienić niebo, gdy dotarł do opuszczonego domu mistrza Adama. Na progu leżała kukielka Margaretki, zbyt brudna, by się ktoś na nią złakomił. Ostróżka podniósł ją i schowawszy w zanadrze, wpłynął do komórki na wełnę na podstryszu. Dzień trzeba prześpać. Jeżeli wszystko pójdzie pomyślnie, następnej nocy znowu spać nie będzie, a czuwał już kilka.

Spał też kamieniem, gdy Braciszek zaczął go trącać. Ostróżka zerwał się z zamkniętymi oczyma, ale otrzeźwiał natychmiast. Była znowu noc, zachodni wiatr nagnał chmur, zanosilo się na deszcz. Nie czekając na zapytanie, Braciszek powiedział:

— Przynieśli już dziecko. Jest w łodzi, którą podciągnąłem ku Szczytnikom.

W zupełnych ciemnościach i milczeniu wiódł Ostróżkę ku rzece. Wkrótce pod ich stopami zachlupotała woda i zaszeleścił przybrzeżny szuwar. Brnęli po kolana, nim ukazał się jaśniejszy pas otwartej rzeki, a na jego tle ciemny kształt czołna. Gdy dotarli do niego, Ostróżka ujrzał niewielką postać leżącą bez ruchu. Usiadł na tyle łodzi i ujawszy za wiosło, wypchnął ją z szuwarów i **jął** przec pod wolny prąd.

Braciszek siedział na drugim końcu, w milczeniu. Po chwili, westchnąwszy, powiedział cicho:

— Teraz ja się prześpię, póki nie leje. Zda mi się już, że miast mózgu twaróg mam w głowie, a ty myśl, co dalej poczynać. Gdyby żrała była, mógłbyś ją po-^{*1}jąć. Tamtych spala, ostaniesz jej jeno ty.

Otulił się opończą i zasnął. Ostróżka popychał czołno przy brzegu, by każdej chwili móc je skryć w zarosłach, i własną kapotą okrywał Margaretkę, która chwilami rzucała się niespokojnie.

Parł niestrudzenie zgrzany mimo siąpiącego deszczu, który przeszedł w rześisty, gdy w ciemnościach i dżdżu mijali Oławę. Nad ranem deszcz ustał, ale mgła wstawać jeła z wody. Płynęli, aż pierwszy ruch dał się słyszeć na rzece, a ze wschodu ruszył powiew, zgarniając tuman. Wówczas Ostróżka wepchnął łódź w szuwały zalewiska i dobiwszy do piaszczystej łą^{*}chy, trącać jął towarzysza:

— Pójdź no stawy jakowej poszukać i suchych szmat. Ja tymczasem ognia naniecę, póki mgła. Do Brzegu musi być niedaleko, a nie chcę go mijać dzisiaj.

Braciszek przeciągnął się, przetał oczy, przeżegnał się i poszedł. Ostróżka został sam z dziewczynką, która leżała spokojnie. Czoło miała chłodne i oddech wyrównał się. Patrzył na jej zmalą twarz i>wpadnięte, podkrążone oczy. Lękał się, że je otworzy i trzeba jej będzie powiedzieć, że sama została nę świecie. Wiedział, jak dziecku trudno to zrozumieć. Po chwili spod ławki wyjął lalkę i położył koto dziewczynki, by ją pierwszą ujrzała, gdy się obudzL Tyle dla niej zdołał ocalić z dzieciństwa.

Srogie prześladowania kacerzy na Śląsku odbiły się echem w całej Polsce. Liczni zbiegowie roznosili wie-^{*}ści o okrucieństwie, nie szczędzącym nawet dzieci, budząc współczucie zwłaszcza wśród niewiast. Jaw-

nych kacerzy dotąd w innych dzielnicach Polski nie było, nie brakło natomiast po miastach — jak Kraków, Sandomierz czy Włocławek — zgromadzeń begardów i beginek, lubianych z powodu skromnego życia i miłosierdzia świadczonego potrzebującym. Rozwiązanie zgromadzeń przez sobór w Wiedniu, a w jego skutkach okrutne tępienie beginek na Śląsku wzbudziło wśród nich niepokój, a wzburzenie wśród biedoty korzystającej z ich usług. Domy ich były przytułkami dla chorych i ubogich, teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujących pomocy, gdy w Polsce zaczynał się głód, a w ślad za nim jak wilk za chorym jeleniem wlokła się zaraza. Zbiegli kacerze szerzyli wśród ludu przesadną wiarę, że jest to kara Boża za nieludzką srogość sług Antychrysta. Długotrwałe, ogromne śniegi zamieniły orne pola w bagna, ozime zboża zmarniały ze szczeniem, zwłaszcza na nizinach. Jare, posiane i tak zbyt późno, zniszczyła susza i upały. Pierwsze sianokosy przepadły, drugie zapowiadały się źle, a już na przednówku niejedną korę z drzewa mieszał do mąki, z trwogą zaglądając do parsku, gdzie często dno było widać, nie widać natomiast nadziei, by się zapełnił — nie wcześniej jak za rok, jeśli będzie czym posiać. Wsie, zwłaszcza podmiejskie, sprzedając nadwyżkę ziarna, nie gromadziły zapasów. Książęce i klasztorne folwarki miały jeszcze zboże, ale troska, by starczyło na siew, powstrzymywała rozdawnictwo. Ciepłą porę zresztą każdy jakoś przeżyje, gorzej będzie zimą; najgorzej zaś miejskiej biedocie, która nie wspomóżę się zwierzyną czy rybą ni nawet korą z drzew.

Księżna Jadwiga, nie zważając na przedstawienia, że bulle papieskie są wyraźne i nieposłuszeństwo ściągnąć może kary kościelne, jawnie stanęła w obronie beginek, nie pozwalając rozwiązać zgromadzeń, potwierdzając im dawne przywileje i udzielając pomocy. Do cenzur kościelnych nie przywiązywała wagi, wiedząc, że i małżonek jej z dawna zwykł je lekceważyć, natomiast nie była pewna, czy na rękę będzie

mu zadzierać z Kurią w czasie, gdy w ważnych sprawach bawi w Awinionie arcybiskup Borzysław. Przepelnione szpitale bliższe jednak były niż Awinion Z pustym wciąż jeszcze tronem papieskim. Niemniej z niepokojem oczekiwała powrotu małżonka do Krakowa. Może tymczasem niebo się zmiłuje i wysłucha modłów wznoszonych po kościołach dla odwrócenia klęski. Ale nie obiecywało wysłuchania. Koło Godów zjawiała się kometa, omiatając ognistym ogonem wszystkie cztery części świata. Zanim zniknęła, na wschodzie ukazała się druga, widziano też trzy księżycy. Strach i przygnębienie przechodziły w zamęt, Zjawili się samozwańczy kaznodzieje, jedni głosząc potrzebę pokuty i umartwień, inni wyzwolenie z wszelkiego prawa i posłuszeństwa. Zamęt nie ominął nawet duchowieństwa, zwłaszcza w krakowskiej diecezji pozbawionej rzeczywistego kierownictwa'; Gdy jednak wśród wyższego kleru i zakonników wrzały jeno zawzięte teologiczne dysputy, ubogi i cieniawy kler wiejski stał wobec bardziej przyziemnych zagadnień: od głodujących chłopów nie można ściągnąć na wet takiej części dziesięciny, by starczyło" m) przyżycie ubogich wikariuszy parafii, które nigdy nie wiadziały swego proboszcza. Niejeden porzucał swój urząd, szukając chleba, gdzie się dało, nierzadko i na gościńcu. Ubożsi czy mniej zapobiegliwi chłopci, zjadli resztki zboża, wybijać zaczęli bydło, po czym opuszczali zniszczone gospodarstwa. Zbiegali najczęściej na Pomorze lub do Prus, gdzie, jak wieść głosiła, nie dotarł jeszcze głód. Zakonne spichrze pełne były zboża, cóż ze niewolnikiem trzeba zostać! Kasztelanowie niezbyt przeszkadzali zbiegom, schwytanych muszą żywić. Oczekiwali rozkazów od lisięcia, który jeszcze w lecie, po zaprzysiężeniu w Krakowie przymierza z północnymi władcami, wyjechał do Wielkiej Polski, by w niej swą władzę umocnić i przygotować zamierzoną wyprawę przeciw Brandenburyczykom.

Położenie jednak w Wielkiej Polsce wciąż było nie-

pewne i Łokietek wracał już okrężną drogą przez Kujawy i Sandomierskie. Stara waśń między Nałęczami a Zarembami rozogniła się znowu przez poznańskie wypadki. Księżę wyraźnie unikał przebywania w Poznaniu, by go nie wciągnięto w te spory, tym bardziej że spokrewnieni z wasalami Askańczyków Nałęcze łatwo się mogli z nimi porozumieć, gdyby im się naraził. Wolał tedy księżę wyprawę oprzeć na siłach kujawskich i małopolskich, pozostawiając Wielkopolanom obronę kraju od Głogowczyków, którzy utrzymali się jeszcze w przyznanych ongiś ich ojcu traktatem krzywińskim częściach kraju nad Obrą i Notecią, prze frymarczywszy swe rzekome prawa do Pomorza Askańczykom, które ci już przedtem sprzedali w Soldinie¹ Krzyżakom. Łokietek czynem chciał wykazać, że nie uznaje frymarki ziemiami należącymi do polskiej korony.

W Krakowie oczekiwało księcia wiele spraw i ludzi, ale nie pozwolił ani od zamiarów się odwieść, ani myśli czym innym rozpraszać. Prałatów, żalących się na przeszkody ze strony księżnej w wykonaniu zarządzeń Kurii, zbył gniewnie i niemal lekceważąco, mówiąc, że sprawy kościelne należą do biskupa, a pomocą służyć może, gdy w Kurii będzie z kim gadać. Skoro zaś ona nie spieszy się nawet, z wyborem papieża, może i z tym poczekać, on zaś ma pilniejsze sprawy.

Jakkolwiek jednak pilny był głód i wywołany nim niepokój, a na Radzie podnosiły się głosy, że nie porą na wyprawę, która resztę zapasów pochłonie, Ogołocenie zaś kraju z załóg i rycerstwa wzmoże jeno zamęt, księżę uciał krótko, że gdyby z każdą sprawą czekać chciał, aż się wszystko pomyślnie ułoży, niczego by nie dokonał. Poparł księcia stary i wstawiony W walkach z Niemcami kasztelan Petrosław Lis i Mstyczowa mówiąc, że głodne wilki kąśliwsze są, # w obcym kraju nie trzeba ich tam będzie odżar-
c!ia odganiać i wojna samą siebie wyżywi. Sposobniej-

¹ Myślibórz

szej pory zaś nie czekać, gdy Askańczycy samych wrogów mają dokoła, od Krzyżaków zaś, zajętych litewskimi sprawami i wewnętrzną rozterką, nic nie grozi. Radzono więc już jeno nad wyprawą, po czym, uchwalwszy zbor wojsk w Gnieźnie na Św. Jakuba, starszyzna rozjechała się, a Łokietek jął się przygotowań. Nie mając, jak zwykle, pieniędzy, za maszyny wojenne mistrzowi Mikołajowi Węgrowi zapłacił dworkiem przy ulicy Sławkowskiej, skonfiskowanym po buncie Sudermanowi z Pisar, i wystawszy maszyny przodem, sam też gotował się do wyjazdu.

Koniuszy Budzi woj zimą słabował i zamyślał już przenieść się na Bożą rolę. Odżył jednak, gdy książę); zarządził przygotowania do wyprawy. Piandota Odrowąż ze Sprowej, zwany Gałką od niskiego wzrostu i okrągłej tuszy, który Budziwoja zastępował w urzędzie, ciężki teraz miał żywot, bo koniuszy, choć słuch mu już niezbyt dopisywał, oko miał po dawnemu byV stre, a język bardziej kolczasty niż przodzi. Niczego nie przepuścił, sprawiania zdał się nie słyszeć, Prandota natomiast słyszał po kilka razy na dzień, że aby konia nauczyć, trzeba mieć więcej niż on rozumu. Prandota — człek możny i dufny w sobie, choć młody — może i miałby wyrozumiałość dla zrzędy, ho wiadomo było, że konie uważa za mędrsze od ludzi, nigdy bowiem nie głupiego nie mówią. Ale koniuszy, za każdym razem wzdychał wspominając Krzycljfi Leliwę, który poza nim sam jedyny z końmi umiał *ąię* obchodzić. Odrowąż wreteczcie zadość miał gderamy, zwłaszcza że Budziwoj nie hamował się nawet prfj: stajennych, poszedł przeto do księcia Z prośbą o zwol* nienie z urzędu. Łokietek, któremu na przygotowaniu konnych oddziałów bardzo zależało, ze względu na konieczność szybkich działań, i nie żałował na tQ nawet dość pustego skarbcza, dopytywać jął o przyczynę. Dowiedziawszy się, a nie chcąc starego i zasłuża*

nego człeka pozbawiać jedyne go zajęcia, na którym spędził żywot, a któremu już sam nie mógł wydolać, przełamał w sobie nieufność, jaką zawsze żywił do ludzi, w których coś było niejasnego, i kazał posłać po Krzycha.

Młody rycerz, otrzymawszy pierwsze od krakowskich wypadków wezwanie od księcia, zbierać się jął z takim pośpiechem, jakby uciec chciał z domu, aż Kundzi uczyniło się przykro. Od dnia wesela nie widziała go tak ożywionym. Nie chciał nawet czekać na wymianę sparciałych rzemieni zdobycznego pancerza, którego od trzech lat z górą nie miał na sobie, wziął natomiast tarczę z Nałęczką miast własnej, starą kolczugę, kiesę ze srebrem, pacholika Unika w trójkońce, i już go nie było.

Kundzia nie dawała poznać po sobie przykrości. Z uśmiechem pomagała zbierać się mężowi, troskliwie przygotowując odzież i różne drobiazgi, o których nie pamiętał. Z uśmiechem też żegnała go i długo patrzyła za nim, w nadziei, że się obejrzy. Ale nie obejrzał się, gnał jak ścigany. Otarła oczy, westchnęła i poszła do gospodarstwa, którego ciężar zawsze na niej spoczywał, chyba że rąk trzeba było dolożyć, nie głowy. Krzych żył jakby na innym świecie. Ale teraz bardziej niż kiedykolwiek zdałaby się męska pomoc. I tego nie zauważył.

W początkach pożycia, gdy byli z sobą najbliżej, Kundzia, widząc, iż mąż zamysła się tak, że zda się nie widzieć, co się dzieje dokoła, usiłowała go rozbadać. Odparł, że człek sam o sobie niewiele wie, a cóż o drugich. Umilkła i nie pytała więcej. Taśca, którą sama skrywała przed nim, zamknęła jej usta. Jeśli się czegoś domyślał, a mówić nie chce, to i lepiej, choć zwróciło jej uwagę i niepokoiło, że jeśli się kiedy rozgadał, to jeno o tym okresie swego życia, gdy z Terką siedział na krzyżackiej granicy. Wszystkie inne zamknął w sobie i nie wracał do nich ni słowem. I teraz tknęło ją, gdy miast własnej tarczy ze znakiem Leliwy wziął zdobyczną z Nałęczką. Nie po

obyczaju wraży znak nosić, a przemaalować jej nie pozwolił.

Nieszczerość leżała między nimi jak kamień. Dobry był dla niej, łagodny, nigdy niczego nie żądał, spełniał, gdy o coś prosiła. Ale żyli obok siebie, nie z sobą. Niemniej rozumiała, że gnębić go musi bezczynność, spowodowana jakąś nieufnością księcia. Wybaczył przecie Krzychowi młodzieńczą nieprzemysłność, za zasługi nawet nagroził. Ale widno nie zapomniał. A może i on się czegoś domyślał lub wiedział. Kundzia przeto uradowała się nawet, gdy posłaniec przywiózł wezwanie. Ale łatwość i pośpiech, z jakim; Krzych ją porzucił, może na długo, zabolaty ją.

Nie czas jednak było na rozmyślanie, gdy nie brakło codziennych trosk. Choć na pogórzcu urodzaj **nie**, był najgorszy, a nie brakło ryby i zwierzyny, **którą** zmarniała na nizinach, niepokój, jaki głód wywołał w kraju, odbijał się wszędzie. Namnożyło się dziadów[^], zbiegów i wszelkiego rodzaju włóczęgów, którzy tu i ówdzie zbijali się w kupy jak głodne wilki i jak one łowili po lasach i podchodzili do osad na rabu-? nek. Drogi stały się niepewne. Bez broni i bez koniecznej potrzeby nikt nie ruszał się z domu. Kundzia, już nieco ociążała, myślała z goryczą, że upragnione wydarzenie wypadło jej w zły czas. Z ulgą też i radością powitała niespodziewany zgoła przyjazd koniuszego Budziwoja, który zjawił się w same żniwa, gdy najbardziej odczuwała brak wyreki i pomocy. I on witał ją jak córkę, a widząc **jej** stan,, powiedział:

— Milczek z tego twojego chłopca. Staremu nie rzeCy że potomka się spodziewa. Byłbym tu wraz Za wojskiego zjechał, gdy jeno on odszedł z książęcieni. Czas niespokojny, żeby niewiastę w takim stanie **bez** opieki ostawić!

Koniuszy zmarszczył brwi. widno za złe miał Krzychowi zarówno milkliwość, jak i niedbałość. Kundzia odparła cicho:

— Krzych sam nie wiedział.'

— A cóże, to i przed nim tajemnica? Przecie i tak się wyda. I jakoże mógł nie wiedzieć?

Machnął ręką ze złością i dodał:

— Do koni oko jucha ma. Parę włosów pacholik wydrze z ogona na sidła — .zauważy. A brzemienia u żony to nie.

— Jeszcze niezbyt widać było, gdy wyjeżdżał — odparła rumieniąc się.

— Juści nie widać, jak nie zaglądać pod zapaskę —, fuknął gniewnie Budziwoj, ale gdy zmieszala się i zawstydyła, dodał żartobliwie: — Z końmi się winien był Krzych ożenić miast mnie, ja zasię z tobą. Już ja bym wiedział, co w trawie piszczy.

Widząc jednak wyraz przykrości na jej twarzy, rzekł poważniej:

— Bez tego, żebym wiedział, iż się spodziewasz, wraz bym zjechał, bo w Krakowie pusto i robić nie ma co. Kto na wyprawę nie pociągnął, przed morem ucieka. Albo i zgoła byłbym Krzychowi zwolnienie uzyskał u pana, bo jeszcze koniom sam poradziłbym. Siedział doma trzy lata, to jeszcze mógł posiedzieć. No, nie lutaj — dorzucił miękko, widząc łzy w oczach Kundzi. — Pojechał i wróci, a ty jeno bacz, byś go ze zdrowym synem na rękę powitała.

Zamyślił się i dorzucił:

— Albo z córą. Dziewki przylepniejsze 34 i lepiej się domu trzymają. A z synem kłopot byłby, boś ty z mieszczan, i to małych. Snadnie mógłby biu kto rycerski stan naganie. Na Mazowszu zgoła nie baczą na macierz, jeno na rodzica, ale u nas...

Machnął ręką i zakończył:

— Co tom! Będzie, co Bóg da, byle zdrowo. Zasłuży się Krzych, łacniej mu książęcia uprosić będzie, by syna szlachetnie urodzonym uznał. Co tam ryby łowić przed niewodem.

— Byle mi jeno wrócił — szepnęła Kundzia.

Myślała o czym innym, bo stał jej przed oczyma wyjazd jego, zakrawający na ucieczkę. Ale koniuszy

zrozumiał, że lęka się o jego życie, i chcąc ją uspokoić, rzekł:

— Krzych jest chłop, że jeno mury nim walić. Ale murów ninie walić nie będą, choć księżę nieco sprzętu wzięli ze sobą od wypadku. Kraj jeno zamierzylu spustoszyć, by się obce osadniki wyniosły. Do tego zasię jazda najsposobniejsza. A bez chłopu nic po ziemi. Pomnę ci ja ostatni napad tatarski. Czego jezdny nie zeżarł, a na koński grzbiet nie załadował, to stratał alibo spalił. Hej! Głód ci był potem w kraju, jeno że i głodować nie bardzo było komu. Rycerstwo wycięli, a prosty lud pobrali, samych dziewczek, prawia, do dwudziestu jeden tysięcy.

Starzec rad wracał do wspomnień, gdy miał z kim gadać, ale Kundzia własne miała przed oczyma. Nie była nawet o życie Krzycha spokojna. Prawda, że niełacno znajdzie równego sobie mocarza, a mimo to ileż razy przynoszono go jej jak bez duszy! Ale niechby choć tak wrócił! Gdy leżał słaby i bezbronny, był jej najbliższy. A raz pielęgnowała go Hanna. Wtedy jej był najbliższy. Kundzia zawstydzila się: chciałaby się zbliżyć do Krzycha kosztem jego cierpienia i zawidzi biednej dziewczynie tego jednego zbliżenia. Tyle i miała z Krzycha, prócz złamanego żywota. Nie słuchała, co mówi Budziwoj, idąc za własnymi myślami. Koniuszy pomiarkował to i, jakby je odgadując, powiedział:

— Ty się o niego nie trap, byś jeno sama zdrowa była, ja zasię, by było co zjeść, gdy wróci. Bogu dziękuj, że jest, jak jest. Dziecko was zbliży najbardziej, Na Śląsku już pono rodziciele dzieci zjadają z głodu.

— Nie mówcie — szepnęła pobladłymi ustami.

Pomiarkował, że nie dla ciężarnych niewiast takie nowiny, i ugryzł się w język. By odwrócić jej uwagę, zaczął:

— Pewnikiem się tam Krzych z onym Radochą spotka, co to o ciebie zabiegał. Widziałem go w Brześciu, nawet się tu wybierał w odwiedziny. Teraz i on pewnikiem na wojnę pociągnął, ale może zjedzie ra-

zem z Krzychem. W kumy byście go prosili, bo człek przyjazny, ale drażliwy i do serca wziął twoją odmowę. Niechby choć wiedział, żeście mu wzajem życzliwi. Nie ma człek własnego ogniska, przy cudzym rad się ogrzać.

— Życzę mu dobrze i rada go ujrę. Przypomni się, jakoście to społem w gościnę zachodzili. I Krzych był, i Ostróżka, i Braciszek. A ninie samaostałam...

— A ja to nic? — przerwał jej widząc, że rozzaliła się znowu. — Chciałaś zasię chłopca, co by siedział przy tobie, za mnie trzeba się było wydać, bom już do wojny ni do łowów niezdaly. Wždy chciałem Cię pojąć. A wybrałaś młodego, to wiadomo — ruszać się musi. I tak za długo doma siedział, dlatego się biesił. Ale wróci do ciebie, nie bój się, bo gdzie by miał wracać. Też nie ma na świecie nikogo.

Kundzia myliła się sądząc, że Krzych od niej udeka. Lubił ją zawsze, przywiązał się do dobrej, cichej, wyrozumiałej dziewczyny, choć wiedział, że nie łączEy go z nią ani miłość, jaka łączyła go z Hanną, ani nawet namiętność, jaką przez krótki czas czuł do Adelajdy. Miłość stłumił w sobie, jakby przysypał ziemią ognisko, po namiętności pozostało upokorzenie i niesmak, które jednak czas rozwiął jak swąd po sjaflle-niźnie. Pi*zy Kundzi czuł się spokojny jak przy siostrze. Nie pytała o nic, nie robiła wyrzutów, nie dała mu nawet poznać, że sprawiał jej przykrość, zawsze równa i oddana. Ożenił się tedy, bo czas mu było, swawolnych zabaw z dziewczkami nie lubił, gdzieś trzeba być u siebie i mieć kogoś bliskiego. A odeszli nawet Ostróżka i Braciszek. Wiedział, że ona nie da mu szczęścia, ale uczciwie chciał je dać jej. Nie mówił jej nigdy, co czuje, a ona nie pytała, i oboje, chcąc jak najlepiej, nie byli ze sobą otwarci i szczerzy. W miarę jednak jak czas płynął, nieszczerłość uwierać zaczynała, jak drobny kamyk w ciżmie. Oboje strzegli się.

by się nie wydać niebacznym słowem, i oboje czuli, że każde z nich zamknęło coś w sobie, broniąc drugiemu dostępu. Pod spokojną powierzchnią klębił się jakiś nurt, podmywając podwaliny wspólnego życia.

Gdy minął okres urzędowania się na nowym miejscu, Krzych nie miał o co myśli zaczepić. Niczego już nie pragnął i nie zamierzał. Zasobów było dość, codzienne troski zdjęła z niego Kundzia. Mówiąc ongiś Ostróżce, że służyć chce księciu, póki będzie potrzebny, szczerzy był. A księżę odsunął go wyraźnie. Nie był natomiast szczerzy, gdy powiedział Budzi woj owi, że Oję chce już znać tajemnic Terki; nie miał nadziei ich poznać, skoro zmarła nie wyjawivszy ich. Ale te dwie sprawy wiązały się jakoś z sobą i myślą krążył przy nich bez ustanku. Niemożność rozwiązania stała się dla niego udręką. Co łączyło z Terką ubitego krzyżackiego dowódcę? Dziwnie często wracał myślą do niego. Raz kupił od przejezdnego kupca polerowany zwierciadło dla Kundzi. Spojrzał w nie przypadkiem i zdało mu się, że patrzy na niego upiór zmarłego. Śnił mu się po nocach, darmo na mszę dał za ;(jego, duszę, którą wygnał z ciała bez sakramentów. Wracał iście jak upiór.

Od tego wszystkiego uciekał Krzych, gdy przyszło wezwanie od księcia, i zdało mu się, że uciekł. Nagromadzony nadmiar sił wyładowywał w pracy, nie ze* stawiając sobie niemal czasu na sen ni jadlo. Często nawet nie nocował w swym dworku na Lobzowie, lecz na zamku u Budziwoja, jeśli nie wyjeżdżał do książęcych włości po konie. Mimo nadmiernych trudów odżył. Myślał o swej pracy i zamierzonej wyprawy. Gdy jednak w świąteczne dni zostawał po nabożeństwie w kościele, myślą wracał do Kundzi, brak mu jej.nawet było. Pogodnie myślał o powrocie.

Przygotowania dobiegły wreszcie końca i Krzych wyruszył, wysłany przodem z oddziałem jazdy, złożonym z ścierciałków i węgierskich najemników, wywołańców i mętów pogranicznych. Księżę surowo przykazał, by w drodze oszczędzać kraj, j tak głodem

utrapiiony, na popasy nie stawać w miastach i osadach, by ich stanem i wojacką swawolą nie uciążać, a zarazy do wojska nie przywlec. Krzych niemało trudu zadawał sobie, by na niesfornych wojakach wykonanie rozkazu wymusić. Ale że nieustępliwy był, a rękę miał ciężką, potrafił nią okiełznać rozpasanie, i księżę, ciągnąc z wojskiem za nim, nigdzie nie napotkał ni skarg, ni żalów. Pomyślał, że niesłusznie może trzymał na uboczu pożytecznego człeka. Po powrocie pogada o Krzychu z Jaśkiem Leliwą, którego pozostawił w kraju, zleciwszy oko mieć na południową i wschodnią granicę na czas swej nieobecności. Choćby i kasztelan nie wydał jakowejś Krzychowej tajemnicy, o której wspominał, najlepiej będzie wiedział, czy może za Krzycha przyjąć porękę.

Zgromadzone w Gnieźnie wojska ruszyły na zachód i pod Obornikami zanurzyły się w Notecką Puszczę, by niespodzianie przejść rzekę między Drzeniem a Wieleniem, w najwęższym miejscu bagien, opodal ujścia Drawy. Susza ułatwiła przeprawę, po której księżę podzielił wojska. Z pieszymi sam *ruszyi* w dół rzeki, zamierzając ubiec zajęte przez Brandenburczyków Drzeń i Santok, jazdę zaś rozpuścił zagonami ku północy, wyznaczając miejsce spotkania pod Myśliborzem, gdzie spodziewał się też nadejścia sprzymierzeńców, a przynajmniej wieści o ich wkroczeniu do Marchii.

Wrychle pomiarkował, że sprzymierzeńcy zawiedli, a główny cel wyprawy — odebranie zajętych ziem i grodów wielkopolskich — chybił. Na łamanie silnego oporu umocnionych miejsc nie starczyło sprzętu ni czasu, który wykorzystać należało, nim nadciągną wojska margrafów. Główny tedy zysk z wyprawy przypadł Barnimowi szczecińskiemu, który za poniechanie napaści uzyskał od nich Słupsk i Sławno, główne zaś straty poniósł biskup kamieński Arnold, który w oparciu o Askańczyków diecezję swą oderwał od Gniezna. Zawziętość księcia na nim się skupiła, puścić kazał dobra biskupie, kościołów nie oszczę-

ćbując. Luny opłaciły wyprawę, nawet znaczne ilości zboża odesłał księżę do kraju, ale był to jedyny jej zysk. W miarę jak czas płynął, opór tężał, a gdy nadeszły wojska margrafów, Łokietek postanowił nie wdawać się w walkę z lepiej uzbrojonym rycerstwem i najemnikami i cofać się jał na wschód. Nie chciał bowiem przechodzić nadnoteckich bagien i rzeki pod naciskiem nieprzyjaciela, by nie być zmuszonym do przyjęcia bitwy w niekorzystnym dla siebie położeniu. Ściągał się przeto lasami w klin Noteci i Drawy, przeszedł ją pod osłoną grodu w Ujściu bez większych strat, prócz tej, że opuszczony gród zajęli Brandenburczycy, i nie napastowany już ciągnął do Nakla. Zamierzał stąd wojska rozpuścić, listopadowe bowiem dżdże i zawieruchy rozmiękczyły drogi, rozkisiły bagna, a rzeki i strumienie nasyciły wodami. Niemniej z przeczności oddział Krzychowej jazdy, który osłaniał przejście przez rzekę, pozostawił księżę nadal w tylnej straży.

Jedyna to była bitwa w czasie całej wyprawy, w której Krzych mógł dać upust swym siłom i chęci walki. Łupienie i palenie nieobronnych dworców i osad i wycinanie niemieckich osadników budziło w nim niechęć. Księżę jednak wyraźnie zakazał brać jeńców, z którymi nie było co począć w wygłodzonym kraju, chyba znaczniejszych — dla okupu, ale ku temu brakło sposobności, skoro bitwy z rycerstwem unikał. Toteż dopiero u przeprawy Krzych własną ręką pojmał jakiegoś możnego rycerza, nie miał jednak nawet sposobności, obejrzeć go, gdyż ciągnął na końcu swego oddziału. Dopiero o wczesnym zmierzchu chmurnego i wietrznego dnia, gdy zatrzymał się na postój w karczmie pod Wyrzyskiem, nadszedł pacholek Unik, by zdjąć mu zbroję, oznajmiając, że pojmany Niemiec prosi o rozmowę.

Krzych polecił go sprowadzić i przygotować posiłek dla siebie i jeńca. Gdy go sprowadzono, kazał mu zdjąć więzy i wskazał miejsce na ławie pod oknem, którego błony przepuszczały jeszcze trochę szarego

światła. Z zaciekawieniem przypatrywał się poważnemu mężowi w sile wieku, którego zachowanie zdradzało pewność siebie i dumę. Jeniec niespodziewanie zagadnął po polsku:

— Jako swojacy, mniemam, łąco się dogadamy. Rycerz walczy po stronie tego pana, któremu powinien. W bitwie bez hańby może i swojacką krew wylać, ale nią nie tarzy.

Krzych spojrzął na jeńca zdziwiony i odparł:

— Zda *mi* się, że mnie za kogo innego bierzecie. Żadnych tu swojaków nie mam, tym ci mniej w Marchii. Kogo miałem zaszczyt pojmać?

— Jam jest graf von Ost. Macierz moja była córą Sędziwoja Nałęcza, siostra zasię jest za panem na Szamotułach i Pomorzanach.

Teraz Krzych zrozumiał. Pan von Ost wziął go za Nałęcza z powodu znaku na tarczy, którą miał w bitwie. By go wyprowadzić z błędu, odparł:

— Mylicie się, szlachetny panie. Jam jest Krzych Spytkowic Lei iwa. Szczyt zasię z Nałęczką, który noszę, zdobyczny jest, po krzyżackim rycerzu, którego w pojedynku zmógł. Znaki wszędy podobne się trafiają, choć i rody nie spokrewnione, jako u nas Toforezycy i Pałuki, a nawet zgoła obcego plemienia.

Zawiedziony widocznie pan von Ost rzekł cokolwiek sucho:

— Dziwny to obyczaj walczyć pod cudzym znakiem, który rycerz po to przecie ma, by każdy wiedział w pokoju czy w wojnie, z kim mu sprawa. Ani to prawda, by znak ten kto inny kromie krewniaków mych, Nałęczów, nosił. Rzekłby kto, że ród swój ukryć chcecie — zakończył wyniośle. — Możemy mówić o okupie.

Krzyeha ogarnął zarazem gniew i zmieszanie. Odparł porywczo:

— Rzekłby kto, że ja od was okup wykpić chcę, nie zaś, że wy się wykpić chcecie od okupu. Nie ja was o rozmowę prosiłem i nie mnie pilno o tym ga* dać, choćbym i ścierciałką był.

Pan von Ost pomiarkował, że dotknął człowieka, od którego jest zależny, chcąc sprawę załagodzić, podjął układnie:

— Wybaczcie. Prawdę mówicie, że mnie pilno i zajęto z kim się mam układać. A że was za Nałęcza wziął, to nie przez znak jeno. Znałem ci jednego Nałęcza, do któregoście z postawy i z głosu podobni, że dziw.

Krzycha jakby coś tknęło, by więcej o tym żeńcem nie mówić. Odparł na pozór obojętnie:

— I ludzie się trafiają podobni.

Jakby wbrew woli jednak dorzucił:

— Onże krzyżacki rycerz, od któregoś szczyt był, teje postawy był, co ja, że zbroja jego jakby na mnie kowana.

W tej chwili wszedł Unik z gospodarzem, który niósł posiłek. Pacholek w kuny pozatykał smolne szczapy i zapalił, bo pociemniało już niemal zupełnie. Krzych zgłodniały zaczął jeść i rozmowa urwała się do wieczery. Krzych pomiarkował to i rzekł:

— Wybaczcie, że zabył was pierwszego. Wać, jak przystało. Od wczora nic nie jadłem.

Spojrzał na Niemca. Pan von Ost rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w niego, aż Krzychowi czyniło się nieswojo. Powtórzył tedy:

— Jedzcie lub wybaczcie, że sam się będę posilał

Niemiec jakby nie słyszał, bo rzekł:

— Prawda, że trafiają się podobieństwa, ale takowe chyba między bliźniakami. Jeno że tamten starszy był...

— Kto zaś? — mimo woli wyrwało się Krzychowi

Był niemal pewny odpowiedzi. Istotnie, von. Oli rzekł:

— Chyba onże Krzyżak, któregoście ubili, ale to Nałęcz był.

— Znaliście go? — zapytał Krzych.

— Pośledni raz widziałem go w Gdańsku, gdy z poselstwem był do margrafa Waldemara od land-

mistrza, by się o wydanie miasta ułożyć. Ale znałem go przódzi, gdy był w waszych leciech, i zda mi się, jakoby was widział.

Krzych milczał, ale von Ost, podniecony, ciągnął:

— Że rękę macie niemałą, sam pomiarkowałem! gdyście mi miecz jako dziecku wydarli. Ale nie sądziłem, byście takiemu jak on wydolili. A mówicie, panie, że ojcem waszym Spytek Leliwa. Czy ów, co w Gdańsku poległ?

•— Wždy innego nie było. W Gdańsku legł, gdyście go zdradą zajęli.— odparł Krzych szorstko.

Ale von Ost ciągnął:

— Jako rzekłem, nie ma gniewu na wojnie o krew. Ale słyszałem, że to Mścigniew Nałęcz ubił Spytkę w pojedynczym boju, bo z młodych lat porachunki mieli o niewiastę. Tedyście śmierć swego rodzica pomścili.

Krzycha jakby coś przestrzegało, by uciąć zwierzenia, a jednocześnie chciał słyszeć. Von Ost ciągnął nie bez pewnej złośliwości:

— Juści, ojcowską krew mścić należy nie pytając, bo nie synowi sądzić rodzica. Ale po czyjej stronie słuszność, to inna rzecz. Pono ktoś tu jeszcze winien, kto sądzić miał prawo. Gdy człek nie najdzie sprawiedliwości, sam jej sobie domierzyć musi. Pytaliście, panie, czy znałem onego Mścigniewa. Głośno o nim było u krewniaków mych, bo człek był niesłychanej siły i zuchwalstwa. Opiekunów, co go skrzywdzili, po bił, z rodem własnym zadarł. Pojmany, kraty żelazne w lochu wylamał i mścić się poszedł za dziewczkę, którą mxi wasz rodzic zabrał, kiedy on miast niego w wieży siedział, bo juści Łokieć nie jest miarą sprawiedliwości. Darli się o dziewczkę, aż ją i podarli, po czym Mścigniew z kraju uszedł do Krzyżaków, gdzie wielką sławę zyskał w walkach z pogany. Lata już minęły, ale widno nie zabył krzywdy, skoro w Gdańsku odnalazł i ubił waszego rodzica. W oliwskim opactwie leży wraz z innymi, zajedziecie tam, na mszę możecie dać za niego. Skoroście go pomścili, tedy

i koniec sprawie, co się tyle lat wlekła, bo Mścigniew nie ostawił dziedzica. Ani się komu pomodlić za jego duszę, chyba Krzyżakom, bo u stołu honorowego u nich zasiadał i niemałe w walkach z Litwą położył zasługi. Dziwny a smutny los tego człeka, jako w powieściach rycerskich bywa. Gdybym minnesaengererri był, pieśń bym o nim ułożył żalospną.

Widząc, że Krzych siedzi bez ruchu i słoty, zakończył :

— Nie miejcie mi za złe, że współczucie żywię dla, zabójcy waszego rodzica. Żeby mu Łokieć sprawiedliwości domierzył, gdy należało, nie byłoby tego. Myślę, że dla was sprawiedliwszy był, bo widzę, że mimo młodego wieku pas nosicie. I teraz chyba nie byle jak nagrodzi, bo żeby nie wy, nie uszedłby num tak łącno.

— Moja sprawa — uciał szorstko Krzych. — Gadajmy o okupie.

Von Ost zeszytniał i odparł:

— Po to i was o rozmowę prosiłem. Że o0 czym Innym mówiłem, to jeno dlatego, że zgadało się l pytałście sami. Ile żądacie?

— Trzysta grzywien. A poręczycie zapłatę **rycersk**ini słowem, to was wypuszczę.

— Dzięki wam i za ufność, i że mnie nie **obdziera**cie. Ciężka rzecz? niewola, ale każdemu przytr^{ffö} się może. Dukąd zaś mam okup odesłać?

— Do kasztelana Jaśka Leliwy do Melsztyria*

— Do waszego stryka?

Gdy Krzych nic nie odparł, von Ost skłonił się i wyszedł. Krzych długo siedział w zadumie, po czym przywołał Unika, polecił osiodłać i objuczyć konie' i wezwał setnika Sławka Slepowrona. Rozkazał mu, by rano grafa pod osłoną odesłał do Ujścia, a hufiec odprowadził do Nakła. Gdy zdziwiony wojak dopytywać się jął, dokąd Krzych wyjeżdża, odparł krótko:

— Do siebie.

Łokietek zdziwiony był, a nawet dotknięty, że Krzych, którego zamierzał nagrodzić za męstwo i oddane usługi, bez pożegnania, wyjechał, nie odprowadziwszy nawet swego hufca do Nakła. Ważniejsze jednak sprawy czekały na księcia, by miał czas przątać sobie myśl przyczyną postępu Krzycha, Kasztelan Świętosław miał wieści, że po dwuletnim bezgłowie Kościoła brat francuskiego króla — Filip Poitou — wymógł na kardynałach w Lyonie, że wreszcie wybrali papieża. Pod imieniem Jana XXII został nim Jakub Arnoldi Deuza, syn szewca z Cahors, dawny kanclerz króla Karola neapolitańskiego. Zależny od Francji i jej zawdzięczający swe wyniesienie, osiadł n.a stałe w Awinionie i odmówił żądaniu Wittelsbacha przybycia do Rzymu na koronację. Miał uładzić stosunki w Kościele, z miejsca doprowadził do rozłamu, Ludwik nie uznał wyboru, jako dokonanego pod przymusem, i przeprowadził wybór antypapy Mikołaja. Jan odpowiedział klątwą i walka rozgorzała. Łokietek czuł, że obie strony szukać będą sprzymierzeńców. Bez wahania postanowił uznać papieżem Jana i stanąć po jego stronie. By wzmocnić stronnika, Jan nie odmówi mu korony.

Pora też zdała się odpowiednia, by poruszyć od lat już zalegającą skargę o zabór Pomorza. W Zakonie panowało rozdwojenie. Wielki mistrz Karol z Trewiru, zniechęcony oporem przeciw zamierzonej reformie Zakonu, złożył swój urząd. Jednocześnie zastrzyła się walka z ryskim arcybiskupem Fryderykiem. Krzyżacy przemocą zmusili jego lenników, Rosena, Iskula i Palena, stolicę, a nawet kapitułę ryską do związku przeciw swemu suwerenowi i arcypasterzowi, ujmując faktyczną władzę w Inflantach. Arcybiskup Fryderyk wyjechał ze skargą do Kurii. I Łokietek postanowił wysłać tam uroczyste poselstwo, na którego czele stanąć miał Gerward, biskup kujawski, człek bywały i obrotny, a pewny, bo sam w ustawicznych sporach z Zakonem o obsadzenie przezeń kościołów w pomorskim archidiakonacie. Właśnie zaogniła się

sprawa z powodu prezenty plebana w Świeciu, biskup pojedzie chętnie. Zresztą Łokietek nie miał wyboru. Borzysław w Awinionie czeka na sakrę, Muskata na wygnaniu, Andrzej poznański właśnie zmarł, bezład i bezrząd w polskim Kościele pogłębiał się. Mimo to Łokietek nie wahał się wysłać z kraju ostatniego z kościelnych dostojników. Będą mu potrzebni dopiero do koronacji, o sprawy kościelne nich się troszczy Kuria. Me dbał nawet o własne zdrowie, bo nie wypocząwszy po wyprawie i nie bacząc na słotną porę ruszył natychmiast do Włocławka, by spotkanie z Gerwardem przyspieszyć i sprawę poselstwa omówić. W ślad za księciem rozjechało się rycerstwo. Uprzykrzony, zimny deszcz zacierał błotem jego ślady, Nakło opustoszało.

Jako jeden z ostatnich odjechał Radocha. Wiedział, że Krzych brał udział w wyprawie, ale bawiąc ze swym pieszym poczem przy księciu, nie spotkał się z nim. Gdy zaś Sławek, który przyprowadził hufiec Krzycha, nie umiał wyjaśnić, dokąd on sam się udał, Radocha powziął przypuszczenie, że pojechał do swego dworca nad Tonezyną. Od krzyżackiej strony panował spokój, może chce go znowu zająć i zagospodarzyć, a nawet Kundzię sprowadzić. Radocha splunął od uroku, wspomniawszy ostatnią przygodę. Może się licho stamtąd wyniesie, gdy żywi ludzie znowu osiądą. Sąsiedztwo niezbyt dalekie, byłoby dokąd jechać, gdy taka pora jak nfrde — ni do łowów, M do wojny — pogwarzyć o dawnych przygodach i na nowe się zmówić.

Tymczasem jednak, nie mając co robić w domu, Pizłę z ludźmi i łupami odesłał do gródka, a sam zabawił się z kasztelanem Henrykiem, który po swemu wypoczywał po wyprawie. Radocha niedługo jednak mógł mu dotrzymać kroku i wykręcił się mówiąc, że musi jechać do domu, bo może Krzych tam czeka na niego. Kasztelanie, któremu nie chciało się siedzieć saniemu w opustoszałym Nakle, zebrał się i ruszył! razetó ku zadowoleniu Radochy, który-tad/ był się przed nim pochwalić swym gródkiem. Od cza--

su jak Pizło wrócił, wszystko szło jak z płatka. Z poznańskich łupów nabył Radocha kilka kłaczy i nieklemburskiego ogiera, wkrótce już spodziewał się przychówku ciężkich bojowych rumaków. Na następną wyprawę stanie nie w dwu jezdnych w blachy, ale 7, własnym hufcem konnym, jak wielmoże, i nie z jakowymś Kózką, któremu miecz jeno pas obciągał i pętał się między nogami, ale z zabijakami Pizły, którym żadna walka nie dziwna. Wyżywić miał ich czym, mimo nieurodzaju, nawet i chłopów swych zdołał wspomóc schwytawszy wraz z Pizłą statek zakonny ze zbożem na Wiśle pod samym Toruniem. Pizło niezbyt się liczył z zakazem księcia, a i Radocha sądził, że księżę gniewać się nie będzie, bo Krzyżacy nie puszczali zboża do głodującego kraju. Trochę się jeno skrobał po łbie, gdy Pizło opróżniony statek trupami zakonnych ludzi obwiesił i puścił z wodą do Torunia. Ale księżę ani wspomniał o tym. Albo się komtur nie pochwalił, że mu omal na oczach ludzi wybito i zrabowano zakonne mienie, albo Łokietek przestał się już cackać z wrogiem, skoro w Kurii inny wiatr powiał. Radocha poczuł się mocno w siodle. Z wyprawy do Marchii też łupu odesłał sporo i przemyśliwał już o wypadzie daleko w głąb ziem zrabowanych przez Krzyżaków, jak ongiś po Cedrowica. Z Henrykiem już się zmówili, niech jeno bagna staną, a mróz drogi osuszy. Do łowów na kupieckie poczty Krzych nie da się namówić, ale można by wójtostwa zakonne złupić, a jeśli się poszczęści i zameczek jakowys ubiec. Radochę rozdymało powodzenie, nie dbał nawet o to, że kujawscy książęta, z którymi zadarł, starostami są ninie w Wielkiej Polsce. Starostów księżę często zmienia, zwłaszcza gdy niedołęgi są, a on na swym gródku rozparł się i nikt go stamtąd nie ruszy.

Mimo że dzień był ponury i słotny, Radocha w pogodnym nastroju wracał do siebie. Choć znużony był i ciemność już zapadła, nie zatrzymali się w Łazisku i jednym dniem dotarli do Radoszyna. Od strażnika Radocha dowiedział się, że istotnie późnym wieczno-

rem przyjechał rycerz Krzych Leliwa z pacholkiem i o pana pytał.

We dworcu jednak spało już wszystko, tedy i Radocha ze swym gościem układli się. Znużeni hulanka i podróżą zaspali jednak do dużego dnia. Radocha, gdy jeno się obudził, przypomniał sobie o Rzychu i co prędzej udał się do świetlicy.

Pizło już musiał wyjść do codziennych zajęć, bo Krzych siedział samotny, a przed nim stygła na stole polewka i leżały nie tknięte kołacze i mięsiwa. Twarz miał wychudłą, oczy wpadnięte. Na wylewne powitanie gospodarza ledwie odpowiedział, ale Radocha, aie zrażony, ciągnął:

Tak i myślałem, że swój gródek będziecie radzi obaczyć, kieście tyli szmat drogi ku nam zjechali. Jenom myślał, że społem pojedziem. Szkoda, żeśmy się w Nakle zminęli, gdzieś się nieco z kasztelan icem Henrykiem zabawił. Rad on się z warna poznajomi,;bo siła mu o was gadałem. Wraz tu nadejdzie. Człek jest wesoly i ludzki, choć z wielmożów. Jeno że wszystko za nic ma. Gdzie innego zółć zalewa, lub łydkattu, trzęsie od strachu, on się ino śmieje. A pyskаты, z& i nawet przy książęciu niewyparzonej gęby nie strzyg mał, lubo mnie samego zatkało, chodem movvny.

— Prawił mi Pizło, żeście byli w moim gródku.***
przerwał Krzych potok wymowy Radochy.

— Ba! Małom tam nie ostał — zaczął znowu Radqcha, ale urwał bo w tej chwili wszedł kasztelanie; Krzych przywitał go powściągliwie, a Henryk zapytał beztrosko:

— Mnieście nieradzi, zali żywot was boli, fro widzę, żeście na gębie pochudli, a śniadanie nie tknięte. Pono skuteczne bywa do czegoś ciepłego żywot przyłożyć. Wraz chęć do jadła wróci.

Jakby na dowód wziął się ochoczo do śniadania, nie bacząc, że Krzych zachmurzył się, a Radocha zmieszał. Przez chwilę panowało kłopotliwe milCzeTiie, które przerwał gospodarz:

— Nie wiem, zali wam Pizło prawił* jak iftnie

Krzyżaki w waszym gródku obwiesili, on zasię odciął, a ich pod lód spławił. Niemowny chłop i chwalić się nie lubi. Ale żeby nie on, już bym z warna nie gadał. A jenom tam przyjechał, cości mnie tknęło, bom się o mogiłę Terki omal nie przewalił. A potem mi się przyśniła jak żywa. Strzyga z niej musi być, co krew z ludzi wysysa, osikowy kolek zdałoby się w mogiłę *^bić...

— Co Terka mówiła? — przerwał **Krzych**, który zdał się nie słyszeć gadania Radochy.

— Nic nie mówiła, bom się zaraz obudził, aże \$ppt-> niały, i już mnie pochwycili...

— Nie o sny pytam — uciął Krzych niecierpliwie — jeno co gadała z onym Krzyżakiem?

Radocha, zaskoczony, zawahał się. Widno Krzych domyśla się czegoś. Skoro mu jednak nie rzekł pd śmierci Mścigniewa, teraz za późno, dla wszystkich. Chciał się wykręcić od odpowiedzi i odparł pie-> chętnie:

— Coś ta bez drzwi słyszałem, bo wyгнаła wszystkich z izby. Tylem pomiarkował, że znali się skądś.

Krzych długo milczał. Mienił się na twarzy i głośno przełykał ślinę, jakby mu prześc gardło nie chciało przejść pytanie. Rzucił je wreszcie zdławionym głosem:

— Chcę wiedzieć, zali to był... mój rodzic?

Radocha oczy spuścił i szarpał wąsa. Nawet kasztelanie przerwał jedzenie, spoglądając na Krzychę, który rozognionymi oczyma wiercił Radochę. Henryk przerwał nieznośne milczenie, mówiąc niefrasobliwie:

— Kto ta może wiedzieć, czyim jest ojcem albo synem? Chyba niewiasta, i to nie zawżdy. Radocha nawet własnych synów nie ciekawy! Tedy najlepiej trzymać się herbu na szczycie, nie dochodząc, czyim pędzlem malowany.

— Was nie pytam — groźnie przerwał Krzych.

— O, do biesa — warknął Henryk. — Gadam, co i kiedy mi się zda, na pytania nie czekając, choćbym i przed sądem stał. Dla mnie rodzic ten, co mnie

chował, a zdrajca ten, kto wrogowi służy. Skoroście takowego ubili, to jeno katu wyręka. Bękartów zaś każdy po świecie ma, nawet i mnisi...

Krzych dźwignął się z pobladałą twarzą, ale kasztelanie patrzył na niego zuchwale i lekceważąco. Radocha skoczył między nich:

— Nie będziecie się tu bić, chyba przódzi ze mną.

Zwracając się zaś do Krzycha, dodał ze złością:

— Nic tu nie mam do ukrywania. Com wiedział, Budziwojowi rzekłem. Wieli kto, o co mnie pytacie -^» to on, bo i po to do Terki jeździł. Jego pytajcie.

Krzych patrzył na Radochę, jakby olśnął. Potem odwrócił się bez słowa i wyszedł. Za chwilę na podwórku rozległ się tupot koni. Radocha uchylił okna i patrzył, jak Krzych z pacholkiem 'wyjeżdża przez bramę. Usiadł, zasumowany i gniewny. Henryk podsunął mu polewkę, mówiąc:

— Was żywot nie boli, tedy pożywcie się. Mór na takowych gości. Prawda, że chłop rosły i wdały, ino głów? ma za małą do reszty.

— I żal mi go, i na siebie złość bierze, żem mu powiedział o Budziwoju, którego Terki tajemnicę chciał utrzymać. Że też człek nigdy nie wie, kie pysk ozewrzeć, a kie zamknąć. Bym mu dawno rzekł, com wiedział, już by i sprawa wywietrzała. A tak owa tajemnica jak płytko przysypane ścierwo: nie wiada co i gdzie, a cuchnie i powietrze zaraża. Chciałem wówczas rzec, to mi ten milczek Pizło nie dał.

— Bo i najlepiej jednego się trzymać, lubo jak Pizło zawždy na gębie siedzieć, lubo jak ja -*- nigdy. Ani się o to nie trąpcie, że społem z nim wojować nie będziem, bo i nie ma czego żałować. Nic po takim, co się nad każdym wrogiem głowić będzie, załjt to nie jego ojciec, brat alibo syn. I ja jadąc pp Nakłę baczę, by jakowego dzieciaka nie stratować, bo a nuz moje. Aje i>o całym świecie stępa jeździć nie mogę.

.-«* Wojowałem b,ez niego, to i będę — odparł Radocha markotnie r- i nie o to się trąpię. Jeno skoro na mriie się zeźlił, żem mu nie rzekł ,onej tajemnicy,

chociem mu nic nie powinien, to co będzie z Kundzią, która się z Budziwojem zmówiła, by ją przed nim ukryć. Wygnać ją gotowy.

— To i co? Wygna, to wy ją weźmiecie. Coś ci wam nadto za skórę wzięła.

Radocha zachnął się:

— Ona nie z takich. Zresztą nie chciała mnie -*- dodał smętnie. Henryk pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Prawda! To jest strapienie. Mnie też raz jedna nie chciała. Tom się ze zgryzoty tak spił, że trzy dni chorzał. Ale mi przeszło. Wiecie co? Napijmy się.

Zima szła znowu ostra i śnieżna, zaspasy zawaliły drogi, w krótkie, chmurne dni grudniowe szary ranek schodził się z przedwczesnym zmrokiem. Głodny **rok** kończył się, ale na nowy nie czekano z ufnością. **Nie** było na Gody zwyczajnej radości, w największe święto mało kto jadł do syta, nabożeństwa odbywały się w na poły pustych kościołach. Kto dalej miał do parafii, oszczędzał sił własnych czy końskich. W wielu osadach za parafian zostały wilki, zębami dzwoniąc na stypie dawnym gospodarzom. Nie słyhać było gęśli ni zabaw w zapusty, jeno wichry grały w bezlistnych gałęziach i świstały przez szpary nie ogacanych ścian opuszczonych domostw.

Łokietek po powrocie z chybionej wyprawy **czyniła** co mógł, by przyjść z pomocą głodującym. Zakon nadal nie przepuszczał żywności z Litwy i Prus, trochę zboża udało się nabyć na Mazowszu i Rusi, dokąd głód nie dotarł. Ściągano je z trudem po kopnych drogach, bo Wisła stanęła przedwcześnie.

Nie był książe wolny i od innych trosk. Brandenburskie wojska zostały w Nowej Marchii, czekając widocznie wiosny, by pomścić spustoszenie. Opór stawić im musiały siły samej Wielkiej Polski, zagrożonej i od zachodu przez sprzymierzonych z **margrafa-**

mi Głogowczyków. Szczupłe zasoby, jakie księciu pozostały po zakupach żywności, zabrał biskup Gerward do Awinionu. Bez pieniędzy nie miał po co jechać, tylko nimi mógł skutecznie walczyć z dobrze zaopatrzonym poselstwem krzyżackim, któremu przewodził obrotny i doświadczony Karol z Trewiru. By odeprzeć skargi i przeciwstawić się zamierzeniom Łokietka, Krzyżacy pozyskać zdołali nawet przyjaznego mu Karola Roberta, spokojna dotąd południowa granica dzierżaw Łokietkowych stała się niepewna, Luksemburczyk zaś w swych poczynaniach, mających udaremnić koronację Łokietka, zyskał sprzymierzeńca, z którym liczy się papież.

Łokietek rozpuścił najemników, których nie było czym opłacić, ograniczył wydatki dworu własnego, i księżnej. Zaciął pas i zaciął zęby. Czekał wieści z Awinionu, ale nie spodziewał się ich prędzej aż 7. wiosną. Przybywało mu lat, siwizny i zmarszczek, braknąć czasem zaczynało cierpliwości. Gdy nadozdoło go zwątpienie, szedł do małżonki. Jej wiara w męża była nie do zachwiania. Bóg go wyznaczył zjednoczycielem uciemżonego narodu, zmarły Jakub upatrzył na wykonawcę swych myśli, musi lnu wymodlić potrzebne do tego siły.

I księżę żywił nie gasnącą cześć i wdzięczność dla zmarłego arcypasterza. Ale Jakub nie był świętym uznanym przez Kościół, ponad posłuszeństwo przedkładał dobro własnego narodu. Święty Wojciech, dotychczasowy patron królestwa, był Czecheni, kult jego związany z Gnieznem. Gdy fundamentem odbudowy królestwa miała być Mała Polska, Łokietek w niej szukał patrona swojego dzieła. Proroctwo, że jajs zrosło się porąbane ciało biskupa Stanisława, tak za* jego wstawiennictwem zrosnie się rozerwane królestwo polskie, jego wskazywało na patrona. Nietrudno było nakłonić krakowską Kapitułę, by wśród ludu szerzyła kult miejscowego świętego i wieści, o cudach, budząc wiarę w jego orędownictwo W* czasie klęsk i skutecznie przeciwdziałając herezji.

Książę najpilniej jednak potrzebował gotowych pieniędzy i żywych ludzi, którzy by los swój na złe i dobre związali z jego dziełem. W stolicy Ostróžka zastąpił Niklas Wirsing. Szczęśliwą w handlu i do ludzi rękę oddał na usługi księcia. Może nawet nie wiedział, na jaką lichwę pożyczka, ale znalazł pieniądze zawsze, ilekroć książę potrzebował. Chciał wrosnąć w naród i wzrosnąć z narodem, wśród którego żyć mu przyszło, nawet przezwisko spolszczył na — Wierzynek. Ubogi, do niedawna nikomu nie znany rycerz z Sandomierskiego — Stefan Pękawka, Zastużony, już w czasie walk z Waławem*, teraz stał się jednym z najzaufańszych księcia. Choć i on urzędu jeszcze nie piastował, na każdy się nadawał, umiając zdobywać powagę i posłuch wszędzie, gdzie go Łokietek użył.

Mimo jednak znajomości ludzi i śmiałości w ich dobieraniu, książę nie mógł rozgryźć Krzycha Leliwy. Zastugi, jakie położył w przygotowaniu brandenburskiej wyprawy, męstwo w boju i — umiejętność" trzymania w karności nieokielznanych najemników pozwoliły księciu zapomnieć o powziętej przeciw cnemu nieufności. W myśli wyznaczył mu już pograniczną kasztelanię, czekał jedynie, by rozmówić się z Jaśkiem. Niezrozumiały postępek Krzycha rozniecił, nieufność na nowo, choć książę zrazu przypuszczał, że jeno do młodej żony spieszno mu było. Łokietek jednak nie lubił głowić się nad ludźmi, których <jk> swych celów użyć zamierzał, ani używać takich, na których życiu zbyt wiele ważyły białogłowy. Z "Własnego i cudzego doświadczenia wiedział, jak się" f\$ to płaci. Zdziwił się niemniej, gdy po powrocie :CiQ Krakowa zastał posłańca Budziwoja. Koniuszy usprawiedliwiał się, że nie przyjechał własną osobą, bo żona Krzycha Leliwy wkrótce spodziewa się zlegnąć. a mąż nie wrócił *jeszcze* z wyprawy. Zapytywał, czy się coś Krzychowi nie przygodziło, i prosił o zezwolenie pozostania, póki położnicy będzie potrzebna opieka. Książę kazał odpowiedzieć Budziwojowi, że

może siedzieć, póki go nie wezwie, a że Krzych po skończonej wyprawie zdrów i cały wyjechał bez pożegnania. Pewnie mu znowu kiecki we łbie. Machnął ręką i przestał o nim myśleć.

Ale Budziwoj tym więcej myślał o Krzychu. Zrazu sądził, że młody rycerz skorzystał, iż bawi w okolicy, by odwiedzić Radochę, a może i swój gród nad Tonczyną. Krzych często wracał wspomnieniem do wypadków, które się tam rozegrały, i nic by w tym nie było dziwnego, gdyby zobaczyć się chciał z ich uczestnikiem i dawnym towarzyszem, a nawet, choć o majątność niedbały, zagospodarzyć gródek na nowo, skoro od krzyżackiej strony spokój teraz panował. Koniuszy podzielił się nawet przypuszczeniem z Kundzią, gdy wiedział, że niepokoić ją zaczyna przedłużająca się nieobecność męża. Nie wspominał jej jednak, że postać pchnął do księcia, by więc* zasięgnąć, nie wiedząc, jak wypadną. Kundzią już ociężała była, jej dzień zbliżał się. Budziwoj lękał się, by jej nie zaszkodzić. Wiadomość otrzymania bił księcia nie uspokoiła Budziwoja. Wrzał przeciw Krzy>chowi, że żonę zostawia w niepewności, ale usiłował ją uspokoić mówiąc, że zapewne kopne drogi i srogie zawieje wstrzymać go gdzieś musiały w drodze. Uśmiechnęła się smutno.

— Wždy wasz posłaniec przyjechał. Nie róbcie przede mną tajemnicy, bom gotowa na wszystko, LĘ^ piej wiedzieć choćby najgorsze, niż oczekiwać, kiedy grom uderzy. Gdy wyjeżdżał, tak mi się zdało, że na zawsze. I nawet się nie obejrzał...

Budziwoj zmieszał się. Krew uderzyła mu do głowy. Odparł gwałtownie:

— Krzych żywie i zdrowy. Dlaczego nie wraca — nie wiem, tedy i o czym gadać? Nie tobie, niebożę, teraz się nad tym głowić. Gdy będzie po wszystkim, sam pojedę go poszukać i choćby związanego przy* wiodę.

— Związanego, może. Jenó ja go trzymać ftie chce, wbrew woli. Czulaam, jak się męczy,;.

Mrugała oczyma, by nie dać poznać, że zaehodzą^
łzami. Koniuszy widział to jednak i ścisnęło mu się
serce:

— Posłuchaj! Może i uciekał, jeno nie przed tobą.
Nie takowemu chłopu siedzieć i na władne Kolana
patrzeć, gdy inni się zasługują, sławy i majątności
dorabiają. Ale czemu nie wraca, to inna sprawa. Nie
pomoże zgadywać, trzeba wiedzieć. Czemu zaraz
przypuszczać najgorsze? Tedy miejże jeszcze cierpli-
wość i jeno urodź szczęśliwie, a wraz po niego poja-
dę, choćby pioruny były.

— Dziękuję wam — odparła całując rękę koniusze-
go. — A jeśli on żywię i zdrowy, a wracać nie chce,
to chyba dlatego, że dowiedział się...

— A choćby się i dowiedział — wybuchnął Bu-
dziwoj — to i co?! Z dobrej woli cię pojął, śmierć
i żona jest jedna, bezecny, kto się od nich wywinąć
usiłuje!

— I miłowanie jedno jest, a mocniejsze — odparła
cicho Kundzia. — Ja wiedziałam, że on nie mnie
miłuje. Jeno myślałam, że przy mnie znajdzie spokój,
że zapomni...

— O czym ty gadasz, niewiasto? — przerwał jej
Budziwoj gwałtownie.

Ale zrozumiał, co Kundzia ma na myśli, jeśli
Krzych dowiedział się, że zabity Krzyżak był jego
rodzicem, gdy minie pierwszy wstrząs, musi pojąć,
że przyczyna, dla której rozdzielono go z Hanna.,
nigdy nie istniała. Jak zawsze człek w rozpacz, bę-
dzie szukał winnych. On sam czuł się winny, choć
jeno z życzliwości dla obojga sprawę zataił i Kun-
dzi zataić kazał. Jeśli Krzych się dowie lub domyśli,
że sprawa im znana, musi ich znieawidzić. Poczul
się winny wobec Kundzi i dodał gniewnie:

— Ciebie miłuje zali inną, tobie jest poślubiony.
A ninie, gdy dziecko na świat przyjdzie, które mu
nic nie winno, hańba mu, jeśli je porzuci.

— On nie wie -r szepnęła Kundzia — i wolej by
się nie dowiedział.

— Za cóż twoje dziecko bez rodzica ma być, jak nieprawe lub sierota — fuknął koniuszy.

— Moje będzie miało matkę. A on nie miał nikogo. Jedną Hannę umiłowal i ją mu odebrali.

— Któż mu odebrał? Ja zali ty?

— Was nie winuję. Hanna wiedziała, jak postąpić. I mnie tak trzeba było lub rzec mu wszystko. Niechby uczynił, co chciał, ale z własnej woli i wyboru. A co ninie uczyni — moja wina... i moja wina, że zs późno.

— Co ma uczynić? — rzucił się Budziwoj. Ale wiei dział, że niewiasty w tych sprawach lepiej rozumieją mężów niż oni wzajem siebie. Krzych w rozpaczy, uczynić może wszystko. Nawet ubić żonę. Budziwoj w rozterce ręką przejechał po siwiźnie. Widząc, jaK Kundzia mieni się na twarzy, pohamował się i, by odwrócić jej myśli, ozwał się z wymuszoną swobodą!

— Oto się głowimy, co by Krzych uczynił, gdyby wiedział, co raniej, a co teraz. A co wiemy? Nic. Może wróci za niedzielę lub dwie i spijemy się na chrzcinach.

Gdy jednak Kundzia smutno potrząsnęła głową, dodał surowo:

A jeśli nawet dowiedział się i będzie szukał winowajcy, to jam winien. Tyś nie wiedziała 6 niczym.

— Nie żyć mi dłużej w ciągłej trwodze, że się kiedyś dowie — odparła. — Jako, mur stało to rtiiędzy nami przez te wszystkie lata. Niechże się zipali, choć-DV na moją głowę. A jeśli ma wrócić, niech wróci z dobrej woli, nie jako zbiegły niewolnik na po* wrozie.

Pozbierane przez Krzycha wiadomości, łącznie 7 domysłami i przeczuciami, które żywił poprzednio, wprawiły go w zamęt graniczący z obłądelij. Rozsypała się w nim wiara we wszystko i wszystkich,

stracił ufność we własny rozsądek, ciskał się jak ryba w matni, niezdolna pojąć, jak znalazła się w splocie niewidzialnych więzów, które odgrodziły ją od życia. Nie wierzył ludziom, okłamywali go wszyscy, wszędzie podejrzewał nieszczerłość i fałsz. Tylko zmarli wiedzą całą prawdę i tylko oni mogą ją wyjawić. Jeśli Terka strzygą jest, powie mu, czyjej krwi pragnie. Będzie wiedział, po co żyć.

Unik z przerażeniem patrzył na swego rycerza, gdy wróciwszy do gródka nad Tonczyną, przesiadywać jął na mogile Terki, szepcąc jakieś zaklęcia czy mówiąc coś do niej. Oczy miał błędne, zdał się nie czuć mrozu ni głodu. Potem przesypiał całe dni, by znowu gadać ze zmarłymi. Snuł się po obszernych, pustych izbach, sam jak mara, z wybladłą twarzą i świecącymi oczyma. Przesądny Unik konał ze strachu, słysząc po nocy szepty i odgłos kroków. Byłby uciekł, gdyby nie ślepe przywiązanie do Krzycha. Modlił się jeno, odżegnując złe duchy, które wołał rycerz, i karmił go niemal przemocą, z troską myśląc, że żywność wkrótce się skończy. Osuchów i kaszy, które zabrali z domu, już zaczynało brakować, rzadko zdarzało się złowić we wnyki zająca. Gdy śniegi zejną, skończy się i ta możliwość. Przyjdzie umrzeć z głodu, jeśli wcześniej nie umrze ze strachu.

, jednego wieczora zdało mu się, że już kona. KrSsych długo w noc krążył po izbach, coś mruczając i szepcąc. Potem wyszedł na podwórzec rozświetlony księżycowym światłem i skierował się ku kopczykom mogił pod wałem. Unik pamiętał, gdzie pochowano Krzyżaka. Teraz Krzych rozgrzebywał zmarzniętą ziemię mogiły, a Unik z wyprężonymi na głowie włosami czekał, kiedy dźwignie się olbrzymia postać w białym płaszczu, z czarnym półkrzyżem.

Ale czas płynął i nie działo się nic. Gdy Krzych dogrzebał się płytko pochowanych zwłok, księżycowy blask oświetlił jeno białe kości. Ciemne oczodoły z czaszki patrzyły w nieskończoność, zęby szczerzyły się martwym, obojętnym uśmiechem. Zniknęło

dawne podobieństwo, umarli wszyscy są do siebie podobni. Niczego nie zdradzą, chcą mieć spokój. Tylko żywych można zmusić do mówienia.

Krzych zasypał mogiłę, przeżegnał się i ruszył do dworca. Resztę nocy przespał kamieniem. Gdy się obudził, oczy miał przygasłe, ale przytomne. Sam kazał podać sobie posiłek i osiodłać konia. Wracali. Unikowi spadł kamień z serca.

Kundzia już wstała po połogu i snuła się po domu milcząca i zadumana. Nie mówiła więcej z koniuszym o Krzychu, ale gdy zbierać się począł do wyjazdu, powiedziała:

— Zabierzcie mnie ze sobą. Nic tu po mnie i ciężko samej siedzieć.

— Co tam prawisz — ofuknął ją Budswoj. — Ani twojej dziewczęce podróż zimową porą, ani ja w Krakowie siedział nie będę, jeno do Radochy jadę wywiedzieć się o Krzycha, póki drogi twarde. Gdy wrócę, czas będzie pomyśleć, co dalej poczynać. A może wcześniej Krzych wróci.

Oboje jednak już w to nie wierzyli, a jeśli czasem myśleli o tym, to z niepokojem. Nadmiernie przeciągała się nieobecność Krzycha bez żadnej o nim wieści, drogi były przetarte, dni dłuższe. Jeżeli nte wracał, to dlatego, że nie chciał, a przyczyna mogła być tylko jedna.

Spirali się parę dni o wyjazd Kundzi, a tymczasem pogoda ustaliła się bezwietrzna, południową porą pogodne słońce dogrzewało już, pora sposobna do podróży. Stary uparł się jednak, by Kundzia została przynajmniej, póki się sprawa nie wyjaśni. Zgodziła się już, jeno nalegała znowu, by ochrzcić dziewczę, nim koniuszy wyjedzie, bo prosiła, by do chrztu ją trzymał. Budziwoj machnął ręką:

— Mnie dziś a jutro. Nie takowego jej opiekuna trzeba...

Urwał, bo miarkował, że mówi tak, jakby już pewne było, że dziecko bez ojca chować się będzie. Zbierała się coś odpowiedzieć, gdy na podwórku wszczął się psi harmider. Psy ujadły radośnie, nie na obcego. Ale w głosie Kundzi nie było radości, gdy szepnęła pobielającymi wargami:

— Krzych!

Kroki, które rozległy się w sieni, były znane i znany skrzyp otwieranych drzwi. Kundzia przymknęła oczy. Poprzez szum w uszach doszedł ją szorstki głos Budzi woj a:

— Czemuż stoisz, jakbyś do gospody wstąpił na piwo? Nie mnie prosić ciebie, byś siadał we własnym domu, a małżonkę powitał.

— Nie wiem, zali nie bardziej wasz niżli mój, bo widzę, żeście się tu zadowili. A małżonkę powitam nie ranej, aż się dowiem, komu mam dziękować, że nią ostała.

Głos Krzycha drgał hamowanym gniewem. Ale nie hamował gniewu Budzi woj. Pięścią grzmotnął w stół i zakrzyknął:

— Nie było nad cię nicwdzięczniejszego głupca! Gdybyś pytał jak człowiek człowieka, rzekłbym ci, -co chcesz wiedzieć, choć i nic ci po tym, ale na obelgę jedną mam odpowiedź!

Porwał się ku Krzychowi, jakby go uderzyć chciał, ale Krzych ani drgnął, ze swej wysokości patrząc pogardliwie na koniuszego:

— Udercie! Wždy prawie, że nie mój to dom, ale nie dlatego ja nie tknę takowego próchna.

Budziwoj pohamował się. Ciężko dysząc usiadł na ławie i ręką za serce uchwycił. Kundzia, blada jak opłatek, podeszła ku niemu i objąwszy za ramiona, rzekła spokojnie:

— Ja was proszę o wybaczenie. Wždy nie o to idzie, jak pyta, jeno o co. Co chcesz wiedzieć? — zwróciła się do Krzycha.

—Od ciebie później. Teraz pan koniuszy ffii po-

wie, po co jeździł do Terki, co mu rzekła i czemu to ja wiedzieć tego nie byłem godzien?

Budzi woj opanował się największym wysiłkiem i odparł:

— Powiem ci. Jenó niech ona wyjdzie. Ona nic nie wie i niechaj się nie dowie.

— Wiem — odpowiedziała Kundzia spokojnie. — Terka mnie mówiła, żeś jest synem Mścigniewa Ng[^] łączka, a Spytek macierz twoją ubił.

Ciszę, jaka zaległa, przerwał drżący głos Budziwoja:

— O tym wiedziała i Hanna.

Krzych zaśmiał się z przymusem:

— Hanna wiedziała, a Kundzia nie? Prawda to* że byłem głupi, wierzyłem w poczciwość i życzliwość tam, gdzie obłuda była i fałsz. Ale ninie już wata na to nie liczyć.

Zwrócił się do Kundzi:

— A teraz ty powiedz: wiedziałaś, że Hannę miłuję?

— Wiedziałam — odparła cicho.

Chciała jeszcze coś dodać, ale przerwał szorstko:

— Starczy mi. Tedy nie ma ci krzywdy, gdy odbiorę, coś wyłudziła.

Odwrócił się i szedł ku drzwiom; Budziwoj zerwał się i krzyknął:

— A dziewczuszcze, którą ci urodziła, też nie -będzie krzywdy?! Szalonemu darmo do rozsądku mówić. Ale kto sumienie ma głuche, bez czci jest!

Krzych zawrócił i stał blady, a Budziwoj wiercił go przekrwionymi oczyma. Krzych swoje opuścił i wzrok wbił w ziemię. Potem odparł zduszony^{TM*} głosem:

— Co mam z majątności, jej ostawiam. Mnie już nic nie trzeba i nic więcej nie mam do dania. A Za sieroctwo wam niechaj podziękuje, jako i ja dziękuję.

Odwrócił się i wyszedł. Słyszeli, jak pachołkowie który konia trzymał u wejścia, wydał rozkaz. Z& tętniły kopyta i ucichło. Kundzia i Budziwoj długo

siedzieli w milczeniu. Koniuszy odetchnął głęboko i zaczął:

— Niechaj go Bóg...

Położyła rękę na ustach Budziwoja:

— Nie przeklinajcie. W żalu was Zelżył. Gdy się przekona, jak iście było, wróci.

Pomyślnie z dawna układające się stosunki między Polską a Węgrami zakłóciły krzyżackie i luksemburskie knowania w Awinionie. Arcybiskup oslrzychowski, Tomasz, korzystając z zamętu w krakowskiej diecezji, zajął gródki biskupie na prawym brzegu Popradu: Luboml, Gniew, Łętownię i Podoliniec, i w ten sposób część Spiszu siłą przyłączył do swej diecezji. Na granicy wszczął się niepokój, droga przez Sącz stała się niepewna, a z zamętu ciągnęły korzyści burzliwe żywioły z obu stron. Ruch handlowy zamierał, -bo poczty kupieckie iść musiały pod siłtą ochroną, wreszcie zamarł zupełnie, gdy z pocztu* liczniejszego niż zazwyczaj, wróciło tylko dwóch pacholców. Przypadkiem jeno uszli cało, zatrzymawszy się z tyłu, i zbiegli nie czekając na pozostałych, z których nie wrócił nikt. Poszły zaraz wieści o zbójckim napadzie do Nowego Sącza, Roźnowa, Czchowa, Melsztyna i innych grodów strzegących bezpieczeństwa gościńca, ale tymczasem przewóz w Rytrze opustoszał i klasztorny gródek, pilnujący cła na przewozie, oraz karczma spały w ciszy jesiennej nocy, zakłóconej tylko jednostajnym szumem rzeki.

Jednego wieczora ciszę zmąciło pukanie do drzwi gospody i zaspany karczmarz usiadł na posłaniu, niepewny, czy go słuch nie zmylił. Gdy jednak powtórzyło się, jął wstawać z namysłem. Może nadeszły załogi gródków, mające ścigać zbójców. Ale w takiinn razie gwar byłby na obejściu, a jak zwykle SEurniał jeno Poprad,

Gdy pukanie rozległo się po raz trzeci, niecierpliwe

już, karczmarz pobudził parobków i wyjrzał przez wycięcie w drzwiach. Stał przed nim tylko jeden człowiek, a na podcieniu drugi trzymał dwa konie. Zaczajonych mogło być więcej, ale karczmarz niepłochliwy był. Rozdmuchał żar, tlejący jeszcze na palenisku gospodniej izby, ujawniwszy płonąca szczapę, otworzył zaworę i wyszedł na pole. Przy blasku łuczywa na stojącym u wejścia roslym mężu zauważył rycerski pas. Uspokoił się nieco, sądząc, że nadchodzą oczekiwane załogi, i zapytał:

— Kogo Bóg przynosi?

— Przenocować chcieliśmy — odparł rycerz.

— Siła was jest?

— Samowtór jedziern. Konie naobroczyć trzeba i w stajni postawić...

Karczmarz przepuścił rycerza do gościnnej izby, sam zaś ruszył wydać obrok dla koni. Zauważył, że boki ich ociekają wodą. Rycerz przepawić się musiał z południowego brzegu po nocy i przez dość głęboką wodę. Takiego karczmarz nie znał w okolicy. Od Węgier chyba jedzie nocą, gościńcem, na którym grasuje szajka zbójcka. Karczmarz, ciekawy z przyrodzenia i swego zawodu, lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia. Podróż w tych okolicznościach mfigit usprawiedliwić tylko pośpiech, więc rycerz; naobroczywszy konie, mógł ruszyć dalej. Po cóż tedy staje na nocleg? Czas niepokoju wzmagał wrodzoną pór dejrzliwość karczmarza. Nie nowina i rycerzom- po gościńcach zbijać. Postanowił mieć się na baczności,' a wybadać, co się da.

Krzążając się po izbie śledził spod oka. ale bacznie, przejezdnego, który siedział zadumany. Wzrost i bary miał potężne, jednak młoda twarz ściągnięta była jakby po wielkim wysiłku lub bólu. Jasne oczy utkwiał w płomieniu ogniska i zdał się nie widzieć gospodarza. Drgnął jak obudzony, gdy ten, stawiając przed nim ćwiartkę piwa, zagadnął:

— Pewnikiem z dalekiej drogi, napijcie się. Wie* czerzę przysposobić?

Rycerz odruchowo umoczył wargi i odparł:

— Nie.

— Ani chybi wieczeraliście w Piwnicznej lub Żegiestowie?

— Nie — powtórzył rycerz niechętnie.

— Poczeta wasz skoro tu będzie? Rad bym wcześniej wiedział, bo zapasów nijakich nie trzymam. Mało teraz przejezdnych, a już ninie, póki zbójców nie wytepią, co onegdaj kupców obrali, ani się kogo spodziewać. Myślałem, że wy prowadzicie gródkowych i miejskich, co łotrów łowić mają, bo ino co ich pa-trzeć.

Sledził spod oka wrażenie, jakie wiadomość uczyni na przejezdnym, ale w tej chwili wszedł pacholek, a rycerz odezwał się:

— Jemu dajcie jeść — i znowu popadł w zadumę.

Karczmarz przystawił kociołek na trójnogu do ognia i zwrócił się do pacholka:

— Po dalekiej drodze zdałoby się coś więcej, **ale** musi ci starczyć okraszona kasza. Gdy baby wstaną rano, bogdaj jakiemu kogutkowi łeb ukręcę na polewkę.

Gdy i pacholek się nie odezwał, karczmarz postawił przed nim dzbanek piwa, mówiąc:

— Napij się i ty. To z Węgier j-edziecie? **Prawią**, jakoby ku wojnie z nami się miały. Cóż **tam** dychać?

— Nie wiem — odparł pacholek i urwał pod groźnym spojrzeniem rycerza. Potem bąknął coś od rzeczy, gdy karczmarz jeszcze raz i drugi usiłował go zagadnąć. Podejrzliwość gospodarza wzmogła się. Posprzątał naczynia po wieczery i wskazując **drzwi** przyległej komory, powiedział:

— Wywczasujcie się, póki strażą **nie nadciągnie**, bo juści i swaru naczyni.

Życzył dobrej nocy i wyszedł. Kazał parobkom czuwać całą noc na zmianę, sam zaś nasłuchiwał **pod** drzwiami. Zdało mu się, że pacholek prosił o coś rycerza, ale ten szorstko odmówił.

Noc minęła jednak spokojnie, przejezdni wstali przed świtem i rycerz, nie czekając nawet na śniadanie, mimo zaproszeń karczmarza, kazał konie osiodłać, rzucił nie licząc kilka groszy i ruszył drogą na Sącz. Karczmarz zły był sam na siebie, że bez potrzeby noc zmitrężył, a ciekawość — skąd i dokąd jechał rycerz — dręczyła go przez cały dzień. Straż nie nadchodziła; karczmarz wieczorem pozamykał budynki i ułożył się spać wcześniej niż zazwyczaj. Ale i tej nocy nie dane mu było przespać spokojnie. Kolo północy obudził go gwar na obejściu, tym razem znacznej gromady ludzi. Zerwał się przypuszczając, że wreszcie nadciągnęły załogi, i szedł otworzyć karczmę, gdy rozległo się gwałtowne kopanie we drzwi. Drżącymi rękoma odłożył zaworę, a pchnięte podwoje odskoczyły i do sieni wtoczyło się dwóch zbrojnych, niosąc jakiś ciężki przedmiot. Tuż za nimi ukazał się poznany wczoraj rycerz i otworzywszy drzwi do izby gościnnej wszedł pierwszy, milcząc wskazał ławę, na której niosący złożyli ciężar i wyszli. Karczmarz mimo strachu nie mógł opanować ciekawości i rozdmuchując żar na kominie, patrzył na owinięty w płachtę toból. Ani chybi człowiek. By się załgać, zwrócił się do rycerza:

— Karczma jest dla wszystkich i nic mi do tego, kto zajędzie. Jeno nie pozwólcie ukrzywdzić ubogiego człowieka, ślachetny panie.

Rycerz jednak patrzył na niego, jakby nie słyszał lub nie rozumiał, i bez słowa wskazał mu drzwi. Karczmarz wyszedł szybko, ale nie zamierzał poprzestać na tym. Podśluchiwanie nieraz mu korzyść przyniosło lub uchroniło od strat i miał w tym celu wydłubaną szparę w powale, przez którą mógł ogarnąć okiem prawie całą izbę gospodnią i eonie bądź usłyszeć. Cichcem zakradł się na podstryżę i spojrział.

Słusznie w tobole domyślał się człowieka, niemniej zdziwił się. Na ławie z twarzą ukrytą w dłoniach siedziała niewiasta. Ostrzyżony krótko ciemny włos na odkrytej głowie i suknia zakonnego kroju zdra-

dzały mniszkę. Z pola dochodził gwar zmieszanych głosów, ale w izbie panowała cisza. Rycerz stał przed mniszką w milczeniu. Po chwili z wahaniem przystąpił do siedzącej. W postawie jego i ruchach widać było niepewność i wzruszenie. Karczmarz wyłożył uszy, a bystre miał. Ledwo dosłyszał niski, drgający głos:

— Nie lękaj się, Hanno. Wždy to ja!

Podniosła twarz. Rozognione, suche oczy utkwiała w stojącym, który cofnął, jakby mimo woli, wyciągniętą ku niej dłoń. Odparła rwącym się, ale silnym głosem:

— Nie masz już Hanny. Jam Kinga. I wolej bym w zbójcekim była ręku. Wolej bym była! I cößeś ty, nieszczęsny, uczynił?! — niemal krzyknęła i znowu twarz ukryła w dłoniach.

Stał zmieszany z opuszczoną głową. Po chwili zaczął:

— Wysłuchaj! Musiałem mówić z tobą... a nie dopuścili mnie.

— I po to Dom Boży łotrom na łup musiałeś wydać... poświęcone progi skalać krwią... hańbę ściągnąć na mnie, a przekleństwo na siebie...

Mówiła w uniesieniu, wykręcając długie białe palce. Głos jej się zflamał i urwała. W jego głosie natomiast brzmiał hamowany gniew i żal, gdy zaczął na pozór spokojnie:

— Ea nic mi wszystko. Jak żywot długi, rządził się mną i wysługiwał kto chciał, wszędy jeno fałsjt i kłam. A mnie nawet słowem bronić się nie wolno! Przekleństwo, mówisz? Z mlekiem matki je wyssałem. A krew?

Wyciągnął ku niej szerokie dłonie i mówił coraz bardziej wzburzony:

— Spójrz! Na tych rękach ojcow... jakiej się jeszcze mogę ulęknąć?

Krzyknęła i skulona patrzyła na niego, a w oczach jej zjawił się wyraz przerażenia i zgrozy. On ciągnął w uniesieniu:

— Jak żywot długi, ciebie jedną spotkałem, coś miłowaniem odpłaciła za miłowanie... i rozdzielono nas... szalbierstwem.

Chciała mu przerwać, nie słuchał jej. Głos mu się rwał, ale niemal krzyczał:

— Wiedział Budziwoj, gdy mnie swatał... wiedziała małżonka moja, gdy mnie pojęła... wiedział rodzic twój, gdy cię w klasztorze zamknął... wiedział, kto chciał, jeno nie ja... i nie ty, że nas o dolę oszukano... bogdaj wraz ze mną z piekła nie wyrzeli...

— Zamilcz! — krzyknęła z rozpaczą.

Urwał i dyszał chrapliwie, a ona mówiła, siłując się z łkaniem:

— I ja wiedziałam... Rodzic mi rzekł i **mnie** wybór ostawił... Z dobrej woli wybrałam, przeklnijże i mnie...

Chciała jeszcze mówić, ale zaniósła się suchym szlochem. Stał jak ugodzony w głowę, chwiejąc się na nogach. Po chwili szepnął:

— Nie miłowałaś mnie.

Siliła się, by opanować łkanie, i zaległa cisza, którą z naglej przerwał wrzask dochodzący z pola, wzmagający się gwałtownie. Po chwili wmieszał się szczepek broni. Nie było wątpliwości, wrzała walka.

Hanna opanowała się już i, zerwawszy się, chwyciła Krzycha za rękę, potrząsając **nim**:

— Sam wszystko zrozumiesz... Uchodzi — krzyknęła. — I niech ci Bóg wybaczy!

Spojrzał na nią półprzymkniętym i odparł beztoarwym głosem:

— Niech tobie wybaczy moją śmierć.

Nie poruszył się, nawet gdy wrzaski rozległy się w sieni, drzwi rozwarły się z łoskotem i do izby wpadła gromada zbrojnych. Nie stawiał oporu, gdy mu wiązano ręce. Nie obejrzał się, gdy wywlekano go z izby. Zdał się nie czuć, gdy go jak wór ciśnięto na wóz, na który ładowano pojmanych zbrojnych. Rozumiał tylko, że nie ma po co ani jak żyć.

Wieść o napadzie na klasztor i porwaniu Hanny doszła kasztelana Jaśka tejże nocy w Nowym Sączu, gdzie zatrzymał się ciągnąc ze zbrojnym poczem, by uśmierzyć niepokoje na granicy i oczyścić ze zbójów gościniec. Nie czekając, aż hufiec zbierze się, ruszył sam, gnany niepokojem. U przeprawy przez Poprad pod Sączem dowiedział się, że pogoń już ruszyła, nie wstępując tedy do klasztoru, pognął dalej, ale zdro*żony koń zaczynał ustawać. Chcąc nie chcąc powściągnął go, nie mógł jednak powściągnąć myśli, które gnały za sprawcą niesłychanej napaści. Nie miał wątpliwości, kto nim był. Niedawno, bez słowa wyjaśnienia, Krzych odesłał mu całą sumę, jaką otrzymał z rzekomego spadku. Dowiedzieć się musiał, jak sprawy stały, i to wyjaśniało uczynek, którym na zawsze odciął sobie drogę do powrotu, gdyby nawet udało mu się ujść sprawiedliwości. Ale ujść nie może, Hannę trza odbić natychmiast, po to, by w klasztornej samotności do końca życia rozmyślała, że ten, dla którego je poświęciła, zgubił duszę i ciało. Żal i gniew wstawały w Jaśku. Przeklęta a nie pomszczona zbrodnia Spytka wciąż wydawała gorzkie owoce, choć kości jej sprawcy dawno próchniały w ziemi. Gniew i żal Jaśka zwracały się przeciw księciu, że kary nie domierzył Nałęczom za sierocą krzywdę. Od niej zaczęło się wszystko zło. A zarazem kasztelan uświadamiał sobie, że księżę nie mógł jej domierzyć. Nałecze zbyt byli potężni, od nich zależało panowanie w Wielkopolsce. W rozterce kasztelan rozpoczął poranne modlitwy, bo świtało już. Z rzeki wstawał opar, sunąc z powiewem od wschodu, i widoczność malała, mimo że czyniło się coraz jaśniej. Jednostajny szum rzeki wraz ze znużeniem nie spanej nocy niósł ulgę otepienia. Zmieszane myśli Jaśka urwały się bezsilnie. Wiodły donikąd.

W szum rzeki wmieszał się gwar na gościńcu, który otrzeźwił kasztelana. Pchnął konia i za pierwszym zakrętem gościńca dostrzegł we mgle gromadę ludzi otaczających wozy. Odetchnął: na pierwszym z nich

poznał Hannę. Dосkoczył i przez chwilę ścisnął ją **bez** słowa.

— Krzych? — zapytał szeptem.

Ledwo dostrzegalnie skinęła głową i opuściła powieki, spod których popłynęły łzy. Umilkł. O czym tu mówić? W milczeniu też, o jasnym już dniu wjeżdżali do Sącza.

W miasteczku panowało poruszenie, a wieść o pojmaniu zbójców rozeszła się lotem i gdy orszak skierował się ku klasztorowi, tłum zgęstniał tak, że Jaśko z trudem torował drogę. Z ciżby tu i ówdzie zaczęły padać groźne okrzyki i nagle tłok uczynił się koło wozów z więźniami, a straż ledwo już utrzymać mogła napór rozjuszonego tłumu, który widocznie **sain** wymierzyć chciał doraźną sprawiedliwość.

Kasztelan spojrział na Hannę i zagryzł **wargi*** Wparł konia w ciżbę i dotarł do wozu z więźniami. Na jego widok wzniesione kije i pięści opadły. Jaśko zaś korzystając, że wrzask przycichł nieco, huknął:

— Każdemu będzie dane ujrzeć, że prawo karze takowe lotrostwo, ale sąd i kaźń nie do was należy. Nad zbójami — do kasztelańskiej jurysdykcji, nad rycerzem zaś — do ksiączęcia. Odstąpcie tedy, bo kto by przestępców sprawiedliwości odjąć usiłował, jako buntownik będzie karany.

Tłum cofnął się, a orszak szybko wjeżdżał w klasztorne obejście. Jaśko zeskoczył z konia i pomagał wysiąść Hannie. Mimo woli wyrwały mu się słowa:

— Nie wiem, zali nie lżejsza byłaby takowa śmierć...

Urwał, bo Hanna podniosła na niego oczy. Było w nich rozpaczliwe błaganie, którego wypowiedzieć nie miała odwagi. Jaśko odwrócił głowę, bo nie mógł znieść tego spojrzenia, zresztą już nadbiegły mniszki, obejmując Hannę i witając. Zabrały ją między siebie, a do Jaśka podeszła przełożona, zapraszając na wypoczynek. Kasztelan jednak wymówił się pościem. Nie chciał już widzieć córy, chciał zostać sam. Za chwilę, wyprzedzając orszak z więźniem, ciągnął do

Meisztyna. Kilkakroć z wahaniem podjeżdżał do wozu, na którym leżał Krzych, jakby chciał z nim mówić. Ale więzień spał lub udawał, że śpi, bo spuchnięte i posiniałe od więzów ręce musiały rau sprawić ból. Nie poruszył się nawet, gdy kasztelan kazał mu zluźnić więzy. Gdy pod wieczór dotarli do Melsztyna i zesadzono Krzycha z wozu, nie spojrział nawet, gdzie jest, i otoczony przez straż szedł pod górę.

Przy bramie zebrał się kto żył na wieść o powrocie kasztelana. Młody Spytek wybiegł witać ojca, pytając o przebieg wyprawy. Urwał w pół słowa, gdy dostrzegł prowadzonego Krzycha i patrzył, jakby oczom nie wierzył. Gdy więzień mijał go, Spytek wyciągnął ręce, ale Krzych przeszedł, jakby go nie zauważył. Spytek stał osłupiały. Kasztelan rozdrażniony krzyknął na syna:

— Góź stoisz, jakbyś upiora ujrzał! Pójdź za mną!

Ruszył do zamku, a Spytek za nim. Jaśko skierował się do małej narożnej komnaty, przepuścił syna przed sobą i zamknawszy drzwi, ciężko opuścił się na ławę. Spytek stał w milczeniu, nie ważąc się już zagadnąć. Tak zgnębionego ojca jeszcze nie widział. Jaśko twarz miał zmiętą i postarzałą, przekrwionymi oczyma patrzył przed siebie, jakby zapominając o obecności syna. Wreszcie odezwał się obcym głosem:

— Katu go wfiózę.

— To być może! — krzyknął Spytek. — Wždy ió brataniec wasz.

— Nijaki brataniec. Nałęcz jest. To była owa przekłeta tajemnica.

— Mnie i wam żywot ocalił — szepnął Spytek.

Kasztelan zerwał się w rozdrażnieniu i uderzając pięścią w stół, krzyknął:

— Sam pomnę! Nie twoja rzecz mi przypominać! Bogdaj nie był ocalił!

Opanował się, ale nie uspokoił. W ciasnej przestrzeni kręcił się jak wilk w grodzach. Spytek do-i myślił się, że Krzycha wraz ze zbójami schwymano,

ale nie mógł pojąć, co go skłoniło do połączenia się z nimi. Jenó nie pierwszy to rycerz, co na gościńcu łupów szuka. Jeśli w bitce nie da głowy, czeka go bannicja, konfiskata majątności, ale nie pieniek czy powróż. Nie mógł zrozumieć, a nie śmiał zapytać. Patrzył na ojca, czekając wyjaśnienia, ale kasztelan usiadł i głowę wsparłszy na obu rękach[^] jakby mu ciążyła nadmiernie, pogrążył się w ponurej zadumie. Wreszcie podniósł oczy i powiedział:

— Zejdiesz do stajen, Dwa konie każ osiodłać, co najściślejsze.

— Pojedziem? Dokąd? — Wždy noc, a jużecie dwie nie spali.

— Czekaj — przerwał kasztelanc, —*■ Zabieresz je, podjedziesz dwa stajania ku Czchowu i przy gościńcu się przytairsz. Gdy się spotkasz z Krzychem, daś mu konia i niech jedzie, gdzie go oczy poniosą. "Sam zaś skoczysz do Hanny i rzekniesz jej, że l&ezydh uszedł.

Zdumiony Spytek zbierał się, by coś m'ówic*,ale kasztelan powstrzymał go niecierpliwym rucReni ręki:

— Dowiesz się wszystkiego od Hanny. Jako zaraza wlecze się za nim nieszczęście. A jedno bezprawie rodzi drugie, ja zaś miał kres temu położyć, sam do niego ręki przykładam — dokończył z goryczą. — Idź!

Gdy Spytek wyszedł, Jaśko "WBIUI 1 ująwszy naganek, tajnym przejściem skierował się do wieży. Skradał się jak złodziej we własnym domu. Bezszelestnie i dźwignął zapadnię i spuściwszy drabinę wszedł do lochu,

W kącie na słomie leżał Krzych. Qpok posłania nie tknięty bochen chleba i misa z polewką. Gdy kasztelan wszedł, Krzych odwrócił się od światła. Nie spoj-rzał, gdy kasztelan rzekł:

— Wstawaj! Wywiode cię 2 zamku. Przy goś[^]ńew ku Czchowu czeka Spytek z koniem. Biera go i strać się z mych oczu.

Gdy Krzych się nie poruszył, kasztelan powtórzył ostrzeż:

— Wstawaj! Słyszysz? Bym się nie rozmyślił.

Obojętnym, ospałym głosem Krzych odparł:

— Niepotrzebna mi wasza odwdzięka. Nigdzie nie pójdę.

Kasztelan aż się skręcił w bezradnej złości. Niemal krzyknął:

— Szalony człeku! Zali nie rozumiesz, coś uczynił? Zali nie wiesz, co cię czeka? Kołem cię łamać będą, ćwiartować i palić, a prochy na wiatr rozrzucą, jako świętokradcy. Ciała i duszy zatrata!

Krzych usiadł na posłaniu i jasnymi oczyma patrzył na kasztelana. Nie było w nich już otepienia, jeno gniew:

— A wam cóże o to? Stracę się tedy z waszych oczu i nie ujrzycie mnie więcej. Chyba że upiorem 'wróczę...

Usiłował drwić, ale podniecał się. Oczy mu płonęły. Zerwał się i krzyknął:

— Przeklęty! Cokolwiek czyniłem, zawsze się na złe obracało. I ja przeklinam! Siebie i was! Wolej bym wonczas biesa w lesie spotkał. Od tego się zaczęło, niechajże raz będzie kres...

Urwał i umilkł. Kasztelan usiadł na pieńku i zapatrzył się w płomień kaganka. Gdy Krzych nie odezwał się więcej, zaczął:

— Posłuchaj! Bogiem się świadczę, że prawda, co rzeknę: zawsze jeno wdzięczność i życzliwość żywiłem dla ciebie. Byłbym ci Hannę dal, choć nieznanemu. Ale cóż w tym dziwnego, że wiedzieć chciałem, ktoś zacz?

Krzych usiadł na posłaniu i objąwszy dłońmi kolana opuścił oczy. Kasztelan ciągnął:

— Gdym ci jej odmówił, tyle wiedziałem, że brat mój macierz twoją ubił w szaleństwie, a tyś jeno cudem uszedł jego ręki, choć cię za syna miał. Nijak mi było Hannę za ciebie dać, ale co miałem rzec tobie? Lękałem się, byś Bożej sprawiedliwości nie

uprzedził na rodzicu, gdym go ledwo powstrzymał, by sam na siebie ręki nie podniósł. Z własnej woli poszedł na przepadłe i zginął... Z własnej woli Hanna wstąpiła do klasztoru, gdy nie mogła być twoją. Zdało jej się, że wymodli zbawienie dla stryja, a szczęście dla ciebie...

Jaśko umilkł i zbierał słowa, a Krzych siedział bez ruchu. Kasztelan podjął z goryczą:

— Bogiem się świadczę, że jenom się dowiedział, jak sprawy stoją, nie tailem ich przed Hanną, jej wybór ostawując. Czas jeszcze miała zawrócić. Kosztem własnej szczęśliwości wybrała spokój dla ciebie... byś się nigdy nie dowiedział... Może i myślała, że zapomnisz o niej, bo juści rzekłem i o tWoich; sprawkach z Adelajdą.

Krzych skulił się, a kasztelan ciągnął:

— Musiała wiedzieć wszystko, skoro **miała** wybrać. Ale rozumiem i ciebie. Człek w **rozpaczy** jakq pies, gdy mu odynieć krzyż przetrąci, **kasać potrafi** rękę, co mu ulgę chce przynieść.

Krzych oddychał głośno, głowę oparłszy na **kolanach**, a kasztelan mówił dalej:

— Twój własny rodzic w godzinie śmierci zakazał ci wyjawić, ktoś jest, byś nie wiedział, żeś ręce skalał ojcowską krwią. A Hanna musiałaby ci rzec, gdyby inaczej wybrała... i ona jedna miałaby prawo. Wybrała twój spokój, a ty jakoś jej odpłacił?

Patrzył surowo na Krzycha, który trząst **się** i wyłamywał rękę:

— Teraz rozumiesz, coś uczynił? Maro, żeś **jej** spokój zburzył. Chcesz jeszcze, by do końca żywota rozmyślała, że ofiarę poniosła nie jeno na **próżno**, **ile** że zgubiła cię przez nią, teraz i na wieki!

Głos Jaśka zadrżał, ale opanował go:

— Nie łza cudzym swoje długi piasie i me z wdzięczności chcę cię sprawiedliwości odjąć. Obydwaj dłużniśmy to Hannie, by nie musiała myśleć, że za jej ofiarę katu oddałeś głowę, a diabłu duszę..

Głos kasztelana się załamał, więc kończył prędko:

— Pomyśl nje o swojej, ale o jej krzywdzie. Większa nie spotkała chyba nikogo...

Hrzych powstał i powiedział cicho:

— Małżonkę moją... Kundzię... i naszą dziewczuskę. Pójdźmy!

Jaśko ujął kaganek i ruszył przodem. Gdy otwierał furtę na urwisty stok, zapytał:

— Co poczniesz z sobą?

— Nie wiem — odparł Krzych. — Będę żył.

Na siwiejącą już głowę księcia waliły się kłęski, a suchą twarz orały brzdami coraz to nowe troski. Trzeci rok głodu w zrastającym się dopiero państwie Łokietkowym wyczerpywał i tak wątłe jego siły. Chłoptwo szło w lasy, gdy zwierza nie stało, jadło korę z drzew, słychać było o wypadkach, że wbrew prawom boskim i ludzkim zjadano trupy. A Zakon wciąż nie przepuszczał Wisłą statków ze zbożem z nadmorskich okolic, gdzie ozime zboża nie Wygniły pod długo na wiosnę zalegającymi śniegami, a jarych nie wypaliła susza. Czekał, kiedy kłęska złamie upór Łokietka, nie zaniedbując szkodzenia triu w Awinionre i gdzie się jeno dało.

Były Wielki Mistrz, Karol z Trewiru, wymową swą i skromnością zdołał ułagodzić oburzenie, jakie wśród zobojętniałych nawet na gwałty i bezprawia kardynałów zbudziły jawne dowody bezecnych postępów Zakonu. Umiął uderzyć w pokorę, własnej słabości przypisując winę rozpasania braci, a uznając swą Hieudolność "złożył urząd w niezłomnej nadziei że godniejszy ■ jego zastępcą sprowadzi Zakon "ha drogę jego wielkiego posłannictwa. Zaprzysiągł, że Zakori ttie bętzie więcej palić kościołów, uciskać duclwii-\$istwa i przeszkadzać w szerzeniu wiary chrześcijańskiej. W odpieranie zarzutów się nie wdawał mówiąc; że wyznaczeni prze% Kurię sędziowie na miejscu sami sprawdzą najlepiej, ile jest w nich

słuszności, a ile oszczerstw i zawiści, a orzeczeniu ich Zakon podda się z pokorą i synowskim posłuszeństwem.

Wiadomości przywiózł biskup Gerward, a wśród płch i pomyślniejsze: Kuria uznała przynależność chełmińskiej i kamińskiej diecezji do polskiej prowincji kościelnej, mianując kolektorem arcybiskupa Borzysława. Łokietek jednak nie łudał się, by oznaczało to uznanie przynależności Pomorza do jego państwa. Chodziło o świętopietrze, którego nie płacił z zagarniętych ziem ni Zakon, ni Konrad kamiński. Jeżeli zgodzą się płacić, Kuria straci w tej sprawie własny interes. O koronacji nie było co i mówić, gdy Borzysław mimo zatwierdzenia nie uzyskał dotychczas sakry ni paliusza.

Nie doczekał ich zresztą, wkrótce bowiem po porożeniu Gerwarda przyszła wiadomość o śmierci arcybiskupa. Pochowany został w Awinionie u Świętego Jana Ewangelisty, a wobec śmierci *in curia* obsadzenie wakującej stolicy i dochody z niej w czasie wakansu należały do papieża. Zamianował wprowadzić arcybiskupa bawiaącego w Awinionie archidiacona gnieźnieńskiego Janisława Sulimę, ale w tym stanie rzeczy nie było nadziei, by udzielenie sakry i paliusza rychło na-itało, a wraz z tym odsuwała się nadzieja na rychłą koronację.

Nie brakło Łokietkowi i bliższych trosk. Z wiosną najazd brandenburski spustoszył znaczną część Wielkiej Polski. Wrogi Łokietkowi ród Niałków-Jeleni wydał margrafom grody swe: Babimost, Zbąszyń i Trzcianę, które broniły przejść między jeziorami Obry na Poznań. Groził nowy najazd, tym razem nie tylko od północy, ale i--od zachodu, a ze zubożanego kraju trudno było wycisnąć środki na obronę. Tymczasem donosił arcybiskup Janisław, że sprawa koronacji stoi źle. Krzyżacy po śmierci Marii, córki Kazimierza cieszyńskiego, swatali Karola Roberta z Beatą, siostrą Jana Luksemburskiego. By przeciwdziałać ich knowaniom w Kurii, arcybiskup zażądał pieniędzy,

a Łokietek ich nie miał. Najważniejsze dochody z ceł kurczyły się przerażająco, zamknięcie dróg na Węgry wysuszyło to źródło niemal do cna. Książę miał nadzieję, że kasztelan Jaśko, nawykły do walk i łowów na łotrzyków, oczyści pogranicze. Sprawa była poważna nie tylko ze względu na dochody z ceł. Znowu podniosły się głosy, że książę porządku i prawa w państwie utrzymać nie potrafi. Niklas Wirsing donosił, że nawet niedawno poskromione mieszczaństwo krakowskie znowu szemrać zaczyna. Zabór Pomorza zamknął już dla Krakowa handel z Flandrią i innymi nadmorskimi krajami, a zamknięcie go jeszcze z Węgrami równało się dla mieszczan klęsce.

Łokietek odgryzał się, jak mógł i umiał. Krzyżackim kupcom zakazał wozić towary poza Konin i Kalisz, inne trakty handlowe zamknął dla nich zupełnie, jeno dopilnować zakazu nie miał kim. Kurii za poparcie w sporze z Zakonem i na poparcie swych starośców o koronację zaoferował pomoc w zwalczaniu herezji i zamianę świętopietrza z podymnego na pogłówny, ściągając na wyczerpany klęskami kraj nowy ciężar, a na siebie nowe szemranie. Ale głowy nie tracił, nie tracił też z oczu swego celu ani zawziętości w zmierzaniu do niego. Natomiast tracił cierpliwość i z dnia na dzień czekał wiadomości od Jaśka o poskromieniu pogranicznych napaści.

Zamiast tego przyszła wiadomość o napadzie na klasztor sądecki, jeden z niewielu, który w czasie buntu stanął po stronie Łokietka i cieszył się szczególnymi jego względami. Miarka przebrała się, i teraz już niemal z godziny na godzinę książę wyglądał Wieści o pojmaniu sprawców napadu, których każda posłużyć ♦miała za odstraszący przykład.

Jakoż prawie jednocześnie przyszła wiadomość z klasztoru, że porwana córka kasztelana została odbita, a od sądeckiego burgrabiego o straceniu pojmanyh węgierskich i polskich łotrzyków pogranicznych, jacy brali udział w napaści, oraz o zabraniu rycerza,

który im przewodził, przez kasztelana Leliwę do ukarania go książęcym sądem.

Łokietek zrazu dziwił się i biesił, że kasztelan nie nadjeżdża, potem zaczął się niepokoić i czegoś domyślać. Ale domysły zdały mu się nieprawdopodobne. Krzych, ongiś zmówiony z Hanną, gdy wyszło na jaw, że jej krewniak, ożenił się przecie, osiadł na wsi i potomka już musiał się doczekać. Ale wciąż coś niejasnego było dokoła tego człowieka.

Teraz przyszedł księciu na myśl dlatego, że imię jego wiązało się ze sprawą Muskaty, która zdała się mieć ku końcowi. Z przepotężnym ongiś zausznikiem Przemyślidów nie liczył się już nikt. Jan Luksemburski przestał wierzyć, by — od lat pozbawiony władzy; i dochodów, a ninie stary już i chory — dawny sorjusznik przydać mógł się jeszcze w grze o polską koronę. Jakby na odczepne postarał się jeno, że w Awnionie przypomniano sobie dawny wyrok legata Gentyliisa i od powrotu biskupa na diecezję uzależniano zdjęcie klątwy i interdyktu. W Polsce już niemal o nich zapomniano i Łokietek lekceważył je, ale nie lekceważył przychylności Kurii ni trudności Janisława, który ze swej strony doradzał ustępstwo w sprawie Muskaty. Tego wroga już się Łokietek nie obawiał. Szkody, jakie jeszcze mógł wyrządzić, niczym były wobec konieczności uporządkowania choć tej sprawy, zabagnionej od lat, i Łokietek wyraził już zgodę na sąd polubowny arcybiskupa.

Oczekiwał tedy książę Jaśka Leliwy nie tylko ze względu na sądeckie wypadki. Spraw nagromadziło się wiele, postanowił tedy zwołać powszechny zjazd rycerstwa do Sulojowa, gdzie i sądy miały się odprawić. Tymczasem doniesiono księciu, że w mieście szeptają, iż zbrodnia napadu na klasztor i pojmania mniszki ujdzie sprawcy płazem, jako już raz uszła. Imię jego nie było dla nikogo tajemnicą, bo ogłoszono klątwę we wszystkich kościołach parafialnych. Łokietek postanowił dać przykład, iż żadne względy takich win nie osłonią, tym bardziej że stosunków %bisku-

pem też nie zamierzał zaczynać od dania mu do ręki zarzutu, że osłania wykletego świętokradcę, z którym na dobitkę i Muskata miał swój obrachunek o siostrę.

Jaśko tymczasem ciągnął do Krakowa jakby z wozem kamieni. Teraz miał czas przemyśleć na chłodno, co uczynił, odejmując sprawiedliwości na licu schwytanego zbrodniarza. Lepiej niż ktokolwiek wiedział, że nadzieja spokojnej ludności, iż Łokietek uśmierzy zamęt, samowolę i bezprawie, dla których podział na dzielnice stwarzał sprzyjające warunki, daje księciu poparcie w jego zamierzeniach, którym kasztelan całe swe siły poświęcił. Teraz sprzeniewierzył się księciu i sprzeniewierzył sam sobie.

Gorzkie *były* myśli Jaśka i wstawał w nim bunt. Sprawiedliwość, której ramię sięga jeno słabych, a silni drwią z niej, nie jest żadną sprawiedliwością. Nałęczom bezkarnie uszła sieroca krzywda, która była nasieniem zła. A bez ich poparcia Łokietek nie byłby objął Wielkiej Polski ni w niej się utrzymał. Święcę dali przykład, co potrafią potężni możnowładcy, gdy Wyrok wypadnie nie po ich myśli. Daleko jeszcze do tego, by w silnym państwie prawo było jednakowo skuteczne dla wszystkich. Jaśko poczuł znużenie i zniechęcenie. A choć wiedział, że jedzie naprzeciw burzy, nie przyszło mu na myśl, by ucieczkę więźnia złożyć na przypadek. Toteż gdy dotarł wreszcie do Krakowa i natychmiast wezwany stanął przed księciem, na zapytanie, gdzie znajduje się sprawca, odparł ponuro:

— Wypuściłem go.

Przygotowany był na wybuch. ŁOKietek z wiekiem stawał się coraz popędliwszy. Teraz jednak, ku zdziwieniu kasztelana, przemierzać jął komnatę szybkim krokiem, jak zwykł czynić, gdy wzburzony **był**, a chciał się pohamować. Przystanął wreszcie **przed** kasztelanem:

— Znowu o tego otroka chodziło — rzekł — co tyle już narobił zamieszania. Oto masz przykład, jak bezkarność jeno uzuchwała, a **kto** jeno oparcie **czuje** za

sobą, pozwala sobie na wszystko. Wie zadość było, żeś go raz urwał z powroza? Wszak ci i wdzięczność, i swojackie względy tam winny mieć kres, gdzie się kończy wiara i poczciwość. Przecześ to uczynił?

Jaśko wolałby wybuch gniewu niż gorzki wyrzut, który brzmiał w słowach Łokietka. Ale i jego ogarniało rozgoryczenie. Kto winien, że dano mu wybór między obowiązkiem a krzywdą córki? Przełało się w słowach:

— Nijaki on mi swojak i nie z wdzięczności go wypuściłem. To syn Mścigniewa Nałęczu, któremuście sprawiedliwości nie domierzyli, gdy go opiekunowie wyzuli z dziedzictwa. Od tego się zaczęło, a skończy — Bóg wie na czym, bo nie widać kresu tej sprawie.

Łokietek długo stał i patrzył pytająco na Jaśka. Znał jednak sprawy na tyle, że widno sam domyślił się reszty. Znowu chodzić jął po komnacie. Po chwili przystanął i zaczął:

— Tedyś mu za mnie odplacił. Mnie nic nie ujdzie bez odpłaty. Juści, że Sprawiedliwym mnie nie nazwą, bo sprawiedliwość siły wymaga, a ja jej nie mam. Oto i ciebie ukarać by należało, a nie uczynię tego...

— Uczynicie! — wybuchnął opanowany zazwyczaj Jaśko. — Jeno wysłuchajcie mnie przódzi.

Zaczął mówić gwałtownie i nieskładnie, a Łokietek słuchał ze zmarszczoną brwią. Gdy kasztelan skończył, odezwał się:

— Juści, że niesprawiedliwość snuje się za człem, jako dym we mgle. Zda się, że już zniknął, a niespodzianie w nozdrzach zawierci. Może to Bóg tak zrządził, że kto raz bezprawiem się skalał, temu miecz sprawiedliwości będzie odjęty. Niechże się rja<J tymi zmiłuje, których Jego ręka pościgła, a jeśli ja, niegodzien, niech choć synowi memu zwoli ład i pvt&wo wprowadzić w tym królestwie.

Książę umilkł i zadumał się. Po chwili dodał:

— A tenże nieszczęśnik dokąd pójdzie, jeśli nie.n\$ gościniec lub do wroga, bp i dokąd ma iść? Ale dość

o nim, bo nie brak większych trosk. I cóż jego zbrodnia wobec tych, których się dopuścił Muskata? A wróci na urząd i beneficjum, bo się Kuria za nim ujęła. Oto mi sprawiedliwość! A na Krzyżaków, co mało sto kościołów splugawili i spalili, nawet sądu doprosić się nie mogę, bo Zakon siłę ma i pieniądz. Co tam o jeden kościół i jednego łotrzyka.

Obejmując Jaśka za ramiona, dokończył:

— Już się tym nie trap, bo zgryzota jeno siły zżera w człeku i myśli mąci. Ważniejsze mamy sprawy.

Na gościniec lub do wroga! Krzych teraz dopiero, siedząc samotnie w ciemności i czekając, aż rozjaśni się na tyle, by mógł się puścić przez leśne bezdroża, ocenić zdołał w całej rozciągłości skutki swego uczynku.

Z Jaśkiem rozstali się w milczeniu, ale i ono miało swoją wymowę. Kasztelan zwrócił wszystko, co odebrano Krzychowi przy pojmaniu; zwrócił miecz i trzos ze srebrem. Nie zwrócił tylko rycerskiego pasa.

Jest trzecia droga! Łatwa i niedaleka. U stóp skałki, na której leżał Krzych, jaśniejszy od ołowianej ciemności nocy i smolistej lasu, pieklił się odmęt Dunajca. Jeden krok i koniec. Krzych wstał i usiadł znowu. Jak żywa stanęła mu przed oczyma inna noc, gdy tak samo stał na skale nad odmętem. Przez szum rozbijającej się o jej podnóże wiślanej fali słyszy jeszcze nabrzmiały łzami głos Kundzi: „nie idź!”, czuje rozpaczliwy uchwyt drobnych, słabych rąk, tych samych, które tyle razy połyły go w gorętwie i tak lekko opatrywały rany, że nie czuł prawie. A przecie Kundzia i wówczas wiedziała, że ratuje go nie dla siebie, że on miłuje inną, a cześć swą i życie, którego chce zbyć, naraził dla ładacznicy, że gdy pozdrowieje, odejdzie znowu. A mimo to gotowa była iść z nim nawet na wieczną zagładę. I teraz poszłaby, mimo że

zelił ją, odtrącił i odebrał nawet złudzenie, iż pojął ją z miłości.

Cofnął się i usiadł. Do wszystkich krzywd, jakie wyrządził Kundzi, nie doda tej największej i nieodwracalnej. Nie myślał w tej chwili, że kasztelanowi przyrzekł, iż będzie żył. Hanna sama rzekła mu, że nie masz już jej, jeno Kinga. Widno takie imię przyjęła po ślubach, którymi dobrowolnie odcięła się od życia. Zdało mu się, że już umarła. Po raz pierwszy naszło go to uczucie, gdy ją ujrzał w karczmie w ci©*mnoj szacie, z ostrzyżonymi włosami i twarzą wyblakłą w mroku klasztornej celi. To, co teraz czuje, to nawet nie żal, jeno bolesna pustka po czymś, cc-'skończyło się na wieki. A Kundzia czeka. Jak zawsze. Jeno że nie ma do niej powrotu. Będzie na niego CZ6*kała jak matka. I jak matka wybaczyłaby wszystko; Niechaj przynajmniej nie wie, że czekać nie ma na co. Zmarnował jej miłość.

Zmarnował zresztą wszystko: życzliwość Jaśka i Spytka, przyjaźń Budziwoja, przywiązanie Radochy.

Na myśl przyszli mu Ostróżka i Braciszek. Ich doła podobna do jego własnej: i oni od dzieciństwa po*zbawieni najbliższych; i oni zadzierali z każdą władzą i prawem. Ale nie siali zła wśród przychylnych sobie ludzi, przeciwnie, podać umieli pomocną rękę. Zniknęli jednak i nie wiadomo, gdzie ich szukać. Zresztą Krzych odrzucił tę myśl. Braciszek może by go zrozumiał, ale Ostróżce wstydziliby się przyznać, co uczynił. Jeno by ramionami wzruszył i' nazwał go głupcem. Kromie Kundzi nie ma na świecie nikogo, kto by się uzałił nad jego dołą i rozumiał. Jest w życiu tak samotny jak tu w jesienną noc w lesie. I jak tu zewsząd otacza go ciemność, że nie wiada, dokąd iść.

Na gościniec lub do wroga! Bo zmarnował też krwią i trudem odzyskane zaufanie księcia, a z nim razem jakiś cel w życiu, który odnalazł wonczas, gdy dla siebie nie spodziewał się już niczego. Umiał i lubił walczyć, nie umiał zresztą nic poza tym, jeno musi

wiedzieć, o co. Wtedy tylko może zapomnieć o sobie. Ale na myśl o walce z kupieckimi pachółkami dla łupu, o który nie stał nigdy, otrząsnął się z obrzydzeniem. Próbował przecie stowarzyszyć się z łotrami, którzy za pieniądze pomoc mieli w porwaniu Hanny z klasztoru. A ubili przy tym bezbronnego zakrystiana, z ołtarzy pozabierali wota i naczynia kościelne. Splugawili nie tylko kościół; splugawili i jego, zamykając mu powrót, między czestnych ludzi. Jest całkiem sam, na zawsze.

Na myśl przyszło mu, by wrócić na swe pogorzelsko, skąd go los wyrwał. Jako wyrostek nawykł do samotnej włóczęgi po lesie. Ale wówczas na coś czekał, coś było przed nim. A w spalonym dworcu czekali na niego Terka i Duszka. Był im potrzebny. A teraz niepotrzebny jest nikomu. Nie ma ani jak, ani po co żyć.

Ponure myśli przerwało rzenie przywiązanego w krzaczach konia. W nocnej ciszy poniosło się po lesie. Zdało się Krzychowi, że jakby echo odpowiedziało mu od strony sądeckiego gościńca, rozbudzając jego czujność. Poskoczył, by uspokoić podjezdka, i nasłuchiwał jakiś czas, ale nic już nie usłyszał i zawrócił na skałkę, myśląc z goryczą, że oto już czuje się jak ścigany zwierz. A przecie jeszcze nie ma komu go ścigać, wieść o jego ucieczce nie mogła aże jeszcze rozejść. Czy warto jednali bronić się? Niech, będzie, co ma być, nie jego wina!

Myśli zaczynały mu się mącić. Dwie doby bez snu i jadła wysiały z niego siły. Tracił rachubę czasu. Jeszcze chwilę walczył ze snem, wreszcie poniechał wysiłku i wyciągnawszy się na skałce, nie wiedział, kiedy stracił świadomość.

Przez zamknięte powieki razić, go jęło jakieś światło, ale nie miał siły otworzyć oczu. Potem przenikające go ciepło zluźniło napięcie zgrabiących w nocnym chłodzie członków i zapadał w nieznaną głąb, na której dnie kończyło się wszelkie czucie.

Pierwsze, co znowu dotarło do jego świadomości,

był jednostajny szum. Długo trwało, nim wracająca pamięć uświadomiła mu, że leży na skałce nad Dunajcem. Gdy raz uchwycił watek, wywijając się jęły z niego wypadki, a wraz z nimi wróciło nie rozstrzygnięte pytanie: dokąd iść? Światło, które znowu prześwieca przez powieki, to światło dnia, pytanie trzeba rozstrzygnąć. Oprzytomniał zupełnie i usiadł zdziwiony. Legł na gołej skałce, a teraz leżał na posłaniu z mchu i igliwia, nakryty końską derą. Przed nim tlały resztki ogniska. Znaczna ilość siwego popiołu wskazywała, że długo płonąć musiało. Ktoś odnalazł go śpiącego. Krzych zerwał się i rozejrzał dokoła. Przy ognisku leżały czyjeś szaty i ciżmy. Ani chwili nie miał wątpliwości, że to szaty Unika. Omal nie zawołał głośno. Zapewne chłopak poszedł do rzeki wykapać się, choć chłód był przenikliwy. Jakkolwiek dzień był już duży, słońce jeszcze nie wspięło się ponad wzgórze, złoć? dopiero przeciwległy stok, okryty liściastym boreia, o zwiędłym już listowiu.

Krzych przyrzucił suszu do ogniska i rozdmuchiwał je, aż błękitnawa smużka dymu wywijając się jęła w spokojnym powietrzu. Usiadł i zadumał się.

Po wypoczynku, w dziennym świetle myśli były jaśniejsze. Nie jest całkiem sam. Zarazem zawstydził się. Teraz jak ulgę odczuł obecność i przywiązanie pachotka. A przecież nie pomyślał nawet o nim w swych nocnych dumaniach, nie pomyślał, że wciągnął go w sprawy, które chłopak życiem mógł przyplacić, mimo że błagał Krzycha o poniesienie napadu na klasztor. Wprawdzie szorstko kazał mu odejść, ale wiedział przecie, że pachotek nie odejdzie od niego, bo też sam jest na świecie i nie ma dokąd pójść. O losie jego nie więcej myślał niż o losie psów, które pozostawił w domu. Myślał tylko o sobie, sam tedy musi dźwigać dołę, którą zgotował. Niecierpliwie czekał na powrót Unika.

Prędzej usłyszał go, niż dojrzał. Z szelestem przedzierał się przez krzaki i za chwilę ukazał się u stóp skałki. Nagi był, ociekał wodą i trząśł się z zimna, ale

dostrzegłszy stojącego Krzycha, z dala już uśmiechał się posiniałymi wargami i pokazywał nanizane na wierzbową kulkę pstrągi. Wspiął się na skałkę i szczękając zębami, ubierał się szybko. Krzycha paliła ciekawość, jak Unik go odszukał, ale na widok ryb poczuł taki głód, że byłby je jadł na surowo. Unik, rozcierając przy ognisku zgrabiałe dłonie, odezwał się jakby nic ważniejszego nie zaszło:

— Mam i mięsiwo, ale post dzisiaj, a ryb tutaj, te tylko rękę pod kamień włożyć. Jenom się lękał, by ogień nie wygasł, bom się też krzesaniem kęs czasu zabawił i susz nawilgły jest, a wy pewnikiem zjedlibyście coś ciepłego.

— Dawaj mięsiwo, jakie jest — mruknął Krzych, ale Unik odparł:

— Grzech w piątek mięso jeść, miejcie trochę cierpliwości, ryba się wraz upiecze. Po tom **przecie** łowił, choć woda zimna, że kości łamie.

— Co tam o taki grzech — zauważył **Krzych** niechętnie.

— Juści, że większe bywają. Ale po **cóż** grzeszyć bez potrzeby?

Nie czekając jął wprawnie czyścić ryby i nasoliwszy je, nanizał na patyk i zawiesił nad ogniem. Krzych patrzył chmurno, jak pacholek krząta się wydobywając z sakwy chleb, woreczek z kaszą i kociołek. Wiedział, że Unik, dziecinnie nabożny i przesądny, nie zdaje sobie sprawy, iż przestając ze świętokradcą, klątwę ściąga na siebie. Odezwał się:

— Rzekłeś; po **cóż** grzeszyć bez potrzeby? Zali nie wiesz, że świętokradcy wody ni ognia użyczyć nie Iza, by samemu pod klątwę nie popaść? **Rozstać się** nam przyjdzie.

Małe, pocziwe oczka Unika szklily się, **gdy** spojrział na Krzycha z przestraczem:

— Kędyż mi iść? Nie odganajcie. **I Jaki** grzech? Wždy Chrystus Pan głodnego nakarmić prayskazał!

," — Ale Kościół każe wyklętego **ściągać** jak **psa** wściekłego...

Unik oczy opuścił i głowił się nad czymś. Przez ściśnięte gardło wyszeptał:

— A jakbyście mi kazali ostać? Pleban prawił, że słudzy panów słuchać winni. Na swoje sumienie biorą, jestli w tym grzech? Rety! Bo się ryba spali — krzyknął i poskoczył do ogniska, zdejmując patyk, na którym istotnie ogony nanizanych pstrągów zajęły się już płomieniem, a smakowity zapach rozchodził się dokoła. Stał patrząc niepewnie na Krzycha, któremu aż w głowie zakręciło się z rozbudzonego głodu, zapominając o wszystkim, fuknął niecierpliwie:

— Cóż się gapisz? Dawajże. -

Pocziwy uśmiech Unika miał być chytry, gdy podając ryby, powiedział:

— Jak każecie, panie.

Patrzył, jak Kizych pochłania ryby, i mówił rozważając:

— Wždy każdy grzech wybaczony być **może**, okrom jednego...

Splunął, przeżegnał się i ciągnął:

— Póki człek żywie, żałować może i pokutę odbyć, odpusty zakupić albo i kościół wystawić. Wždy i samo księżę pod klątwą, a niechby go kto nie posłuchał!

— Anim ja księżę, ani mam za co kościół wystawić. Za to srebro, co ostało, ani mi zbroi nie kupić.

— A po cóże kupować, kiedy w domu ostała. A tu trzosik jest ze złotem, co mi młody pan Spytek dał i kazał rzec, jako nigdy wam nie zubeździe, żeście go z wody wyłowili.

— Trzymajże sobie złoto — odburknął Krzyeh — bo nie dla odwdzięki to uczyniłem ani za zapłatę. A ty gdzieżeś pana Spytka naszedł?

— Tedy na mszę dam, by się wam odmieniło* A pana Spytka na gościńcum spotkał. Onze mi rzekł, że was kasztelan wypuścił, i konia mi dał, i pokazał, gdzie was szukać. Ale i to bym nie naszedł, żeby wasz koń nie zarżał, widno obydwu razem chodzić nawykły. Dobre panie, bo sam pieszki do Melsztyna wrócił.

Żeby nie to, nie dognałbym was, choćbym i wiedział, że was kasztelan zwolnił.

— A skądżeś się tu nałazł?

— W Rytrze się przytaił, gdy bitka była, i szedłem za wami, choć strach, i jenom się modlił, bo zgoła nie wiedziałem, co począć. Widno się Bóg zmiłował, tedy i dalej się zmiłuje. Zasłużycie się znowu jako ongi, to i do domu wrócić będziemy mogli.

— Jakoże mam się zasłużyć — odparł Krzych — skoro nie pokazać mi się nikomu na oczy w Łokietka* wym państwie. Na obczyznę nam iść przyjdzie.

Zadumał się smutno. Milczenie przerwał Unik.

— Wiecie co! Mamy iść między obcych, pójdźmy do Ziemi Świętej. Kto walczy z pogany, temu każdy grzech będzie odpuszczony.

— Co ty wiesz! Za morzami ci to gdzieś jest, pieńędzy siła trzeba na drogę. Ale choćbyśmy i o proszonym chlebie poszli, nikt tam już ninie z pogany nie walczy. Nawet i rycerskie zakony wyniosły się jako to Krzyżacy, z Litwą ninie walczą... albo i nie z Litwą.

Urwał, bo nagle olśniła go myśl: i on może walczyć z Litwą. Tam się przecie księciu zasłużył, uzyskał pas, a odzyskał zaufanie. Litwa wrogiem Krzyżakom, ale i Polsce wrogiem, a już Mazowsze najwięcej od niej cierpi. To samo widocznie przyszło na myśl Unikowi, bo wtrącił:

— A wy to nie moglibyście z Litwą walczyć? I nie za morzem to, a Bóg da, to i rodzicielei moich odnajdziem, co ich Litwa zagarnęła.

Krzych odetchnął, jakby mu ktoś ujął ciężaru nad siły. Do Płocka pójdzie, do księcia Wańka. Niejeden tam szedł, co mu ciasno było w Łokietkowym państwie, bo Wańko niezbyt się miłują z Łokietkiem, a rycerstwa mu potrzeba. Społem ze swoimi przeciw poganom będzie walczył jak ongi. A uładzi się kiedyś Wańko ze starszym krewniakiem, zasłużonym wybaczenie wyjedna. Tak czy inaczej — lepsza ta droga niż wszystkie inne, które mu w ciemną noc na myśl przychodziły. Wstał i powiedział:

(— Jedziem.

•Zawstydził się, uświadomiwszy sobie, iż nawet nie podziękował Unikowi, że swoje życie dla niego naraził i że jemu zawdzięcza myśl, która jego życiu nadać może jakąś treść, a gdzieś na jego krańcu świta nadzieja. Wojować będzie z wrogiem jak rycerz. Może kiedyś będzie mógł wrócić do Kundzi.

Przygarnął pachołka, który parząc sobie podniebnie szybko dojadał kaszy, by spakować kociołek. Krzychowi na myśl przyszło, że sam pożywił się, a chłopak, zajęty nim, nie miał na to czasu. Usiadł znowu i zamyślił się smutno. Nie umie odpłacać cudzego przywiązania, przyjmuje je, jakby mu się należało, niczego w zamian nie dając. A miłowanie Kundzi? Oto pewny jest, że będzie na niego czekała, choćby przez cały żywot, mimo krzywdy, jaką jej wyrządził. Ale choć wstydziłby się jej na oczy pokazać, czuł, że ta pewność — to jedyne, co mu zostało w iyciuu jedyne, na czym może jeszcze budować.

Z zadumy obudziło go pytanie Unika:

— Dokąd pojedziem, panie?

Oderwał się od myśli o dalekiej i niepewnej przyszłości. Trzeba było myśleć o dniu jutrzejszym. Jeżeli ma wojować, zbroję musi mieć, a za resztę srebra, która mu pozostała, jej nie kupi. Szczęściem własna jego pozostała w domu. Odparł:

— Ty pojedziesz do dom. Zbroję weźmiesz i psy*
Ja muszę Kraków omijać, bo mało k, to z rycerstwa mnie nie zna. W karczynie klasztornej w Jędrzejowie na ciebie poczekam.

Zastanowił się i ciągnął:

— Juści poczekam, jeśli się da. A nie, to jedź nią Przedbórz. W niecałej mili od grodu drożyna odchodzi z gościńca w las ku wzgórzom. Do osady wiedzie niewielkiej, za nią na wzgórzu pod lasem dworzec spalony, a na pogorzeliisku kłitka. Tam czekać będ& póki nie przyjedziesz... albo póki nie pomiarkuję, że nie przyjedziesz.

— Co prawicie? — wtrącił Unik z wyraźną przykrością.

Krzych położył mu rękę na ramieniu:

— Wiernyś pacholek, wiem. Jenó wszystkimo nie przewidzi, choćby i tego. że cię schwytać mogą... albo i mnie. Nie będzie nam bezpiecznie, aż w Płocku.

— Zaś tam schwytają — odparł pacholek beztrasko. — A pani co mam rzec?

Krzych nic nie powiedział i ruszył do koni. Co moze powiedzieć żonie po tym, co uczynił? Gdy Unik powtórzył pytanie, odparł z goryczą:

— Ode mnie nic. A o mnie, co chcesz. I bez tego się dowie.

Przeciskali się przez gęstwinię jeden za drugim. Gdy dotarli do gościńca, Unik zrównał się z Krzychem i zaczął:

— Powiem wszystko, jak było, najlepiej zrazu **całą** prawdę znać. Jenó zdałoby się coś od was... po tym, coście jej rzekli na rozstanie...

Krzych znowu nic nie odpowiedział i puścił konia w cwał. Gościniec był pusty. Niepokoje na granicy i zbójckie napady wstrzymały wszelki ruch. Jechali, szybko, **ale** — zmuszeni omijać gródki i osady — bezdrożami, **o** zmroku dopiero dotarli do Brzeska. Przed osadą Krzych wstrzymał konia i rzekł:

— Tu nam się rozstać. Ja ku Wiśle pociągnę. Ostrożny bądź, nie gadać z nikim. Pani możesz rzec "wszystko.

— A od was? — z uporem zapytał tJnik.

— Powiedz, że com dobrego zaznał **w** życiu, to jeno od niej. I nigdy jej nie zapomnę.

Trącił konia **i za chwilę zniknął w zapadającym** mroku.

Wzburzenie i gniew przeciw Krzychowi przygasły **w Budziwoju, ale nie zgryzota. Ppżółkl i szcernia!**, wreszcie zachorzał obłożnie **i nie było co myśleć** o wy-

jeździe. Niemal jak upokorzenie odczuwał troskliwość Kundzi, na którą spadły teraz także wszystkie troski gospodarza, a niemało przysparzała ich słabowita córeczka. Kundzia schudła i przybladła, ale nigdy nie poskarżyła się ni słowem, nie okazała znużenia ni zniecierpliwienia. Starego drażnił nawet jej spokój, bo sam nie był wolny od niepokoju. Kundzia nie mówiła o Krzychu nigdy, jeno raz, gdy Budziwoj zgryźliwie się o nim wyraził, odparła cicho, lecz stanowczo:

— Jaki jest, mój jest, a jam jego. Nie masz już między nami nic ukrytego. Ja wiem, że wróci, a on wie, że będę czekała. Choćby do śmierci — dokończyła szeptem.

Budziwoj nic nie odrzekł, pomyślał jednak, 'Se Krzych wiatry, które przeminęły, goni po świecie^ miast trzymać się takiej niewiasty. Ale rozumiał i Krzycha, bo sam z górą pół wieku zadrę nosił w sercu, choć niemało się potem podwik przesunęło przez jego życie. Krzych prędzej czy później dowie się, że Hanna z dobrej woli się go wyrzekła, nie będzie już podejrzewał życzliwych ludzi, że go podstępem ód niej odsunęli. Najlepiej, żeby od niej samej usłyszał, jeno że obcego męża do mniszki nie dopuszczają. Chyba wraz z jej ojcem. Trzeba będzie kasztelana Jaśka odszukać i rozmówić się z nim. Ale Budziwoj czuł, że to nie wszystko. Pozostawała sprawa Mścigniewa. Co Krzych wie o niej, prócz tego, że zabił własnego rodzica? Wyjazd odwlekał się jednak, choć koniuszy już wstawał. Konia nie mógł jeszcze osiąść, zaś kolasą za nic nie chciał jechać. Mawiał, że raz go jono powiozą — na Bożą rolę. Potem wieści przyszły o niepokojach na węgierskiej granicy. Jaśka Leliwy ani chybi w Krakowie nie poświeci, tym bardziej że za*. Raza nasiliła się znowu i ludzie z miasta uciekają. Żywności się nie dokupi. Jeśli Kundzia przenieść się ma do Krakowa, zapasów najmniej do nowego wzięć-trzeba, a trzeci rok nieurodzajów zaczął się w Polsce każdy kłós na wagę złota i iak skarbu żniw pilnować trzeba^

Gdy jednak szczupłe zbiory i dziesięcina znalazły się w gumnie, Budziwoj nie mógł już patrzeć na snującą się jak własny cień Kundzię. Widno zbyt śmiało żywiła nadzieje, a czas płynął i nie przynosił żadnej zmiany ni wieści o jej mężu. Coś trzeba poczynić. Kundzia znowu wspomniała o chrzcinach córeczki. Nie spodziewa się już rychłego powrotu jej ojca. Koniusz zebrał się przeto i wyjechał, obiecując wieści przesłać, gdy jeno sam czegoś się dowie. Po drodze wstąpił do Melsztyna, by rozmówić się z Jaśkiem, ale kasztelana nie zastał. Opatrywał pogranicze, czasem doskoczył jak po ogień i wyjeżdżał znowu. Nie wróci na dłużej przed zimą. Zawiedziony Budziwoj pociągnął tedy do Krakowa, przez Wawel dość się przewija ludzi z różnych stron. Jeśli Krzych z kraju nie wyjechał, ktoś o nim wiedzieć musi, znaczny jest.

Przybywszy na zamek, koniuchy kręcił się wśród przejezdnych. Wieści istotnie nie brakło, nawet spoza kraju. Umysł poruszał? sprawa Muskaty, która zdała się mieć ku końcowi. Do księcia pisał arcybiskup Janisław prosząc go i doradzając, by nie czekał na wyrok sądu polubownego, lecz ułatwił mu sprawę w Kurii, okazując uległość i dopuszczając biskupa na stolicę, przez co i dla siebie uzyska zdjęcie klątwy i interdaktu. A wrogów Muskacie nie brakło, i to potężnych, z możliwym rodem Toporczyków na czele i zasłużonym kasztelanem Pakosławem Lisem z Mstyczowa, którzy nie zapomnieli, że za Waclawowych czasów wiele miesięcy gnił w biskupim lochu. Książę nie chciał wziąć na siebie niechęci dawnych sojuszników. W walce z biskupem i dlatego sprawę przedłożyć postanowił zjazdowi rycerstwa, który w Sulejowie odbyć zamierzył. By go przygotować, wybierał się do Chęcin, gdzie spotkać się miał z biskupem Gerwardem i sulejowskim opatem. Jeno węgierskie wypadki wstrzymały go w Krakowie.

Budziwojowi powrót biskupa byłby obojętny, choć i jemu Muskata zapewne pamięta sprawę udaremnionej ucieczki z więzienia. Ale ani chybi lepiej pamię-

ta ją Gstróźce, a gdy ten i księciu się naraził, nie tayıło nadziei, by mu wybaczenie i powrót do Krakowa wyjednać. Nie miał komu opieki nad Kundzią i jej dzieckiem powierzyć, gdy jego samego nie stanie, a Krzych się nie odnajdzie. Zniknął bez śladu i nie sposób się było o niego wywiedzieć.

W Budziwoju znowu gorycz wstawiała przeciw niemu. Pod przedłużającą się nieobecność koniuszego ksiązę sprawę jego urzędu zlecił Nawojowi Toporczykowi z Przegini. Staremu trudno było w tym względzie dogodzić, i ten zastępcą nie udał mu się, a czuł, że sam już nie podoła. Gdyby Krzych z wyprawy do Nowej Marchii wrócił jak Bóg przykazał, mógłby teraz objąć urząd. Stary spokojnie i bez talu ustąpiłby mu, pewny, że oddaje pieczę nad końmi w dobre ręce, A Kundzia byłaby pod bokiem. Sędziwy koniuszy patrzyłby na starość jak na pogodny po bUrzJfwyiti dniu zachód słońca. A tak nie tylko swych koili nie miał komu zdać, ale jeszcze troska o Rundzie spadła mu na głowę.

Na myśl przyszedł Budziwojowi Radocha. Niezbyt, może i przystało pod nieobecność małżonka zbliżać do Kundzi, ale nie było wyboru- Niechby trzymał do chrztu dziewczuszkę, będzie się musiał nią zaopiekować, gdyby jej ojciec nie wrócił- A nuż Radocha będzie coś wiedział o Krzychu, który siedzieć może w swym dworcu nad Tonczyną, Niewiele niyślŚĆ zebrał się Budzi woj i pojechał do Radochy. 'Jesień', była pogodna i sucha, pora do podróży sposobna, baEfiJSynne siedzenie na miejscu gnębiło Budzi woja. ". "

Już w Nakle dowiedział się, że do Radoszyna jechać nie ma po co. Druga w tym roku napaść brandenburskich margrafów, tym groźniejsza, że od za*chodu poparta przez Głogowczyków, ściągnęła rycerstwo wielkopolskie na zagrożone granice. Wyjechał i Radocha z kasztelanem Henrykiem, nie było co czekać na ich powrót ani nawet'Z kim Się rozmówić, bo staremu kasztelanowi Świętosławowi zmarło się, właśnie. Pozostawił więc BudziWoj jeno wiadomość

dla Radochy, że był go w kumy prosić, i zabrał się z powrotem.

W Krakowie jak pięścią w kark ugodziła go na po-
• witanie wiadomość o postępkach Krzycha. Kasztelan Jaśko bawił w mieście. Z tym, co Budziwoj usłyszał od niego, do Kundzi nie miał chęci jechać. Dowiedział się i bez niego, bo klątwę głoszą we wszystkich kościołach, a sama i tak musi się udać do Krakowa, bo książę zarządził konfiskatę mienia na rzecz sądeckiego klasztoru, na pokrycie strat. Kundzia zostanie z dzieckiem nie tylko sama, ale i bez zaopatrzenia. Budziwojowi ręce opadły. Zapisał Kundzi całe niewielkie swe mienie i czekał już jeno sposobnej pory, by poprosić .O' zatwierdzenie książęce, iżby kiedyś chciwi nie szarpali jej krewniacy. Lękał się, że teraz napotka na odmowę. Najazd brandenburski spustoszył znaczne połacie Wielkiej Polski zdanej na własne jeno siły. Co gorzej, nie brakło możnowładców, którzy się z wrogiem połączyli, książę dość miał powodów, by się nad rodzinami przemieszczających nie litować. A już cudu by trzeba, by Krzych mógł powrócić. Lepiej, by Kundzia wdową została. Inaczej iście czekać go może do śmierci. I pewnie będzie czekała, taka już jest, i dlatego się zmami. Trzeba jej chatę po starym Siedliku wyprządzić, która pustką stoi, i się udać, co się da jeszcze z dworku na Łobzowie. Ot i las, którego jej "zazdrościła niejedna z cór najmożniejszych domów mieszczkańskich. Kasztelanowa na rybackiej klitce, Z dzieckiem bez ojca! Niejedno upokorzenie będzie musiała znieść.

Koniuszy z ciężkim sercem zebrał się i ruszył do Kundzi. W samą porę przybył, by ją odwiedzić od szalonego zamiaru, by wraz z Unikiem jechać za Krzychem. Tyle jeno wymóc zdołał, by poniechała* aż się Krzych gdzieś ustali, a wówczas ją Unik do małżonki odwiedzić. Pacholka nie puścił, choć się sprawał, groźbami wymusił wyznaczenie, gdzie szukać Krzycha, a zabrawszy zbroję, sam wyruszył, by słę z Krzychem rozmówić. Z gniewu i Zgryzoty rozchorował się jednak

i ugrzął w Krakowie. Nim siły odzyskał na tyle,
by Tia konia wsiąść, jesień uczyniła się późna. Nie pora

Budzi woj siedział na swej gospodzie samotny i żuł gorzkie myśli, słuchając, jak do wtóru jesienny wicher oblatuje wzgórze, szumi w bezlistnych gałęziach, szeleści po gontach, wyje na węglach i gwizdże w szparach okiennic. W dłużące się nieskończenie wieczory rozmyślał o swym pełnym trudów i przygód, ale pozbawionym szczęścia życiu, które kończyć mu przychodzi w smutku i samotności) gdy, już do niczego nieprzydatny. Nikt do niego nie za*chodzi, z krewniakami zerwał od dawna, z tch warzyszy młodości wszyscy już po tamtej stronie. Może to ich dusze wyją tak w listopadowym wietrze, nagrzeszyło się dość za młodu. Starość jest pokutą żywota, nie wypoczynkiem po jego trudach.

'Z zadumy ocknęło go pukanie. Tak był daleki myślą, by go ktoś miał odwiedzić spóźnioną pocą, że nie odezwał się nawet. Pewnie to targana wichrem gałąź zastukała o gonty. Ale drzwi rozchyliły się z wal*na jak oczy Budziwoja, które uczyniły się okrągłe z zaskoczenia, gdy w półświatłę dogasającego na kc*minie ognia, pod czarnymi, lśniącymi od wilgoci *Ufa** dłami poznał baranią twarz B, raciszka i jego nosowy, choć dygocący głos.

— Pochwalony!

Oniemiały ze zdziwienia Budziwoj- nie .odpowiedział i teraz, a Braciszek skłonił się i, jakby był u się-? bie, podszedł do komina, Rozgrzebał żar, dorzucił suchych szczap, a gdy płomień chwycił je, rozcierajął aż pomarszczone od wilgoci ręce. Trząśnięty tym jak pies, który wyszedł, z wody. Dokoła niego tworzyła się kałuża, a przenikliwy zaduch schnącej wełny wypełnił izbę. Dopiero ta woń upewniła Bui dziwoja, że to nie duch ani zwid. Ciekawość, radość!

i zaskoczenie wyrwały koniuszego z drętwy, na usta cisnęło się mnóstwo pytań, ale wciąż jeszcze głosu nie mógł dobyć ze zdziwienia. Patrzył na szczękającego zębami Braciszka i uporczywie nasuwało mu się pytanie, ileż to lat liczyć sobie może wagant, w którego czarnych włosach nie widać ni jednej srebrnej nitki. Był taki sam jak ongiś, czas zdał się sphywać po nim jak woda, która teraz ściekała po twarzy jego, odbijając blask płomienia, który uwydatniał wypukłe czoło i wystające kości policzkowe. Rozgrzał się już widocznie, bo przestał drżeć i głos miał równy i rozwlekły, jak zwykle, gdy się odezwał:

— Ani w siarczysty mróz tak człek nie przemarzenie, jak w takową pluchę. Błogo tak siedzieć w świetle i ciepłe i rozmyślać sobie. Żeby tak jeszcze zjeść co!

— Siedźże sobie, kiedy ci dobrze. Mnie już życie obrzydło od siedzenia i rozmyślania. A zjeść, cóż ci dam o tej porze? Nijakie u mnie gospodarstwo, tyle mam, co pacholek z książęcej kuchni przyniesie, a i tam kuso. Miodu się napijesz?

Braciszek aż przełknął ślinę, ale odparł:

-^ Chyba potem, gdy się rozmówimy, bo wracać mi zaraz. Trzeci dzień nie jem, to Spiłbym się jednym kubkiem.

;••*- Poczekaj. Może pacholek sprzątnąć zapomniał po wieczery, której nie dojem zazwyczaj. I jeść się już nie chce.

— Bogu dziękujcie, że się nie chce. Jeszcze dzień! *— dwa, a człek głodnemu dziecku od gęby by odjął albo i sam trupa i zeżarł, choć zrazu ze zgrozą na to patrzył.

^—, Poczekaj — powtórzył koniuszy. Szperalipbstatkach na póle, przystawił garnek do ognia, a na stole położył okruchy chleba i łyżkę, mówiąc:

— Jedz, a tymczasem ja będę gadał. Potem ty mi powiesz, po coś przyszedł.

Koniuszy zaczął o Krzychu, zrazu spokojnie, ale w miarę jak mówił, ogarniało go rozdrażnienie. Pięścią wyrznął o stół i zakrzyknął:

— Nie pojąć, jak można sobie i drugim tak wszystko zmamić!

Braciszek, który początkowo pożywał się chciwie i zdał się nie słyszeć, co mówi Budziwoj, zaduma^{sj(?)} ■tak, że zapomniał o jadle. Gdy koniuszy skończył, odezwał się:

— Nie pojąć człeka, gdy patrzeć na jego uc>yunki oczyma rozumu. Niejeden zbrodzień, co się katu \v nos śmieje, zapłakałby przed swa matką. Nie sędzie bliźniego Chrystus nakazał, jeno miłować i wyba^{cz}ać.

— A ty zawsze swoje. Tedyby na świecie nijakiego ładu ni prawa nie było —r fuknął Budziwoj. '-♦Choćby i brat rodzony sądził, potępić by musiał. Bogu poświęcone miejsce znieważył, Bogu poświęconą, niewiastę porwał, Bogu poświęcone mienie hf lup łotrom wydał. Dokąd byśmy zaszli, gdyby takowe zbrodnie uchodziły bez kary! , .>»

—r Dokąd to i zaszliśmy, gdy nię takowe zbrodnie uchodzą bez kary — odparł w zamyśleniu braciszek. — Ale jeno możliwym. Niechby się ludzie leniej o ludzką krzywdę ujmowali, Bożego prawa słuchając miast Bogu pomagać Jego krzywdy dochodzić.

— Ale nie słuchają— szorstko przerwał Budziwoj. — Obacz, jak zło się pleni, gdy mu zrazu łb_a nie urwać. Tedy siła stać musi za prawc_m.

— Gdy nie wszystkich judzka sprawiedliwość' dosię'2e, czy nie słuszniej wszystkich Bożej ofetawic' która sama jedna wyważyć winę człeka potrafi? Cafe-' go Krzyeh chciał? Z Hanną się rozmówić.

-^ Tedy niech mu Bóg wybaczy — niecier&liwje przerwał koniuszy w- a pokarze tych, których liidzkjji sprawiedliwość nie dosięże. Jedno wiem, że nic lvrzychowi było dp ■ mniszka" skoro małżonkę ma i dziewuszkę. ..Gdyby o nich myślał, jak był powinie- nV gdy by tego nie uczynił. Jego to dziełem ich sieroctwo. Tedy niechże sanrtiys'li o sobie, a ty miast swiat naprawiać, pomóż' mi tę krzywdęnaprawić:, Ty.Klindzłę znasz, wiesz, że nie było leoszeffo od niej człek* z_a to ją iaki los spēkał!

Braciszek siedział zadumany, a Budziwoj urwał i pasował się z głosem. Opanowawszy się, podjął:

— Mnie dziś a jutro. Próchno ze mnie, jak mi rzekł Krzych — wtrącił gorzko. — Życ się nie chce, a spokojnie umrzeć nie mogę.

Widząc, że Braciszek zagłębił się w myślach, przerwał mu:

— Nad czym dumasz? Lubieś przecie Kundzię, a ona ciebie. Lżej by mi było, gdybym wiedział, że choć ty przy niej ostaniesz. Biskupa możesz się nie lękać, byleś znów herezji głosić nie począł, bo mówił mi Jaśko, że coś się przeciw kacerzom i u nas gotuje. Mikołaj Hospodyniec od braci mniejszych inkwizytorem papieskim ostał. Chce się księżę Kurii przypodobać, pomoc mu dać musi. No cóże? Gadaj! I tobie by się wiodło przy Kundzi lepiej. Ona łachy ci połata i jeść uwarzy, byle było co.

— Co tam o mnie — odparł Braciszek. — I nic to, że jeno wtedy o żarciu myślę, kiedym głodny. **Kundzia** już by mnie dopilnowała, bo rządna jest. **Jeno** tak się głowią, jak by jedno z drugim pogodzić. **Sam** do was po radę i pomoc przyszedłem.

— Do mnie? A czegóż ty ode mnie potrzebujesz?

— Ja niczego. Pojadłem i ciepło mi. Jeno Ostróżka z dzieckiem czeka, godziny licząc.

Sumiaste brwi Budziwoja podniosły się w zdumieniu:

— Ostróżka? Z dzieckiem? Ożenił się? Cóż się stało?

— Zaś tam się ożenił. Sierota. Rodziciele **jej** we Wrocławiu spalili, dziewczuszkę poćwiwe Żydowiny wykraść pomogli. Dali nawet pismo do swoich do Opola,

• ażeby ją przechowali. Ale bali się, bo wizytatorzy całą diecezję objeżdżają, duchowieństwa pilnując, by gorliwie heretyków tępiło, i opieszalnych srogimi karami okładają. Tedy nam jeno dali przyodziewy **dla** dziewczuszki, bo tyle miała, co na sobie, i to sterane w lochu, i leków, bo chorzeje, i żarcia eonie **bądź**, choć to na wagę złota, i wyprawili z miasta*. **Iści***

trudno ukryć, że to heretyckie dziecko, bo gęby mu nie zamknie, a już najmniej we śnie, bo się budzi z płaczem i woła rodzicieli i prosi, by ich z ognia ratować. Widno śni jej się.

Braciszek ciągnął opowieść swym zwykłym, roz-wlekłym głosem, nie spiesząc się, ale Budziwoj słu-chał ze zgrozą:

— Niechaj Bóg przeklnie tych, co w Jego imieniu sierót przymnażają! — wybuchnął. — Ale cóż ja po-mogę? Gdzie ją przechowam, by się inkwizytor,, nie zwiedział, ktoże koło niej chodzić będzie, gdy ch</re-r mu dziecku niewieściego starunku potrzeba?

— Myśleliśmy, że dziewczuszkę do Kundzi odeślecie, bo ona by i chorego psa przygarneła. A tak nie wia-da, co począć. Zmarni się dziecko, to i z Ostróżki,już nic. Znowu jeno pomstą ma żyć? Jam go nakłonił, by ją Bogu ostawił, i tyle z tego ma być, że.Kraków porzucić musiał, którego mu jak rybie wody *brak*. Nijak mi go teraz opuścić.

— Zaległo milczenie. Pierwszy przerwał je koniuszy mówiąc niepewnie:

— Żeby zaradny i obrotny chłop jednego dziecka uchować nie wydolił! A jakoście żyli po ten czas?

— Jako ścigany zwierz. I Muskata, j HenryK z Wierzbna wiedzieli, żeśmy we Wrocławiu byli, i ści* gać nas kazali. Nic to, żeby nie dziecko, któremu spói» koju potrzeba i dachu nad głową. Przyjąć n^ wi-kariusz jeden udając, że nie wie, kogo gości. Sam. głó* dem przymierał," ale plebania obszerna, a proboszcz raz do roku zjeżdża, po dziesięcinę. Wraz się dziecku poprawiło, cóż kiedy bies wizytatorów naniósł: same-go Pawła dc Bancz wraz z kanonikiem Goską. Szczę-ście to, że nas w porę przestrzeżono i w las uskoczy-liśmy, boby wikariusz drogo za miłosierdzie zapłacił. Ale na ulewie noc spędzić przyszło i tyle z poprawy. Póki ciepło było, jeszcze jakoś szło, i w lesie się prze-śpi, i ukraść łącniej, póki pożytek w polu czy na drze-wie, choć ciężko na sercu, gdy wiadomo, że też głó-dnemu się kradnie. A w takie noce jak dzisiejsza

pierwsza rzecz: dach nad głową. A gdzie go najdzie, jeśli nie tam, skąd ludzi wywiało? Tedy i ukraść nie ma komu.

— A gdzie siedzicie?

— Kolo Oświęcimia osada się nalazła na bagniej opuszczona, jeśli trupów nie liczyć, cośmy naszli, już ogryzionych. Przez ludzi czy przez wilki, nie wjadą* Kto by uwierzył, że człek na człeka patrzeć potrafi nie jak na bliźniego, jeno jak na mięso!

Znowu zaległo milczenie. Tym razem przerwał j« Braciszek:

— Nie ma innej rady, jeno musicie Ostróżce przebaczenie księżęcia i powrót do Krakowa wyjednać. Niewielka to przecie zbrodnia, żeśmy Hanusa pogrzebali.

— Gadaj z takim, co nic nie rozumie — popędliwie przerwał koniuszy. — Nie w tym wina, jeno w nieposłuszeństwie. Gdy jeden za wszystkich myśleć ma, nie będzie się każdemu sprawiać, co i jak, A o wyrozumiałość nie pora ninie prosić, gdy księżę ma na świeżo przed oczyma, co z tego wyszło, że raz Krzychowj wybaczył. A trosk mu nikt nie szczędzi z żadnej strony.

— Dlatego sierota zmamić się ma, a Ostróżka na zawždy na wygnaniu pozostać? Biskup nie tyle przewinił, a wraca.

— Wraca, bo tak potrzeba, by spokój i ład zapła^ł nował. A czerwony łeb Ostróżki to dla niego jako czerwona płachta dla byka. I mieszcza^{ry} znowu szemrać zaczynają, że im pod Łokciem na psy zejść przyjdzie. Trzebaż księżęciu i z nimi zadry o Ostróżkę, bo i im zalał sadła za skórę? Nie bądź głupi.

— Gdy trzeba było sadła zalewać, dobry był Ostróżka — z uporem podjął Braciszek. — A na wygnaniu za to ma pozostać, że miast księżęcego nakazu, Chrystusowego posłuchał.

— Tania by była cnota, gdyby za nią płacić nie trzeba. A i to Chrystusowe przykazanie, by cesarzowi oddać co cesarskiego. Tedy i posłuszeństwo jest crio-

ta, bogdajże trudniejszą niż inne, bo się ludzkiej pysze przeciwi. Głupiemu się zda, że Bóg jeno do niego gada i jeno on Go rozumie.

Braciszek słuchał, zasumowany. Budzi woj skończył i sapał wzburzony:

— Nie sierzcie się — podjął Braciszek potulnie. — Wždy nie o mnie idzie ani nawet nie o Ostrózkę, choć żal mi i jego. Zechciejcież i wy go zrozumieć. Dla niego prawo a okrucieństwo i niesprawiedliwość — to jedno. Sierotą go uczyniło, o którą od maleńkości nie zadbał nikt. Cóże dziwnego, że prawo ma w pogardzie sam o sobie myśleć nawykł, a serca nikomu oddać nie chciał? Jedno, co umiłował, to swoje miasto, co rmi za dom i rodzinę stało. A porzucił Kraków, byle odejść od nienawiści, co mu serce zżerała, i potrafił przywiązać je do onej sieroty, może i przeto, że jej los tak do jego własnego podobny. Gdyby Ją stracił, nic-go już z drogi pomsty i nienawiści nie zawróci. A wiecie^—że to człek śmiały jest i na wszystko gotów. Czy nie rozumniej wybaczyć mu niewielką przewinę, niż krzywdę do krzywdy dołożyć? Wždy miłosierdzie większe nawet od sprawiedliwości. I cóże to za sprawiedliwość, która baczy nie co, jeno komu odważa, a nie baczy, po kim dpce? I prawo, rozumiem, jako grobla ma być, co rzekę w brzegach trzyma, by szkód nie czyniła, ale jej płynąć nie przeszkadza. A gdy, jest jako tama, co bieg jej chce zatrzymać, to jeno wody spiętrzy po to, by runąć i tym większych szkód być przyczyną.

Budziwoj słuchał, głowę oparłszy na rękę/Glos Braciszka nabrzmiewał żarliwością^ nabierał głębi i mocy. Gdy skończył, koniuszy zdał się wsłuchiwać w szum ulewy bębniącej po okiennicach. Po chwili przerwał milczenie:

— Gadać możem by przez całą noc, bo «łn mnie odbieżał. A ja jedno wiem, nie z ksiąg, jenoż żywota, co go już mam za sobą: i wilkom jeden przewodni, gdy po łup idą, i końskiemu stadu ogier, gdy się bronią. Klacz przy swym łoszęciu ostanie, gdy skaleczone

uchodzić nie może, choć wie, że ją wilcy zarzną, ogier stado odwiedzie, bo pospólne bezpieczeństwo ważniejsze niż jednego źróbka. Tak ci jest we wszelkiej społeczności. Kto poza nią wyjdzie, sam jeno o siebie dbać musi.

— Ale człek nie zwierz i każdy drugiemu winien > być bratem -7- wtrącił Braciszek.

— Winien być, ale nie jest — przerwał koniuszy, niecierpliwie. — Może i dobry byłby taki świat, jakiś sobie umyślił. Jeno że go nie ma, tedy gadajmy o takim, jaki jest. Książęciu ninie ani wspomnieć o Ostrórze. Tedy odeślij mi oną dziewczuskę, może się przy Kundzi przychowa. Będzie, co Bóg zechce. Gdy Łokieć koroną głowę ozdobi, wonzas o Muskatę dbać iiii będzie musiał i występny przewiny wybaczy, jako zawždy przy koronacjach bywał obyczaj. Będzie mógł i Ostróżka wrócić do Krakowa. Tedy módlcie się jeno, by prędko to nastąpiło, bo dla całego kraju to nadzieja zbawienia, a ninie śpijcie, jakoście posłali, bo **nie** wam krzywda, jeno tym, co nie ślali, a z wami spać muszą. W każdej społeczności, by najmniejszej, (XK jeden czyni, na wszystkich się krupi.

■ — Dobry z was człek — powiedział Braciszek pofale, całując dłoń Budziwoja. — Bóg niech wam nagrodzi, a mnie wybaczy, jeśli Mu głupio służę, bo juści nikt z rozmysłu głupi nie jest. Praw był arcybiskup Jakub, gdy mnie nazwał Bożym błaznem. Może **się** i Bóg ze mnie śmieje. Ale kto śmieje się, ten **się nie** gniewa.

Koniuszy machnął ręką i odparł:

— Ot, gadasz byle co, a noc upływa, rankiem **zaś** ruszać nam po nasze sieroty. Niechby mi jeno Bóg zwolił los moich zabezpieczyć, nim mnie do siebie powoła. Już bym i to przeboleł, że konie byle komu zdać będą musiał. A wszystko przez onego juchę, Krzycha.

— Może i jemu książę przy koronacji wybaczą? — nieśmiało wtrącił Braciszek, ale koniuszy smutno pokiwiał głową:

— Rękę bym dał sobie uciąć, bo i niewiele warta, żeby tak było. Ale dla niego nie masz wybaczenia.

— Dobry z was człek — powtórzył Braciszek. — Niby to się na Krzycha sierdziecie, a rękę dalibyście sobie uciąć za niego.

— Tak się gada — szorstko przerwał Budziwoj. — Zbroję mu jeno odwieźć przyrzekłem, co po nią Unika przysłał, ale sił i zdrowia mi brak, by jechać w taką porę. Niech poczeka — dodał z nagłą złością — a posmakuje, jak to się żywie, gdy nikt o człeka nie dba i zdany jeno na siebie. Mnie zaś raczej o one sieroty zadbać, co je klaryski przez miłosierdzie jeno z dworca przed zimą nie wyganiają, bo się pono Hanna za nimi ujęła.

— Niby zły ten świat, a zawsze się, gdzieś dobry człowiek naidzie — powiedział Braciszek w zamyśleniu.

Pobyt Muskaty we Wrocławiu przedłużył się. Nowy papież Jan XXII szukał sprzymierzeńców. Trudno było żywić nadzieję, by poparł wyzbytego znaczenia i środków biskupa przeciw księciu, którego potrzebował. Nuda bezczynności przeżerała Muskatę. Patrzył zawistnie na ruchliwość swego druha Henryka, który Odzyskawszy łaskę Kurii, zdał się o nic więcej nie troszczyć, jak tylko by się przypodobać. Ongiś w kościele podczas nabożeństwa ubić kazał wysłańca legata za to, że ważył się ogłosić klątwę i zawieszenie go w urzędzie. Teraz % nadgorliwości swej wykorzystał nawet niewątpliwą pomyłkę kancelarii papieskiej która myląc biskupa wrocławskiego z wrocławskim zamianowała tego ostatniego kolektorem świętopietrza. Ściągał je bezwzględnie z głodującego kraju, miotł że ściągał zarazem na swą głowę niechęć, skargi i żale, nawet ze strony popieraných dotąd niemieckich osadników. Nie było to z jego strony posłuszeństwo kościelne, którego nie przestrzegał nigdy, ni po-

kora, o jakiej mówił w liście do Muskaty zmarły arcybiskup Jakub; było to płaszczenie się przed silniejszym, by chronić interes własny i swoich pociotków.

Muskata zawsze zdawał sobie sprawę, że podobni są z Henrykiem jak para oczu. To leżało u podstaw ich przyjaźni. Teraz chciałby się czymś różnić. Mając czasu na rozmyślanie aż nadto, na nowo porównywał się z nim zaczął. Przeszłość obydwu to zwały samolubstwa, chciwości i okrucieństwa. Grzebiąc się w niej, mimo woli Muskata dogrzebał się sumienia. Przewyższał Henryka tylko pychą, dla niej gotów poświęcić wszystko. Henryk umiał ją zrzucić z serca, gdy tak nakazywał wzgląd na własne korzyści.

Stosunki między druhami ochłódły. Muskata niecierpliwiał Henryka. Henryk zaczynał w nim budzić pogardliwe lekceważenie. Rozmawiali teraz z sobą rzadko i powściągliwie. W Muskacie nabrzmiewało rozdrażnienie. Czuł, że przy pierwszej sposobności powie Henrykowi, co o nim myśli, choć straci przez to ostatnie oparcie. Jeszcze wstrzymywał go rozsądek, ale mówił mu też, że szkoda walczyć z Łokietkiem po to jedynie, by płaszczyć się przed każdym innym. Nie spodzianie poróżnił się z Henrykiem w sprawie, w której nie przypuszczał, że się różnią. - Podobnie jak Henryk i on nie liczył się nigdy z ludzkim życiem czy cierpieniem, dawno przestał wzdzięć bliźniego w człowieku, bez wahania usuwał niedogodnych ludzi. Ale choć nie znał litości, nie szukał zadowolenia w patrzeniu na mękę i śmierć. Gdy jednak tracić miano pierwszych heretyków we Wrocławiu, w nudzie jałowego bytowania przyjął zaproszenie Henryka z Wierzbna do asystowania przy egzekucji. Biskup starał się jak największy rozgłos nadać swej gorliwości. Księżę Henryk, mimo że zależny od biskupa, odmówił udziału pod pozorem, że skoro wyrok wykonać mają władze miejskie, obecność jego nie jest potrzebna. Nie miał żadnego zrozumienia dla tych spraw, a widok okrucieństwa psuł mu sen i apetyt. Nie trzeba natomiast było zachęcać do udziału w wi-

dowisku miejskiego motłochu, który znajdował w tym rozrywkę i ujście dla nienawiści ku ludziom, nie czyniącym nikomu nic złego, dlatego jedynie, że byli inni.

Choć dzień był powszedni, przed świtem już na placu między kościołem Świętego Wojciecha a wałami gromadzili się ciekawi, by zająć jak najlepsze miejsca. Niepokojono się, czy kacerze na widok stosu nie zechcą odwołać swych błędów, pozbawiając żądny okrutnych wrażeń tłotkreh najbardziej przejmującego widoku żywcem palonych. Tych, co się pokajali, kat dusił przed spaleniem. Zapewniano się jednak wzajem, że widowisko odbędzie się w całej okazałości. Mistrz Adam musiał być szczególnie uporczywym heretykiem, skoro skazano go na wolny ogień. Okrutny w swej bezmyślności mottach nie wyobrażał sobie nic uciśniejszego nad widok człowieka, przykutego jeno z*t rękę do długiego łańcucha, bezskutecznie usiłującego wydrzeć się ścigającym go płomieniom. Świeże drewno stosu przedłuży jeszcze tę zabawę. Niecierpliwie oczekiwano jej rozpoczęcia.

O świcie pogodnego dnia, jak budzące się ze snu ptactwo, odezwały się dzwony. Z ulic dochodził gwar tłumów, ciągnących z miasta i przedmieść na miejsce kaźni. Muskatę wyrwanego ze snu drażniły te odgłosy. Zasnął późno, spał źle i zbierał się niechętnie. Dziś szczególnie nie miał ochoty patrzeć na rozbestwiony tłum i słuchać jego wrzasków. Przez otwarte okno wpadał do komnaty świeży powiew ze wschodu, niosąc delikatną woń wędnącego już listowia borów widniejących w przejrzystym powietrzu daleko za miastem, na przesyconym światłem nieboskłoniu. Tam panuje cisza i spokój, nawet ptactwo przelotne; odleciało już na południe.

Muskatę naszły wspomnienia zapadłych w przeszłość chłopięcych lat. Zburzył i« Mprvk Wtńrv omamił. że biskup Henryk czeka.

Siedział już w kolasie, w purpurowej szacie, ze **złotym łańcuchem na szyj i krzyżem na piersiach. Ze**

zniecierpliwieniem powitał Muskate, który zajął miejsce obok niego, i przez pustoszejące, wyboiste ulice kolasa potoczyła się ku widnemu z dala kościołowi Św. Wojciecha. Przed nim, na przygotowanym podwyższeniu, zajęli już miejsca dostojnicy Kapituły w ciemnych szatach, Rada i Lawa z oznakami swych godności, strojna w atłasy i aksamity. Pośrodku świeciły białą dominikańskie habity inkwizytorów Koldy i Peregryna, po obu stronach wysokich krzesel okrytych czerwonym suknem, przygotowanych dla obu biskupów.

Na ich widok zgromadzeni dostojnicy powstali, a przez szumiący tłum przeszło, jakby westchnienie Ulgi: wraz się zaczęło widowisko!

;' Muskata nikomu nawet głową nie skinął. Usiadł i z pogardliwą obojętnością patrzył, jak straż miejska wśród przekleństw i wyzwisk odpiera naciskający tłum od stosu, który ułożony na niewielkim wzniesieniu, Z palem pośrodku, świecił w słońcu świeżym drewnem. Dokoła falował łań głów. tłumy czerniały na murach, na dachach przypartych do nich klitek biedoty. Wyrastki jak stada wron obsiadły okoliczne drzewa, kłócąc się między sobą i potracając, tak iż niejeden spadł na głowę stojących w dole, wywołując klątwy i złożeczenia poszkodowanych, a radość i śmiechy gapiów. W pewnej chwili z trzaskiem zawahał się dach •klitki, którego zmurszałe deski nie wytrzymały ciężaru. Wszczęła się bójka, ale odgłosy jej zagłuszył krzyk, który począł się gdzieś w stronie ratusza i płynął ulicą wiodącą ku Oławskiej Bramie, aż wtargnął na plac jak burza. Wiodą skazańców.

- Z podwyższenia widać było, jak tłum zakotłował się, rozpierany klinem straży miejskiej, a w powstałą lukę wpierał się śmiertelny orszak. Nad białą habitów dominikańskich jarzyły się w słońcu jak złoto żółte szaty wiezionych na wozie skazańców, wywyższonych jeszcze spiczastymi wysokimi czapami. Gdy nacichł ryk tłumów, słychać było zbliżający się ponury śpiew. Głosy nabrzmiewały, w miarę jak orszak

zbliżał się do miejsca kaźni, aż wkroczył na plac przed kościołem. Tłumy umilkły patrząc, jak mnisi ■z-zapalonymi świecami w rękach rozłamali dwusereg i rozeszli się w dwie strony, okrążając stos. Gdy czoła się spotkały, przystanąli i umilkli. Umilkły też dzwony i zapanowała cisza, tak że słychać było skrzyp kół wozu ze skazańcami. Ale i ten ucichł, gdy wóz zatrzymał się przed stosem. Kat, w czerwonej opończy z kapturem, skinął na pomocników, dwóch rosnących drabów w jakach bez rękawów, którzy odłożyli niesione powrozy, łańcuch i króbkę z żarem. W spokojnym powietrzu unosił się z niej w górę błękitnawy dymek.

Wszystkie Oczy zawisły na twarzach skazańców^ szukając na nich przerażenia i rozpacz, Ale kącęte żadnej nie okazywali skruchy. Niewiasta siedziała z oczami utkwionymi w niebo, tuląc do piersi chłojHca wyrostka. Drugi syn śmiały oczyma -pogardli-] wie patrzył na tłum, z którego rozległy się gwizdy^l; i krzyki. Potem przeniósł spojrzenie na dostojników,; a na wynędzniałej jego twarzy zjawił się wyraz gniewu i nienawiści. Coś zawołał, czego w gwarze nia można było dosłyszeć, ale ojciec rękę mu położył na ramieniu, a drugą wskazał na niebo. Młodzieniecippu-"ścił oczy i pochylił głowę. Gest starego tkacza był tak wyrazisty, że zrozumieli go wszyscy: nie warto ni spojrzeć na nich. Z tłumy za okrzykami posypały slej na skazańców grudy ziemi i błota.

Krwawy rumieniec wystąpił na twarz Muskaty, ży*ły nabrzmiały mu na czole. Wstydział się, że siedzi mię*dzy oprawcami. Gdyby skazańcy wyli o litość, patrzyłby na nich z obojętnym lekceważeniem. Ich pogarda równała go z chciwym okrutnego widowiska motłochem. Gniew go ogarnął na samego siebie, że tu przyszedł, i na Henryka, że go do tego namówił. Ale odejść me było można. W tej chwili inkwizytor Kolda wstał i rozwinął trzymany w rękę pergamin. Zimnym wzrokiem wodził po tłumie, który cichł pod wpływem tego spojrzenia, aż umilkli wszyscy, a on

obojętnym głosem czytać..jął po łacinie wyrok. Gdy skończył, odłożył pergamin, podniósł krucyfiks i ciągnął dalej po niemiecku. Głos mu się zmienił, mówił jak łagodny ojciec do krnąbrnych dzieci:

— Kościół musi odcinać zgniłe członki, ale ma litość nad nimi. Jeszcze teraz możecie wyrzec się swych błędów, a lekki skon zamknie oczy wasze z nadzieją, że odbywszy pokutę w czyścicu, dostąpicie wiekuistej Światłości.

Tkacz Adam, który wpatrywał się w inkwizytora swymi głębokimi oczyma, gdy ten skończył i umilkł, zamiast odpowiedzi podniósł śpiew, który podchwycili pozostali skazańcy:

Panie, przecz się rozmnożyli, co mnie trapią? Wiele ich powstaje przeciw mnie.

Wiele ich mówią duszy mojej: nie ma ten zbawienia w Bogu swoim.

Ano ty, Panie, jesteś obrońca mój, chwała moja i podwyższający głowę moją.

Głosem moim wołam do Pana: i wysłuchał mnie z Góry Świętej swojej.

Jam spał i twarodom zasnął; i wstałem, i Pan obrocił mnie.

Nie będę się bał tysięcy ludu około mnie leżącego. Powstań, Panie, wybaw mnie. Boże mój.

Boś ty pobił wszystkie sprzeciwiające mi się bez przyczyny: pokruszyłeś zęby grzeszników.

Pańskie jesi wybawienie, a nad ludem Twoim błogosławieństwo Twoje.

Kolda słuchał z twarzą skrzeplą. Udy umilkł śpiew, odwrócił trzymany w rękę krucyfiks postacią Ukrzyżowanego ku sobie na znak, że Kościół odwraca się od skazanych, a mnisi cisnęli trzymane świece na ziemię. Potem podniesiony głos skierował inkwizytor do wójta:

— Kościół brzydzi się krwią. Dlatego oddajemy zatwardziałych kacerzy w ręce władzy świeckiej* Czyńcie swoją powinność.

Gdy wójt skinął na oprawców, Kolda zakończył:

— Może przedsmak piekielnych mąk skruszy ich złość i choć ostatnim tchnieniem uznają winy swoje i nawrócą się do Kościoła Świętego.

Muskata słuchał słów Koldy z wzrastającym niesmakiem. I on mordował w swym życiu, ale nie przybierał pozorów miłościwego ojca. Pochylił się do inkwizytora i rzekł:

— Zda mi się, że to psalm kacerze śpiewali.

Kolda spojrział na biskupa, *zdziwiony* i zaskoczony. Zrozumiał, co chciał powiedzieć Muskata, i odpari:

— Iście psalm. Ale i bluźnić można Bogu słowami Pisma Świętego.

— Iście można — odparł Muskata zjadliwie i ' {wywrócił się udając, że patrzy na to, co dzieje się ze skazańcami.

Gdy wójt skinął na kata, oprawcy chwytali jednego po drugim, ściągając z wozu jak worki, i popychając niemal nieśli po ułożonych z bierwion schodach ku środkowemu palowi. Niewiasta ucałowała wyrostka, coś do niego szepcąc. Gdy chciała ucałować drugiego syna, oprawcy uchwycili ją za ręce i Wykręciwszy je do tyłu, przywiązali do pała. Obok niej przywiązali synów, po czym przytwierdzili łańcuch, a sam kat, ujawszy drugi jego koniec, założył staremu tkaczowi kajdany na ręce. Na ten widok motłoch wydawać jął krzyki zadowolenia. Śmierć na wolnym ogniu przedłuża widowisko. Zaraz jednak znowu podniosły się klątwy i gwizdy. Gdy kat, rozdmuchawszy żar, podpalił stos z jednego rogu, Stary Ikacz, ciężko utykając, ruszył pod górę. Kilkakrotnie opasał łańcuchem stojących u pała, póki go starczyło, po czym jął ich spowiadać i błogosławić. Gdy skończył, przywarł do nich, objawszy ramionami. Tłum nie miał już wątpliwości, że nie ucieszy oczu widokiem jego bezsilnych prób ucieczki przed ogniem. Chce umrzeć jednocześnie ze swymi. Motłoch ryczał, między duchowieństwem także nastąpiło poruszenie. Bezdenna jest zatwardziałość tego kacerza. W obliczu śmierci, wobec wszystkich

urągał sakramentom kapłaństwa i pokuty. W oczach Koldy zjawił się wyraz zimnego okrucieństwa. Zjadliwość była w jego głosie, gdy zwrócił się do Muskaty:

— Zaiste, Bóg tylko taką zatwardziałość ukarać potrafi. Śmierć na wolnym ogniu zbyt łagodną karą dla tego wszetecznika.

Muskata zwrócił na Koldę swe stalowe oczy o prze-krwionych białkach. Przez chwilę patrzył na niego nieodgadzionym spojrzeniem. Potem rzucił:

— I za żywota nie jeno ciało w człeku cierpieć potrafi.

— Mamy i to na uwadze — odparł Kolda. — Niestety umiłowana córeczka kacerza wymknęła nam się z ręki nie wyjaśnionym sposobem. Może przez nią udałoby się nam skruszyć zatwardziałość tego grzesznika. N

— Szkoda — odparł Muskata drwiąco. — Niezbyt gorliwie dbaliście o dobro Kościoła.

Kolda pochylił głowę z udaną pokorą i odparł:

— Podejrzewamy o to onego heretyka i czarownika, którego i Wasza Przewielebność poszukuję. Pono mieliście go w ręku w Krakowie i wymknął się wam.

— Nie szukam go już — odparł Muskata szorstko. — A uwolnił go arcybiskup Jakub.

• • — Jego Przewielebność zmarły metropolita nie zawždy dobro Kościoła zwykł był mieć na względzie, niech mu Bóg tego nie policzy — odparł inkwizytor, po czym, pochylając głowę, dodał obłudnie:

— Miejmy nadzieję, że gdy już wam przeszkadzać nie będzie, Wasza Miłość w swojej diecezji gorliwiej niż my podejmiemy zbożne dzieło wyplenienia z niej chwastów. Brat nasz, Mikołaj Hospodyniec, już ustanowiony inkwizytorem dla niej, niewątpliwie znajdzie wasze poparcie.

Biskup, który na wzmiankę o Jakubie zwrócił na Koldę rozogniony wzrok, teraz rąbnął:

— Komu psy potrzebne, niech je karmi. Wyście

Domini canes ¹, a jam pono wilkiem. Nic wilkowi do psów. Sami szczujcie, kogo wam każą, ale wara wam sądzić metropolitę.

Odwrócił się od Koldy, którego twarz skrzepla w zawziętym wyrazie, i z pozornym zajęciem patrzył na stos. Słup smolistego dymu wywijał się z niego w spokojnym powietrzu. Czasami jeno lekki powiew zakręcił nim, zasłaniając gromadkę kacerzy stojących u pala. Tłum ucichł teraz, czekając na jęki skazańców, ale słyhać było jeno trzeszczenie rozpalających się głowni.

Nagle silniejszy powiew zegnał dym, a jednocześnie od ciągu powietrza zająć się musiał suchy chrust podłożony pod bierwiona, gdyż cały stos naraz buchnął jaskrawym płomieniem. Przerażliwy, świdrujący W uszach skrzek, w którym nie było nic ludzkiego, rozległ się i zginął w burzy okrzyków. Potem zaległa cisza i jeno huczał płomień, a przez języki ognia chwilami widać było ciała skazańców, które kurczyły się i wykręcały, jakby tając od żafu. Kolda ze złośliwym wyrazem twarzy zwrócił się znowu do -Mndfcaty

— Przeklęty kacerz potrafił uchylić się od długiego konania. Miejmy nadzieję, że Bóg dołoży mu w sprawiedliwości swojej.

Patrzył wyzywająco na biskupa. Gdy Muskała nic nie odrzekł i odwrócił głowę pogardliwie, inkwizytor zapytał:

— O czym myślicie, przewielebny panie?

— Q tym, czy wy umielibyście tak umrzeć za swoją wiarę — odparł szorstko biskup.

— Łaska Boża daje siłę męczennikom — rzekł Kolda.

— Czy o nich myślicie? — Muskata wskazał na stos. Już poprzednio rozmowa biskupa z inkwizytorem; zwróciła Uwagę sąsiadów. Teraz Henryk z Wierzbna zmarszczył się, a Kolda, podnosząc głos z widocznym

* psy Boże

zamiarem, by usłyszało go jak najwięcej obecnych, odparł:

— Nie wiem, zali Ojciec Święty rad będzie dowiedzieć się, iż Wasza Przewielebność kacerzy za męczenników uważa.

Gniew wystąpił na oblicze Muskaty. Zdało się, że uderzy Koldę, który spoglądał na niego wyzywająco. Potem jednak zmierzył go pogardliwym wzrokiem i zapytał:

— Który Ojciec Święty?

; — Jeden jest następca świętego Piotra: Jego Świątobliwość Jan. A Mikołaj sługą jest Antychrysta.

— To samo on mówi o Janie. A ci — biskup wskazał na stos — to samo mówili o obydwu.

Kolda przenikliwym wzrokiem powiódł po zgromadzonych, badając, jakie wrażenie uczyniło na nich odezwanie się krakowskiego biskupa. Gorliwie okazywali zgorszenie. Na twarzy Henryka. Z Wierzbna widać było gniew i zmieszanie. Zbierał się coś rzec do Muskaty, ale ten, nje bacząc na to, wstał i powiedział głośno:

— Czekajcie, aż się świerwo dopieczce. Mnie mdli od samego smrodu.

Rozgarniając jak krze stojących mu w drodze, Zeszedł z podwyższenia i wparł się w tłum. Rozstępowano się przed nim niemal w popłochu. Zdało się, że zdepcę każdego, kto na czas nie usunie mu się z drogi. Wstrzymując oddech, uciekał jak od zaduchy zgnilizny. Ale niósł go w sobie i uczucie obrzydzenia nie opuściło go, gdy przez opustoszałe ulice dotarł na Ostrów. Kapelan niemal z przerażeniem patrzył na posiniałą twarz swego biskupa i zapytał;

— Co się stało, Wasza Przewielebność?

— Nie mogę tu już oddychać — odparł zduszonym głosem Muskata.

Kapelan zrozumiał odezwanie się biskupa dopiero, gdy ten, ochłonawszy nieco, kazał mu wziąć pióro i pergamin i podyktował list do Łokietka, w którym дума walczyła z pokorą. Nie prosi, by Łokietek dał

wiarę jego słowom i łaskę mu swą przywrócił. Ale książę wie, że on szkodzić mu już nie może ni na wrogach mścić się nie będzie, bo nie ma sił. Poddaje się, bo wie, że przegrał. Prosi jeno o ochronę przed wrogami i zapewnienie, że książę nie każe mu znów czekać w lochu na sąd arcybiskupa, bo stary już jest i chory. Wierzy, że tym razem książę zapewnienia dotrzyma, bo sobie samemu by zaszkodził, każąc mu w więzieniu dokonać żywota. Zresztą — wierzy czy nie — nie ma wyboru.

Pożegnanie z Henrykiem było krótkie i zimne. Gdy Henryk jął mu czynić wyrzuty, że zachowaniem swym mógł jego wobec Kurii narazić, bo inkwizytor nie omieszka donieść, co krakowski biskup mówi}' w jego obecności, Muskata z wymuszonym uśmiechem na poblądłej twarzy odparł:

— Koldzie możesz rzec, iżeś mnie wygnał. Tytti bardziej sławić będzie gorliwość twoją.

Henryk wyczuł drwinę, ale wołał udać, iż; jej nie dostrzega.

— Iście po tym, coś powiedział, lepiej byś wyjechał. Ale i tobie łaska Kurii potrzebna *~ rzucił*

— Dość o nią nazabiegałem, a oto od pięciu Jat z górą na wygnaniu siedzę. Mam o nią prosić, to wolę już jam, gdzie prośba skutek Odnieść może.

— Jak ci się zda — odparł Henryk zimno. ^ jeno uważ, że i biskupia godność nie chroni od stósu.;

Ani papieska od Bożej sprawiedliwości, Ofeu nam czas i o tym pomyśleć.

.— Troskę o swoje zbawienie swemu kapelanowi zawierzyłem i spokojny o nie jeftt^m— rzekł HSh< ryk odpychająco.

Muskata pokiwał głową:

Tedy ci ? izdrozczę... —, zaczął, ale H<hryk przerwał mu gniewnie:

r— Ty mi czego innego za widzisz.

'.— Już nie — odparł Muskata.

Wstał zbierając się do wyjścia. Henryk paharaipwał się, Nie chciał zrywać z wypróbowanym sprzymie*

rzeńcem, nie wiedząc, jak się sprawy dalej obróca.
Zapytał z udaną troskliwością:

— Co zamierzasz uczynić?

— Jadę do Opolą. Tam będę czekał na odpowiedź Łokietka, zali mi wrócić zwoli.

W jesienny dzień, Oławską Bramą, przez nikogo nie zauważony, wyjeżdżał z Wrocławia Muskata. Jechał zdać się na łaskę zakłętego wroga. Prośbę biskupa powiódł już do Krakowa oficjał Engelbert. Z duchownych, któi-zy od pięciu lat dzielili z Muskata los, jechał z nim tylko Henryk z Miechowa, kanonik poznański. Zapewne dlatego, że nie miał dokąd odejść. Krystyn, oficjał wrocławski, i kanonicy, Adam i Mikołaj, pozostali we Wrocławiu. Nic dziwnego, ich beneficja leżą w diecezji Henryka z Wierzbna. Gdy poróżnił się z Muskata, pozostać bezpieczniej. Wrócić byłoby trudno. Muskata z gorzkim zdziwieniem rozmyślał, jak niełatwo pozyskać przywiązanie, a jak łatwo nienawiść. Jeszcze wmawiał w siebie, że nie dba ni o jedno, ni o drugie. Ale czuł, że to nieprawda. Wbrew woli myśl jego krążyła koło siostry** Adelajdy i jej dzieci. Od chwili zdobycia Lipowca przez Łokietka nie miał o nich wiadomości. Najlżejsza byłaby pewność, że nie żyją. Uczynił wszystko, by pozyskać ich serca, zapewnić im świetną przyszłość. A jeżeli żyją, nienawidzić go muszą, jemu przypisując zmarnowany los. Starczyło zaś, że w zniecierpliwieniu, niemal nie myśląc o tym, skrzywdził nieznanego wyrostka, by pozyskać wroga, © którym pozbyć się wspomnienia nie może. Ostróżka zdał śle. uosobieniem wszystkich skrzywdzonych, których biś.; skup zwykł deptać jak mierzwę.

Muskata włókł się, nie spiesząc, rozmiękłym już gościńcem, w którym kolasa często grzęzła po osie. Nie tak spodziewał się ongiś wracać na stolicę. Rozglądał się i rozmyślał. Chcąc uniknąć ludzi, przed-

stórymi wstydzil się swego upadku, nie zajeżdżał do plebanii ni klasztorów, lecz stawać kazał w osadach. Wszędzie widać było ślady głodu i zarazy. Stojące adłogiem pola porastały już samosiewem, z opuszczonych chat wichry pozrywały strzechy. Wolał jednak nocować w nich niż w zamieszkanym, gdzie głodne 3czy śledziły zawistnie każdy kęs niesiony do ust. Nie mógł go przełknąć, zdało mu się, że sam żuje korę, od której wzdymały się brzuchy dzieci o sinych twarzach, z płonącymi gorętwą oczyma. Choćby oddał zapasy, jakie zabrał na drogę, nie starczy dla wszystkich. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sówbie, jak trudno jest ulżyć ludzkiej nędzy. Wolał na nią nie patrzeć.

O parę mil od Opoła, zmuszony przedwczesnymi zmrokiem i deszczem, Muskata zajechał jednak di0 samotnej chaty, z której przez szpary okienne przezieralo światelko. Otworzył ponury chłop, bez słowa przepuścił przybyłych do izby i z kąta złym WZEC*¹kiem śledził przygotowania do wieczery. Zdało się, że gospodarz sam jest w chacie, ale gdy razszedł się zapach gotowanego mięsa, ze sterty mierzwy, leżącej w ciemnym kącie, wypełzło trzech wyrostków o spoj-rzeniach spłoszonych zwierząt. Gdy pacholek wyrzucił mięso na misę i położył chleb, podsunęli się do biskupa. W wynędzniałych, zgaszonych warzach tak jawnie widniała walka strachu z głodem, że Muskata-, nie myśląc, co czyni, wyciągnął ku nim glon chleba z płatem mięsa.

Ze zgrozą patrzył, jak jęli go sobie wzajeni odbie- rać, bijąc się i kopiąc, gdy nagle siedzący dotąd w bezruchu chłop skoczył między synów, wydarł im pożywienie i rzucił się ku drzwiom. Pacholek schwy- tał go i przytrzymał. Chłop, osłabły, stał dysząc i pa- trząc z nienawiścią na biskupa, który zwrócił się do- niego:

— Nie wstyd ci głodnym dzieciom chleb odejmę* wać od ust?

— Jeśli ją zeżrę, to jutro iip może coś przyniosę,

J#śli oni, to jeno wszyscy zdechniemy o dzień póź-
niej. A wasze dzieci gdzie, że żecie, jakbyście komu
byli potrzebni?

Patrzył przy tym na biskupa z tak bezdenną nie-
nawiścią, że Muskata, choć niepłochliwy, bez słowa
zbierać się począł. Wyruszyli w ciemność i ulewę,
a nad ranem zmarznięci i przemoczeni dotarli do
Opola.

Biskup nie był tu od czasu, gdy razem ze starym
księciem Bolkiem wyruszał do Krakowa, by go objąć
imieniem Luksemburczyka. Zda się, że to było wczoraj,
a upłynęło już z górą pięć lat. Niewielkie miasto
przyległe do prawego brzegu rzeki, zamknięte pier-
ścieniem murów, wylewało się poza nie wzdłuż goś-
cińców, wybiegających przez pięć bram, strzeżonych
basztami i starym zamkiem na Górcie. Naprzeciw nie-
go, na Ostrówku, rozbudował się nowy zamek z po-
tężną wieżą, górującą nad miastem i okolicą. Tam
Muskata goszczony i podejmowany był ongiś jak
udzielny książę. Teraz stanął w gospodzie pod Brze-
ską Bramą, nie witany i nie poznany przez nikogo.
Stary Bolko nie żył, z młodym Muskata nie chciał
się widzieć. Mimo że znudzony, doczekał jeno otwar-
cia bramy i udał się do miasta.

Nachodziły go wspomnienia. Mimo woli skierował
kroki do franciszkańskiego klasztoru. Tam, pod po-
sadzka kościółka Sw. Anny, od czterech lat spoczywa
już książę Bolko. I on niemal przez cały żywot wal-
czył z Łokietkiem. Ale w porę umiał opuścić sprawę
Jana Luksemburskiego. Za to umrzeć mógł spokojnie
we własnym zamku, miast u Łokietka w niewoli,
której pokosztował już przedtem. W ciemnym wną-
trzu drewnianego kościółka ledwo widoczna znaczyła
się płyta nagrobna starego księcia. Muskata ukląkł
przy niej, ale nie modlił się. Wspominał. Gdzie trzeci
z ówczesnych przeciwników Włodzisława — wójt Al-
bert? Był wszechwładnym wójtem stołecznego grodu,
sądeckim kasztelanem, żupnikiem krakowskim, jed-
nym z pierwszych dostojników i największym boga-

czem w królestwie. Rósł jak grzyb, zdało mu się, że las nakryje swą czapą. Czegóż jeszcze chciał ten syn przybyłego z tobołkiem do Polski niemieckiego kolonisty? Zmusić zamierzał Bolka, by dalej walczył dla niego. A pewnie zgnił gdzieś w Bolkowym lochu. Od upadku buntu słuch o wójcie zaginął.

Muskata wstał i, nie przeżegnawszy się, skierował kroki ku wyjściu. W bramie natknął się na dziada, który ustąpił mu z drogi. Gdy Muskata sięgnął do kalety, by mu dać wsparcie, dziad zaśmiał się drewnianym głosem:

— Ostawcie, przewielebny panie. Może niedługo wam samym się przyda, jako i mnie zdałoby się choć to, com dziadom rozdał w Krakowie pod Najświętszą Panną.

Muskata patrzył szeroko rozwartymi oczyma i nie wierzył ifen. Pz^d wychudły był i zgarbiony, ale urosły i barczjśty. Zmierzwione białe włosy zlewały się z siwym zarostem, okalającym twarz o barwie zakurzonego pergaminu. Wyblakłymi, jakby również zakurzonymi oczyma patrzył na biskupa, który; wy*szeptał:

— Wójt Albert?

— Nie poznaliście mnie? I was trudnoNłjy poznał, kto widział, jak w purpurze i złocie wjeżdżaliście do Krakowa, z tym — ręką wskazał na wnętrze kościółka i ciągnął: .

— On książę, ja wójt, a wy biskup. Otp i nie zmawiając zesłiśmy się znowu. Uważajcie jeńó, by was w gościnę nie zaprosił —zadrwił gorzko. —vJah? ją dopiero opuścił, |podziękować za nią przyszedłem, choć na grób splunął!

Gdy biskup railciał, Albert ciągnął:

— A może wy tu na Swego LuksempurczyKa czekacie? Ceni on potężnych sprzymierzeńców, Tćraz i jam silny. Nawet psy się mnie boją.

Podniósł sękaty kostur, jakby chciał uderzyć Ilu* skate, który cofnął się minao woli. Albert zaśmiał się sucho:

— I wy też. Ale gdym w lochu siedział, głową bi-
jąc o mur, nie lękał się mnie nikt, tedy i wszyscy
się wyrzekli. Nawet własni synowie, by nie narazić
się zwycięzcy. Za to im w Krakowie ostać zwoili. Wy-
ro/umiały jest dla pokornych i uległych...

Głos Alberta się załamał. Muskata stał, to błędną
to czerwieniejąc. Gniew, wstyd i jakby litość nad
tym ludzkim łachmanem zdławiły mu głos. Odwrót
cii się i szedł pędkiem. Za nim jeszcze leciały słowaj

— Uciekajcie! Może by za złe wam wziął, ze zę
mną gadacie, i nie pozwolił lizać swych cizem.

Muskata uszy zatkał i przyspieszył kroku. Ale mi-
mo to dostyszał:

— A zanieście moim synom ojcowskie przekleń-
stwo, bo niczego więcej ostawić im nie mogę.

Lizać cizmy zwycięzcy! To nie **pokara**, o której pi-
sał Jakub. Ona powstaje w samym cJHOWieku z włas-
nej jego woli. Z cudzej płynie tylko Upokorzenie.
Jedzie naprzeciw niego. Czeką go nieufność księcia*
niechęć polskiego duchowieństwa, nienawiść ludu.
Co może zdziałać? Jak Henryk z Wierzbna rozpocząć
muM od procesów o zagrabione dobra kościelne i ścia-
gania zaległych dziesięcin, choćby po to, by zwrócić
pożyczone kilka tysięcy grzywien. Henryk o nich
nie wspomniał, ale tym bardziej Muskata nie chce za-
wdzięczać mu niczego.

W Opatowcu zastał już Engelberta z odpowiedzią
Łokietka. Odczuł ją jak policzek: księżę skłonny jest
przychylić się do prośby arcybiskupa Janisława i ze-
zwolić na powrót Muskaty przed wyrokiem. Ale sko-
ro ten żąda zapewnienia bezpieczeństwa, lepiej by
poczekał, aż księżę porozumie się z prałatami i p&«.
nami. Tymczasem ludzie nawykną dp myśli o powro-
cie biskupa, a księżę załatwi pilniejsze sprawy, **które**
mu tamtą zając się nie pozwalają.' •

Muskata czekał. O tyle łatwiej mu było, że cho-
rzał w zimie. Śmierć rozwiązałaby wszystko* ale lę-
kał się jej. Jeszcze **nie** czuł się na nią gotowy.

Ciepłe wiosenne dżdże zmyły już **resztki śniegu**

z okrytych zieloną runią pól. Kto przeżył głodną zimę, zaczynał mieć nadzieję. Tu na ziemi kara Boża nie może trwać wiecznie, po trzech latach jałowych rok zapowiadał się urodzajny. Zbierano resztki sił do pracy, resztki zboża na siew. Jakoś się przetrzyma, gdy jest nadzieja żniw. Muskata stracił ją: niczego już w życiu nie dokona, ni złego, ni dobrego. Gdy czynił z życia obrachunek, u kresu leżała rozpacz.

Drogi podeschły, zboża zaczynały kłócić, a od księcia żadnej wieści. Biskup długo i ciężko walczył z resztkami dumy, nim ponownie wysłał kanonika Engelberta. Zrazu liczył dni do jego powrotu, potem tygodnie. Miesiące już nie liczył, zapewne i on go opuścił, któż postawi na zdechłego konia!

Biskup nie czekał już na nic, gdy Engelbert wrócił. Okazało się, że kapelan nie zastał księcia w Krakowie i pojechał za nim do Chęcina, gdzie Łokietek uradzał z biskupem Gerwardem i sulejowskim opatem nad powszechnym zjazdem w Sulejowie. I sprawę Muskaty zamierzał mu przedłożyć, kazał przeto czekać posłańcowi.

Zjazd już się rozpoczął, a Engelbert nie czekał; jego zakończenie, by co prędzej zanieść pomyslną wiadomość swemu biskupowi: mógł wracać do Krakowa. Zdziwił się, gdy na twarzy Muskaty nie ujrzał ni śladu radości czy ulgi. Muskata rozumiał: usunięto jego sprawę jak kamień, o który potknąć się mógł Gerward, gdy w Kurii przedkładać będzie petycję całego narodu o koronę dla Łokietka. Biskup wracał do Krakowa, bo nie mógł uczynić nic innego. Rozmyślał nad słowami Jakuba: „By powstać, każdy tam podeprzeć się musi, gdzie upadł”. Tam upadł, a dźwignąć się nie zwoli mu nieufność, i nieważność: /edzie, by zebrać żniwo całego żywota^

Odetchnął, gdy zajechawszy na Wawel, dowiedział się, że księcia jeszcze nie ma w Krakowie i nieprędko wróci. W pogodne letnie dni z okien swej izby nad refektarzem patrzył na ruinę katedry. Sterty gruzu porastały chwastem, w szczybach wypalonych

murów zakorzeniły się spore już drzewa. On jej już nie dźwignie. Trudniej jest budować niż burzyć.

Łokietek wciąż jeszcze bawił w Sulejowie, dokąd pociągnął wprost z Chęcina, nie wracając do Krakowa. Choć nie lubił klasztorów, stanowiących często oparcie dla wrogich mu obcych żywiołów, zjazd wy--.' *znaczył w cysterskim opactwie, położonym na niewielkim wzniesieniu opodal ujścia Radonki do Pilicy.* Przed blisko półtora wiekiem Kazimierz Sprawiedliwy sprowadził pierwszych cysterskich mnichów z Burgundii. W przeciwieństwie do zakonów żebraczych nie szukali oni siedziby w mieście ni środków do życia z jałmużny. Zgodnie ze swą regułą miejsce na klasztor wybrali na odludziu, wśród Jasów i bagien, by pracą własnych rąk zamienić je**na uprawne pola, ogrody i winnice. Drugi napad tatarski zniszczył jej owoce, a mnichów, jeśli nie dali gardła pod miecz, rozproszył. Ale wrócili jak mrówki do rozburzonego mrowiska, bogatsi o jedno doświadczenie. Z niewielkiej wieżyczki, na skrzyżowaniu głównej nawy z transeptem, sygnaturka głosiła, że znowu, są i pracują świecąc przykładem, jak nieużytki zmusić można do rodzenia, kamień do zmiany kształtu, a nieokielznany żywioł wodny do pozytywnej pracy.

Mimo niechęci do obcych Łokietek zbyt trzeźwy ^był, by nie widzieć, że cysterskie klasztory stały się 5spichrzami głodującego kraju, dopomagając do przełamania klęski. I teraz zresztą, gdy wyznaczał Miejsce zjazdu, to miał na, względnie, że klasztor zdoła wyży* wić ciągnące zewsząd gromady, a obszerny kościół dogodny był do obrad. Choć wielkopolskie rycerstwo uradzać miało odrębnie w Pyzdrach, zjazd zapowiadał się niezwykle liczny. Dojrzało w kraju zrozumieć nie, że dzieło Łokietka wyrosło już z fundamentów i należy udzielić księciu poparcia, by mógł go dokończyć.

Radocha zajęty był zwózką siana, gdy przyszło Wezwanie na wiec. A już i żniwa były za pasem, a obfite. Wynagrodzić muszą za trzy chude. Niedogodna pora do wyjazdu, gdy nadrobić trzeba straty głodnych lat i brandenburskiej wyprawy, na której zbył paru ludzi i kilku koni. Zboża zostało tyle, co na siew, ale Radocha z dumą myślał, że w jego wsiach nikt z głodu nie zdechł ni ziemi nie porzucił. Podrastało już parć łozaków własnego chowu i kilku parobczaków, którym żelazo niedziwne. Radocha lekce sobie ważył niechęć okolicznego rycerstwa, które mu za złe miało, że — świeżo do rycerskiego stanu podniesiony — nie tylko o niczyje względy nie zabiega, ale z chłopami trzyma i do hardości ich przyucza. Tym mniej kwapił się jechać na wiec do Pызdr, gdzie czekały go tylko niechęć i lekceważenie, mimo że w czasie brandenburskiego najazdu znaczne oddał usługi. Wojewoda Dobrogost pamiętał mu zajście w Poznaniu, a na dobitkę wiecowi przewodniczyć miał książę Kazko gniewkowski jako wielkopolski starosta. Radocha nigdy nie taił, że za hic go ma, a ostatnio pogarda jego wzmogła się jeszcze, gdy kujawskie książątka za psi pieniądz ziemię michałowską zaprzepaściły na zawsze. Na takich książąt Krzyżakom ni miecza nie trzeba, starczy od niechcenia kiesą potrząsnąć.

Radocha w rozterce był i skrobał się po kudłach, Skoro książę Włodzisław zjazdy zwołują, to juści czei' goś od rycerstwa chcą. Trzeba mu gęby, a może i ręki dołożyć. Z nawyku poszedł poradzić się Pizły, choć z góry wiedział, że niewiele z niego wyciągnij.

i— Cóż byś ty uczynił?— zapytał.

— Nie moją sprawa — odparł Pizło. ~ Kies pifeś, jedź szczekać.

— Może i trzeba będzie szczekać, bo takich iPtto^B nie braknąć, co się książęciu będą przetiwiwić. Do Su» lejowa bym pojechał.

— Bo z Sulej owa do Krakowa bliżej.

— Jakbyś zgadł. Jenó to sobie, a to sobie. Do Krakowa przystoi mi nawet, skoro Budziwoj tyli świat z zaprosinami jeździł. Ale tam mogę jechać i po żniwach.

— Chcesz, to jedź. Ja ta nawykłem odrabiać za ciebie.

— Dziękując za przyzwolenie. A tak czy inak pojedę do Nakła. Kasztelanie będzie wiedział, co poczynać.

— Tedy po co mnie pytasz?

— Byś gębą ruchać nie zabył. A praw jesteś, że do Krakowa za jednym zachodem poręczniej, skoro i tak na żniwa nie pośpieję.

Rad był, że Pizło sam o tym zaczął, bo o wyjeździe do Krakowa dawno rozmyślał. Od czasu, gdy po jego nieopatrzonym odezwaniu Krzych odszedł bez słowa pożegnania, gnębiła Radochę niepewność, czy Kundzi nie zaszkodził. Budziwoj, ani chybi, będzie z księciem w Sulejowie, tam się wyjaśni, dlaczego jeno od 'Kundzi przywiózł zaproszenie i co się stało t Krzychem.

Zresztą do Pyzdr czy do Sulejowa — Nakło było •po drodze, a tam zapewne zastanie kasztelanica Henryka, który zmarłego ojca zastępował w urzędzie; jeśli jeno już na zjazd nie wyruszył. Radocha, nie zwlekając, konia kazał osiodłać, wóz zapasami załadować i pojechał.

■ Z; Henryka istotnie zastał już na wsiadany. Gdy mu swoje wątpliwości przedstawił, Henryk rzekł" lekko:

— Nie chcecie do Pyzdr, jedźcie ze mną do Sulejowa. Kraina jest Kraina, ni to, Wielka Polska, ni Pomorze, ni Kujawy, jeno Pałuki. Tedy tam jadę,

.. gdzie mi dogodniej. Tak czy siak z księżciem Włodzisławem sprawę urzędu po rodzicu muszę załatwić, a spadku po nim z bratem Maciejem, któren przy biskupie Gerwardzie bawi. Tedy jedziem społejii, a sposobną porą i zabawić się możem. Bodaj czy nie ostatni raz.

Pomarkotniał wyraźnie. Na pytające spojrzenie Radochy dodał:

— Pono ojciec pod błogosławieństwem zenić mi się przykazał. Zawszy wyrozumiały był dla mnie i żeby mi takowego klina zabił na pożegnanie! Muszę ja brata Macieja wybadać, jako iście było, bo on był przy śmierci rodzica. Jeśli jeno o ród chodzi, to jest nieżeniaty Zbylut po stryku Trojanie. A Maciej to nie mógł niewiasty pojąć, miast na biskupa się kie* rować? Czemuż to na mnie padło!

Radosze trochę śmiać się chciało, ale powściągnął się i rzekł poważnie:

— Kiedyś i tak zenić się* trzeba. Gorzej, gdy pr?ejdzie pora i człek samotny ostanie.

— Kiedyś i umierać trzeba, jeno komu spieszo? Ale co będziemy o takowych smutnych rzeczach; gadać. Jedziem.

Choć drogi były suche, dni długie, a koni nie ealowali, dopiero pod wieczór siódmego dnia dotarli do Sulej owa. Niewielkie miasteczko zapchane było przyjezdnymi po brzegi, w klasztorze bowiem jeno dwór* i duchowieństwo znalazło pomieszczenie. Pokręciwszy się tedy po mieście, tyle tylko, by zasięgnąć wiśKłóW mości, Henryk i Radocha przepawili się przez Pilićę i wyszukawszy nad Radonką zaciszne miejsce, kazałi rozbić namiot i wcześniej ułożyli się spać.

Wiec trwał już kilka dni i dotychczas sprawy Szły gładko. Nawet powrót Muskaty na stolicę nie na' potkał większych sprzeciwów. Biskup Gerward temiał przekonać krakowskie rycerstwo, które najcięzsze miało z Muskata rachunki, że odmowa zezwolenia" na powrót da jeno wrogom- do ręki broń, którą-sifu* licznie zwalczać mogą jego starania w Kurii o zezwolenie na koronację. Przysądzono -nawet biskupowi wieś Wiktorowice, którĄ pod jego nieobecność, rycerz Piotr Salomonowie jawnym bezprawiem f zagafnał. Łokietek chciał dać do zrozumienia Muskacie, że mo-
•te liczyć na jego Domoc w uDorzadkowaniU zanie-

ctbanej od lat diecezji, jeśli poniecha knozań i zajmie się swym urzędem.

Najważniejsza jednak sprawa, dla której w istocie zjazd został zwołany, czekała jeszcze swego rozstrzygnięcia: prośba całego narodu o koronę dla Łokietka. Zarówno jednak książę, jak i biskup Gerward zdawali sobie sprawę, że darmo z nią jechać do Awinionu, jeśli nie powiezie się zarazem zgody na zmianę denara św. Piotra z podymnego na pogłówny. Nałożenie zaś nowego ciężaru na zubożały kraj, i to w chwili gdy wyczerpany głodem i zarazą tchu jeszcze nie nabrał w uciśnioną pierś, spotka się z powszechną niechęcią, jeśli nie sprzeciwem. Duchowieństwo i rycerstwo od istniejących już ciężarów starało się uchylić, niemiecki kupiec i kolonista, nienawykły do tego we własnej ojczyźnie, nie wiedział nawet, za co ma płacić, chłop uginał się już pod brzemieniem świadczeń.

Łokietek rozumiał tę niechęć, bo sam ją podzielał. Ale rozumiał też, że koronacja jest progiem, który przekroczyć musi za każdą cenę, jeśli dotychczasowa praca nie ma pójść na marne. Przeciwnicy byli potężni i zasobni w środki, szalę przeważyć mógł tylko pieniądz. Bez niego jakoby w wodę siał.

Uchwalenie petycji nastąpić miało szczególnie uroczyście, w kościele, po nabożeństwie celebrowanym przez samego Gerwarda w asyście opata i kanoników. Mimo powszechnego zapału, jaki towarzyszył zjazdowi, Łokietek nie był pewny wyniku i troska długo w noc odganiała od niego sen.

Wczesny czerwcowy śwjt dopiero zielenił niebo na wschodzie, gdy na drodze wiodącej z miasteczka do klasztoru wszczął się ruch i gwar, które wyrwały ze snu Henryka i Radochę. Zbierali się pospiesznie, wiadomo bowiem było, że kościół, choć obszerny, wszystkim nje pomieści, tym bardziej że miejsca w transepcie i prezbiterium zastrzeżone były dla kościelnych i świeckich dostojników. Klasztor leżał na wzniesieniu, że zda się — kamieniem by derzacH, tak bliski

i wyraźny w promieniach szybko wzbijającego się słońca, które zapowiadało upalny dzień. Od południa broniła dostępu Radonka z szeregiem błotnistych stawów oraz stromą szkarpa, do mostu zaś, opodal ujścia rzeczki do Pilicy, kęś był drogi. Radocha ponaglił Henryka, bo z dala już widać było toczącą się do miasteczka falę ludzką, która wlewała się w obszerne obejście klasztorne, w cieniu wysokich lip, półkolem otaczających kościół od północnej strony, zaś, wczasu szukając schronienia przed skwarem. Widoczne było, że chłodne wnętrze kościoła jest już zapelnione. Radocha zaś chciał się przyjrzeć wszystkim i..po* słuhać, o czym będzie mowa. Henryk jednak posilał się bez pośpiechu, a na Radoehowe nagabywania odparł:

— Już tam się dla nas miejsce najdzie, wyjść zasię będzie trudno. Żeby. na Sąd Ostateczny wołali, nie pójde o głodzie, bo człek o brzuchu wtedy myśli, miast o tym, co trzeba.

— Was ta jeszcze wpuszczą, boście jakoby nakielrskim kasztelanem.

— Do Poznaniaśmy wleźli, a tu by nas kto- zatrzymał — zaśmiał się Henryk, ale wstał, otarł gębę i ruszyli.

Gdy nadeszli, otwarte na ścieżaj trzy wejścia do kościoła zamurował już tłum. Wnętrze widne było, bo przez okna głównej i południowej nawy wpadały skośne smugi słonecznego światła. Przez nie ledwo przeświecały żółte płomyki świec, które już zapalono w głównym ołtarzu. O wepchaniu się do kościoła — a zwłaszcza w poblize prezbitarium — zda się, nie było co myśleć. Henryk jednak pociągnął Radochę ku furcie na wewnętrzny dziedziniec, przylegający dwoma bokami do kościoła i łączących się z nim budynków klasztornych. Zadzwoił i rzekł do furtiana ostro;

— Natychmiast przywołać kanonika wrocławskie^go Macieja. Powiedz, że tu czeka brat, a sprawa pilna,

Czekali rozglądając się, gdy po chwili uchyliło się okienko i furtian oznajmił:

— Jego Wielebność kazał rzec, że tu wyjść nie może, bo ino patrzeć, rozpocznie się nabożeństwo. Chce wiedzieć, co za sprawa.

— Nie dla twoich uszu. Tedy puszczej.

Furtiam z wahaniem uchylił furty, a Henryk pochnął Radochę przodem i nie oglądając się na zmieszanego braciszka, szedł wzdłuż kościoła ku stojącemu w cieniu wirydarza duchownemu. Gdy podszedł, bez wielkiego szacunku ucałował go w rękę, a zgoła po ufale poklepał po barkach. Radocha przystanął obok i patrzył dziwując się: jak różni mogą być bracia po jednych rodzicach. Kanonik niemal o głowę był niższy, nieco już otyły, a głos miał płacziwy, gdy zaczął:

— Gadaj prędko, bo biskup już przybrany, czeka jeno, kiedy miłościwy pan zejdl/ie.

— Tedy nie zatrzymujęc. Chciałem ci jerio rzec, że przyjechałem pogadać i sprawy po rodzicu załadzići Zajdę, jeno się wiec skończy.

— Bogdaj cię! To teraz mi musisz mówić? A ja już myślałem, że B4g wie co. A że ml serce bijc>

— Mnie też. No, nie zatrzymuj nas, bo trzeba nam do kościoła, nim miłościwy pan nadejdzie.

Pozostawił zdumionego kanonika, skinął na Radochę i weszli do zakrystii.

Rojno tam było. Biskup Gerward, przybrany już w szaty pontyfikalne, stał w otoczeniu duchowieństwa, rozmawiając po łacinie z opatem. Radocha zmieształ się nieco, gdy spoczęło na nich przenikliwe i nieco zdziwione spojrzenie dostojnika, o którym słyszał, że jest prawą ręką księcia. Henryk, który znał biskupa, skłonił mu się w przejściu i szybko wszedł do kościoła, który szumiał tłumem wypełniającym szczerlnie wszystkie trzy nawy, transept i północną kaplicę.

W południowej natomiast pusto było, tedy bowiem wejść miał księżę z orszakami. Henryk z Radocha zatrzymali się za filarem przy wejściu do prezbiterium, skąd widok mieli i na schody wiodące do dormitorium, i do pomieszczeń opackich, gdzie stał gospodą Łokieł

tek. W transepcie na zaścielanych ławach zasiedli świeccy dostojnicy i członkowie przybocznej Rady księcia: sędziwy kasztelan krakowski Prandota Odrowąż, syn Straszą z Końskiego, wojewodowie: Nawój Topór z Przegini, sandomierski, Klemens Pilawa, sieradzki, sandomierski kasztelan Piotr Jelita z Mokrska, żarnowiecki Jakub Bogoria, Pakosław Lis z Mstyczowa i wielu innych ziemskich i dworskich urzędników, wśród których Radocha spostrzegł siwą głowę Budziwoja. Gdy oczy ich spotkały się, Radocha skinął głową, a koniuszy ręką dał znać, że chce z nim mówić. W tej chwili jednak na schodach słyszeć się dały stąpania i poprzedzany przez spycymirskiego kasztelana, Piotra Świnkę, i krakowskiego stolnika, Mikołaja Poraja z Kurozwek, szybkim krokiem wszedł Łokietek, skierował się do przygotowanego przed głównym ołtarzem kłęcznika i opuszczył się na kolana, a w tej chwili w asyście licznej kleru wyszedł z zakrystii biskup Gerward. Duchowni dostojnicy zajmowali miejsca w stallach, które zappełniły się, tylko przygotowany dla księcia po lewej stronie tron oraz niżej od niego stojące krzesło dla biskupa pozostały nie zajęte. Biskup przystąpił do ołtarza i rozpoczęło się nabożeństwo. Gdy wszyscy powstali na powitanie księcia, Henryk, korzystając z zamętu, usiadł w pierwszej ławie i Radocha pozostał pod filarem sam. Podkręcał wąsa, ale nijak mu było stać tak na ludzkich oczach, zwłaszcza że niezbyt był pewny, jak się zachować podczas nabożeństwa. Cofnął się tedy za węgiew do kaplicy i stamtąd ciekawie rozglądał się po kościele. Podziwiał beczkowane sklepienia, wsparte na półkolumnach z głowicami kutymi w liście, podtrzymywane przez gurdy kamienne, zdobne na skrzyżowaniach zwornikami rzeźbionymi w wymyślną plecionkę. Rozmyślał, jak się to dzieje, że nawet książęta, co tu Władną od wieków, takich zamków sobie nie wzniesli, Jak niedawno przybyli mnisi, co przyszli tu z obczyzny z laską i węzełkiem. Zamyślenie jego płoszył Chwilami ruch w kościele, gdy obecni kłękali lub

wstawali. Cofał się wówczas w głąb kaplicy i rozglądał po niej. Wszystko lity kamień. Takiego nie ogień nie ugryzie, ni najtęższy taran. Pono przed pół wiekiem klasztor zdobyli i spalili Tatarzy. To i co? Stoi, jak stał, a z gródków i osad wiatry popioły rozniosły. Wiedzą Krzyżaki, dlaczego nic z drzewa nie stawiają. Gdzie kamienia brak, palą cegłę, a gdzie nogę postawią, tam i zamek. Niełacno będzie psubratom Pomorze wydrzeć z gardła.

Znowu ruch w kościele przerwał jego rozmyślenia. Nabożeństwo widno się skończyło, z prezbiterium dochodziły odgłosy krzątania, potem Radocha poznał głos księcia. Zagaił krótko. Radocha wychylił się zza filara i patrzył. Biskup Gerward stał na stopniach ołtarza z pergaminem w ręku i czytał. Co kilka zdań kanonik Maciej swym zbolałym głosem przekładał na język polski.

Gerward wymownie i przekonywająco uzasadniał prośbę całego narodu o koronę dla Łokietka, na pierwszym miejscu stawiając troskę o zbawienie dusz nieszczęsnych branców, którzy, uprowadzeni wśród ciągłych napaści pogańskiej Litwy i Tatarów, pod przymusem cześć oddają bałwanom ku zniewadze Zbawiciela.

Słuchano w skupionym milczeniu, tylko z pola dochodził szmer tłumu, gdy dalej stojący szeptem powtarzali słowa petycji. I w kościele powstał pomruk potakiwania, gdy Maciej przekładał:

— ...rzeczonemu księciu, jako po swych przodkach tegoż królestwa naturalnemu panu, służy pełne prawo starania się o nie. — Z pola doszły okrzyki. Gerward przerwał na chwilę, aż ucichło na tyle, iż mógł dokończyć. Prócz zapewnień wierności i synowskiego posłuszeństwa książę wraz z całym narodem ofiarowuje Stolicy Apostolskiej podwyższenie śwkiętpiętrzą do denara od głowy.

Gdy skończył, w kościele zapanowało mteżenie. Panowie z Rady uprzedzeni już byli o tym, godząc się, choć nie bez oporu, na nowy ciężar. Ale proste ry-

serstwo dopiero teraz zrozumiało, że koronę dia Łokietka kupić trzeba. Zrazu wszczął się szmer niechętny, potem rozległy się okrzyki sprzeciwu i nasilały się. gdy wstał sędziwy kasztelan krakowski, patrząc pytająco na księcia, a gdy ten skinął głową, podszedł do podwyższenia i stanąwszy na stopniu, zwrócił się do obecnych. Gwar umilkł jak uciął, każdy chciał słyszeć, co powie człowiek cieszący się powszechnym szacunkiem, bo wiek życia spędził na walce z Niemcami. Głos jego zabrzmiał w ciszy, niezbyt donośny ale wyraźny:

— Każdy wie, że gdy przeciw wrogowi ciągnąć przychodzi, do trzosa sięgnąć trzeba, by dokupić Co brak z oręża czy zbroi, choćby i od gęby odjąć przyw szło. Na śmiech jeno ludzki ten by się wystąpił i wzgardę, kto by w nierównym uzbrojeniu stając, radziej krwie sobie upuścić pozwolił niż srebra z kiesy!

Gdy umilkły potakiwania, Prandota ciągnął:

— Gdy ten oto miłościwy książę, któregośmy na tron polski wprowadzić umyśleli, na wroga nas, zawołał, każdy za hańbę sobie by poczytał, gdyby iau krwie swej poskapał. Jeśli ja mir mam u was, to dlatego, iżem swojej nie żałował, a choć jej już niewiele zostało i resztę bym oddał, bo liii dobra sława od żywota droższa. A cóż by o mnie kto rzekł, gdybym ninie srebra pożalował? Że wyżej je -cenię niżli krew!; w i s ną! Toć o was rzekną, gdybyście mu ninie odnióWili, Nie dla siebie wżdy żąda, nie na pełnej' skrzyni siff; dząc, do waszej rękę wyciąga. Cierniowa to korona,, którą z WOli naszej włożyć chcę na głowę. „Ale/»k": w Chrystusowej zbawienie było święta, tak w tej i-bawienie naszej ojczyzny.

Kasztelan skończył i usiadł. W kościele wszczęły/*! ę; zrazu szmery, potem spory, które wybiegły na obejście, przybierając na sile. Wśród gwaru wybijał się n"a? miętny głos od wejścia. Na czoło księcia wystąpiła zmarszczka gniewnego zniecierpliwienia; Ręką powstrzymał biskupa, który skończywszy czytanie usiadł na któeśle, obok Łokietka, a teraz wstał, widno za-

mierzając zabrać głos. Książę szepnął coś do stojącego za tronem stolnika Mikołaja z Kurozwęk, a ten donośnie zawołał:

— Kto przemawiać chce, niechaj mówi tutaj, byśmy go wszyscy wysłuchać i zdanie jego rozważyć mogli!

Od wejścia ku prezbiterium przeciskać się jął człowiek w sile wieku, z krótką, rozwichrzoną brodą, którą kręcił w gniewnym zmieszaniu. Stanąwszy za ławami dostojników zaczął:

— To ja. Baszko Koła jestem. W herbie zasię mam Barana. On ci nie jeno ostrzyżony, ale zgoła ze skóry obdarty. Bywali w tym rodzie i wojewodowie. Ninie na ściertalę zejść mi skoro przyjdzie. Rzekł kasztelan Prandota, że hańba temu, co krwie żałuje, i praw jest. Krew każdy ma, a rycerz po to, by ją przelewał. A na wżgardę wystawiał kasztelan tego, co mu krew tańsza od srebra. To ja! Każde dziecko wie, że tanie to, co ma każdy, a drogie, co jeno poniektórzy. Ja szłomu nie kupię, choćbym wiedział, że w pierwszej bitce łeb mi rozbiją. Bo nie mam za co. Skoro patrzeć, jak mnie za długi z ziemi ojców wyzują. To nowy ciężar mam brać na barki, bym się zaraz wyrócił?...

Głos urwał się mówiącemu; stał ciężko dysząc. Zresztą nie mógł mówić dalej, bo szmer, który wszczął się przy jego słowach, burzą wyleciał na pole. Pano wie z Rady zmieszani byli, na twarzy Gerwarda zjawiła się troska. On przyrzekł Kurii, że żądaniu podwyższenia świętopietrza stanie się zadość, bo wiedział, że z innej strony nie puste ręce wyciągają się po polską koronę. On też przekonał świątliwszych ludzi, że każdą cenę zapłacić warto, by jeno raz Polska przestała być przedmiotem frymarki. Ale jak przekonać proste rycerstwo, że płacić ma za to, co sam w petycji nazwał naturalnym prawem Łokietka? Każdy wiedział, że władcy Polski od trzech wieków zaszczyt feodrony służy, a jeno przez obcą przemoc i bezprawie a małoduszność skarłałych potomków Chrobrego utracony został. Gerward umiał mówić śmiało i przeko»ti>-

jąco wobec najwyższych dostojników. Wobec tłumu prostych ludzi nie czuł się pewny. Co gorsza, on był kolektorem świętopietrza, co mu niosło zyski. Nie może zabrać głosu, bo mu zarzucić gotowi, że działa we własnej sprawie. Jakoż Baszko ciągnął:

Łacno się godzić wielmożom, co trzosi mają pełne, a już najłacniej przewielebnemu Gerwardowi, którego przez rok tyle srebra ściągnie, ile prostemu rycerzowi przez cały żywot nie ujrzyć. Chcemy mieć panem księżęcia Włodzisława, tedy nim będzie, a z koroną czy bez — zajedno. Tedy i za co płacić?;

Śmier potakiwań przeszedł w szum i okrzyki. Książę, który zamierzał przemówić, teraz powściągnął się. Jeśli chybi, petycja stanie się skrawkiem **pergaminy** szkoda kosztów poselstwa i trudu Gerwarda, by z **nia** jechać do Awinionu, gdzie już bawi krzyżackie **poselstwo**, by złotem swym poprzeć roszczenia **Luksemburczyka**.

Łokietek chmurnym okiem wodził po zebranych szukając, komu by oddać głos, aby poparł sprawę. Żaden z dostojników wzięciem u rycerstwa nie mógł się równać z Prandotą. Jeśli on nie przekonał, na nic głosy innych, chyba po to, by pogłębić klin wbity przez Baszkę. Oko księcia padło na Radochę, który wysunął się przed filar i zdał się wahać, czy zabrać ma głos Łokietek skinął na niego i Radocha wystąpił na środek. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, on zaś stał nie bardzo wiedząc, co czynić z rękoma. Ale obecnością dostojników i tłumem nie zdał się stropiony j gdy przycichło, zaczął swym niskim, donośnym głosem.

— Ja też nie wiem, za co mam płacić w jak_owymś Awinionie. Chocia mi ten owo rycerz Henryk **objaśniał** — nie pojąłem. Widno na nic takiemu **gadać** o sprawach, co nie na jego głowę. Tedy i nie **pytam** więcej, na co księżęciu to, czego od nas chcą **Jeno** zali mu wierzę, zali nie. A jako na wojnie — a ha **tym** się wyznawam, bo od pacholęcia wojuję — ten co przewodzić ma, nie będzie się każdemu pacholcowi spowiadał, **co i po co**, tak i **ninie, skorośmy go panem**

obrali, wierzmy, że głupi nie jest i bez potrzeby nas nie uciąży.

Zmieszane okrzyki wpadły w mowę Radochy, ale nie pozwolił sobie przerwać. Podkreślił wąsa i podniósł głos:

— Prawił tu rycerz Baszko, że ojciec jego wojewodami bywali, on zaś na ścierciałkę schodzi. Ja bym się i przyznać wstydział, że zmamił, co mi ojciec osławili. Jenemu nie zostawili nic, a choć i ja niejednego grosz straciłem na dziewczynki i pijaństwo, trzeba mi, to się najść. Z nadania księżęciu dwóch jezdnych w blachy powinienem, a mało w dziesięć staję, jako niejednego, co się za wielmożę ma, a nad proste rycerstwo wynosi. Tedy zachceli wojewodzie Baszko za ścierciałkę do mnie się zaciągnąć, gdy do reszty na psy zejdziesz, stać mnie i jemu szłom na głupi łeb zakupić, choć szkoda taki chronić, co zeń jeno gęba ostawa.

Teraz wśród dostojników wszczęły się niechętnie szeptki. Baszko poderwał się, grożąc Radosze rozlatanymi oczyma, ale proste rycerstwo ryczeć jęło ze śmiechu. Radzi byli, że ktoś dociał dostojnikom, a przed oczy postawił, że pod Łokietkiem godności i majątności nie dla nich jeno, ale dla każdego, co się głową czy ręką zasłuży. I księżę uśmiechał się nieznacznie pod wąsem, ale gdy Radocha chciał dalej mówić, dłonią dał znak, by przestał. Skinął na rycerza Henryka, który stał, dopraszając się głosu. Ten drwiącym spojrzeniem, ogarnął obecnych, nim zaczął:

— Zaświadczyć chciałem, jako rycerz Radocha prawdę rzekł. I że głowę iście ma twardą, a rękę t&Koz, i nią się dorobił. Chocim ja, nie ze ścierciałką, jednak rzekę, choćby i gniewał się kto: nie żał mi, gdy ten czy ów niedołęga na psy schodzi. Gorzej, gdy, jako za Wacławów, cały naród na psy zejdziesz, a Niemce mu za psiarków. Tak by i było, gdyby Luksemburczyk koronę uchwycił. Kto tego nie rozumie, - ten głupi, zajedno ścierciałka czy wojewoda.

— Ale za co haracz iakowś mam nłaoić od ęto-

wy, jak ruskie niewolniki tatarskim baskakom! — zakrzyknął ktoś z tłumu. Henryk ręką machnął lekceważąco i odparł:

— Gdy u przekupnego sędzi sprawa, głupi ten, co o słusność i prawo pyta. Wyciąga sędzia rękę, trzeba dać, bo lepiej to niż ojcowiznę przegrać.

Ponad szmer potakiwań ciągnął:

— O Krzyżakach wszystko można rzec, jeno nie, by pieniądz darmo tracili. Jeśli zasię ze swym złotem do Kurii się pchają, by koronę polską dla Luksemburczyka pozyskać, to juści nie po to, by nam z nim dobrze było. Wiadomo zasię, że i przekupny sędzia bywa sprawiedliwy. Wtedy, gdy od obu stron weźmie. :< Płacą oni, zapłaćmy i my.

Głosy potakiwań zmieszane ze śmiechami wybiegły na pole i wróciły burzą. Księżę wstał, chcąc widocznie przemówić, ale nie było potrzeby. Kościół trząsł się od okrzyków na jego cześć, odgrażano się Krzżr* zakom i Luksemburczykowi, i tym, co by się wazyli przeciwiać petycji. Łokietek zszedł z podwyższenia i ruszył ku wyjściu w towarzystwie dostojników: kościół pustoszał, na obejściu natomiast wszczął się taki wrzask, że mury drżały.

Biskup Gerward z duchowieństwem Skierował: się do zakrystii, by zdjąć szaty liturgiczne, i tam czekał na księcia, opat zaś udał się do wielkiego refektarza by dopatrzeć ostatnich przygotowań do uczty, jaką na zakończenie zjazdu przygotowano. Dokoła środkowego, słupa, podtrzymującego palczaste sklepienie, ustawiano stoły w podkowę, otwartą od, strony krużganka; u której szczytu stał Uroń dla księcia. Proste rycerstwo ucztować miało w cieniu wielkich lip na zewnętrznym obejściu i księżę zabawił z nim przez chwilę, by, swą życzliwość okazać i za wzajemną, podziękować. Nadszedł wreszcie i stojąc u wejścia rozmawiał z Gerwardem i Prandotą, gdy w mroku Refektarza spostrzegł Henryka, jak przekomarzał się o coś z bratem Maciejem. Skinął na niego z uśmiechem, a gdy Henryk podszedł, odezwał się:

— Pójdź no ku nam. Wraz siadać będziemy, a miejsce nakielskiego kasztelana opodal szczytu stoi.

Henryk skłonił się i odparł:

— Ale niżej niż gnieźnieńskiego, a i ono puste.

— Języka w gębie nigdy ci nie brak — odparł Łokietek żartobliwie. — Chcesz, to siadaj na nirrij jeno że Pałuki na nakielskim siadywać zwykli.

— Właśnie Waszą Miłość dla Pałuka o nie prosić zamierzył. Brataniec mój, Zbylut Trojanowie, rad by na nim usiadł.

— Niechaj będzie — rzekł książę łaskawie. — I jego rodzicowi coś winienem, choć ciebie bym tam widzieć wolał, bo ludzi znasz, a oni ciebie, i dogadać się umiesz z rycerstwem.

— To dlatego, że nie gadam do rozsądku temu, co go nie ma. Ale woli Waszej Miłości nie śmiem się przeciwzić. Tedy uczynicie mnie nakielskim starostą. Co to dzisiaj kasztelan, gdy każdy omal rycerz immunitet ma. A tak i waszej woli zadość będzie, i ja **nie** będę musiał tego niedojdy księcia Kazka słuchać.

Dostojnicy spojrzeli po sobie, dziwiąc się zuchwałstwu i śmiałości Pałuka, ale książę łaskaw był **dla** niego, bo jeno odparł:

— Ninie poznańskim starostą Stefana Pękawkę ustanowiłem. Ale niechaj ci i to będzie. Umiesz się **ty** o swoje upominać. Ale **i** onego Radochę rad **by**m czymś nagrodzić. Byle jeno i on starostą zaraz **ostać** nie chciał.

Łokietek uśmiechnął się, a Pałuk **odparł**:

— On chciałby się ożenić.

— Takowych godności nie **rozdają**. — **rzekł** książę. — Ale mniemam, **że** **gdy** **go** **zaswatam**, **nie** **odmówią** mi.

— Zda **mi** się, że **odmówią**, bo jemu **cudza** **żona** za skórą siedzi. Onego rycerza Krzycha, co to **nie** **Wie** sam, czyim jest synem. Pewnikiem Radocha **i**; **teraz** do Budzi woj a o nią wywiedzieć się poleciał, bó **i** do Krakowa po to się wybierał.

— Nie wspominaj mi o **Krzychu**, kiedym wesół —

uciał książkę niechętnie. — A Radosze rzeknij, by się pożegnać przyszedł przed wyjazdem.

Radocha istotnie odnalazł w tłumie Budziwoja, ale na klasztorным obejściu gwar panował taki, że rozmówić się trudno było. I inni poszukiwali znajomków i krewniaków, wywołując imiona czy przezwiska, by ugwarzyć się przed rozjazdem przy misie i kielichu. Budziwoj, powitawszy R!adochę, powiedział:

— Pójdźmy stąd. Chyba że uctzować **zamierzasz** z drugimi, bo wraz do stołów zasiąda.

Jakoż braciszkwowie i konwersi biegali **na WSzystkie** strony, ustawiając misy i konwie na stołach zbitych naprędce z tarcic, w cieniu lip, które — przedwczesnie rozkwitłe, a nagrzane południowym słońcem — szumiały jak w czasie wichru od pszczelich skrzydeł, siejąc miodny zapach, aż dech zapierało. Radocha chłonał go z lubością, ale na pytanie Budziwoja odparł:

— Możem iść. Śniadałem, a w taki skwar jeść **się** nie chce. Ale miodu bym się napił, bo zaschło **mi** w gardle od gadania. Odrobiją pszczoły mnichom, bo miodny rok.

— Bogu dziękować, że klęskę odwrócić obiecuje. Ja tam pić miodu w taki upał nie będę, bo mi cyrulik książęcy zabronił, by mnie krew nie zalała. Choć **i żyć** nie chce się, ale umierać nie pora. Ty się napij.

Radocha spojrział pytająco na Budziwoja:

— Sam pić nie będę — odparł. — Az onymi — wskazał na tłum rycerstwa, który już dobrał się do beczek — nie lubuje mi. Mam ci barylkę piwa, którym do Radonki wpuścić kazał, by się nie nagrzało. Od piwa was krew nie zaleje, pogwarzym przy kubkach. Pójdźmy!

Wyszli z klasztorного obejścia i w milczeniu zstępowali z wyniosłości ku mostkowi na Radonce. Gwar za **nimi** zamierał, w polach panował spokój znojnego

czerwcowego południa, tylko w nagrzaną trawie świeższe grały zawzięcie. Milczenie przerwał Radocha:

— Nie pośpiałem na chrzciny, bom z Niemcami wojował, potem zasię, jak mniemam, za późno już było, a *nie* brakło ni pracy, ni kłopotów. Ale ninie mógłbym jechać z wami do Krakowa, chyba że do Pyzdr się z księżęciem zbieracie, gdzie zjazd na świętego Piotra i Pawła wyznaczony.

— Lata mi już takie, że ni na wyprawę, ni na zjazd stawać nie obowiązany. Po tom jechał właśnie, by się z tobą rozmówić. Po drodze też eonie bądź załadzić miałem, ale nie wyszło.

— Sprawę macie do mnie? — zapytał Radocha z pewnym niepokojem.

Czuł, że o Krzycha idzie. Budziwoj odparł: ■— Usiądziem, to pogadamy. Dużo mówić. Dotarli do obozowiska Radochy, który kazał pacholkom wyciągnąć barylkę z rzeczki, po czym rozłożyli się w zaroślach, popijając z kubków piwo. Od wody pociągał chłód, krze chroniły przed słońcem. Radocha rzucił kubrak i giezło i czekał, aż się koniwszy odezwie, choć koczyło go zapytać o Kundzię i Krzycha. Obawiał się wyrzutów i zmieszał się, gdy koniwszy zaczął:

— Krzych dowiedział się, że jeździłem do Terki, i wie także, czym jest synem.

— Bogd aj mi język odjęło — mruknął Radocha. '...■' — Na nic wyrzuty czynić, czy to sobie, żem mu nie powiedział, czy tobiei żeś powiedział. Kundzia mu zresztą sama rzekła. I onże Się czegoś domyślać musiał. Stało się i nie odstanie.,,

— Iście tak — przytwierdził 'Radocha t— bo mnie wprost zagadnął. Co miałem rzec?i

— Nie o to sprawa, jeno pomocy mi twojej potrzeba. Ale to, co tobiei ninie rzekę, pod czcią i sumieniem, przy sobie zachować musisz. Rycerskie słowo?

Radocha, zakłopotany, ręką przejechał po czuprynie:

— Kie sam sobie nie wierzę. Jak mnie poderwie, tobym i siebie z najgorszego złodziejstwa wydał. Nie chcę ja już nijakich tajemnic.

— Żeby chłop językiem swym nie władał! — gniewnie fuknął Bucziwoj. — Tedy i gadać nie ma o czym.

— Nie sierdźcie „iq” — odrzekł niemal pokornie Radocha. — Jeno wiecie, że samotnie z Pizłą siedzimy. Mam i przed nim języka pilnować — tobym snadnie ycafeifciegu gfoscc -z&byt. *On mitczek jest, a gdy pluchy przyjdą i człek domą siedzieć musi, to i co robić, jak nie gadać?*

— Nie wiedziałem, że Pizło wrócił — mruknął Budziwoj. — Jemu niżesz rzec. Zresztą przódzi ci powiem to, co dla nikogo tajemnicą nie jest.

Koniuszy jął opowiadać o postępku Krzycha z Hanną, a Radocha słuchał z opuszczonymi oczyma, jeno chwilami pięści zaciskał, jakby zdradzić nie chciał miotających nim uczuć. Gdy koniuszy skończył, rzekł gwałtownie:

— Czegóż chcecie ode mnie? Juści, że jak pomrzecie, bez pomocy bym Kuridzi nie ostawił, jeno gdzie Kraków, gdzie Nakło! A pójdzie to do mnie?

— Czekał — przerwał Budziwoj. — Tajemnica to, co teraz rzekę; po tym wszystkim przysłał Krzych Unika, by mu zbroję przywiózł, co ją doma osławił. Nie chciał pacholek wydać, gdzie się spotkać zmówili, ehociem mu zagroził, że go związać każę i do lochu wtrącić. Ale on by ssie. i zabić dał dla Krzycha, choć ten rzadko jakie słowo rzucił do niego, jakby go nie widział. Czym on niewdzięcznik ludzi do siebie wiąże — nie pojąć. Ja sam, co mnie zelżył, za wszytko, com dlań uczynił, stare kości za nim wlekę, choć mi; unieszczęśliwił niewiastę, którą jako córę miłował.

— A ona? — zapytał cicho Rśdocha.

— Ona? Śmierć I₃y mu własną wybaczyła. Uparła się, że wraz z Unikiem pojedzie za nim... po tjrtn wszystkim, co jej zawińł.

— Z dzieckiem?

— Z dzieckiem. Na przepadłe. Tyle jeno rozsądku oboje mieli, że mi uwierzyli, iż to jakby kamień u jego nogi, który go zgubi. I bez tego cienko z nim, bo nie jeno książęca, ale i kościelna sprawiedliwość go ściga, która i na Mazowszu go najdzie.

— To na Mazowsze ujść zamierzył?

— Do Płocka, do księcia Wańka, który z Łokietkiem koty drze, tedy zbiega nie wyda. Z Litwą walczyć jał przed się, by odpust uzyskać. Może i to jedyna droga, choć daleka, niepewna i trudna. Ale ręce musi mieć wolne. Tylem wymógł, że gdy wiadomo będzie, iż się jakoś zaczepił, Unik mu małżonkę z dzieckiem odwiezie, a ninie ja pojedę go uwiadomić i zbroję mu zawieźć, bo iście bez niej nijak mu zaczynać. I zginąć łacniej, i o służbę trudniej chudopachołkowi, jeszcze z karkiem takim twardym jak jego.

— Naszliście go? — zapytał Radocha.

— Zwlekło się. Słabowałem, tedy i w karczmie jędrzejowskiej nie było go co szukać, gdzie się naprzód zmówili. Liczyłem, że przezimuje na onym pogorzeliisku koło Przedborza, gdzie go kasztelan Jaśko naszedł. Iście, po śladach widać, że zimował w onej budzie jak bezpański pies, bo się i pokazać ludziom nie mógł nigdzie. Widno mniemał, że już Unika nie do-czeka, i do Płocka ruszył, jak stał. Wydarty być musi, bez zbroi i pieniędzy, i bez konia, z którego kości ostały jeno. Krzych zawsze gorzki był i kolczasty, dużo tam zdziała! O gałąź powrozem chyba się zaczepi, gdy pomyśli, że wszyscy go poniechali. Człek w rozpaczycie nic rozsądnego nie uczyni. Trzeba za nim na Mazowsze jechać, a szukać, bo go pewnikiem u Wańka nie najdzie. Mnie zasię sił brak.

Budziwoj urwał i siedział zatroskany, z opuszczoną głową. Radocha miarkował już, do czego zmierza koniuszy, ale milczał, twarz oparłszy na dłoni. Długi czas słyhać było jeno granie świerszczy i cichy bełkot rzeczulki. Wreszcie Radocha zapytał szorstko:

— Po coście mi to rzekli?

— Mniemałem, że pomóc zechcesz — odparł Budziwoj przygnębionym głosem.

— Zawždy przeciw sobie mam pomagać! — wybuchnął Radocha. — Zalim mu ja brat albo swat? Tyle o mnie dbał, co o zeszlóroczny liść, chciaem go lubił i społem wojowaliśmy. I dziewczkę mi zabrał, po to, by ją zmamić...

Gdy Budziwoj milczał, Radocha po chwili podjął spokojniej:

— A wam co o niego? I co Kundzi z takowego chłopa? A pójdzie za nim, to jej i nie obaezycie więcej.

— Nie obaczę — powiedział cicho Budziwoj. — Przebolałem już niejedno, przeboleję i to... tym łacniej, że niedługo. I tak serce boli patrzeć, jak więdnie...

Znowu siedzieli w milczeniu, każdy za swymi idąc myślami. Radocha zaczął jak do siebie:

— Żebym ja ją dostał! Zakwitłaby. I mnie by się dom dzieckami zazielenił jak ona ruń ozima, co wiosnę na myśl przywodzi, choć jesień...

Urwał, jakby czekał na odezwanie się Budziwoja. Ale stary milczał i patrzył przed siebie, a Radosze zdało się, że szklą mu się oczy. Odwrócił głowę, by koniuszy nie pomiarkował, ie to widzi. Po chwili odezwał się:

— Ja nie wydzierzę, bym mu nie wygarnął! Niech Pizło jedzie; odda co trzeba, a pyska nie OEewrze, iii przed Krzychem, ni o nim.

Budziwoj odetchnął jakby szlochem:

— Dzięki ci. Ciężka to rzecz samotna starość i bezsiła. Nigdy o nic dla siebie nie prosił, a świadczy*łem niejednemu...

Radocha chwycił go za rękę:

— Ja bym dla was... a już dla Kundzi! Nie żywcie żalu. Jenó co by dla takowego odmieńca nie uf^{nił} na złe wyjdzie.

— Nieszczęsny człek! Więcej w tym wszystkim cł^{*cl}zych win niż jego. Ale nie pojąć, jakimi drogami

chodzi i kara Boża, i miłosierdzie. Może mu je Kundzia wymodli, kiedy mu matczynych modlitw brakło.

— A mnie to nie? Nijakiej Kundzi nie mam, co by się za mnie pomodliła. Nie dziecko on, co się będziecie uważać. Dajcie, co macie dać dla niego — Zakończył Radocha wstając. — Trzeba słać, to zaraz. Wy zaś wracajcie do Krakowa i rzeknijcie Kundzi, że co będę mógł uczynić dla Krzycha — uczynię. Jaki ta jestem, zawsze druhem byłem dla druhów.

— Tedy dziękuję ci i za nią, bo dla niej nie ma żywota bez Krzycha — odparł Budziwoj i przygarnął Radoche do niersi.

Bezpański pies nie ma swej budy, nie ma też i konia, o którego musi się troskać. Nie potrzebuje ni ognia, ni soli, a spotkanie z ludźmi nie grozi mu wymyślną śmiercią. Budziwoj nie myślał o tym, porównując psie życie z losem Krzycha, który krzesiwo i hubę woził z sobą, a soli nabył w jędrzejowskiej karczmie klasztornej. Ale czekać w niej na Unika nie mógł, boby go niechybnie ktoś poznał. Jechał zresztą tak wolno, omijając ludzkie osiedla, że winien był tu zastać pacholka, gdyby ten zaraz wyruszył. Pociągnął więc na swe pogorzelsko, gdzie mógł czekać. Miejsce cieszyło się złą sławą, w niewielkiej osadzie opodał żyła jeszcze pamięć strasznej zbrodni Spytka. Może i Terka umyślnie zaszczerpiła przesadną wiarę, że osiedliło się tu Licho, które czepia się każdego, kto niebacznie się zbliży. I ona wiedźmą być musiała.

Krzych sam podzielał tę wiarę, choć tu się wycho*wał. Zła dola nie oszczędziła nikogo, co się otarł o to miejsce. Kto życia nie stracił — miał złamane. Z ofiar żyje on jeden, po to chyba, by dalej siać zło, co się tu uległo.

Teraz jednak jedyne było to miejsce, gdzie czekać mógł spokojnie. Został je tak, jak porzucił przed dwunastu laty. Tyle że wichry stargały dach i wywiały

mech ze szpar w ścianach. Ni śladu, by ktoś tu gospodarzył. Nędzne domowe i łowieckie statki, których wówczas nie warto było zabierać, teraz bezcenne mu się zdały. Walały się po kątach, tak jak je. porzucono. Bez nich trudno byłoby przeżyć.

Dotarli na pogorzelsko, Krzych odetchnął. Nic gorszego już go nie spotka. Poczul się jak ścigany zwierz, gdy znajdzie się w swej jamie, do której nie ma nikt dostępu. Do samotności nawykł przez większą część swego życia, i nawykł żyć z lasu. Nie co dzień jednak udało mu się coś złowić. Zaraza nie oszczędziła i zwierza. Ale wewnętrzny ucisk sfołgował, jakby zwałała się jakaś ściana dusznej przestrzeni, w której żył dotychczas. Jedynym dobrem, jakie wyniósł stamtąd, było wspomnienie o Kundzi, a jedynym celem życia stał się powrót do niej. Bardziej niż na zbroję, bez której trudno było zacząć nowe, czekał na potwierdzenie swej wiary, że i Kundzia będzie nań czekała. Gdyby nie ona, ułgąłby na zawsze w tyra "UStj kowiu, gdzie obojętna była kłątwa i banicja, gdzie rfię sięgało ludzkie prawo i na rozmyślania nie stało Ćjza^ su. Trud utrzymania życia zabierał go bez resztyV; '

Skończyła się pogodna jesień, a przenikliwe Wj, chry wlec jęły po niskim niebie brudne szmaty chmur; wytrząsały swą wilgotną zawartość na poszarzałą ziemię, bagna zamieniając w topiel, a łąki w trzęsawiska. Zdobyć pożywienia stało się jeszcze trudniejsze. W szare dni listopadowe, gdy świt łączy się ze zmrokiem, nawet ptak nie zdąży najeść się do syta. A trzeba było jeszcze dach naprawić, bo zaciekał, i ogacić ściany, bo wichry gwizdały w szparach, wyganiając z wnętrza niewielką ilość ciepła, którą dawało skąpo też karmione ognisko. Czy Unik wróci, czy nie,-Krzy> chowi tu zimować przyjdzie.

Mimo wyczerpania taplaniem się pó bagnach i mizernym pożywieniem Krzych nie potrafił jednak prze* sypiać od wczesnego zmierzchu do późnego świty. Często budził go chłód, czasem koń,- z którym dzielił jedyną izbę. Zwierzę niepokoiło się i chrapało, 'koło

klitki kręcić się musiały drapieźniki. Gdy spadł pierwszy śnieg, ślady potwierdziły to przypuszczenie.

Koń stanowił teraz główny przedmiot troski Krzycha. W miarę jak czas płynął, młody rycerz tracił nadzieję, by odzyskać mógł jeszcze swą zbroję. Gdyby na dobitkę stacił konia, droga do celu, jaki sobie wytknął, stawała się jeszcze uciążliwsza i dalsza. Przywiązał się zresztą do tego jedyne go towarzysza swej samotności, choć teraz był mu on tylko ciężarem. Coraz trudniej było wyzywić konia, co gorzej, nie mógł go zostawić w chacie, gdy wałęsał się zażywaniem dla siebie. Wątle jej ściany bez fundamentów nie dawały dostatecznego schronienia przed wilkami, które łatwo mogły się pod nie podkopać. By temu zapobiec, trzeba było dokoła głęboko powbijać pale. Bez odpowiednich narzędzi ta praca zabierała Krzychowi znaczną część i tak krótkich dni. Wiedział już, że trudno będzie przeżyć.

Gdy jednak mróz ściał, a śnieg pobielił ziemię i dnia zaczęło przybywać, życie uczyniło się lżejsze. Zwierza zdradzał ślad, na leśnej łączce odkrył Krzych stóg siana. Długo trwało, zanim zwlókł je do swej chaty, klucząc po oparzeliskach, by poszkodowany właściciel nie trafił za śladem. Teraz mógł więcej czasu poświęcić zdobywaniu pokarmu dla siebie. Żywić zaczynał nadzieję, że zdoła się wraz ze swym zwierzęciem utrzymać.

Miał też więcej czasu na rozmyślania. O Kundzi i Uniku starał się nie myśleć. Nie odgadnie, co było powodem, że pacholek nie wrócił. Czekać i tak musi do wiosny, koń zmamiliłby się w drodze bez obroku i ciepłej stajni, odrobina srebra, jaką Krzych posiadał, nie starczy na kupno innego. Potrzebna będzie zresztą, by nabyć nowe szaty i zaopatrzyć się w inne niezbędne przedmioty. Z przyodziewy wydarł się, nie miał nawet czym zgolić zarostu. Długa, jasna broda okoliła jego twarz, ale nie pielęgnowana nadawała mu wygląd iście zbójnicki. Tak jak stał — nie pokazać mu się między ludźmi, tym bardziej że nie naośle się

na nikogo powołać, nie zdradzając zarazem swego imienia. Zaufanie budzić musi wyglądem. Gdyby porzucił miecz i tarczę, wzięto by go za zbiegłego chłopca, jakich wielu w głodny czas uchodziło na Mazowsze. Ale wraz z orężem wyzbyłby się i reszty nadziei, a e potrafi zdobyć nową podstawę życia, które by Kundzia mogła z nim podzielić.

Gdy myślą uciekał od tej sprawy, mimo woli wracał do zdarzeń i ludzi, którzy w kołysce już wypaczyli jego los. Widoczne spod krzów i chwastów pogorzelsko było ongiś domem, który ręka oszalałego Spytka zamieniła w stos pogrzebowy matki Krzycha, a omal i nie jego samego. Gorzej niż za nic Duszka zapłacił kalectwem za jego ocalenie, gorzej niż za darmo zmarnowała Terka dla pomsty swe życie. Na nic był żal i pokuta Spytka. Co osiągnął Mścigniew praez pomstę na winowajcy? Śmierć z ręki własnego syna i imię zdrajcy. Tak go nazwał Pałuk. Krzych burzył się przeciw niemu. Wola ludzka nic nie znaczy w tej sprawie, co jak poruszone kłębowisko gadów rozpełza się na wszystkie strony, jadłem swym zatruwając życie niewinnych niczemu ludzi.

Ktoś jednak musi być winien. Von Ost wirtą obarczył Łokietka. Ale choć umysł Krzycha mącił się od tych wszystkich spraw, rozumiał jedno: von Ost potępiał księcia za to, że nie domierzył sprawiedliwości. Ale nie potępiał swych krewniaków, którzy niesprawiedliwość wyrządzili. Brandenburczykom na rękę byłoby, gdyby Łokietek Nałęczom się naraził. Ich rękoma pozbyć by się mogli niewygodnego władcy, jak ongiś Przemysława. Czy jednak nie wolno dochodzić własnej krzywdy, gdy prawo nie ujmie się za nią?

Ależ jako się ma ująć, gdy nie szanuje go nikt. Sam Krzych co uczynił? Zdało mu się, że też dochodzi własnej krzywdy, a krzywdził jeno innych i siebie samego pogrążył, choć rozumiał, że Łokietek chce ład i prawo wprowadzić w kraju, bo bez tego cały naród łupem staie się obcej zachłanności i okrucieństwa. Krzych zwątpił w swój rozsądek, zwątpił, czy droga,

którą obrał, nie wie gdzie znowu na manowce. Wańko jest wrogiem. Łokietka, dziś walczy z Litwą, jutro walczyć może ze stryjem. Gdy raz Krzych zaciągnie się pod Wańka znak, zamknąć może sobie drogę powrotu na zawsze.

Krzycha znowu ogarnęło zniechęcenie. Znosił nędzę, głód, mróz i nadmierne wysiłki, jak długo zdało mu się, że dokądś zmierza. Gdy zwątpił o tym, chęć życia odeszła go zupełnie. Może i Kundzia nie czeka już na niego, dość przeciw niej zawinił. Najprostsze byłoby wrócić zaraz, niech zadość stanie się sprawiedliwości. Ale w zmałowanej głowie Krzycha utkwiły słowa kasztelana Jaśka: czy Hanna za ofiarę własnego życia do kresu jego ma rozmyślać nad tym, że Krzych katu oddał głowę, a diabłu duszę? Przymknął kasztelanowi, że będzie żył.

Włókł życie jak ciężar obrzydły i nad siły, a nie sprzyjało to codziennym mozolnym zmaganiom o jego utrzymanie. Gdy nadeszły ostre mrozy, nieraz dniami całymi nie ruszał się ze swej nory. Zapamiętywał się tak, że nie widział, jak gasła ostatnia iskra ogniska, a nie znajdował w sobie dość siły, by rozniecić je na nowo. Gdyby nie grzał go koń, byłby może zamarł w noc, kiedy zamarzała woda w kociołku. Jeszcze tylko palące pragnienie, które dręczyło go coraz częściej, zdołało zmusić go, by rozniecił ogień. Stopił lód i ugasił je. Także nie pojony koń niepokoił się przypominając o sobie. Z nawyku, a może i z przywiązania troszczył się jeszcze o niemego towarzysza. O siebie przestał się troszczyć zupełnie, stracił chęć do jada, sen miał niespokojny i przerywany, zaczął tracić rozeznanie między zwidami i majakami a rzeczywistością. Czuł, że idzie na niego jakaś choroba.

Zima miała się ku końcowi, ale zdało mu się, że wiosny już nie doczeka. Myśl ta przyniosła mu jakby ulgę: nikt nie będzie mógł winić go o to, że pomarł. Resztką odchodzącej świadomości pomyślał o koniu. Zamknięty, skazany na aostanie na śmierć z pragnienia. Krzych, zataczając się, wyrzucił na dwór trochę sia--

na, wygnał konia z izby, zaparł drzwi, przestał wiedzieć o świecie.

Świadomość wracała niezmiernie wolno, raczej jako poczucie udreki, wobec której niczym były wszystkie cierpienia, jakie przeszedł. Ledwie zdołał sobie uświadomić, że to pragnienie pali znów jego wnętrze;; Najwyższym wysiłkiem wypełznął ze swego legowiska, otworzył drzwi i leżał twarzą w kałuży wody, skalpującej z dachu. Na polu była odwilż, ciepłe już Słońce topiło śniegi.

Nie liczył czasu, który przeleżał, to chlepcząc wodę, to zasypiając. Udręka zniknęła, pozostało niezmierne znużenie. Otrzeźwiło go uczucie dotkliwego zimna. Słońce zaszło, zaczynał biec mróz. Krzych dźwignął się na kolana, podpierając się rękoma. Spojrzał przy tym na swe dłonie i zdało mu się, że ktoś je odmienił* Kości powleczone skór:?. — długo musiał leżeć bez pożywienia. Przeżył chorobę po to, by teraz umrzeć z głodu! Nie ma siły nawet wstać, a jednocześnie z ■budzącym się głodem czuł zwierzęcą chęć życia. Ro* zajrzał się bezradnie.

W półmroku znaczyła^ się na śniegu ciemniejsza plama. To leżał koń. Krzych podpełznął do niego i zrozumiał, co było przyczyną śmierci. Wnętrza rcał wyżarte i ogryzioną szyję. Wilki! Biedne zWleżę widocznie szukało przed nimi schronienia w chacie — daremnie. Ale pierwszym uczuciem Krzycha nie był żal, jeno strach. Wilki przyjdą znowu do swego łupu, bronić się przed nimi nie wydoił. Strach też dodał mu sił, by wpełznąć do chaty i zaprzeć drzwi. Szczekając zębami, zakopał się w mierzwę i usnął.

Tym razem obudził go głód, równie nieodparty; choć mniej dokuczliwy niż pragnienie. Mimo to jakby silniejszy się Czuł i myśl miał rzeźwiejszą. Chwiejąc się powstał, odszukał nóż i wyszedł na pole.

Świtało już; śnieg różowił się od zorzy, na jego tle ścierwo ikpnskie zdało się granatowe. Krzych zauważył jeno; że ścierwa znowu ubyło. Reszty nie wol NO mu zostawić, starczyć musi dla niego, dopóki nie

będzie zdolny zdobyć solne innego pożywienia. Do południa niemal, spotniały i zdyszany, okrawał i znosił do chaty polcie mięsa, żując zmarznięte kawały.

Siły w racały mu szybko, jakby ich przybywało wraz ze słońcem, które wznosiło się coraz wyżej i przygrzewało coraz mocniej. Śnieg spełznął ze stoków wzgórza, cofając się w głąb lasu. Czarną sieć bezlistnych gałęzi i konarów przyćmiewać zaczynała mgielka zieleni, głuchą ciszę płoszyły już głosy ptactwa. Wkrótce gniazda ich pełne były jaj, w nagrzanym wodach żł rować zaczynała ryba. Budziło się życie w weselu i obfitości.

Smak świeżego pożywienia po stęchłym już, wędzonym mięsie końskim zdał się Parzychowi przedziwny, własna skóra nowa, gdy zmył zaskorupiały brud całej zimy. Po ciężkich zmaganiach ogarniało go błogie rozleniwienie, graniczące z pokusą, by tu pozostać na zawsze. Długa samotność i choroba jakby odcięły go od przeszłości. Ale gdy wróciła mu pełnia sił, wróciły i wspomnienia, a wraz z nimi świadomość, że tu pozostać nie może, a tym mniej sprowadzić Kundzia i dziecko. Uchodźcą musi z granic Łokielkowego państwa, by poza nimi odbudować to, co zburzył.

W ciepły wieczór majowy, gdy pełny księżyc wypełznął nad bory i posrebrzył świat, Krzych zgarnął potrzebne do drogi przedmioty, zabrał miecz i tarczę, i ruszył na północ. Zszedłszy ze wzgórza, nim zanurzył się w las, rzucił jeszcze okiem za siebie. Czarny kształt, rysujący się na tle przesyconego księżycowym światłem pogodnego nieba to mogiła matki. Może to ona obroniła go przed Lichem, co go tu zniszczyć chciało. Jak pożegnalną jej oieszczutę odczuwał spokój i pogodę ostatnich spędzonych tu dni. Oczy zaszkliły mu się, ale po raz pierwszy od lat poczuł w sobie ochotę do życia. Ruszył na jego spotkanie.

Szedł na północ pasmem lesistych pagórków, okolicą znaną sobie z najmłodszych lat. Trzymał się z dala od rzeki, by uniknąć leżących nad nią wsi, ale omijał też leśne osady Smolarzy, drwali i bartników, chcąc

spotkanie z nimi nie mogło być- groźne. Rzadko wychylali się z lasów, rzadziej jeszcze do nich ktoś przybywał, zapewne nie wiedzieli, że Krzyeh jest ściganym przestępcą. Odwykł jednak od ludzi, od pół roku z górą z nikim nie zamienił słowa. Wracał między nich, bo musiał, ale nie spieszo mu było.

Pora zaczynała się upalna, w lesie jednak panował miły chłód. Tysięczne barwy i wonie pieściły zmysły, głosy lasu bliższe i zrozumialsze mu się zdały od ludzkich. Tamte odczuwał jak zgrzyt i z dala omijał miejsca, skąd go dochodziły. Nie szukał dachu nad głową, nawet gdy światem wstrząsały gwałtowne burze, które leśne strumyki zamieniały w bystre rzeki. Pod byle jakim schronieniem z gałęzi — czasem jeno z tarczą nad głową — spędzał noce, patrząc szeroko otwartymi oczyma, jak w świetle błyskawic las wyskakuje z mroku i pogrąża się w nim znowu. Potem zasypiał wśród szumu ulewy i budził się często o dużym już słońcu, suszył przemokłe łachmany szat i oglądał się za pożywieniem. Życie było łatwe, nie troszczył się o nic, czasem zdało mu się, że jest jeszcze wyrostkiem i szuka w lesie jeno przygody. Ale beztroskę mąciła świadomość, że pewnego dnia Pilica, skręcając na wschód ku Wiśle, zastąpi mu drogę, a dalej leży już Mazowsze. Tam będzie musiał wejść między ludzi. Myślał o tym z niechęcią.

Tymczasem drogę zagroziła inna rzeczulka. Wiedział, że to dopiero Czarna. Pod wieczór ledwo dosłyszalny głos sygnaturki, płynący z powiewem z zachodu, uświadomił mu, że mija Sulejów. Przeszedłszy Radonkę, skręcił przeto nieco ku wschodowi, by nie zbliżać się do Pilicy, nim minie jej zakręt.

Pasma wzgórz kończyło się, okolica zaczynała się płaska i bagnista, zdradzając bliskość rzeki. Za nią Krzyeh nje znał już kraju, pytać musi o drogę do Płocka, ale niebezpieczeństwo poznania go i schwytania nie będzie już groziło, zbraknie mu pozoru, by unikać ludzi.

Gdy dotarł do Pilicy, rzeka wezbrana była, **nie szu-**

kał tedy brodu, zwłaszcza że po upalnym i dusznym dniu znowu zbierało się na burzę. Wody jeszcze przybędzie, miejscami już występowała z brzegów. Przebycie jej wplaw, z mieczem i tarczą, będzie i tak ciężkim zadaniem. Zabezpieczywszy jeno sól i hubę od zamoknięcia, Krzych wszedł w rzekę w miejscu, gdzie szerzej rozlana szła wolniejszym nurtem. Brnął, póki ziemię czuł pod nogami, po czym zaczął płynąć pozwalając się znosić, by sił oszczędzać. Dość długo trwało, nim minął nurt, a tymczasem czarne chmury zasnuły już niemal całe niebo. Płynął teraz prędzej, chwilami próbując dna, ale choć go już dosiegał, czuł pod sobą grzęzawisko. Poniechał tedy brodzenia i wykręcił ku lasowi, który nieco poniżej, na skłonie niewielkiego wzniesienia, podchodził ku rzece. Krzych uchwycił twardy grunt i odetchnął. Siły zaczynały go opuszczać, ale nie spoczął. Mrok się już uczynił, choć słońce nie zaszło, zbliżały się pomruki nadciągającej burzy. Nim nadejdzie, trzeba wyszukać miejsce na nocleg, gdzie by się ognisko dało utrzymać, i osuszyć przemokniętą odzież.

Przy blaskach coraz częstszych błyskawic szedł prędko, bo ziąb go przenikał od wilgotnych szat. Rozglądając się dokoła, dostrzegł kępę drzew zwalonych, uderzeniem wichru dawno już zapewne, bo splątane, kłębowisko pni i gałęzi zmurszałe było. Suszu pod, ręką, ile strzyma, a pod zwałem jakie takie schronienie przed ulewą. Nie namyślając się wyrąbał wejście i **jął** krzesać ogień. Gdy płomień chwycił suśfe, Krzych dorzucił gałęzi i zaczynał zwlekać mokre- szmaty, a już pierwsze krople ulewy zaszeleściły po **listowiu**, z **dala** zaś słyhać było jakby szum wodospadu* który **nasi- lał** się i przybliżał.

Krzychowi zdało się, że ułowił jakiś głos **ludzki**, ale darmo wyteżał słuch. Szum wzmagającej się nawałnicy zgłuszył wszystkie inne odgłosy. Nasilał się, przeleciał i skonał w oddali, tylko syk spadających w ognisko kropel wody mącił nagle zapadłą, zacza- joną **ciszę**. **Niebo** nie przetarło się **jednak**, mrok **gest-**

niał, a odległe jeszcze pomruki świadczyły, że główne uderzenie burzy dopiero nadchodzi.

Tym razem wyraźnie posłyszał wołanie. Niezbyt odległe, głos był niewieści czy chłopięcy. Krzyeh wysunął się ze swego schroniska i nasłuchiwał, ale znowu szumiał tylko wzmagający się wiatr i dudniły chodzące stronami grzmoty. Smolistą ciemność lasu rozrywał już poblask błyskawic, ale Krzyeh ruszył bez wahania w stronę, skąd doszedł go głos, bo coraz częstsze uderzenia wichru oznajmiły, że burza jest tuż..

Istotnie, nim uszedł kilkadziesiąt kroków, jaskrawa błyskawica rozjarzyła ciemność i zaraz potem uderzenie gromu zatrzęsło borem. Burza rozszalała się; las huczał, błyskawice, częste jak mruganie oczu, miały cieniami drzew wraz ze strugami wody ślepiąc oczy Krzycha. Szedł jednak przed siebie.

W migotaniu światła i mroku, pod nawisłymi gałęziami rozłożystego dębu nie byłby zauważył drobne postaci, gdyby nie rozdzierający dziecięcy krzyk, narzmiwały nieprzytomną trwogą. W świetle nieustaj[^].
cych błyskawic *spozrzegł chłopca, który zerwił się* patrząc nań z widocznym przerażeniem. Zaslaniał so*
bą jakiś drobny kształt skulony u stóp drzewa. .;

Krzyeh bez słowa przystąpił i odsunął na bok trz^{\$}-
sącego się chłopca, pochylił się i podjął dziecko. Dzie[^]-i
ezynka krzyknęła zaslaniając oczy dłońmi, ale nie
zważał na to i ruszył z powrotem, niosąc dziecko. Rai-
czej czuł/niz słyszał, że chłopiec idzie za nim. Dotarł-
szy do swego schronienia, położył dziewczynkę i do-
rzuciwszy suszu na ogień, spojrzął na dzieci, które,
przyluliwszy się do siebie, patrzyły na niego spłosao*
nymi oczyma. Były niewątpliwie rodzeństwem, chło-
piec, starszy o kilka lat, opiekuńczym ruchem obej-
mował siostrę, nie spuszczać oczu z Krzycha.

Krzyeh w milczeniu zapatrzył się w ognisko. Pierwsze od długich miesięcy spotkanie z ludźmi wstrząsnęło nim, choć ułatwił je przypadek. Nie wiedział, co mówić i jak się zachować. Pokonywać musiał wewnętrzny opór. Dzieci trzeba jednak odprowadzić

rodzicom, zapewne zbłądziły w lesie, gdzie zaskoczyła je burza. Los mu posłużył. Łatwiej do ludzi zbliżyć się z przysługą i zyskać zaufanie, którego nie mógł budzić swym wyglądem. Przestraszył, jaki ogarnął dzieci na jego widok, wyraźnie świadczył o tym. Wciąż jeszcze wpatrywały się w niego z niespokojnym napięciem.

Krzych czekał jednak tylko na przejście burzy, której odgłosy oddalały się już. Jeszcze szum wiatru chwilami przechodził przez bór, ale strącał już jeno miliardy kropeł wody, zatrzymanej przez listowie, i rozganiał ciągnące chmury, bo pojaśniało, choć noc już zapadła. Krzych dźwignął się i powiedział:

— Pójdźmy!

Gdy chłopak nadał spoglądał nań z niepokojem, dodał:

— Nie lękajże się. Do domu.

Wyrostek odetchnął z widoczną ulgą, ale odparł:

— Nie wiem, czy trafię o ćmie. I daleko. Ona nie zajdzie.

— Poniosę — powiedział Krzych. Włożył giezło i kubrak, ściągnął z gałęzi tarczę, przypasał miecz i wyszedłszy wraz z dziećmi z kryjówki, dorzucił

— Prowadź!

Chłopak ruszył dość pewnie, a Krzych za **nim**, niosąc na rękę dziewczuszkę. Zrazu czuł opór w zeszywniałym ciałku, ale po chwili westchnęła i wtuliła się w jego ramię. Była lekka jak wiewiórka, nie czuł zgoła jej ciężaru, jeno bicie drobnego serca na swej pierś i ciepły oddech na szyi. Ogarnęło go jakieś nieznanne uczucie, a gdy je sobie usiłował uświadomić, przeszło w przygnębiający smutek. Nigdy nie miał na rękę swej córeczki i może nigdy mieć jej nie będzie. Ale otrząsnął się z przygnęwienia. Po to idzie między obcych ludzi, by drogę do swoich odnaleźć.

Gdy dotarli nad leśną strugę, chłopiec przerwał milczenie:

— Już wiem, gdzieśmy. Niedaleko.

Pod nogami poczuli **niewidoczną w mroku ścieżkę-**

nę. Chłopiec widocznie nabrał zaufania do Krzycha, bo *zaczął* mówić:

— Oj, będziez mi od rodzi cieli! A wszystko przez nią, bo się uparła ze mną iść. Sam bym pośpiał do domu przed burzą, a z nią nijak. Tylko błyskać zaczęło, nie ruszy się, ino oczy zatyka, bo się lęka ujrzeć leśnego dziada.

Gdy Krzych się nie odzywał, chłopiec ciągnął:

— Prawdę rzec, sam się wystrachałem, gdym was z nagła ujrział w błyskawicy. Jeno myślałem, żeście zbój. Mój rodzic też wielki i mocarny, ale nie tak jak wy. Sokolnikiem jest u ksiąźcia — dodał z pewną dumą objaśniając.

Dość nagle zza kępy chaszczów ukazał się ciemny kształt budynku, z którego szparami okiennic sączyło się światło. Wyrostek przystanął i rzekł niepewnie;

— Pójdę przodem, by się nie wystraszyli z nagła was ujrzawszy.

Chłopiec poskoczył clo chaty, a Krzych przystanął czekając.

Doszedł go wysoki niewieści głos, zarazem gniewny i spłakany. Potem słyhać było, jak' chłopiec *się* sprawiał. Krzych pchnął drzwi i schylając głowę, wtłoczył się do sionki. We drzwiach do izby natknął się na niewiastę, która bez słowa porwała mu z **rąk** dziewczynkę. Dziecko spało tak twardo, że nie obudziło się, gdy matka ją tulić je i całować. Potem szturchnęła syna, mówiąc:

— Pódzi i ty spać. Lepiej, byś nie był pod **ręką**, odmieńcze, gdy rodzic wróci. Szukać was poszedł w takowy czas. Zeżłony będzie.

Weszła z dziećmi do przyległej komory, a Krzych usiadł na ławie i wsparłszy głowę na rękę, zapatrzył się w ognisko. Ludzkie gniazdo, pachnące chlebem, sianem i wędzonym mięsiwem, przytulne i spokojne. jak światło wśród otaczających ciemności. Krzyehowi przypomniał się dom Kundzi na Rybakach.

Z posępnej zadumy obudziło go wejście niewiasty. Stała przed nim, kręcąc zapaskę, spod czepca wy-

tnykały się pukle czarnych i lśniących, 'niesfornych włośów. Patrzyła na Krzycha świecącymi oczyma, spojrzeniem zarazem ciekawym i nieśmiałym. I on spojrzał na nią, zmieszany, nie wiedząc, co rzec. Pierwsza przerwała kłopotliwe milczenie. Głos miała wysoki i miękki.

— Nie wiem, jako wam dziękować. Dzieciska się wystraszyły...

Urwała, zarumieniła się i podjęła prędko:

— Zaraz wam jeść zgotuję. Aniśmy o wieczery pomyśleli, gdy dzieci nie wróciły. A tu burza i noc. Mój poleciał ich szukać, ale najdzie to w boru o ćmie takowe kruszyny, a bagna są zdradliwe i zwierza nie brak...

Sama mówiąc przypominała dziecko, drobna była i ruchliwa. Krzątała się przy statkach i ognisku, coraz ku Krzychowi zerkając. Po chwili postawiła na stole przed Krzycbem jadło i sama przysiadła się zachęcając go i przygadując:

— Wy to pewnikiem w lesie żywicie? Ale tu bezpiecznie można siedzieć. Iaz do roku komornik książący przyjedzie z Łowicza po wybrane sokoły, zasięmy do Łowicza dwa razy. Do świętej spowiedzi i na jarmark. Żeby nie dzieci, tobym gadać zabyła. Mój też miiczek jest jako wy. Pewnikiem też gadać zabyliście?

Istotnie Krzych nie rzekł dotychczas ni słowa. Obecność niewiasty przejmowała go jakimś niepokojem. Głos miał niepewny, gdy wreszcie odezwał się:

— Dajcie mi nożyc i brzytwy, bo juści wiem, że jako zbójcc wyglądam.

— Toście nie zbój? — zapytała jakby zdziwiona.-r- A może wywołaniec jakowy? Nie lękajcie się — do-dała widząc, że Krzych drgnął, j-* Wždy was nie wy-damy. Możecie tu i zgoła pozostać. Mojemu zdałby się pomocnik. Gdy łęgi przyjdą, odrobić się nie .ińpze, nieraz i na noc nie wraca.

— Rankiem mi dalej iść — odparł Krzych. — Dajcie mi nożyc i brzytwy — powtórzył.

— Juści, że tak między ludzi iść nie możecie. Wraz by dopytywać jęli, kto, a skąd, a dokąd. W mieście wszystko chcą wiedzieć o czleku.

Sama widocznie chciała się czegoś dowiedzieć, ale gdy Krzych milczał, podjęła:

— Iz szat wydarliście się. Z mojego nic na was prawie nie będzie, chyba giezło, ale dajcież, to wam przyodziejewę wysuszę i połatam.

Nie czekając jęła z Krzycha ściągać kubrak. Widząc podartą w strzępy koszulę, otworzyła skrzynię i wydobywszy czystą, położyła przed nim.

— Odziejcie to. Waszej i latać szkoda. A sama was ostrzygę i ogolę. Nie lękajcie się — dodała widząc, iż się jakby zachnął. — Nieraz mojego golę, a sami byście twarz o ćmie pokaleczyli.

Zawiesiła kubrak na drążku pod. powalą, Kolo pa-leniska, przystawiła wodę w kociołku do ognia i nie pytając już jęła zabiegać koło głowy Krzycha, papląc przy tym jak dziecko:

— Skoro byście kosy zapleść mogli, niejedna dziewczyna chciałaby mieć takowe. Jakoby że złota a miękkie.

Krzych czuł na głowie i twarzy drobne jej ręce, ruchliwe jak żywe stworzenia. Siedział nieporuszony, rękoma ściskając kraj ławy. Gdy spadły jego długie kędziory i broda, niewiasta twarz mu zwilżyła nałęczką i jęła golić, mówiąc:

— I skórę macie białą i gładką niczym dziejwka. Aże miło takową golić, ręce się nie trzęsą ze strachu, by nie zaciąć. Mój ma twarda, a źli sie. adfy *ka* skaleczyć...

Ale ręce trzęsły się jej jakoś. I Krzycha przechodził dreszcz. Widząc to, niewiasta rzekła:

— Zimno wam w wilgotnym gieżle. Przebierzcież.

Gdy się nie poruszył, dokończyła golenia i Otarłszy mu twarz ręcznikiem, spojrzała na swoje dzieło. W oczach jej zjawił się podziw i dziecinny 2&chwyti Szepnęła:

— Rzekłby kto, książę jakoweś...

Opasał ją ramieniem i przyciągnął ku sobie. Broniła się nieśmiało, ale nie zważał na to.

Noc już była głęboka, gdy siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Niewiasta łąła odzież Krzyeha i grube łzy skapywały po jej twarzy. Gdy skończyła szyc, podała mu kubrak. Włożył go bez słowa. Powiedziała nieśmiało:

— Przebralibyście giezło...

Nie odpowiedział nic, wziął tarczę, przypasał miecz i wyszedł w ciemność. Zmusił się, by dalej iść na północ. Ale odeszła go chęć do życia. We własne i cudze zamęt tylko wprowadza i niepokój.

Zaopatrzywszy się w odzież i potrzebne przedmioty w Łowiczu, Krzych przeprowił się przez wezbraną Bzurę i szedł dalej na północ. Gdyby nie wzrost wybujwały, nie zwracałby już na siebie uwagi, dość się bowiem wszędy kręciło ubożego rycerstwa w poszukiwaniu czy to służby u duchownych i świeckich możnowładców, czy innego zajęcia. Krzych nie zawierał jednak znajomości, raczej ich unikał, tym łatwiej że nie zatrzymywał się w gospodach, bo po dokonaniu zakupów niewiele mu już srebra zostało. Liczył się z każdym skojcem, nawet na żywność sobie żałując. Wiedział, mimo oteżenia i niechęci do samego siebie, że nie zdoła znieść pogardliwego lekceważenia, jakim zamożniejsze rycerstwo darzyć zwykło ludzi ubożego stanu. Zawział się przeto, że nabędzie konia. Może też przywiązanie do tych zwierząt było powodem, że w głowie mu nie powstało, by wojować miał pieszo. Z własnym wierzchowcem i łatwiej służbę znajdzie, i lepszą. Jeśliby Kundzia chciała jeszcze dzielić z nim los, niechże nie skazuje jej na nędzę czy niedostatek. O kupnie zbroi nie było nawet co marzyć; ale zdobył jedną, może zdobyć i drugą. Z goryczą pomyślał, że wolałby tej jednej właśnie nie zdobyć. Litwa przecież też bez pancerzy wojuje, a nawet z WQ-

dzów niewielu je posiada, do wojny po bagnach i lasach zdatniejsza zresztą lekka jazda.

'Dotarłszy do Wisły, Krzych rad nierad zatrzymał się w gospodzie przy gostyńskim gościńcu, u wyjścia z lasów, skąd z odległości pół mili z górą widać już było na wyniosłym prawym brzegu rzeki zarisy płockiego grodu. Dzielilo go jednak od niego jakby ogromne jezioro. Po świętojańskim wylewie wody już wprawdzie zaczynały opadać, ale wstrzymany w czasie wysokiej fali przewóz nagromadził na kujawskim brzegu tłumy ludzi, którym spieszo było do Płocka', Karczmarz obdzierał ich bezlitośnie. Obdzierali też i przewoźnicy, choć, woda bowiem już schodziła, gościniec wiodący od karczmy do położonej naprzecie Płocka osady Radziwie zamulony był jeszcze, a miejscami zalany, i przewozić trzeba było podróżnych przez zalewy. Jenó raz na dzień odbywała się przeprawa i komu spieszyło się, przepłacał przewoźników, by dopchać się na prom.

Krzych nie spieszył się. Ale czekanie niemal o gieldzie też nie w smak mu było. Pieniędzy nie miał do zbytu, sił natomiast nadmiar. Widząc, że przewoźnikom czasu starczy na dwukrotną w ciągu dnia przeprawę, a jenó ręce im opadają od ciężkiej pracy, ofiarował się pomóc, byle go przewieźli bez opłaty. Starczy nad nimi, Sagan, obejrzawszy Krzycha jak konia, zgodził się. W czasie przeprawy też przyglądał mu się uważnie spod nastroszonych siwych brwi, a gdy zniijpi. leźli się na płockim brzegu i Krzych chciał go żegnać, powiedział:

- Jeśli ci niepilno, poczekaj.
- Niepilno. Jenó za noclegiem muszę się- obejrzeć.
- Nie znasz tu nikogo?
- Nie.
- A miasto znasz?
- Nie.
- Tedy pomóż mi prom uwiązać i pójdź ze mną.

Stary odebrał od podróżnych sporą garść srebraj i poczekawszy, aż wyładowali towar, wyciągnął wraz

z Krzychem prom na suche, przywiązał gó do pala i powiedział:

— Pójdź!

Ruszyli wzdłuż wybrzeża gęsto zabudowanego drewnianymi budynkami, w których mieściły się sklepy towarów, młyny, blicharnie, spichrze, pracownie ciesielskie, korabników, spędowników i bednarzy, liczne pomosty na palach wybiegały w rzekę. W zwykłym czasie przystań musiała być ruchliwa, teraz jednak niewielu ludzi kręciło się po niej, mimo że dopiero zapadał zmrok. Widocznie przybór wody zahamował codzienne czynności. Za przystanią rozłożyły się na brzegu chaty rybaków i flisaków. Sagan skreślił do jednej z nich, tuż pod wysoką, stromą szkarpą, na której szczycie rozsiadło się miasto, i wszedłszy do obszernej ciemnej sieni, zawołał:

— Gościa mamy, wieczerzę przygotuj, a tymczasem piwa nam podaj!

Przepuścił przed sobą Krzycha do izby. Stara niewiasta nakryła stół ręcznikiem i postawiwszy na stole dzban piwa i kubki, wyszła. Sagan nalał, przypił do Krzycha i odezwał się:

— Nie pytam, coś za jeden, bo ślepy nie jestem. Jeno wiosło wziął do ręki, widać, żeś na Wiśle nie pierwszy raz. A miecz i tarcza nie flisowi potrzebne. Jeno jeśliś się tu przytaić umyślił, toś wybrał się źle.

Gdy Krzych bąknął coś, wyraźnie zmieszany, stary przerwał:

— ■ Nie dopytując, gdzie i o *co* **cie**. przycisnęli. Jan* też za młodu po rzece grasował. Stary ksiązę Bolko nie gniewał się, gdy kto zakonne mienie łupił, byle w jego państwie kupców ostawić w pokoju, co z Flandrii i Prus towary na Ruś i na odwrót wozili. Żarli się o to z toruńskim komturem. Ale młody Wańko z jednej miski z Krzyżakiem jada, tedy jeśliś tam sobie nakarbował, to się tu nie przechowasz.

Krzych usiłował przeczyć, ale stary, machnąwszy ręką, powtórzył:

— Jać nie pytam, coś za jeden. Ale gdy -cię za-
pyta kto inny, co powiesz? Chcesz się schować, to
w Łokietkowym państwie, bo Wańko ze strykiem nie
przyj acioly.

Krzych milczał, opuściwszy oczy, Stary patrzył na
niego przez chwilę przenikliwie, po"czym mruknął:

— Widzę, że i tam ci nie spieszno. Tedy posłuchaj,
coć rzekę: udałeś mi się, rad bym Ci dopomógł. Póki
woda duża, dam ci grosza za dzień, Wyżywienie i noc-
leg w szopie koło karczmy po tamtej stronie* Lepiej,
byś się tu nie kręcił, póki ludzie do ciebie«nie ;na-
wykną, bo każdego obcego obwąchują.

Gdy Krzych zrazu nie odpowiedział, stary ciągnął:

— Może mniemasz, że ci mało dają? Nie w tym
rzecz, jeno byś osiedziee mógł bezpiecznie. Jeśliś
nie opój — a nie patrzysz na takiego — dorobisz się
: tak. Ja też jeno z wiosłem tu przyszedłem, a ninie
od księcia przewóz dzierżawię. Czysz duży i nieńk
ym się z bogaciłem. Tu leWy' brzeg płaski, woda czę-
sto gościniec zalewa. Miej jeno, własną łódź, nieisz
się trafi taki, co na prom czekać nie może albo i no-
:ą przepawić się potrzebuje, by go nikt nie widział,
To są zhiwa. Ludzi tu ujrzyś ze wszec stron, nie'
zawždy gębę trzymają, jeśli słuhać'umiesz, dowiesz
się niejednego, co też dobrze przedać można. No,
jakoże, zgoda?

— Zgoda — przytwierdził Krzych i słuhał, jalc
Sagan, nalawszy w kubki, prawil dalej;

— Dorobisz się., to sobie prawo miejskie kupise,
3 o cechu się wpiszesz. Nawet ,ożenić się mozesz,
a wdały z ciebie chłop — zaśmiał się. *— Zresztą ślubal
nie bierzem, roz^jr^ysz się, uczynisz, co zechcesz. Wiem
oi, ae za młodu co innego smakuje. Ale ria starość
lepszy spokojny chleb, choć ta i suchszy. Jeno \$&•',
mniej — tu głos Sagana zabrzmiał surowo ;i Oslra*--,
każde rzemiosło swoją cześć ma, Kogo do przewoż^
weźmiesz; jakobyś gościa w ddm przyjął. Możeez za
przewożne i dukata wydusić, ale ni sjojca siłą.
Krzydyt zarumienił się. Stary go widno za rzećiji-

Siego rozbójnika uważa, a trudno sprawę wyjaśniać. Zmieszał się jeszcze bardziej, gdy Sagan zapytał:

— A jakoże cię wołać?

Krzyeh dotąd nie pomyślał, że nie da się między ludźmi pod własnym imieniem przebywać, i na to pytanie nie był przygotowany. Ale trzeba **było** odpowiedzieć. Bąknął niepewnie:

— Mścigniew.

Stary spojrział na niego spod OKa:

— To rycerskie imię. Licho cię wie, coś za jeden, ale nie moja sprawa. Com się zmówił, strzymam. Ale z życzliwości rzeknę: chytry nie jesteś, skoro nawet imienia zmyślić nie potrafisz, jak należy. Żeś niemowny, to i dobrze, ale czasem gadać trzeba. Jeśli ci na gardło nastają, to się między ludzi nie pchaj.

Krzyeh milczał strapiony. Powzięta przed chwilą nadzieja, że mógłby tu osiąść i rodzinę sprowadzić, prysła. Zasmusował się tak, że nie brał się nawet do wieczery, którą wniosła stara niewiasta. Sagan **dobit** go. mówiąc:

— ■ Poż,yvvaj. O *pustym brzuchu* niewiele wydu-
masz. Choćbyś i rodziciela ubił, jeść trzeba. *

Krzyeh drgnął, ale stary zdał się nie widzieć i ciągnął:

— A tymczasem Bogu podziękuj, żeś na mnie trafił, *com też* niejedno przeszedł. Jakoś się zawsze do brzegu dobije, byle rąk nie opuszczać i głowy.

Jakby czytał w myśli Krzycha, dodał:

— Nie trap się. Gdy człek cierpliwość ma, **dola** musi się odwrócić. Moja stara trzydzieści lat na mnie czekała i doczekała się. Żywot miała pieski, ale starość w spokoju i obfitości. **A ty niasz kogo, co by czekał** na ciebie?

— Mam — szepnął **Krzyeh, choć zgola nie był pe~ why.** Sagan zakończył:

— ' Tedy masz po co żyć. **A kto chce żyć, jeść** musi i snąć.

Krzycha jednak nie brał sen. Spotkanie z Saganiem uważać mógł za uśmiech losu, ale to, co stary mówił, uprzytomniło mu, że nie ściele mu się łatwa ni prosta droga powrotu do swoich. Trzydzieści lat czekania! Jak łatwo i prędko zburzyć można własne życie, jak trudno i mozolnie trzeba zburzone odbudowywać. Na dobitkę nie wie, czy Kundzia będzie czekała. Pokusa, by zmienić imię, stan i zajęcie i sprowadzić swoich, była silna. Ta droga zdoła się łatwa i krótka. Ale czuł, że mu na nią wstąpić nie wolno, skoro byle przypadek może go zdradzić. Gdyby znowu uchodzić przyszło, musiałby żonę z dzieckiem zostawić w obcym jej miejscu, wśród obcych ludzi. Musi uzyskać zdjęcie klątwy i wybaczenie książęce, wrócić z odkrytym czołem tam, gdzie swoich porzucił. Igrać z ich losem już nie śmie.

Leżąc w ciemności Krzych rozważał swoje położenie. Na drodze, którą obrał, teraz widział przeszkody, które odsuwały jej cel i mogły go nawet udaremnić. Ale nie widział wyboru. Pierwszy krok — to nabicie konia, o dalszych czas myśleć. Umocnwszy się^{*} iv postanowieniu, uspokoił się nieco I wreszcie usnął.

W lipcowym już skwarze wody opadały szybko, na rzece ukazały się łachy piaszczyste, zalewy zamieniły się w bajora, błoto zaś na gościńcu w kurz, który z dala zdradzał nadciąganie podróżnych. Przewóz przez główne koryto Wisły z Radziwia w dół Płocka stał się krótki i łatwy, Krzychowe ręce niepotrzebne. Niemniej przybyło mu w kiesie kilka groszy, we dnie kręcił się po przystani, gdzie czasem udało mu się zarobić coś przy wyładowaniu towarów, a gdy przewoźnicy po zachodzie przeprawiali się na płocką stronę, Krzych pozostawał w Radziwiu w klitce nad brzegiem, od wypadku, gdyby spóźniony podróżny zażądał przeprawy. Pomny przestrogi Sagana, w rotę^{*}

ście nie był jeszcze. Na przystani, gdzie zawsze roiło się od obcych ludzi, nie przyciągał szczególnej uwagi. Gdy w upalne południowe godziny skwar wstrzymywał pracę. Krzych wylegiwał się w słońcu, najczęściej na którejś z łach piaszczystych na środku rzeki, gdzie nikt nie mącił mu samotności, chyba rybitwy. Patrzył na sunące po niebie obłoki lub wolno toczącą się falę wiślaną. Jak ona — gdzieś — w końcu dopłynie i on. Życie zaczynało układać się spokojnie, choć niewiele przybliżało do celu. Tak jak ninie — pracować na bojowego rumaka przyszłoby rok albo i dwa.

Krzych uzbrajał się w cierpliwość. W znojne noce, gdy rudy i spłaszczony księżyc dźwigał się nad nieboskłonem, lubił siadywać na burcie promu, słuchając, jak skrobie o nią bełkotliwa fala. W szopie duszno było, od wody zaś pociągał miły chłód. Gdy księżyc wzbił się i wysrebrzył, po rzece skakały blaski. Spokój i cisza panowały dokoła, czasem jeno ptak nocny zakwilił lub rzuciła się ryba. Jak ongi, gdy ze starym Siedlikiem jeździli na połów, a w domu czekała Kundzia. Jeno że wtedy nie o niej dumiał. Niechętnie słuchał napomnień Siedlika, że chciałby stadło z nich uczynić. Dobrze, że stary rybak nie dożył spełnienia swych życzeń. Jeszcze jedno serce zraniłby Krzych swym postępkiem, jeszcze jeden życzliwy człowiek stałby mu się wrogiem.

Że zaprzepaścił ludzką życzliwość, której ongiś nie cenił zgoła, zdał sobie jednak w pełni dopiero sprawę jednego wieczora, gdy siedział jak zwykle na burcie promu nad wodą, ciemniejącą już od granatu wschodniego nieba, na którego tle w ostatnich blaskach zachodniej zorzy świeciły różową poświatą wieże katedry Najświętszej Marii Panny Większej na przeciwnym brzegu. Blaski gasły, a w zapadającym granatowym mroku jak świętojańskie robaczki zapalały się światełka zabudowań w wysokim mieście i na przystani. Krzych zadumał się tak, że zdało mu się, iż siedzi pod Wawelem. Za chwilę. ■cichutko

przyjdzie Kundzia, by wezwać go na wieczerzę. Albo usiądzie obok niego i tak będą siedzieli bez słowa. Nigdy nie przeszkadzała mu jej obecność ani jej dziecinna jeszcze miłość; przy Kundzi mógł marzyć o innej. Teraz zadumę przerwał szelest piasku. Krzych drgnął i odwrócił się niechętnie, pewnie jakiś spóźniony podróżny zażąda przewozu. Brzeg już był ciemny, ale na tle gasnącej, zachodniej zorzy rozróżnił zarysy dwóch koni z jednym jeno jeźdźcem, który zbliżywszy się zeskoczył na ziemię i zapytał:

— Przewieziecie? Krzych

wstał, zaskoczony. Głos podróżnego zdał mii/ się znajomy. Zanim jednak zdołał sobie przypomnieć skąd, przybyły dorzucił:

— Widzę, nie trzeba. Do was jadę.

W półświecie letniego wieczoru Krzych poznał dziobatą twarz i kosę oczy Pizły. Stał, zaskoczony, i serce zatłukło my się w piersi. Wyszeptał:

— Jakeśeie mnie tu naszli?

Pizło, widno zdrożony, usiadł na burcie promu i odparł:

— Wždy mieliście być w Płocku.

Tysiące uczuć kotłowało się w Krzychu, pytania cisnęły się na usta, jeno nie wiedział, od czego zacząć. Pizło zaś ciągnął obojętnie swym szorstkim, za*jąkliwym głosem:

— Zbroję wam przywiozłem i co tam jeszcze;

— Skąd? I dlaczego wy?

Raczej poczuł, niż ujrzał, jak Pizło wzruszył ramionami:

— Koniuszy Budziwoj' nie mógł, bo pono słabuje, tedy oddał w Sulejowię Eadosze.

Podniecenie Krzycha wobec obojętności *riziy* przechodzić jeło w rozdrażnienie i gniew. Chciał się dowiedzieć o Kundzi i Uniku, co myślą i zamierzają, a czuł, że Pizło, choćby i wiedział co, nie chce gadać. Z torby wydobył jedzenie i pożywiać się zaczął.- W zachowaniu jego/, była niezyczliwa obojętność. Krzych zapytał ostro:

— Czemu Radocha sam zbroi nie odwiózł?

— Pewnikiem chciał wam pokazać, że i on ma plecy — odparł Pizło pełną gębą.

Krzych czuł, jak krew uderzyła mu do twarzy i uciekła. Zacisnął pięści i zmagął się ze sobą. Jeśli wybuchnie, nie dowie się niczego. Długo milczał, nim opanował się na tyle, by mówić spokojnie. Teraz Radocha jest pasowanym rycerzem, a ściganym zbójem on sam. Trzeba znosić upokorzenia. Przetykając ślinę, ochryplym głosem powiedział:

— Wybaczcie. Wdzięczność wam winienem, żeście się dla mnie trudzili.

— ■ Nie dla was. Radocha mnie uprosił — mruknął Pizło.

Krzych zagryzł wargi:

— Tedy jemu podziękujcie ode mnie. Wiem, żej mi nic nie powinien.

— Juści, że nic. Jeno on gadać z wami nie chciał, dlatego mnie wysłał. Tedy i dziękować nie ma za co. Mnie ta nic do tego, żeście swoją niewiastę zmamili. Gorzej, że i siebie, ale bez jednego rycerza wojna będzie — dokończył lekceważąco.

Krzych czuł, jak znowu podnosi się w nim serce.,, Ozwał się szybko, zduszonym szeptem:

Jeno Unik wiedział, gdzie mnie szukać^ Czemuż tedy nie on zbroję odwiózł, miast rozgadywać...

— Gdy się już zagnieździe u Wańka, niewiastę ma wam odwieźć, tedy jego samego zapytacie.

Skończył jeść, schował resztę do torby, wyciągnął sakiewkę i wręczył ją Krzychowi, mówiąc:

— A tu złoto od niego.

— Na kościół miał dać — sarknął Kraych.

Pizło odparł:

— Wasza wola i tło Wisły kinąć. A zbroję gdzie wam ostawić?

Wstał, widno zbierają* Się <> odjazdu. iKrzych powściągnął się i zapytał;

— Nie przenocujecie?

— Nocą lepiej jechać, bo gzy koni nie tną; I bez.--

pieczniej ^— dorzucił. — Poznać mnie łatwe, jeszcze by wasz Wańko komturowi mnie sprzedał. I wam gotów za złe wziąć, żeście mnie w rękę mieli, a wypuścili. Jak służyć, to służyć.

’ Krzych poczuł, że krew uciekła mu z twarzy. Nie odezwał się ni słowem, nie poruszył, gdy Pizło, zrzuciwszy z chrzęstem sak ze zbroją na ziemię, dosiadł konia i ruszył w ciemność. Za chwilę umilkły odgłosy oddalających się koni. Krzych pozostał sam ze swymi myślami.

Nie były jaśniejsze od mroku, który ogarnął świat przed wzejściem księżyca. Oto jeszcze Krzych **nit** zaczął służyć Wańce, a już Łokietkowi za przeniewiercę go mają. Przecież nie Wańko jeno przyjai* ni się z Krzyżakami, Ziemomysłowice też zabiegają o dobre Z nimi stosunki, a mimo to Kazko nawet starostą jest w Wielkiej Polsce. Skąd ta pogarda u ludzi, z którymi społem nieraz głowę stawiał w walce z Zakonem? Po wzburzeniu ogarnęło Krzych* przygnębienie, co gorsza — wątpliwość, czy droga, którą obrał, prowadzi do celu. Żadnej zaś innej **nie** widział.

Z otępienia ocknął go powiew, który ruszył, **nad** rzeką, zganiając duszny opar. Na niebie zaśniły gwiazdy, rzucając **swę** odbicie na ciemną płaszczy* znę wiślanej zatoki. Krzych odetchnął i myśleć zaczął spokojniej o tym, co mówił Pizło. Kundzia i Unik nie zamierzają go więc opuścić. Nie jest całkiem sam, podzielił z nim taki los, jaki im zgotuje. Myśli Krzycha stały się jaśniejsze. Ma już z czym zaczynać, dostał zbroję, nabędzie konia. Walki z Litwą Łokietek za złe mu nie weźmie, a pierwsza rzecz zbyć się kłatwy, której skutki wszędzie osiągnąć go mogą. Koś* cłół ma dłuższe ramię niż księżę.

Doczekawszy świtu, Krzych zabrał zbroję i przeprawił *sAq* na płocką stronę. Oręż trzeba przechować u Sagana, gdzie i resztę mienia pozostawił. Stary i tak się czegoś domyśla, zresztą wyboru nie było.

Sagan domyslniejszy był nawet, niż Krzych przy*

puszczał. Zastał go przy rannej polewce, a gdy mu swą prośbę przedstawił, Sagan odparł:

— Rycerz bez zbroi jako rak bez skorupy — chowa się.

Bawiło go widocznie wyraźne zmieszanie Krzycha, bo dodał z drwiącą dobroduszością:

— Siadajcie i pożywajcie, ślachtetny panie. Wyklętemu po prawdzie ognia ni wody użyczyć nie Iza, ale skąd mi wiedzieć, ktoście wy, skoro nie gadacie? Nie przystoi zasię gościa wypytywać — przymrużył oko z kpiną — zwłaszcza gdy i nie trzeba :— zakończył.

Krzych milczał nie wiedząc, co odrzec. Przeczyć nie zdało się na nic, przyznać — może stary istotnie woli udawać, że nie wie, kogo mu los zesłał. Sagan ułatwił mu jednak postanowienie, mówiąc:

— Leszczyce z Koszut żrą się po bratersku z Leszczycami z Kościelca. Gerward z Łokciem trzyma, Florian z Krzyżakami, i on tu po prawdzie całym panem, i Wańkiem kręci. Tedy każdego Łokietkowego wroga z otwartymi ramionami przyjmują. Pewnie by; i na zrabowanie klasztoru, co się za Łokciem opowiada, oczy przymknął, gdyby nie to, że sam klątwę na! was po kościołach głosić kazał. W spokojny czas lepiej się tedy nie pchać w oczy. Ale gdy ku wojnie mieć się będzie, nikt wojaka nie zapyta, kto zaci i skąd, byle jeno tęgi był i dobrze zbrojny. A u Łokcia małe to wywołańców wojuje, co się w zwykłym czasie po kępach i lasach przed kasztelanami chowają?

— A nie słyhać o jakowej na Litwę wyprawie? nieśmiało zapytał Krzych.

— Bies się nie wyzna, a wy byście chcieli. Na poS graniczu zawždy napaści są, jako i wszędy. Ale pono Giedymina chrześcijaństwo przyjął i pokój szuka z postronnymi. Nawet gadali, że rad by córę zija Wańka wydał, tyle że nieirała jeszcze. Wańko z Krzyżakami przyjaźni się, a litewskie napaści przez swoją ziemię do Prus przepuszcza, bo juści mu dogodniej! by ich pustoszyć, nie jego. Chcecie wy z Litwą wo-

jować, to najpewniej społem z Krzyżakami, bo między nimi pokoju nie będzie nigdy. I klątwy tam zbyć najtaczniej, bo takowy przywilej mają u Ojca Świętego, że kto do nich przystanie, temu wszelką zbrodnię wybaczyć władni. Stąd i łotrów w Zakonie pełno, co im gdzie indziej ziemia stopy parzy.

Widząc, że Krzych zmarszczył się niechętnie, zakończył :

— Nie namawiam, jeno mówię. Jedno pewne, że z czasem każda rzecz zwietrzeje, drugie, że jak się zaciągniecie w służbę, tam się bić będziecie, gdzie wam każą, a trzecie — że was o nic nie pytam i siedzieć możecie, póki wola. Rad bym jeno wiedział, gdzieście; się tak wiosłem robić przyuczyl?

— Rybitwie jednemu pomagałem **łowić** — **bąknął** Krzych.

Czuł, że łżej by mu było, gdyby otwarcie pogadał z bywałym, doświadczoneym a widocznie życzliwym mu człowiekiem. Wiadomość, choć niepewna, o zamierzonym chrzcie Giedymina i małżeństwie Wańka była prawdopodobna. Zniweczyłoby to jego zamierzenia. Zakon na równi groźny był dla Litwy jak dla Polski, a litewscy władcy nie od dziś szukali związków z polskimi sąsiadami. Przyrodni Wańka, Ziemo wit i Trój den byli siostrzeńcami Giedymina po siostrze jego Gaudemundzie. Krzychowi ziemia usuwała się spod nóg. Gdyby stary pytać zaczął, byłby mu szczerze wyznał swoje położenie. Ale Sagan rzekł jeno:

— Dobrze jest popróbować tego i owego. **Czlek** nigdy nie wie, co mu się przyda.

Musiał jednak zauważyć, że Krzych stropiony **jest**, bo dodał:

— Ja, gdy mam zgryza, to spać idę. Radzę **i wam** uczynić to samo, bo widzę, żeście nie dospali. "Pu wam nikt wadzić nie będzie.

Zabrał czapkę i wyszedł, zostawiając Krzychasam¹ na sam z myślami. Znowu ogarniała go niechęć **ilo** Szycia, ale Wrzasnął się z niej. Jaškowi **Leli** wie **przrzekł**,

że będzie żył. Ale Hanna na niego nie czeka, jeno za niego się modli, A Kundzia czeka. Skrzywdził obie, ale wynagrodzić krzywdę może tylko małżonce. Niczego nie wyduma siedząc nad Wisłą i patrząc w wodę. Coś trzeba postanowić, by zaś postanowić, ruszyć się trzeba między ludzi i zebrać wiadomości.

Pomny jednak przestrogi Sagana, czekał na jakiś większy zjazd, na którym wśród obcych i w tłumie mniej zwracać będzie na siebie uwagi, a więcej zdoła się dowiedzieć. Wkrótce trafiła się sposobność. Na święto patronki kościoła odpust był w klasztorze norbertanek, położonym na południe od miasta na wiślańskiej szkarpie. Krzych, po raz pierwszy przybrany przystojnie, zmieszał się z sunącym ku klasztorowi tłumem. Górował jednak wzrostem, a ścigał oczy niewiast urodą. Udawał, że tego nie postrzega, ale nie swojo się czuł i rad był znalazłszy się w ciemnej kruchcie kościoła Magdaleny Pokutnicy. Przykleknął na uboczu i zatopił się w smutnej zadumie: kiedy wolno mu będzie wejść wraz z innymi do kościoła? Lubił pozostawać w świątyni po nabożeństwie, gdy już opustoszała, a panująca wewnątrz cisza, chłód i mrok przypominały mu las. Ale lubił też uroczyste, choć niezrozumiałe dlań obrzędy, śpiewy i muzykę, które pozwalały oderwać się od wszelkich zgryzot i myśli.

I teraz służyło na niego ukojenie. Zapomniał; że nie ma prawa korzystać z tej pociechy i że nie po to tu przyszedł. Gdy skończyło się nabożeństwo i pleban klasztorny wyszedł z kazaniem, Krzychowi zdało się, że do niego mówi. Kazał o świętej patronce kościoła, o grzechu i pokucie. Krzych doznał **Ulgi. Każdy** grzech może być wybaczony.

Myślał, że pleban skończył, gdy w kościele powstał szmer, ale ucichł zaraz. Pleban mówił dalej, a Krzychowi zdało się, że z ambony nie słowa **leca**, lecz kamienie:

— Czyni się wiadome wszystkim wierttym, jako rycerz Krzych Nałęcz za zbrodnię zabójstwa, święto*

Kraciztwa i porwania panny Bogu poświęcone; z chrześcijańskiej społeczności wyłączony został. Ktokolwiek by o nim powziął wiadomość, a nie doniósł jej władzy kościelnej lub świeckiej, kto by mu udzielił dachu nad głową, ognia lub wody, kto by mu służył radą i pomocą, by odjąć go sprawiedliwości, ten wraz z nim *anathema sit!*

Krzych nie słuchał już, jak pleban głosił, po czym wyklętego poznać można. Nie mógł się opędzić wrażeniu, że wszyscy patrzą na niego, jakby piętno jakoweś miał na czole. Ledwo zdołał się powstrzymać, by nie uciec zaraz. Gdy jeno tłum ruszył ku wyjściu, Krzych chyłkiem wymknął się. Do wieczora przesiedział samotnie na wyniosłej szkarpie, bezmyślnie błądząc oczyma po rozległym widoku, jaki się stąd rozpościerał. Nisko w dole lśniła płaszczyzna rzeki, po której pęłzały korabie podobne z tej wysokości do czarnych żuków. Za wodą rozpościerały się bory aż do krańca widnokręgu. Tam jest jego miejsce. Samotność między ludźmi gorsza jest niż samotność wśród zwierza. Jeno że tamtędy nie wiedzie powrotna droga.

Gdy zapadł zmrok, Krzych wstał i unikając po drodze ludzi, udał się do domu Sagana. Zastał go przy wieczerzy. Stary powitał go życzliwie i wskazując miejsce na ławie, powiedział:

— Siadajcie i pożywcie się. Lubię pogwarzyć przy winie, a moja odwykła od gadania. Zresztą o czym tu gadać, skoro wiemy o sobie wszystko.

Wyraźnie zachęcić chciał Krzycha do mówienia, choć zapewne wiedział niejedno. Krzych w przystępie goryczy odparł jednak:

— Dzięki wam. Jeno oręż i zbroję zabrać chciałem. Takiemu jak ja nie Iza udzielić gościny...

— Siadajcież! — przerwał Sagan. — Szczęścić t^ł wasze, zem i ja wyklęty. Po dwakroć wykląć człeka nie można. Że zasię klątwą hojnie szafują, tedy ja* koby bractwo powstaje, które sobie wzajem pomagad winno. Póki osława ściga człeka jak wilka, poty na baczności mieć się trzeba. O was jeszcze u Świętego

MidiaUTgłosic będą, gdy odpust przyjdzie, by więcej ludw słyszało, a potem już spokój. Pół kopy łąt z okładem pod klątwą jakoś żyję i co mi ta. A bez żarcia ni dwóch niedziel nie przeżyje. Pozywajcież!

Krzych usiadł, zasepiony, ale nie brał się do jedzenia:

— Jako zwierz, bez sakramentów — szepnął. — A gdy umierać przyjdzie...

— Co ta młodemu o umieraniu myśleć. Ja zasię, gdy przyjdzie moja godzina, wypowiadam się i miennie na kościół zapiszę, bo i ostawić nie mam komu. Wybaczą. I czas, i pieniądz robią swoje. Wy zasię kogo macie?

— Małżonkę mam i dziewczuskę. Dzieckam nie widział nawet — dodał głucho.

— Gorzej — mruknął stary. — Mnie się też chłopczek zmarnił. Ale cóż, że go widziałem? Nie pomnę nawet, jak wyglądał. Jeno oczy miał jako wy. Oczy spamiętać najłatwiej.

Krzych czuł już, że będzie mówił. Ale stary umilkł, może myślą ściagał własne wspomnienia. Niespodzianie rzekł:

— Jeno pojąć trudno, co was — u biesa — pode-rwało, by mniszkę porywać? Rozumiem ci, że młodemu nieraz zechce się odmiany. Takie wdały chłop, jak wy, najdzie podwik bez liku, co się też zabawić rade. Ale jeno opój lubo kosterą własną i cudzą dolę na wodę puści dla płochej zabawy. A takiemu i ręki podać szkoda — zakończył surowo.

Krzychowi krew uderzyła do twarzy. Zaczął mówić, jakby wyrzucić chciał z siebie wszystko, co się w nim nagromadziło od lat. Świt już bielił błony w oknach, gdy skończył. Stary nie przerwał mu ni słowem. Dopiero gdy Krzych umilkł, odezwał się:

— Możecie przy mnie siedzieć, póki wola. Jenc ostrożności i cierpliwości.

— Dobrze mnie się cierpliwić — wybuchną: Krzych. — Ale Kundzia i dziecko!

— Myśleć należy o tym, co będzie, a nie o tym, cc

było. A lepiej czekać choćby i na darmo, niż czekać nie mieć na co. Ninie spać idźcie, bo nic nie Wymyślicie.

Wziął kaganek, którego światło już pożółkło w poświęceniu wstającego dnia, i zawiódł Krzycha do ciemnej komory. Krzych nie opierał się. Był tak wyczerpany, że czuł w sobie pustkę zupełną. Ledwo się położył, zasnął. Stary stał nad nim przez chwilę z kagankiem. Na jego poradlonej twarzy widniało wzruszenie :

- Chłop jak tur, a głupi jak dziecko,— mruknął,

Klątwą szafowano hojnie,, szerzyła się jak nagminna choroba, ale gdy dla słabych była jak trąd* dla silniejszych jeno jak febra, która czasem się prgypótniui, ale żyć nie przeszkadza.

W Polsce zapomniano już niemal o ekskomunice księcia Włodzisława. Łatwo ją jednak mogli przypomnieć *przeciwnicy Łokietka*, gdy Cerward wniósł petycję koronacyjną do Kurii. Należało temu zapobiec. Przez sam powrót Muskały interdykt został zniesiony, trzeba całą sprawę zakończyć, a gdy arcybiskupa Janisława wciąż jeszcze sprawy polskie trzymały w Awinionie, książę postanowił nie czekać na wyrok, lecz wprost z biskupem się uładzić. Po sulejowskim zjeździe zmuszony był jednak udać się do Kalisza i jesień już była, gdy wreszcie wyruszyć mógł do Krakowa. Przyspieszyła wyjazd wieść ó śmierci krakowskiego kasztelana Prandoty Odrowąża. Obsadzenie po nim najwyższej świeckiej godności oraz zapobieżenie szerzeniu się przeciekającej ze Śląska herezji, która również sprawom polskim w Kurii mogła zaszkodzić, też wymagało obecności księcia.

Już przy wjeździe na Wawel niemile uderzył Łokietka widok spłakanych w listopadowym dżdżu ruin katedry. Spodziewał się, że biskup od niej rozpocznie zaprowadzanie ładu w zaniedbanej diecezji. Zastał ją,

jak przed ośmiu miesiącami pożegnał, jeno wiosenną porą zakorzenione w szczelinach murów drzewka i zarastająca gruzy trawa rozweselały ponurą ruinę. Teraz, zda się, jakby jeszcze bardziej przysiadła pod niskim okapem szarego nieba, ku któremu jak ramiona błagalnika sterczały czarne i bezlistne gałęzie, podkreślając jeszcze martwość i opuszczenie. Nawet gruzu nie uprzątnięto. Książę, który tu zamierzał odbyć koronację, z rozdrażnieniem zwrócił się do Pakosława Lisa z Mstyczowa, witającego go przy wjeździe w zastępstwie zmarłego kasztelana:

— Gdzie biskup?

— Wczoraj wyjechał do Mogiły. Pono chorzeje. Jedno pewne, że nie poczyna nic. Jeśli mówić chcecie o kościelnych sprawach, to z dziekanem Kapituły, który najlepiej w nich się wyznaje.

— Śląc po niego — odparł Łokietek. — A tymczasem niech zajdzie do mnie mistrz Franciszek.

Książę, jak z konia zsiadł, udał się wprost do siebie, nie witając nawet małżonki i dzieci, których nie widział od sulejowskiego zjazdu. Stary Pakosław, idąc za nim, myślał, że książę mocno był wyjazdem biskupa dotknięty. Sam będąc najzawziętym wrogiem Muskaty, jak i inni dostojnicy, zgodził się na jego powrót, lubo niechętnie, ale nie pogodził się z nim samym. Niczym kleszcz w skórze tkwiło w Pakosławie wspomnienie biskupiego lochu w Lipowcu. Nie wierzył, by z Muskatą szczery pokój mógł zapanować, może więc i rad był, że stosunki między biskupem a księciem znowu się od zadry rozpoczynają.

W księciu nad gniewem przeważała jednak ciężka troska. Wyjazd biskupa rozumiał: upokorzona pycha nierada świeci oczyma. Ale bezczynność Muskaty stwarzała nowe trudności, a innych nie brakło.

Mistrz Franciszek, choć był proboszczem NMPanny, jako kanclerz krakowski mieszkał na Wawelu, toteż zjawił się wkrótce. Łokietek zaledwo odpowiedział na jego powitanie i zaraz dopytywać jął o sprawy. Na wieści od Gerwarda jeszcze było za wcześniej

ale i z Awinionu nadeszły inne, niezbyt pomysłne. Papież nakazał zwrócić Muskacie dochody, pobrane z majątków diecezji przez czas jego nieobecności, jego samego zaś upominał, by jął się tępienia herezji. Łokietek niecierpliwie ręką przejechał po siwiejących włosach:

— Nicze biskup nie uczynił, by ład tu wreszcie wprowadzić?

— Po prawdzie — nic. Ani wiem, co zamierza. Z jednym jeno kanonikiem Nankerem gadał po powrocie, tedy każcie wezwać Nankera, bo on może wiedzieć, czego biskup chce i co zamierza.

— Kazałem mu już przyjść — odparł książę niechętnie. Osoba Nankera nie była mu miła. Kanonik, choć sam pobożny i-przykładnego żywota, należał do popleczników Muskaty. Z rodu Okszów — jak on pochodził z opolskiego księstwa. Przez biskupa ściągnięty został do Krakowa, gdzie czasu buntu trzymał z Bolkiem opolskim. Pozostał w Krakowie, gdyż on jedynie zażywał powagi w rozdwojonej Kapitulie. W oczy rąbał każdemu, co myśli, a sam ślepo karny, od innych tego wymagał. Gdy nadszedł, książę powitał go oschle, Pakosław nawet się nie odezwał, natomiast mistrz Franciszek, choć starszy wiekiem i Wyższy dostojenstwem, odpowiedział na powitanie uprzejmie, nawet nieco zmieszany.

Nanker jednak zdał się nie zwracać uwagi, jak go, witają. Księciu skłonił się nisko, kanclerzowi układowanie, Pakosława jakby nie dostrzegł. Na wezwanie księcia usiadł i czekał na zapytanie. Gdy jednak Łokietek milczał, rozpoczął mistrz Franciszek:

—* Miłościwy pan zatroskany jest, że od powrotu biskupa niczego nie uczyniono, by ład wprowadzić w diecezji.

- Wam najlepiej wiadomo, że ja czynię, co należy do mnie. Jeśli o karność i obyczaje duchowieństwa idzie, nie przepuszczam nikomu, iako i ostatnio, kanonika Engelberta przed są biskupi wezwałem za

napaść na Suiisława z Marszowic w sporze o karczmę w Goszezy.

— Chwali się, że burzycieli porządku powściąga- cie — wtrącił Łokietek — ale nie o to sprawa. Po tom panu biskupowi przed wyrokiem na stolicę wrócić zwoił, by się urzędem swym zajął, a pierwsze — ka- tedrę odbudował.

— Wyrok dawno przez legala papieskiego wydany został — odparł Nanker — aleć i nie O to sprawa. I biskup rad by widział, by burzyciele pokoju, co pod jego nieobecność mienie kościelne rozgrabili, do zwro- tu byli przymuszeni, bo od tego wprowadzenie ładu i prawa rozpocząć należy.

— Wiktorowice już biskupowi przysądziłiśmy, za- nim nawet zażądał — odparł ksiązę podrażniony. — Co jeszcze wbrew prawu zagarnięte zostało, swoim porządkiem do niego wróci, jego zaś rzeczą jest pra- wa swe wykazać i wnieść powództwa.

— Pod waszym- bokiem strażnik Nozdrach wieś Bawół zagarnął, o której każdemu wiadomo, iż od wie- ków należy do krakowskiego biskupa. *Facia nntoria non exigent probaionem* ¹. A takich jest więcej.

— Nie kaźcie mi się głowić — rzucił Łokietek gniewnie. — Wskaźcie, co zrabowane zostało, a porę* ezam, że sprawiedliwość uczynię.

— Biecz, Lipowiec, Chęciny i Pełczyska — odparł kanonik, patrząc śmiało na księcia.

Nim jednak ksiązę odpowiedział, zerwał się stary Pakosław i zakrzyknął:

— Po tośmy krwią swoją zamków biskupich do- bywali, by je ninie oddać, aby w nich wrogów swych więził i oparcie w nich znalazł dla buntu!

Ksiązę jednak, choć żyły wystąpiły mu na dzoło, odparł ostro, ale spokojnie:

— Kto wojnę wszczyna, pła<^ć musi, gdy pnszejgr&j Biskup zdał się na moją łaskę, a jam jeno wolfięć

¹ Fakty znane nie wymagają dowodu.

iego osoby i ochronę przed wrogami poręczył, nie zaś zwrot wojennej zdobyczy.

— Ale mienie kościelne jest, a nie z Kościołem, wojnę zwodzicie. I dłużej Kościoła niżli biskupa — jędrparł kanonik spokojnie.

— Teraz to mówicie — zachnął się książę. — A gdy Diskup kościelnym mieniem frymarezył jak własnym, milczeliście.

— Bo porządek i prawo na karności polega i posłuszeństwie. Biskup swoich przełożonych ma, którzy postępkę jego sądzić władni. Zasię *crimen non excusat zrimen*¹.

— Widzę, żem jednego wroga zbył, by drugiego sobie napytać — odrzekł Łokietek, uśmiechając się przymusem. — A wojny na słowa z wami. nie wygram

— Nie jestem waszym wrogiem. Ale wrogiem wrogów Kościoła.

— Nie słyszę, byście przeciw heretykom występom wali, choć jawnie wrogami są Kościoła —» drwiąco wtrącił Pakosław.

— Gdy kanonik się nie odezwał, książę zwrócił się do niego:

— Czemuż nie odpowiadacie? Czyżby słów wam sabrakło?

— Boni się panu Pakosławowi sprawiać nie obowiązany. A choć i przed waszym sądem nie stoję, «tam odpowiem; biskupa to rzecz, skoro wrócił, i jego D to Ojciec Święty upomniał. Gdy biskupi rozkaz 3'crzymam, uczynię, co mi gorliwość nakazuje. Ale gdym pod jego nieobecność przeciw beginkom wystąpić usiłował, które z kościelnego posłuszeństwa wyszły i sobór vicenneński tępić je przykazał, waszą dostojna "małżonka wzięła je pod swoją obronę»;

Pakosław wstał, zdało się, że krew mu z twarzy wtrwsił. Zwracając się do księcia, rzekł pbrarwliwie:

¹ występki nie usprawiedliwiają występku

— Wybaczcie, miłościwy panie, że wyjdę, bo snadnie by mi się zdać mogło, że wszyscy tu przed sądem wielebnego Nankera stoimy.

Nie czekając na przyzwolenie, wyszedł. Gdy drzwi się za nim zamknęły, przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je Nanker:

— Czy jeszcze o coś pytać chcecie, miłościwy panie?

— Wykrętny macie język, tedy i w tym pewnikiem mnie zbędziecie. Ale zapytam: zali się to dobru Kościoła lubo waszemu posłuszeństwu przeciwi spaloną katedrę odbudować?

— Nie bądźcie gniewni, że prosto, a nie wykrętnie odpowiem: kto zawinił, że spłonęła, i odbudować winien. Ale i wiem, że *ultra posse nemo obligatur* *. Tedy wam nikt zarzutu nie czyni, że od lat trzynastu z górą wypalone mury w dalszą idą ruinę, że wkrótce i kamień na kamieniu nie ostanie. Gdy do mnie zwracacie pytanie, mogę rzec jedno: gdybym ja był pastierzem, każdy grosz szedłby na odbudowę. Ale ja nawet nie zarządcą majątności, jeno mistrz Franciszek. Oń niech odpowie, gdzie są dochody z nich, co jeno pod nieobecność biskupa sześć tysięcy grzywien z gorą wyniosły.

Kanclerz Franciszek poczerwieniał i odparł:

— Co za mego zarządu wpłynęło, wiernie panu biskupowi oddałem, jako Ojciec Święty przykazał. Przedtem zasię administratorami byli kustosz Jarosz i „prepozyt wiślickiej kolegiaty Mikołaj, którzy obaj przed Bogiem już stoją.

— Niechże się przed Bogiem z zagrabionych dochodów wyliczą¹— odparł Nanker. — Aleć za nie katedry nie odbuduje. Czy prosto wam odrzekłem, panie?

— Dzięki **wam**- odrzekł Łokietek. — Lękam się więcej pytać, **by**m się jeszcze czegoś nie dowiedział,

choćby i tego, że biskupowi pieniądz na walkę ze mną potrzebny, tedy go na odbudowę katedry nie stać.

— Wielebny ksiądz kanclerz może wam rzec, ile tego było. Ja zasię jeno, że Jego Przewielebność każdy jrosz panu biskupowi wrocławskiemu odsyła, z którego stołu przez lat pięć korzystać musiał, własnego pozbawiony.

— Co komu pilniejsze! — burknął ksiądz.

— Nie moja rzecz sądzić, co pasterz z własnym groszem winien poczynać.

— Rozumiem, co chcecie rzec: że >me moja. Może i prawda. Jeno dobrej woli nie widzę. Ni u niego, ni u was — zakończył ksiądz ostro. — Tedy dziękuję wam.

Nie skinął nawet głową na pokłon kanonika i chodzić jał po komnacie. Mimo gniewu przeciw Nankrowi, przed sobą przyznać musiał, że chciałby mieć takich jak on dostojników: ślepo karnych, a śmiałych i bystrych. Niewielu ludziom ze swego otoczenia, nawet ze swej Rady, mógł zaufać, a nowymi ludźmi niewiele też dostojenstw mógł obsadzać, by oporu nie wzbudzić wśród dziedzicznych możnowładców. Zamyślił oczy na chciwość i chęć zysku, boby inaczej niemal sarn musiał pozostać. I teraz udał, że nie dostrzeżga, że kanclerz Franciszek, który stropiony się zdał w obecności Nankera, z ulgą odetchnął, gdy ten wyszedł. Ksiądz powstrzymał gorzkie słowa, rzekł natomiast:

— Każcie Radę zwołać na jutro. Kasztelanie krakowską obsadzić trzeba.

Widząc zaś, że kanclerz zbiera się coś mówić, przewał niechętnie:

— Co macie spraw, też na jutro przygotujcie. Dziś już znużony jestem.

Gdy mistrz Franciszek wyszedł, Łokietek dłuższy czas stał zadumany. Nie znużony się czuł, lecz przybity. Sprawa z Muskatają jątrzy się dalej. Pomocy od niego spodziewać się nie można, dobrze, że choć kno-wań lękać się nie trzeba. Łokietek liczył ludzi, na

których mógł polegać: Jaśko, Gerward, Pakosław, Pękawka. I palców jednej dłoni za wiele.

Księżę uśmiechnął się mimo woli. Jakby o kciuku w dłoni — zapomniał o księżnej Jadwidze. Na nią liczyć mógł zawsze i w każdych okolicznościach życia. Bardziej niż na samego siebie. Odetchnął i poszedł powitać małżonkę.

\ Krzyżacka poczta biegła prędzej niż wolno ciągnąć orszak arcybiskupa Janisława, i do Malborka wcześniej niż do Krakowa dotarła wieść o ustanowieniu metropolity polskiego sędzią w sprawie o zabór Pomorza. Na skutek zabiegów Gerwarda także pozostałych sędziów zamianowano z Polski: biskupa poznańskiego Domarata i Mikołaja, opata Mogilna.

Zakon nie zwykł był liczyć się z prawem, niemniej targany wewnętrzną rozterką nie mógł lekceważyć sprawy. Ktokolwiek by ją prowadził, wyrok musiał zapaść na niekorzyść Zakonu, ale choć ustępować zwykł tylko przed siłą, jednak samo ujawnienie przez zaprzysiężonych świadków krzyżackich zbrodni przed całym chrześcijaństwem nie mogło być dla niego pomysłem. Natomiast jedno było pewne: że Łokietek w czasie trwania procesu nie użyje siły. Ten czas należało wykorzystać, a proces przeciagać zarzutami, nad którymi głowił się już kapelan Zakonu Zygfyd. Pierwszego dostarczyła nieprzezorność Kurii, która; chcąc okazać życzliwość Łokietkowi, zamianowała sędziami ludzi od niego zależnych, a zatem podejrzanej bezstronności.

Tymczasem landmistrz pruski Fryderyk von Wildenburg, który obaliwszy Wielkiego Mistrza, rządy sprawował w Zakonie, zawarł przymierze z Danią, gotując wraz z nią potężną wyprawę na Litwę. Podnieść chciał w ten sposób zawołanie Zakonu jakri obrońcy i przedniej straży chrześcijaństwa, pozbawie Łokietka sprzymierzeńca przeciw Brandenburczykonii

ująć w karby wojennej dyscypliny rozdwojone rycerstwo zakonne, a przychylnie usposobić zachodnie, któremu udział w wyprawie zapewniał zyski i zaszczyty. By zaś zapobiec skutkom ogołocenia Pomorza z sił, gdy i w zwykłym czasie pomorscy komturowie dość mieli kłopotu z ustaxwicznymi napaściami, postanowił zawrzeć przeciw Łokietkowi przymierze z Wacławem pomorskim i płockim Wacławem. Wyruszyły poselstwa z obietnicami i złotem. Zagrożenie Wielkiej Polski i Kujaw winno było unieruchomić zawziętego, przeciwnika.

Słotna jesień przysporzyła wody w Wiśle, a zrazu i Krzychowi zarobków, ale w miarę jak kurczył się dzień i rozmiękały drogi, kurczyć się i one zaczęły. Coraz częściej siadywał beczynnie w swej szopie nad brzegiem, gdzie tylko niewesołe myśli rozpraszały nudę jałowego bytowania.

Rok już minął od czasu, jak porzucił swoich, i ni*o czego nie zdziałał, by do nich powrócić. Nie miał też żadnych o nich wieści. Póki ruch był na rzece, nieraz widywał kupców z Krakowa, ale unikać ich musiał, łatwo bowiem mógł go kto poznać. Ani ich wypytywać, ani przez nich wieść przesłać. Zresztą o czym? Żyje z dnia na dzień i nie wie, co począć z sobą? Niedawno mówił mu Sagan, że czynią zaciąg na zamek, może na wyprawę przeciw Litwie, którą gotowali Krzyżacy. Krzych niechętnie i z wahaniem odważył się pójść na zamek. U Wacława istotnie bawiło poselstwo krzyżackie, ale nie było kogo rozpytać, co się gotuje: obca mowa, obce stroje i obce obyczaje. Przypadkowo w przejściu do katedry widział nawet samego księcia. Młody mąż, lat dwudziestu kilku, o niemiłej twarzy, wyglądem zdał się potwierdzać chciwość i okrucieństwo, o które go pomawiano. Krzych wymknął się chyłkiem, jak z zastawionej pułapki, i dalej nie wiedział, co pflgBJWiać. Niezbyt wierzył w to, co przypask

kietn i niejasno podsłuchał, by Wańko sprzymierzyć się miał z Zakonem przeciw Łokietkowi, na wypadek wojny bowiem znalazłby się otoczony przez stronników Włodzisława, książąt kujawskich, dobrzyńskich, =t nawet własnych braci przyrodnich. Ale starczyło to, by odeszła go ochota do służby u Wańki, a innego wyjścia nie widział.

Jednego wieczoru siedział jak zwykle w swej szopie i z niechęcią myślał, że zdałoby się ściany na zimę ogacić, gdyż niechybnie tutaj ją spędzić przyjdzie. Sagan, choć zycliwy, nie zachęcał go, by przeniósł się do niego czy w ogóle na płocką stronę. Uważał pewnikiem, że nadal ostrożność należy zachować. Tymczasem przez szpary w ścianach gwizdał wiatr wypędzając dym płonącego na palenisku ognia, a wpędzając wilgotny chłód ciągnący od wody, której znowu widno przybywało, bo przez szum deszczu słyhać już było chłupot piętzonej północnym wiatrem fali. Ku zimie szło, gdy Wisła stanie, nie będzie tu nic do czynienia. Ubiegłej zimy walczył o życie. Teraz zjadać będzie jeno zasoby, które zebrał przez lato.

Z ulgą oderwał się od tych myśli, gdy w odgłosy dochodzące z pola wmieszał się chłupot kopyt w kałużach. Ktoś zeskoczył z konia przed szopą i macał w poszukiwaniu zawory u drzwi. Krzych, biorąc bosak, otworzył i osłupiał myśląc, że wzrok go łudzi. We ■drzwiach stał Unik.

Pacholek bez słowa rzucił mu się do kolan, również głosu nie mogąc wydobyć. Wreszcie Krzych, by coś rzec, powiedział:

— Konia tu wprowadź, bo nie mam innej stajni dla niego, a na polu by się zmamił.

Unik wstał i rozejrzał się po szopie. Prócz trzech ■pieńków przy palenisku i tyłuż barłogów z wygnieczonego siana nie było żadnych sprzętów.

— Iście jako w stajni tu — powiedział.

Wyszedł na pole, wprowadził konia i roztrzepawszy mu w kącie zmierzwione siano, zdjął siodło i wyładować **jał** przywiązane do niego biesagi. Wyjął koła-

cze, wędzone mięso, ser i suszone owoce. Opróżniwszy jedną torbę, wskazał na drugą, mówiąc:

— Pani wam to posyła. Tu macie coś z przyrodziny i co trzeba.

— A oni mają czym się pożywić i w co przyodziać? — zapytał Krzych stłumionym głosem.

Tajała w nim gorycz opuszczenia i osamotnienia,¹ ale zarazem ogarniał go wstyd. Kundzia troszczy się o niego, miał by on się o nią zatroszczył. Krew uderzyła mu do twarzy, gdy Unik odparł:

— Póki żył pan Budziwoj, onże dbał o panią i dziecko jak o swoje. Dobry był człek, niech mu Bóg nagrodzi. Nawet majątności pani zapisał, bo waszą na klasztor wzięli. Jeno że księżę nie zatwierdzili, choć się nawet kasztelan Jaśko, ninie już wojewoda sandomierski, wstawiał.

— To pan koniuszy pomarł? — przerwał Krzych.

Serce ścisnęło mu się. Niesłusznie zelżył starego człeka, który mu tyle okazał przychylności. A teraz już nijak odrobić, jako i nic w życiu. Unik dostrzegł widocznie jego przygnębienie, ale jeno pogłębił *iffi* mówiąc:

— Nie trapie się. Nijakiej złości do was nie żywił i nie ze złości mnie ku Wam jechać nie zwolił, jeno by panią z dzieckiem było komu Odwieźć, gdy się ustalicie.

Krzych opuścił głowę. Koniuszy nie wierzył, by on mógł powrócić. Usiłując głos uczynić szorstkim, Powiedział:

— Czemużeś tedy przyjechał? Ja tu jako liść w jesieni, sam nie wiem, kiedy i dokąd mnie poniesie. Któżo o panią i dziecko dbać będzie?

— Wždy mieliśmy do księcia Wańka na służbę iść?

Gdy Krzych milczał, pacholek podjął*.

Przyjechałem, bo pani kazała. A pan koniuszy uprosił pana Radochę o opiekę, póki Ostróżka, z Braciszkiem nie wróca.

— To im księżę wybaczyli?

—i- Jeszcze" nie. Ale był Braciszek u pana Budziwo-

ja, by o opiekę nad sierotami po spalonych we Wrocławiu heretykach uprosić, i tak się ułożyli. W Krakowie się wszyscy koronacji pana wrychle spodziewają, przy której pono obyczaj jest wybaczać tym, co zawinili.

— A mnie? — cicho zapytał Krzych przybladłszy.

Gdy Unik nie odpowiadał, powtórzył gwałtownie:

— Mnie nie? Czemuż nie odpowiadasz?

— Wam by raniej kościelne wybaczenie uzyskać. Mówili pono księżę wojewodzie Jaškowi, że po dwa-kroć wybaczać nie zwykli ni że o was z biskupem Janem nie zadra, który na stolicę wrócił. Ale i mówił wojewoda pono, że księżę poty się z biskupem liczą, póki korony nie włożą na głowę, bo po staremu nie miłują się oni. Tedy jeśli się zasłużycie, a uładzicie z Kościołem, może by księżę i wybaczyli, chociaż zawzięci są na was.

— Jakoże mi się zasłużyć — odparł Krzych gorzko — skoro ani mi się pokazać w Łokietkowym państwie.

— Nie wiem — odparł Unik w zamyśleniu. — Jeno wiem, że pono Radocha też był ściiganym wywolańcem, a ninie w łaskach u księżęcia. Na gródku se siedzi niczym kasztelan i, jak ongi z wami, społem z panem Henrykiem z Rynarzewa, co ninie starostą jest w Nakle, srodze Krzyżakom dokuczają. I nic mu, choć się rycerstwo na niego żaliło, że nie jeno wbrew prawu chłopom broń posiadać zwala, ale jeszcze ich do niej przyucza. Słysząc nawet, iż za złe to mają księżęciu, że gdy mu kto potrzebny, przez palce nawykł patrzeć.

Krzych zamyślił się, a Unik rozglądał się po szopie. Po chwili zapytał:

— A wasz oręż i zbroja gdzie?

— Wždy ich tu trzymać nie mogę, ssoro jeno na noc przychodzę. Na płockim brzegu u starego Sagana jest, który przewóz dzierżawi.

— Nie lepiej to mieć przy sobie? Znowu się rzemienie pozsychają jak wówczas, gdyście do Krakowa

jechali. Kto może wiedzieć, kiedy będzie potrzebna? Skórom ninie tu jest, i pozór będzie dać komu, i wyczyściłbym, rzemienie wysmarował, a miecz poostrzył.

— Kiedy tam będą potrzebne — rzucił Krzych z westchnieniem. — Ale chcesz, jutro mązem odebrać. A ninie spać idź, widzę, żeś zdrony.

— Prawdę rzec, zda się spocząć. Ciężka droga i daleka.

Ukląkł jednak i długo modlił się. Krzych Siedział przy ognisku i patrzył na pacholka omal z zazdrością. Niczego nie chce, jeno służyć i słuchać jak pies, wyrzekając się samego siebie. Nie wiedział, za'CO'Unik przywiązał się do niego. Bez wahań, w zgodzie z sobą wiąże swój los z losem wywołańca i przekleństwa. On sam ongiś tak chciał służyć Łokietkowi, gdy triu ?ię zdało, że dla siebie, niczego już nie czeka. Gdy księżę go odsunął, stanął przed pustką. A potem tak powiślał swe życie, że dziś, gdy chciałby służyć, nić wte jak. Darmo rozmyślał, aż siedząc usnął znużony.'

Zbudził się wcześniej i wrócił myślą do hieźai*ego! dnia. Skoro zdaje się, na ,los, winien być. w każdej chwili gotów na wszystko, choćby i na to, że poznać może i zmuszony uchodzić bez zwłoki. Unik n^a słuszność, że zbroję należy mieć przy sobie, Zebrał się i przepawił do Płocką.

Sagana zastał na wychodnym. Wzywano go na zamek. Gdy mu opowiedział, co zaszło i po co przyjechał, stary rzekł:

— Czyńcie, co wam się zda. Jeno pomnijcie, że ludzie mają Oczy. Co pomyślą o najemniku, który pacholka ma, zbroję i konia? Zajdźcie wieczdremi td pogadamy — zakończył i wyszedł.

Po namyśle Krzych jednak zabrał zbroję i resztę swych rzeczy. Nie zaszkodzi, jeśli je Unik doprowadzi dQ ładu. Lepiej jednak umieścić go wraz z łójttiem w karczmie przy gostyńskim gościńcu, teraz niemal

nie uczęszczanej, gdzie kilkudniowy pobyt podróżnego nie zwróci niczyjej uwagi. I tak trzeba znaleźć jakieś pomieszczenie na wypadek, gdyby im tu zimować przyszło. Sagan coś doradzi.

Krótki dzień przesiedział Krzych w karczmie wraz z Unikiem, rozpytując go o wszystko. Kundzia wraz z córeczką i sierotą po heretykach zamieszkała jak ongi w ojcowej chacie. Życ mają z czego, choć ksiązę nie zatwierdził Budziwojowego zapisu. Radocha jednak przysłał cały wóz wszelkiego dobra i zapewnienie, że o sierotach będzie pamiętał. Sam obiecał przyjechać na Łokietkową koronację, której się wszyscy wrychle spodziewają.

Unik mówił o tym, jakby rzecz była zwyczajna, nie ; widząc, że Krzych aż się skręca na wieść, że jego żona i dziecko żyją z łaski obcego człowieka. Gdybyż całkiem obcego, ale dawnego zalotnika, którego Kundzia odrzuciła dla Krzycha! Co o tym muszą myśleć oboje? A on ani nie może, ani nie ma prawa odmówić przyjęcia łaski od Rad ochy, który jego samego nawet widzieć nie chciał. Uczucie upokorzenia i bezradności przechodziło w zniecierpliwienie tak wielkie, że Krzych tracił sąd i panowanie nad sobą. Cokolwiek przedsięwziąć, byle zaraz. Nie doczekał wieczora i pojechał do Sagana. Może doświadczony i życzliwy człowiek coś mu doradzi. Cokolwiek, byle nie dalszą cierpliwość, którą wyczerpał już zupełnie.

Choć było wczesne popołudnie, krótki dzień mroczniał, bo nad rzeką wstawała mgła, tak że przeciwległego brzegu już widać nie było, a gęstniała z każdą chwilą. Z północy szedł mroźny powiew i woda dygotała, nasycając powietrze wełnistymi, niemal dotykalnymi kłaczkami mgły. Nim dobił do brzegu, widoczność zmalała do kilku kroków. Choć dzień był jeszcze, do przewozu nie czekał nikt, niezbyt bezpiecznego wobec mgły i przybierającej w oczach fali. Ruchu też na przystani nie było żadnego.

Sagana zastał już w domu. Stary powitał go słowami:

— Dobrze, że już jesteście, choć z gadania nic. Zajdźcie do mnie jutro rankiem, a dzisiaj jeszcze raz przeprawić trzeba, póki choć co widać.

Zauważył, że Krzych zachnął się niecierpliwie, bo dorzucił:

— Na gadanie zawsze czas, a taki przewóz nie co dzień się trafia.

— Nie można z nim do rana poczekać? - burknął Krzych niechętnie. — Dziś ciężko będzie.

— Widno nie można — odparł Sagan. — A że ciężko, wiadomo, skoro taki sknera jak Wańco dwie grzywny zapłacić przyrzekł." Jeno właśnie 0 zmroku przewieźć kazał i podróżni nawet nie na przystani czekać mają, jeno w górze, poniżej kępy. Pieniądz zasię przyda się każdemu, a myślałem, że wam już najbardziej. Ale nie chcecie wy, to ja przewiozę, jeno już dziś nie wrócę i tak czy siak z gadania nic.

— Tedy razem jedźmy — odparł Krzych. -*. W karczmie przenocujemy, gdzie i pacholek mój ostał. A we dwóch lżej będzie.

— Juści że lżej, ino że promu nie upchamy t^ł kawał pod górę, bo fala duża. Na barce zasię miejsca nie starczy, bo czterech ludzi z końmi przewieźć mamy, tedy jeno dla jednego przewoźnika miejsca tyle, co przy sterze.

— Nie może przewieźć który z Waszych czeladników? — zapytał Krzych z uporem.

Podniecony był i nierad odkładać rozmowę do jutra. Sagan jednak odparł:

Nie może. Sami rozumiecie, że nie za sam przewóz książę płaci, jeno by milczeń. Za was poręczyłem, bo się wam może i inak przysługa opłaci, a za tych opojów nie poręcę. Zresztą i pewnie piją już, nie w taką porą przeprawiać, gdy się ma w głowie. Tedy jak chcecie.

— Pojadę — mruknął Krzych. Wolał gadać z Unikiem, niż samotnie czekać na Sagana cały długi wieczór i noc. Czuł, że nie uśnie, a dość już miał bezsensownych rozmyślań.

— Tedy pójdźmy — powiedział Sagan. — Pomogę wam choć podepchać barkę, byście rąk nie zmordowali, bo przy przeprawie potrzebniejsze.

Wzięli bosaki i wyszli w szary mrok. Gdyby nie majaczące tu i ówdzie jak błędny ognik światełko, niezdolne przebić się przez jeszcze gęstniejący tuman, zdać się mogło, że przystań zniknęła przez jakoweś czary. Omal nie przeoczyli ostatniego południowego pomostu, przy którym przycumowana była barka. Odwiązali ją i mozolnie pchać ją pod prąd.

— Wolej w najciemniejszą noc przeprować niż w taką porę. Woda zawsze jaśniejsza, a brzegi ciemniejsze, tedy i wyznać się można. A we mgle wszystko jednakie. W ręku oczy mieć trzeba — mruczał Sagan. — Uważajcie, by was poniżej Radziwia nie zniosło, bo tam sterczą pniaki czarnych dębów, co je woda wymyła. Gorzej, bo może już i przykryła, tedy żadną miarą nie uwidzi. Wjechać na nie, wywróci bez ochyby, a jamy tam są. Źle się kąpać w takiej noc — zachichotał — a jeszcze prąd od brzegu znosi.

— Znam rzekę — odmruknął Krzych.

— Ważne ci to jakoweś poselstwo, a widno noc chcą mieć za sobą. Zdałoby się wiedzieć, z czym jadą i do kogo. Może co pomiarkujecie, jeno schowajcie dla siebie. Przydać się może.

Dłuższy czas pracowali w milczeniu, gdy wreszcie nad brzegiem zamajaczyły jakieś ciemniejsze zarysy, a po chwili doszły ich przytłumione przez mgłę głosy.

— Niemce! — mruknął Krzych.

Gdy jednak łódź zatrzymała się przy brzegu, jakiś głos powiedział po polsku:

— Wyłóżcie pomost.

Niełatwa była sprawa w zupełnej niemal ciemności wprowadzić na barkę boczące się konie. Z pierwszą parą, łbami do przodu, poszło jako tako. Drugą trzeba było wprowadzić tyłem i ledwo obeszło się bez wypadku. Konie stały zadami ku sobie, a jeźdźcy trzymali je przy pyskach. Gdy się uspokoiły, Krzych

zajął miejsce przy sterze, a Sagan zepchnął barki; m. wodę, mówiąc:

— Pomnijcie lądować powyżej Radziwia, choćbyście na mieliźnie utknąć mieli. Lepiej nogi zmoczyć, niżli...

Głos Sagana wsiąknął, a postać roztopiła się we. ngle, ledwo odbili od brzegu.

Krzych prawdę mówił, że zna rzekę. Z siły napie-,, ającej na burtę i przelewającej się przez ster fali markował każdej chwili kierunek i miejsce, w któ- rym się znajduje. Gdy poczuł, że są już na głównyrr lurcie, pofolgował sterem. Wolał jednak raczej spi- yłąć niżej, niż ustawić łódź w poprzek prądu, który tak niesie barkę ku brzegowi, a mocno obciążona atwo mogła nabrać wody. Łódź pomknęła szybko, izum wody ustał i wówczas Krzych usłyszał rozmowę dojących tuż nad nim rycerzy. Mówili po nieAiiecJSBi zapewne sądząc, że przewoźnik nie rozumie.

— Henryka i Przemka nie bardzo i prosić będzie ;rzeba, by Wielką Polskę podzielili z waszym mar^i grałem.

— Chęci im nie braknie, jeno raz już próbowali i chybiło im.

— Lepszej pory nie najdą niż ninie. Dania i po* morscy książęta, co wam ręce wiązali, z naiJii teraz W przymierzu. Łokiet zaś ruszyć się z Krakowa nie może. Karol Robert Beatę Luksemburską pojął, tedy poprze Jana w roszczeniach o Polskę. O węgierskie napaści graniczne Łokiet nawet przed Kurią się zalił.

Dziwnie martwo zabrzmiał we mgle śmiech mó- wiącego. Krzychowi krew uderzyła do głowy. Czy; dziw, że książę na niego zawzięty? Choć o tyra nie myślał, pomagał wrogom. A ninie co czyni? To samo, tym razem za pieniądze. Prawdę mówił Pizło: kto słu- ży, musi słuchać.

Krzych zaciskał zęby. Rycerz ani chybi zakonny jest, cłjóc oznak nie ma na sobie. A poselstwo do Głogowa jedzie, nocą zaś dlatego; by o ćmie przejjsć kujawską granicę, której Sam ongiś pilnował.

Jakby potwierdzając myśli Krzycha, Krzyżak ciągnął:

— Nim rozednieje, miniemy Łęczycę. Tam już najdziem pomoc i osłonę.

— Dobrze, że mgła, bo wcześniej można było wyjechać.

Zaśmiał się znowu i dodał:

— Ludzi nam nie bruk, gdzie trzeba. Ba! W samej Radzie tego książątka, co mu się korony zachciewa. Gdy od Wielkiej Polski odpadnie, słomianą sobie może nałożyć.

Krzych siedział jak uderzony w ciemność. Zdrada wszędzie, i on zdrajca. Zanim pomyślał, co czyni, ręka jakby sarna z całej siły ściągnęła ster na lewą burłę. Łódź gwałtownym ruchem stanęła w poprzek prądu, ludzi i konie rzuciło na prawą. Rozpoczęty krzyk urwał się w martwej ciszy, jaka panowała pod wodą.

Krzych zanurkował głębiej, by nie dostać się w kłębowisko tonących ludzi i koni. Pod wodą jaśniej było. Szeroko otworzył oczy i płynął pod prąd. Gdy poczuł, że oddech mu się kończy, wynurzył się na powierzchnię. Słyszał jeno własny przyspieszony oddech. Dokoła cisza była i szara nicość. Wiedział, że prąd niesie go ku brzegowi, ale czuł, że drętwią mu; członki w przeraźliwym zimnie, a w namokłych szatach każdy ruch stanowił wysiłek. Nie miał nadziei,; że dopłynie do brzegu, i ogarnęło go przerażenie. Po dwakroć chciał życie zakończyć w wodzie. Teraz wal-*czył z nią rozpaczliwie.

Już miał się poddać, gdy w mrocznej pustce zamajaczył przed nim jakiś ciemniejszy kształt. Ostatnim wysiłkiem rzucił ramionami i uchwycił grzywę konia. I jemu udało się wyplatać z kłębowiska, płynął stę4kając do brzegu.

Krzych nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwało zanim koń uchwycił grunt i jął się wynurzać z Wody Długo jednak stali na brzegu, drząc z zimna i Wysiłku zanim Krzych zdołał wygramolić się na siodło. JRózejrzał się i ruszył ku karczmie.

Teraz dopiero pomyślał, co uczynił, i w uszach zabrzmiały mu słowa Sagana: „kogo do przewozu weźmiesz, jakbyś gościa w dom przyjął”. Niczemu nit-^{za} pobiegł, tyle że opóźnił knowania, a znowu zaw^ocił zaufanie życzliwego człowieka. Sam uchodzić n^osi, a może i Sagana naraził.

Ale nie było czasu na rozmyślania. Nie wypoczy^{ne}k go czeka w ciepłe, lecz jazda w zimną i ciemną^{noc}. Jeno dokąd?

Wyrwany ze snu karczmarz patrzył z podejrzliwym zaciekawieniem na ociekającego wodą Krzycha. Próbował zagadywać, ale Krzych zbył go szorstko, wie-^ocz-erzę kazał przygotować i zbudzić Unika. Prz^obrał-^owilgotne szaty i pożywiał się napędce. Pacholek, ^oiQ dopytując się o nic, gotował się do drogi. Sam prze-^otarł mokrego konia, podłożył pod siodło suchą der^o« -bj! go nie odparzyć, i czekał na Krzycha.

Karczmarz coraz podejrzliwiej patrzył, jak człowiek, którego zwykł uważać za najemnego pr^oowc^oika, przypasuje miecz. Widać w nim było wahfinie./ czy nie próbować go zatrzymać. Krzych jednak, skończywszy jeść, rzucił na stół garść srebra i powiedział?

— Sagan pewnikiem pytać będzie o mnie. Sam zrozumie, dlaczego musiałem wyjechać. Niech wyka-^oczy.

Ruszył ku drzwiom. Karczmarz usunął się ostrożnie. Nie miał już wątpliwości, że uchodzi mu przestępca. Ale wyraz twarzy Krzycha przestrzegał, że lc?piej udawać, iż się nie domyśla. Odetchnął, gdy glosy kopyt umilkły i zapanowała głucha cisza,

Nad ranem wziął przymrozek i mgła jęła opadać sadzią. Potem zabłysło słońce i świat wyiskrzył się.

Sagan obudził się przed świtem i czekał na Krzycha, z każdą chwilą bardziej o niego niespokojny. Wieczorem naglił o rozmowę, a teraz nie przybywa.

Gdy dzień już się uczynił, nie mógł dwsiezieć

i przepawił się za Wisłę. Tknęło go, gdy barki nie zobaczył na brzegu. Zaglądnął do opustoszałej szopy i ruszył ku karczmie. Gdy gospodarz opowiedział mu, co zaszło, i powtórzył zlecenie Krzycha, Sagan nie odrzekł nic, wrócił do łodzi i przepawił się z powrotem.

Żona czekała już na niego ze śniadaniem, uprzedzona, że spodziewa się gościa. Sagan wskazał jej miejsce naprzeciw siebie i powiedział:

— Pożywajmy. Pośledni raz pod tym dachem.

Widząc jej zaskoczone i spłoszone spojrzenie, dodał:

— Człek, za któregoś poręczył, utopił poselstwo. Nie czekać nam, aż się książę dowiedzą. Wańko srogi jest i nie przepuści. Tedy zbierać się nam, i to, bez zwłoki.

Widząc łzy w oczach żony, zakończył;

— Są takowi ludzie, którym nigdzie miejsca zagrać. I on, i my. Nie pomoże ni płakać, ni kląć.

Od czasu, gdy Henryk z Rynarzewa objął urzędy gnieźnieńskiego kasztelana i nakielskiego starosty* Radochą rzadko go widywał. W Radoszynie Henryk nie był ni razu, gdy zaś Radocha zjechał do Nakła, jeśli nawet zastał go, starosta zajęty był sprawami, i nijak było zmówić się z nim czy zbawić. Nie widywali się na osobności, a gdy gadał z Radochą, roztargniony bywał i jakby sztywniejszy. Radocha zarazem dziwił się, że lekki z pozoru człowiek z miejsca nałamać się potrafił do nowych obowiązków, i lękał się, że znowu stracił towarzysza* z którym dobrze się wojowało, a jeszcze lepiej piło. Że zaś drażliwy był, przestał jeździć do Nakła, mniemjający że dostojęństwa zawróciły w głowie Henrykowi.

Choćby zresztą chciał, nie mógł wyjechać, bo Pizło znowu był w oHjazdach, W których dotrzeć miał aż za Wisłę, by przepatrzeć, gdzie Krzyżacy najmniej

spodziewają się napaści, i przygotować większą niż zazwyczaj wyprawę w zakonne ziemie. Radocha zaś na gródku ćwiczył zaeieżnych i gotował oręż i zapasy nie miał przeto czasu nie tylko na wyjazd, ale nawet na rozmyślenia. Gdy jednak dni stawały się coraz krótsze, a północne wichry niosły zimne słołty niezradko już ze śniegowymi płatami, życie na grodku i skurczyło się, i przygasło, a wieczory samotne wlec się zdały Radosze w nieskończoność.

Nie cierpiał samotności, a tak mu się życie składa że jeno twarda praca i samotne dumania o tyrm, co minęło. Myślą znowu wracał do Kundzi i Krzycha. Choć cięty na niego — nie mógł się pozbyć przywiązania do dawnego towarzysza, któremu po części wyniesienie swe zawdzięczał, ni wyrzutów, że nie bez jego przyczyny Krzych własny i Kundzi **los** zaprzedał. Gdy się dowiedział, że poszedł w służbę do Wańka, zrazu miał mu to za złe, teraz jednak rozmyślając dochodził do przekonania, że nie miał innej drogi. Jeśli żonę z dzieckiem chciał ściągnąć do siebie i los ich zabezpieczyć. Gryźć też zaczynało Radochę, że pogębionemu człowiekowi plecy pokazał, i rad by mu dał poznać, że nie żywi do niego urazy ani za złe nie ma postępku. Rad by nawet pomóc mu, wiedząc od Pizły że Krzych żyje w niedostatku, ale wiedział, że nie ma sposobu. Twardy ma kark i niczego nie przyjmie.

Zgryzota Radochy przechodziła w złość na Pizłę. Jemu szczędzi słów, a Krzychowi musiał rzec, że Sadocha z nim gadać ni widzieć się nie chce. Żeby choć wrócił! Radocha mógłby na **nim** złość **swą** wyładować, a tak — jeno wąs targać i kłąć.

■ — Wilcze ścierwo — mrucał -r- gdzie się to włóczy! Osławi człeka samego i ani do kogo pysk rozewrzeć.

Gorzkniał i czuł, że się starzeje. Za młodu ani ° to dbał, co tam kto czuje do niego. Ninie o niego nie dba nikt, każdy ma coś swego i niepotrzebny ^{m^}. Radocha. A nawet Pizło, który nie ma nic, nie Pokazał mu to pleców?! Bogdaj go wilcy ogryźli!

Pomiarkował się i splunął od uroku. Wilków nie brak, Pizło pojechał samowtór, a ku zimie już szło. Gorzej, że za jego skórę, choć dziobatą, wysoką cenę Krzyżacy wyznaczili. Nuż go gdzieś pojмали! Na myśl o tym Radocha zerwał się i zaczął zbierać do drogi.

Zwlekło się jednak znowu, bo ulewy nadeszły\ takie, że żal było koni marnie. Jednego ranka jednak, po całonocnej wichurze, wcześniej niż zwykle pojaśniało w komorze i gdy Radocha rozwarł okiennice, świat był biały. Pierwsza ponowa.

Teraz już postanowił wyjechać. Zarządził co trzeba na czas swej nieobecności, konie dla siebie i dwóch pocztowych kazał owsem obroczyć i zamierzał wyjechać przed świtem następnego dnia, gdy bez zapowiedzi przed wieczorem nadjechał Henryk.

Radocha odetchnął nieco, gdy się przy miodzie rozgadali. Kasztelan klął swoje dostojenstwa. Ani się zabawić, ani za dziewczką obejrzyć. Chyba już żonę wziąć przyjdzie. Był tak widocznie i szczerze strapiiony samą tą myślą, że Radocha roześmiał się, choć nie do śmiechu mu było.

— Bogdaj was! Już ja bym to nieszczęście wziął na siebie. Większego nie znacie?

— Wierę! Cudzą żonę to i ja bym wziął.

— Ja bym i własną wziął — odparł Radocha nieco markotnie, ale Henryk widno nie zauważył tego, bo powiedział z drwiną:

— Ale radziej cudzą, choćby oną Kundzię. **Zresztą** i nie dziwota, bo wam już będzie z pół **wieka.**, **Ale** mnie, w kwiecie lat?...

Radocha zrazu nastroszył się, ale pomyślał, że szkoda się gniewać na wietrznika, odgryzł się jeno:

— I wam już chyba z pół kopy, a żeście się **nie** żalowali, coś ci i dla małżonki osławić trzeba, by **nie** musiała szukać po ludziach.

Henryk jeno się zaśmiał:

— Lata jak włosy — wtedy nczyc, Kieay len **maio** ostanie. Pradziad mój, takóž Henryk, kopę **miał** z do-

brym okładem, kiedy się zenił, a i to trzech synów spłodził i dziewczkę.

Radocha pomyślał z ulgą, że tedy i jemu może jeszcze czas byłby, zapytał jednak przezornie:

— Ale się chyba szczenił, nie tak jako wy?

— On? Prawili, że w Nakle co drugie dziecko jego, a reszta nie wiadomo czyje. Co prawda Nakło Won* czas niewielką osadą było...

' Radocha znowu parsknął śmiechem:

— Tedy nie brak wam w Nakle krewniaków,

— A nie brak. Ale to dalekie krewieństwo, tedy o kazirodztwo obawy nie ma, w czym mnie jeden wielce światły kanonik upewnił, jako i w tym, że bez świadomości krewieństwa grzechu tego nie można popełnić.

Teraz kasztelan zaśmiał się, ale Radocha mu nie zawtórował. To, co Henryk mówił, przywiodło mu na myśl sprawę Krzycha z Hanną. Gdyby Jaśko Leliwa o pochodzenie Krzycha nie dowiadywał się, iluż nie-szczęście uniknęliby i oni, i wszyscy, których z nimi los związał. Nawet i Radochy los może by się inaczej potoczył. Mruknął:

— Po cóż tedy krewniactwa dochodzić, gdy i tak niepewne? Z pychy jeno, by się nad drugich wynosić.

— Prawiście. Ja się też nie wynoszę ani nie dochódzę, byle niewiasta przymilna była i urodna. Wojewodzianka zali chłopka, zajedno mi.

— A wy zawždy o swoim, ja zaśię myślałem o rycerzu Krzychu.

— Jest o kim myśleć — odparł kasztelan lekceważąco i rozsiadłszy się wygodniej, przypił do Radochy mówiąc:

— Wy też radziej o dziewczkach pomyślcie niż o nim, Żeby tu jakie były, częściej bym do was zjeżdżał.

— Ale nie ma, tedy i myśleć szkoda, a ruszyć się nie mogę, póki Pizło nie wróci.

— Co tam o Pizłę! Właśniem po was przyjechał, bo się sposobność trafia zabawić się jak ongi. Licho mnie skusiło, żem się onych godności napał! Jesfće kaszte-

lana — nie mówię, bo taki u nas w rodzie obyczaj, i roboty niewiele, gdy kaszteiaństwo na psy zeszło. Ale z onym starostwem — nic, jeno sądy i rządy, jeździć trzeba z orszakiem dla dostojenstwa, każdy na człeka patrzy, ani się gdzie za dziewczkami obejrzeć. W tłumie zasię zgubić się łatwo.

Widząc pytające spojrzenie Radochy, dodał:

— Do Krakowa jadę, na koronację. Książę dostojników na wiec zwołują po Godach, a pewnie i wkrótce potem uroczystość, na której i rycerstwu być przystoi, by panu życzliwość okazać. A że was książę po licu znają, tedy myślę, że społem pojedziem.

Radochę ożywiła ta myśl, ale poskrobał się po łbie:

— Z duszy rad bym. Ale póki Pizło nie wróci, ani mi się ruszyć.

— Dokąd zaś pojechał? — zapytał Henryk.

— Przepatrzeć i uprzedzić kogo trzeba, bo wyprawę gotujem w zakonne ziemie, ino Wisła stanie. Mnie małem, że i wy się nakłonić dacie.

— Aniby mnie nakłaniać nie trzeba — odparł Henryk — bo dość mi wszelakiego uradzania i rad bym się przewietrzył. Ale z wyprawy nic. Czasu koronacji spokój potrzebny, gdy co żywie ściągnie do Krakowa. Potem zasię sąd papieski ma być nad Zakonem W Inowrocławiu. Jeno by wodę na ich młyn puścił, teraz ich napastując. Jedziem tedy do Krakowa?

— Jedziem. Jeno ktoś ci i na gródku ostać musi, i Pizle rzec trzeba, jak sprawy stoją. Właśnem się po niego wybierał, bo już winien być, a kędyś się jucha zawieruszył. Czy mu się aby co nie przywodziło?

— Ninie i Krzyżacy cicho siedzieć będą, tedy i o gródek, i o Pizłę możecie być spokojni. Słoty go pewnikiem gdzieś wstrzymały, ale ninie mróz chwycił, tedy ino go patrzeć.

Henryk miał słuszość, bo **gdy** zarwawszy dobrą część nocy na gawędzie i popijaniu późnym rankiem zeszlisi się na polewkę, zastali **Pizłę** przy stole. Jak z konia zsiadł, tak pożywił się.

Radocha odetchnął z ulgą. Pizło, zapytany, gdzie bywał, mruknął:

— Rycerz Krzych siedzi na swym gródku nad Tonczyną.

Radocha plasnął w dłonie:

•— To cisnął służbę u Wańka?! Gadałeś z nim? Jakoże myślisz tu osiedzieć i co działać?

— Ja gadałem. Jenon ze mną nie gadał — odparł Pizło, biorąc się do mięsiwa.

— Tedy gadajże i teraz — sarknął Radocha po* pędliwie. — Nic ci nie rzekł? Sam siedzi, zali z groma* da? Przestań żreć! — fuknął, gdy Pizło pełną gębą coś odpowiedział. ■— I bez lego zawżriy gadasz, jak*byś się dławił.

— Właśnie. Pojem, to będę gadał.

Radocha skręcał się z niecierpliwości, a Pizło pozywiał się, widno wygłodniały. Potem obtarł rzadkiego węża i zaczął:

— Z jednym pachółkiem jenon siedzi. Żreć nie nWt ją co.

— Trza go było tu ściągnąć. Cóżes mu rzekł?

— Rzekłem mu, by na gródku nie siedział, bo go Krzyżaki na oku mają raz już się sparzywszy. Chceli zaś z nimi wojować, niechaj ku nam się przymknie, bo właśnie wyprawę golujem.

Pizło nalał sobie w kubek i wypił, a Radocha zapytał ze złością:

: — Gadajże, co odrzekł?

— Powtórzył mi to, eom ja mu rzekł: bez jednego rycerza wojna będzie.

— Tedy może iście nie z nimi wojować zamierza — wtrącił Pałuk. — Zresztą ninie żadnej wojny nie będzie.

Radocha jednak riie słuchał, co mówi Henryk, bo dopytywał:

— Skąd tedy wiesz, że wojować chce z Krzyżakami?, Mówił ci?

- Tyle mi rzekł, bym się zabierał, bo mnie Toruńskiemu komturowi przeda.

— Cóż mu do łba wlało? — mruknął Radocha,
zaś Henryk rzekł:

— Widno się u Wańki nie zaczepił, co i niedziwne,
bo się ksiązę ze swym biskupem liczyć musi, a i ten
kłątwy głosić kazał. Te kruki, choć się między sobą
dziobią, ale przeciwko innym trzymają. Tedy co mu
ostało? U Krzyżaków każdy zbrodzień* przytułek naj-
dzie, byle tęgi był. Ot, na co zeszło głupcowi.

— Nie — mruknął Pizlo. — Uchodźć musiał
z Płocka, bo krzyżackie poselstwo na przeprawie
utopił.

Henryk zaśmiał się, a Radocha plasnął w dłonie:

— Skąd wiesz? On ci rzekł?

— Wždy mówię, że mnie wygnał. Stary Sagan mi
powiedział, pomnisz — ten, co onego czasu na rzece
zbijał.

— Juści pomnę, bo głośno było o nim. Gdzieżeś
go naszedł?

— Na kępie wiślanej się przytulił, bo takoz z Płoc-
ka uchodźć musiał. Onże rycerza Krzycha przytulił
i za niego porękę dał. Tedy gdy Krzych poselstwo uto-
pił, lękał się, by Wańko na nim pomsty nie szukał.

¹ Henryk zaśmiał się znowu:

— Szczęśliwą rękę ma Krzych do lud¹i. Takiemu
jeno pomagaj! Jeno nie taki głupi, jak myślałem. ¹

— Tedy nie pojąć, dlaczego rzekł, że cię komturo-¹
wi przeda — wtrącił Radocha.

— Bom ja mu rzekł, gdym mu zbroję odwoził, że
nie przenocuję u niego, bo wydać mnie gotów.

Radocha aż się skrecił:

— Po cóżeś, ścierwo, takowe rzeczy prawil! Wiaddi
mo, Krzych w żalu czy w złości na wszystko gotowy
ale by takową rzecz z rozmysłu uczynił, ani do nieg
podobne. Pojadę do niego Za ciebie oczyma świecić
bo jeszcze pomyśleć gotów, że takowe mam o nim
mniemanie.

— Po cc pojedziecie? — wtrącił Henryk. — Ja bym
radził poniechać go, bo takiemu nijak pomóc. Mało
kto wydoli tak samego siebie w kozi róg zapędzić jaką;

Hi. Wsparcia nie przyjmie, a przytulić go nie możecie, księżęciu i Kościołowi się nie narażając.

Ale Radocha, roztrzęsiony, ani słuchać nie chciał. Zbierać się jął do drogi, co widząc Henryk wzruszył ramionami:

— Róbcie, co chcecie. Za niedzielę wyruszam do Krakowa, zdążycie, to zjeżdżajcie do Nakła, nie — to sam pojedę.

Radocha pomiarkował i sprawiać się jął przed Henrykiem, że dlatego zaraz wyjeżdża, by na czas $\$dftzy<5$ z powrotem. Henryk jeno ręką machnął:

— Nie w gościnę zjechałem, a czasu takż > nie¹ mam. Chcecie zaś darmo kości tłuc, to zaraz, bo czekać nie będę.

— Pośpieję — odparł Radocha — mróz przychwycił, tedy szparko pojedziemy.

— Ty ostrożnie jedź, bo kto cię wtóry raz obetnie z powroza... A wieści mam, że Krzyżaki gródka W po-f koju nie ostawia. Krzycha przestrzeż od siebie, skoro mnie słuchać nie chciał. Chce zaś w paści siedzieć, jego wola — zakończył Pizło.

Za parę chwil Henryk z Radocha żegnali się przy bramie i pociągnęli w przeciwne strony. <

Radocha zrazu gnał konie, nie myśląc, co rzeknie Krzychowi. Zły był na Pizłę, że zelżył zaszcutego czleka. Teraz Krzych z samej zaciętości gotów rady nie posłuchać. A prawdę rzekł Henryk, że pomoc inu nie ma sposobu, tedy i po co jechać?

Powściągnął konia i zadumał się nad położeniem Krzycha. I w tym Henryk był praw, że chyba u Krzyżaków mógłby się przechować. Jeżeli nie wiedzą, że to on utopił poselstwo. Ale pewnikiem wiedzą, bo Wańko donieść im musiał, co się stało, Krzych zajś znaczny jest. Tedy miejsce dla niego chyba pod ziemią. Radocha splunął od uroku. Mimo tych rozważań jechał dalej. Jeśli nie dla Krzycha, to dla Kundzi winien uczynić, co się da, skoro przyrzekł Budziwó* jowi opiekę nad nią.

Krótki dzień grudniowy skończył się, Radocha je*

chał jednak aż do zachodu księżyca. Noc spędził dumając w lesie przy ognisku. Czuł, że — mimo wszelkich uraz i żalów — los dawnego towarzysza nie jest mu obojętny, ale darmo się głowił, aż — usnął. Przed świtem zbudził go przybierający mróz. Trącił pachółka i ruszyli. Wypogodziło się; konie szły szparko po zmarzniętym podłożu. W miarę jednak jak zbliżali się do Wisły, Radocha jechał coraz ostrożniej, pomny przestrogi Pizły. Gdy pod wieczór skręcił na południe i zbliżać się jał do gródka, zsiadł z konia i wiodąc go za sobą, patrzył na ślady. Wstawało w nim niemile wspomnienie ostatniego tutaj pobytu i jakby go coś wstrzymywało. Uparty jednak był i choć mówił sobie, że na nic to, ciągnął dalej.

Nagle stanął i zjeżył się jak wilk. Świat różowiał już od zorzy zachodu, przez rzednące pnie skośne promienie uwydatniały każdy szczegół. Błękitnymi plamami znaczyły się na niedawno spadłym śniegu liczne zagłębienia: ślady idącej w rozsypce gromady ludzi. Wszystkie zmierzały do odległego już jeno o kilka sfcajań gródka.

Radocha długo stal w napięciu, patrzył, słuchał i węszył. Cisza była, żadnego ruchu, jeno popiskiwały gdzieś sennie sikorki. Pociągnął nosem. Lekki powiew od rzeczki przyniósł niepewną woń spalenizny, ale **nie** był to zapach dymu.

Radocha wręczył wodze konia pachółkowi i wskazując mu ręką, by zaczekał, ruszył od pnia do pnia. Las kończył się. Już winien był widzieć gródek, ak nie widział nic. Gdy dotarł do brodu, stanął i patrzył. Na śnieżnym całunie widniała wielka, czarna plama pogorzeliśka, z której sterczały jeno osmolone kominy. Słońce kładło na nich swe różowe promienie,

Radocha gwizdnął na pachółka, a gdy ten dociągnął, dosiadł konia i przepawili się. Objechał wkoło pogorzeliśko, potem zsiadł i jał grzebać w stertach zwęglonych belek. Pod nimi tało się jeszcze ciepło ale nic więcej. Dokoła obejścia śnieg stopniał od żaru a potem mróz ściał kałuże, **zacierając ślady. Jeno za**

pnem samotnie stojącego na podwórku drzewa przysiadło się nieco śniegu. Widniały na nim odciski wielkich stóp kogoś, kto plecyma opierał się o pień. Zmarznięte błoto dookoła było niemal czarne, na śniegu jednak bryzgi krwi zachowały swą barwę.

Radocha długo stał w zadumie. Potem wyciąg^{11^} zza pasa nóż, na korze pnia wyciął krzyż. Zdjął c^{za}PC> przeżegnał się i dosiadłszy konia, odjechał.

W jesienną szarogę, po przepadlistych, rozmielwya drogach gońcy biskupa Gerwarda Leszczyca dobili d° Krakowa. Wieść musiała być pilna, a zapewne i P°ni myślna, bo choć wyczerpani daleką podróżą z AW^io-*nu, nie zastawszy pana w Krakowie, wymienili jeno zmarnowane konie i sami pognali za nim do Kalisz

Choć nikt nie wiedział, co zawiera przywie^{0^} przez nich bulla papieska oraz listy Gerwarda i arcybiskupa Janisława Sulimy do księcia, po kraju *Faz: z i,csiennvmi wodami rozlała się, wieść o bliskie! 1W koronacji, budząc radość i podniecenie.

Zanim jeszcze Łokietek wezwał kościeWydl i świeckich dostojników na zjazd po Godach w Krakowie, ten i ów już zbierał się do drogi, mimo pory nie sprzyjającej. Sam księżę nie czekał, aż przyittEOzki skują rozkisle drogi, i natychmiast wraz z dw^orent ruszył do stolicy.

Bulla papieska była ostrożna i niejasna. Podkreślała wprowadzie korzyści, jakie Kościołowi i państwa polskiemu, stanowiącemu jedno „księstwo”, przyniosłaby koronacja. Doradzała jednak wstrzymanie się z nią wobec zgłoszenia praw do korony polskiej przez Luksemburczyka, których przesądzać nie chc0»" ale przestrzega przed ich naruszeniem, zezwalając j&dtio-cześnie Łokietkowi na uczynienie użytku z właStiych uprawnień.

Jaśniejsze jednak niż bulla były listy Gerharda i Janisława, zapewniające, że Kuria uzna dokonaną

koronację. Wzmocniony nią Łokietek będzie cenniejszym jej sprzymierzeńcem w waice z Ludwikiem bawarskim i łatwiej znajdzie zbliżenie z węgierskim Karolem Robertem. Łokietek rozumiał, że papież nie chce się narazić luksemburskiemu Janowi.

Przez rok już zabiegając o załatwienie supliki sulejowskiego zjazdu, Łokietek wyczerpał swą cierpliwość, mirsiał jednak czekać na zapowiedziany już przyjazd arcybiskupa Janisława, który dopełnić miał obrzędu. Rad by przy nim widział zasłużonego w zabiegach o koronację biskupa włocławskiego, ale ten donosił, że pozostaje jeszcze w Awinionie, by wykorzystać niełaskę, w jaką Zakon popadł popierając Barwarczyka, i załatwić od dziesięciu lat wiszącą skargę o zabór Pomorza. Czekać zaś na niego Łokietek nie mógł. Zbyt często zwykły zmieniać się w Kurii nastroje, przyjaźnie i przymierza. Należy szybko zebrać plon swych zabiegów. W tydzień po otrzymaniu wieści Łokietek wjeżdżał do stolicy.

Kraków zaleczył już rany zadane mu w czasie buntu. Najbardziej wówczas zniszczony kwartał rzeźniczy świecił teraz nowymi domami, często kamiennymi. Na miejscu spalonego wójtowskiego gródka stał już okazały dworzec Leliwów. Obok niego, nad Bramą Mikołajską, wzniosła się potężna baszta z szyją i barbakanem, połączona ziemnym nasypem z Nową Bramą u wylotu Szkolnej ulicy, gdzie dawniej była furta Na Śmiecie ku przystani na Wiśle. Wrzała praca przy murach Na Okołą, które połączyć miały Wawel z miastem, by nigdy już nie stanęły przeciw sobie.

Nowe też były przeważnie rody mieszczańskie, które zajęły miejsce starych przez rzeź, egzekucje i wygnanie po buncie. Wyniesienie swe zawdzięczały wierności dla księcia i posłuszeństwu. Ujęty w karby obcy żywioł nie mógł już myśleć o zmianie pana, a spodziewana koronacja niemałe obiecywała korzyści.

Wiadomo już było, że książę zamierza uroczystość odprawić na Wawelu. Ten i ów wyrażał jednak wątpliwości. Jak Polska Polską, koronacje zawsze by-

wały w Gnieźnie. Nawet gdyby zgodził się arcybiskup, nie wiadomo, co powie Muskata. Na dobytek jego katedra spalona, gruzy dopiero niedawno uprzątnięto. Staraniem księcia — ocalała od pożaru część zachodniego chóru przebudowano na kościółek, z pozostałej reszty sterczały jeno okopcone mury. Choć po powrocie Muskaty księżę nie szczędził zabiegów, by wreszcie zaprowadzić rzeczywisty spokój i porządek w zakłóconej od lat diecezji, biskup zdał się nie dbać o nią zgoła. Zrazu mniemano, że unika księcia. Ale nie pokazywał się nawet, gdy Łokietka nie było na zamku. Jak ongiś u predykanów, tak ninie przesiadywał u cystersów w Mogile, na nich przeniósłszy swą życzliwość. Jeśli nie w kościele, przebywał w bibliotece, choć czytał niewiele, bo wzrok mu już nie dopisywał. Siedział i dumał.

W Krakowie tedy niemal zapomniano o istnieniu biskupa i gdy w słotny dzień listopadowy przez Miłkowską Bramę wjeżdżała kolasa z dwoma duchownymi bez żadnego orszaku ni oznak godności, zaledwie ten i ów zdjął czapę, nakładając ją szybko, by deszcz nie zmoczył mu głowy. Kto jednak poznał Muskatę, mimo zniszczonej twarzy i pochylonej postaci, przystawał patrząc za nim zdziwiony i zaciekawiony, dokąd się udaje. Nie tak zwykł ongiś wjeżdżać do swej stolicy, gdy był samowładnym panem w kraju.

Przez Stary Rynek kolasa skręciła kolo szkoły NMPanny ku klasztorowi predykanów. Ale biskup nawet nie spojrział na swą niegdyś omal drugą rezydencję. Przez Okół zmierzał ku Wawelowi, ani chybi do księcia. Długo biegły za nim oczy, gdy kolasa brnęła przez błotnistą ulicę, miejscami grzęznąć po osie. Stary strażnik Fryczko, który pamiętał jeszcze, jak w czasie wyboru biskupa stały pod Kapitułą zastępy czeskiego starosty Hynka z Dubu, a w ciągu ćwierci wieka tyle zmian widział, że żadnej już się nie dziwił — mruknął do siebie:

- Ale ci go Łokieć połamał!

Usiążę jednak teraz mniej niż kiedykolwiek i»r-

mierzał upokarzać biskupa. Przeciwnie, postanowiwszy odbyć koronację w Krakowie, chciał dać Muskacie do zrozumienia, że uważa go za gospodarza katedry i pierwszego po arcybiskupie kościelnego dostojnika. Zależało mu na tym, by uroczystość, przynajmniej w kraju, nie budziła sprzeciwów i nie spowodowała zgrzytów. Dlatego zaprosił biskupa, by z nim sprawę koronacji omówić, a miał wątpliwości, jak przyjmie ją przeciwnik, o którego potykał się na całej swej drodze do tego celu.

Postanowił też przyjąć go z wszelkimi oznakami czci. Mimo że deszcz zacinał coraz ulewniejszy, uprzedzona snadź o przyjeździe biskupa straż przy bramie zamkowej wyległa z bronią na powitanie, a komornik książęcy pomagał Muskacie wysiąść z kolasy, oznajmiając, że książę czeka na Jego Przewielebność w swej komnacie sypialnej, w wieży wzniesionej niedawno na wewnętrznym dziedzińcu zamkowyń; Widocznie Łokietek zamierzał nadać rozmowie poufny charakter.

Biskup strażników krzyżem przeżegnał, a komornikowi jeno głową skinął i poleciwszy czekać swemu kapelanowi, ciężkim krokiem udał się za komornikiem. Gdy ten wyszedł, by oznajmić przybycie biskupa, Muskata oparł się jedną ręką o odrzwia, a drugą położył na sercu, jakby chciał je uspokoić. Gdy jednak komornik wrócił, zapraszając go do księcia, Muskata wyprostował się i pewnym krokiem wszedł do komnaty.

Szare światło jesiennego dnia z trudem cedziło się przez szklane gomółki ostrołukowych okien, ale płonący na kominie w rogu komnaty ogień oświetlili postać Łokietka. Stał na środku izby, w domowej szacie z ciemnego sukna, bez żadnych ozdób. Tylko pątlík na głowie, spod którego wymykały się kosmyki siwych już włosów, haftowany był złotem i perłami i świecił jak korona w blaskach płomieni.

Książę odprawił komornika, zakazując sobie przeszkadzać, i skinieniem głowy odpowiedział na

milczący pokłon Muskaty, wskazał mu zaścielane krzesło. Gdy biskup widocznie czekał, aż księżę usiądzie pierwszy, Łokietek przerwał milczenie:

— Usiądźcie, Wasza Przewielebność. Ja lubię stać. Nawet umrzeć chciałbym stojąc.

Zdało się biskupowi, że wargi księcia pod wąsem poruszyły się w uśmiechu. Opuszczając się ciężko na stołek, odparł:

— Wybaczcie, panie, że z pozwolenia skorzystam. Mnie już trudno stać.

Głos Muskaty przytłumiony był upokorzeniem. Mimo uderzającej różnicy wzrostu Łokietek, stojąc, górował nad biskupem. Od pierwszych, na pozór obojętnych słów myśl obydwu pobiegła w przeszłość, w dziesiątki lat bezwzględnej, nie przebiegającej w środkach walki. Ileż to razy Muskata sądził, że już o ziemię cisnął tego niepozornego, zawsze słabszego od wrogów i pozbawionego środków przeciwnika?! Jak łoża — przygięty odskakiwał, stratowany wstawał, ścięty odrastał. Bo korzeniami trzymał się ziemi, która go zrodziła, tej samej, która była ojczyzną Muskaty, a której — nie wierząc w jej przyszłość — biskup się zaparł, by służyć własnemu wyniesieniu. Ten drobny, stary już człowiek jest największą omyłką jego życia. Ale wyrządzone wzajem szkody nie dadzą się już odwrócić. Mimo to Łokietek idzie naprzód, ku jasno wytkniętemu celowi, a Muskata już się nie liczy, ani jako wróg, ani jako... przyjaciel.

Biskupa zaczynało ogarniać rozdrażnienie. To Łokietek sam jest winien, że wziął go za jednego z tych, których do władzy gna chciwość i chęć przygód, a celem jej jest rozpusta. Czegóż jeszcze może chcieć zwycięski przeciwnik? Zdeptać obalonego wroga? Słowa, które padły, zdawały się to potwierdzać:

— Doszło już zapewne do waszej wiadomości, że koroną zamierzam się przyozdobić...

Urwał, jakby czekając, co odpowie biskup. Muskata zachłysnął się wymuszonym śmiechem:

-: Czy po to kazaliście mi przyjechać w takową

pluchę z Mogiły, by mi oznajmić to, o czym wiem od ćwierci wieka bez mała? Ni wam zaszkodzić mogę, ni pomóc.

Podniósł spojrzenie na księcia. Miało być dumne i odpychające, a było załośnie bezradne. Obwisłe pod oczyma sinawe worki nadawały twarzy jego wyraz nieskończonego znużenia. Lata tułaczki i klęsk pysznego ongi jak szatan człowieka wyгнаły z nich dumę wraz z życiem. Oczy jego były szkliste i martwe.

Łokietek rozumiał, co dzieje się w duszy dawnego wroga, i ogarnęła go niemal litość. Ale wiedział też, że jej i Muskata od niego nie przyjmie. W zamyśleniu zaczął chodzić po komnacie, jakby nie postyszał słów Muskaty. Przystanął i oparłszy rękę o krawędź kpmj-na, zaczął spokojnie, a nawet poufnie:

— Kuria nie przeciwi się koronacji, mojemu zostawiając uznaniu, kiedy jej zechcę dokonać. Zwlekać nie widzę powodu. Wiec prałatów i wielmożów ostatecznie ustali, kiedy i gdzie ma się odbyć, ale mówią o tym już wszyscy. Sądziłem, że i wyście słyszeli...

— Nie słyzałem — odparł cicho Muskata.

— Ja do was pierwszego z tym się zwracam, jako do pasterza stolicy, w której koronacji dokonać zamierzam...

Urwał i patrzył badawczo na biskupa, który oczy spuścił i milczał, a fala krwi przyplęwała i odpływała w jego twarzy. Jak wywołana uderzeniem iskra, zaświtała mu myśl, że oto ostatnia sposobność zemsty bezsilnego już człowieka nad zwycięskim wrogiem. Wiedział, dlaczego Łokietek nie chce dokonać obrzędu w niepewnej i zagrożonej wciąż Wielkiej Polsce, i wiedział, że na uroczystość nie przybędą biskupi innych księstw dzielnicowych, których samodzielności zagraża koronacja. Gdy i on odmówi udziału i sprzeciwi się, by odbyła się w jego katedrze, sprawą musi pójść w odwłokę przynajmniej do powrotu Gerwarda, Łokietek bowiem nie ma nawet w kraju drugiego bisku-^{*}pa, koniecznego wedle *ordo romanus* dla ważności ceremonii. A przestrzeleni wrogowie zyskają na czasie

może jeszcze zdołają całą sprawę udaremnić. iNa cioitkę korona Śmiałego jest w Pradze, Muskata sam ją tam wywiózł na koronację Wacławowej Elżbiety na polską królową. I właśnie dlatego Łokietek potrzebuje jego zgody, że to on ofiarowywał polską koronę księżętom obcym i jego uczestnictwo w uroczystości osłabić może ich sprzeciwy. Choć pokonany, jeszcze się liczy. W piersiach Muskaty jak echo odezwała się dawna zawziętość i pycha.

Szare oczy księcia patrzyły na biskupa badawczo. Jakby czytając w jego myślach, rzucił:

— Zda mi się, że się rozumiemy. Koronacja Wyszynie was na pierwsze po metropolicie miejsce W polskim Kościele i pierwszym polskim kościołem będzie wasza katedra.

Pycha zgasła w duszy Muskaty, a w jej **miejsce** rozlała się z powrotem gorzycz. Odparł cicho:

— Moja katedra! Wiatry już zgłiszczą **rozwiwały**, a wiecie, dlaczego nie miałem jej kiedy i za co od budować...

Urwał i dyszał ciężko. Książę odparł spokojnie:

— Dla koronacji starczy samo jej wezwanie i kościółek, który z chóru odbudowałem. Ninie zaś czas spokojniejszy, obydwaj łożyć mogę na odbudowę i nawet do koronacji niejedno da się jeszcze załazić.

— Dzięki wam — odparł biskup — ale jam już z sił wyzbyty. Niechaj buduje mój następca. Dla siebie już jeno o wiekuiestej siedzibie myślę.

— I spocząć przystoi pasterzowi we własnej katedrze — rzucił książę zaniepokojony. Choćby biern> tylko, opór biskupa zamącić może uroczystość, które; Łokietek nadać chciał znamię jak największej jednolitości całego kraju. Ale rozumiał też gorzycz bezsilnego już przeciwnika. By ją załagodzić, dorzucił:

— Każdy z nas w miarę sił niech ręki dołoży. I **JA tam** spocząć chcę kiedyś.

• — Wy możecie — odparł Muskata ochryplym głosem. — To miejsce waszego największego zwycięstwa

A mnie tutaj jak psa sponiewierano i zda mi się, że nawet kości moje rumieniłyby się...

Krew uderzyła mu do twarzy. Powstał i wyprostował się. Niemal o dwie gtcwy Łokietka przenośli. Patrzyły na księcia oczy dawnego Muskaty. Ale Łokietek swoich nie opuścił, nie zwykł opuszczać ich nigdy i przed nikim. Powiedział oschle:

— Pono niejedno mielibyśmy sobie nawzajem do wypominania. Ale nie na wspominki was wezwałem, jeno by zapytać: zali w spokoju i zgodzie dokonać będę mógł tego, na co czeka utrapiony kraj, a patrzeć będzie całe chrześcijaństwo?

Biskup mienił się, żyły wyskoczyły mu na czole. Potem twarz nagle przygasła i również zgaszonym głosem odparł:

— Za pokutę grzechów całego żywota przyłożę ręki, gdy na waszą głowę wkładać będą koronę.

— Niechaj nam obu Bóg odpuści przewiny — odparł księżę poważnie — i On niech mi świadkiem będzie, jako nie dla próżnej chwały ni swego wyniesienia, jeno dla dobra tego narodu koroną chcę głowę uwieńczyć.

— Wierzę wam — odparł Muskała głucho. — Niechaj w tym będzie i moje dla polskiego narodu za-dośćuczynienie.

Nie podnosząc oczu, Muskata skłonił głowę i skierował się ku wyjściu. Gdy odszedł, Łokietek długo stał w zadumie. Może i on liczył się z sumieniem przed najważniejszym dniem swego życia.

Przedkronacyjny zjazd w Krakowie nie był zbyt liczny. Z piastowskich książąt zjawili się jeno bratanowie Łokietka po Ziemomyśle kujawskim i Ziemiowiec dobrzyńskim. Inni nie stanęli na zaproszenie, dając tym poznać, że nie zamierzają uznać zwierzchności królewskiej. Z kościelnych dostojników zjechali tylko: metropolita Janisław i Domarat. biskup

poznański. Florian płocki, którego księżę osobno zaprosił, nie będąc jeszcze pewny, jak zachowa się Muskata, odmówił wprost, nawet się nie usprawiedliwiając. Z opatów przybyli jeno: mogiński, tyniecki, jędrzejowski i brzeźnicki; klasztorzy nadal żywiły niechęć do Łokietka. Z dostojników świeckich licznie stanęli — krakowscy, sandomierscy i kujawscy. Z wielkopolskich natomiast jedynie Przybysław Wojślawic z Sierakowa, wojewoda poznański — z bratem Andrzejem, kasztelanem kaliskim, i paru pomniejszych. I to był objaw niechęci, koronacja w Krakowie pozbawiła Wielkopolskę jej przodującego stanowiska, a jej możnowładców wpływu i znaczenia.

Muskała przyjechał z Mogiły wraz z opatem Chryścianem. Na wiecu siedział po lewicy księcia, nie zabierając głosu. Gdy po zakończeniu narad księżę na ucztę prosił, wymówił się słabością.

Wracał do Mogiły. Ku zachodowi niebo przetarło się i mróz przybierał. Pierś biskupa podnosiła się swobodniejszym oddechem, chłonąc rzeźwe powietrze. Gdy sanie dotarły do mostu na Białym Prądniku, stanowiącym granicę klasztornych włości, Muskata obejrzał się. Słońce wychynęło właśnie spod chmur i skośnymi promieniami legło na Wawelskim Wzgórzu. Jego to ongiś była siedziba, skąd — z obcej przemocy czerpiąc swe prawo — rządził narodem, który wytępić ślubował. A pod wieżą, świecąca ninie w blaskach zachodu, znajduje się loch, w którym spędził długie miesiące, ciśnięty weń tą samą dłonią, której teraz miał pomagać ująć berło. By się nie ugiąć, znajdował wówczas siłę w swej pysze. I tam powstała w niej pierwsza rysa, od której zaczęło się załamanie. Nie pod ciężarem nędzy i wyrzeczeń więzienia, ale żrącej i pogardliwej nienawiści bezimiennego pachołka. Szatan, który Muskacie obiecywał królestwa, zdradził go i rozpadły się podstawy wewnętrznego życia Muskały; poczucie nieskończonej wyższości nad tłuszcza, pewność bezkarności swych poczynań. Teraz zrozumiał, że nikt nie może się uchylić od odpowiedzialności sa

swe uczynki. Dziś Muskata jest wewnętrznie tak samotny, jakby już leżał pod posadzką mogińskiego kościoła, gdzie obrał sobie miejsce wiecznego spoczynku. Ale nie ma w nim spokoju, choć wypaliła się nienawiść, a własną ręką, zdało mu się, ugasił ostatnią iskrę pychy. Pod ich popiołami tli się piekielnym blaskiem wspomnienie płomiennych włosów pachółka, który ważył się zęb za zęb odpłacić swoją krzywdę. Od zniewagi, którą wówczas uważał niemal za świętokradztwo, gorsza była pogarda, której wspomnienie dziś jeszcze napędza mu do twarzy wystygłą krew. Ale nie pragnie już pomsty, którą odrzucił wraz z pychą i nienawiścią, aby osiągnąć spokój. To wspomnienie burzy go, bo nie potrafi zamknąć swego obrachunku z życiem, jeśli się nie dowie, za jaką krzywdę mścił się pachółek. Wszystkich, jakie wyrządził, biskup przypomnieć sobie nie zdoła. Deptał zawsze mierzwę ludzką, nie bacząc kogo. Ale w tej krzywdzie zdały się ogniskować wszystkie, jakie wyrządził. Choć odrzucił wszystko, czym żył, nie ma dla niego spokoju.

Przedwieczorny spokój tymczasem ogarnął świat. Czerwone promienie niskiego już słońca legły na zabudowaniach klasztornych, które rosły w oczach, jak przystań, do której zmierza skolatany burzą rozbitek. Nad bramą prócz zwyczajnego napisu: *Patent miseris et amicis*¹ — widnieje drugi, który tu zwał biskupa, gdy pokonany wrócił do Krakowa: „Dobrze, że tu jesteśmy. Tu żyje się czyściej, upada-rza* dziej, podnosi się prędzej, postępuje przezorniej, oczyszcza się łatwiej i hojniejszą otrzymuje nagrodę*”

Na wieki żyje we wdzięcznej pamięci narodu poprzednik Muskaty — biskup Iwo. Bo choć, jak on sam, szerokiego kształconego na zachodzie umysłu, podnieść chciał zacofany swój naród, osadzając tli ha swej dziedzicznej włości obcych, milczących mni-chów, by wypełniali swą „kartą miłości” ku chwalił

¹ Niech stoi otworem dla ubogich i przyjaciół.

Bożej i pożytkowi człowieka, nie wynosząc się swą wiedzą i mądrością ponad naród, pośród którego osiedli, jak starszy i rozumny brat, nie narzucając się swą radą i pomocą, służąc nimi temu, kto ich szukał i potrzebował, nie żądając, by im oddać w zamian ziemię i władzę. Nie korzystali z wznrastającej zamożności, chleb, jarzyny i owoce stanowiły nadal ich pożywienie, a napój — woda. Pod szarą suknią ze szkaplerzem nie nosili nawet koszuli, skuteczniej niż surowe bulle i srogie kary zwalczając herezje przykładem, że można żyć wedle Ewangelii, nie wychodząc z kościelnej karności. A tacy jak Muskata dostojnicy właśnie podkopują powagę Kościoła. Nie pomoże srogością ją przywracać. Biskup naraził się na niełaszkę i wyrzuty papieża, zaniedbując tępienie herezji. Dość miał krwi, a nie dba już o niczyją łaskę. Jak poprzednik jego, Wincenty Kadłubek, tu chciał szukać własnego zbawienia. Ale ogarniała go rozpacz. Nic tu nie znalazł z tego, co obiecywał napis na bramie, klasztornej. Do pracy brakło mu już sił, do modlitwy skupienia, życie włókł jak ciężar nieznośny, a zbliżający się jego kres napawał go trwogą. Za późno nawet na żal. Stronić zaczynał od mnichów, którym zazdrościł ich spokoju, własnego szukając w położonym opodal bramy klasztornej kościółku Sw. Bartłomieja, który tu stał już, gdy na miejscu obecnego klasztoru były bagna wiślanych rozlewisk i lesisko. Mało teraz uczęszczany, przytalił się wśród starych jak on drzew, jakby wstydząc się swej nieokazałości przy wspaniałych kamiennych budowlach.

I teraz mijając go, biskup zatrzymał sanie, i kazawszy odwieźć je woźnicy, wszedł do ciemnego wnętrza. Spowiednik jego — młody i pokorny mniszek — i jemu pokorę zalecił jako lekarstwo na wewnętrzną rozterkę. Może dzisiaj tu znajdzie wraz z nią spokój w ciszy i samotności.

Wszedłszy jednak biskup dostrzegł, że nie **jest sam..** Przed bocznym ołtarzem klęczało dwóch **ludzi.** Na

głowę jednego z nich przez małe okienko padały promienie zachodzącego już słońca, rozjarzając ją blaskiem, jaki prześladował Muskatę nawet w snach. Chciał się cofnąć, ale nieznajomi wstali i wyszli. Słońce pochyliło się jeszcze, promień jego zgasł i w kościółku uczyniło się mroczno. Pod przymkniętymi powiekami biskupa blask jednak pozostał, myśli jego ściągając do spraw, o których chciał zapomnieć. Przez chwilę klęczał z pochyloną głową. Wiedział już, że i dzisiaj nie znajdzie tu spokoju. Upokarza się na darmo. Szatan śmieje się z niego, kupił go za błyskotki, nie wyzwoli, mimo że biskup je odrzucił. Pustka jest w Muskacie, ale nie ma ciszy. Jak echo brzmią w niej słowa Apostoła, zawarte w liście Jakuba: „...choćbym rozdał wszystką majątność swoją, ciało wydał na spalenie, a miłości nie miał, nic mi nie pomoże”. Ten zawzięty starzec, główny sprawca jego klęski, który wydał mu broń i środki do walki, mówi o miłości! Ongiś Muskata drwił z tego. Teraz rozumiał, że słowa: „miłujcie nieprzyjacioly swoje” nie oznaczają pobłażania występkom. Miłość kierować może i karzącą dłońią. Jest siłą, która objawia się w czynach.

Muskata nie czuł w sobie już żadnych sił. W uszach dudniła mu krew, jak kroki nadchodzącego kresu. Szedł zataczając się ku bramie klasztornej.

Przed bramą stali dwaj wędrowcy, których spotkał w kościółku Sw. Bartłomieja. Choć słońce już zaszło, wymykające się spod czapy rude włosy jednego z nich zdały się świecić własnym światłem. Biskup już był pewny, że to ten sam człowiek, którego spotkać pragnął od dziesięciu lat z górą, by wyrzucić pomstę, o jakiej ludzie jeszcze nie słyszeli. Teraz nie ma nawet czym odplacić jego nienawiści. Patrzył w twarz, którą i w ciemności poznałby wśród tysięcy innych, mimo że zmienił ją czas. Bardziej jeszcze zmienił jego, ale Ostróżka poznać musiał biskupa, bo po chwili napiętego milczenia odezwał się:

— Czy nigdy nie wydolę was zapomnieć? Jeśli się lękam piekła, to jeno by nie spotkać się z wami.

" Odwrócił się, by odejść. Muskata zawołał głucho:

— Ostań!

Musi wiedzieć, z jakiej winy wkrótce przyjdzie mu zdać rachunek. Powtórzył niemal błagalnie:

— Ostań!

— Jeszcze co lepszego mogę uczynić z żywotom, nizli wam go oddać — rzucił Ostróżka i zwracając się do towarzysza, dodał:

— Pójdźmy.

Muskacie pociemniało przed oczyma. Nie ma dla niego spokoju. Zatoczył się i byłby upadł, ale ktoś posadził go na ławie koło bramy. Gdy zeszła czarna mgła, rozeznał pochyloną nad sobą dziwną twarz, która nie zdała mu się obca, jak i nosowy «łos, który zapytał:

— Lepiej wam? Może odprowadzić was do **izby**?

— Skąd ja ciebie znam? — szepnął Muskata.

— Wasza Przewielebność na spalenie wvdąć **mnie** chciała za czary i herezję.

Widząc wysiłek pamięci na twarzy biskupa, **dodał**:

— Wówczas, gdy to mnie zwolnił arcybiskup Jakub, .święć się nam jego pamięć.

Muskata szepnął ledwo dosłyszalnie:

— I ty mnie nienawidzisz!

— Ja? Nie.

— Dlaczego?

Braciszek poufale usiadł obok biskupa. **Zsiniałe** od mrozu dłonie włożył w rękawy. Na twarzy **jego zjawil się** wyraz zamyślenia. Zaczął cicho, jakby **dla Siebie snuł** wspomnienia:

— Nieraz mnie spalić chcieli, bo po prawdzie nigdy w stadzie chodzić nie umiał, jeno swoimi ścieżkami. Przełom się i was nie lękał, zasię men.iwiść ze strachu płynie, jako zła krew z wrzodu. I lak mi się w życiu składało, że kto mi zło wyrządzić chciał, na dobro wychodziło. Tedy radziej wdzięczność **winieniem Waszej Przewielebności...**

— Drwisz?

— Niech Bóg zachowa. Zawždy myślałem, że nie można bliźnim służyć, gdy się władzę nad nimi sprawuje, bo małemu człeku wszelka władza wilkiem...

Urwał widząc, że twarz biskupa stała się purpurowa, a żyły wyskoczyły na skroniach. Muskata jednak nie rzekł nic, a Braciszek podjął:

— Mylnie jednak sądziłem i szczerze mówię, że wdzięczność wam winienem, iż zrozumiałem swój błąd. Żebyście mnie nie schwytali, nie poznałbym arcybiskupa Jakuba. Przez niego zrozumiałem, że bliźniemu służyć może każdy, mały czy wielki — jeśli go miłuje. Jeno że wielkiemu miłować trudniej, bo szeroką siecią garnąć musi, nie za siebie jeno brać odpowiedzialność, a surowość godzić z pobłażaniem, jako dwa konie, co w przeciwne ciągną strony. Przez Jakuba jam lepiej przykazanie miłości zrozumiał, wam dziękować.

— Nie mnie — powiedział cicho Muskata. — Jam miłości nikogo nie nauczył.

— *Exitus spe datur, non voluntas*¹ — odparł Braciszek uśmiechając się. — Gdy się człek patrzyć nauczy, nieraz dostrzeże *gesta Dei per diabolum*².

Widząc, że biskup drgnął i oczy utkwivszy w ziemię siedzi w milczeniu, dodał prędko:

— Chciałem jeno rzec, że nikogo Bóg jako narzędzia swej woli nie odrzuca i o każdej porze może powołać do pracy w winnicy swojej, póki nie zajdzie sionce żywota.

Gdy Muskata nie odpowiadał, Braciszek wstał i zakończył:

— Noc już wrychle i, zda się, na zawieję znowu idzie, bo słońce czerwono zaszło. Zwólcie, że was do>,, izby odwiode, bo samemu mi czas poszukać schronienia.

— Nikomu w klasztorze nie odmawiają dachu na

¹ Na wynik patrzeć, nie na chęci.

² Boże dzieła przez diabła.

głową — powiedział biskup, jakby chcąc zatrzymać wędrowców, ale Braciszek odparł:

— Ja ta śpię, gdzie głowę przyłożę. Ale towarzyszy mój nie zmrzyłby oka.

— Rzeknij mu, niech się nie lęka — powiedział biskup cicho, ale Braciszek odparł żywo:

— On nie przed wami, jeno przed sobą ucieka. Chciałby zapomnieć...

— Co chciałby zapomnieć? Ja nie wiem i męczy mnie to...

Braciszek usiadł ponownie. W zapadającym zmierzchu ze współczuciem spojrzął z bliska w twarz biskupa. Podjął cicho, jakby do siebie:

— Iście męka to być musi, gdy człek z sumieniem swym chciałby się policzyć, a nie pamięta nawet zła, które wyrządził. Jakoby za żywota diabłu duszę oddał, by z nią czynił, co chce. Ni się w żalu obmyć, ni oczyścić zadośćuczynieniem, jak żywcem pogrzebiony, co choć zbudzi się z letargu, a kamienia nagrobnego odwalić nie może, by wyjść na światło. O takich mówi Izajasz: „Dał im Bóg ducha odretwienienia, oczy, aby nie widzieli, uszy, aby nie słyszeli. Na drogach ich spustoszenie i zagłada...”

Zapatrzony w gasnące zorze, nie widział, że biskup skulił się jak przed spodziewanym ciosem, i mówił dalej:

— Jako trędowaty ślepiec, darmo rękę wyciągają, by ją kto ujął i wyprowadził ich na drogę pokoju. Rozpacz ich towarzyszem, a otchłań kresem...

Muskata uchwycił Braciszka za rękę, jakby w obawie, że odejdzie i zostawi go samego w mroku:

— Jeśli prawda, że nie żywisz ku mnie nienawiści — powiedz!

— Powiem. Czasem starczy nic uchwycić w ciemności, by dojść do dzwierzy, za którymi jest światło.

Mówił o doli dziecka, które patrzeć musiało na śmierć obojga rodziców, a jedno kopnięcie zburzyło w nim wiarę, że człek u człeka znaleźć może już nie sprawiedliwość, ale miłosierdzie. Jak złamana

młoda drzewina, choć się podbierze i pnie się ku światłu, nigdy już prosta nie będzie...

Muskata chwilami zapominał, że słucha. Po raz pierwszy w życiu patrzył na siebie cudzymi oczyma. Teraz zrozczał, co znaczy znenawidzić samego siebie. Przez zamknięte powieki widział u swych stóp płomienną głowę dziecka i zapiekły go nienawykłe do łez oczy. Gdy we Wrocławiu uciekł z okrutnego widowiska, nie czuł litości nad jego ofiarami, lecz obrzydzenie do motłochu, szukającego rozrywki w cudzym cierpieniu, a pogardę dla dostojników, prześcigających się w gorliwości, by się wkupić w łaski przełożonych. Czy jednak miał do tego prawo? On popełniał okrucieństwa dla własnych celów, a na ich skutki nie zwykł ani patrzeć, ani się nad nimi zastanawiać. Nie myślał o nich, bo w ofiarach swego okrucieństwa nie widział człowieka. A teraz w swej bezradności szuka pomocy u obdartego waganta, którego ongiś stracić chciał, jedynie na przekór swym przeciwnikom. Wstydział się, ale obudzone sumienie nie dało się już zagłuszyć. Sądził samego siebie. To niewiele, że nie przyłożył już ręki do żadnego okrucieństwa, mimo papieskiego nakazu, gdy mu już niczyja łaska — kromie Bożej — niepotrzebna. Tania i jałowa jest litość dla ofiary własnej srogości. Zapytał cicho:

— Czy ja mógłbym dla niego coś uczynić?

— Dla niego? — Braciszek zamyślił się. — Mówii mi koniuszy Budziwoj, świeć mu, Panie, że przy koronacjach zwyczaj jest występny winy wybaczać. Ostróżka rzucić musiał Kraków, który umiłowiał, boś* my wbrew zakazowi straconego Hanusa pogrzebli. Prawdę rzec, jam był winien, bom go do tego nakłonił, jako i do tego, by nad wami pomsty poniechał. Po cóż nienawiść w piersi hodować, która jadem swym ją zatruwa?

— Książę dla niego szczególnie wyrozumiały być winien za to, co mnie uczynił —/ wtrącił MySkata gorzko. — Tedy by mu pewnikiem i raniej wrócić zwoił. :

Braciszek poskrobał się po kudłach:

— Wybaczcie, przewielebny panie, że powtórzę, co mi rzekł Budziwoj: nie mógł mu ksiązę raniej wybaczyć, by wam nie dawać pozoru do zadry. Ale po koronacji, rzekł, ksiązę się z wami liczyć nie będzie musiał. Tedy tutaj na nią czekać zamyślaliśmy.

Muskata zagryzł wargi i pasował się z sobą. Po chwili rzekł stłumionym głosem:

— Nie wiem, czy nie wcześniej nikt już się ze mną liczyć nie będzie. Ale póki się liczą, dam ci pismo do ksiązęcia, z prośbą, by Ostróžce wybaczył. Niechaj mi się choć zda, że coś dla niego uczyniłem...- bo więcej uczynić nie mogę.

Zaległo milczenie. Po chwili przerwał je Braciszek:-

— *Voluntas spectatur non eritus.*¹ Odsuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy/Modlic się bekiem za was.

Po wiecu powszechnie już było wiadome, że koronacja odbędzie się na Wawelu w dniu św. Fabiana i Sebastiana. Zewsząd ściągało do Krakowa drobniejsze rycerstwo, kupcy z towarem, chłopstwo z owocami swej pracy i, jak zwykle, rzesze wszelkiego rodzaju darmozjadów, szukające zabawy i łatwych zysków. Kasztelan Nawój Toporczyk z Przegini surowo wydał zarządzenia, by zapobiec burdom i hałasom, o jakie nietrudno było w różnorodnym, a niesiornm zbiegowisku, jakim zaroilo i ożywiło się miasto. Thia się jeszcze niechęć wzajemna między mieszczaństwem i a rycerstwem, a i posłuszeństwo nie W smak było niejednemu, który zapomnieć nie mógł, że niedawno miasto rządziło się samo, nawet nad rycerskimi ludźmi sprawując jurysdykcję.

Większość pogodziła się już jednak ^z nowym porządkiem, a dumna z wyróżnienia swego miasta

¹ Na chęć patrzeć, nie na wynik.

1 ><,
i ożywienia handlu dobrowolnie uchwaliła kolektę na ufundowanie klejnotów koronnych, i delegacja Rady na uroczystym posłuchaniu wręczyła księciu kilkanaście funtów złota krakowskiego brantu, które młody Niklas Wirsing poniósł do pracowni złotniczej mistrzów Heńka i Mikołaja Małego przy Swinie¹ ulicy, z poleceniem sporządzenia koron i jabłek. Z pozostałej niewielkiej ilości złota kazał księżę wybić dukaty i w oficynie rniczerza Fryderyka, w Rynku koło Sw., Wojciecha, zawrzała praca. Zjazd od koronacji dzieło już tylko parę niedziel i mistrz Fryczko własną ręką sporządził stemple do bicia, by zdążyć w dniu uroczystości wypuścić pierwszą złotą monetę polską, mającą służyć zarówno do jej upamiętnienia, jak za dowód troski nowego króla o dobry pieniądz, który ułatwia handel. Za wzór wziął Fryczko florenckie dukaty, jeno na rozkaz samego księcia wizerunek Chrystusa zastąpić miał św. Stanisław, patron miasta, a od niedawna i kraju. Księżę zarazem zaznaczyć chciał przychyłność swą dla Kościoła, jak i wykorzystać powszechną wiarę w prorocstwo zawarte w żywocie świętego.

Oficyna mistrza Fryderyka nad Wielką Wagą pilnie była strzeżona niż kiedykolwiek i nikt niepowołany nie miał do niej dostępu. Natomiast przed ładą złotniczej pracowni przez cały dzień przewijały się gromady, patrząc z zaciekawieniem, jak z brył złota powstają blachy, z blach szerokie obręcze, z obręczy zaś, pod biegłymi rękami samych mistrzów, wykwitają trójlistne lilie koron, które wkrótce już ozdobić miały skronie księcia i jego małżonki. Ona pierwsza z małżonek piastowskich władców dostąpić minła tego zaszczytu. Żaden głos, nawet ze strony niechętnych Łokietkowi, nie podnosił się przeciw koronacji Jadwigi, powszechnie bowiem było wiadome, że to ona nakłania księcia do umiaru i wyrozumiałości, pobożna jak jej rodzic, miłosierna jak św. Kinga. Mało *kie*

¹ Sw. Krzyża

wiedział natomiast, że przy swej skromności i łagodności jest bardziej od małżonka stała w przeciwnościach losu, a zacięta i wytrwała w dążeniach, by potomstwu swemu zapewnić królewską koronę.

Mistrz Ilenko, siedząc pod otwartą ladą, gdzie było najlepsze światło, wykańczał właśnie koronę, dobierając z żelaznej szkatuły różnobarwne kamienie, które wprawiał w lilie. Gapie oblegali ladę, a niejednego nachodziło wspomnienie, że niedawno jeszcze sam zamawiał tutaj klejnoty, by puszyć się w nich przed motłochem, a teraz za udział w buncie pozbawiony mienia lub utraciwszy je w czasie rabunku i rzezi dorabiać się musiał na nowo. Zapomniał, że szyję darowała mu łaska księżęca podyktowana zrozumieniem, że mieszczaństwo pomnaża zasoby kraju, a ujęte w karby jest czynnikiem ładu i prawa.* Stąd nieraz w ciżbie widać było niechętny gest lub nawet słycać złośliwy szept, ostrożny, bo wiadomo było, że księżę ma w mieście ludzi, którzy mu donoszą o wszystkim, co się tu dzieje i mówi.

W podnieconym tłumie jednak zanika ostrożność. W sobotę zaś przed koronacją podniecenie było powszechne. Od południa ustała wszelka praca i co jeno żyło, wyległo na ulice. Dzień był pogodny i bezwietrzny, choć mroźny, w południowych godzinach nieśmiałe słońce styczniowe dogrzało jednak i przystrojone już odświętnie rzesze przelewały się po mieście. Zewsząd dochodziły dźwięki lutni, gęśli i fletów, śpiewy w różnych językach; w karczmach i piwnicach lało się piwo, wino i miód, a wiertelnicy kręcili się jak piskorze w ukropie, pilnując, by ceklarze w ogólnym nastroju podniecenia i zabawy jami pić nie zaczęli, zaniedbując swe ciężkie obowiązki. W przeddzień bowiem kasztelan Nawój wezwał "samego hulmana, imieniem księcia na jego odpowiedzialność zdając porządek i spokój w mieście w czasie rozpoczętych już uroczystości, co nie było łatwym zadaniem.

Niełatwe to było zwłaszcza w ulicy Świniej, gdzie koło lady /.lotniczej zgromadziły się tłumy, by obej-

rzec gotowe już klejnoty koronne, których nie ujrzą bodaj nigdy więcej. Na obrzęd bowiem koronacji nie byle kto się dopcha, po niej zaś klejnoty, przechowywane w cieniu skarbcza, rozbłyszczą znowu jeno w czasie największych uroczystości.

Teraz spoczywały na czerwonych, safianowych poduszkach, na środku długiego stołu, pełnego zazwyczaj rozmaitych narzędzi, ninie jednak nakrytego barwnym flamandzkim kobiercem. Słoneczne światło rozjarzało kamienie wszystkimi kolorami tęczy i odbijając się w polerowanych złotych blachach padało żółtym poblaskiem na poważne i przejęte twarze mistrzów Heńka i Mikołaja, którzy siedzieli przy stole W: oczekiwaniu na odbiór klejnotów przez książęcego posłańca. Słuchali uwag przewijających się przed ładą ludzi i rozpierała ich duma. Sztuki swej uczyli się u najlepszych mistrzów w Pradze i Norymberdze, ale nawet z nich żadnemu nie było dane sporządzić klejnotów, które czczone jak świętość przetrwać mają wieki. Toteż mimo mrozu siedzieli z odkrytymi głowami, i niejeden z gapiów czapkę zdejmował przed ich dziełem, głos obniżając do szeptu, jak w kościele.

Uroczysty nastrój zmąciło dwóch rycerzy. Rozmawiając głośno, przepychali się przez tłum, niezbyt łagodnie usuwając stojących im w drodze mieszczan. Niejeden burknął pod nosem przekleństwo, ale ustępowano im i rycerze stanęli przed ładą, przez chwilę patrząc na klejnoty w milczeniu. Młodszy z nich, kłórego zaróżowiona od mrozu twarz promieniowała mieszanią wesołości, dumy i zuchwalstwa, przybrany był bogato, a złoty łańcuch na szyi znamionował dostojnika. Starszy z ubioru wyglądałby na służebnego człowieka, gdyby nie rycerski pas na baranim kożuchu, który poszerzał jeszcze jego barczystą, suchą postać. Spod baraniej czapy jasne oczy patrzyły bystrym spojrzeniem z wyrazem pewności siebie, niezwykłej w ubogim z pozoru człowieku. Suchą twarz, przeoraną blizną i smagłą od słońca i wiatru, jaśniejszymi kresami znaczyć zaczynały zmarszczki, zaś ob-

fity i opadający wąs, który właściciel stale podkrecał, świecił już srebrnymi nitkami. Mimo że tak różni, przybyli zdali się spoufaleri. Starszy, nie bacząc, że gapie, przeważnie Niemcy, rozumieją jednak polską mowę, odezwał się głośno:

— Myśleli, psu braty, że połkną Łokcia, jak szczupak płoć. Ale jazgacz ci to jest. Choć niewielki, wziąć go w pysk — wypluć trzeba, i jeszcze paszczkę pokaleczy.

Młodszy zaśmiał się z porównania i dorzucił:

— Kto by się spodział, że z niemieckiego złota, niemieckimi rękoma sporządzoną koronę Muskała będzie panu na głowę kładł? Jeno ich krótko przy pysku dzierżyć, a bata nie żałować, to i ujeździć łatwo.

Lekceważące i obelżywe odezwanie wywołało szmer w tłumie. Twarze mistrzów poczerwieniały, ale woleli udać, że nie 7xozumieli. Natomiast odepchnięty od ławy młody mieszczanin, który mierzył przybyłych ponurym wzrokiem, nie wytrzymał i odezwał się:

— Gdyby nie złoto niemieckie, z wiehcia moglibyście swemu panu zrobić koronę.

Patrząc zaś pogardliwie na skromny ubiór starszego rycerza, dodał:

— Iście jest komu ponad nas się wynosić!

Wśród gapiów rozległy się prześmichy, a mieszczanin odwrócił się, by odejść, gdy za ramię go ułapiła potężna dłoń. Chciał się wyszarpnąć, ale trzymała jak żelazne kleszcze, a stary powiedział przytłumionym przez gniew głosem:

— Za mierzwę mam was i wasze złoto, com go nie... mało z waszymi dziewczkami puścił. Anibym nogi na ciebie nie podniósł, gdybyś na pana nie szczekał. Skoroś taki mowny, pójdziesz ze mną powtórzyć kasztelanowi, coś tu rzekł. Za lekkośmy wam na grdykę nastąpili.

Mieszczanin widząc, że sprawa staje się poważna, zaczął się wydzierać, a rycerz chwycił go za gardło, - aż oczy wyszły na' wierzch. Gapie, wrogo spojierając na rycerzy, obstąpili ich, widać gotowi wziąć udział

W zająsci, a młody dostojnik przekreślił pas, patrząc na doskakujących zuchwale a groźnie. Mistrz Henko co prędzej usiłował zamknąć ladę, widocznie w obawie, by z zamieszania nie skorzystali rzeźmieszki, gdy niespodzianie rozepchnął tłum młody człowiek, który w towarzystwie dwóch zbrojnych nadszedł od Mikołajskiej i głośnie imieniem księcia wzywał obecnych do rozejścia. Znano go widocznie, gdyż ten i ów obejrzał się jeno niechętnie i odchodził. Tylko rycerze patrzyli na niego lekceważąco, nie zamierzając widocznie zastosować się do zlecenia. Przybyły skłonił się przed dostojnikiem i powiedział:

— Nie przysporzy sławy nakielskiemu staroście z bezbronnymi się bić. Trzeba będzie, ceklarze porządek przywrócić bez krwi przelewu, któremu miłośnicy pan wielce byłby nierad.

— A ty tu czego, powsinogo? — pogardliwie odparł Henryk.

— Widno mnie nie znacie — układnie, ale z godnością odparł przybyły — tedy zwólcie, że się oznajmię: Niklas Wirsing jestem, nie powsinoga, rodu rycerskiego, a herbem się pieczętuję tym samym co Łagodzice. Moją rzeczą, by książę pan wiedzieli, co się dzieje w mieście. A ninie po to mnie przysłał, bym klejnoty odebrał.

— Tedy róbcie swoje, a do nas wam nic — spokojnie odparł kasztelan, ale Wirsing, jakby nie słyszał, zwrócił się do Radochy:

— Was proszę, rycerzu Radocho, byście tego człowieka moim ludziom oddali. Na ratusz go odwiodą i jeśli przewinił — ukarany będzie.

— Juści, kruk krukowi oko wykolę! — nieufnie mruknął Radocha. Zaciekawiał się jednak i zapytał:

— Zaś mnie skąd znacie?

— Pamiętam was czasu buntu, ale ninie spokój jest i być winien, a nie męstwo tu potrzebne, jeno rozsądek.

Nie czekając na przyzwolenie, skinął na strażników, by z rąk Radochy odebrali winowajcę, i dodał:

— Małżonka rycerza Krzycha prosiła, byście ją nawiedzili. Są u niej znajomkowie wasi, też radzi was o baczyć.

— Skąd wiedzą, że tu jestem? — bąknął Radocha zaskoczony. — Wzdysmy dopiero przybyli...

— Od nich się dowiecie — odparł Wirsing z uśmiechem. — Wybaczcie — zakończył — miłościwi państwo czekają na klejnoty, by je obejrzeć, nim ni; nieszpór do Świętego Michała na Skalkę się udadzą.

Wirsing skłonił się i wszedł do pracowni. Gapie rozeszli się już i kasztelan, zwracając się do Radochy, powiedział:

— Ja idę na miasto rozejrzeć się i zjeść co a wypić. A wy?

— Piliśmy już. A skoro Kundzia wie, że tu, jĆSt, nijak nie iść. I tak by trzeba było, jeno co jej" rzec i jak?

— Prosto, juk było. Lepiej na raz czleku kubeł Wo- dy na łeb wylać, niż — jako Święta Inkwizycja — po kropli. Co jej zresztą było po takowym chłopie, co mu się ani pokazać? A tak młoda wdowa i pono urodna, choć i z dzieckiem, wyda się, bogdaj za was. **Gdy** Was już do dziewczek nie ciągnie, sama pora się żenić.

v- Ostawcie! Nie to mi ninie w myśli. A już jej... **Wielce** go miłowała. Ani to dowodne, że poległ...

— A cóże? Skórę z niego za dowód przywieźć jej; chcecie? Jeśli go na miejscu nie ubili, to go z **njej** obdarli pewnikiem za to, co wasz Pizło z nimi wyprawiał.

Kasztelan zaśmiał się, ale Radosze nie do **śmiecliu** było, bo się nastroszył.

— Nie sierdźcie się — dorzucił Henryk **pojedna- wczo**. — Mnie i jej żal, i was, i nawet jego, choć sam sobie winien. Zawždy tak bywa, gdy kto nie bierze, co mu życie daje, jeno się uprze przy tym, czego mu dać nie chce. A niczyje płkanie nic jeszcze nikomu nie pomogło. Tedy wolej się śmiać niż lutać, najlepiej zasię wdowę nowy chłop pocieszy.

— Nie o swaty was proszę — sarknął Radocha. —

Jono nie po sercu mi z takowym gościńcem do niej zachodzić. Nie będzie na mnie mile patrzeć. Tedy może wy byście...

— Dzięki wam. Jam też nierad, gdy niewiasta nie-mile na mnie patrzy. A jeszcze gdy beczeć zacznie, to dla mnie jako święcona woda na biesa. •

— Nie musicie jej nic gadać, jeno że zajdę do niej po koronacji. A może tam będzie który z owych znajomków? Głowię się, kto by to mógł być, bo Ostróżka z Braciszkiem z Krakowa uchodzić musieli. Z nich który najłacniej by jej to rzekł.

— Mogę pójść obejrzeć to dziwo, o którym tyle prawicie, choć widzę, że i innych tu nie brak. A zastanę kogo, to mu rzekę, by się z wami spotkał. Jeno gdzie?

— Najlepiej w karczmie za Wiślaną Bramą, bo i niedaleko, i miejsce łacniej najdzie niż w mieście, bo tu palec wetknąć trudno.

— Już ja lam najdę gdzie wetknąć palec — zaśmiał się Henryk. — A nie miejcie za złe, gdy sam siebie zaswatam, jeśli iście takie dziwo, jak prawicie. Często tak bywa, gdy kto przez posły do niewiast zachodzi.

Radocha szarpnął wąż ze złością, ale zmilczał. Na-|
wykł już, że kasztelan drwi ze wszystkiego, a jesczczw-
ninie, gdy cokolwiek miał w czubie. Sam dusznie nie
miał ochoty iść do Kundzi z taką wieścią, a trudno
rzecz załadzić przez pachołka. Pod kościółkiem tedy
Św. Wojciecha w Rynku rozstali się. Radocha, zamy-
ślony, skręcił w ulicę Braci Bosych. Henryk zaś w uli-
cę Grodzką. Rozglądał się za podwikami, które od-
świętnie postrojone korzystały ze słonecznej pogody,
by-pokazać swe stroje i klejnoty. Rzuciły wabne spoj-
rzenia na urodnego, młodego dostojnika, na które od-
powiadał zuchwałymi oczyma tak, że niejedna swoj-
opuściła. Nim doszedł do Grodzkiej Bramy, nalieży
tyle niewiast, które by mu się udały, że wnet byłby
zapomniał, dokąd idzie. Westchnął jednak, wspomniani
wszy, że zaraz po koronacji jechać ma z arcybiskup

pem do Inowrocławia, gdzie Janisław wyznaczył już zrok procesu przeciw Zakonowi o zabór Pomorza.

— Pół roku by tu trzeba — mruknął i machnął ręką zniechęcony.

Przez Okół koło kanoniczych dworców skręcił ku Wiśle i u podnóża Wawelu spostrzegł przytuloną do skały samotną chatę. Wzruszył ramionami:

— Niebogata siedziba. Jeśli owa Kundzia niegłupia, za Radochę wydać się winna. Czas już miała swojego odżałować, a ninie co się lepszego trafić może wdowie po wywołańcu. z dzieckiem na dokładkę. Jeszcze rada być winna, że wolna jest.

Nie pukając i nie zdejmując czapki, wszedł do wnętrza. W sionce już posłyszał dziecięcy śmiech. Pchnął drzwi i wszedł do izby.

Wnętrze bogatsze było, niż zewnętrzny pozór obiecywał. Nie brakło kobierców ni zdobionych naczyń, ale przede wszystkim uderzały czystość i ład. Pod oknem siedziała młoda dziewczyna z trzechletnim może dzieckiem na kolanach. Zresztą nie było w izbie nikogo. Na widok obcego dziecko umilkło spłoszone i przytuliło się do piastunki, która wstała zmieszana. Na jej białej, dziecinnej jeszcze twarzy zjawił się rumieniec, ale Henryka uderzyło spojrzenie jej oczu; patrzyły na niego spod ciemnych brwi pytająco, wielkie, dojrzałe i smutne, takim wyrazem, że Henryk, nawykły do lekkiego, a nawet frywolnego obejścia z niewiastami, zmieształ się jakoś i zdejmując czapę, rzekł:

— Wybacz, że wszedłem jak do gospody. Nie wiem, zalim dobrze trafił. Czy tu żywieć wdowa po rycerzu Krzychu, do której od Radochy mam zlecenie?

Ugryzł się w język, ale za późno było. Widział, jak oczy dziewczyny zachodzą łzami i wymownym ruchem przytuliła dziecko do piersi, które jakby również zrozumiało odezwanie, bo rozplakało się nagle. I głos dziewczyny zdradzał hamowane łkanie, gdy odparła cicho:

— Tu żywię. Wraz nadejść winni, bo jeno na Skalkę pošli patrzeć...

Nie dokończyła i wyszła do sąsiedniej komory. Henrykowi zdało się, że słyszy szlochy. Zaklął. Gdy Kundzia zastanie dziewczynę spłakaną i tak trzeba będzie sprawę wyjaśnić. Zapukał do komory, chcąc ją wyjaśnić dziewczynie, choć nie wierzył, by się już na co zdało. Mąż prędzej kaszel powstrzyma niż białka płkanie. Zresztą *za późno* było, bo w tej chwili posłyszał przy wejściu głosy nadchodzących. Machnął ręką: stało się. Powie, co wie, i pójdzie. Niech, sobie potem płacze. Z takim chłopem jak Krzych winna Kundzia do łez nawyknać.

Zły był jednak i na siebie, i na Radochę. Wie, że on ucieka od smutku, jak kot od smoły. Niechby sobie sam takowe wieści nosił.

Mimo woli powstał na widok wchodzącej niewiasty i opuściła go zarówno złość, jak i śmiałość. Piękna i młoda, choć nieco zbyt szczupła twarz miała wyraz spokoju, który nadawał jej niezwykły urok. Henrykowi przykro się uczyniło na myśl, że musi go zburzyć. Aby się zbyć, powiedział:

— Rycerz Radocha niechał wam rzec, że jutro do was przybędzie po koronacji.

— Wdzięcznie wam dziękuję — odparła ujmująco. — Proścież go, niech tu stanie gospodą. Choć ciasno, ale ninie nigdzie w mieście lepszej nie najdzie, a radam choć tym odwdzińczyć to, co dla nas uczynił. Braciszek i Ostróżka też za troskliwość o swoją sierotę podziękować radzi.

Henryk nie słuchał, bo patrzył, jak obdarty wagant i zasobnie przybrany mieszczanin, którzy nadeszli z Kundzia i udali się do komory, teraz wyszli i wiercili go oczyma. Zapytał;

— To są ci znajomkowie, o których prawil ów Wirsing?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do nich:

— Radocha niechał wam rzec, że czeka ,na was w gospodzie za Wiślaną Bramą.

Przez chwilę zaległo milczenie. Braciszek patrzył ze współczuciem na Kundzię, której twarz przybladła z lekka. Potem odezwał się:

— Rzeknijcie, dostojny panie, co macie rzec. Lepiej wiedzieć, niż się domyślać.

— Tak i ja mniemam. Ale Radocha widno inak, skoro przez was chce rzec, co sam mówić nierad. A ja takóž — zakończył szorstko.

Kundzia zbladła tak, iż zdało się, że zemdleje. **Ale** glos miała jeno trochę przyćmiony, gdy rzekła:

— Jam do złych wieści nawykła. Nie pomoże głowy chować przed nimi. Tedy, jeśli łaska wasza, rzeknijcie, panie. Ciężko czekać na cios, głowę na pieńku trzymaj ąc.

— Rycerz Krzych pono nie żywię — odparł kasztelan. — Ale że i ja jeno się domyślać mogę, tedy niech sam Radocha opowie, jak było. Nikomu **zasię** nie lubuje patrzeć na wdowie i sieroce łzy.

Odwrócił się i wyszedł, jakby uciekał. Zły. **był, na** cały świat.

Trzeba się będzie spić — mruknał do siebie. Odeszła go nawet ochota do igraszek. Śmierć zwykł brać lekko, jak i wszystko w życiu. Ale utkwiała mu w oczach blada twarz Kundzi i przesmutne oczy młodej dziewczyny.

— *Przez szarą mgiełkę* — zwiastuna odmiany po wczorajszym mrozie, jeszcze nie przesączył się brzask wstającego dnia styczniowego ¹, gdy na Wawelu zapanaował już ruch i skrzęt. Przez otwarte wcześniej niż zazwyczaj bramy grodu jeden za drugim nadciągali dostojnicy, którzy gospody swe czy domy mieli w mieście. Zamieszkali na zamku od dawna byli na nogach. Tylko w mieszkalnej wieży, gdzie były **komnaty** księstwaj panowała jeszcze cisza.

Książę nie spał już, choć wieczorem układał się późno. Ciemno było jeszcze, gdy zawołał szatnego i kazał przybrać się w długą do kostek szatę, zarzucił purpurowy, podbity gronostajami płaszcz, spięty na prawym ramieniu bogatą zapinką, na głowę włożył czapkę sukieną haftowaną złotem, perłami i kamieniami i — jak nakazywał porządek koronacyjny — legł w łożu, by oczekiwać na procesję, która w godzinę po wschodzie słońca nadejść winna, by zabrać pana do kościoła.

Choć słońce jeszcze nie wzeszło, książę niecierpliwy był i niespokojny. Narada nad szczegółami uroczystości, by niczego nie pominąć z przepisanych przez *ordo romanus* obrządków, trwała do późna w noc. Muskata, który sam jeden miał w tych sprawach doświadczenie, bo nie w jednej koronacji brał udział, nie przybył na nią z Mogiły. Arcybiskup i Domarat poznański wiele godzin spędzili w bibliotece kapitulnej, studiując wydane przez Grzegorza Wielkiego przepisy koronacyjne, ale po raz pierwszy mając je stosować, nie czuli się pewni. I teraz czekali na Muskata, by przed udaniem się do pana omówić z nim wątpliwości. Nie przybywał.

Łokietek już kilkakrotnie zapytywał o krakowskiego biskupa. Chwilami gniewna zmarszczka przeorywała jego czoło. Z każdą chwilą wzrastało w nim podejrzenie, że skrucha Muskaty była fałszywa, stanowiła jeno podstęp, by tym większy rozgłos nadać chybieniu obrzędu. Obecność dwóch biskupów była wymogiem jego ważności. Gdyby Muskata wprost odmówił, książę, choć z niebezpieczeństwem dla sprawy, byłby odroczył koronację, by doczekać powrołu Gerwarda lub postarać się o udział innego biskupa. Teraz pozostawało chyba przywieść Muskatę na powrozie. Książę miotał się gniewnie na łożu. Po raz pierwszy w życiu zaufał dobrej woli wroga w sprawie, do której największą przywiązywał wagę, i spotkać miał go zawód. Taki ma być owoc posłuchu słowom zmarłego Jakuba, by nie odmawiał wiary Mu-

skacie, jeśli wyrazi żal? Na myśl o tym Łokietek usiadł na łożu. Nie pozwoli, by podstęp jednego człowieka udaremnił dzieło, sprzed ust odejmując owoc tyłu trudów, czasu i kosztów. Obrzęd odbędzie się, choćby o północy, a Muskata weźmie w nim udział, choćby go ogniem przypiekać przyszło. Ale wrogowie nie omieszkają wykorzystać najmniejszego uchybienia, jakie ważności obrzędu będzie można zarzucić. Głęboka troska przyćmiła jasne oczy księcia.

Już powziął postanowienie, by zbrojnych śłać po biskupa, gdy wpadł komornik wołając:

— Idą tu, panie!

Jakoż na schodach, wiodących na górne piętro do komnat księstwa, rozległy się stapania licznych **nóg** które zatrzymały się przed drzwiami sypialni **Łokietka**. Komornik rozwarł je na ścieżaj i do komnaty wkroczył metropolita Janisław w pozłocistej **kapie** i paliuszu, po obu stronach mając biskupów — krakowskiego i poznańskiego, niosących kropidło i kadzielnicę. Gdy reszta orszaku zatrzymała się w **sieni**, arcybiskup wśród modłów okadził księcia i pokropił, po czym podał mu dłoń. Łokietek dźwignął się z **łoża** i poprzedzany przez arcybiskupa skierował się ku wyjściu. Przed drzwiami czterej opaci dzierżyli drążki pozłocistego baldachimu. Pochód, poprzedzany przez kasztelana Nawoja z Przegini z laską sędziowską w rękę, ruszył przez sień ku schodom, wśród dwuszeręgu duchowieństwa.

Przy wyjściu na podwórzec czekała już księżna z dziećmi i swoim orszakiem. Na widok małżonka[^] Uśmiechnęła się. I jego twarz rozpogodziła się uśmiechem. Rozumieli się już bez słów. Procesja koronacyjna ruszyła ku bramie na zewnętrzny dziedziniec i w miarę jak się posuwała, przyłączali się do niej ' wedle godności zgromadzeni na podwórzu dostojnicy • i Co przedniejsze rycerstwo, przy bramie zaś dołączyła się Rada i Ława.

Pwaj biskupi wiedli Łokietka za ręce. Księżę kątem oka spozierał na Muskatę. Twarz jego była szura,

żyły wystąpiły na skroniach, oczy miał wpadnięte i podbite. Księżę czuł, jak drży jego dłoń, rozumiał, co dzieje się w duszy dawnego wroga. Gdy on idzie odebrać koronę zwycięstwa, Muskata odbywa pielgrzymkę pokutną. Wiek życia strawił, by nie dopuścić do tego, do czego teraz własnej, choć słabej już przykładła ręki. Księżę mimo woli uścisnął ją. Przepraszał, że go podejrzewał o podstęp, i dziękował dawnemu wrogowi, że nie wykorzystał ostatniej może w życiu sposobności, by księciu zaszkodzić.

Arcybiskup zaintonował podchwycony zaraz przez duchowieństwo śpiew: *Ecce mitto angeluin meum...*¹ i baldachim, górując nad tłumem, który przyklekał na jego widok, przejściem wśród niego popłynął jak arka ku ocalałej od pożaru wieży Srebrnych Dzwonów i zachodniemu chórowi dawnej katedry, przerobionemu naprędce na kościółek, przez odcięcie go drewnianą ścianą od osmalonych ruin głównej nawy i transeptu.

Szczupły był i niewielu jeno mógł pomieścić, dlatego w drewnianej ścianie wycięto szeroką bramę, ninie otwartą, przez którą widać było wywyższone nad kryptą prezbiterium, z ołtarzem, jarzącym się od światła. Przed bramą stali dostojnicy, dla których miejsca nie było w kościele, ci natomiast, którzy wejść mieli, zatrzymali się przy furtach po obu stronach absydy. Arcybiskup przystanął i zwróciwszy się do 'v księcia, rozpoczął modlitwę *Deus qui scis...*², podczas której kanonicy zdejmowali z pana płaszcz koronacyjny i odpasywali miecz. Inni wręczyli biskupom przyniesione z kaplic Hinczów z Rogowa i Prandoly z Białaczowa relikwiarze z głową i ręką świętego Stanisława.

Gdy metropolita skończył modlitwę, procesja przez dwa wejścia wlewać się jęła do kościółka, wypełniając szczupłe jego wnętrze i przybudowane doń kapli-

¹ „Oto ślę swego anioła...”*

² „Boże, który wiesz...”*

ce. Biskupi złożyli relikwie na ołtarzu i usiedli, zaś książę, przyklękawszy przez chwilę, oddawał cześć świętemu patronowi, podczas gdy Muskata przerywanym przez zadyszkę głosem odmawiał modlitwę *Firmetur manus tua...*¹ Modlił się o wzmocnienie dłoni, która przygięta go do ziemi, a Łokietek, przymknawszy oczy, trwał w zadumie. W pokorze Muskaty wyczuwał wielkość, której ni śladu nie widział wówczas, gdy, klęcząc, na ręce pysznego Waławowego namiestnika składał hołd z resztek swej ojcowizny.

Arcybiskup zaintonował litanię podjętą przez duchowieństwo, a książę dźwignął się z klęczek i usiadł między biskupami. Po skończeniu śpiewu Janisław wezwał księcia, by przystąpił przed ołtarz. Wszyscy wstali, słuchając w uroczystej ciszy słabego głosu krakowskiego biskupa, który zwracał się do metropolity z postulacją:

— Najprzewielebniejszy ojcze! Żąda Matka nasza* Kościół święty, abyście tego króla pobłogosławić i poświęcić raczyli.

Arcybiskup rozpoczął przemówienie, pouczając księcia o obowiązkach królewskich. Łokietek jednak myślał o tym, że mógł przywieść Muskatę w worku, jak ongiś, ale nie mógł go zmusić do powiedzenia tego, co rzekł. Otrząsnął się z tych myśli dopiero, gdy Janisław rozpoczął obrzędowe pytania:

— Chcesz wiarę świętą, od przodków Kościoła katolickiego podaną, zachować i przy sprawiedliwości stojąc, przystojnie się obchodzić?

— Chcę — odparł książę.

— Chcesz Kościoła świętego, i kościelnych **śług** opiekunem i obrońcą być?

— Chcę — powtórzył Łokietek.

— Chcesz królestwo, od Pana Boga tobie poleczone, wedle sprawiedliwości trzymać, rządzić i bronić?

— Chcę, i za miłego Pana Boga pomocą, i radą Wiernych swych tak się we wszystkim wiernie za-

¹ „Niech będzie wzmocniona ręka twoja...”

chować obiecuje, jako będę mógł najlepiej — dobitnie odpowiedział książę.

Wówczas Janisław zwrócił się do obecnych:

— Chcecie temu oto królowi, przez Boga wam danemu, poddać się i w wierności i posłuszeństwie trwać?

Wśród potężnego chóru odpowiedzi, który falą wybiegł z kościoła, Łokietek słyszał tylko drżący głos Muskaty:

— Chcemy, tak nam, Boże, dopomóż!

Arcybiskup, wziąwszy podaną mu z ołtarza przez opata tynieckiego Ewangelię, usiadł na przygotowanym krześle i skinieniem dłoni przyzwał księcia, który przykleknął przed nim i położywszy dłoń na księdze, powtarzał za metropolitą słowa przysięgi:

— *Promittimus bona fide, absque omni dolo cuiuslibet fraudis, sub sacramento fidei nostrae, ipsam „coronam regni Poloniae salvam et integram ac illibatam conseware et nullas terras vel partes earum ab ipsam alienare vel minuere, sed eam augere et recuperare, veluti in coronatione nostra sumus et iuramus obligati nostris iuramentis”*.

Łokietek powtarzał rotę głosem pewnym i donośnym. Wszyscy wiedzieli, że choć niejedną przysięgę złamał, tej dotrzyma, choćby mu życiem przyszło zapłacić. Nie sięgał po koronę -jak po dojrzały owoc. Daleko było do tego. Miała być obręczą, która w jedno zespoli potargane dziedzictwo przodków.

Gdy przebrzmiały słowa przysięgi, arcybiskup ponownie obszedł ninie już króla z kadzielnicą, pokropił go wodą święconą i odmówił błogosławieństwo, które powtarzali za nim biskupi i opaci, włożywszy i;!

³ Przyrzekamy w dobrej wierze, bez jakiegokolwiek podstępstwa, pod świętością wiary naszej, tę oto koronę królestwa polskiego nietkniętą, całkowitą i nienaruszoną zachować, żadnych jej ziem lub ich części nie pozbyć ani: nie umniejszyć, lecz powiększyć i odzyskać, jak przez koronację jesteśmy i będziemy zobowiązani naszą przysięgą.

infuły. Potem Janisław z asystą przeszedł do kaplicy W przyziemi wieży Srebrnych Dzwonów, stanowiącej zarazem kapitułarz i zakrystię, by przybrać się w ornat do mszy, zaś Łokietek wraz z Muskatą i Domarątem legli krzyżem i tak pozostali aż do Podniesienia. Wówczas Włodzisław dźwignął się, by wraz z małżonką przystąpić do Stołu Pańskiego.

Kłęczeli obok siebie, jak ongiś, gdy prawie się nie znając ślubowali sobie wzajem wierność na cały żywot. Jenó nią miotał wówczas niepokój, a on myślał o korzyściach, jakie mu ten związek przyniesie. Dziś, gdy większość swego życia, jego pokus i prób mieli już za sobą, choć nie brakło chmur na niebie przyszłości, ona pewna była małżonka jak jedna ręka drugiej, on zaś myślał o tym, czego wówczas nawet nie przeczuwał, że jej w znacznej mierze zawdzięcza, iż nie roztrwonił swych sił w pogoni za płaskimi, doraźnymi korzyściami. Dziś kłęczą tu oboje, by dostąpić najwyższego z ziemskich zaszczytów.

Tymczasem opaci uroczyście, pod baldachimem, przynieśli z kapitułarza Olej Święty, którym Janisław namaścił ręce, piersi i łopatki Włodzisława, po czym wśród modłów włożył nań dalmatykę i purpurowy płaszcz koronacyjny. Wówczas kasztelan Nawój podał mu z ołtarza koronę. Obydwaj biskupi podtrzymywali ją, gdy metropolita wieńczył nią głowę Łokietka.

Król wstał, podanym sobie mieczem zakreśliwszy krzyż przypasał go do boku, i z rąk arcybiskupa przyjął berło i jabłko, które z ołtarza podali wojewodowie Prandota i Przybysław. Potem Janisław odmówił nad nim benedykcję synodalną, a gdy skończył, biskupi ujęli króla pod ręce i powiedli do ustawionego naprzeciw ołtarza tronu. Siedzącemu, już podał Janisław naramiennice, włożył na palec pierścień, a do ręki laskę sędziowską mówiąc: *Accipe virgam virtutis et aequitatis*¹. W końcu złożył na twarzy króla

¹ Przyjmij różdżkę cnoty i sprawiedliwości.

pocałunek pokoju i zaintonował *Te Deum*¹. Wszyscy powstali. Po raz pierwszy w tym miejscu zabrzmiały uroczyste słowa hymnu, chwającego Boga, że znowu ubłogosławił kraj władcą, który dźwiga go z upadku. Głosy wypełniły szczuple wnętrza i wybiegły na dziedziniec, gdzie podjęło je zgromadzone świeckie i zakonne duchowieństwo.

Król stał z przymkniętymi oczyma, a na surowej jego i zaciętej twarzy widać było hamowane wzruszenie. Wiedział, czego kraj od niego oczekuje, i wiedział, że nielekki ciężar wziął na swoją głowę. Potem otworzył oczy i spojrzał na stojącego przy księżnie chłopczykę. Tęgi jest i rośnie ponad wiek. Jemu już może korona ciężać nie będzie.

Podczas śpiewania hymnu, odebrawszy od pana łaskę i miecz, stanęli z nimi u stóp tronu kasztelan i miecznik krakowski. Nad głową króla rozwinęła się wielka chorągiew królestwa. Srebrny orzeł zawisł nad Włodzisławem. I on po raz pierwszy zdobny był złotą koroną.

Obecni przystępowali do ucałowania ręki królewskiej, składając kolejno wedle godności hołd. Tylko mieszczaństwo złożyć go miało nazajutrz na Ratuszu.

Gdy po złożeniu hołdu dostojnicy wrócili na swoje miejsca, król zwrócił się do metropolity:

— *Reverende -pater! Postulamus, ut consortem inostram, nobis a Deo coniunctam, benedicere et corona reginali decorare dignemini, ad laudem et gloriam Salvatoris nostri Jesu Chrisli**.

Na przyzwalający znak arcybiskupa Jadwiga powstała. Dworki, zdjęwszy czepiec z głowy księżny, rozpuściły jej włosy. Siwe już były. Lata trosk, poniewierki, strata dwóch synów, stały niepokój o męża,

¹ „Ciebie Boże...”.

² Czcigodny ojcze! Upraszamy, abyście naszą małżonkę, od Boga nam poślubioną, pobłogosławili i godną uznali ozdobienia królewską koroną, ku sławie i chwale Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa.

który nigdy siebie nie szczędził, a od młodości nie znalazł spoczynku, pokryły już zmarszczkami twarz księżny. Ale nie pochyliły jej rosłej postaci, a gdy arcybiskup, pobłogosławiwszy ją i namaściwszy wśród obrzędowych modłów, włożył jej koronę na głowę, Jadwiga podniosła ją dumnie. Jej pierwszej przypadł w udziale zaszczyt, że na równi z małżonkiem dźwigać może koronę na swej głowie. Nie pochyli jej, cokolwiek jeszcze los przyniesie. W zmęczonych oczach królowej świeciła radość. Ten dzień zapłacił jej za wszystko.

Obrzęd był skończony. Królestwo wraz z orszakiem wyszli przed bramę w drewnianej ścianie kościołka. Ruiny katedry, oczyszczone z gruzu, głowa przy głowie nabite były rycerstwem, które na widok pary królewskiej wznosić jeło okrzyki. Łokietek stał, zamysłonymi oczyma wodząc po osmalonych murach, których sklepienie stanowiło szare, zimowe niebo.

Król zdał się wsłuchiwać w dźwięki dzwonów, którymi rozspiewały się kościoły w całym mieście. Ale myśl jego pracowała. Tak wygląda jego królestwo jak ta oto katedra. Jak ona dwukrotnie już legło w gruzach. Ale na miejscu spalonej stanie nowa, jeszcze wspanialsza. Zwracając się do stojącego obok Muskały, król powiedział cicho:

— Dzięki wam! Łaski mej pewni być możecie. Nie pożałuję na odbudowę waszej katedry.

— Mnie Boża łaska już najpotrzebniejsza — słabym głosem odparł biskup. — Wybaczcie, że się z wami radować nie będę i zwólcie mi odejść. Nie jestem już wam potrzebny, a sił wyzbyłem.

Jakoż chwiał się na nogach, a mimo chłodu pot kroplisty osiadł na jego czole. Król widząc, że Muskała istotnie słania się, podtrzymał go silną dłońią i skinął niegnacznie na kanclerza, który ujawszy biskupa pod ramię, powiódł go przez kościółek do kapitulacza, gdzie pomógłszy rozebrać go z szat liturgicznych, polecił sprowadzić sanie. Biskup bowiem, mimo że leciał z nóg, kazał się zawieźć do klasztoru cystersów.

Gdy kanclerz usiłował go odwieść od tego, mówiąca że spocząć i pożywić się może u któregokolwiek z kanoników, biskup odparł z bladym uśmiechem:

— W Mogile już spoczne.

Siedział samotnie w opustoszałym kościółku, z przykniętymi oczyma, słuchając gwaru rozchodzącego się już tłumu. Dostojnicy szli na zamek biesiadować, dla prostego rycerstwa ucztę zgotowano w podwórcach, dla pospólstwa w Rynku. Gdy nadszedł kleryk, zawiadamiając, że sanie czekają, Muskata dzwignął się o własnych siłami i wyszedł przed kościół.

Cizba już zrzędziła ale dokoła sań zgromadziło się nieco gapiów. Na widok biskupa głowy odkryły się, a wśród nich zabłysła płomienista czupryna, której, wspomnienie przez tyle lat prześladowało Muskatę. Teraz miał wewnętrzną pewność, że widzi ją po raz ostatni. Patrzył na nią, jakby czegoś oczekiwał.

W spojrzeniu Ostróżki, które spoczęło na biskupie, nie było nienawiści ni zwyczajnego zuchwalstwa. Potem jasne oczy zwrócił na młodą dziewczynę, wspartą na jego ramieniu ruchem pełnym ufności i przywiązania. Coś szepnął; do niej. Spojrzała na biskupa z wyrazem współczucia w swych smutnych oczach.

Muskata jakby z wahaniem podniósł dłoń do błogosławieństwa. Wśród głów, które się pochylały, jak światło w ciemnościach błyszczała czupryna Ostróżki.

W święto Przeniesienia Relikwii św. Romualda, w mroźny dzień kitowy, Muskata po wieczornym nabożeństwie pozostał w kościele. Chciał być sam. Od rana miał przeczucie, że coś ważnego nadchodzi. Zarazem jakby ulgę czuł i niepokój. Serce trzepotało się w piersi w podnieceniu. W miarę jak czas płynął, ulga jednak mijała, a niepokój zaczynał przechodzić w udrekę. Ściśnięta pierś z trudem chwytła oddech, który wypełniał ją bólem. Trzęsącymi się rękoma Biskup rozerwał szatę pod szyją. Pod rękami zaszeleścił

pergamin. To list Jakuba, który ostatnio zawsze nosił z sobą.

Rozwinął go. W ołtarzu pogaszono światła, w mroku lśniła tylko niepewnie wieczna lampka przed Eucharystią. Muskata jednak nie potrzebował światła, znał każde słowo tego listu. Zdało mu się zresztą, że litery świecą własnym światłem, oczy przebiegały po nich jak po ognistej ścieżce. Dobiegły do końca i zatrzymały się na ostatnich słowach: „Modlę się dla Ciebie o łaskę pokory, a gdy wysłuchany zostanę, pomódl się i Ty, Synu, za moją duszę”. Przez szum i dudnienie w uszach Muskacie zdało się, że słyszy żywe słowa Jakuba. Pod zamknięty ni powiekami ognista ścieżka rozplynęła się w światło. Padł twarzą na kamienną posadzkę, szepcząc:

— Wieczne odpoczywanie racz nam dać...

Gdy o północy mnisi zebrali się na modlitwę, znaleziono biskupa leżącego krzyżem po prawej stronie głównego ołtarza, już bez duszy, w tym miejscu, które sobie na wieczny odpoczynek upatrzył. Zgodnie z objawioną opatowi ostatnią wolą tam go pochowano, *sine pompa et ostentatione*.

Kraków, styczeń 1957 r.